

Bajki dla dorosłych

2009

trident

Wydanie polskie

Data wydania:

2009

Wydawca:

Fabryka Słów sp. z o.o.

www.fabryka.pl

e-mail: biuro@fabryka.pl

ISBN 978-83-7574-145-2

Wydanie elektroniczne:

Trident eBooks

tridentebooks@gmail.com

Requiescat in Pacek

Każda legenda ma swój początek. Legenda o przyjacielu powstaje w chwili, gdy zaczynamy o kimś, kto jest częścią naszej codzienności, mówić w czasie przeszłym. Legendę bowiem zawsze opowiada się w czasie przeszłym...

Legenda to dziwne słowo. Kojarzy się z opowieścią, baśnią. A jednak pierwotne znaczenie pochodzi od łacińskiego czasownika *legere* – czytać. Albowiem legenda to coś, co należy czytać i to zostało – opowieści, które snuł Tomasz Pacyński. Opowieści człowieka, którego myśli zawsze pozostawały niezawisłe – nie zafałszowane perspektywą modnych trendów, ani urokliwych banałów. Słowa kogoś, kto mistrzowsko używał ironii nie po to, by zranić, lecz aby wywołać uśmiech.

Wybaczcie mi zatem, że nie będzie tu epitafium pełnego frazesów z kwantyfikatorami: „wielki człowiek”, „wielki pisarz”, „wielki talent”, upstrzonych łaciną i mówiących o *monumentum, co non omnis moriat*.

To budzi we mnie tylko gniew. Ponieważ Mode-raptor nadawał słowom treść.

Szczerść, przyjaźń, więź – nie miały w sobie pustki ogólnikowych znaczeń, miały treść – wyrażoną w działaniu, bez robienia show i oczekiwania na oklaski.

Właśnie dlatego teraz tak potwornie boli nawet po latach: najdotkliwsza jest bowiem utrata przywilejów, a znajomość z Packiem była przywilejem, choć on sam pewnie nigdy tak by tego nie określił. Przypuszczam raczej, że uciekłby się do złośliwego komentarza, machnięcia ręką, obrócenia wszystkiego w żart. Bez uwznioślenia tego, co normalne, po prostu...

Niechaj zatem ta legenda rodzi się w ciszy – przewrotnie do bicia w spiżowe dzwony patosu i do monumentalnych, jakże banalnych formuł. Niech będzie w niej miejsce na krzywy, ironiczny uśmiech, przyjazny uścisk dłoni, trochę alkoholu i dym z papierosa. I niech będzie cisza. Ponieważ kiedy czytamy – milczymy. A kiedy słuchamy czytania – również panuje milczenie.

To nie ja opowiadam legendę Tomasza Pacyńskiego. Jeżeli chcecie ją poznać, wystarczy przeczytać. Poszukać pierwotnych, czystych znaczeń. Poszukać treści.

Małgorzata Koczańska

Tomasz Pacyński

Pisarz i publicysta urodzony w 1958, zmarły w 2005 roku.

Po opublikowaniu powieści *Sherwood* (2001) porzucił zawód informatyka i skoncentrował się na pracy twórczej. Jego wydany rok później *Wrzesień* – powieść political fiction, którą uważał za szczególną i szczególnie sobie bliską – wywołał szeroki oddźwięk zarówno wśród czytelników, jak i krytyków. Kolejne lata, poza kontynuacją *Sherwood*, przyniosły opowiadania wydane w roku 2005 w zbiorach *Linia ognia* i *Szatański interes*.

Felietony i opowiadania Tomasza Pacyńskiego ukazywały się również na łamach „SFery”, „Fantasy” oraz „Science Fiction”. Wraz z EuGeniuszem Dębskim i Andrzejem Ziemiańskim współtworzył odrodzonego „Fahrenheita”, największy i najstarszy polski e-zin poświęcony literaturze fantastycznej. Do chwili śmierci był jego redaktorem naczelnym.

**Tomasz
Pacyński**

**Bajki dla
dorosłych**

Za zwałistym, siwowłosym mężczyzną z cichym szumem zasunęły się metalowe drzwi. Nie drgnął nawet, kiedy usłyszał stuknięcie i przytłumiony gong ruszającej windy. Z pozoru ospały i zrelaksowany, rozglądał się spod wpółprzymkniętych powiek.

Długi korytarz ciągnął się w obie strony. Nawet za dnia wpuszczone w sufit reflektorki oświetlały fikusy beniaminy w wielkich donicach; żywe rośliny, nie żadne tam tandetne, zakurzone, plastikowe imitacje. Blask halogenów odbijał się w chromowanej powierzchni popielniczek, pustych i wypucowanych, stojących obok stolika tuż przy schodach. Skóra kanap lśniła oleiście, jakby nikt nigdy na nich nie siadał. I tak zapewne było; nikt też nie przeglądał kolorowych czasopism i folderów, spoczywających w schludnym stosiku na intarsjowanym blacie.

To był elegancki, drogi hotel. W oczach mężczyzny, ocienionych krzaczastymi brwiami, błysnęła niechęć. Nie znosił takich miejsc, podobnych do siebie, że aż nie do odróżnienia, sterylnych i bezosobowych. Ruszył niespiesznie, nie zastanawiając się nawet, czy idzie w dobrym kierunku. Metalowe cyferki na drzwiach pokoiów, stylizowane na mosiądz, tak naprawdę zapewne z alodynowanego aluminium, powiedziały mu, że wybrał właściwie. Numery malały.

Dywan głużył kroki. Mężczyzna, który mimo swej tuszy poruszał się zwinnie niczym tłusty kocur, zmarszczył brwi, kiedy zza następnych drzwi dobiegł szum odkurzacza. Za blisko, pomyślał niechętnie, zaledwie dwa pokoje dalej... Ale hotelowe sprzątaczkę wszystkie należały do jednego gatunku. Znał dobrze te brzydkie i krzepkie dziewczęta ze słuchawkami walkmanów na uszach. Wydawały się obojętne na cały świat, nie potrafiły się jedynie powstrzymać od rzucania złych, zazdrosnych spojrzeń dziwkom w barze. Nie zwróci uwagi, pomyślał, jakby przyszło co do czego, to nie usłyszy. I zaraz nadeszła refleksja – do czego niby miałyby dojść? Jeszcze nie wiedział. Wciąż starał się nie zastanawiać.

Kiedy minął otwarty pokój, szum odkurzacza ścichł. Jeszcze parę kroków i stanął pod tymi właściwymi drzwiami. Numer się zgadzał, jeśli oczywiście recepcjonista nie kłamał. Mężczyzna skrzywił wargi w mimowolnym uśmiechu. Za pięćdziesiąt baksów recepcjoniści mówią prawdę. Za sto całą prawdę.

Na okrągłej klamce wisiała tekturowa wywieszka – „nie przeszkadzać”. Kołysała się lekko, poruszana ledwie wyczuwalnym prądem powietrza z klimatyzacji. Nawet się nie zdziwił, w końcu nie mógł się spodziewać niczego innego. Ale mimo to gdzieś w głębi duszy zapiekła złość.

Uniósł niezdecydowanie rękę, chcąc zapukać. I zastygł. Poczł się niewymownie głupio,

bo i co miałby odpowiedzieć na proste pytanie „kto tam”? I na następne, które niewątpliwie padnie.

Po co tu właściwie przyszedł?

Ręka opadła, zanim kostki palców stuknęły o ciemną, pokrytą fornirem powierzchnię.

Złość zmieniła się w lodowaty spokój. Zbyt daleko zaszedł, nie pozostało już czasu na rozterki. Zaczął działać, szybko i metodycznie.

Ujął zimną, chromowaną gałkę, spróbował delikatnie przekręcić. Poczul opór. Zamknięte, jak zresztą się spodziewał. Przyjrzał się zamkowi.

Żadnej dziurki od klucza, tylko wąska szparka na kartę, pewnie chipową, bo magnetyczne potrafili podrabiać już nawet gówniarze z podstawówki. W zasadzie byłby potrzebny sprzęt – laptop z niezbędnymi peryferiami. Na hotelowy zamek wystarczyłoby mniej niż pół minuty, wszak to nie bank, ani tajna rządowa instytucja. Tu chodziło tylko o to, żeby personel za wiele nie kradł, a niepożądanemu gościowi można było zamknąć drzwi przed nosem, nie wychodząc z recepcji, jednym kliknięciem myszy.

Mężczyzna nie miał laptopa. Nie przygotował się do wyjazdu, po raz pierwszy od lat wyruszył gnany impulsem, tylko z kartą kredytową w portfelu i na wszelki wypadek, sporym zwitkiem baksów.

Ale był zły. I to wystarczyło.

Ujął okrągłą klamkę wielką, sękatą dłonią, zacisnął palce, aż pobieleły kostki. Po czym przekręcił. Na nic się zdała wymyślna elektronika, kiedy z cichym chrupnięciem puściły rygle i lśniąca gałka obróciła się nagle już bez żadnego oporu.

Rozejrzał się tylko szybko po korytarzu. Nadal pusto i cicho. Czegóż innego można się spodziewać w eleganckim hotelu o dziesiątej rano?

Popchnął ostrożnie drzwi. Otworzyły się z ledwie słyszalnym cmoknięciem plastikowej uszczelki przy futrynie. Zerknął jeszcze raz za siebie i szybko wślizgnął się do środka. Po chwili z korytarza nie można było zauważyć już nic podejrzanego, poza silniejszym, nienaturalnym kołysaniem wywieszki na ukreconej klamce. Wkrótce i ono ustało.

To był apartament, nie zwykły pokój z łazienką. W niewielkim hallu, tak samo chłodnym i bezosobowym jak korytarz, panował półmrok. Mężczyzna czekał, aż wzrok mu się przyzwyczai, chociaż nie przyszedł tu przecież, by sterczeć w towarzystwie wieszaka o futurystycznych kształtach. Zbyt dziwnego, by cokolwiek na nim powiesić; stał pusty w kącie, a jego osobiście powyginane, błyszczące ramiona natrętnie przywodziły na myśl geometrię nieeuklidesową.

Pozostały jeszcze jedne drzwi. Zwykłe, bez zamków, z wielką mleczną szybą, przez którą docierała rozproszona, miękka poświata. Na pierwszy rzut oka po prostu dwie warstwy dykty pokrytej imitacją drewna, można je wywalić jednym kopniakiem. Albo zwyczajnie otworzyć.

Jednak wiedział, że to właśnie te drugie, żałośnie słabe drzwi będzie znacznie trudniej przekroczyć. Potrzebna była decyzja. Niełatwa, bo przecież wiedział, co za nimi zastanie.

Ale nie mógł też tak stać jak idiota w ciemnym przedpokoju. Już zaszedł zbyt daleko, by się wycofać, choć i taka myśl przemknęła mu przez głowę. Odetchnął głęboko, ujął zimną klamkę. I w końcu nacisnął.

Dywan w pokoju był puszysty. Tłumił kroki lepiej niż ten na korytarzu, choć nie miało to znaczenia i tak zagłuszyłyby je dźwięki dochodzące z telewizora. Facet na wielkim, podwójnym łożu leżał odwrócony plecami, prezentując przybyszowi owłosione plecy i chude, blade półdupki. Wpatrywał się w ekran, jakby na świecie nie istniało nic innego poza ludźmi w kolorowych kombinezonach, którzy oddawali się dość bezsensownemu zajęciu, jakim są skoki narciarskie.

Nie mógł usłyszeć cichych kroków. Odbiornik ryczał zbyt głośno. Ale chyba wyczuł czyjąś obecność, bo odwrócił się powoli. Chyba nawet chciał krzyknąć, ale znieruchomiał na widok wielkiego, sękatego palucha przyłożonego do warg. Bardzo rozsądnie znieruchomiał.

Był niedużym, chudym facecikiem, ze dwa razy lżejszym od intruza, wielkiego, zwalistego mężczyzny o krótko przystrzyżonej, siwej czuprynie. Tak krótko, że wyraźnie widać było blizny znaczące skórę czaszki. I wyraźnie wściekłego; można to było wyczuć mimo lodowatego spokoju na szerokiej twarzy pokrytej srebrnym zarostem. W bladoniebieskich oczach, które w innych okolicznościach można by uznać za szczere i pocziwe, czał się chłód. I groźba.

– Nazywam się Mróz – powiedział przybysz. – Dziadek Mróz.

Facecik na szerokim łożu kiwnął machinalnie głową, ruchem szybkim i bardzo nerwowym. Jedną ręką usiłował naciągnąć na siebie zmiętoszone prześcieradło.

Dziadek Mróz nie przejął się zbytnio faktem, że owłosiony chudzielec zachował się jak skończony cham, nie racząc samemu się grzecznie przedstawić. Złożył to na karb okoliczności, niewątpliwie stresujących.

Rozejrzał się po pokoju. Przez twarz przebiegł ledwie widoczny skurcz, kiedy jego wzrok, pozornie obojętny, prześlizgnął się po dywanie. Łatwo było odtworzyć wszystko, ślady biegły od samych drzwi. Najpierw buty, męskie, eleganckie, i jeden pantofelek. Drugiego nigdzie nie było widać. Potem reszta, coraz bliżej szerokiego łoża, aż do skąpych majtek przewieszonych przez poręcz fotela i pończoch rzuconych niedbale na dywan, zwiniętych jak skóry liniejących zmij.

Na stoliku opróżniona butelka whisky, metalowy kubek z resztą wody na dnie, która pozostała ze stopionych kostek lodu. „Glenfiddich”, zauważył Dziadek, ten palant ma niezły gust. Ciekawe, kto płacił, pomyślał ze złością.

Obrazu dopełniała na wpół opróżniona szklanka z brunatną cieczą. Rozmoczony filtr w środku wskazywał, że raczej nie była to herbata.

Niezła impreza, przemknęło Dziadkowi przez głowę. I znów poczuł lodowaty chłód.

Facecik powoli odzyskiwał rezon. Strach zastąpiła złość. Spokój Dziadka wziął za niepewność.

– Panie, wynoś się pan stąd! – zaczął napastliwie. – To mój apartament, a pan tu włączysz jak świnia do chlewa.

Zupełnie nie wiedział, o co w tym wszystkim chodzi. Ten gość nie wyglądał na męża, nie kłął, nie wyzywał od samego początku, nie rzucał się z pięściami. A jeśli to nawet i mąż, to jakaś pierdoła, mimo że taki duży i napakowany. Zaraz się zaczną łzawe zwierzenia... A może on z tych damskich bokserów, pomyślał, mnie nie ruszy, tylko zrobi dziką scenę.

– Wynocha, powiedziałem!

Wyraz twarzy Dziadka nie zmienił się nawet odrobinę. Wielki mężczyzna pochylił się tylko, podniósł czarny biustonosz. Jeden z tych, co to nie zakrywały nawet sutków, podtrzymywały tylko piersi. Nie musiała go używać, wiedział o tym dobrze. Zaciśnął palce na gładkim materiale.

– Wyłącz to kurewstwo – rzucił, nie odwracając nawet głowy.

– Zaraz będzie skakał Małysz – zaprotestował facet odruchowo.

Dziadek upuścił zmięty biustonosz. Podeszedł do łóża, przysiadł na skraju, czując, jak zapada się pod nim miękki materac.

– Wyłącz – powtórzył bez nacisku, ale w jego głosie było coś takiego, że facet natychmiast posłuchał. Macał na oślep po prześcieradle w poszukiwaniu pilota. W końcu znalazł, nacisnął gumowy klawisz. Obraz zniknął, ucichł komentarz i owacje tłumu.

W łazience szumiała woda.

Facet zaczął wreszcie kombinować. Ten ślad obcego akcentu w głosie, ledwie słyszalna naleciałość. Miękka, wschodnia wymowa. Elegancki garnitur, złoty rolex, który znakomicie pasował do wielkiej, owłosionej łapy.

A to dziwka, przemknęło chuderławemu przez głowę. I poczuł wreszcie przewagę. Nie będzie mu tu podskakiwał jakiś alfons zza Buga, jemu, urzędnikowi państwowemu. Wystarczy jeden telefon, a deportują i jego, i tę podstępną kurwę.

Ale komórka była w kieszeni marynarki, a ta leżała na dywanie, gdzie ją wczoraj rzucił, kiedy tylko smukłe dłonie wślizgnęły mu się pod koszulę na piersi. Przecież nie będę się z nim szarpał, to nie uchodzi, postanowił. Lepiej zapłacić, przynajmniej nikt się nie dowie. Strata niewielka, mała była ostra. Nie ma czego żałować.

– No dobrze, towariszcz, ile? – spytał pogardliwie.

Dziadek Mróz poderwał głowę. W pierwszej chwili nie dotarło do niego.

– Co – ile? – spytał.

– Ile się należy? – Urzędnik państwowy na wyjazdowym szkoleniu mówił celowo pogardliwie. Wiedział, jak należy postępować z Roskami, uczono go tego. – Niezła była, to i bonusik jakiś dorzucę.

Duży błąd.

Nawet nie zdążył się przestraszyć. Pojął nagle, że leci w powietrzu. Padając, zdruzgotał mały stolik, osunął się pomiędzy blat i połamane nóżki. Zanim znieruchomiał, okryło go

prześcieradło, w które wczepił się rękoma, kiedy Dziadek ciskał nim o ścianę.

– Co jest, czło... – zaskowyczał.

– Leżeć! – warknął Dziadek Mróz. Facet drgnął, począł gramolić się niezdarne, z rumorem.

– Leżeć, było!

Nieszczęsny amant znieruchomiał.

I co ona w nim widzi? – zastanawiał się ponuro Dziadek. Małe to, chuderlawe, i miętkie jakieś takie. Widać ma, kurwa, inne zalety.

Innych zalet nie mógł chwilowo dostrzec. Pozostawały ukryte, pod prześcieradłem.

Woda w łazience przestała szumieć. Dziadek nie zwracał już uwagi na skulonego pod ścianą mikrogo, acz wysokiego urzędnika państwowego na wyjazdowym szkoleniu. Wyszedł na środek pokoju i czekał z lekko spuszczoną głową. Trzasnęły drzwi.

Wyszła, otulona w przykrótce płaszcz kąpielowy, który sięgał ledwie połowy ud, cała zaróżowiona od gorącej kąpeli. Długie, rozpuszczone krucze włosy lśniły wilgocią.

Nie była zaskoczona, raczej wściekła. Zielone oczy rzuciły skry złości, kiedy omiotła szybkim spojrzeniem cały pokój. Jej wzrok zatrzymał się chwilę na zwiniętym w kłębek amancie pod ścianą, który bał się teraz już spojrzeć.

Podeszła do Dziadka, popatrzyła mu w twarz bez słowa. Jego rysy nawet nie drgnęły, nie powiedział nic, na co podświadomie czekała. Na wyrzuty, może na przekleństwa. Na żal i wściekłość. Ale nie spodziewała się milczenia.

Chwilę stała. Potem uniosła rękę i trzasnęła z całej siły w pokryty srebrnym zarostem policzek. Na odgłos uderzenia chuderlawy facecik aż podskoczył.

Dziadek nie skrzywił się nawet. Ujął jej rękę, podniósł do ust. Kiedy całował wnętrze ciepłej dłoni, poczuł woń dobrego mydła i kosmetyków. A przez to wszystko niepowtarzalny zapach jej skóry. Poczuł, jak pod pocałunkiem jej palce drgnęły, opuszki palców mimowolnie pogładziły go po twarzy.

– Witaj, Jagoda – powiedział cicho, patrząc jej w oczy, które błysnęły podejrzaną wilgocią.

* * *

– Co ty sobie właściwie wyobrażasz? – Stała na środku pokoju, wzięła się wyzywająco pod boki. Płaszcz rozchylił się lekko, aż Dziadek poczuł, jak przebiega go fala gorąca. Wciąż na niego działała i wiedział, że zawsze będzie działać.

– Włamujesz się – parsknęła. – To żalosne! W ogóle żalosne jak to, że mnie śledzisz. Łazisz za mną nieproszony, a nawet wręcz przeciwnie. Wyraźnie powiedziałam, żebyś tego nie robił.

Pochyliła się, zaczęła zbierać bieliznę z dywanu. Odruchowo skorzystał z okazji i zajrzał

w rozchylone poły płaszcza kąpielowego. Pomyślał ze złością, że chyba celowo go prowokuje.

Wyprostowała się, interesujący widok zniknął.

– Żałosne. Włazisz jak zazdrosny mąż, bijesz mojego...

Poderwał głowę.

– Twojego? – wpadł jej w słowo.

Przez chwilę wyglądało, że się zmieszała. Uciekła spojrzeniem, ale tylko na moment.

– Mój organiczny wibrator – zakpiła. – Lepiej tak? Zmienia to coś?

Sam nie wiedział, co odpowiedzieć. Zmieniało wiele. A zarazem nic.

Podniosła biustonosz, przyglądała mu się chwilę.

– Co to, kurwa, takie wymiętoszone? – Zerknęła podejrzliwie z ukosa. – Fetyszystą zostałeś na stare lata? Chcesz, to dam ci na pamiątkę, nie potrzebuję, cycki mi jeszcze nie wiszą.

Policzył w myśli do dziesięciu. Najpierw po polsku, potem po rosyjsku. Na koniec w sanskrycie, który jest trudnym językiem i liczenie w nim daje wiele czasu na uspokojenie.

– Jagoda – zaczął wreszcie spokojnie. – Nie bądź ordynarna. Ani napastliwa. Nie wyprowadzisz mnie z równowagi, nie zrobię sceny. Przyjechałem porozmawiać, daj mi szansę. Obiecuję, że potem sobie pójdę, dam ci spokój.

Przysiadła na skraju łóżka, naciągnęła pończochę na rękę. Sprawdzała, czy nie poleciało oczko.

– Odwróć się – powiedziała cicho. – I daj mi się spokojnie ubrać. Przepraszam.

– A on? – Dziadek nie mógł się powstrzymać, wskazał ruchem głowy na amanta, który wbrew instynktowi samozachowawczemu wychylił się ciekawie spod prześcieradła. Jagoda robiła wrażenie, nie mógł się biedak powstrzymać.

– On się nie liczy, jak wiesz – odparła cicho.

* * *

Jak się Dziadek prawidłowo domyślał, apartament był jej. To ona zaprosiła chuderlawego facecika do siebie, nie odwrotnie. Dlatego był pewnie taki zdziwiony, dziwki nie inwestują zazwyczaj w eleganckie lokum.

Nie miała wiele bagażu. Mały neseserek, trochę rzeczy osobistych. Zawsze gotowa do zmiany miejsca. Jak my wszyscy, pomyślał Dziadek. Bez domu, bez niczego własnego. Obcy w obcym świecie, w którym wszystko można zostawić bez żalu. Cicho zamknąć za sobą drzwi, których już nigdy więcej się nie otworzy.

Dużo było już takich drzwi, pomyślał, w całym długim życiu. Wiele pokoiów, pustych i anonimowych. Za dużo.

Wyjął jej z dłoni rączkę neseserka, co skwitowała uśmiechem, choć walizeczka wcale nie

była ciężka. Coś ciepłego wreszcie błysnęło w jej oczach i Dziadek poczuł przyływ szalonej nadziei, którą do tej pory skrywał gdzieś głęboko, nie pozwalając jej wyrwać się na zewnątrz. Ale przecież w końcu z tą nadzieją tu przyjechał.

– Straszny bałagan zostawiam – powiedziała cicho. – Co sobie o mnie pomyślą.

– A znają cię tutaj? – zdziwił się.

Zaprzeczyła ruchem głowy.

– Nie. Zresztą, przecież to nieważne.

Owszem, nieważne, pomyślał. Ale i tak zazwyczaj pozostają po wszystkim brudne szklanki i popielniczka pełna petów. Zostają po nas.

– Chodźmy wreszcie. – Potrząsnęła głową, aż długie, czarne włosy rozsypały jej się po plecach i ramionach. Nigdy ich nie upinała.

Ruszyła pierwsza do wyjścia, w kierunku drzwi z wielką mleczną szybą.

– Zaraz! – kwiknął pechowy amant spod ściany. Gramolił się niezdarnie, zdrętwiał w niewygodnej pozycji, bo podczas całej rozmowy bał się nawet poruszyć. Teraz, kiedy uznał, że nic mu nie grozi, zalała go złość. Do czego to podobne, tłuło mu się w głowie. Co ta głupia dziwka sobie myśli? I kto ma zapłacić za zdemolowany pokój, może on?

– Czy ty wiesz, kim ja jestem?

Stał z trudem, trzymając się ściany, chude łydki trzęsły mu się wyraźnie. Jagoda zatrzymała się. Dziadek Mróz położył jej uspokajająco rękę na ramieniu.

Strząsnęła jego dłoń gniewnym gestem, odwróciła się gwałtownie. Pod spojrzeniem zielonych oczu facecik zapadł się jakby w sobie. Już nie pytał, czy wiedzą, kim jest. To było widać na pierwszy rzut oka. Był tylko małym, chuderlawym człowieczkiem, który usiłował osłonić wymiętym prześcieradłem furtka. Też zresztą niewielkiego.

– Dam mu w łeb, potem zwiążę tą pościelą – zaproponował Dziadek Mróz niezobowiązującym tonem. – Zanim go znajdą, będziemy daleko, nie narobi rabanu.

Zaprzeczyła ledwie dostrzegalnym ruchem głowy.

– Nie. Teraz już za późno, niepotrzebnie o sobie przypomniał.

Popatrzyła na faceta, który zaczął już pojmować. Chciał błagać, paść wręcz na kolana, ale jej spojrzenie zdążyło go sparaliżować.

– Słyszałam, co mówił. – W jej głosie było tylko znużenie. – Szum wody mi nie przeszkadza. A teraz słyszę jego myśli.

Dziadek odwrócił się. Nigdy nie lubił na to patrzeć. Wstyd się przyznać, ale dostawał mdłości.

– Neeeeee!

Rozpaczliwy krzyk załamał się na najwyższej nucie, coś ciężkiego uderzyło o posadzkę z odgłosem, jakby spadł na nią wór mąki. Kiedy Dziadek, przepuściwszy Jagodę przed sobą, zamykał drzwi z matową szybą, słyszał już tylko, jak coś szamocze się, charczy i pochrząkuje.

Wszystko ucichło, gdy znaleźli się na korytarzu. Drzwi do apartamentu były dźwiękoszczelne.

Jagoda ujęła Dziadka Mroza pod ramię. Przeszli długim korytarzem, mijając drzwi różniące się tylko imitującymi mosiądz cyframi. Z jednego z pokoi dochodził wciąż szum odkurzacza.

Kiedy stanęli przed błyszczącymi polerowanym metalem drzwiami windy, Dziadek uśmiechnął się po raz pierwszy tego dnia.

– Jak ty to robisz? – spytał.

Jagoda nie odpowiedziała od razu. Patrzyła chwilę, jak zmieniają się czerwone, elektroniczne cyferki.

– Tajemnica zawodowa – odparła w momencie, w którym zabrzmiał przytłumiony gong i drzwi windy rozchyliły się z cichym szelestem.

* * *

Wprawdzie na drzwiach wisiała wywieszka „nie przeszkadzać”, ale sprzątaczką, krzepką dziopa ciągnącą za sobą odkurzacza niczym psa na smyczy, postanowiła i tak sprawdzić. Ostatecznie gość, kiedy mu przeszkodzić, najwyżej obsobaczy, a od tego się przecież nie umiera. A jeśli tylko zapomniał zdjąć wywieszkę, wychodząc, co dość często się zdarzało, to będzie mogła oblecieć całe piętro od razu.

Zastukała, odsunęła z ucha jedną ze słuchawek walkmana. Cisza, żadnej reakcji. Nawet typowej wiązanki przekleństw, jaką mogłaby usłyszeć, gdyby naprawdę przeszkodziła. Zastukała jeszcze raz.

Tym razem z wnętrza również nie padła żadna odpowiedź, a w drzwiach nie stanął rozczochrany gość o wściekłych, umęczonych kacem oczach. Sprzątaczką wsunęła w szczelinę zamka swoją uniwersalną kartę. I nic. Zamek ani pisnął, nie zamrugła mała, zielona dioda. Kobieta podrapała się po głowie, coś takiego przydarzyło jej się po raz pierwszy. Okazało się, że okrągła klamka daje się przekręcić bez oporu, drzwi nie są zamknięte.

Weszła do środka, zdezelowane kółka odkurzacza zaskrzypiały na wykładzinie. W przedpokoju było ciemno i cicho. Za to z za drzwi z mleczną szybą dochodziły jakieś dziwne dźwięki. Ni to charczenie, ni to rechot.

Nie bała się wcale. Widywała już niejedno i pierwsze, co przyszło jej na myśl, to pijany w sztok gość, który nawet do wyrażenia się nie doczołgał, tylko leży teraz na dywanie i chrapie. Pewnie zarzyga, pomyślała ze złością, albo już zarzygał. Dodatkowe sprzątanie jak nic, nie mogą się nauczyć, żeby do kibla trafić.

Ale też zwietrzyła okazję. Pracowała w hotelu już ponad pięć lat, więc od razu wiedziała, co powinna zrobić. W końcu taki degenerat zawsze da sobie wmówić, że portfel gwizdnęła

mu dziwka w barze.

Zdecydowała się szybko.

Kiedy weszła do pokoju, zmartwiła. Pracowała tu już długo. Wiedziała z doświadczenia, jaki chlew potrafią ludzie zostawić po sobie w pokojach.

Właśnie, chlew. Zdążyła zobaczyć już wiele. Ale nigdy knura zaplątanego w prześcieradło. Zwierzak pochrząkiwał i trącał zaślinionym ryjem telefon komórkowy. Przed nim leżała podarta w strzępy marynarka.

Sprzątaczką z początku nawet się nie przestraszyła. Pierwszą reakcją było tylko zdziwienie, jak oni go tu, kurwa, wprowadzili? I po co?

Dopiero gdy knur uniósł ryj i spojrzał jej w oczy, zaczęła wrzeszczeć. W świńskich ślepiach zobaczyła coś, co kazało jej odwrócić się i wybiec z przeszywającym krzykiem. Obłądny strach.

* * *

Barman przecierał szklanke, choć i tak nie mógłby wydobyć z niej bardziej olśniewającego połysku. Ale musiał się czymś zająć, o tej porze hotelowy bar był prawie wymarły. Zaledwie dwie znudzone dziwki paplały leniwie, siedząc na wysokich stołkach. Sączyły sok pomarańczowy, w końcu były w pracy. Innych gości nie było, poza dwojgiem.

Spojrzenie barmana powędrowało w odległy kąt sali, gdzie przysiadła ta dziwna para. Olśniewająco piękna kobieta, dziewczyna właściwie, mogła mieć dwadzieścia, najwyżej dwadzieścia parę lat. Ale, mimo młodości, było w niej coś takiego, co kazało myśleć o niej jak o damie. Coś, co wymuszało dystans i kazało każdemu mężczyźnie czekać na jeden łaskawszy uśmiech.

Jak każdy barman i ten był dobrym psychologiem. I nijak nie pasował mu do niej jej towarzysz, potężny, starszy już człowiek w eleganckim garniturze. Ale w tej elegancji było coś krzykliwego, prowokującego. Była ostentacyjna. Była... pozą? Prawie niedostrzeżenie wzruszył ramionami i powrócił do wycierania szklanki. Nie chciał się sam przed sobą przyznać, ale ten człowiek wzbudził w nim lęk. Choć wyglądał jak zwykły nowy Ruski albo jeden z tych biznesmenów, który i owszem, pogrywa w tenisa z głową państwa, ale słoma mu z buciorów wylazi. Jednak barman miał dziwne wrażenie, że w tym wypadku to tylko pozory.

Mimo to nie potrafił powstrzymać się od ukradkowego popatrywania co chwila. Dziwna para. Siedzieli już dość długo i wciąż milczeli. Tylko w popielniczkę przybywało niedopałków. Okrutnie śmierdzących papierosów bez filtra, którymi głęboko zaciągał się szpakowaty mężczyzna, i cameli. Czarnowłosa dama też paliła dużo.

Dziadek Mróz rozduśił kolejnego peta. Denerwowały go nieudolnie skrywane, ciekawskie spojrzenia człowieka za barem. I paplające dziwki, piskliwe i mówiące po ukraińsku z zakarpackim akcentem, co musiało wkurzać każdego rdzennego Rosjanina,

którym Dziadek Mróz w głębi duszy pozostał.

I wciąż się bał. Że wreszcie trzeba będzie coś powiedzieć, nie można tak siedzieć i milczeć. Przecież po to tu przyjechał, żeby usłyszeć prawdę do końca. Chociaż, jak wiedział, prawda pewnie zaboli.

Jak to krótko trwało, pomyślał, i coś ścisnęło go w piersi. Tylko kilka miesięcy, szalona miłość, taka, o której myślał, że już nigdy w życiu się nie zdarzy, że nigdy nie nadejdzie. Przecież był już na to za stary. Za mądry. I zbyt rozczarowany.

Kilka miesięcy. I potem coś się skończyło. Był pewien, że to właśnie on popsuł. Jak zawsze.

Pogładziła go nagle po dłoni. Pierwszy poufalszy gest dzisiaj.

– Wreszcie wypada coś powiedzieć. Nie będziemy tak siedzieć i milczeć.

Uśmiechnęła się, ale jej wzrok pozostał poważny.

– Wiem, co czujesz – powiedziała. – A przynajmniej wydaje mi się, że wiem. Powiedz, ile ty masz lat? Tak naprawdę?

Popatrzył jej w oczy z uwagą, ale nie dostrzegł kpiny. Pytała poważnie.

– Sto? Dwieście? A może więcej? Czy może nie pamiętasz, bo jesteś stary jak ten cały pierdolony świat dokoła?

Rzeczywiście, nie pamiętał. Kiedyś nie liczył lat, nikt dokoła nie liczył. Dopiero kiedy został Dziadkiem Mrozem, śmiesznym facetem do uszczęśliwiania dzieciaków, w czerwonym, lamowanym futerkiem płaszczyku i kretyńskiej czapeczce, zaczął liczyć. Dawno to było.

– A wiesz, ile mam ja? – spytała z uśmiechem pełnym gorzkości.

Zaprzeczył ruchem głowy.

– Nawet nie pytaj. Za dużo.

Zacisnęła palce na szklance, długie i smukłe, mocno; pękłaby pewnie, gdyby nie była z grubego, rżniętego szkła.

– I cały czas muszę uciekać. Zawsze. Nie mogę zagrzać nigdzie miejsca, przyzwyczaić się. Bo czasy się zmieniają i nie ma w nich miejsca dla czarownicy.

Kiwnął głową.

– Nie przytakuj. – W jej oczach błysnęła złość. – Nic o tym nie wiesz, nie możesz wiedzieć. Nie wiesz, jak to jest być kobietą. Trzeba się starzeć. Nosić maskę, ten kamuflaż, ohydny i dolegliwy, żeby tylko ujść złym spojrzeniom. Trzeba być starą i brzydką, wtedy nie wzbudza się zawiści. Do czasu.

Był na tyle rozsądny, żeby się nie odezwać. Słyszał to już nieraz, wprawdzie wcześniej nie mówiła wprost, tak jak dziś. Ale żal tkwił w niej głęboko.

Miała zapewne rację. To dylemat długowiecznych, może nieśmiertelnych. Jak żyć wśród ludzi, tych zwykłych, którzy zmieniają się, starzeją, w końcu odchodzą, by zrobić miejsce następnym. Trzeba przybrać barwy ochronne. Nie wyróżniać się, bo kiedyś mógł za to czekać

stos czy szubienica, teraz, w najlepszym razie, dożywocie w jakimś tajnym laboratorium. Dożywocie, czyli wieczność.

Krzepki, lata średnie, siwa broda, długa lub przystrzyżona, wiek w zasadzie nieokreślony. To dawało pole manewru, zwiększało margines błędu. Można było dłużej czekać, odsunąć chwilę, w której nieodmiennie trzeba w końcu zejść ludziom z oczu, zaczynać gdzieś od nowa.

– Jesteś naiwny. – Zmrużyła oczy. – Nie, nie zaprzeczaj, nie da rady.

Jej jest trudniej, rozumiał to znakomicie. Nie mogła kłuć ludzi w oczy urodą. Musiała kryć się pod maską, łatwiej znieść w otoczeniu kogoś, kto jest stary i szpetny. Starość nie wzbudza sensacji, nie wzbudza pożądania. Sędziwa wariatka snująca się po miasteczku – przecież ona była taka zawsze i zawsze będzie. Nie zmieni się już, można się przyzwyczać. Ale maska przyrasta do twarzy i to, co jest pod nią staje się też paskudne i szpetne.

– Nie rozumiesz, wydaje ci się tylko.

Nie zachnął się nawet, choć to już któryś raz wydało mu się, że czyta jego myśli. Choć przecież wcale nie musiało tak być, zdawał sobie sprawę, jak jest dla niej przejrzysty. Jak niewiele potrafi ukryć. I rzeczywiście, jak jest naiwny.

Zapalił kolejnego papierosa bez filtra, wyjętego z kartonowego pudełka, jakie trudno było już spotkać na zachód od Bugu. Ale on wciąż nie mógł się przyzwyczać do innych, nie smakowały jak prawdziwe. Patrzył, jak ona wydłubuje z paczki następnego camela. Podał jej ogień swoim złotym ronsonem.

Zaciągnęła się i wypuściła zgrabne kółko. Pierścień dymu rozwiął się po chwili.

– Powiedz – uśmiechnęła się nagle. – Jak to było, kiedy zacząłeś dawać dzieciakom prezenty?

Widocznie zauważyła lekką zmianę wyrazu jego twarzy. Uznał, że znów z niego pokpiwa.

– Naprawdę – dodała. – Jestem po prostu ciekawa.

Odpowiedział nieco wymuszonym skrzywieniem warg.

– Dawno – odparł po chwili. – I uśmiejesz się, rzeczywiście, kiedy powiem ci, kto wpadł na taki pomysł. Sam Ławrientij Pawłowicz. Lubił, skurwysyn, dzieci.

Nie rozweseliło jej to, przeciwnie, znów spochmurniała.

– Jesteś żaloszny, wiesz? Ty i ta twoja kruczata. Maską zbyt mocno przyrosła ci do twarzy, kamuflaż stał się tobą, a ty nim. Łudzisz się jeszcze, że to przecież interes. Że chcesz zmonopolizować rynek, ty, nowoczesny biznesmen Morozow. I pomagasz jej, biednemu, skrzywdzonemu dziecku, które uroiło sobie, że całe zło wzięło się z oszustwa. Z pieprzonych bajeczek, które pokazują naiwnym dzieciakom lepszy świat, którego przecież nie ma. I jeśli wyplenicie chwasty, to będzie lepiej.

Potrząsnęła z irytacją głową. Zdusiła niedopałek w pełniej już prawie popielniczce.

– Nie będzie. Bo są jeszcze bajki dla dorosłych, stokroć gorsze od tych, które eliminujesz,

niewinnych w zasadzie, choć, istotnie, pełnych hipokryzji i zakłamania skrzacików i krasnoludków. Wszystkie strachy, czające się na granicy świadomości. Zapomniani bogowie, którzy wciąż czekają, bo przecież niepamięć nie oznacza niebytu. Opuszczeni, źli i zazdrośni. To jest prawdziwy świat, którego już nie pamiętasz.

Wodziła smukłym palcem po obrzeżu szklanej popielniczki. Patrzył na jej dłoń, bardzo chciał dotknąć, poczuć miękkość opuszków, poczuć ciepło i bliskość. Nie mógł.

– My też jesteśmy chwastem. My też tu nie pasujemy. I dlatego możemy tylko uciekać. W każdym razie ja nie potrafię nic innego.

Tak wiele chciał jej powiedzieć. Że się myli, że to przecież nie tak. Ale istotnie, on też zbyt długo nosił maskę. Zgorzkniałego mężczyzny pod pięćdziesiątkę, który już zbyt wiele widział i przeżył, by stać go było na mówienie o uczuciach. By wierzył, że to cokolwiek zmieni. Bo przecież świat składa się z rozczarowań.

Uśmiechnęła się, i teraz już mógł być pewien, że zna jego myśli. Coś było w tym uśmiechu, już nie był kpiący, jak zwykle.

– Nie uciekałam przed tobą – powiedziała cicho. – To mogło tak wyglądać, przepraszam cię za to. Zdaję sobie sprawę, że tylko tak mogłeś to zrozumieć. To twoja maska, za którą się schowałeś, nie pozwalała na inne interpretacje...

Chciała mówić dalej, zakończyć wszystko jak najszybciej, bez zbędnego bólu, bez przedłużania. Przeszkodził jej hałas dobiegający z hallu.

Szybki tupot, pokrzykiwania, a ponad tym wszystkim przeraźliwy kwik nierogacizny wiedzionej na rzeź.

Ukraińskie dziwki zapiszczały ze strachu, śmiesznie podkurczyły nogi w siatkowych, tandetnych rajstopach, kiedy do baru wbiegł knur. Racice rozjechały mu się na śliskiej terakocie. Próbował jeszcze powstać, ale zwałił się prosto na ryj.

Za nim, pokrzykując i przeszkadzając sobie wzajemnie, wpadli ochroniarze, portier i recepcjonista. Portier zgubił gdzieś swoją czapkę, za to wymachiwał czymś, co wyglądało na wyłamano nogę od krzesła. Runęli między stoliki, przewracając z hałasem meble. Barman przez chwilę spoglądał tylko z wysoko uniesionymi brwiami, wreszcie odstawił szklanekę i przyłączył się do nagonki.

Nie mieli wprawy. Zamiast otoczyć zwierzę, ploszyli je tylko. Knurowi udało się wreszcie powstać, nieco tylko się ślizgał, ruszywszy wprost na Jagodę.

Wiedźma siedziała nieporuszona.

Pracownicy hotelu nie dali nieszczęsnemu zwierzęciu dużo czasu. Ledwie zdążył zahamować przed stolikiem, wnieść ryj w górę i wbić w Jagodę błagalny wzrok, już ktoś chwycił go za śmieszny, spiralnie zwinięty ogon. Ktoś inny, chyba portier, kopnął z całej siły w szczeciniasty bok, aż pod knurem załamały się tylne nogi. Już nie walczył, tylko pokwikał cicho, odciągany brutalnie za ogon.

Tylko patrzył. Nawet wtedy, kiedy wiedźma ledwie dostrzegalnie pokręciła głową.

Dziadek Mróz też dostrzegł błaganie. Widywał je już nieraz, dobrze wiedział, co wyrażają małe, kaprawe, przekrwione ślepia. Ale nie mógł spełnić tego życzenia. I tak naprawdę, nie chciał, choć gdzieś głęboko poczuł ukłucie wstydu. Nie potrafię podarować temu chuderlawemu facecikowi... temu knurowi litościwej, szybkiej śmierci, pomyślał.

Wśród przekleństw, wściekłego tupania racic o terakotę i pokwikiwań, zwierzaka wreszcie wywleczono. Zaczerwieniony z wysiłku barman począł ustawiać poprzewracane krzesła i stoliki, sprzątaczką zmiatała potłuczone szkło. Po kilku chwilach nie pozostały żadne ślady incydentu. Nawet dziwki przy barze paplały jak przedtem. Jakby knur w eleganckiej sali nie był niczym niezwykłym.

Nie bardzo wiedzieli, jak wrócić do przerwanej rozmowy. Ulotniła się gdzieś chwila, kiedy zadzierzgnęła się nieuchwytna, cieniutka nić zrozumienia. Rzadki moment, jeden z tych, w których można sobie nawzajem powiedzieć wszystko, zdjęć na chwilę maski z twarzy. Kiedy wszystko wydaje się łatwiejsze.

– Znalazłeś mnie – powiedziała w końcu.

Skinał tylko głową.

– Bo i się specjalnie nie chowałam, jak wiesz zresztą. – Zmarszczyła niechętnie brwi. – Nie doceniłam cię, myślałam, że się na to nie zdobędziesz. Że obrazisz się po prostu, uznasz, że tak miało być, a ja zła kobieta byłam. Bo przecież wszystkie są złe, nieprawdaż?

Podjęła decyzję. Głupią, jak sama wiedziała, bo przecież i tak nic z tego nie będzie.

– Ująłeś mnie tym.

Patrzyła, jak rozjaśnia się jego twarz. Może i nosił maskę. Może nie umiał mówić o uczuciach, ale nie potrafił ich ukrywać. Wyczuła nadzieję i serce ścisnęło się jej w złym przeczuciu. Odrzuciła je, stłumiła, zepchnęła na dno świadomości. Była zmęczona. Bo ileż można uciekać? Ich palce spotkały się wreszcie. I już nic nie trzeba było więcej mówić.

* * *

To nie był apartament w eleganckim hotelu. Nie było puszystego dywanu, telewizora, barku z miniaturowymi buteleczkami. Nie było błyszczącej kafelkami łazienki i prysznic z gorącą wodą. Żadnego luksusu.

Zamiast tego zsunięte razem dwa skrzypiące wygniecionymi sprężynami tapczaniki, które pamiętały jeszcze Fundusz Wczasów Pracowniczych. Szorstka, pachnąca tanim proszkiem do prania pościel, poznaczona czerwonymi pieczęciami, żeby przypadkiem gość nie podpieprzył prześcieradła. Trzeszcząca podłoga, sufit z brudnymi plamami. I wiecznie cieknąca umywalka za cienkim przepierzeniem.

Tani pokój w upadającym ośrodku wczasowym, w baraczkach krytym papą.

Nie był anonimowy. Można było zawłaszczyć obskurną przestrzeń, oswoić ją. Już choćby marynarka zwieszająca się z poręczy krzesła, starannie ułożona bielizna w szafce bez

drzwiczek, półka na wiktuały, którą Dziadek Mróz zmajstrował ze znalezionej deski – to wszystko dawało namiastkę ciepła. Złudzenie domu.

Kiedy za oknem zapadał zmierzch, mgła nadciągała od jeziora, a spirala elektrycznej maszynki do gotowania jarzyła się w mroku, można było po prostu usiąść przy kołyszącym się, pokrytym pociętą ceratą stoliku i patrzeć sobie w oczy. A gdy mrok gęstniał, wpatrywać się weń tam, gdzie można było domyślać się swoich twarzy. Siedzieć i milczeć.

Nikt ich nie szukał, nikt o nic nie pytał. Był czas na wszystko. Na długie rozmowy. Na spacer po lesie, kiedy nie trzeba było nawet nic mówić, wystarczyło iść koło siebie. Czasem, niby przypadkiem, otrzeć się w marszu ramionami.

Nadeszły noce, kiedy jej głowa spoczywała mu na ramieniu, kiedy czuł zapach czarnych włosów. Jej palce gładziły szeroką pierś, nieruchomiały, kiedy natrafiały na paskudną bliznę ciągnącą się od obojczyka aż do pępka. Mógł opowiedzieć, skąd się wzięła. I wiele innych rzeczy, których nie opowiadał jeszcze nikomu.

Można było po prostu leżeć, wpatrując się w ciemność, na sztywnej, szorstkiej pościeli, która już nie była obca. Była własna, choć była tylko namiastką.

Coraz częściej w marzeniach mężczyzny ten tani, obskurny pokoik przeistaczał się w dom, którego nigdy nie miał. Teraz zaczynał wierzyć, że jednak kiedyś będzie. Nie powiedział jej tego, wciąż nie potrafił. Ale ona i to wiedziała, choć już nie podsłuchiwała myśli. Nie musiała.

Wiedziała i też mogła się cieszyć chwilą, kiedy kroїła chleb i czekała na jego powrót, a w jedynym garnku podgrzewała się jakaś konserwa. To musiało wystarczyć za domowe obiady – jedzenie z puszki i obtłuczone talerze z logo jakiegoś dawno upadłego, kluczowego zakładu pracy, aluminiowe widelce i noże z odciętymi czubkami. Kiedy cerowała skarpety, bo do sklepu w większym mieście było zbyt daleko, żeby je po prostu wyrzucić i kupić nowe.

Albo kiedy tylko czekała. Bo wreszcie miała na kogo czekać. I mogła też płakać. Ale jedynie wtedy, kiedy była sama.

Czas się przecież kurczył, przesypywał się przez palce. Nie można uciec zbyt daleko, nie można się schować. A szczęście, nawet jego namiastka, trwa krótko.

* * *

– Powiedz mi... – zaczął kiedyś, jednej z tych nocy, kiedy czuł obok siebie jej ciepło i drobne, smukłe palce splecione ze swoimi. – Powiedz, czy zostałaś ze mną, bo tak naprawdę chciałaś? Czy to też ucieczka?

Za małym okienkiem, pozbawionym firanki czy choćby zwykłej, perkalikowej zasłonki, zaczynało już szarzeć. Spoglądał na jaśniejącą w mroku plamę przekreśloną krzyżem ramek. Wiedział, że wkrótce będzie mógł zobaczyć zacieki na suficie, niczym mapę nieznanych łądów i wysp rozrzuconych po oceanie luszczącej się, klejowej farby.

Już mógł spytać. Powiedzieli sobie wystarczająco wiele, by odpowiedź nie zaboląła.

– Tak – odszepnęła. Poczł jej tchnienie na swoim policzku. – Tak, na oba pytania.

Odsunęła się, zaskrzypiały sprężyny tapczanika. Wiedział, że Jagoda opiera się na łokciu, zawsze tak robiła, kiedy chciała powiedzieć coś ważnego. Już nie bał się odpowiedzi.

– Tak było kiedyś – usłyszał. – Teraz już nie uciekam. Bo wiem, że nie ucieknę.

Zerwał się poranny wiatr, zaszumiały korony drzew. I dopiero potem, dużo później pojął, że niewłaściwie zrozumiał tę odpowiedź. To nie przed nim chciała uciec.

* * *

Zbliżała się jesień. Liście żółkły na drzewach, toń jeziora rzadko była już szafirowa, powlekała ją metaliczna szarość, taflę marszczyły coraz chłodniejsze wiatry. Już nie wystarczał mały grzejnik z wentylatorkiem, zimno wciskało się przez szpary, przenikało przez cienkie, drewniane ściany. Trudno było ogrzać się pod kocami, cienkimi i sfilcowanymi, pełnymi powypalanych dziur od niedopałków.

W podupadłym ośrodku czasowym pozostał już tylko ciec, mało komunikatywne indywiduum w gumofilcach. I oni.

Trzeba było wreszcie stąd wyjechać. Poszukać czegoś lepszego. Ale oboje zwlekali. Jakby i ona, i on obawiali się, że szczęście jest związane tylko z tym miejscem, że ulotni się, kiedy tylko opuszczą swą pierwszą namiastkę domu.

Dziadek Mróz szedł przez opustoszały plac z pordezewiałymi huśtawkami i drabinkami, minął piaskownicę zarośniętą już prawie chwastami i trawą. Po raz chyba setny obiecywał sobie, że to już jutro. Spakują się i pożegnają to miejsce bez żalu, zamkną cicho kolejne drzwi, których już nigdy nie otworzą.

Ale nie wiedział jeszcze, że szczęście wcale nie czekało. Ulotniło się wcześniej.

Kiedy zobaczył niedomknięte, kołyszące się w podmuchach wiatru drzwi, serce ścisnęło mu się złym przeczuciem. Wypuścił z ręki torbę z zakupami, czuł tylko lodowaty chłód. Znów w jednej chwili, niepostrzeżenie, stał się zabójcą, czujnym i zdecydowanym profesjonalistą. Nie myślał, nie analizował. Wiedział, że już tylko to pozostało.

Jednym skokiem dopadł wejścia. Nie miał broni, od dawna jej nie nosił. Ale zdawał sobie sprawę, że jest w stanie zabić każdego. Chyba, że ten ktoś wcześniej go zabije.

Nie było kogo zabijać.

Jagoda czekała jak zwykle, przy pokrytym ceratą stoliku, na krzeselku z żelaznych prętów z siedzeniem z pocerowanego niedbale skaju. Głowę wsparła na rękach, krucze włosy zasłaniały twarz. Mógłby pomyśleć, że po prostu zasnęła znużona wyczekiwaniem, obok kromek chleba na obtłuczonym talerzu, kubka z torebką ekspresowej herbaty, która tylko czekała na zalanie wrzątkiem, żeby miał coś ciepłego do wypicia, gdy wróci zmarznięty i zmęczony.

Mógł pomyśleć, że śpi, gdyby nie plama czerwieni, która zbrukała ceratę i wsiąkła w pokrojony chleb.

Nawet się nie rozejrzył, nie nasłuchiwał, czy gdzieś jeszcze nie czai się ten, kto to zrobił. Nie pamiętał potem, jak obmywał jej policzki, jak płukał zakrwawioną szmatę w umywalce. Jak przeniósł ciało na szorstką, pachnącą tanim proszkiem do prania pościel.

Potem leżał przy niej. Jej głowa spoczywała mu na ramieniu, wciąż czuł zapach jej włosów. Ale w mroku, który wkrótce zapadł, słyszał bicie tylko własnego serca. I nie było już ciepła.

Nie pamiętał, o czym myślał, kiedy tak leżał, wpatrując się w ciemność, która skrywała poplamiony zaciekami sufit, jego prywatną mapę nieznanych lądów i archipelagów.

Metaliczny szczęk przeładowywanej strzelby pump action powitał z ulgą, jak wybawienie.

* * *

– Wstawaj. – Głos był skrzekliwy i nieprzyjemny. Brzmiało w nim napięcie.

Chwilę się nie poruszał. W końcu wstał, sprężyny tapczaniku zaskrzypiały jęklwie. Poczul jeszcze, jak spomiędzy palców wyslizguje się kosmyk czarnych włosów.

W zasadzie było mu wszystko jedno, gdzie go zastrzelą. Ale nie mógł znieść myśli, że grube śruciny zmasakrują jej twarz, jej ciało. Pragnął, żeby pozostała taka, jaką zapamiętał, taki jej obraz chciał zabrać ze sobą.

– Wyłaź! Na dwór! – Rozkaz poparło szturchnięcie lufą w okolice nerek. Podłoga zatrzeszczała, kiedy Dziadek ciężkim krokiem ruszył do majaczących w ciemności drzwi. Na zewnątrz stanął, odetchnął głęboko.

Noc była jasna, księżycowa. Popatrzył na zalane rtęciowym, martwym światłem domki kempingowe, nieruchome, ciemne sylwetki drzew. No, szybciej, pomyślał. Nie chciał się odwracać. Nie obchodziło go, kto go zabije.

– Zabiłeś ją – usłyszał, a potem zaraz coś jak starczy chichot. Zrozumiał od razu. Już wiedział, że to nie przed nim chciała uciec.

– Zabiłem – przytaknął. Odwrócił się powoli.

Wiedźma była stara, tak bardzo stara, że trudno było zrozumieć, jak potrafi utrzymać ciężką śrutówkę. Ale czarne ślepie lufy kalibru co najmniej dwanaście, jak odruchowo ocenił, zaglądało mu w oczy bez najmniejszego drgnienia.

Kobieta była niewiarygodnie wręcz szpetna i odpychająca. Archetyp złej wiedźmy, z haczykowatym nosem ozdobionym brodawką na czubku, kaprawym spojrzeniem załzawionych oczu, rzadkimi, siwymi kłakami, które wymykały się spod dziurawej, niedbale zawiązanej chusty.

Chwilę milczała. Wreszcie opuściła broń.

– Tylko uważaj – przestrzegła i znów zachichotała. W zgrzytliwym chichocie nie było cienia wesołości. Raczej pogarda.

– Zawsze zdążę. A mam loftki na wilka, zatrzymają i ciebie, jakbyś wpadł na jakiś głupi pomysł. Bo przecież nie masz już nic do stracenia?

– Nie mam – odparł głucho.

Roześmiała się złośliwie, pokazując starte jak u leciwej Inuitki żółte pieńki zębów.

– Jesteś durniem – skwitowała krótko. – Masz.

A cóż to niby? – pomyślał. Życie? Co ono warte?

– Masz rację – przytaknęła. – Gównu warte. I co teraz? Utopisz się w tym jeziorze? Czy spowodujesz, że to ja cię zastrzelę? Pójdiesz na łatwiznę?

Pokręciła głową.

– Nie pójdziesz, bo ja ci na to nie pozwolę. Zapłacisz za wszystko, co udało ci się spierdolić. Bo ktoś musi zapłacić i będziesz to ty. Wiem, jesteś nieśmiertelny, nie umrzesz sam, po dobroci. Ale przecież można cię zabić, jak i ją.

Wskazała ruchem głowy wpółotwarte drzwi. A jego znów ścisnęło w piersi. Już tylko ból, już nie chłód.

– Nie będę cię oszczędzać, durniu, nie myśl sobie. – Starczy głos załamał się lekko. – Niczego ci nie daruję.

– Nie musisz – przerwał ostro.

– Patrzcie, jaki kochaneczek hardy. – Skrzywiła się złośliwie i choć przed chwilą wydawało się to niemożliwe, stała się jeszcze bardziej paskudna. – No to dobrze, zaczynamy Umarła dla ciebie, dla twoich zachcianek.

Popatrzyła mu w twarz z jakąś małą ciekawością.

– Co nic nie mówisz? – zdziwiła się obłudnie. – Hardy jesteś, gołąbeczku, no proszę.

Głos jej stwardniał, już nie było w nim drżenia, przestał być skrzekliwy. Maską zaczynała odsłaniać prawdziwą twarz.

– Świat to nie bajeczki dla dzieci. Świat to strachy i zmory, które czyhają wszędzie. Takie jak i my, bo przecież my też nie pasujemy do tego pieprzonego miejsca. Możesz się ubrać w czerwony płaszczyk, zapuścić siwą brodę i dawać dzieciom podarki. I tak pozostaniesz potworem przeciwnym naturze. Nie uciekniesz przed tym, nie schowasz się. Nie uciekniesz przed sobą.

Już to słyszał. I dopiero teraz mógł przemyśleć. Za późno.

– Na świecie są też bajki dla dorosłych. Są mroczne siły, silniejsze od nas. Gniewne, złe i rozczarowane. Łakome krwi i zemsty. Naszej krwi, dodam dla ułatwienia...

– Wiem – uciał.

Marzył o jednym – kiedy wreszcie ta cholerna wiedźma wetknie miotłę między nogi i odleci. Żeby mógł spokojnie załatwić, co do załatwienia pozostało. A potem poszukać sznurka. Albo żyłетки.

Pogroziła mu palcem, szponiastym, zakończonym długim, brudnym paznokciem.

– Znowu chcemy iść na łatwiznę? – spytała ze złym uśmieszkiem. Ale jej oczy spoglądały twardo, już nie kaprawe i zażawione, tylko świecące w mroku kocia zielenią. – Nic z tego, odechce ci się wkrótce, jak tylko skończę.

– To kończ – warknął tylko.

– Wstydu oszczędź? – zakpiła. – Nie licz na to, będzie i wstyd.

Już był, kąsał boleśnie, walczył z żalem i zwykłym bólem. Dziadek pojmował teraz dobrze, że nie zrozumiał, kiedy jeszcze mógł, kiedy nie było za późno. Brał wszystko do siebie, bo w sobie właśnie wątpił. Ona nie.

– Usiłowała ci to powiedzieć. Ba, powiedziała nawet wprost, jestem pewna. Ale ty myślałeś tylko o sobie, nie potrafiła się przebić przez twoją pieprzoną skorupę żalosego faceta z wiecznym kryzysem wieku średniego. Przyznaj się, ile wieków już jesteś pod pięćdziesiątkę?

Nie odpowiedział. Sam niezbyt dobrze pamiętał.

– Nawet zwykły facet jest wtedy żalosej, co dopiero ty. Miałeś czas się przyzwyczać, myślałeś tylko o sobie. O swoich cholernych kompleksach, bo przecież wrażliwy jesteś jak mimoza. Myślałeś, że przecież taka dziewczyna to ciebie nawet długim kijem nie tknie, bo niby dlaczego? Tylu młodszych, przystojniejszych. Nie tak porąbanych w końcu. Tylko to cię zajmowało, twoje wielkie, pierdolone, męskie szowinistyczne ego!

Splunęła mu pod nogi. Sapała głośno, dychawicznie, z odgłosem, który przywodził na myśl piłę łańcuchową wcinającą się w mokre drzewo.

– Powiedziała ci wszystko – podjęła w końcu ciszej i łagodniej. – Nie rozumiałeś, nie chciałeś zrozumieć. Nawet tego, że nie ucieka przed tobą, nie gardzi twoim uczuciem. Musiałeś, kurwa, udowodnić. I gdybyś nie myślał fiutem, tylko użył tego szamba, które chlupocze ci między uszami, a które nazywasz mózgiem, zrozumiałbyś, że to nie chodzi o to. Że gra toczy się o życie. Wybierając ciebie, wybrała śmierć.

– Przestań – poprosił cicho.

– A to niby dlaczego? – cisnęła się wściekle. Jej sylwetka zamazywała się i drgała. Już nie widział jej wyraźnie. – Skończę to, co zaczęłam, nie pozwolę, żebyś po prostu poszedł i się pochlastał. To byłoby, kurwa, za łatwe. Bo wiesz, ona cię kochała, naprawdę. I zginęła dla ciebie.

Mozolnie zogniskował wzrok. Wydawało mu się, że widzi grafitowe lśnienie czarnych włosów, błysk zielonych oczu. Jędrne udo wyłaniające się spod spódnicy. I chociaż wiedział, że to nie ona, to i tak obraz począł drgać i się rozplýwać.

Faceci pod pięćdziesiątkę też czasem płaczą.

Skoczyła do niego z pazurami.

– Ani się waż! – syknęła wściekle. Znowu była paskudną staruchą, owionął go zaduch niemytego ciała, dusząca woń nieświeżego oddechu. – Ani się waż zaglądać, bo znowu

zobaczysz nie to, co powinieneś!

Kiwnął tylko głową.

– Zastanawiasz się, co teraz? – spytała ciszej, kiedy już zapanowała całkiem nad iluzją. – Powiem ci, choć może nie powinnam. Może powinieneś więcej zapłacić.

Popatrzyła na świecący wściekle księżyc. Księżyc, do którego można tylko zawyć, a potem pobiec przez las w łaknieniu krwi. Wkrótce pobiegiesz, pomyślała. I pewnie nie wrócisz, choć, może zdziwiłbyś się, nie życzę ci tego. Bo ja też potrafiłabym cię pokochać.

– Do rzeczy. – Otrząsnęła się. – Wkrótce nadejdzie świt. Oboje mamy sporo do zrobienia. I tak wiesz już, co musisz zrobić, to wynika z twojej natury. Ułatwię ci to, wyjaśnię, ile mogę. Nie będziesz musiał się miotać. I będziesz mógł załatwić sprawę po swojemu. Bo to jeden z tych dylematów, dla których rozwiązania rzeczywiście wystarczy wziąć kałacha i krzyknąć – urra!

Tak, w tym jestem dobry, pomyślał mętnie. Ale to coś, czego mogę się ucześcić z całych sił. Żeby po prostu za wcześniej nie zwariować.

Słuchał uważnie, bo to były już konkrety. Nadchodził wreszcie czas działania, a nie rozmyślania o emocjach, ich interpretacji. Ból nie przeszkadzał, choć nie dał się odepchnąć na dalszy plan, był wciąż blisko. A nawet pomagał.

Kiedy skończyła, zaczynało już szarzeć. Księżyc, czerwony teraz, jakby opuchnięty, chował się już za korony drzew. Wkrótce nawet nie będzie do czego zawyć.

Miotła, którą wiedźma wydobyla nie wiadomo skąd, miała długi kij zakończony małą, metalową płytką deflektora fali uderzeniowej. Supersoniczna, spostrzegł Dziadek machinalnie, wyciągnie dwa i pół macha jak nic.

Zanim ją okraczyła, zawahała się chwilę. Podeszła do niego, wsparła dłoń na piersi.

– Wybacz – szepnęła, a jej oczy lśniły kocim blaskiem. – Wiem, nie mogłeś nic zrobić, nie pozwoliła ci. I ja nie mogłam, spóźniłam się.

Nagle chwyciła go szponiastą, zimną dłonią za szyję, wspięła się na palce, aż naprężyły się chude, pokryte żyłakami łydki. Wpiła się w usta. Przymknął oczy, trwali tak długo. I nie wiedział wcale, czy ten pocałunek jest tylko od niej. Był taki jak te, które zapamiętał. Jakie zawsze chciał pamiętać.

– Wybacz. – Miotła drżała już między jej kolanami. Spod zadartej spódnicy wyjrzało udo, gładkie, pełne i kształtne. Kamuflaż wiedźmy pruć się jak zetłala koronka. – Lecę, bo strasznie jestem wkurwiona...

Wystartowała pionowo, na chwilę zawisła nieruchomo niczym harrier wznoszący się z lotniskowca. Po czym wystrzeliła prosto w jaśniejące już na wschodzie niebo.

Małeńki punkcik nie roztopił się jeszcze w szarości przedświt, gdy podwójny grom przetoczył się po budzącym się ze snu lesie. Istotnie, wiedźma musiała być bardzo wkurwiona.

* * *

Zarośnięta gęba Witalija jak zwykle nie zmieniła wyrazu, kiedy już puściły wszystkie rygle i łańcuchy, a on sam wychylił się zza obitych grubą blachą drzwi. Skinął tylko głową, jakby właśnie rozpoznał przybysza. Nie było to prawdą, Dziadek Mróz wiedział, że kamery śledzą go od momentu, gdy skręcił w dziurawą, błotnistą uliczkę na przedmieściach Mińska. Wcale nie Mazowieckiego.

Kamery były chytrze zamontowane na słupach energetycznych, Dziadek wiedział, bo sam pomagał je niegdyś instalować. Ale domyślał się też, że w swej zdrowej paranoi Witalij dodał jeszcze kilka, a on sam jest ostatnią osobą, której o tym powie. Stary druh, jeszcze z Afganistanu, nie wierzył nikomu.

Dlatego też Dziadek, naciskając guzik domofonu przy furtce, nigdy nie był pewien, czy przypadkiem nie odpowie ona ogniem ciągłym.

Witalij był zbrojmistrzem. Zaopatrywali się u niego wszyscy, mafie wszelkiej maści i narodowości, zwykli bandyci i nawet terroryści, choć tym ostatnim nigdy nie udzielał kredytu. Ale, z drugiej strony, stali klienci mogli liczyć na korzystne rabaty Dziadek niejednokrotnie się o tym przekonał. Co więcej, wiedział, że dostanie tu tylko towar najwyższej jakości.

– *Priwiet, towariszcz* – burknął zbrojmistrz i ruszył przodem, w mroczne korytarze podmiejskiej willi. Nigdy nie bawił się we wstępne rozmowy ani uprzejmości. Dziadek pamiętał, że kiedyś nie był taki, dopiero od czasu, kiedy amerykańska mina przeciwpiechotna urwała mu jaja. Nie wiedzieć czemu zmienił się chłop wtedy nie do poznania, stał się dziwnie zgorzkniały.

Weszli do piwnicy, w połowie wypełnionej paskudnie zasiarczonym, ukraińskim węglem, w połowie zgniłymi ziemniakami. Witalij narzekał kiedyś na ten kamuflaż, że niby musi straszenie się starać, bo odkąd przyszło nowe, kartofle nie gniją tak łatwo, musi czymś je spryskują. Co niechybnie jest wredną zмовą mającą na celu wytrucie narodu. Zbrojmistrz wierzył w teorie spiskowe. Poza tym nie palił węglem i nie jadał ziemniaków.

Stanęli w cuchnącej, wilgotnej piwnicy. Dziadek czekał, aż wreszcie Witalij naciśnie przycisk pilota, który zawsze nosił w kieszeni i bawił się nim machinalnie, odkąd pogrywki w bilard kieszonkowy stały się dlań niedostępne. Ale zbrojmistrz tym razem zwlekał.

– Eeee... – mruknął wreszcie. – Dużo chcesz? Dziadek przytaknął skinieniem głowy. Nie miał ochoty na rozmowę.

– Coś specjalnego?

– Dosyć – odmruknął Dziadek Mróz. – Zawsze biorę specjalne, powinienes pamiętać.

Witalij wyjął łąpsko z kieszeni, podrapał się po skołtunionych włosach. Był wyraźnie zakłopotany.

– Bo widzisz – zaczął w końcu. – Nie jesteś dziś pierwszy...

Dziadek poczuł, jak ogarnia go złość. No i co z tego, że nie był pierwszy? Ale był dobrym, stałym i wypłacalnym klientem. Kupę szmalu zostawił u Witalija, nawiasem mówiąc, zastanawiał się czasem, po co, bo i tak ulubionym napojem zbrojmistra był zwykły samogon zakąszany śledziem na gazecie. Na inne zbytki Białorusin sobie nie pozwalał.

– Posłuchaj – zaczął Dziadek z narastającą irytacją. – Co mnie to obchodzi? Powinieneś mieć dla mnie specjalne względy, nie chcę ci wypominać...

Po twarzy Witalija przebiegł skurcz. To Dziadek wyniósł go wtedy spod ognia. Czasem zbrojmistrz zastanawiał się, czy bardziej mu jest za to wdzięczny, czy wręcz przeciwnie, bardziej nienawidzi.

– Pogoń go – uciął krótko Dziadek. – Niech poczeka, wybiorę, co potrzebuję, i znikam. Pomożesz mi tylko załadować furgonetkę.

Spod obojętnego z pozoru wyrazu oczu Witalija wyjrzała starannie maskowana chciwość.

– Jak chcesz... – mruknął. – Ale pogonić będziesz musiał sam, co mi, kurwa, do tego.

Wetknął łapę do kieszeni, nacisnął przycisk. Nadgnięte ziemniaki staczały się z hurgotem z przyzmy, kiedy cała ściana piwnicy, wyglądająca jak wzniesiona z uczciwej cegły, zaczęła się odsuwać. Z wnętrza ukrytego magazynu dobiegł blask energooszczędnych świetlówek. Dziadek zmrużył oczy, widział niewyraźną, oświetloną z tyłu sylwetkę.

– Cześć – powiedziała Matylda.

* * *

Wnętrze magazynu było sterylne jak sala operacyjna przed zabiegiem. Nawet ściany wyłożone były błękitnymi kafelkami, a gdzieś pod sufitem cicho szumiał klimatyzator. Przeciwnieństwo całego domostwa, nie tylko cuchnącej pleśnią, czarnej od węglowego miału piwnicy.

Witalij nie lubił luksusów, ale o sprzęt dbał. Dziadek spoglądał na długie rzędy stojaków z bronią, na blaszane skrzynie malowane przepisowymi farbami, amerykańską olive drab i rosyjską, przywodzącą na myśl nadpsuty, zielony groszek konserwowy.

Matylda siedziała właśnie na jednej z takich skrzyń. Nawet nie blaszanej, tylko ze szklanego laminatu. Już po samych rozmiarach i kształcie można było poznać, co zawiera, nie trzeba było nawet czytać wymalowanych przez szablon napisów. Na kontenerze przyklejona była żółta karteczka z krzywym napisem „sprzedane” i jakimś arabskim imieniem. Dziadek nie przejął się tym, stingery nie były mu akurat potrzebne.

Dziewczyna bawiła się nowiutkim MP-5. Miał nieco inaczej rozmieszczone przyciski włączników wskaźnika laserowego i halogenowego integralnego reflektorka, niż starsze modele. Syknęła ze złością, kiedy odruchowo trafiła nie na ten guzik.

Wciąż nic nie mówili. Jakoś nie potrafili przełamać bariery milczenia, która wyrosła pomiędzy nimi dużo wcześniej, zanim zaczęli się od siebie oddalać. Aż w końcu zaczęło to

ciężyc.

– Co u ciebie? – Pierwszy zdobył się Dziadek. I aż się skrzywił, tak idiotycznie to zabrzmiało.

Uśmiechnęła się smutno.

– Po staremu. A u ciebie? Kurwa, przepraszam...

Jęknęła tylko, kiedy zobaczyła, jak stężała jego twarz. Wiedziała przecież aż za wiele. Potrząsnął bezradnie głową.

– Nie ma za co – powiedział. – Nic to nie zmienia.

Pochylił się, położył rękę na jej ramieniu.

– Posłuchaj, nie mówmy już nic. Byłaś pierwsza, więc poczekam, aż wybierzesz, co potrzebujesz. Przepraszam, nie potrafię teraz rozmawiać, może kiedyś...

Dobrze wiedział, że nie będzie żadnego „kiedyś”.

Zaprzeczyła, spoglądając mu prosto w oczy.

– Nie rozumiesz. Wiem wszystko. I idę z tobą. Ona mi powiedziała.

Zacisnął palce na jej ramieniu, aż jęknęła z bólu. Chciał powiedzieć, że nie ma mowy, zapytać z oburzeniem, co sobie wyobraża. Bluznąć przekleństwem nawet. Ale wciąż widział jej oczy, chłodne i zdecydowane.

– Dlaczego? – spytał. Znow chciał tylko zrozumieć.

Milczała chwilę.

Może dlatego, że cię kocham? – myślała, patrząc w jego ściągniętą twarz. Zawsze kochałam, odkąd mnie wybrałeś. I uświadomiłam to sobie za późno, dopiero wtedy, kiedy ktoś inny sięgnął po ciebie. I zabrał. A może dlatego, że wiem, jak musiałam cię ranić i krzywdzić, kiedyś, wcześniej. Bo rozumiem, że to, co się stało, było jedną wielką pomyłką? W którą ty uwierzyłeś, do końca i szczerze. A może... Może po prostu dlatego, że tak, kurwa, trzeba?

– Bo tak, kurwa, trzeba – usłyszała swój głos. Roześmiała się. – Nazwij to jak chcesz, solidarnością jajników na przykład. Tak, sporo wiem – dodała na widok zdumienia w jego oczach.

Zdziwienie zniknęło. Oczy Dziadka Mroza znow były jasne, niebieskie i twarde. Lśniące nieładnym błyskiem.

– Zdajesz sobie sprawę, w co się pakujesz? I jak małe są szanse?

Skinęła głową.

Wiedziała wszystko. Już poznała prawdę, że na świecie są nie tylko wredne, dziecinne bajki, niegrzeczne misie, które nie chcą podawać łapek. Są też bajki dla dorosłych.

Pora dorosnąć, napłynęło wspomnienie. Kiedyś to słyszała, od pieprzonego wujka pedofila. Wprawdzie wujek miał na myśli całkiem inną dojrzałość, ale to, co mówił, zyskiwało jakiś sens. Właśnie dorosła.

Są na świecie strachy i upiory. Są potwory takie jak my, uświadomiła sobie. Bo wiedziała

już, że też nie umrze, od chwili, kiedy Dziadek ją wybrał. Wtedy przekroczyła niewidzialną granicę, zyskała ów dar. Albo klątwę.

Nigdy nie umrze. Ale można ją zabić. To my jesteśmy potworami, pomyślała. Wcale nie lepszymi od innych. Nawet od mrocznego boga, zapomnianego, rozczarowanego i wściekłego. W którego już ludzie nie wierzą, a przez to zabierają mu całą siłę, całą moc. Który przez stulecia niebytu mógł tylko mścić się na własnych akolitach, bo tylko oni jeszcze się bali. Bo tylko oni jeszcze wierzyli.

Mroczny bóg był sprytny. Odszedł w niepamięć, powinien szczeznąć albo wrócić do otchłani, która go przed eonami wypłula. Ale nie chciał. Znalazł sposób, jak znów stać się panem życia, śmierci i potępienia wśród ludu, który już w nic nie wierzył. Odkrył nowe metody robienia z myślących istot bezwolnych marionetek. Znów mógł się bawić.

– Wiem – mruknęła dziewczyna w końcu. – Będzie trudno. Dlatego zamiast smęcić, zacznijmy się przygotowywać.

Przytaknął, już bez słowa. Miał świadomość, że nie będzie łatwo.

* * *

Dziadek zadarł głowę, popatrzył na lustrzaną powierzchnię ściany wysokiego wieżowca. Odbijały się w niej wesoło obłoki płynące po błękitnym niebie, migwały słoneczne zajązki.

Matylda stanęła obok. Ścisnęła jego wielkie łapsko dłonią w czarnej rękawiczce bez palców, wzmocnionej na kostkach metalowymi płytkami. Dziadek czuł się głupio w długim, luźnym, czarnym płaszczu, sięgającym prawie kostek. Jak z kiepskiego filmu. Ale nie mógł inaczej ukryć całego arsenału, który dźwigał ze sobą, a bez którego nie mógł się obyć. Musiał przecież przebić się aż tam, wysoko, gdzie w swoim gabinecie siedział on.

Oddał uścisk dłoni. I ruszył zdecydowanie do wielkich, przeszklonych drzwi, przekreślonych wielkim logo z nazwą koncernu. Mroczny bóg stał się oligarchą. Naturalna kolej rzeczy, zdążył jeszcze pomyśleć Dziadek Mróz.

Pierwsze kroki zastukały po granitowej, błyszczącej posadzce. Za nimi następne, szybsze i drobniejsze. Matylda odbiegała już w bok, kiedy rozchyłał poły płaszcza. Następne stuknięcie obcasa zagłuszył szcęk repetowanej strzelby. Czas zwolnił, jak zawsze.

Portier wyciąga rękę. Błąd, zamiast od razu sięgnąć po spluwę, próbuje chyba nacisnąć guzik alarmu. A wygląda na rozsądnego faceta, chyba byłego specnazowca, przelatuje myśl. Dziadek zawsze miał oko do takich rzeczy.

Poprawka, portier wyglądał na specnazowca. Bo jego głowa rozpryskuje się, trafiona wiązką grubego śrutu. Drugi nie ma takich głupich pomysłów, podrzuca kałacha, jest dobry, nawet nie sposób było dostrzec, gdzie chował broń.

Jest dobry, ale za wolny. Na marmurowej ścianie pojawiają się kratery przestrzelin, powietrze gęstnieje od kurzu. Dziadek słyszy trzask M-16, szybki, wwiercający się w uszy.

Krew bryzga z piersi ochroniarza. Krótki, komandoski kałach zachłystuje się serią, kiedy martwy już palec w skurczu zaciska się na spuście.

Jakiś ruch z lewej, niewygodnie, trzeba strzelać z półobrotu. Basowy huk śrutówki, machinalne przeładowanie. Pusta, dymiąca łuska koziołkuje jeszcze w powietrzu, postać w granatowym uniformie, drgając, ześlizguje się ze ściany, plami jasny, żyłkowany marmur. I następny huk, strzał bez udziału świadomości, jak tylko oko złowi ruch. W tym wszystkim czas na idiotyczną refleksję. To wszystko odbywa się bez udziału mózgu, Niepotrzebne to szambo, co chlupie między uszami. Dziadek kończy myśl, widząc kolejnego faceta, który wpatruje się w odstrzelone przedramię. I nawet znajduje czas na niezadowolenie. Mogłem lepiej celować.

Zabawa powoli się kończy, widać otrząsają się już z zaskoczenia. Suchy trzask M-16 zastępują teraz dudniące, krótkie, mierzone serie hecklera. Matylda też nie bawi się w przeładowywanie.

Teraz już trzeba przeskakiwać od jednego filaru do drugiego, kryć się wzajemnie ogniem, żeby dostać się do wind. Odłamki marmuru fruują w powietrzu, wirują jak na zwolnionym filmie. Ciśnięta śrutówka pada na podłogę, zanim jeszcze upadnie, Dziadek już ma w obu dłoniach Ingramy. Pod butami chrzęszczą puste łuski i gruz.

Ingram wypluwa pełny magazynek w półteorej sekundy, w dodatku cholernie niecelnie. To tylko na kiepskich filmach można kroczyć dostojnie i strzelać, i strzelać, i strzelać... Ale jest niezastąpiony, kiedy trzeba przeciwnika ogłuszyć, pokryć gęstym ogniem, przycisnąć do osłony. Tak jest i teraz, sześćdziesiąt cztery pociski krzeszą iskry na granitowej posadzce. Można podskoczyć, oprzeć się o metalowe drzwi windy. Matylda maca na oślep, nie może trafić w przycisk.

Wtedy oberwała.

Całą serią prosto w środek kamizelki. I jeden pocisk w ramię, tam, gdzie kończą się kewlarowe płyty, jest tylko cienka taśma. Energia trafienia obróciła ją jak kukielkę, cisnęła na ścianę. Osunęła się powoli, na jasnym marmurze pozostały ciemne smugi.

Drzwi rozsunęły się szeroko. Dziadek chwycił dziewczynę, wciągnął do środka. I padł na podłogę, przykrył własnym ciałem, kiedy wiązka pocisków przestębnowała blachę.

Winda ruszyła.

Widział, jak Matylda usiłuje zaczerpnąć powietrza, jak krztusi się, a na wargach wykwitają krwawe bąbelki. Pociski z peemu nie pokonały kewlaru i ceramicznych płyt, ale połamane siłą uderzenia żebra przebiły płuca. Chciał spojrzeć w oczy zamglone bólem, ale myślał tylko o jednym. Jak wiele pięter już minęli? I czy zdążą, zanim ktoś ochłonie i zacznie myśleć. I wyłączy windy.

Westchnienie, głębokie i rozdzierające. Klęczał nad nią, zdzierał z siebie długi płaszcz. Wyciągnął pistolet, swojego glocka. Poza nim nic nie pozostało. No, prawie nic.

– Zostaw mnie – szepnęła. Bardziej poznał to z ruchu warg niż usłyszał.

Powoli skinął głową, patrząc w rozszerzone źrenice. Wiedział, że zostawi. Inaczej wszystko pójdzie na marne.

Zadźwięczał gong, podziurawione pociskami aluminiowe drzwi rozchyliły się ze zgrzytem. Był na miejscu, zdążył.

* * *

Mógł przestać się spieszyć. Jasne było, że on na niego czeka, że pozwolił, żeby dostał się aż tutaj.

Mroczny bóg siedział za wielkim biurkiem, drobny i niepozorny, ot, siwiejący starszy pan o ujmującym uśmiechu. Jakby witał kontrahenta, jednego z tych lepszych, którzy dostępują zaszczytu osobistego spotkania.

Dziadek stanął w połowie gabinetu, wielkiego niczym kort tenisowy. Chciał tylko spojrzeć w oczy drobnemu człowieczkowi, a raczej demonowi w ludzkim ciele. Zobaczyć, co się w nich kryje. Jak wyglądają oczy kogoś, kto... Spojrzał. I nie zobaczył w nich nic. Były całkiem zwyczajne.

Nie było na co czekać. Podniósł glocka, wymierzył starannie, prosto w czoło, nad okularami w cienkiej, złotej oprawie. Nacisnął spust. Raz, drugi. I jeszcze raz.

Broń podskakiwała w dłoni, szarpana podrzutem, obraz niepozornej postaci zafalował, światło załamywało się dziwnie. Cisza.

Jeszcze dzwoniło w uszach od wystrzałów, kiedy rozległ się śmiech. Cichy i kulturalny, wcale nie demoniczny.

– Poświęcone, zgaduję? – Mroczny bóg o dawno zapomnianym imieniu podniósł jeden ze zdeformowanych, gorących jeszcze pocisków, które wały się po blacie wielkiego biurka. – Duży błąd. Naczytałeś się za dużo Neila Gaimana. Ale to było o amerykańskich bogach, dupku.

Pokręcił głową i skrzywił się szyderczo.

– Jesteś głupszy niż myślałem. Byłem tu, zanim zbudowano piramidy. Zanim galilejski przybłąda w ogóle się pojawił. Zanim ktokolwiek o nim usłyszał. Nie boję się go. Nie ze mną te numery.

Zaśmiał się głośniejszym śmiechem, zabrzmiały teraz zgrzytliwe nuty.

– Wynoś się! – powiedział krótko. – To najgorsze, co mogę dla ciebie wymyślić. Nie zabiję cię, musisz zrobić to sam, jeśli znudzi ci się nieśmiertelność. A na razie masz czas na rozpamiętywanie.

Dziadek milczał.

– Twardy jesteś. – W głosie boga o zapomnianym imieniu, obecnie właściciela wielkiego konsorcjum, można było dosłyszeć niechętny podziw. – Ale nic nie uzyskasz. To ja pozwoliłem ci tu dotrzeć, od czasu do czasu potrzebuję też rozrywki. A moja ochrona

treningu i weryfikacji. Nie, nie sprowokujesz mnie. Najwyżej zawołam strażników, nakopią ci dupsko i wywalą za drzwi. Wybieraj.

Twarz Dziadka wykrzywiła się złością, zrobił ruch, jakby chciał się rzucić na siedzącą za biurkiem, drobną postać. Ale zaraz zwalista sylwetka zapadła się w sobie, ramiona opadły z rezygnacją. Dziadek Mróz odwrócił się, zrobił pierwszy, niepewny krok. Ścigał go urągliwy śmiech.

To nie był wszechwiedzący bóg. Niepotrzebnie wyśmiewał się z Galilejczyka. Nie dostrzegł uśmiechu na twarzy Dziadka, kiedy ten namacał poświęcony granat ręczny i szepcząc wersy z Księgi Uzbrojenia, wyciągnął świętą zawleczkę.

Jajowaty, karbowany przedmiot podskoczył raz i drugi na dywanie, potoczył się pod samo biurko. Dziadek skoczył szczupakiem za wielką, marmurową rzeźbę. Skoro się nie boisz, zdążył pomyśleć, to po co ci osłona? Potem już tylko liczył. Do trzech.

* * *

I na tym w zasadzie można byłoby skończyć tę historię. Na błysku i huku, na płomieniach, które buchnęły z okien wieżowca w Sankt Petersburgu, na lustrzanych szybach sypiących się z elewacji. Na jęku syren straży pożarnej i milicyjnych radiowozów. Nikt już nie widział później Dziadka Mroza ani dziwnej dziewczyny, która chciała, by nazywać ją Matyldą. Co więcej, nie widziano też nigdy pewnego oligarchy, który, jak mawiano wcześniej, zamierzał nawet sięgnąć po władzę. Nic dziwnego, że słuch po nim zaginął, Wołodia też wszak nie w ciemną bity.

Można byłoby skończyć. Ale nic nie kończy się tak prosto. Ani łatwo.

Pewien agent nieruchomości zapamiętał zwalistego, szpakowatego klienta z ręką na temblaku, dziwnie wybrednego, któremu żaden z oferowanych domów nie przypadł do gustu. Coś też mogliby pewnie powiedzieć pasażerowie luksusowego liniowca. Musieli zwrócić uwagę na tę dziwną parę, młodą dziewczynę o wymizerowanej twarzy i starszego faceta, który zawsze troskliwie prowadził ją do leżaków na pokładzie spacerowym i starannie opatulał pledem. Potem siadał obok i trzymał za rękę. Trwali tak, spoglądając w bezkresny ocean, czasem szepcząc coś do siebie, częściej milcząc.

Co więcej, wkrótce przestało kwaśnieć mleko. Albo wszystkie krowy uzyskały certyfikat ISO, albo ktoś wreszcie wytępił skrzaty.

W stanie Maine znów widziano Elvisa. Wraz z letnim deszczem z chmur spadały małe, zielone żabki, prawda wciąż leżała daleko, a dzieciaki dostawały prezenty.

Naturalnie na Nowy Rok.

Anna Kańtoch

Urodzona w Katowicach w roku 1976. Studiowała orientalistykę na Uniwersytecie Jagiellońskim, kierunek: arabistyka. Po studiach wróciła z Krakowa do Katowic, gdzie aktualnie mieszka i pracuje w biurze podróży.

Jako pisarka zadebiutowała w roku 2004 na łamach „Science Fiction”. Tego samego roku wydała swoją pierwszą książkę *Miasto w zieleni i błękicie*, w której interesująco spłótła wątki kryminalne i fantastyczne z motywami powieści wiktoriańskiej. W latach 2005-2007 ukazały się: *Diabeł na wieży* – zbiór opowiadań o Domenicu Jordanie – oraz *Zabawki diabła*, będące kontynuacją historii Domenica, zafascynowanego magią lekarza, egzorcysty i detektywa. *13. anioł* – to powieść, której akcja dzieje się na Ziemi zamieszkaney przez śmiertelników i anioły. Ostatnio ukazał się pierwszy tom powieści *Przedksiężycowi*.

Jej twórczość doceniono również za granicą. Na Euroconie 2007 została wyróżniona Encouragement Awards. W kraju, trzykrotnie nominowana, zdobyła Nagrodę im. Janusza A. Zajdla 2008 za opowiadanie *Światy Dantego* z antologii *Epidemie i zarazy*.

**Anna
Kańtoch**

**Za siedmioma
stopniami**

Packowi, który pisał najpiękniejsze bajki dla dorosłych.

Oczywiście na Francuskiej utknęła w korku. Stała tuż za niebieskim sedanem, którego kierowca chyba przysypiał, bo za każdym razem, gdy kolejka niemrawo zaczynała się ruszać, Ewa musiała trąbić, by sedan zechciał łaskawie posunąć się kilka metrów.

– Na pewno baba – wymruczała ze złością. – Baby nie powinny siadać za kierownicą.

Zdanie, które tyle razy słyszała z ust ojca, wypowiedziała odruchowo i całkowicie bezmyślnie.

Było kilka minut po ósmej i w radiu trwały już poranne wiadomości. Teoretycznie była spóźniona do pracy, ale to nie miało znaczenia. Zazwyczaj przychodziła jeszcze później, o dziewiątej, czasem nawet o wpół do dziesiątej, po tym jak spokojnie zjadła śniadanie, wypła kawę i przeczytała poranną gazetę. Mogła sobie na to pozwolić. Dziś wstała wcześniej i wyszła z domu, zanim jeszcze na dobre się rozjaśniło, wprost w jesienny, zimny poranek i wprost w mgłę, w której okutani po uszy ludzie snuli się niczym gapiowate zombie.

Mgła opadła, zanim Ewa dojechała do centrum, ale za to zaczęło padać. Deszcz zacinął na skos, rozpryskując po szybie sznureczki drobnych kropel. Włączyła wycieraczki. Chmury w kolorze tłustego dymu pełzły po niebie tak nisko, że ciężkimi brzuchami zdawały się zahaczać o dachy co wyższych budynków.

W twarz buchało jej ciepło samochodowego grzejnika, które zawsze kojarzyła z pustymi stacjami metra. Pylista suchość kurzu, a w tle woń nagrzanego metalu. Otworzyła okno i zaraz je zamknęła, gdy do środka wtargnął deszcz. Była cała spocona, ale wiedziała, że jeśli tylko wyłączy grzejnik, zacznie marznąć.

Niebieski sedan przesunął się o kolejnych kilka metrów, tym razem – o cudzie! – niepoganiany. Ewa znalazła się naprzeciw wielkiej reklamy piwa „Żywiec”. Patrzyła na nią, podczas gdy jej ciało wykazywało wszelkie oznaki silnego niepokoju. Żołądek zwinięty w ciasną kulkę, szczęki zaciśnięte, a za oczami ucisk, który już zaczynał przeradzać się w ból głowy. Spała ledwo kilka godzin, ale wiedziała, że nawet gdyby została w domu, nie zdołałaby już zasnąć. Była zmęczona, a jednocześnie podkręcona jak po kilku filiżankach kawy. Niemal jak na studiach, gdy szła na egzamin po bezsennej nocy, wystraszona i nabuzowana adrenaliną po uszy.

Jej myśli ślizgały się niczym łyżwiarze po lodzie. Takie właśnie porównanie przyszło jej do głowy. Łyżwiarze kreślący zgrabne ósemki i zawijasy. Myślała o filmie, który wczoraj oglądała w telewizji i którego bohaterka bezmyślnie dała się zabić (co za kretynka, po co ona lazała nad to jezioro), o wiadomościach radiowych, których słowa wpadały jej jednym uchem i wypadały drugim (istny cyrk...) i mnóstwie innych rzeczy. Płytkie, powierzchowne myśli

gładko przechodziły jedna w drugą, płacząc się i nie pozostawiając w umyśle żadnego śladu. Mózg najwyraźniej nie chciał zastanawiać się nad tym, co sprawiło, że bolały ją zaciśnięte szczęki, a w ścianki żołądka skrobały pierwsze oznaki mdłości. Po prostu nie chciał i już, w zamian czepiając się kompletnych głupot.

(Ja bym na jej miejscu... przystojny facet, z gatunku takich, co wyglądają lepiej, jak są starsi... idiotyczny wyszczerz na tej reklamie... jakaś dowcipna odpowiedź, coś o francuskiej kuchni...)

W którymś momencie Ewa zorientowała się, że się śmieje, że na twarzy ma upiorny, stężyły uśmiech, podczas gdy wewnątrz cała się trzęsie ze zdenerwowania. Musiała wyglądać dość dziwacznie, bo facet z sąsiedniego samochodu spojrział na nią, zdumiony.

Spokojnie, nakazała sama sobie. Nic się przecież strasznego nie dzieje. Przeżyłaś to już tyle razy, że i teraz dasz sobie radę.

Zaczęła powoli liczyć do siedmiu. To zawsze pomagało.

Tym razem nie pomogło, bo gdy doszła do pięciu, zadzwonił telefon.

Minęła dobra chwila, zanim jedną ręką (samochody jak na złość ruszyły) udało jej się wyjąć z torebki komórkę.

– Halo?

Usłyszała szum i trzaski, a potem ciężki oddech.

– Ewa?

– Kto mówi?

– Ewa, to ja.

– Ale kto...? – Znała ten głos, oczywiście, że znała, ale przez moment miała pustkę w głowie. Potem trybiki zaskoczyły.

– Radek?

W słuchawce rozległo się ciężkie dyszenie, jakby rozmawiała z dobiegającym do mety maratończykiem. W tle słyszała zapowiadany przez megafon odjazd pociągu. Jechał do Włocławka czy może do Włodawy.

– Nie poznałaś mnie. Ty głupia cipo, zniszczyłaś mi całe życie, zrujnowałaś, a teraz nawet mnie nie pamiętasz.

Mówił dość wyraźnie, lecz mimo to Ewa była pewna, że Radek jest pijany. Miała ponaddwudziestoletnią wprawę w rozpoznawaniu głosów alkoholików. A ponieważ nawet Radek nie zaczynał pić o godzinie ósmej rano, więc prawdopodobnie nie wytrzeźwiał jeszcze po wczorajszej imprezie.

– Pamiętam cię – powiedziała miękko, starając się go uspokoić. Otaczała ją chmura gorąca i Ewa oddychała z trudem, zupełnie jakby ktoś przycisnął jej do ust nagrzaną koc. Jednak w głębi niej coś paskudnego cieszyło się, że wykręciła byłemu taki numer. Gdyby starała się to zrobić złośliwie, z pewnością nie wyszłoby tak naturalnie.

Ciężki oddech przeszedł w urywany szloch.

– Zabiję cię, słyszysz? Za wszystko, co mi zrobiłaś, pindo. Zabiję jak psa, jak sukę...
Słyszysz?

– Tak, słyszę.

– Zabiję cię, pindo. – Radkowi najwyraźniej skończyły się przekleństwa. Nigdy nie był zbyt pomysłowy. – Już możesz zacząć się bać.

Rozłączył się, a Ewa odłożyła telefon na siedzenie pasażera. Wciąż było jej nienaturalnie gorąco, ale nie, właściwie się nie bała. Przynajmniej nie fizycznej konfrontacji. Raz spotkali się przypadkiem w sklepie całodobym. Radek na jej widok wytrzeszczył idiotycznie oczy, wymamrotał coś, a potem odwrócił się i uciekł.

Żaloszny, zapijaczony furtek, pomyślała, czując, jak wypełnia ją pogarda. Przy tym ani przez chwilę nie wątpiła w nienawiść Radka – gdyby człowieka dało się zabić za pomocą naciśnięcia guzika, Ewa byłaby już trupem, ale na szczęście życie to nie powieść s.f. Radkowi brakowało odwagi, nawet by spojrzeć jej w twarz, potrafił tylko grozić przez telefon, a i do tego potrzebował, aby alkohol dodał mu animuszu. Ewa myślała kiedyś, żeby zmienić numer, ale wtedy zdesperowany Radek mógłby zadzwonić do niej do pracy. I dopiero wtedy miałyby problem. W jej środowisku rozwód nie był niczym nagannym, sporo jej koleżanek wychodziło za mąż nawet kilka razy. Jednak eksmaż, były więzień i obecny alkoholik, który w ciągu niespełna pięciu lat zmienił się z eleganckiego księcia w szczerbate monstrum, to coś zupełnie innego.

To powód do wstydu, a Ewa nienawidziła się wstydzić. I nie chciała litości.

Poza tym, tak naprawdę miała teraz na głowie ważniejsze problemy. A właściwie jeden problem, ten sam, który wygnał ją z domu o świcie, bo nagle zapragnęła ludzkiego towarzystwa.

Ewa Rejtych miała dziś urodziny i wiedziała, że jeszcze przed północą dostanie prezent.

* * *

– Wszystkiego najlepszego – powiedziała praktykantka jak-jej-tam. Basia? Stasia? Pewnie to pierwsze, bo była młoda, ale nie aż tak, by załapać się na modę nadawania dzieciom staropolskich imion.

Ewa spojrzała na nią z niechęcią. Skąd dziewczyna wiedziała?

– No wie pani... – Basia spieszyła się. – Z okazji urodzin...

– Nie obchodzę urodzin.

Nie do wiary, ale dziewczyna rozpogodziła się i nawet uśmiechnęła porozumiewawczo.

– Ja właściwie też nie. To strasznie przereklamowane, prawda? Poza tym, nie lubię się przyznawać, ile mam lat.

Ile lat mogła mieć Basia? Dwadzieścia, dwadzieścia parę? Skórę wciąż miała gładką jak dziecko. Za to Ewa była w wieku, gdy kobieta wygląda ładnie wyłącznie wtedy, gdy się

wyśpi i porządnie umaluje (dziś się nie wyspała i nie umalowała porządnie).

Basia i wszystkie podobne do niej dziewczyny przewijające się przez firmę sprawiały, że Ewa czuła... nie, w sumie chyba nawet nie zazdrość. Raczej ponurą pretensją do losu. Że czas płynie, że świat jest źle urządzony, a życie, ogólnie rzecz biorąc, do dupy.

Gdy praktykantka wyszła, Ewa przejrzała się w szybie szafki i z zadowoleniem uznała, że mimo wszystko nie prezentuje się źle. Oczywiście, była za chuda, nawet jak na współczesne standardy urody, miała suchą skórę i zmarszczki wokół oczu, ale miała też delikatne rysy twarzy i długie proste włosy, które w przychylnym poetyckim nastroju można by nawet nazwać złotymi. Wyglądała dzięki nim trochę jak baśniowa księżniczka, aczkolwiek nieco anorektyczna, zużyta i rozczarowana życiem na książęcym dworze.

Nie jest źle, pocieszyła się w myślach.

Co nie zmieniało faktu, że wciąż miała fatalny humor. Przebywanie wśród ludzi uspokoiło ją trochę, owszem – miała teraz czym się zająć i od czasu do czasu nawet udawało jej się zapomnieć o czekającym na nią prezencie. Na chwilę, bo zawsze sobie przypominała, a wtedy wracały mdłości i ból zaciśniętych szczęk. Nosiło ją przez cały czas. Przerzucała się od jednego zajęcia do drugiego, a potem do kolejnego, przy żadnym nie wytrzymując dłużej niż dziesięć minut. Czasem wstawiała od biurka i szukała kogoś, żeby porozmawiać, ale współpracownicy jak na złość wyczuwali jej zły nastrój i znikali pod byle pretekstem.

Koło piętnastej uznała, że ma dość. Na dworze się roz pogodziło, świeciło teraz słońce, a przechodnie, których widziała przez okno, rozpinali płaszcze. Być może to był ostatni ładny dzień jesieni i Ewa doszła do wniosku, że znacznie lepiej się poczuje, jeśli pójdzie na spacer.

Zanim wyszła, opieprzyła jeszcze praktykantkę Basię, która zamiast pracować, świergotała coś do telefonu. Dziewczyna niemal się popłakała, a Ewa poczuła ukłucie wyrzutów sumienia.

Ale ze mnie wredna suka, pomyślała i natychmiast przestała się przejmować. Dwa słowa pozbawiły ją indywidualności, wpisując w szeregi wszystkich wrednych suk świata, także tych z filmów, książek i artykułów psychologicznych, które czytywała w kolorowych kobiecych magazynach. Nie było już w tym określeniu nic osobistego, nic, nad czym warto by się zastanowić.

Schodziła po schodach z pierwszego piętra, po drodze licząc stopnie. Od jednego do siedmiu, przerwa i znowu od początku.

Dziwne, ale tym razem nie pomagało. Miała osobliwe wrażenie, że robi coś dokładnie odwrotnie niż trzeba.

* * *

Klątwa, tak Ewa nazywała to, co przytrafiało jej się raz do roku w dzień urodzin. Niezbyt dobre określenie, ale lepszego nie znalazła.

Niech więc będzie klątwa.

Jej ojciec nazwał to dowcipem, wtedy, tamtego jesiennego dnia, gdy jako świeżo upieczona studentka po raz pierwszy i ostatni w życiu wyplakiwała mu się na ramieniu.

„Nie przejmuj się, Ewcia, to tylko idiotyczny żart. Najlepiej w ogóle o tym nie myśl, a temu dowcipnisiowi na pewno się znudzi”.

Dokładnie tak powiedział, a ona – już wystarczająco dorosła, by pewne rzeczy dostrzegać i rozumieć, pojęła, że ojciec nie chce o tym mówić. Nie chce, bo czuje się wystraszony i bezradny. Gdyby Ewa drażyła dalej temat, runąłby mit wesołego spryciarza, który potrafi rozwiązać każdy problem.

Ewa kochała ojca, więc wzięła udział w jego grze.

Masz rację, tato. Tak, już mi lepiej. Dzięki wielkie. Jasne, nie będę więcej przejmować się tym idiotą. To jakiś kompletny kretyn. Skoczę do sklepu, mam dziś ochotę na lody, kupić ci coś przy okazji?

W głębi duszy wiedziała oczywiście, że to nie jest dowcip. A nawet gdyby był, to żart tak drobiazgowo zaplanowany i cierpliwie powtarzany także budziłby w niej lęk.

Jeśli zaś nie dowcip, to co?

Tajne działania wywiadu albo jakiejś innej sekretnej organizacji zmierzające do tego, aby wykończyć ją psychicznie. Rozpisany na kilkadziesiąt lat program w stylu Big Brothera. Kosmici badający reakcje wybranej grupy ludzi.

Żadne z tych wyjaśnień nie miało sensu.

O tych, którzy co roku przysyłali jej prezent, Ewa przywykła myśleć jako o „onych”. Oni oznaczali wszystko to, co nie mieściło się w ramach jej uporządkowanego świata. Faceci w czerni, ufoludki z wielkimi, ciemnymi oczami, podzwaniające łańcuchami widma i skrzaty w czerwonych czapczkach na liściach łopianu.

Nie wierzyła w takie rzeczy, była na to zbyt rozsądna, ale każdej jesieni „oni” upominali się o swoje, a Ewa przez kilka dni czuła się jak planeta wyrzucona z orbity. Potem wszystko na pozór wracało do normy. Ewa chodziła do pracy, przeglądała internetowe aukcje w poszukiwaniu aniołów do swojej kolekcji i czytała babskie pisma, starając się zrozumieć, dlaczego nigdy nie udał jej się żaden związek. I czasem śmiała się z ludzi, którzy wierzyli w duchy albo czytali horoskopy. A w październiku znów zaczynała się bać.

To nie była kwestia zagrożenia fizycznego. „Oni” nigdy Ewy nie skrzywdzili. Tak naprawdę nic nie stało na przeszkodzie, aby pogodzić się z klątwą, przyjmując ją raz do roku jak gorzką pigułkę, a potem wyrzucić z pamięci na następne dwanaście miesięcy. Większość ludzi pewnie tak by zrobiła. Ale nie Ewa Rejtych. Urodzinowe prezenty odbierała jak cios między oczy. Jakby coś (ktoś?) mówiło jej: wszystko, w co wierzysz, w co tak bardzo chcesz wierzyć, jest nic niewarte. Spójrz, jesteśmy tutaj i patrzymy na ciebie. W każdej chwili możemy wejść z buciarami w twoje życie i przewrócić je do góry nogami. Że nic strasznego jak dotąd nie zrobiliśmy? Cóż, taki mieliśmy kaprys, ale możemy zmienić zdanie. Za dzień,

dwa, miesiąc czy pół roku. Bo my jesteśmy cierpliwi i nigdy nie zapominamy. Nic ci nie da odwracanie się do nas plecami i chowanie głowy w piasek.

Czasem miała ochotę komuś się zwierzyć, ale tu napotykała kolejne trudności. Tylko w książkach ludzie wierzą bohaterom, gdy ci opowiadają, że spotkało ich coś niesamowitego. „X wiedział, że Y nigdy nie kłamie, więc mu uwierzył”, albo: „To brzmiało wariacko, ale Y mówił tak przekonująco, że X mu uwierzył”.

Guzik prawda. Niezależnie od tego, jak bardzo wyrobioną masz opinię prawdomównego człowieka i jak przekonujący ton głosu, w takiej sytuacji znajomi patrzą na ciebie z zakłopotaniem, jakbyś właśnie opowiadał im stary dowcip. Później mówią coś w rodzaju: „Co za historia, naprawdę niesamowita, słuchaj, może napiszesz o tym do gazety?”, a w ich oczach widać pewność, że historia wcale się do gazety nie nadaje, że gdyby to od nich zależało, wymyśliliby coś znacznie ciekawszego. Zaraz potem zmieniają temat.

Żaden rozsądny człowiek nie wierzy w takie rzeczy.

Oczywiście, istnieli ludzie, którzy zapewne uwierzyliby Ewie. Obwieszane amuletami niedobitki New Age, nastoletnie panienki czytające „Wiedzę Tajemną” czy staruszki z rodzaju tych, które na szybach widują Matki Boskie. Jednak Ewa gardziła nimi wszystkimi. Zresztą nawet dla takich nawiedzenców jej historia okazałaby się prawdopodobnie zbyt dziwaczna, by ktoś mógł jej coś sensownego doradzić.

Jadąc do domu, rozważała, kogo ewentualnie mogłaby poprosić o pomoc. Gazeta odpadała, Ewa nie miała zamiaru znosić ciekawskich spojrzeń pań z pobliskiego warzywniaka. Jakiś parapsycholog? Nie miała pojęcia, gdzie kogoś takiego znaleźć, a poza tym oni, zdaje się, koniecznie chcieli uchodzić za poważnych naukowców i potrzebowali dowodów. Ksiądz egzorcysta? Ci z kolei byli specjalistami od nastolatków, które potrafią obrócić głowę o sto osiemdziesiąt stopni, a nie od prezentów urodzinowych.

Przez moment odczuła pokusę, by uciec. Zwyczajnie wyjechać z miasta, a potem pojechać dalej, w stronę Zakopanego. Nawet nie musiałyby wracać do domu, bo podstawowe rzeczy, takie jak kosmetyki czy zmianę bielizny, mogłaby kupić na miejscu. Wieczorem zadzwoniłaby do firmy, że fatalnie się czuje i w związku z tym jutro nie będzie jej w pracy.

Był czwartek, więc miałyby przed sobą leniwy, trzydniowy weekend. Mogłaby wynająć pokój, spacerować po Krupówkach i cieszyć się samotnością, bo o tej porze na pewno nie będzie tam turystów. Może pogoda by dopisała. Może nawet Ewa poszłaby w góry – nie robiła już tego od tak dawna, że zapomniała, jakie to uczucie, gdy spocony człowiek staje na szczycie, łapie oddech, a potem patrzy aż do zawrotu głowy.

Wiedziała jednak, że to nic nie da. Przed klątwą nie było ucieczki.

Zmęczona, z mętlikiem w głowie, skręciła w ulicę, przy której mieszkała. Chciała, żeby ten dzień już minął, najlepiej, żeby już był listopad, ponury, dżdżysty miesiąc, w którym Ewa zaczynała na powrót wierzyć w normalność i cieszyła się, że do kolejnych urodzin zostało jej jedenaście długich miesięcy.

* * *

Telefon zadzwonił tuż przed dziewiątą, gdy Ewa siedziała na kanapie, gapiąc się na swój prezent. Było po wszystkim – znalazła paczkę pod drzwiami, odpakowała i przeczytała książkę. Po wszystkim. Powtarzała to sobie, ale nie potrafiła odczuć ulgi. Świat wokół nabrał intensywnych barw, a jednocześnie wydawał się zniekształcony jak we śnie albo jakby Ewa brodziła pod wodą. Dźwięki docierały do niej przytłumione i odległe. Było jej nieznośnie gorąco. Odebrała.

– Cześć, to ja – powiedział ktoś, a ją dopadło uczucie déjà vu. Znow męski, znajomo brzmiący głos i znow nie wiedziała, z kim rozmawia.

– Radek? – zapytała niepewnie. Wyobraziła sobie przy tym, że może to dzwoni dostarczyciel urodzinowych prezentów i uczucie déjà vu zmieniło się w lęk tak przytłaczający, że przez moment nie mogła wydobyć z siebie głosu.

Po drugiej stronie było słycać jakieś trzaski i szelesty.

– Radek, powiedz, że to ty... – jej słowa brzmiały, jakby zaraz miała się rozpłakać.

– To ja, Paweł. Sorry, musiałem wywalić kota z pokoju. Paweł Musialik, pamiętasz?

Poczuła odrobinę ulgi, a jednocześnie wzmogło się jej poczucie nierealności. Paweł należał do innego świata, a Ewa w tej chwili nie bardzo wierzyła, że ten świat gdziekolwiek istnieje.

– Pamiętam.

– Dotarła do ciebie? Książka?

– Jaka książka? – Chyba robiła z siebie idiotkę, ale jej umysł za nic nie chciał pracować.

– Twój urodzinowy prezent – cierpliwie wyjaśnił Paweł. – Dostałaś go, prawda? To dlatego masz taki dziwny głos.

– Mówiłam ci o nim? – Spytała ostrożnie, niepewnie, tonem zagubionego dziecka.

– Mówiłaś. Rany, aż tak bardzo byłaś pijana, że nie pamiętasz? Jak się czujesz? Chcesz, żebym przyjechał?

Milczała, rozkoszując się uczuciem nadziei, która powoli wlewała się w jej serce. Nie będzie dziś sama. Ktoś z normalnego świata przyjedzie tu i wszystko znow będzie dobrze.

– Możesz?

– Jasne, że tak. Będę za pół godziny.

* * *

W pierwszym odruchu Ewa zareagowała jak typowa pani domu – podeszła do szafki, żeby sprawdzić, czy zostało jeszcze trochę kawy, którą mogłaby Pawła poczęstować. Kawa była, podobnie jak herbata (zielona lub czarna, do wyboru), francuski koniak i trzy rodzaje

wina. W porządku. Przydałyby się do tego jakieś ciastka, ale lodówka świeciła pustkami. Znalazła w niej jedynie do połowy opróżniony słoik oliwek, paczkę pleśniowego sera oraz marynowane grzybki. Często (ostatnio zdecydowanie zbyt często) coś takiego właśnie stanowiło jej jedyny posiłek w ciągu dnia. Problem w tym, że Ewa nie lubiła jeść. Na samą myśl o konieczności przeżuwania mięsa czy chleba od razu traciła apetyt. Lubiła jedynie przystawki, małe i gładko wchodzące w przełyk. Nic dziwnego, że była taka chuda.

Nerwowo chodziła po mieszkaniu, które było obce, splugawione. Wszystko, co jeszcze do niedawna kojarzyło jej się z bezpieczeństwem, teraz nabrało złowrogiego wyglądu. Biel ścian, którą zawsze uważała za bardzo elegancką, sprawiała, że jej mieszkanie przypominało szpital. I anioły, rozstawione i rozwieszane w sypialni, salonie, a nawet w przedpokoju. Ta kolekcja była największą słabością Ewy i bodaj jedyną rzeczą, która mogła powiązać jej racjonalną osobowość z czymś nadnaturalnym. Tyle że Ewa w anioły nie wierzyła, oczywiście, że nie. Po prostu podobały jej się ich wiotkie sylwetki i piękne, zamyślane twarze. Zbierała porcelanowe figurki i anioły rzeźbione w drewnie, malowane na szkło, a nawet robione na szydełku. Niektóre przypominały rozbrykane dzieci, inne były poważne, o łagodnych, mądrych spojrzeniach, a jeszcze inne wyglądały jak leśne wróżki czy skrzydlate elfy. Ewa lubiła je wszystkie i zawsze miała wrażenie, że one w zamian lubią ją.

Teraz czuła się tak, jakby ktoś wszedł do jej mieszkania i obrócił całą jej ukochaną kolekcję przeciwko niej.

Chodziła.

W karku czuła charakterystyczne mrowienie, jakby ktoś wpatrywał się w nią z ciemnego kąta. Ów ktoś wciąż mógł tu być. W każdej chwili mogła poczuć na ramieniu dotyk ciężkiej dłoni.

Chodziła.

Nic to, tłumaczyła sobie, zaraz przyjedzie Paweł i wszystko będzie dobrze. Zachowuję się jak histeryczka. Paweł to rozsądny człowiek. Rozsądny, a jednak mi uwierzył. Niesamowite, że mogłam o tym zapomnieć. Na tamtej imprezie naprawdę musiałam być nieźle zalana, bo w ogóle nie pamiętam, że bym mu się zwierzała.

Nadzieja uchodziła z niej jak powietrze z dziurawej opony.

Bo co właściwie o nim wiedziała? Spotkali się na wiosennym wyjeździe integracyjnym, takim z mnóstwem atrakcji i wielką popijawą na zakończenie. W zasadzie zetknął ich ze sobą przypadek – żadne z nich nie przepadało za sportami, trzymali się więc razem i wspierali, gdy trzeba było wykręcić się od paintballa czy wspinaczki po skałkach. Sporo wtedy rozmawiali i żartowali. Nic więcej, choć Ewa nie ukrywała, że liczy na krótki, niezobowiązujący romans. Jednak Paweł, choć nie miał nic przeciwko flirtowi, okazał się wierny pozostawionej w Katowicach żonie. Trudno. Właściwie i tak nieszczególnie ją pociągał. Był zbyt miły i miękki, typ przytulaśnego miśka. Jej matka o takich mężczyznach mówiła z pogardą „ciepłe kluski”.

Próbowała wyobrazić sobie Pawła w roli rycerza, który spieszy jej na ratunek, ale nie potrafiła. Przed oczami miała anonimową, rozmywającą się twarz z bujną brodą. Tę brodę pamiętała, ale nic więcej. Nie wiedziała nawet, czy Paweł jest wysoki, czy niski, szczupły czy gruby. Jaki miał głos? Jaki charakter? Coś prócz tego, że był wierny żonie?

Inna rzecz, pomyślała w przyływie złości, że właśnie jechał do niej, do Ewy. Żonaty facet musi nieźle kombinować, żeby po dziewiątej wieczorem wyrwać się z domu.

Może jednak zależało mu na Ewie bardziej niż chciałby przyznać.

Albo zależało mu nie na niej, tylko na tajemnicy, sensacji.

Na tę myśl Ewie ścierpła skóra. W gruncie rzeczy prawie wcale Pawła nie znała. Mógł być jednym z tych wariatów, którzy nagrywają na taśmy głosy umarłych czy tropią UFO. Albo jeszcze gorzej – może on po prostu bawi się jej kosztem?

Jak można ufać facetowi, który przez telefon przedstawia się słowami: „Cześć, to ja”?

Chodziła coraz szybciej. A co, jeśli on właśnie jedzie tu z kumplami, żeby się z niej ponabijać? Albo jeśli zawiadomił jakieś szmatławie pisemko, które zrobi z niej rozhisteryzowaną wariatkę?

I wtedy przyszła jej do głowy jeszcze jedna możliwość, najgorsza ze wszystkich. Może ona BYŁA wariatką? Książka wcale nie istniała, a Paweł, kiedy wejdzie do salonu, zobaczy tylko pusty stolik?

Musiała oprzeć się o ścianę w przedpokoju, żeby nie upaść. Kręciło jej się w głowie, twarz płonęła z gorąca, a przed oczami pulsowały czarno-czerwone plamy.

Uspokój się, nakazała samej sobie. Jeden, dwa, trzy...

Wchodzę po schodach, pomyślała z jakiegoś powodu.

Po chwili poczuła się na tyle lepiej, że mogła pójść do salonu. Książka wciąż leżała na stoliku. Ewa chwyciła ją drżącymi rękami, czerpiąc odrobinę otuchy z dotyku twardej, lakierowanej okładki. Co za idiotyczna myśl, przecież kiedy była dzieckiem, książkę widzieli jej rodzice, a potem, już na studiach, także sporo kolegów i koleżanek z akademika.

Tylko że to mogło być złudzenie. Cała jej przeszłość mogła być złudzeniem.

Z pokoju do pokoju, ściskając książkę w ręce. Szybko, jeszcze szybciej. Świat wokół wykrzywił się w gorącu paniki. Brodziła w nim, pływała. Miała wrażenie, że jej lekka jak piórko głowa za chwilę oderwie się od ciała i odfrunie w krainę barwnego szaleństwa.

Podskoczyła, słysząc dzwonek. Nie otwierać, to była jej pierwsza myśl. Ukryć się, przeczekać. Paweł, jakiego sobie wyobraziła, nie istniał. Realne było tylko niebezpieczeństwo czające się teraz za drzwiami. Zła czarownica, potwór z szafy. Wróciły koszmary dzieciństwa.

– Weź się w garść – powiedziała na głos i choć słowa wydały jej się puste, to ciało usłuchało.

Otworzyła.

* * *

– Może jednak ja zrobię tę herbatę? Cała się trzęsiesz.

Odsunęła się, pozwalając mu zająć miejsce przy kuchennym blacie. Napięcie powoli z niej opadało. Usiadła na krześle i podciągnęła kolana pod brodę, obejmując je ramionami. W takiej pozycji czuła się bezpieczniejsza i guzik ją obchodziło, że zachowuje się jak dziecko. Jeszcze kilka godzin temu by ją obeszło, ale teraz już nie.

Paweł postawił na stole dwa kubki parującej zielonej herbaty. Obok leżała przyczyna całego zamieszania. Książka formatu niemal A-4, cienka, w twardej oprawie. Na okładce kolorowy rysunek złotowłosej dziewczynki, która na wąskiej kładce staje oko w oko z potworem. Krok w tył, buzia otwarta do krzyku, wiklinowy koszyczek wpada w nurt rzeki. Wstrętny, włochaty i zaśliniony potwór unosi pazurzaste łapy wysoko nad głowę i rozcapierza palce. „Bu, zaraz cię złapię i zjem”, mówi jego poza, którą bezbłędnie rozpoznają nawet małe dzieci. A obok obrazka tytuł „Droga do domu” i nazwisko autora: Stanisław Łopianowski.

– Widzisz ją, prawda? – Ewa uniosła kubek do ust. W herbacie pływały płatki bławatków i kawałki kandyzowanego ananasa. – Te książkę?

– Jasne, że widzę. Już o to pytałaś.

– I uwierzyłeś mi? Wiesz, wtedy na imprezie.

– Gdybym nie wierzył, to by mnie teraz tu nie było, nie?

– Czemu?

Przez chwilę sądziła, że odpowie: „Bo miałaś taki przekonujący głos”, odzierając ją tym samym z resztek poczucia rzeczywistości. Jednak zamiast tego wzruszył ramionami i odwrócił głowę.

– Chyba chciałem ci uwierzyć. Odkąd pamiętam, zawsze miałem nadzieję, że kiedyś zdarzy mi się coś niezwykłego. Świat bez tajemnic jest taki... pusty, nie uważasz?

Powtarzając jego gest, wzruszyła ramionami. W ten sposób dała do zrozumienia, że jeśli o nią chodzi, byłaby całkowicie szczęśliwa, gdyby na świecie żadnych tajemnic nie było.

Z każdą chwilą czuła coraz większą ulgę, ale i większe rozczarowanie.

Paweł miał niezdrową cerę, siwe nitki w rozczochranej brodzie i przekrwione białka oczu, a przede wszystkim pękaty brzuch, na którym opinał się sweterek w kolorze sraczkowatym, najwyraźniej kupiony jeszcze w czasach, gdy jego właściciel był o dwa rozmiary szczuplejszy. Pół roku temu wyglądał znacznie lepiej, przemknęło jej przez głowę, a potem pomyślała, że może nie, może to tylko pamięć płata jej figle. W tej chwili nie ufała samej sobie.

Tak czy inaczej, Paweł nie pasował. Do niczego. Ani do roli bohatera, ani do życia Ewy, ani nawet do jej eleganckiej kuchni, całej w kolorze czystej, chłodnej bieli, złamanej gdzieś odrobiną brązu drewna. Ewa wiedziała już, że Paweł na nic się nie przyda, i gdzieś wewnątrz poczuła, jak rośnie w niej ponura, zacięta złość. No i bardzo dobrze, znów

została sama. Jak zawsze. W porządku. Poradzi sobie. Wcześniej sobie radziła, więc i teraz sobie poradzi.

Paweł przysunął książkę do siebie i zaczął kartkować. Na niektórych stronach zatrzymywał się dłużej.

– Uch, faktycznie niespecjalnie sympatyczna ta bajka. Czytałaś?

– Aha.

Skinał głowę, zamknął książkę i upił łyk herbaty. Nie smakowała mu, poznała po jego minie. Mimo to był zbyt dobrze wychowany, by poprosić o inną. Albo zbyt mało asertywny.

– Dobra, w takim razie zacznijmy od początku i zobaczymy, co uda nam się wymyślić. Najpierw uporządkujmy to, co wiemy, OK? Mogę ci zadać parę pytań?

Jezu, za kogo on się uważa? Za detektywa z tanich powieści? Czy jemu się wydaje, że jej osobista tragedia to papierowa zagadka z dreszczykiem?

– Nie musisz przypadkiem wracać do domu? – rzuciła zaczepnie. – Żona pewnie się niepokoi.

Wstał i z kubkiem herbaty podszedł do zlewu. Pewnie po to, żeby wylać ją chyłkiem, pomyślała Ewa, patrząc na jego zgarbione plecy.

– Żona i dzieci są u moich rodziców, więc mogę tu siedzieć choćby i do rana.

No i jedna z zagadek została wyjaśniona.

– To jak, pogadamy?

– Jasne – odparła apatycznie. Wewnątrz wciąż czuła bierny, lodowaty opór. Nie pomoże jej, oczywiście, że nie. Ale z drugiej strony dobrze, że przez parę godzin będzie miała towarzystwo. Lepsze to niż chodzenie w kółko po pustym mieszkaniu i wariowanie.

Mogą pogadać, czemu nie.

Wrócił do stołu, usiadł i palcem wskazał książkę.

– Dostajesz taki prezent co roku na urodziny, tak? Od kiedy?

– Od kiedy byłam dzieckiem. Pierwszy dostałam, jak miałam jakieś sześć, siedem lat. Dokładnie nie pamiętam, ale to było jakoś tak na początku podstawówki.

– W porządku, jedziemy dalej. Książka zawsze nosi tytuł „Droga do domu”, ale zmienia się jej treść. Bajka jest coraz bardziej, jak by to ująć... nieprzyjemna?

– Chora – odpowiedziała Ewa. – Popieprzona, jeśli nie przeszkadza ci używanie takich słów. Wredna i dobijająca.

– Niech będzie. W każdym bądź razie na początku to była zwyczajna bajka, taka, którą czytałaś z przyjemnością. Potem stała się bardziej mroczna, a wreszcie chora i popieprzona. I z roku na rok jest coraz gorzej.

– Aha – przytaknęła. – Jak tak dalej pójdzie, to pewnie za dziesięć lat dostanę w prezencie gore na papierze.

– A sposób dostarczania książki? Wspominałaś, zdaje się, że ona nie przychodzi pocztą, tylko jakoś inaczej.

– Inaczej. – Ewa napiła się jeszcze herbaty. Paweł wyraźnie czekał na dalszy ciąg, ale się nie doczekał.

– No dalej, pomóż mi. Powiedz coś więcej.

– A co tu jest do mówienia? – Odwróciła wzrok. Narastał w niej coraz silniejszy opór. Przecież to i tak nic nie da. Dla Pawła to tylko zabawa, on odegra swoją rolę detektywa, a potem się nią znudzi, i wróci do żony i dzieci. Do normalnego, zwyczajnego świata. A ona zostanie z całym tym popieprzonym cholerstwem na głowie.

Zmusiła się, żeby wypowiedzieć kilka następnych zdań.

– Zazwyczaj znajduję ją przed drzwiami, owiniętą w szary papier. Wiesz, jakby to była pocztowa przesyłka, tyle że nie ma żadnych znaczków ani stempli. Adresu nadawcy też zresztą nie ma, jest tylko moje imię, nawet nie nazwisko, tylko imię, wypisane drukowanymi, kulfoniastymi literami. Jakbym była dzieckiem i jakieś inne dziecko chciało mi zrobić prezent. I tyle.

– A jeśli nie znajdujesz paczki pod drzwiami, to gdzie?

– Różnie. – Skrzywiła się. – Raz uciekłam nad jezioro, wtedy jeszcze mieszkaliśmy w Lelichowie i przez cały dzień siedziałam nad wodą. Była całkiem ładna pogoda jak na październik, żadnego deszczu, chociaż trochę wiało. Miałam wtedy jakieś siedemnaście, może osiemnaście lat. Wzięłam ze sobą koc, termos z herbatą, kanapki i dwie książki. Myślałam sobie, że co jak co, ale tutaj to draństwo mnie nie dopadnie.

Zamilkła, lekko zdziwiona. Wbrew sobie zaczynała się rozkręcać, a mówienie przynosiło ulgę.

– I co? – ponaglił ją Paweł.

– I nic. Siedziałam tam jak głupia do wieczora. Kiedy zaczęło się ściemniać, myślałam, że mam to z głowy, bo paczka zjawia się najczęściej przed zachodem słońca. Nie zawsze, dzisiaj na przykład przyszła później, ale najczęściej. Wstałam więc, zabrałam koc i pusty termos i ruszyłam do domu. No i wtedy ją zobaczyłam. Leżała sobie przy ścieżce i wyglądała jak z pieprzonego obrazu Dalego. Wiesz, prezencik jak spod choinki pośrodku dzikich trzciny, żwiru i zużytych kondomów. A ja wiedziałam, że muszę ją wziąć, bo inaczej znów będzie źle. A kiedyś jeszcze... – zarumieniła się, słowa wypływały z niej z coraz większą łatwością – to było na studiach, drugi rok czy może trzeci. W każdym bądź razie postanowiłam sobie, że przez cały dzień ani przez chwilę nie będę sama i że to może pomóc. Była wtedy sobota, a ja urządziłam imprezę, taką od rana do wieczora. Matka mało mnie potem nie zabiła, bo poszła na nią połowa forsy, jaką rodzice przysyłali co miesiąc. Ludzie myśleli, że mi odbiło, ale oczywiście przyszli. A ja siedziałam na podłodze na środku pokoju i postanowiłam sobie, że nie ruszę stamtąd dupy niezależnie od tego, co się będzie działo. Wcześniej postawiłam sprawę jasno: ja płacę, ale od biegania do kuchni po kanapki jest ktoś inny. Wokół mnie cały czas był tłok i to mi odpowiadało, myślałam sobie, że nawet jeśli ten tajemniczy dostarczyciel paczek się nie zniechęci, to może choć raz ktoś coś zauważy, no nie wiem, podkradającego

się krasnoludka, kosmitę czy cokolwiek. I wiesz co? Zgubiło mnie cholerne piwo. W którymś momencie poczułam, że dłużej nie wytrzymam i muszę iść do kibla, a głupio mi było prosić jakąś dziewczynę, żeby dotrzymała mi towarzystwa. Więc poszłam sama, a kiedy już się wysikałam i wyszłam z kabiny, paczka leżała na umywalce. Ironia losu, co? Może gdybym tamtego dnia piła wyłącznie kawę, to by mi się udało.

– Nie sędzę. Powiedz teraz, czemu nie możesz tej książki wywalić do kosza, czemu za każdym razem musisz ją przeczytać?

– Przecież wiesz. – Rozdrażnienie wróciło. Za bardzo się obnażyła, za dużo i zbyt swobodnie powiedziała i teraz czuła się zażenowana. Przecież Paweł to praktycznie obcy człowiek. Wcześniej widział ją pijaną, a teraz opowiadała mu o chodzeniu do kibla. Po prostu świetnie.

– Powtórz jeszcze raz, proszę. Nie wszystko dobrze pamiętam.

Taktownie nie dodał, że kiedy ostatni raz słyszał tę historię, Ewa prawdopodobnie nie mówiła zbyt składowo. Powinna poczuć wdzięczność, ale nie potrafiła. Pieprzony dżentelmen w wersji dla ubogich, pomyślała.

Westchnęła.

– Jeśli wyrzucę jeden egzemplarz książki, niedługo zjawia się drugi. Jak wywalę drugi, to przychodzi trzeci. I tak dalej. Doszłam kiedyś do piątego, a gdybym go nie przeczytała, pewnie dostałabym szósty.

– Wtedy było już po twoich urodzinach?

– Pierwszy przyszedł w urodziny, oczywiście, ale kolejne już nie. To ma jakieś znaczenie?

– Nie mam pojęcia.

Ewa wzruszyła ramionami. „To po co pytasz, palancie?” – oznaczał tym razem jej gest.

Paweł milczał, najwyraźniej czekając na dalszy ciąg. Kobieta zamknęła oczy – na chwilę przytłoczyło ją zmęczenie i bezsens tego, co robi. Przecież on mi nie pomoże, dźwięczało jej natrętnie w głowie. Nikt mi nie może pomóc.

Napiła się jeszcze herbaty, zimnej już i niezbyt smacznej.

– Problem w tym, że muszę tę książkę przeczytać – mówiła teraz sztywno, bez emocji, krótkimi i oszczędnymi zdaniami. – Jeśli tego nie zrobię, zaczynam źle się czuć. Kręci mi się w głowie, wymiotuję, czasem nawet pocę się krwią. I śnię koszmary.

– O czym?

– O tym, że nie mogę trafić do domu. Sny są różne, ale zawsze na ten sam temat. Błąkam się po mieście, z nieba pada popiół, a ja nie potrafię odnaleźć ulicy, na której mieszkam. Albo inaczej: niebo płonie czerwienią, a całe miasto jest inne, odmienione. Szukam znajomych budynków, ale zamiast nich znajduję dziwaczne pałace. Idę do mojego mieszkania po schodach, a one nagle się kończą, wrastają w ścianę. Pukam do mieszkania moich rodziców, a tam otwierają mi obcy ludzie. Tego typu sny. – Spojrzała Pawłowi prosto w oczy. – No i jaka

jest diagnoza? – rzuciła agresywnie. – Myślisz, że jestem wariatką? A może to jakiś kompleks? Zwłaszcza ostatni sen, ten z rodzicami, jest dość freudowski, nie uważasz? No dalej, przyznaj, że mi odbiło. Powiedz to.

– Nie jestem psychiatrą. Na moje wyczucie jesteś zupełnie normalna. I nie wyzywaj się na mnie, proszę. Nie będę pieprzył głupot w stylu, że wiem, przez co przechodzisz, bo oczywiście nie wiem. I sorry, że traktuję to tak lekko, znaczy, lekko z twojego punktu widzenia, bo przecież nie mogę się przejąć tak bardzo jak ty. Nie mogę, bo to mnie nie dotyczy, ale mimo to naprawdę chcę ci pomóc. Szczerze.

Zrobiło jej się głupio, ale nie miała zamiaru przeproszać.

Paweł potarł czoło, a potem przecesał palcami siwiejące włosy. Białka oczu miał jeszcze bardziej zaczerwienione i wyglądał na zmęczonego, a w niektórych momentach, gdy zniknęło ożywienie, na kilka króciutkich sekund rysy jego twarzy obwisały i męczyzna sprawiał wręcz wrażenie chorego.

Ewa poruszyła się niespokojnie. Może powinna go odesłać do domu, do łóżka. Facet ewidentnie złapał jesienną grypę albo był przepracowany.

Uprzedził ją, zanim zdążyła cokolwiek powiedzieć.

– I z góry przepraszam, że pewnie wpadnę na pomysły, na które ty wpadłaś już dawno. Wiem, że to wkurzające, ale przecież miałaś znacznie więcej czasu, żeby sobie to wszystko przemyśleć.

– W porządku. Co jeszcze chcesz wiedzieć? – To był Ewy sposób na powiedzenie „przepraszam”.

– Masz poprzednie egzemplarze książek?

Pokręciła głową.

– One znikają. Nie od razu po przeczytaniu, ale jakiś czas później. Kilka dni, czasem tygodni. Najdłużej to chyba było pięć tygodni, chociaż nie jestem pewna. Na samym początku, kiedy jeszcze byłam dzieckiem, po prostu odkładałam książkę na półkę, pomiędzy inne, a po paru miesiącach sięgałam po nią i dziwiłam się, czemu jej nie ma. Potem starałam się kłaść ją w jednym wybranym miejscu, na przykład w szufladzie, tyle że dalej nie miałam pewności, że ona znika – owszem, to wyglądało dość dziwacznie, ale w końcu przecież ktoś mógł książkę z tej szuflady wyjąć. Na przykład jakaś koleżanka, która postanowiła ją sobie pożyczyć bez pytania, a potem zniszczyła czy zgubiła i bała się przyznać. Zresztą ja sama mogłam ją gdzieś przełożyć, a potem zapomnieć; zazwyczaj co prawda pamiętam, co gdzie położyłam, i w biurku mam porządek, ale nawet mnie się zdarza od czasu do czasu coś zawieruszyć. Tylko że coś takiego mogłoby zdarzyć się raz, dwa, no niech będzie kilka razy, ale przecież nie kilkanaście. Dlatego w końcu zdenerwowałam się i zamknęłam książkę w skrytce, a klucz przez cały czas nosiłam przy sobie.

– I zniknęła?

– Zniknęła. – Bawiła się przez chwilę pustym kubkiem, a potem gwałtownie postawiła go

na stole. – Cholera, nie. Tak naprawdę wcale nie mam całkowitej pewności, że zniknęła. Tak magicznie, sama z siebie, wiesz, co mam na myśli. Przecież nie gapiłam się na ten kluczyczek przez dwadzieścia cztery godziny na dobę. Zdejmowałam go na przykład do kąpieli, a na noc kładłam na szafce przy łóżku. Nie cierpię spać, kiedy coś dynda mi na szyi, zawsze mam wtedy wrażenie, że o coś zahaczę i uduszę się we śnie. Widzisz, jakie to wszystko jest popieprzone? Teoretycznie jakieś tam racjonalne wyjaśnienie istnieje, ale jest tak mało prawdopodobne, że bardziej mąci człowiekowi w głowie niż pomaga. Chyba z dwojga złego wolałabym, żeby to było coś... oczywiście ponadnaturalnego, wtedy przynajmniej miałabym pewność, że powinnam zgłosić się do wróżki. Albo do najbliższego domu wariatów. Myślisz, że to możliwe? Mam na myśli: możliwe, że książki przesyła zwykły człowiek?

Po raz pierwszy z pełną powagą zadała mu pytanie i chciała usłyszeć odpowiedź. Poczula się trochę nieswojo, gdy sobie to uświadomiła.

– Możliwe, ale mało prawdopodobne. Bardzo mało, tak że w zasadzie chyba nie powinniśmy brać tej możliwości pod uwagę. Na mój gust te dziwaczne sny przeważają szalę. Osłabienie, zawroty głowy, nawet krwawe poty, to wszystko da się sztucznie wywołać. Ale nie słyszałem o człowieku, który potrafiłby zmusić kogoś, żeby wyśnił sen na konkretny temat. Chyba... – zawahał się, ale wyczuwając rozluźnienie atmosfery, zdecydował się kontynuować – że ty sobie to wmówiłaś. Czekaj, moment, nie denerwuj się. Nie chcę przez to powiedzieć, że coś z tobą jest nie tak. Powiedzmy, że pewnego razu dostałaś książkę, ale zamiast się ucieszyć jak wcześniej, byłaś zaniepokojona i nie chciałaś jej przeczytać. Wtedy przyśnił ci się sen o tym, że nie możesz znaleźć drogi do domu. To mi wygląda na typowy koszmar dziecka, które czuje się zagrożone i niepewne. Poza tym książka nosi przecież tytuł „Droga do domu” i to też pewnie miało wpływ. Dalej wystarczyło już tylko, żeby twój umysł skojarzył nieczytanie książki z pewnym konkretnym snem, czy może raczej tematem snu, i potem już sama zmuszałaś się, żeby śnić koszmar za każdym razem, gdy nie przeczytałaś prezentu.

Ewa skrzywiła się.

– Dla mnie to jakiś pseudopsychologiczny bełkot. Sorry, ale nie kupuję tego.

– Dobra, w porządku, przecież nie mówię, że tak było. To tylko teoria, zresztą faktycznie nieco naciągana. Dlatego twierdzę, że mamy do czynienia z czymś, czego się nie da racjonalnie wyjaśnić.

Paweł znowu otworzył książkę, ale tym razem zatrzymał się na pierwszej stronie.

– Wydawnictwo Oczerety, Wrocław, ulica Przejrzysta 7. To oczywiście, już sprawdziłaś?

– Jasne, że tak. We Wrocławiu nie ma ulicy Przejrzystej. Jest w Lublinie, ale o wydawnictwie Oczerety nikt tam nie słyszał.

– W internecie szukałaś?

– Masz mnie za idiotkę? Pewnie, że szukałam, ale nic to nie dało. Jeśli wpiszę hasło „Oczerety”, to wyrzuci mi w pierwszej kolejności hasło z Wikipedii, a w drugiej jakąś

agroturystyczną bazę.

– A Stanisław Łopianowski?

– Stanisława nie ma, jest tylko Narcyz, który napisał książkę „Rozmowy z NKWD”.
Jakoś wątpię, żeby to był on.

– Tytuł książki?

– Mnóstwo takich jest. – Ewa wzruszyła ramionami. Zaczynała odczuwać zmęczenie i jednocześnie miała ochotę na papierosa. Pierwsze nie było niczym dziwnym, ale drugie już tak, bo ostatni raz paliła w liceum.

– Styl tych rysunków? Widziałaś kiedyś coś takiego? Nie mam na myśli konkretnych obrazków, tylko manierę rysowania?

Ewa apatycznie kręciła głową.

– Może warto by je zeskanować, a potem wrzucić na stronę internetową. – Paweł w zamyśleniu szarpnął brodę. – Ktoś mógłby je rozpoznać. Pomyślałaś o tym?

– Nie... – Ożywiła się, ale tylko na chwilę. Zmęczenie i zniechęcenie brały w niej górę. Bo właściwie, co by to dało?

– Dobra, to jest jakaś szansa. Może spróbujemy, jeśli nie wpadniemy na nic lepszego. Moment... – Pochylił się nad książką i wpatrywał się w nią jak poszukiwacz złota w przesiewany piasek. – Masz w domu lupę?

Zawahała się, zanim przytaknęła.

– Przyniesiesz? Będę wdzięczny.

Gdy Ewa wróciła, Paweł wciąż pochylał się nad książką, ale wzrok miał zamglony. Szczeka mu opadła, rysy twarzy obwisły, jakby w ciągu kilku minut postarzał się o dziesięć lat. Jak zawieszony komputer, pomyślała Ewa.

– Hej. – Musiała szarpnąć go za ramię, żeby zwrócił na nią uwagę.

Wyprostował się, potarł czoło. Wyglądał już na nieco bardziej przytomnego, choć wzrok wciąż miał odległy.

– Przepraszam, zamyśliłem się. Mam trochę problemów i czasem mnie tak dopada. Nie przejmuj się.

– Jesteś pewien, że chcesz zajmować się moimi kłopotami? Może powinieś zająć się własnymi?

W jego oczach pojawił się cień lęku. Spojrzenie Pawła było teraz skoncentrowane i uważne.

– Nie, naprawdę nie. Znaczy, nie trzeba. Nic mi nie będzie. To dla mnie troszkę taka odskocznia, jeśli wybaczysz porównanie. Potrzebuję tego.

W tonie, jakim wypowiedział ostatnie zdanie, było coś, co przeczyło lekkości określenia „odskocznia”. Ewa wyczuła to, ale przelotne wrażenie zniknęło, zanim zdążyła się nad nim zastanowić i nabrać nieufności.

– Masz lupę?

- Mam. Uważaj, to antyk.
- Nie szkodzi, ważne, że działa.

Wrócił do ślęczenia nad książką, znów z zaaferowaną miną, ożywiony, jakby ostatnich kilku minut w ogóle nie było.

Ewa czekała. Najpierw patrzyła mu przez ramię, ale potem znudziła się i przygotowała sobie jeszcze jeden kubek herbaty tym razem czarnej, z miodem i cytryną. Gdy skończyła, zegar zaczął wybijać północ.

Czekała nadal i kiedy już naprawdę zaczęła się denerwować, Paweł uniósł głowę nad książki. Jego oczy były okrągłe ze zdumienia. Ewa nigdy nie wierzyła, że to literackie porównanie ma sens, ale miało.

- Znalazłeś coś?

Szarpnął brodę i teraz ten gest oznaczał raczej bezradność niż zastanowienie.

- Nie wiem. Sam nie wiem. Cholera, nie chce mi się wierzyć.

- Powiesz, co to takiego?

– Wolałbym nie. Znaczący, chcę się upewnić, bo jeśli się mylę, to wyjdę na idiotę. Słuchaj, nie jesteś jakoś szczególnie przywiązana do tej książki, co? Mogę wydrzeć z niej kartkę i ją sobie wziąć?

– Możesz wziąć całą albo całą podręcz, jeśli masz ochotę. Sama bym chętnie to zrobiła. Zresztą już kiedyś zrobiłam.

– Wystarczy mi jedna kartka. Poza tym nie chcę ci zabierać książki. Myślę, że powinnaś ją jeszcze raz przeczytać.

– Zwariowałaś? – Ewa z niesmakiem zacisnęła usta. – W życiu nie przeczytam tego z własnej woli, robię to tylko dlatego, że muszę. Raz i mam spokój na cały rok.

Zerknął na zegarek.

– Cholera, muszę lecieć, jutro do pracy... Znaczący, dzisiaj. – Wstał, po czym zatrzymał się w pół ruchu, żeby spojrzeć Ewie w oczy. – Słuchaj, co ci szkodzi? Książka nie jest zbyt sympatyczna, fakt, ale bez przesady. Widziałem znacznie bardziej paskudne horrory. Spróbuj, bo może szukamy w złym miejscu. Może odpowiedź na pytanie, skąd ta książka się bierze, tkwi nie w nazwie wydawnictwa albo nazwisku autora, ale właśnie w treści. Albo w ilustracjach. Po prostu spróbuj przeczytać jeszcze raz, i to nie tak pobieżnie, byle mieć za sobą, ale na spokojnie. I obrazki też pooglądaj. Może na coś wpadniesz, nie wiem, jakieś skojarzenie, czy coś. Co ci szkodzi? – powtórzył. – Stracisz może pół godziny, a jeśli nic z tego nie będzie, to będziemy przynajmniej wiedzieli, że nie tędy droga.

Przez całą tę przemowę Ewa milczała z zaciętym wyrazem twarzy, ale kiedy Paweł skończył, niechętnie skinęła głową. Miał rację, a ona i tak dzisiaj będzie musiała wziąć tabletkę, żeby zasnąć.

Paweł miał rację także w innej kwestii – książka naprawdę nie była aż tak obrzydliwa, jak wydawało się Ewie. Ktoś o specyficznym guście mógłby nawet uznać ją za interesującą. Opowiadała o złotowłosej dziewczynce, którą pewnego dnia matka i ojciec wywieźli do głębokiego lasu i tam zostawili. Dziecko przeżyło mnóstwo przygód, zanim wróciło do domu, do rodziców, którzy w międzyczasie uznali, że nie chcą jej porzucić. Jednak ten ociekający lukrem happy end jaskrawo kontrastował z resztą historii. Dziewczynka (nie miała imienia, autor przez cały czas nazywał ją właśnie Dziewczynką) wcale nie była miła ani grzeczna jak większość baśniowych bohaterek. Bywała bezlitosna i podstępna, a w potrzebie nie wahała się użyć swoich rozkwitających wdzięków. Inna rzecz, że ludzie, zwierzęta i magiczne istoty, jakie spotykała, wcale nie okazywali się lepsi. Kobieta z chatki na kurzej nóżce usiłowała wepchnąć dziewczynkę swemu podstarzałowemu mężowi do łóżka, kot udawał przyjaciela, ale tak naprawdę chciał tylko rozerwać bohaterce gardło i napić się świeżej krwi, a smok okłamał ją dla czystej frajdy. Dziewczynce czasem się udawało umknąć niebezpieczeństwu, a czasem nie, raz była ofiarą, a raz katem. Była to historia oszustw, zrad, gwałtów i fizycznej przemocy, w której dziecko niespodziewanie okazało się graczem jeśli nie wytrawnym, to przynajmniej nie gorszym od innych. Adekwatne do historii ilustracje przedstawiały brzydkie, naznaczone podłością twarze, spojrzenia nienawistne, chytre albo pożądliwe, ślinę kapiącą z ust czy pysków, krew, błoto, brud i flaki. A pośród tego wszystkiego tkwiła jasnowłosa Dziewczynka w krótkim, ledwo zakrywającym uda płaszczku barwy płomieni. Czerwony Kapturek w krzywym zwierciadle, okrutny i na swój sposób wciąż dziecięco niewinny.

Skłamałam? (wielkie oczy otwarte w wyrazie naiwnego zdumienia) Ale przecież wszyscy kłamią?

Zrobiłam mu krzywdę? Bolało go? (oczy jeszcze większe i bardziej błękitne) Ależ musiałam, bo inaczej on zrobiłby mi to samo.

Ewa odsunęła od siebie książkę otwartą na ilustracji, która ukazywała włochatą łapę nurkującą w dziewczęcych majteczkach. Dawno już wyrosła z wieku nastoletniej niewinności, ale mimo to obrazek napełnił ją niesmakiem. Kto mógłby chcieć coś takiego malować, o oglądaniu już nie wspominając?

Z drugiej strony, przecież to samo życie, nie? Na świecie jest pełno niewyżytych samców, którzy myślą tylko o jednym, i jeszcze więcej oszustów, krętaczy i psycholi. Biorąc to pod uwagę, cóż winna jest złotowłosa dziewczynka, że w brutalnej rzeczywistości radzi sobie przy pomocy brutalnych metod?

Ewa zamknęła oczy. No i dupa biała, pomyślała, przeczytałam całość jeszcze raz i nic mi to nie dało. Niech Paweł idzie do diabła z tymi swoimi metodami. Jutro mu powiem, żeby nie zawracał mi więcej głowy.

Jednak przez cały czas miała wrażenie, że coś przegapiła. Uczucie było bliskie temu, jakiego człowiek doznaje, gdy wychodząc z domu, zapomni zamknąć za sobą drzwi. Coś

ważnego i jednocześnie oczywistego. Wiedziała, że kiedy wreszcie sobie przypomni, powie w myślach: Boże, jak mogłam być taką kretynką.

To mogło mieć coś wspólnego z książką, ale nie musiało.

Ewa westchnęła i sięgnęła po tabletki nasenne.

Spała źle, spocona i dręczona złymi snami, których później nie mogła sobie przypomnieć. Kilka razy w nocy budziła się i otumaniona lekiem zapalała światło, bo zdawało jej się, że w sypialni ktoś jest. Jednak pokój za każdym razem okazywał się pusty. Pusty i obcy.

Sen, który nadszedł nad ranem, był inny. Też niepokojący, ale nie koszmar. Na wpeł przytomna Ewa usiadła i wymamrotała: Boże, jak mogłam być taką kretynką. Potem zadzwoniła do firmy z informacją, że źle się czuje, chyba złapała jesienną grypę i nie przyjdzie dziś do pracy. Gdy tylko odłożyła słuchawkę, padła z powrotem na łóżko i zamknęła oczy. Tym razem nic jej się nie śniło.

* * *

Obudziła się na dobre przed jedenastą i przez chwilę rozkoszowała się przyjemnością leżenia w pościeli o tej porze. Czowała niepokój, odwlekała więc moment, w którym będzie musiała stawić czoło rzeczywistości. Jak w poranek przed egzaminem, gdy człowiek czepia się resztek snu i nie chce pamiętać o tym, co go czeka. W sypialni panował półmrok, o szyby monotonnie uderzały drobne krople deszczu. Kołdra, w którą Ewa się zawinęła, pachniała jaśminowym płynem do płukania. Tak przyjemnie, tak ciepło. Jeszcze dziesięć minut, jeszcze pięć, odliczała czas na stojącym przy łóżku budziku.

Niepokój zmienił się w strach, a ten z kolei w determinację, która w końcu zmusiła Ewę do wstania. Zapaliła światło i sięgnęła po książkę, by potwierdzić to, czego i tak była niemal całkowicie pewna.

Jeden z narysowanych w książce przedmiotów zdecydowanie wyglądał znajomo.

Wzięła prysznic, a potem usiadła w kuchni i spróbowała wmusić w siebie trochę owocowych muesli. Suche płatki z trudem przechodziły przez przełyk, a potem do żołądka, który w ciągu ostatnich dni skurczył się do rozmiarów suszonej śliwki. Przynajmniej takie Ewa miała wrażenie. Pomyślała, że przydałoby się kupić mleko. Albo jogurt. Cholera, powinna kupić mnóstwo rzeczy. I posprzątać, i zrobić pranie.

Z pudełka muesli gapiło się na nią rozmazane, czarno-białe zdjęcie mniej więcej czternastoletniej dziewczynki. Arieta Kowalczyk, wyszła z domu siódmego sierpnia i dotąd nie wróciła. Ktokolwiek widział, ktokolwiek wie... I numer telefonu, niekatowicki, z kierunkowym chyba na Poznań.

Dziwne. Nie zauważyła wcześniej tej fotografii, a przecież pudełko stało w szafce od dawna. Ponadto pomysł umieszczania portretów zaginionych dzieci na kartonowych opakowaniach kojarzył jej się z amerykańskimi filmami. Ewa nie wiedziała, że w Polsce też

się tak robi.

Ktokolwiek widział, ktokolwiek wie... Nie brzmiało to optymistycznie, a dziewczynka na zdjęciu uśmiechała się smutno, jakby świadoma swego losu. Miała aparat na zębach i wyglądała raczej na bujającą w obłokach marzycielkę niż na nieletnią uciekinierkę.

Ewa wrzuciła puste pudełko do kosza na śmieci i spojrzała w okno. Deszcz wciąż padał, ale wiedziała, że naprawdę musi wyjść. Kupić bułki, chleb, cokolwiek. Jeśli dziś nie zje czegoś solidnego, zacznie mdleć z osłabienia. Już teraz, gdy zbyt gwałtownie wstawała z krzesła, kręciło iei się w głowie.

Zrezygnowana ruszyła w stronę szafy. Mieszkanie wciąż wydawało jej się obce, ale nie było już w nim nic groźnego. Tylko obcość hotelowego apartamentu, w którym zatrzymuje się człowiek w podróży. Tak właśnie czuła się teraz Ewa. W podróży. Poza tym od momentu, kiedy się obudziła, wiedziała, że w domu nic jej nie grozi. Po prostu wiedziała i ta świadomość napełniła ją względny spokojem. Bała się, owszem, zepchnięty w głąb świadomości strach tylko czekał, żeby wychynąć na powierzchnię. Ale prócz strachu wciąż czuła determinację i coś jeszcze, czego nie doświadczyła od bardzo dawna, a przynajmniej nie w związku z książką.

Ewa była zaintrygowana.

* * *

Trzymając w ręku pełną siatkę, wskoczyła do tramwaju. Zrobiła to pod wpływem impulsu, wyłącznie dlatego, że tramwaj akurat nadjechał, a ona miała przemoczone buty i dość walki z wiatrem, który próbował wyrwać jej parasol. Gdy zamknęły się za nią drzwi, uświadomiła sobie po pierwsze, że nie ma biletu, a po drugie, że to nie ma znaczenia. Przecież od domu dzielił ją tylko jeden przystanek.

Postawiła siatkę na wolnym siedzeniu i zamknęła ociekający parasol. Deszcz bębnił o okna tramwaju, a gdy pojazd skręcał, z dachu lały się strugi wody. Typowo jesienna plucha, myślała, poprawiając ułożenie siatki, która zaczęła się zsuwać.

Gdy uniosła głowę, jej wzrok padł na rozmazaną, czarno-białą kserokopię zdjęcia. Nastoletnia twarz, a poniżej znajomy napis *Ktokolwiek widział...* W pierwszym odruchu pomyślała, że to ta sama dziewczyna co na opakowaniu płatków, ale nie, tym razem był to chłopak o dziewczęcej twarzy. Podobny wiek – jakieś czternaście, góra piętnaście lat. I numer telefonu. Nawet niespecjalnie się zdziwiła, że znów widzi zdjęcie zaginionego dziecka. Znała ten efekt – gdy raz zauważysz coś niezwykłego, łatwiej jest ci dostrzec to ponownie, wyłowić z szarego szumu codzienności. Na tej samej zasadzie kiedyś, dawno temu, gdy matka wytłumaczyła jej, skąd się biorą dzieci, świat wokół zaroił się od kobiet w ciąży.

Tak, to musiało być to.

Niespodziewanie poczuła pewność, że chłopak ze zdjęcia nigdy nie wróci do domu.

Dziewczyna też nie. Ewa to wiedziała, tak samo jak wiedziała, że w mieszkaniu nie grozi jej niebezpieczeństwo. Żadnych dowodów, żadnych nawet przesłanek. Po prostu czysta oczywistość.

Tramwaj zatrzymał się i Ewa wysiadła. Spróbowała otworzyć parasol, ale ten zaciął się jak na złość. Zaklęła, biegnąc pod dach przystanku, gdzie kuliło się już kilkoro zziębniętych ludzi. Deszcz padał coraz mocniej. W kałużach rozkwitały i zaraz pękały wielkie jak pięści bańki powietrza, a zacinające na skos strugi rozmywały jaskrawe barwy wysokiej na pół budynku reklamy banku Millennium, która dominowała nad ulicą. Rozmywały też inną plamę koloru, znacznie mniejszą i znajdującą się o wiele niżej. Czerwony płaszczyk dziecka, które stało po drugiej stronie ulicy, obserwując, jak przemarznięta i wściekła Ewa walczy z opornym parasolem.

* * *

Telefon zadzwonił tuż po trzeciej. Ewa podniosła słuchawkę lewą ręką, bo w prawej trzymała łyżkę, którą mieszała sos pomidorowy.

– Halo?

– Cześć. – Rozpoznała głos koleżanki jeszcze z czasów studenckich. Lubiała od czasu do czasu posiedzieć z nią w przytulnej knajpcie, gdzie Baśka raportowała najnowsze wieści z życia ich wspólnych znajomych. Jednak plotki przy kawie to jedno, a telefoniczna rozmowa drugie, zwłaszcza że Ewa nie miała teraz ochoty na takie pogawędki.

– Cześć. Jestem w tej chwili trochę zajęta, wybaczone – nie starała się nawet, żeby zabrzmiało to jakoś szczególnie uprzejmie.

– Nie zajmę ci dużo czasu. – W głosie Baśki słychać było podniecenie. – Po pierwsze, wszystkiego najlepszego z okazji urodzin, trochę spóźnione, ale szczere.

– Dzięki – powiedziała Ewa nieco cieplejszym tonem, wyłączając przy tym gaz. Intensywny zapach czosnku wypełniał całą kuchnię. Może nieco zbyt intensywny? Nabrała sosu na łyżkę i spróbowała ostrożnie. Nie, chyba wszystko jest w porządku. Dodała tyle przypraw, ile powinna.

– A po drugie – ćwierkała jej w ucho koleżanka – wyobraź sobie, że dziś zjawił się u mnie w pracy twój były mąż. Powiedział, że przechodził obok i postanowił wpaść. Dziwne, nie?

Ewa zmarszczyła brwi. Radek nie był wielbicielem ani rozgadanej Baśki, ani tym bardziej kolorowych spinek do włosów, które sprzedawała w swoim butiku.

Faktycznie dziwne.

– A teraz trzymaj się, bo będzie jeszcze dziwniej. Radek zaczął mnie o ciebie wypytywać. Czy ciągle mieszkasz sama, czy z kimś się spotykasz, nawet czy ciągle lubisz wyjść wieczorem na spacer, a jeśli tak, to gdzie. Myślę, że on chce, żebyś do niego wróciła.

– Nie, nie chce – zaprzeczyła odruchowo. Chodziła teraz po mieszkaniu ze słuchawką przytuloną do ucha. Zawsze najlepiej jej się myślało w ruchu. – Nie wiem, o co mu chodzi, ale na pewno nie o to.

– Tak, wiem, gdyby człowieka można było zabić przez naciśnięcie guzika, już byłabyś trupem. – Baśka zachichotała. – Mówiłaś mi. Ale daj spokój, Ewa, ludzie czasem godzą się po rozwodach.

– Tu nie chodzi tylko o rozwód.

– A o co?

– Coś, czego na pewno mi nie wybaczy. Zwłaszcza że jest tak cholernie pamiętliwy – dodała Ewa.

To była prawda, Radek nienawidził z daleka, z ostrożnego dystansu tchórza, ale jednocześnie z cichą, cierpliwą pasją. I nigdy nie zapominał, gdy ktoś raz nastąpił mu na odcisk, a przecież ona zrobiła dużo, dużo więcej.

– I nie powiesz mi, co to konkretnie było, co? Może następnym razem przy kawie, nie przez telefon?

– Może.

Podeszła do okna. Ciągle lało, choć teraz jakby trochę mniej – a może tylko tak jej się wydawało, może to był przejaw resztki życiowego optymizmu, która Ewie została. Tak czy inaczej, widoczność była na tyle dobra, że mogła zobaczyć sylwetkę dziewczynki w czerwonym płaszczku, która siedziała na zepsutej karuzeli i bujała się apatycznie. Po raz pierwszy zauważyła tę małą, gdy wracała do domu z zakupami. Stała wtedy przy sąsiednim bloku, drobna i zgarbiona, z rękoma w kieszeniach i szerokim kapturem zasłaniającym twarz. Stała i mokła, a Ewa zastanawiała się nawet, czy nie podejść do niej i nie zapytać, gdzie są jej rodzice. Ostatecznie jednak dała spokój – to nie była jej sprawa, a poza tym obok przechodziło sporo innych osób i Ewa pomyślała sobie, że któraś z nich na pewno zajmie się dzieckiem.

Jak widać, nikt się nie zajął. Cóż, może mała po prostu czeka tu na wracającą z pracy matkę i wcale nie chce, żeby ktoś obcy się nią zajmował.

Basia coś mówiła, a Ewa zorientowała się, że umknął jej początek.

– Mogłabyś powtórzyć?

– Mówiłam, że twój eks wygląda teraz całkiem nieźle. Ma nowe ciuchy i nawet zęby kazał sobie wstawić. Nie poznałabyś go.

A więc Radek zdołał odbić się od dna. Ewę niespecjalnie to zdziwiło, bo pieniądze zawsze lubiły jej byłego męża, nawet nie musiał się za bardzo o nie starać. No i bardzo dobrze. Może skupi się na wydawaniu forsy i skończą się te pełne nienawiści telefony. A przynajmniej będzie ich mniej.

– Mówił, że skończył z piciem – kontynuowała Baśka.

– Już w to wierzę. Radek pił nawet wtedy, kiedy byliśmy małżeństwem, tyle że robił to

bardziej dyskretnie.

– No to może znowu pije dyskretnie. W każdym bądź razie nic po nim nie widać, wygląda prawie jak dziesięć lat temu.

– W to też nie wierzę.

Dziesięć lat temu Radosław Wilkorz miał zmysłowy wygląd greckiego efeba, a taka uroda nigdy nie trwa długo. Nawet bez podlewania alkoholem delikatna skóra szybko szarzeje, a twarz traci kształt idealnego owalu. Dzisiaj odrodzony Radek mógł być mężczyzną przystojnym, dobrze się prezentującym, zadbanym, a może nawet uroczym, niech będzie. Ale z pewnością nie miał w sobie tego subtelnego piękna, które kiedyś Ewę oczarowało.

Spojrzała raz jeszcze przez okno. Dziewczynki już nie było i Ewa odetchnęła z ulgą.

– Muszę kończyć, wybacz. Obiad mi się przypala – skłamała bez wyrzutów sumienia.

– Ty gotujesz obiad? – Baśka zarechotała radośnie. – Żartujesz, a ja myślałam, że żywisz się powietrzem. Dobra, koniec rozmowy, jeszcze tylko jedno: masz czas w weekend? Może byś do mnie wpadła?

– Nie mogę. Wyjeżdżam.

– O? Dokąd? I z kim?

– Nic ciekawego. Naszła mnie ochota, żeby odwiedzić stare kąty. Wybieram się do Lelichowa, wiesz, gdzie się wychowałam.

Dopiero teraz Ewa pojęła, że jest zdecydowana i naprawdę zamierza to zrobić. Pojedzie nad jezioro Kosiakowo, tam gdzie wszystko się zaczęło, dawno temu, od rozbitego lustra.

* * *

– Lustro – powtórzyła Ewa cierpliwie, wskazując ilustrację w książce. – W naszym starym domu mieliśmy takie samo. Widzisz te charakterystyczne dla stylu empire mosiężne plakiety? To antyk, biedermeier, z pierwszej połowy dziewiętnastego wieku. Moja matka uwielbiała to lustro, a ja stłukłam je pewnego dnia i jeszcze tego samego roku na urodziny dostałam pierwszą książkę.

Paweł spojrzał na nią znad kubka z gorącą kawą, o który grzał zmarznięte dłonie. Z mokrych włosów spływały mu na policzki krople wody, bo jak idiota wybrał się w taką pogodę bez parasola, tylko w skórzanej kurtce.

– Jesteś pewna? Znaczący, że to był ten sam rok?

– Prawie pewna – dodała ucziwie. – Myślisz, że to ma jakiś związek?

– Na to wygląda.

– Wybieram się tam jutro z samego rana. – Odsunęła książkę. – To kawał drogi, ale na wieczór powinnam być. Muszę tylko dzisiaj jeszcze zadzwonić do rodziców.

– Ten stary dom wciąż jest wasz?

– Nie, jasne, że nie. Po śmierci babki dostała go siostra mamy, która mieszka tam teraz

sama. Dlatego właśnie chcę pogadać z rodzicami. Ja jej zbyt dobrze nie znam, ostatni raz widziałyśmy się dwadzieścia lat temu, ale mama może do niej zadzwonić i zapytać, czy nie mogłabym wpaść na chwilę. Myślę, że ciotka Irena się zgodzi, bo czemu nie. Muszę tylko wymyślić jakiś w miarę wiarygodny pretekst.

– Mogę jechać z tobą? – Pawłowi zaświeciły się oczy.

Cofnęła się lekko w odruchu niechęci.

– Po co?

– Bo mnie to interesuje, już ci mówiłem. A poza tym – uśmiechnął się szeroko – mam coś do przehandlowania. Dałem kumpłowi tę kartkę, wiesz, tę którą wczoraj zabrałem, i okazało się, że miałem rację.

Triumfalnie wyciągnął z kieszeni pomietą stronę i rozprostował ją, starannie wygładzając zagięcia.

– To nie jest druk – oznajmił. – Ta książka jest w całości pisana ręcznie.

– Żartujesz.

– Nie. – Pokręcił głową, wciąż bardzo z siebie zadowolony. Jego uśmiech sprawiał, że Ewa bez trudu mogła wyobrazić sobie, jak wyglądał Paweł przed dwudziestoma laty, sprzed czasów siwiejącej brody, przekrwionych oczu i chwil, gdy zawieszał się jak komputer. – Literki naśladują druk, owszem, ale wszystkie pisane są ręcznie czarnym tuszem. Pod mikroskopem widać to wyraźnie, wiesz, lekko falista laseczka w „l”, gdy piszącemu zadrżała ręka, albo literki trochę bardziej ściśnięte tam, gdzie kończyła się linijka i brakowało miejsca. Komputerowy skład nie da takiego efektu, zaręczam.

– I co z tego wynika?

– Masz pojęcie, jak niesamowitej cierpliwości i precyzji musi wymagać zrobienie czegoś takiego? Ta książka to dzieło sztuki, warte pewnie kupę kasy, gdybyś zdecydowała się ją sprzedać.

– No, teraz warta jest trochę mniej, skoro wyrwałeś z niej kartkę – zauważyła zgryźliwie Ewa.

Paweł zaczerwienił się.

– Wiem, przepraszam, idiota ze mnie. Nie pomyślałem o tym.

Jego skrucza ułagodziła trochę Ewę, która ponadto pamiętała, że przecież sama nie miała nic przeciwko wyrwaniu kartki.

– Nie przejmuj się. I tak nie miałam zamiaru jej sprzedawać. Po pierwsze, musiałabym wyjaśnić, skąd ją wzięłam, a po drugie, trochę głupio sprzedawać coś, co prędzej czy później zniknie nabywcy z szuflady. Ale jeśli ci się wydaje, że przehandlujesz to odkrycie za wyjazd ze mną, to się mylisz. – Jej głos stwardniał. – Przecież i tak musiałbyś mi o tym powiedzieć. To moja książka, a ty nie masz prawa stawiać mi żadnych warunków.

Paweł zaczerwienił się jeszcze bardziej, choć wydawało się to niemożliwe.

– Rany, musisz być taka strasznie poważna? To był dowcip, OK? Głupi, w porządku,

przyznaje, ale przecież nie miałem zamiaru stawiać ci żadnych warunków ani nic w tym rodzaju! Przepraszam, jeśli tak to odebrałaś, serio, bardzo mi przykro.

– Czemu tak bardzo ci zależy na wyjaśnieniu, skąd ta książka się bierze? Tak naprawdę?
– Umilkła, bo nagle przyszło jej do głowy paskudne podejrzenie. – Chyba że jesteś jednym z NICH i masz mnie pilnować albo coś w tym rodzaju...

– Popadasz w paranoję – Paweł skrzywił się z niesmakiem. – Nie jestem żadnym jednym z „nich” i wiem jeszcze mniej niż ty. Dla mnie to... sprawa osobista.

Uwierzyła mu, ale nie zamierzała odpuścić.

– Znaczy?

Umknął wzrokiem w bok, ale odpowiedział szczerze. Chyba.

– To moja jedyna szansa, żeby się przekonać, że oprócz tego – z nagłym, desperackim wyrazem obrzydzenia złapał się za puciołowaty policzek – mięsa coś jeszcze jest. Cokolwiek, anioł, diabeł, wszystko mi jedno.

– Mnie tam nie byłoby wszystko jedno, czy spotkam anioła, czy diabła – Ewa uśmiechnęła się kpiąco. To miał być żart dla rozładowania napięcia, ale nie wyszedł, bo Paweł nadal unikał spoglądania jej w oczy.

– Poza tym – dodał po chwili, z wahaniem i prosząco – myślę, że przydałoby ci się towarzystwo. Naprawdę chcesz tam jechać całkiem sama? Ja nie jestem najlepszym towarzystwem, ale lepsze takie niż żadne. To znaczy... – Zmieszanie na jego twarzy zmieniło się niemal w grozę. – Nie chciałem...

Nie chciał sugerować, że Ewa żadnego innego towarzystwa nie ma, oczywiście.

– Daj spokój – oszczędziła mu tłumaczeń. W jego ciągłej gotowości do przeproszania było coś, co budziło w niej zarazem współczucie i niechęć. – Zastanowię się i zadzwonię wieczorem, w porządku?

Na dobrą sprawę mogłaby zgodzić się już teraz, bo oczywiście Paweł w irytujący sposób znów miał rację i Ewa wcale nie miała ochoty jechać do Lelichowa sama. Nie chciała jednak, aby wyglądało na to, że za bardzo jej zależy.

* * *

Telefon leżał na samochodowym siedzeniu i wibrował, połyskując błękitnym ekranem, na którym widniał napis: Radek.

Nie odbiorę, postanowiła Ewa, zaciskając ręce na butelce sprite'a. Ten jeden raz nie odbiorę.

Telefon przestał dzwonić i kobieta rozluźniła się odrobinę. Zerknęła na samochodowy zegar. Za piętnaście dwunasta. Szlag by to trafił. Z Katowic wyjechali po ósmej i przez cały ten czas ledwo udało im się minąć Wrocław. Cholerna mgła, pomyślała Ewa, czując, jak miejsce złości i zdenerwowania zajmuje zniechęcenie.

Mgła wciąż unosiła się na parkingu przy stacji benzynowej, gdzie zatrzymali się, żeby zatankować i kupić coś do picia. Mleczne kłęby sunęły leniwie, podświetlone przez samochodowe światła, które nadawały im połyskliwy, żółty kolor.

Gdzie ten Paweł? Kwadrans wystarczy w zupełności, żeby kupić paczkę chipsów czy colę.

Może dzwonił do żony? Nie, przecież jego komórka została na tylnym siedzeniu, tam gdzie rzucił ją wraz z kurtką.

Zirytowana Ewa wysiadła. Wilgotne zimno natychmiast oblepiło jej policzki i wdarło się pod płaszcz. Zapięła go, mamrocząc pod nosem ciche przekleństwa, i dla pewności jeszcze postawiła kołnierz.

Telefon znów zaczął wibrować, świecąc przy tym i sunąc w poprzek fotela niczym prostokątny żuk.

Ewa zacisnęła usta. Nie odbiorę, powtórzyła w myślach. Dwie nieprzyjemne rozmowy telefoniczne w ciągu dwudziestu czterech godzin to przesada. Tę pierwszą odbyła wczoraj wieczorem, gdy zadzwoniła do rodziców i odebrała jej matka, ewidentnie w złym humorze, ewidentnie po kłótni z ojcem. Porozmawiaj z nim, powiedziała do Ewy. Ciebie posłucha, zawsze byłaś jego ukochaną córeczką. Przemów mu do rozumu, wytłumacz, że tak dłużej nie może być, słyszysz? Ja tego dłużej nie wytrzymam, zabiję się, chcesz mieć na sumieniu śmierć własnej matki?

Ewa spędziła następne pół godziny, starając się ją uspokoić i dostać to, po co dzwoniła, czyli obietnicę telefonu do ciotki Ireny, jednocześnie wykręcając się od konieczności rozmowy z ojcem, który – była tego absolutnie pewna – gdyby zgodziła się „przemówić mu do rozumu”, powiedziałby coś w rodzaju: „Napuściła cię na mnie, co? Nie spodziewałem się tego po tobie, mała, no, no, po tym, co razem przeszliśmy”, w tonie niby to żartobliwym, ale jednak pełnym urazy. Potem zbyłby wszystkie jej słowa jakimś niemądrym dowcipem, opowiedział, co zabawnego mu się niedawno zdarzyło, a na sam koniec dobiłby ją stwierdzeniem: „To już nie mam co liczyć, że jeszcze kiedyś pooglądamy razem mecz? Skoro teraz jesteś po JEJ stronie”.

Odkąd Ewa pamiętała, w ich domu zawsze istniały dwie strony: matka i ojciec, bawiący się w przeciąganie liny, którą w tym przypadku była ich córka. Dziewczynka zmuszana była do rozstrzygania sporów, na początku kompletnie niezrozumiałych, a potem przerażających swą absurdalnością. Z dzieciństwa pamiętała gniew, taki, którego nie da się wyrzeszczyć, choćby człowiek wypułł płuca, ani wyrzucić z siebie wraz z przekleństwem. Dławiący, trujący gniew, który bierze się z kompletnej bezradności, złość granicząca z chęcią zrobienia matce i ojcu fizycznej krzywdy (podrapać, uderzyć, kopać, może wtedy coś do nich dotrze), bo Ewę proszono o radę, ale nie istniały żadne słowa, którymi można by rozstrzygnąć ten spór, nic, żadnych argumentów. Rodzice zwracali się do Ewy, ale tak naprawdę jej nie słuchali – każde z nich słyszało tylko to, co chciało usłyszeć.

Tyle razy chciała sobie odpuścić, przestać się przejmować i ograniczyć się do wysyłania rodzicom kartek ze świątecznymi życzeniami. Niech się kiszą w sosie własnych pretensji, w urojonym świecie pełnym wzajemnie wyrządzanych krzywd. Mogłaby to zrobić, pochować całą przeszłość, wspomnienia z dzieciństwa, tak jak się chowa najlepszego przyjaciela – z czułością i smutkiem, nie pamiętając już tego, co złe. A potem czekać na telefon z informacją, że jej ojcu udało się wreszcie zapisać na śmierć. Kiedyś to musiało nastąpić, bo matka, choć potrafiła zrobić awanturę o byle drobiazg, nigdy tak naprawdę nie przyjęła do wiadomości faktu, że jej mąż ma problem z alkoholem. Mogłaby. Ale zawsze wtedy coś zmieniało jej decyzję: szła do rodziców z wizytą, zaciskając zęby w przekonaniu, że to już ostatni raz, i zastawała szczęśliwą, żartującą ze sobą parę. Bo przecież we wspólnym życiu państwa Rejtych bywały też dobre chwile, teraz i wcześniej, gdy Ewa była dzieckiem. Całe mnóstwo dobrych chwil, schwytych w ramy wspomnień rozświetlonych słońcem i pachnących lasem, a jednocześnie skażonych gorzką świadomością piekła, w które dwoje przyzwoitych, generalnie sympatycznych ludzi może zmienić swoje życie.

A najbardziej żalosalne w tym wszystkim było to, że Ewa nie tylko rodziców kochała, ale także rozumiała. Wiedziała, dlaczego zachowują się tak, a nie inaczej, знаła ich sposób myślenia, wszystkie lęki i obsesje, które wykrzywiały rzeczywistość. I czasem odnajdywała je w sobie: te same słowa, gesty, sposób rozumowania. Czy przed rozwodem jej własne małżeństwo nie było na doskonałej drodze do tego, aby stać się takim samym jak związek jej rodziców? I czy to właśnie nie z tego powodu zdecydowała się wyrzucić Radka ze swojego życia?

Ewa poczuła zawrót głowy, a ziemia próbowała uciec jej spod stóp, jak dywan w komedii slapstickowej szarpnięty ręką dowcipnisia. Mgła zgęstniała, parking nagle stał się bardzo ciasny. Przysadziste sylwetki samochodów i kwadratowe dystrybutorów, ciepłe od światła okna całodobowego sklepiku – było w tym wszystkim teraz coś nieuchwytnie sztucznego, już nie parking przy stacji benzynowej, tylko teatralna scena pełna dekoracji z kartonu i dykty. A pośród nich stała Ewa, odarta ze wszystkich swoich dorosłych doświadczeń, nie kobieta, lecz mała dziewczynka, ta sama, która dawno temu wchodziła po siedmiu stopniach do pokoju.

Oparła się o samochód i chłód wilgotnej od mgły karoserii przywrócił jej poczucie rzeczywistości. Stacja benzynowa znów była po prostu stacją, a ona kobietą w granatowym prochowcu i botkach na wysokim obcasie. Jednak wspomnienie pozostało i Ewa uśmiechnęła się do niego.

Miała kiedyś pokój, jej własny, istniejący tylko w wyobraźni. Przez lata zapełniała go najbardziej ulubionymi zabawkami i drobiazgami, meblowała, dopracowywała szczegóły. Tapeta w aniołki (widziała taką u koleżanki), stara, niesamowicie miękka i przytulna kanapa, którą jej matka wyrzuciła, bo drewno zżarły korniki, wszystkie ukochane książki, misie i lalki, a także cała dziecięca biżuteria, pierścionki, kolczyki i kolorowe wisiorki. I

karnawałowy strój wróżki z połyskującymi różowo skrzydełkami, za ciasny już w realnym świecie, ale tam, w pokoju, pasujący idealnie. I jeden z kociaków ciotki Asi, ten z łatką na uchu, którego rodzice nie pozwolili jej zatrzymać. I kredki do rysowania. I szafka pełna przysmaków, czekolady, ciastek z kremem i malinowego budyniu.

Jej azyl. Gdy w domu wybuchała kolejna awantura, Ewa uciekała do swojego azylu. Jeden, dwa, trzy, cztery, pięć, sześć, siedem – wchodzę po schodach i zamykam za sobą drzwi. Teraz jestem bezpieczna. Nic, co moi rodzice mówią, i nic, co robią, nie jest w stanie mnie dotknąć. Na pozór wygląda na to, że wciąż jestem z nimi – odwracam się do ściany, zła i obrażona albo udaję, że śpię – ale tak naprawdę mnie tu nie ma. Jestem daleko stąd, w swoim pokoju.

Jak mogła zapomnieć?

Przez chwilę bawiła się rozważaniem, jak umebłowałaby pokój teraz. Ściany w kremowym kolorze, kolekcja aniołów, ulubiony fotel...

Z zamyślenia wyrwał ją dzwonek telefonu. Sięgnęła po niego odruchowo, myślami wciąż przebywając daleko stąd, i odebrała.

Gdy zobaczyła, kto dzwoni, od razu opadła z niej cała radość, całe ciepło wspomnień.

– Nie mogę teraz rozmawiać – ostrzegła.

Spodziewała się wybuchu złości i gróźb, ale zamiast tego usłyszała pytanie: „Dlaczego?”, zadane cichym, spokojnym głosem. Niesamowite, Radek nie zaczął rozmowy od „Zabiję cię, pindo”, powinna chyba jakoś uczcić ten dzień. Jednak mimo to nie zamierzała być dla niego uprzejma, co to, to nie.

– Bo nie. – Po czym dodała już łagodniej, robiąc malutkie ustępstwo na rzecz ocieplenia wzajemnych relacji: – Za dużo trzeba by tłumaczyć.

– Wybrałaś się gdzieś na weekend? – Radek wciąż mówił głosem... nie, nie spokojnym, jak jej się wcześniej wydawało. Jego głos był cichy, owszem, ale jednocześnie pełen napięcia.

– Czemu pytasz? Rozmawiałeś z Baśką? Co cię obchodzi, co ja robię w weekendy?

– Po prostu pytam, nie wolno już zapytać? Czasem gdzieś wyjeżdżasz, nie? Sama albo z kimś. Powiedz, jesteś teraz z kimś?

Roześmiała się z nieoczekiwaną ulgą. To było nawet zabawne, a w każdym razie o niebo lepsze niż wyzwiska.

– Zazdrosny jesteś? Chyba żartujesz. Zajmij się swoim życiem, a moje zostaw mnie.

– Ewa, to ważne...

– Odpierdol się ode mnie, OK? PO prostu się ode mnie odpierdol.

Po drugiej stronie linii przez chwilę panowała cisza, a potem Ewa usłyszała charakterystyczny odgłos przerwania połączenia.

To by było na tyle, jeśli chodzi o ocieplenie relacji, pomyślała, rzucając telefon z powrotem na siedzenie. I tyle, jeśli chodzi o dziewczęce marzenia. Pora skończyć z freudowskim uzależnieniem od dawno minionego dzieciństwa. Dorosłe życie jest brutalne,

pełno w nim skurwieli, którzy patrzą tylko, jak ci skoczyć do gardła. Wykończ ich pierwsza albo oni wykończą ciebie, takiej zasady trzeba się trzymać.

Gdzie ten Paweł? Zgubił się we mgle, czy jak?

Zamknęła samochód, wcisnęła zmarznięte dłonie w kieszenie płaszcza i ruszyła w stronę sklepiku. Sądziła, że zastanie Pawła gawędzącego ze sprzedawcą albo przy półce z magazynami dla panów, wpatzonego w zdjęcia rozebranych pań. Jednak sklepik był pusty, tylko za ladą siedziała znudzona dziewczyna w czerwonej, firmowej bluzie.

Ewa rozejrzała się dyskretnie. Na drzwiach męskiej toalety wisiał napis „chwilowo nieczynne” i to dało jej do myślenia.

Zachciało mu się sikać i polazł w krzaki? Może, ale i tak powinien już wrócić. Chyba że po drodze wpadł w jakąś dziurę i skręcił sobie kostkę.

Idiota, pomyślała, ale nie udało jej się wzbudzić w sobie złości. Zamiast tego poczuła nieoczekiwany niepokój.

Wyszła przed sklepik. Nie było wiatru, lecz grube pasma mgły wirowały ospale wokół samochodów i dystrybutorów benzyny, jakby wprawiane w ruch niewidzialną ręką. W bieli przemykały ludzkie sylwetki, tak niewyraźne, że Ewa nie potrafiła nawet odróżnić mężczyzn od kobiet. Była jednak pewna, że rozpoznałaby Pawła, jego pękaty brzuch rzucał się w oczy.

Wtedy zobaczyła nastolatka. Wynurzył się z mgły tuż przed jej nosem, w zupełnej ciszy, choć przecież z tej odległości powinna usłyszeć odgłos kroków. Miał jasne, długie włosy, zadowoloną minę i – co przy tej pogodzie było niewiarygodne – żadnego płaszcza ani nawet swetra, tylko podartą, zieloną koszulkę. I był ładny. Zastygła w zdumieniu Ewa zauważyła to bez najmniejszego trudu. Chłopak był cholernie ładny, taką niezmierną, łagodną urodą, jaką częściej widuje się na obrazach niż w życiu.

Mrugnął do niej porozumiewawczo i zniknął równie cicho, jak się pojawił.

Chwilę później na ramię Ewy opadła ciężka ręka.

– Nie widziała pani mojego syna? – zapytała tęga, zaniepokojona kobieta. – Poszedł do sklepu i zniknął, nie ma go już pół godziny. Nie widziała go pani? Ma piętnaście lat, jasne włosy i zieloną kurtkę.

Kurtka się nie zgadzała, ale reszta tak, zresztą Ewa i bez opisu wiedziałyby, o kogo chodzi. Mówiło jej o tym wyostrzone ostatnio przecucie.

– Nie, nie widziałam – odparła, bo przecucie mówiło jej także, że chłopak nie chce zostać znaleziony.

– Jest pani pewna? – nalegała tęga kobieta. – Mam wrażenie, że widziałam we mgle jego sylwetkę. Na pewno tędy nie przechodził?

– Nie przechodził. – Ewa ruszyła w stronę samochodu. Po kilku krokach odwróciła się jednak i spojrzała na kobietę, która we mgle sprawiała wrażenie zagubionej i mimo potężnej postury dziwnie kruchej.

Ktokolwiek widział, ktokolwiek wie... – przemknęło Ewie przez głowę.

– Niech pani go nie szuka. On nie wróci.

Jeszcze niedawno rzuciłaby taką uwagę bezmyślnie albo złośliwie, po to, by zranić. Ale nie teraz. Teraz powiedziała tych kilka słów dlatego, że to była prawda. Po prostu.

W samochodzie czekał na nią Paweł, w ubłoconej kurtce i z nieszczęśliwą miną.

– Sorry za spóźnienie, miałem... eee... mały wypadek.

– Nie chcę wiedzieć jaki. – Ewa skrzywiła się, ale w jej głosie nie było złości. – Jedźmy już, bo i tak jesteśmy spóźnieni.

* * *

Przed Poznaniem zamienili się miejscami. Co prawda Ewa miała wątpliwości, czy powinna puszczać Pawła za kierownicę, więc przez pierwsze pół godziny zerkła na niego od czasu do czasu, ale mężczyzna prowadził dobrze, skoncentrowany i uważny. Żadnych osobliwych stanów zamyślenia, żadnego wyglądu a la zawieszony komputer. Wszystko w porządku.

Odetchnęła z ulgą i zajęła się czytaniem swojego urodzinowego prezentu. Każda kolejna lektura była łatwiejsza, Ewa potrafiła już nawet patrzeć na ilustracje bez obrzydzenia, choć nadal uważała, że „Droga do domu” to wytwór chorego umysłu.

Czytała, bo liczyła na to, że zauważy coś jeszcze, co ma związek z jej życiem, przeszłym albo teraźniejszym. Ale wciąż odnajdywała tylko lustra, całe mnóstwo lusterek ukrytych na różnych ilustracjach niczym w dziecinnej grze. I wszystkie, nawet te najmniejsze i najtrudniejsze do zauważenia miały w sobie coś – kształt, sposób ustawienia, charakterystyczny szczegół – co pozwalało rozpoznać w nich zabytkowe zwierciadło ze starego domu w Lelichowie, to samo, które Ewa stłukła pewnego dnia.

Dziwne, ale nie pamiętała tamtego wydarzenia. Wiedziała oczywiście, czym zawiniła – matka wypominała jej to przez lata, Ewa potrafiła też sobie przypomnieć lanie, jakie dostała od ojca, lecz sam moment popełnienia owego dziecięcego przestępstwa zniknął jej z pamięci. I właściwie dlaczego stłukła lustro? Ojciec mówił, że zrobiła to z rozmysłem, nie przez przypadek. Właśnie dlatego sprawił córce lanie, ten jeden jedyny raz, bo rodzice Ewy nie uznawali kar fizycznych; zresztą ojciec wciąż jeszcze był wtedy wściekły po awanturze z matką i nic dziwnego, że na widok zniszczonego zabytkowego lustra dostał szału.

Wcześniejszą awanturę Ewa też pamiętała. Rodzice szarpali nią wtedy i ciągnęli każdy w swoją stronę, jakby ich córka była lalką, o którą pobiło się dwoje rozpuszczonych dzieci. I wrzeszczeli, przez cały czas na siebie wrzeszczeli. Od tych krzyków i od szarpania Ewę bolała głowa, a to było jeszcze w czasach przed wymyślonym pokojem, więc nawet nie miała dokąd uciec. Od płaczu zachciało jej się pić, poszła więc do kuchni i nalała sobie mleka do dużego kamionkowego kubka. Potem zeszła do salonu, gdzie stało lustro...

Później pamiętała już tylko kubek leżący na podłodze, a w kałuży mleka mnóstwo

zwierciadlanych odłamków. I słowa ojca, który pechowo dla niej akurat w tym momencie stanął w progu: „Zrobiłaś to specjalnie, w kogo ty się wdałaś, taki złośliwy bachor, zobaczysz, już ja cię oduczę złośliwości, chodź tu natychmiast”.

I nic pomiędzy tymi dwiema chwilami – gdy z kubkiem wchodziła do pokoju i gdy lustro było już rozbite, a ojciec odpinał pasek od spodni. Nic, zero, czarna dziura w pamięci, która na dodatek zdawała się otoczona płomienistą obręczą, taką, jaka tworzy się wokół słońca podczas zaćmienia. Czerń absolutna pośrodku absolutnej czerwieni, jakby jej własny umysł w ten sposób oznajmiał: „WAŻNE, WAŻNE, WAŻNE!”.

Dlaczego stłukła to lustro? Musiał istnieć jakiś powód, bo na pewno nie zrobiła tego ze złośliwości, jak sądził ojciec. Ewa próbowała sobie przypomnieć, ale dziura w jej pamięci pozostała dziurą, więc po chwili daremnych wysiłków dała sobie spokój, złożyła trzymaną na kolanach książkę i spojrzała w okno samochodu. Dochodziła szоста wieczorem i zapadł już zmrok. Było tym bardziej ciemno, że mijali teraz jakieś ugory, żadnych oświetlonych domów w okolicy, po jednej i po drugiej stronie nic tylko przemiatane wiatrem pola, od czasu do czasu urozmaicone drzewem, które w świetle samochodowych reflektorów straszło sękatymi paluchami bezlistnych gałęzi. Jedno z takich pól musiało znajdować się niżej niż pozostałe, bo w powstałej w ten sposób niecce zebrała się mgła. W każdym innym miejscu zdążyła się rozwiać, ale tu wciąż była gęsta, jakby ktoś nalał do wielkiej misy śmietany. Falowała przy tym leciutko i połyskiwała zielonkawą, niepokojącą poświatą leśnego próchna.

Zagapiona Ewa w ostatniej chwili dostrzegła znajomą sylwetkę stojącą na skraju pulsującej bieli.

– Hamuj! – wrzasnęła, zanim zdążyła się zastanowić, co u licha robi. – Hamuj!

Paweł posłusznie wdepnął hamulec i samochód z piskiem opon zatrzymał się na poboczu.

– Co jest? – W mroku połyskiwały białka oczu, szeroko otwartych w zdumieniu. – Rany, nie strasz mnie, myślałem, że ktoś zaraz nam wpadnie pod koła...

– Daj mi chwilę. – Ewa otworzyła drzwi i wysiadła, ale było za późno. Niska, drobna sylwetka w płaszczyku z kapturem zniknęła już we mgle.

– Ona tu była – powiedziała kobieta z uporem, jakby próbowała przekonać samą siebie. – Dziewczynka w czerwonym płaszczu.

– Taka jak w bajce? Chcesz powiedzieć, że stała tu na poboczu bohaterka książki z obrazkami?

– Widziałam ją już wcześniej, w Katowicach. To była ona, na pewno. – Ewa zarumieniła się ze złości, świadoma, jak idiotycznie musi to brzmieć.

– I poznałaś ją po czerwonym płaszczu?

Skinęła głową.

– Cóż, w mroku i tak nie mogłaś zauważyć koloru, co najwyżej widziałaś tylko, że stało tu dziecko w płaszczu z kapturem, zresztą niechby i faktycznie czerwonym, to jeszcze o niczym nie świadczy. Najpewniej to był jakiś dzieciak z okolicznych domów.

– Jakich domów? Widzisz tu choć jeden? I co robiłoby dziecko przy drodze o tej porze?

– Nie jest wcale tak późno, nie ma jeszcze siódmej – zaprotestował Paweł.

– Jasne, do dobranocki kupa czasu, więc miejscowa dzieciarnia zajęła się swoją ulubioną rozrywką, czyli wędrowką przez puste pola, żeby potem wystawać na poboczu i gapić się na przejeżdżające samochody – wymruczała zgryźliwie.

Paweł chciał coś powiedzieć, ale zrezygnował. Miał znaną już Ewie minę zagubionego psa, stąd wiedziała, że lada moment zacznie ją przeproszać.

– Dobra, nie było rozmowy – powiedziała pospiesznie. – Wyglupiłam się, pewnie w ogóle nikogo tu nie było, tylko mi się przywidziało. Jedźmy już, niepotrzebnie tracimy czas.

– Nie, zaczekaj. Powinienem ci uwierzyć. W tej historii jest tyle dziwnych rzeczy, że nie możemy lekceważyć takich znaków.

Ewa jęknęła w duchu. Jakich, u diabła, znaków?

– Może ta dziewczynka chce się z nami skontaktować. – Oczy Pawła roz błysły. – Zawołajmy ją, co?

Zanim zdążyła zaprotestować, wygramolił się z samochodu i zaczął krzyczeć:

– Hop, hop! Nie bój się nas! Nie zrobimy ci krzywdy! Chodź do nas!

Osiągnął tyle, że z pobliskiego drzewa poderwało się stado wron, które, kracząc, pomknęły w ciemne niebo.

Ewa objęła się ramionami i zaczęła tupać dla rozgrzewki, bo jesienny wilgotny ziąb bez trudu przenikał raczej elegancki niż ciepły płaszcz.

– Zaproponuj jej resztkę kanapki z szynką, to może przyjdzie – wtrąciła, gdy wyczerpany Paweł wreszcie umilkł.

– Myślisz?

– Nie, nie myślę. Przecież to duch, a nie zabłąkany kundel.

– Może ty powinnaś ją zawołać? No wiesz, skoro pokazuje się tylko tobie...

– Nie – zdecydowała Ewa, uświadamiając sobie, jak niepokojąco łatwo przyszło jej użycie słowa „duch”. – Już i tak czuję się jak idiotka, nie będę do tego jeszcze wrzeszczeć na środku pustej drogi. Wsiadaj do samochodu, bo za chwilę zamarznę.

Paweł usłuchał, a ona, zanim poszła w jego ślady, spojrzała jeszcze na czarną linię lasu mającą w mroku za polami. W tej samej chwili niespodziewanie przyszedł jej do głowy chłopak, którego widziała na stacji benzynowej. Miała przeczucie, że gdyby tylko trochę pomyślała, gdyby się wysiliła i postarała, to wiedziałaby, dokąd on poszedł. Jednak przeczucie mówiło też, że ta wiedza sprawi jej ból, więc się nie wysiliła i nie starała.

* * *

Tabliczkę z napisem „Lelichów” minęli przed jedenastą. O tej porze maleńkie miasteczko sprawiało wrażenie wymarłego. Na skrzyżowaniu pulsowało monotonicznie żółte światło, trochę

dalej niekompletną nazwą straszło dawne kino „Latarnia”. Obok supermarket „Biedronka”, dla odmiany nowy i pomalowany na słodki, różowy kolor, ale z kratami w oknach, dzięki którym wyglądał jak więzienie dla przedszkolaków. I jeszcze więcej krat, żaluzji oraz wielkich klódek wiszących na drzwiach zamkniętych sklepów. A do tego jesienne liście gnijące wzdłuż krawężników i rozlane w kałużach światła wysokich, brzydkich latarni.

Oznaki życia dało się zauważyć tylko wokół nocnego sklepu, gdzie na schodkach przysiadło kilkoro pijaczków, oraz na przystanku. Stała tam grupka młodzieży, a gdy Paweł i Ewa zatrzymali się w pobliżu, by zerknąć na mapę, akurat nadjechał autobus, pusty i rozjarzony żółtym światłem, jakby wewnątrz wioził skrawek zupełnie innej rzeczywistości – nie jesienny ziąb, wiatr i mrok, lecz senne ciepło i ciszę. Młodzi ludzie wsiedli, a wtedy Ewa zauważyła wiszący na przystanku plakat. Z tej odległości nie mogła widzieć wyraźnie, ale zdawało jej się, że dostrzega czarno-białe zdjęcie nastoletniej twarzy. I mogłaby się założyć, że poniżej jest napis: *Ktokolwiek widział... ktokolwiek wie...*

– W prawo? – Paweł złożył mapę i rzucił ją na tylne siedzenie. – Jesteś pewna?

– Prawie. – Ewa oderwała wzrok od plakatu. – Ostatni raz byłam tu dwadzieścia lat temu, więc nie wymagaj ode mnie za dużo.

– Dobra, próbujemy w prawo.

* * *

Numer szesnasty był ostatnim na ulicy, dalej rozciągał się pas brzoźowego lasu, przecięty prowadzącą nad jezioro drogą. Niemal się nie zmienił, pomyślała w pierwszej chwili Ewa na widok białej, piętrowej willi, ale dom zmienił się, oczywiście. Płot był inny, nie drewniany, lecz z żelaznych prętów, ogród bardziej dziki i zarośnięty, a na strychu wybito dodatkowe okno.

– Jesteś pewna, że twoja ciotka nie będzie miała nic przeciwko tak późnej wizycie? – Paweł zawahał się z ręką zawieszoną nad przyciskiem dzwonka.

– Rozmawiałam z nią przecież i mówiła, że do północy spokojnie możemy przyjeżdżać.

– Może nie mówiła tego na serio, wiesz, tylko tak z uprzejmości...

– To jej problem. – Ewa wzruszyła ramionami. – Dzwon.

Gdy Paweł wcisnął przycisk, w ogrodzie rozległo się szczekanie, ciężkie cielsko przedarło się przez krzaki i już po chwili za płotem płonęło dwoje zielonkawych oczu. Pies czekał basowo, powarkując od czasu do czasu, ale nawet Ewa, która na zwierzętach się nie znała, wyczuła, że czworonożny stróż robi to wyłącznie z poczucia obowiązku.

– Miły dom – powiedział Paweł, gdy pies zignorował jego próby wabienia i czekał nadal. – Całkiem ładny.

– A czego się spodziewałeś? Domu Usherów?

– Myślałem, że nie czytasz horrorów.

– To nie horror, tylko klasyka – zaprotestowała Ewa.

Usłyszeli szcęk otwieranych i zamykanych drzwi, a potem chrzęst żwiru na ścieżce.

– Ewa? – W mroku do furtki szła wysoka, prosta jak świeca postać. – To ty?

– Tak, to ja. Przyjechałam ze znajomym, mówiłam cioci przez telefon.

– Uff, jak dobrze, już się bałam, że nie przyjdziecie i będziecie musieli po drodze gdzieś nocować. Już, otwarte. Nestorem się nie przejmujcie, on jeszcze nikomu krzywdy nie zrobił, tylko szczekać lubi.

Pies z wywalonym jęzorem siedział u stóp swojej pani. Gdy Ewa nieśmiało podsunęła mu dłoń pod nos, powąchał ją i liznął.

– Lubi cię – zaśmiała się Irena Wojtyszko, a Ewie niespodziewanie zrobiło się ciepło na sercu. – Chodźcie do środka, dostaniecie gorącej herbaty i kolację.

* * *

Jadalnia zupełnie nie przypominała pomieszczenia, które swego czasu Ewa nazywała salonem. No i bardzo dobrze, myślała, wodząc wzrokiem po ścianach, na których wisiały święte obrazki, po wypełnionych bibelotami szafkach i dzierganych z kordonka obrusach oraz obrusikach. Lepiej nie budzić wspomnień.

W kominku płonął ogień, herbata z malinowym sokiem rozgrzewała zmarznięte ciało, a zapowiedziana kolacja przypominała raczej wystawny podwieczorek, bo obok kanapek na stole znalazły się także trzy rodzaje ciasta. Uśmiechnięta ciotka bawiła ich rozmową, a Ewa nie potrafiła wyczuć, czy naprawdę podoba jej się ta spóźniona wizyta, czy też robi to wyłącznie z uprzejmości. Kilkanaście lat starsza od siostry, dobijała już osiemdziesiątki, lecz jak na swój wiek trzymała się zdumiewająco dobrze. Miała nienagannie ułożone siwe włosy, dyskretny makijaż i plecy tak proste, że Ewa zastanawiała się, czy szanowna ciocia nie załapała się jeszcze aby na czasy, gdy dziewczętom kazano nosić gorsety. A do tego ta przedwojenna grzeczność, tak głęboko wżarta w osobowość panny Wojtyszko, że nie dało się pod nią rozpoznać prawdziwych emocji.

Ewa chyba wolałaby, żeby ciotka przyjmowała ich miło wyłącznie z powodu dobrego wychowania. Wtedy mniej by się wstydziła tego, że starszą panią okłamała. Jej wymówka, w samochodzie jeszcze całkiem wiarygodna, nagle wydała się bardzo łatwa do przejrzania.

– Tylko parę zdjęć – mruzczała Ewa nad resztką herbaty, okropnie słodkiej od soku, który osiadł na dnie. – Domu, ogrodu, jeziora... Potrzebne mi do pracy.

Miała przy tym nadzieję, że ciotka nie wie, iż praca siostrzenicy nic wspólnego z żadnymi zdjęciami nie ma.

Irenę Wojtyszko na szczęście nie interesowały szczegóły. Zwróciła się za to do Pawła, którego najwyraźniej uznała za fotografa, i zaczęła wypytywać o różnice pomiędzy poszczególnymi aparatami cyfrowymi. Ewa przeraziła się w pierwszej chwili, lecz Paweł

radził sobie dobrze, zwłaszcza biorąc pod uwagę fakt, że staruszka wykazywała się całkiem sporą wiedzą.

Po kolacji ciotka zaprowadziła ich na piętro, do dwóch oddzielonych cienką ścianą pokoi gościnnych. Pod wpływem impulsu Ewa zażyczyła sobie ten z oknem wychodzącym na las, bo taki sam widok rozciągał się z jej dawnego dzieciennego pokoju.

Było grubo po pierwszej, gdy wykąpana wsunęła się wreszcie w chłodną, sztywną od krochmalu pościel. Komórka popiskiwała, sygnalizując nieodebrane połączenie. Kto mógł dzwonić do niej o tej porze?

Oczywiście Radek, odpowiedziała sama sobie, zanim jeszcze sięgnęła po telefon. Nieodebranych połączeń było aż trzy, a do tego jedna wiadomość głosowa.

Kliknęła przycisk „odsłuchaj”.

„Musimy pogadać, Ewa. To bardzo ważne. Zadzwoń do mnie, wszystko jedno o której. Nie będę spał”.

Wahała się przez chwilę, ale ostatecznie odłożyła komórkę na szafkę, tłumacząc sobie, że jest za późno. Rano, postanowiła, zadzwonię z samego rana i mam nadzieję, że ten kretyń ma mi do powiedzenia coś naprawdę ważnego.

Zamknęła oczy, ale mimo zmęczenia nie mogła zasnąć, przeszkadzało jej podniecenie i cisza tak głęboka, że aż dzwoniąca w uszach. I w tej ciszy usłyszała, że Paweł także nie może spać, że kręci się na łóżku, wstaje, spaceruje po pokoju. Tam i z powrotem, tam i z powrotem.

Trwało to dobrą chwilę – ona daremnie usiłowała zasnąć, on miotał się za ścianą jak wilk w klatce. Wreszcie Ewa wstała i zapukała do sąsiednich drzwi.

– Paweł? Wszystko w porządku?

Zatrzymał się, przez warstwę drewna słyszała jego niespokojny oddech. Wahał się, zanim wreszcie powiedział: „Nic mi nie jest”, a i wtedy odpowiedź nie brzmiała jakoś szczególnie przekonująco. Ewa miała wręcz wrażenie, że Paweł wcale nie chce jej przekonać, że czeka tylko na dalsze pytania, aby przyznać się, co mu dolega.

Wiedziała, że powinna zapytać, ale przecież to nie moja sprawa, ja mam własne kłopoty, zresztą nigdy nie umiałam pocieszać...

Wszystkie te myśli przemknęły jej przez głowę i oczywiście stchórzyła.

– To dobrze... – mruknęła, po czym pełna obrzydzenia do samej siebie podreptała w stronę łóżka. Zapaliła nocną lampkę, wyciągnęła z torby książkę, a potem ułożyła się wygodnie, naciągając koldrę na uszy.

Wiedziała, że nie zaśnie szybko, więc równie dobrze mogła przeczytać „Drogę do domu” jeszcze raz.

* * *

Obudziła się tuż przed świtem i leżąc w łóżku, patrzyła, jak mrok powoli rozmywa się w

szarość, a sprzęty nabierają kolorów i kształtów. Z pokoju obok dochodziło miarowe chrapanie, zegar na parterze wybił godzinę siódmą.

Ewa wysliznęła się z ciepłej pościeli i usiadła, klnąc cicho, gdy bose stopy dotknęły lodowatej podłogi. Palcami stóp namacała pantofle, z krzesła zdjęła obszerną bluzę od dresu, która podczas wyjazdów służyła jej także jako szlafrok. Od razu lepiej.

Podeszła do okna. Na zewnątrz, po kolana w martwej, splątanej trawie, stała dziewczynka, jej płaszcz krzyczał ognistą czerwienią na tle jesiennych brązów i szarości. Nie padało, a jednak założyła zasłaniający twarz kaptur.

Ewa nie zdziwiła się. Dziewczynka była tu, bo musiała być. Proste, oczywiste, niepozostawiające miejsca na racjonalizm. Na jej oczach drobna dziecięca postać odwróciła się i ruszyła w stronę furtki, tej bocznej, prowadzącej w las. Szła wolno, jakby zachęcając, by pójść za nią.

Spodnie, gdzie te cholerne spodnie? Koszulka i bluza, i buty, szlag, trzeba wziąć te wyższe, tam będzie mokro i bioto... Szybko, pospiesz się.

Nim wyszła, wykształconym przez lata odruchem włożyła do kieszeni kurtki telefon komórkowy.

* * *

Na początku chciała biec za dziewczynką do bocznej furtki, ale w porę uświadomiła sobie, że wcale nie musi przedzierać się przez las. Dziewczynka poszła nad jezioro, Ewie podpowiadał to szósty zmysł, a w tamtą stronę prowadziła szeroka, prosta droga. Była tu za czasów jej dzieciństwa i była teraz, zmieniona o tyle, że w ciągu ostatnich dwudziestu lat wyłożono ją asfaltem, który zresztą w wielu miejscach zdążył już popękać. Ewa lawirowała więc pomiędzy kałużami pełnymi błota i zeschniętymi liśćmi, ciesząc się w duchu, że włożyła solidne buty. Szła szybko, czasem nawet próbowała biec, ale wtedy jej osłabiony organizm protestował klującym bólem w boku i zawrotami głowy.

Wokół było pusto. Szarość jesieni wraz z szarością wczesnego poranka dawały w efekcie rozmyte, przydymione kolory, jakby ktoś przesłonił świat wielką pajęczyną. Z nagich gałęzi obserwowały Ewę wrony, nieruchome, czarne przecinki na tle jaśniejącego nieba. Czasem w suchych zaroślach coś zaszeleściło, ale poza tym panowała całkowita cisza.

Tym bardziej się Ewa zdziwiła, gdy zobaczyła na poboczu ubłocony samochód. Grzybiarze? Nie, o tej porze już chyba za późno na grzyby. Z ciekawości zerknęła do środka – na tylnym siedzeniu leżał koc, rozłożony i zmięty, tak jakby niedawno ktoś pod nim spał. Obok skórzana kurtka oraz samochodowy atlas, osobliwym trafem dokładnie taki, jakiego używała Ewa.

Przez chwilę zastanawiała się, kto i po co tym samochodem przyjechał, ale szybko wyrzuciła to pytanie z pamięci i truchtem ruszyła w stronę coraz bliższego jeziora.

* * *

Dziewczynka kuciała na brzegu tuż przy zjeździe, z której płatami odłaziła zielona farba. Dalej stała buda z odrapanym napisem „Wypożyczalnia kajaków”, zamknięta na głucho i obrośnięta krzewami śnieguliczki. Wszystko to odbijało się w nieruchomej wodzie tak idealnie, jakby dziecko w czerwonym płaszczu miało pod stopami alternatywny, postawiony na głowie świat.

Żwir chrzęścił pod stopami Ewy. Blisko, coraz bliżej. I ostrożnie, żeby małej nie wystraszyć.

– Cześć. – Pochyliła się, wyciągnęła rękę i położyła dziewczynce na ramieniu, starając się zrobić to delikatnie, z uczuciem, choć serce w niej zamarło i nie była teraz zdolna do żadnych innych emocji poza strachem i podnieceniem.

A dziewczynka wstała i odwróciła się, tyle że to wcale nie była dziewczynka. To nie było nawet dziecko. Ewa miała przed sobą pomarszczoną twarz karła, złośliwego skrzata z baśni.

– Witaj – odpowiedział, podczas gdy ona gwałtownie skoczyła w tył. – Poznajesz mnie?

Świat wciąż się kołysał, Ewie wciąż brakowało tchu, a jeden z elementów układanki wsunął się na swoje miejsce spokojnie i tak gładko, jakby tkwił tam zawsze.

– To ciebie... – wyjąkała – ciebie zobaczyłam w lustrze. – Odetchnęła głęboko, raz a potem drugi, powoli odzyskując panowanie. – Wtedy, kiedy je stłukłam.

Skinął głową ze smutkiem. Melancholijny skrzat, pomyślała Ewa i omal nie zaczęła chichotać histerycznie. Zniechęcony i stary. W niczym nie przypominał dziewczynki, którą sobie wyobraziła, zasugerowana książką.

– Przeraziłaś się i rzuciłaś we mnie pełnym mleka kubkiem – powiedział. – A przecież ja tylko pragnąłem ci pomóc. Wszyscy pragnęliśmy ci pomóc.

– Jacy my?

– Leśni ludzie. Tacy jak ja. Lustro było bramą, którą ty zniszczyłaś. Powinnaś przez nią przejść, wtedy wszystko wyglądałoby inaczej.

– Dlaczego miałabym przechodzić przez bramę? I dokąd? – Myśli trochę jej się plątały, ale trzymała się dzielnie, zawieszona pomiędzy dwiema nierealnościami. Jej życie w Katowicach, praca i nieudane małżeństwo były teraz tak odległe, że nie mogły być prawdą, a jednocześnie nie potrafiła za prawdę uznać skrzata stojącego nad brzegiem jeziora.

– Ponieważ jesteś jedną z nas, oczywiście.

Och, oczywiście. Jakżeby inaczej?

Usiadła na wilgotnym żwirze plaży, nie troszcząc się o to, że ubrudzi sobie kurtkę. Skrzat, myślała, skrzat, skrzat, ale powtarzanie tego słowa wcale nie dodawało mu realności. I ja w roli leśnej wróżki. Chyba tracę zmysły.

Histeryczny chichot napierał coraz mocniej. Ewa odepchnęła go z trudem.

– Jesteś podmieńcem – wyjaśniał cierpliwie skrzat. – Zamieniamy malutkie dzieci w kołyskach, lecz one do nas wracają. Gdy zaczynają dorastać, przygotowujemy je krok po kroku i wracają.

– *Ktokolwiek widział, ktokolwiek wie...* – powiedziała odruchowo, bo kolejny kawałek układanki wskoczył na swoje miejsce. – Ale jakim cudem nikt się nie zorientował, skoro ginie bez śladu tak dużo dzieci?

– Wcale nie ginie ich dużo. Po prostu odkąd zaczęłaś książkę czytać, naprawdę czytać, po wielokroć, a nie tylko pobieżnie przeglądać, stałaś się wyczulona na pewne sprawy.

– Czym ta książka jest?

– Jest bramą, tak jak i lustro. Gdy je stłukłaś, czuliśmy się winni, albowiem chcieliśmy zabrać cię do nas wcześniej, niż to jest w zwyczaju, i w dodatku bez odpowiedniego przygotowania. Owego dnia twoi rodzice znowu się sprzeczali, a ty byłaś tak nieszczęśliwa i przerażona, że wzięła nas litość. Myśleliśmy: to jeszcze małe dziecko, więc wszystko pójdzie gładko, małe dzieci wierzą w skrzaty i z pewnością się ich nie lękają. Lecz ty się przeraziłaś i rzuciłaś w lustro kubkiem. – Pokręcił głową, jakby wciąż nie mógł w to uwierzyć. – Musieliśmy więc szukać innych sposobów, żeby do ciebie dotrzeć.

– I stąd książka, tak? Ale czemu tylko w moje urodziny?

Wzruszył ramionami, odwracając twarz pomarszczoną jak smętna, suszona śliwka. Karzeł był brzydki, fakt, ale jednocześnie Ewa pomyślała sobie, że jest to ten rodzaj brzydoty, który w dorosłych budzi niechęć, lecz dzieciom może się wydawać atrakcyjny.

– Mamy swoje zasady – odparł. – Wiedziałybyś, gdybyś nie zapomniała.

– Ja nic nie pamiętam.

– Wiem.

– To co teraz mam zrobić? Przejść przez książkę, skoro to jest brama? I potem będę mogła płaszać z wami przy świetle księżyca? – Ewa poszukała ratunku w kpinie, której tak często z powodzeniem używała, lecz tym razem jej słowa zabrzmiały jak pretensja rozżalonego dziecka.

– Książka nie w tym rozumieniu jest bramą. Wystarczy ją czytać, tylko tyle. Im dłużej baśń czytasz, tym więcej naszego świata dostrzegasz. W miejscu, które zwiesz Katowicami widziałaś mnie, lecz dopiero tutaj mogłaś podejść na tyle blisko, żeby ze mną porozmawiać.

– „Droga do domu”.

– Dokładnie tak. Twoja droga do domu, do naszego świata, gdzie od dawna powinnaś przebywać. Z każdym rokiem trudniejsza, w miarę jak dorastałaś i coraz bardziej się od nas oddalałaś. – Potrząsnął głową, wciąż zdziwiony. – Nie do wiary, że nawet u samych początków, gdy „Droga...” wciąż była jeszcze dziecięcą baśnią, nigdy nie przeczytałaś jej więcej niż raz. Nawet gdy radował cię prezent, czytałaś, a potem odkładałaś książkę na półkę i zapomniałaś o niej.

– Kiedyś chciałam przeczytać „Droge...” ponownie, ale wtedy już jej nie było – zwróciła

mu uwagę Ewa.

– Mam swoje zasady, mówiłem ci. Powinnaś to zrobić od razu.

Zmarszczyła brwi, uświadamiając sobie coś.

– Mam przez to rozumieć, że niepotrzebnie tu przyjechałam, że gdybym czytała „Drogę...” w Katowicach, to tam też mogłabym się z tobą spotkać?

– Owszem, choć tam trwałoby to dłużej. Klimat w owym mieście nie jest nazbyt... sprzyjający.

– W takim razie, jeśli teraz wrócę do domu, wezmę książkę i przeczytam jeszcze raz, to przejdę do waszego świata, tak? – Rozejrzała się z powątpiewaniem wokół, a potem wbiła wzrok w powierzchnię wody, tam gdzie przy brzegu, pośród opadłych liści, kołysało się opakowanie po wafelku „Prince Polo”. – Może już tam jestem?

– Nie, nie jesteś. A książki w domu twojej ciotki nie ma – zniknęła jak wszystkie poprzednie. Nie potrzebujesz jej już. Teraz wystarczy, że zechcesz do nas dołączyć. Wyrazisz takie życzenie?

Ewa gapiała się na papierek po wafelku, myśląc przy tym o śmieciach, które od zawsze widywała w lasach. Opakowania po kanapkach, puste butelki i puszki, nawet papier toaletowy. Tak właśnie wyglądał jej świat. Wszędzie pełno śmieci. Plus dziecięce zjeżdżalnie, z których płatami odłaziła farba, oraz paskudne, stare budy z odrapanymi napisami. Spróbowała wyobrazić sobie coś innego – na przykład elfy tańczące pośród kwiatów albo przyjazne, mądre smoki, ale widziała tylko sceny z oglądanych dawno temu kreskówek. To nic nie znaczyło. Od tego, co usiłowała sobie wyobrazić, wiało pustką tak przerażającą, że aż skręcało ją w żołądku.

Nie mogę, pomyślała.

– Nie mogę – powtórzyła na głos. Wstała, zakręciło jej się w głowie i upadła, uderzając kolanami w wilgotny żwir. Bolało, spodnie miała przemoczone. – I nie wierzę ci, to szaleństwo...

– Wiesz, że nie.

– Nie wierzę – upierała się, rozcierając siniaka. Ból powoli mijał, ale wciąż było jej zimno, bo mokry materiał lepił się do ciała. Szaleństwo; uczepiła się tej myśli, która była dobra, konkretna, pozwalała zachować zdrowe zmysły wobec czegoś, czego zaakceptowanie byłoby znacznie gorsze. – Masz mnie za kompletną wariatkę? Nikt nie wierzy w skrzaty...

Karzeł milczał ponuro, jakby takiej właśnie odpowiedzi się spodziewał. Ewa wstała i tym razem udało jej się utrzymać równowagę.

– Po prostu przestańcie mi przysyłać te cholerne książki, OK? Mnie to wystarczy. Odpieprzcie się od mojego życia, ja zapłacę sobie za parę wizyt u psychiatry i wszystko będzie dobrze. Tylko się ode mnie odpieprzcie.

Wsunęła się w swoją dawną osobowość jak w znoszony, wygodny sweter i przez chwilę czuła ulgę.

– Idę stąd, a ty przestań za mną łązić. Nie chcę cię więcej widzieć.

– Pewna jesteś, że wciąż masz do czego wracać? – zawołał za nią karzeł.

Nie odwróciła się. Będzie dobrze, powtarzała w myślach, walcząc z zawrotami głowy i rozmywającym się przed oczami obrazem lasu. Nie była pewna, czy idzie w dobrym kierunku, ale ważne, że w ogóle szła. Byle dalej od drobnej postaci w czerwonym płaszczu.

– Naprawdę tego właśnie pragniesz? – krzyczał za nią. – Żywot człowieczy jest wyjątkowo paskudny, zapytaj o to swego brodatego kompana!

Zatrzymała się, odwróciła. O czym ten pokurcz mówi?

– Zapytaj go, czemu nigdy nie telefonuje do żony – kontynuował skrzat już ciszej, ale wciąż słyszała go doskonale. – Ani dlaczego nawet nie nosi ze sobą owego małego aparatu, z którym większość ludzi tak niechętnie się rozstaje. Czemu ciągle o nim zapomina, rzuca w kąt? Może dlatego, że wie, iż nikt go przez telefon nie wezwie?

Ewa potarła dłonią czoło. Przecież to bzdury; fakt, że ani razu nie widziała, jak Paweł rozmawia z żoną, jeszcze o niczym nie świadczył. Wczorajszy dzień spędzili razem w podróży, owszem, ale przecież nie byli papużkami nierozłączkami. Istniało całe mnóstwo chwil, gdy Paweł mógł zadzwonić do żony, tak aby Ewa nie słyszała. Może mieli do obgadania jakieś osobiste sprawy. Albo wręcz przeciwnie, pokłócili się i dlatego nie rozmawiali. Wielkie mi rzeczy.

Lecz w głębi duszy wiedziała, że karzeł ma rację. Paweł i jego dziwaczne zainteresowanie „czymś więcej” poza doczesnym życiem, głód i nadzieja w jego oczach. Plus chwile, kiedy zawieszał się jak komputer. „Żona i dzieci są u moich rodziców”, przypomniała sobie Ewa, zupełnie normalna sytuacja, tylko że Paweł nie nosił ze sobą komórki, bezustannie o niej zapominał i to rzeczywiście wyglądało tak, jakby wiedział, że nie ma co się spodziewać telefonu.

Usiadła pod najbliższym drzewem, podciągnęła kolana pod brodę i schowała twarz w dłoniach. Chciało jej się płakać. Powinnam przynajmniej zapytać, co mu dolega, pomyślała. Dlaczego tego nie zrobiłam?

Ale przecież jeszcze nic straconego, prawda? Wróci teraz do domu ciotki, a potem pojedą do Katowic. Będą mieli przed sobą długą drogę i mnóstwo czasu, żeby na spokojnie pogadać. Wszystko skończy się dobrze, dla Pawła i dla niej. Bo przecież to kłamstwo, że Ewa nie ma do czego wracać. Musi tylko chwilkę posiedzieć i poczekać, aż przestanie jej się kręcić w głowie i minie osłabienie. No właśnie – zacznie też normalnie jeść i nie będzie już mdlała przy każdym większym wysiłku.

Będzie dobrze, będzie dobrze.

Gdy w jej świadomość wdarł się buczący dźwięk, w pierwszej chwili nie potrafiła go zidentyfikować. Dopiero potem przyszło zrozumienie: komórka. Zdrętwiałymi z zimna palcami sięgnęła do kieszeni kurtki. Dzwonił Radek.

– Nie wiem, czego ode mnie chcesz, ale naprawdę w tej chwili nie mam czasu...

– Posłuchaj mnie, durna krowo. Choć raz się zamknij i posłuchaj, co mówię – w głosie mężczyzny brzmiały tak wyraźne nutki hysterii, że zdumiona Ewa faktycznie zamilkła. – Jesteś u ciotki, tak? To nie ruszaj się stamtąd i nie otwieraj nikomu drzwi. A jeśli jesteś gdzieś na zewnątrz, to natychmiast idź do domu. Nie chodź nigdzie sama, słyszysz?

Zrobiło jej się zimno, nie tak jak wcześniej, ale naprawdę przerażająco zimno, jakby zrzucono ją na spadochronie w sam środek Antarktydy.

– Coś ty zrobił... – wyszeptała.

– Gdzie jesteś?

– W lesie...

– To spieprzaj stamtąd, ale już! Słyszysz! Uciekaj!

Telefon upadł jej na ziemię, więc schyliła się odruchowo, otumaniona i niezgrabna. Radek wciąż coś krzyczał, ale jego słowa zlewały się w bełkot. Nie potrzebowała ich zresztą. Już wiedziała.

Gdyby Radek mógł zabić przez naciśnięcie guzika, byłabym trupem – przypomniała sobie zdanie, którym tyle razy bawiła znajomych, że straciło sens. Ale to była prawda, najprawdziwsza prawda.

Gdy się wyprostowała, zobaczyła mężczyznę idącego w jej stronę. Wyglądał zwyczajnie – trochę niższy od niej, ale barczysty, w skórzanej, wyświechtanej kurtce, którą widziała na tylnym siedzeniu zaparkowanego w lesie samochodu. Niemłody, siwiejący facet o twarzy z gatunku tych najtrudniejszych do zapamiętania. Nijaki, szary. Jeśli się z kimś kojarzył, to wyłącznie z gościem, który w sklepie prosi o kredyt, a nie z najemnym zabójcą.

Powinna uciekać albo przynajmniej zacząć krzyczeć, ale nie mogła zdobyć się na żadną reakcję. Jak we śnie, kiedy człowiek próbuje biec, lecz nogi wrastają mu w ziemię. Nawet życie nie chciało przemknąć Ewie przed oczami, jej myśli rwały się albo wlokły ospale, jak oblepione gęstym syropem.

Stała i patrzyła. Mężczyzna podszedł do niej niedbałym krokiem i kiedy już myślała, że ją minie (nadzieja, nadzieja), nagle chwycił Ewę i powiedział coś całkowicie absurdalnego, co jednak w jakiś sposób pasowało do całej sytuacji (nic osobistego, powiedział chyba, to nic osobistego). Kobieta poczuła ostry ból w boku i nagle nie było jej już zimno, tylko mdląco ciepło. Pomyślała sobie przy tym, że może karzeł mówił prawdę i rzeczywiście nie ma do czego wracać. A potem pomyślała sobie również, że przecież istnieje inne wyjście.

– Raz – powiedziała Ewa, walcząc z drętwiejącymi wargami. – Dwa, trzy, cztery, pięć, sześć, siedem...

I zamknęła za sobą drzwi.

Robert J. Szmidt

Urodzony w 1961 r. pisarz, tłumacz, jeden z inicjatorów i pomysłodawców nagrody fandomu, znanej dziś jako Nagroda im. Janusza A. Zajdla. Twórca plebiscytu Nautilus, laureat „Śląkfy” w kategorii Fan Roku 1985.

Aktywny na różnych frontach. Doprowadził do pierwszego polskiego wydania tekstów Roberta E. Howarda o Conanie. Współtworzył w regionalnej TV program poświęcony fantastyce. Prowadził hurtownię książek oraz firmy obsługujące branżę filmową, rynek wideo i gier konsolowych. Twórca i przez 8 lat redaktor naczelny miesięcznika „Science Fiction, Fantasy i Horror”. Pracuje jako copywriter dla dystrybutorów filmów oraz tłumacz gier komputerowych.

Autor 3 powieści, zbioru opowiadań oraz 2 książek o grach konsolowych. Nakładem Fabryki Słów ukazały się: *Ostatni zjazd przed Litwą* (2007), *Kroniki Jednorożca. Polowanie* (2008), *Apokalipsa według Pana Jana* (2008) oraz *Toy Land* (2001) zainspirowany *Toy Trek* – opowiadaniem Andrzeja Ziemiańskiego.

**Robert
J. Szmidt**

**To będą inne
święta**

Za „Wrzesień”

A niby dlaczego nie, pomyślałem, spoglądając na wijącego się przede mną faceta. Gość dokładał wszelkich starań, byle tylko nie stracić klienta. Ale co nagle, to po diable. Dlatego przybrałem bardziej niezdecydowaną minę.

– Czyja wiem... – Zakończona głośnym westchnieniem uwaga podziałała na niego jak płachta na byka.

Zbladł, widziałem wyraźnie, jak twarz mu bieleje pod tą opalenizną. A może tylko pochylił się mocniej i dostał w krąg światła podkreślającego barwę i jakość powłoki lakieru? W każdym razie, minę miał nietęgą. Też bym się wkurzył, gdyby po niemal czterdziestu minutach prezentacji klient nadal stroił fochy. Tyle że u mnie negocjacje zakończyłyby się wcześniej. Dużo wcześniej. Po cholere tracić czas, zwłaszcza w Wigilię – za szybami salonu było już szarawo – skoro i tak wiadomo, że nic nie wpływa silniej na decyzję niezdecydowanego klienta niż dobry rabacik. Chociaż, z drugiej strony, Freddie spuścił już piętnaście procent z ceny wypisanej różowym markerem na szybie... Wszelako ja wciąż czułem, że da się coś jeszcze utargować.

– Panie Goebel – zaczął znowu, siłąc się na uśmiech. Kąciki ust drgały mu znacznie bardziej niż jeszcze parę chwil wcześniej. – To nie jest samochód. To prawdziwy demon na kołach...

Zacząła się wyliczanka, której wysłuchałem już dwa razy. Ple, ple, ple, limitowana edycja, silnik z vipera, pełna opcja, ubezpieczenie w cenie, pięćset pięćdziesiąt koni po tuningu, cztery i pół sekundy do setki, co czyni z tego RAM-a najszybszego pick-upa w historii ludzkości. Tyle to ja sam wiedziałem. Z ogłoszenia przeczytanego w internecie. Zrobiłem jeszcze boleśniejszą minę. Kiedy przestał czule głaskać lewy, idealnie czarny błotnik i spojrzał na mnie, z rozmysłem wykonałem gest, jakbym chciał ruszyć w stronę drzwi.

– Dwudziestodwucalowe złote felgi... – powiedział tak cicho, że nie zrozumiałem prawie żadnego słowa. Dodge stał na dość efektownie wyglądających, ale zwykłych felgach.

– Słucham? – Tym razem nie musiałem udawać zdziwienia.

– Dorzucę dwudziestodwucalowe złote felgi.

Nie zrobiłem wielkich oczu tylko dlatego, że nie skojarzyłem od razu, o czym tak naprawdę mówił.

– Dzięki, kolega miał ten szajs w lexusie. Łuszczą się... – odparłem na odczepnego, choć wcale nie kłamałem.

Nasz brygadzysta kupił sobie w zeszłym roku, też na święta, używanego lexusa. Dziesięcioletniego, właśnie z pozłacanymi felgami. Wyglądały naprawdę nieciekawie.

Zwłaszcza dla kogoś takiego jak ja – perfekcjonisty i fanatyka motoryzacji.

– Ja nie mówię o seryjnej robocie, tylko o wykonanych na specjalne zamówienie obręczach – zaprotestował natychmiast sprzedawca. – Jednorazowa sprawa...

– Jednorazowa – prychnąłem, ale delikatnie, zaczynało bowiem do mnie docierać, o czym możemy rozmawiać.

– Słyszał pan o Maxi-Puffie?

– Nie... raczej nie. – Takiej firmy nie znałem.

– To gwiazda rapu – wyjaśnił, ale to też niewiele mi powiedziało. Rap był mi równie obcy jak opera. Country to jest to! – Dwa miesiące temu zamówił u nas hummera, tuningowaną trójeczkę za ponad trzysta tysięcy, odebrał wóz, ale nie podobały mu się felgi, a daliśmy naprawdę dobre, też robione na specjalne zamówienie. Ale gość był uparty. Co tu dużo gadać, płacił i wymagał. Dogadaliśmy szybko sprawę i złożyliśmy zamówienie w Luxury. – Tu musiałem zareagować, każdy maniak zareagowałby, słysząc tę nazwę. Czterozerowa produkcja, co najmniej. – Ale...

– Ale co?

– Na pewno nie słyszał pan o Maxim? We wszystkich gazetach o tym pisali, MTV nawet czarną kokardkę na logo miała.

Pokręciłem głową. Jeśli nawet pisali o tym ówoku i mówili, to nie w tych miejscach, na które zwykłem zwracać uwagę. Zresztą na platformie rzadko mieliśmy siłę i okazję, żeby się ekscytować wiadomościami. Prócz tych o kryzysie.

– Znaleźli go zastrzelonego. – Sprzedawca westchnął głośno. – W jego własnym domu. W garażu. Nie zgadnie pan, w naszym hummerze.

Pewnie zrozumiał, ile przepłacił, pomyślałem, ale widząc minę Freddiego, wolałem nie wyskakiwać z żartem. Wyglądał tak, jakby mu właśnie umarł ktoś z najbliższej rodziny. No tak, pewnie stracił najlepszego klienta. O takich, co kupują wypasione fury, nawet z drugiej ręki, ostatnio coraz trudniej. Nawet wśród elity finansowej. Facet pokiwał palcem, obrócił się na pięcie i pobiegł do kantorka. Chwilę później przyniósł zdjęcia naprawdę pięknych obręczy. Cofnąłem się i przymierzyłem jedno z nich do koła.

– Będą idealnie pasowały do night runnera – zapewnił – zwłaszcza że mają sporo grafitowych elementów – wskazał na czarne części ramion. – Dlatego o nich pomyślałem...

Akurat. Takie wypasione cacka jako dodatek do wcale nie najdroższego wozu? I to za darmo?! Przecież były warte niezłą sumkę, naturalnie jeżeli nie były jeżdżone. A gdyby nawet i tak, pozostawały łakomym kąskiem, o czym drań doskonale wiedział.

– I powiada pan, że te felgi...

– Tak – zapewnił mnie, podnosząc dłoń jak do przysięgi.

– W cenie?

– Dwadzieścia jeden tysięcy. Tak, jak się umawialiśmy.

– Żadnych kruczków?

– Absolutnie – zachnął się Freddie. – Oferta świąteczna. Bierze pan?

– Cóż... – Po raz ostatni rzuciłem okiem za przeszkloną ścianę salonu. Do zmirzchu nie zostało wiele, ktoś mógłby nawet powiedzieć, że już się zaczął. – Niech będzie.

Przybiliśmy piątkę.

– Wymiana potrwa dziesięć minut – zapewnił mnie sprzedawca, wskazując ręką na biuro.

– W tym czasie załatwimy wszystkie formalności.

– Wie pan... to znaczy, wiesz, Freddie – zatrzymałem go w pół kroku i mógłbym przysiąc, że znów blednie. – Spokojnie, chciałem tylko powiedzieć, żeby mechanicy nie zmieniali teraz felg. Sam to zrobię w domu.

* * *

Te święta będą inne. Nie miałem co do tego wątpliwości. Po raz pierwszy od dziesięciu lat we własnym domu, przed kominkiem, ze szklanką zimnego piwa w dłoni. Tak... Dziesięć długich lat spędzonych na platformie wydobywczej pośrodku Zatoki Meksykańskiej zrobiło ze mnie bogatego człowieka. Bogatego, choć mocno wyeksploatowanego. Na pewno bardziej niż złoża, które drążyliśmy. Ale przecież wiedziałem, w co się pakuję. Wiedziałem, że po piętnastu latach tej roboty, nawet bez poważniejszego wypadku, wróciłbym na brzeg w stanie, jaki nie pozwalałby mi cieszyć się z zarobionych pieniędzy. Dlatego zrezygnowałem teraz, kiedy jeszcze liczba rąk, nóg, a nawet palców zgadzała się z grubsza z medycznymi normami. Posiadając na koncie sześciocyfrową sumkę – jako jeden z nielicznych nie dałem się namówić Jonathanowi na inwestycje giełdowe, dzięki czemu wciąż dysponowałem całością zarobionych w pocie czoła pieniędzy – mogłem gwizdać na cały ten kryzys finansowy i lamentsy oskubanych. Więcej, skorzystałem na tym podwójnie. Za sto szesnaście tysięcy kupiłem dom z widokiem na zatokę w całkiem spokojnej dzielnicy, niemały i w pełni urządzony – muszę przyznać, że nawet ze smakiem. Jeszcze pięć lat temu wyceniono tę posiadłość, należącą podówczas do jakiegoś maklera, na prawie sześćset tysięcy. A miesiąc temu agent z biura nieruchomości w trzy godziny spuścił z i tak niskiej ceny jeszcze dwadzieścia procent, byle sprzedać to cacko. No i mieszkam na strzeżonym osiedlu, na którym co drugi dom świeci pustkami pomimo najatrakcyjniejszych cen w całym stanie. Cisza, spokój, raj wymarzony. No i te widoki, chociaż teraz, w zimie, to podobno jeszcze nic... Pożyjemy, zobaczymy.

Dzisiaj przyszło mi na myśl, że mógłbym w końcu zmienić wóz. Wysłuzone volvo, które kupiłem w pierwszym salonie, na jaki trafiłem po zejściu na brzeg, sprawowało się dobrze, ale nie konweniowało zbyt z otoczeniem. Doszedłem do tego, gdy rano stanąłem w kuchni przy oknie z kubkiem gorącej kawy w ręce. Ruppert spod szesnastki miał mercedesa. Bez opisów na klapie bagażnika, wiem więc tylko, że to cholernie długie coupe. Mógłbym do niego wcisnąć łódź motorową, którą poprzedni właściciel mojego domu zostawił na krytej

przystani w głębi ogrodu, i jeszcze zostałyby sporo miejsca. Ci spod osiemnastki też mieli niezłe fury. Ona corvette, ale w starszej budzie, on BMW serii sześć. Prawnicy. Ci zawsze wychodzą na swoje. Nawet w czasach kryzysu.

Moje małe szare volvo nie pasowało ani do tego otoczenia, ani do mojego nowego image'u. Dlatego uznałem, że pora coś z tym zrobić. Zwłaszcza że musiałem coś sobie kupić pod choinkę.

Mój kumpel Artur miał nad koją wielki plakat półciężarówki. Najpierw myślałem, że trzyma go tam ze względu na trzy roznegliżowane panienki, ale szybko wyprowadził mnie z błędu. Ileż to razy wysłuchałem potem opowieści o najszybszym na świecie pick-upie, którego kupi, gdy wróci do domu. Bez względu na koszty, bez względu na spalanie. Prawdziwy Amerykanin musi mieć prawdziwego amerykańskiego muscle-cara. No i akcje. Dużo akcji. Obowiązkowo. Nie wiem, czy Artur kiedykolwiek spełni swoje marzenia, bo po dwunastu latach tyrania został na pokładzie z pustym kontem. Jego dodge RAM rozmył się w porannej mgle, tak jak pozostałe pięćdziesiąt miliardów dolarów roztrwonione przez geniusza giełdy MacDuffa, czy jak mu tam było. Puff i po marzeniach. A ja, wyśmiewany przez wszystkich frajer, który nie korzystał z koniunktury, właśnie siedziałem za kierownicą jednego z ostatnich egzemplarzy limitowanej serii. Jednego z czterystu wozów, które opuściły montownię koncernu Chryslera. Na pewno jedyne w tej okolicy.

I zastanawiałem się, czy zachować te złote potwory leżące teraz grzecznie na pace czy od razu wystawić je na jakąś aukcję, może nawet z informacją, że należały do tego zastrzelonego pajaca? To mogłoby podbić cenę. Ludzie lubią płacić za takie pokręcone rzeczy. A z tego, co się orientuję, fani potrafią sporo wybulić za pamiątki po swoich idolach... Rzuciłem okiem na ekran nawigacji. Do domu miałem jeszcze ponad trzydzieści mil, za oknem ciemno choć oko wykol, droga prosta jak drut, trzypasmowa i już wigilijnie pusta. Śnieg zaczął lekko prószyć, ale co to za śnieg, skoro nawet czujnik nie włączył wycieraczek. Na stronie poświęconej temu samochodowi wyczytałem, że jakiś idiota wycisnął z niego na Słonym Jeziorze niemal sto sześćdziesiąt mil na godzinę. Sprzedawca twierdził, że mój egzemplarz został dodatkowo stuningowany przez poprzedniego właściciela. Ciekawe, po co? Może facet chciał być pierwszym człowiekiem, który wydostanie się własnym wozem poza atmosferę? Ale skoro zadał sobie tyle trudu, nie wypadało nie sprawdzić, co też ten potwór kryje pod czarną jak smoła maską.

Opalizujące na zielono cyfry zegara pokazywały osiemnastą piętnaście. Szlag, w tak pięknym prezencie czas płynie zupełnie inaczej niż na zewnątrz. Ani się obejrzałem, a już minęły trzy godziny radosnego kręcenia się po okolicy. Rzuciłem okiem w lusterka, gdzieś daleko w tyle zamigaly blade światelka, ale po chwili zniknęły. Ktoś musiał skorzystać ze zjazdu na Tempieton. Stanowa szesnastka była kompletnie pusta, o tej porze pewnie nawet gliniarze śpiewają przy stołach koledy. A to znaczy, że mogę...

Nacisnąłem nieco mocniej pedał hamulca, koła nawet nie zabuksowały. Nawierzchnia

była wciąż czysta i całkiem sucha. Mogłem zaszaleć. Nie zamierzałem bynajmniej bić rekordów tego szaleńca, ale czułem, że wdepnięcie pedału gazu na kilkanaście sekund jest moją powinnością. W baku nadal miałem niemal dwadzieścia galonów superpremium. I ze trzy stacje po drodze do domu. Zero ryzyka.

Depnąłem na gaz. Na maksa, do dechy. Gdyby nie wilgoć powietrza, pewnie spaliłbym gumy. Dupą zarzuciło kilka razy, maska uniosła się do góry, przez moment miałem irracjonalne wrażenie, że to kłapa się wyrywa, ale nie popuściłem. Pięćdziesiąt mil na liczniku w kilka sekund, nie wiem, czy w cztery, czy pięć, ale naprawdę szybko. Sześćdziesiąt, siedemdziesiąt, osiemdziesiąt – przy stu dwudziestu odpuszczę, pomyślałem. Wbiłem wzrok w autostradę, prostą i gładką w tym miejscu jak stół. Dziewięćdziesiąt pięć, siedem, osiem. Jezu, czy ten silnik nie ma limitu mocy? Sto trzy, sto siedem, sto dziesięć. Nie puszczam, ryk się robi nieznośny w kabinie, zaczyna trochę rzucać. Noga mi drży, ale nie od wibracji, tylko z nerwów. Sto szesnaście i nadal nie widać osłabienia, nadal jestem wciśnięty w fotel, a wóz przyspiesza, jakby dopiero ruszył. Sto dwadzieścia, dwadzieścia dwa, trzy. Nie, muszę odpuścić, muszę, choć korci, żeby jeszcze trochę przydusić. Ale to nie Słone Jezioro, a ja nie mam nawet pewności, czy hamulce wytrzymają. Przecież ich jeszcze nie przetestowałem! Szlag by to wszystko... Zdjąłem nogę z gazu, nacisnąłem lekko na pedał hamulca i poczułem, że wóz raptownie zwalnia. Test okej, pomyślałem, ale w tym samym momencie raczej poczułem, niż usłyszałem, uderzenie w tylną ścianę kabiny.

Złote felgi Maxiego! Leżą luzem na pace. Nie mogę zbyt gwałtownie hamować, bo nie tylko je porozwalam, ale gotowe przedrzeć się przez tę ciekawą blachę i zrobić zimny befszytk z moich bebechów. Spokojnie, spokojnie. Mamy przed sobą kilka mil idealnie prostej drogi, noga zdjęta z gazu, na liczniku sto jeden, już tylko sto. Jakoś to będzie.

Podniosłem się nieco na fotelu, żeby mieć lepsze pole widzenia, i rzuciłem okiem w lusterko wsteczne. Kartony, w których opakowane styropianowymi łubkami leżały cztery wielkie, aluminiowe obręcze, zajmowały niemal całą przestrzeń paki. No i dobrze, nie mają wielkiej swobody, to i się nie...

* * *

Nie wiem, naprawdę nie wiem, jak to się stało. W jednej sekundzie spoglądałem na pakę, w następnej miotnęło mną, jakby wóz trafił na niewidzialną – przynajmniej dla mnie – ścianę. Gdyby nie zapięte pasy, wyrznięłbym czołem w szybę i po ptokach, jak mawiał nasz brygadzysta, skośnooki Rusek. Ale ja zawsze byłem przezorny i ubezpieczony. Szarpnęło mną raz, potem drugi, ale jakimś cudem zdołałem się usadowić za kierownicą i sięgnąć stopą do pedału hamulca. Niestety, nie tą nogą... Kilka lat jazdy w eksportowym gównie z manualną skrzynią biegów zrobiło swoje, kiedy odruch znaczył więcej niż myśl. Na szczęście, w trakcie pierwszego uderzenia nie miałem nogi na gazie, moja rakietka zdążyła przez te kilka sekund

wytracić sporą część pędu. Szybki rzut oka na deskę rozdzielczą boleśnie uświadomił mi, że jednak nie na tyle, bym mógł poczuć się pewnie. Osiemdziesiąt dwie mile na białce. Osiemdziesiąt. Wciąż o trzydzieści za dużo, może nawet więcej, zważywszy na pogodę.

Dzięki zastrzykowi adrenaliny nagle zrobiło się ciszej i spokojniej. Ale nie wiercie w te bzdury o całym życiu przesuwanym się przed oczami. Nic takiego nie miało miejsca, czas zwolnił, tak samo moje reakcje. Tylko umysł pracował z prędkością światła. Widziałem ciemność za oknami, ze zdziwieniem zauważyłem, że światła za przednią szybą zaczynają się przesuwać w prawo. Nie w tył, ale w prawo. Przecież to bez sensu, pomyślałem, kierownicę trzymam sztywno w dłoniach, niby dlaczego więc...?

Wpadasz w poślizg, stary, uświadomiła mi ta bardziej trzeźwa część jaźni, która zazwyczaj ma mnie głęboko w dupie. Suniesz bokiem do kierunku jazdy, pajacu, ot i cała tajemnica.

Natychmiast zdjąłem nogę z pedału hamulca, ale niewiele to dało. Skontrolowałem kierownicę, też bez efektu. RAM jechał do przodu, powoli obracając się w prawo, siedemdziesiąt stopni, sto, reflektory omiotły pobocze i zaczęły rozświetlać nawierzchnię za mną. Wskazówka prędkościomierza stała na zerze, choć widoki za oknami przemykały z całkiem rozsądną prędkością nawet jak na stan, w którym się znajdowałem. Teraz jechałem już tyłem do przodu. Raz jeszcze depnąłem na hamulec, chociaż koła od dawna były zablokowane. Zakląłbym szpetnie, gdyby nie...

Gdzieś na krawędzi widoczności, wśród podniesionych z asfaltu wirujących kłębow śnieżynek, zobaczyłem... Przecież dwie szklaneczki szkockiej, i to osiem godzin temu, nie mogły mnie znieczulić aż do tego stopnia. No dobrze, niech będzie, trzy szklaneczki.

Jelenie, łosie czy jakieś inne rogate bydlaki pędziły przez ciemność daleko za moim wozem. Widać było, że choć rozpaczliwie przebiegają kopytami, z trudem się poruszają, jakby były ciągnięte przez coś wielkiego, niewidzialnego. Zniknęły w mroku tak szybko, jak się pojawiły, pozostawiając mnie w pełnym stuporze.

Nie pamiętam, jak się zatrzymałem. Nie pamiętam, ile czasu to trwało. Za to wciąż widziałem te rozdęte chrapy, wybałuszone czarne oczy i krzeszące iskry kopyta, którymi biedne stworzenia starały utrzymać się na śliskim asfalcie.

* * *

Cisza. Bezruch. Tylko płatki śniegu wirujące tuż za szybą. W piekle śnieg nie pada, w niebie chyba też nie. A i w czyścicu nie powinien. To znaczy, tak mi się wydaje. Poruszyłem palcami u rąk na kierownicy, potem ramionami. Wreszcie zdjąłem nogę z hamulca. Żadnego bólu. Chyba jest dobrze. Wycieraczki przesunęły się z cichym szumem, zgarniając śnieg zalegający cienką warstwą na przedniej szybie. Reflektory nadal świeciły, i to cholernie mocno, musiałem wrzucić długie, szamocząc się z kierownicą. W snopach światła widziałem

całkiem spory kawał autostrady. I znajomy kształt na pokrytym cienką warstwą śniegu asfalcie.

Szybki rzut oka w tylne lusterko uświadomił mi, że komplet nowiuteńkich, złotych, robionych na zamówienie felg przeszedł do historii. Na pace miałem tylko dwa dość mocno pogniecione kartony, pozostałe leżały gdzieś tam, na drodze. Instynktownie nacisnąłem klawisz świateł awaryjnych i sięgnąłem do klamki. Jeden ruch dłoni i w płucach poczułem, czym różni się tutejszy klimat od wilgotnych zim Florydy. Dla kogoś, kto wszystkie święta spędzał w barach Miami albo Key West, taka konfrontacja nie była czymś miłym. Ale musiałem wyjść sprawdzić, czy mój RAM też nie przeszedł do historii, jak felgi Maxiego. No i wyszedłem. Kuląc się na chłodzie pomimo grubej kurtki Cubsów na grzbiecie, obiegłem wóz dookoła. Nie było źle, chociaż... otarcia po lewej stronie wyglądały parszywie nawet w tak nikłym świetle. Dobrze, że trafiłem te... to... cokolwiek to było, pod tak dużym kątem. Wpaść w stado jeleni przy osiemdziesięciu milach na godzinę... Rzeźnia. Normalnie, rzeźnia.

Któryś z tych rogatych skurwieli musiał przeciągnąć rogiem przez cały bok, bo kilka głębokich rys biegło od tylnego błotnika aż po nasadę maski. A ja, kurwa, nie mam przecież ubezpieczenia! Muszę zadzwonić do Freddiego, pomyślałem, może jeszcze nie wygasło ubezpieczenie poprzedniego właściciela. Znaczek Liberty Direct wisiał za lusterkiem, może jeszcze da się z tego wykręcić sianem. W końcu jest Wigilia...

Wróciłem do kabiny, zatrzasnąłem drzwiczki i spróbowałem przekręcić kluczyk w stacyjce. Bez włączonego silnika mogłem zapomnieć o ogrzewaniu. Kręcę i nic. Trup. Kręcę drugi raz. Totalna cisza. Co jest, myślę, w nic nie przywaliłem, czyżbym zalał świece? Nie, niemożliwe. Sięgam do dźwigni biegów i nagle olśnienie. Automat. Trzeba wysprzęglić cholerstwo. Przesuwam dźwignię na właściwą pozycję, naciskam pedał hamulca i kręcę. Rozrusznik zarządził raz i drugi, silnik zatrzęsł się, zakaszłał, ale w końcu zapalił. Konsola rozbłysła jak świąteczna choinka, ale wisiało mi, ile z nich oznacza ostrzeżenie przed awarią. Ważne było jedno, że mogę włączyć ogrzewanie.

Ośmiolitrowy silnik z vipera gra piękną melodię nawet na luzie. Miód dla uszu i dla serca. Przerzuciłem na pozycję „Drive”, nacisnąłem lekko gaz, ruszyłem bez bólu. Puszczam kierownicę, wóz sunie powoli, ale prościutko jak strzała. Jest okej. Sięgam do wyłącznika świateł awaryjnych, ale po zastanowieniu cofam rękę. Nie, muszę znaleźć moje felgi, a przy tej pogodzie jazda pod prąd, nawet na sześciopasmówce, nie jest czymś rozsądnym. Gdzie leży pierwsza z dwu zgubionych, wiem, widzę ją przecież, problem będzie z szukaniem drugiej.

Jakbym wykrakał. Musiałem włączyć wszystkie światła. Długie, halogeny, ręczny reflektorek. I gówno mi to dało. Śnieg wciąż sypał i to coraz mocniej. Jechałem wolno samym środkiem – a jakże, pod prąd! – rozglądając się na wszystkie strony w poszukiwaniu charakterystycznego kartonu, ale wcięło go jak sneakersy Stana.

Cofnąłem się o pół mili, potem jeszcze dalej, a po kartonie ani śladu. Dotarłem już do

miejsca, w którym zderzyłem się z... z tym, z czym się zderzyłem. Przysypane śniegiem fragmenty lusterka stanowiły wyraźny dowód. Dalej nie było sensu szukać.

Zawróciłem, tym razem jechałem tuż przy krawędzi szosy, praktycznie po pasie awaryjnym. Reflektorkiem oświetlałem pobocze, rzadkie krzaki i rów za nimi. Skoro kartonu nie było na jezdni, musiał wylecieć za pasy ruchu. Ziemia w tej okolicy nie była zbyt kamienista, istniała szansa, że felga, w końcu dość dobrze opakowana, przetrwała ten upadek w wystarczająco dobrym stanie. Ja z pewnością nie zamierzałem na niej jeździć, dość się nasłuchiwałem historii o mikrouszkodzeniach, które odzywały się w najgłupszych momentach, żeby odpuścić sobie takie powypadkowe obręcze. Ale jakiś upalony czarny frajer całe dni klęczący przed plakatami Maxiego, może je kupić choćby po to, żeby powiesić je sobie na ścianie. Szkoda tracić tyle kasy, nawet jeśli to tylko bonusik.

Jechałem powoli, sprawdzając każdy cal pobocza. Długo to trwało, ale w tym czasie wyprzedził mnie tylko jeden samochód. Nie wiem nawet jaki, bo zauważyłem jedynie jego światła. Po dwustu, może trzystu jardach wypatrzyłem zrytą mocno ziemię tuż przy krawędzi pasa asfaltu i połamane krzaki. Śnieg już prawie zakrył to miejsce, za pięć, dziesięć minut nie dałoby się stwierdzić, że coś wypadło tutaj z drogi. Zatrzymałem wóz i wyskoczyłem raz jeszcze na mróz. Nie miałem latarki, ale ustawiłem RAM-a pod kątem, długie światła wydobyły z mroku spory kawał pola za krzewami. Ślizgając się na przymarzającym śniegu, dotarłem do linii zarośli. Ani śladu kartonu. Za to kilka bruzd po drugiej stronie nie za szerokiego rowu. Zbyt szeroko rozstawionych jak na moją zaginioną paczuszkę. Przeskoczyłem na drugą stronę, chwytając się oszronionych krzewów i... Zatkalo mnie.

Kilkanaście jardów dalej pod kępą drzewek stał zaprzęg. Trochę nietypowy, gdyby ktoś zapytał mnie o zdanie. Coś jakby sanie, dość masywne i długie, pomalowane na czarno. Z wysoko podniesionym tyłem. Gładkie i lśniące jak karoseria mojego RAM-a. Gdy szedłem w ich stronę, dostrzegałem coraz więcej szczegółów. Jednakże to, co najbardziej przykuwało mój wzrok, znajdowało się przed saniami. Jelenie, łosie, renifery... Nie znam się na rogaciznie. Jestem w stanie powiedzieć, jak wygląda lew, hipopotam albo krokodyl – chociaż tego ostatniego nie odróżnię już od aligatora. Ale jednego byłem pewien. To te cholerstwa mignęły mi w światłach reflektorów w trakcie wypadku. Macie szczęście, rogacze, żeście to przeżyły.

Podszedłem do sań, przesunąłem dłonią po ich gładkim, bezwzględnie metalowym boku i zatrzymałem się w miejscu, gdzie powinno znajdować się siedzenie woźnicy. Zajrzałem do głębokiego, dość futurystycznie wyglądającego kokpitu. Ciemno, pusto. Ciekawostka.

– Jest tu kto? – zawołałem, nie licząc zbytnio na odpowiedź.

Facet, który wypadł z tego wózka, przy zderzeniu ze mną nie miał wielkich szans na zachowanie szczęk w całości. Kurwa, co mi przychodzi do głowy!... Przecież to człowiek. Nagle poczułem zimny pot na plecach. Zabiłem jakiegoś wsioka. I chociaż kretyn jeden we mnie uderzył, pakując się na autostradę furmanką, w dodatku bez świateł, to jednak był

człowiekiem.

– Jest tu kto?! – powtórzyłem nieco głośniej.

Cisza. Tylko trochę głośniejsze wycie wiatru. A może jednak nie wiatru... Wsluchałem się w to zawroźwienie i wychwyciłem w nim dziwną nutę. Cofnąłem się nieco i obszedłem sanie z drugiej strony, od rowu i zarośli.

– Jest tu kto?! – krzyknąłem po raz kolejny.

Tym razem usłyszałem ten jęk wyraźniej.

Zanurzyłem się w krzaki, rozgarniając je na oślep na lewo i prawo. Gęste były, nie mogłem więc za szybko się przez nie przedzierać. I dobrze, bo wyrznąłem po chwili jak długi. Nie zgadniecie, podciął mnie mój własny zaginiony karton. Ostatnia felga. Ale nie miałem nawet czasu sprawdzić, w jakim ona jest stanie. Wylądowałem twarzą na czymś miękkim i ciepłym, choć pokrytym już cienką warstwą śniegu.

– Humpf – jęknęło to coś i już wiedziałem, że mam do czynienia ze sprawcą wypadku.

Podniosłem się ostrożnie, starając się nie opierać o jego ciało, co wcale nie było takie proste, zważywszy na marznący śnieg i pochylenie terenu.

– Żyjesz, człowieku? – zapytałem w ciemność, ale od razu skląłem siebie za głupotę. Gdyby nie żył, toby nie jęczał. – Możesz mówić?

– Oge – odparł krótko i nawet zrozumiałe, aczkolwiek niezbyt wyraźnie.

– Możesz poruszać palcami rąk i nóg? – pytałem dalej, wydobywając z pamięci to, czego nas uczyli na obowiązkowych kursach pierwszej pomocy. Te palce były z jakiegoś powodu cholernie ważne, ale nie pamiętałem dlaczego.

– Oge – odpowiedział znowu.

– Świetnie. Czujesz jakiś ból? – improwizowałem.

– Ta – padła zduszona odpowiedź. Wziąłem ją za potwierdzenie.

– No i dobrze – zapewniłem rannego. – Zderzyłeś się z samochodem, człowieku, z półciązarówką, ale wygląda na to, że miałeś szczęście. Zaraz cię stąd wyciągnę. Do szpitala nie mamy daleko.

Wstałem, żeby sprawdzić, gdzie jest skraj autostrady i czy uda mi się go wyciągnąć najkrótszą drogą. Do asfaltu miałem może ze cztery jardy, ale krzaki były tu gęste jak cholera. Mimo to powinienem go wyciągnąć, rów nie był taki znów głęboki. Poza tym miałem przy sobie nóż marynarski. Parę minut i przetrzebię te chaszczce. Poklepałem gościa dla dodania mu otuchy – po ręce, a może nodze – i zabrałem się do metodycznej wycinki. Kwadrans później miałem już ostatnią felgę na pace i sapiąc, ciągnąłem faceta w stronę skąpanej w śniegu rzeki asfaltu.

Niewiele go dotąd widziałem, bo koleżka ubrany był cały na czarno. Gębę też miał dziwnie ciemną, no ale tu, na poboczu, w świetle reflektorów mogłem mu się przyjrzeć dokładniej. Murzyn czarny jak smoła, sądząc z rysów – Haitańczyk. Gruby jak beka, co dało mi trochę do myślenia. I przystrojony w dziwny strój. Lamowana kurtka i także spodnie.

Wszystko czarniejsze od asfaltu.

Dociągnąłem gościa na płaski teren i musiałem odpocząć. Taki był ciężki.

– Palcami możesz ruszać? – spytałem znowu. Przypomniało mi się, że ofiar wypadków z uszkodzeniami kręgosłupa nie należy ruszać.

– Mogę – potwierdził. Mówił już znacznie wyraźniej. Może dlatego, że zdjąłem mu czapkę z twarzy.

– Pogięło cię, człowieku?! – ryknąłem na niego, ledwie odsapnąłem. – Saniami po autostradzie w nocy zapierdzielasz?! Sam się prosiłeś...

Zamruczał coś w odpowiedzi, zrozumiałem jedynie słowo „szpital”.

– Mam tylko nadzieję, że jesteś ubezpieczony – mruknąłem pod nosem. Nie poczuwałem się do odpowiedzialności za to zderzenie, a lakierowanie i blacharka ze dwa kawałki będą kosztować. Ale miałem chociaż potencjalnego sponsora. Te jego sanki nie wyglądały na tanie, więc do biednych nie należał.

Po zamrożonym asfalcie szło się już lekko. Trochę jak po lodzie. Przytaszczyłem grubasa pod drzwiczki i tutaj zaczęły się schody. Gościu ważył ze dwieście funtów, może więcej. Proste wciągnięcie go do kabiny nie wchodziło w rachubę. Wprawdzie miałem sporo pary w rękach, każdy, kto robi na śrubunku, musi mieć łapy jak kafary, ale dźwignąć beczkę tłuszczu, i to na dodatek bezwładną, na to trzeba Schwarzeneggera i trzech pomocników.

Oparłem faceta w czerni o koło i poklepałem po policzkach delikatnie, ale na tyle mocno, żeby otworzył szkliste oczy.

– Zawiozę pana do szpitala, ale potrzebuję odrobiny pomocy. Jest pan za ciężki, żeby pana dźwignąć. Może pan... – Poklepałem się po udzie i pokazałem palcem w górę.

– Spróbuję... – wyszeptał z charakterystycznym dla południowych stanów akcentem.

– Na trzy – dodałem szybko, zanim znów przymknął oczy.

– Na tsy – potwierdził i zacząłem głośno odliczać. Skupił się, widziałem to po jego zaciśniętych ustach. Jęknął głośno, pewnie z bólu, ale wstaliśmy o wiele łatwiej, niż przypuszczałem. Przytrzymałem go i otworzyłem drzwiczki. O kręgosłup nie musiałem się już martwić, to było jasne, ale pozostawało jeszcze ze sto urazów, które mogły mu uniemożliwić wejście do kabiny. Choćby skręcona kostka.

Spiąłem się, aby ustawić faceta do pionu, potem przytrzymałem go za fraki, żeby nie padł, gdy wspinałem się do szoferki. I ostatni, najgorszy etap: mozolnego wciągania delikwenta do środka. Nie wiem, ile to trwało – dziesięć minut, piętnaście. W każdym razie potrzeba było trzech prób, żeby sapiący, jęczący i omdlewający co chwila wieśniak spoczął w końcu na fotelu pasażera. Przypiąłem drania pasami i siadłem za kierownicą. GPS meldował, że szpital hrabstwa znajduje się niespełna pięć mil od miejsca wypadku. Nawet przy takiej pogodzie dojechanie do niego nie powinno mi zająć więcej niż kwadrans.

Smolisty sankarz obudził się po trzech minutach jazdy. Nie wiem, co go otrzeźwiło, ciepło panujące w kabinie czy te wstrząsy – przy szybszej jeździe rzucało nami dość ostro,

najwidoczniej uszkodziłem podczas kolizji przednie zawieszenie. Cokolwiek to było, otworzył niezbyt przytomne oczy i wyszczerzył szerokie rzędy idealnie równych i białych jak śnieg zębów. Poczułem się, jakbym oglądał pierwszego „Aliena”. Ale nie wysunął wewnętrznej szczęki. Za to odezwał się bełkotliwie.

– Gdzie ja jestem?

– Na szesnastce, tam, gdzie się zderzyliśmy. Wiozę pana do szpitala.

Potoczył oczami po kabinie, zatrzymał na moment spojrzenie na mnie, potem odpłynął. Nie na długo jednak.

– Moje sanie – wymamrotał.

– Chyba są w lepszym stanie niż mój samochód – odburknąłem, przypominając sobie rysy zdobiące cały bok. Facet przeszedł do porządku dziennego nad tym stwierdzeniem, nawet nie otworzył oczu.

– A reni... fery?

– Zwierzaki stały na nogach, kiedy je ostatni raz widziałem. Spokojna głowa, dzisiaj jest Wigilia, o tej porze na podmiejskich autostradach ruchu nie ma, nikt ci ich nie podpieprzy. A ja zaznaczyłem w nawigacji, gdzie stoją. Najwyżej trochę zmarzną... – pomyślałem, że takie zwierzaki całkiem dobrze sobie radzą w zimnym klimacie – albo zgłodnieją.

Facet skinął głową, ale nie odpowiedział. I dobrze, nie miałem ochoty na gadki. Wprawdzie nikt na mnie w domu nie czekał z kolacją, ale po dziesięciu latach harowy chciałem usiąść w Wigilię na miękkiej kanapie, obok własnoręcznie przystrojonej choinki, rozkoszować się białym winem do fileta z soli, posłuchać kolęd. Jak człowiek, normalnie. Sięgnąłem do włącznika radia. Kolęd mogłem posłuchać i tutaj.

Pięćset wat, tyle mocy ma pieprzony zestaw Infinity montowany fabrycznie w RAM-ach. I chyba tyle decybeli dostaliśmy prosto w uszy, ledwie przekręciłem gałkę. Mój śnięty koleżka w czerni też zareagował jak trzeba. Oczy mu się zrobiły okrągłe i nawet ta charakterystyczna mgielka na moment zniknęła.

– Wybacz, bracie – jęknąłem, ledwie udało mi się skrócić potencjometr. – Naprawdę nie moja wina. Dopiero odebrałem to cacko z salonu.

Skinął głową, a może był to tylko efekt kolejnego zarzucenia wozem. Przez kilka minut jechaliśmy w ciszy, słuchając świątecznej muzyki pełnej wszechobecnych dzwonek. Właśnie docierałem do zjazdu z autostrady, gdy mój towarzysz otworzył przytomniej oczy.

– Sanie... – wymamrotał.

– Spokojnie – odparłem, siląc się na luz. – Zaraz będziemy w szpitalu. Stamtąd zgłoszę na policję, żeby je odholowano.

– Nie rozumiesz... – próbował powiedzieć coś więcej.

– Nie rozumiem – przyznałem, aby uciąć tę bezsensowną dyskusję, lecz nie osiągnąłem zamierzonego efektu.

– Zadanie... – wyszeptał facet w czerni.

– Jakiegokolwiek ono było, już go nie wykonasz – podsumowałem, skupiając się na obserwacji ekranu nawigacji. Gdzieś tutaj można było skręcić, żeby pojechać skrótem.

– Muszę...

– Musi to na Rusi – skontrolowałem jedną z wielu maksym brygadzysty.

– Nie rozumiesz – powtórzył i zamknął oczy.

* * *

Szpital hrabstwa Cook ku mojemu zaskoczeniu był czynny i otwarty na oścież, choć ruchu wielkiego nie zauważyłem. Wiadomo, święta. Zajechałem pod izbę przyjęć z piskiem opon, wciskając się przed pękatą karetkę na sygnale. Nawet nie musiałem przekonywać sanitariuszy, że mam w wozie ofiarę wypadku. Schody zaczęły się dopiero potem, pielęgniarka z rejestracji nie chciała przejąć ode mnie rannego bez dokumentów, wezwała ochronę i tak utknąłem w sali przyjęć z jęczącym czarnuchem po jednej stronie i niewiele jaśniejszym gliniarzem po drugiej. Spojrzałem na zegarek. Osiemnasta trzydzieści pięć. A mógłbym przysiąc, że było już grubo po ósmej.

Chcesz być, człowieku, dobrym samarytaninem, dostaniesz za swoje, pomyślałem. Nie dość, że spędzę tu cały wigilijny wieczór, to jeszcze gliny gotowe mnie ciągać, jeśli ten palant kipnie na noszach. A przecież to nie ja byłem sprawcą wypadku. Nie ja jechałem po autostradzie saniami. I to bez świateł. W sumie nic na mnie nie mają, pomyślałem, spoglądając na leżącego pod kroplówką czarnoskórego faceta w jeszcze czarniejszym kostiumie. Gliniarz zmył się jakiś czas temu, uprzedzając mnie o odpowiedzialności karnej, gdybym przypadkiem i ja chciał się oddalić z tego miejsca. A jak niby miałbym się oddalić, skoro gnój zabrał mi wszystkie dokumenty?

– Dzięki za zajebistą Wigilię, bracie – wysyczałem do leżącego na noszach czarnucha.

A on, jak na zawołanie, otworzył oczy.

– Gdzie jestem? – zapytał całkiem przytomnie.

– W szpitalu – odparłem, nie wgłębiając się w szczegóły.

– W jakim szpitalu? – nie dawał mi spokoju.

– Cook County, stan Illinois.

– Szlag... – mruknął zawiedziony. – Nawet nie połowa roboty.

– Dla ciebie i tak finał – odparłem pojednawczym tonem.

– Nie, to niemożliwe – zaprotestował.

– Ależ jak najbardziej, proszę pana – poczułem satysfakcję, mogąc mu to rzucić prosto w twarz. – Wpieprzyłeś się, gościu, pod mój samochód, po zmierzchu, bez świateł, zaprzęgiem na autostradzie stanowej... Jesteś uziemiony! Czytaj z moich ust: u-zie-mio-ny.

Spojrzał na mnie z wyrzutem.

– Tak, pamiętam... Jechałeś grubo powyżej dozwolonej prędkości...

– Wal się, gościu – odburknąłem. – Wydawało ci się.
– Nie...
– Jak się jedzie maksymalnie pięć mil na godzinę, to cały świat wokół wydaje się pędzić.
– Takiś pewien? – zapytał, a mnie zrobiło się zimno. Może i wiedział, że jechałem za szybko, pomyślałem, ale jak to udowodni? W saniach radaru nie miał.
– No, niby tak... – mruknął, jakby czytał w moich myślach, i zaraz dodał: – Słuchaj, musisz coś dla mnie zrobić.
– Akurat.
– Naprawdę – wysyczał, próbując się podnieść.
– Daj spokój, człowieku.
– Jestem Ed – wtrącił, spoglądając w moją stronę.
– Daj spokój, Ed – nie dałem się zbić z tropu. – Leż, bo ci żyłka pęknie.
– Musisz mnie zastąpić – wysyczał.
– Tak, tak – próbowałem go zbyć, rozglądając się za pielęgniarką albo lekarzem. Może, skoro już się rozbudził, wezmą w końcu numer ubezpieczenia i pozwolą mi jechać.
– Musisz – złapał mnie za rękaw.
– Nic nie muszę – odparłem z rozbrajającą szczerością. Gdzie jest ten mundurowy pacan?
Czas zakończyć tę farsę.
– Dzisiaj jest Wigilia.
– Zauważyłem.
– Nic ci to nie mówi? – zapytał zdziwiony.
– Niby co?
– Wigilia, sanie, renifery? – rzucił.
– Jaja sobie ze mnie robisz?
– Nie, naprawdę nie – zapewnił.
– O co ci chodzi, człowieku? – pochyliłem się nad nim. – Wyciągnąłem cię z tych chaszczy, chociaż mogłem pojechać do domu i nikt by mi nie powiedział złego słowa, a ty mi wyjeżdżasz z jakimiś głodnymi kawałkami. Wigilia, sanie, renifery. Masz się za świętego Mikołaja?
– Coś w tym stylu.
– Akurat.
– A co ci nie pasuje? – zapytał.
– Choćby kubraczek – odparłem.
– Co z nim nie tak?
Parsknąłem tak głośno, że pielęgniarki za kontuarem spojrzały w naszą stronę.
– Choćby kolorek – szepnąłem, żeby uspokoić atmosferę.
– A co ci w nim nie pasuje? – zapytał bojowo.
– Wszystko – odparłem. Kto widział Mikołaja w czerni? No, kto? Żeby chociaż wyglądał

jak Will Smith...

– Czyli co? – nie ustępował. Twarz mu napuchła z tego podniecenia i mocno poszarżał.

– Mikołaj w czerni? Chyba że nie święty – spróbowałem obrócić wszystko w żart. Nawet pokazałem mu wyprostowane palce w geście, jaki zaobserwowałem kiedyś na koncertach metalowych. Skrzywił się z pogardą.

– To jaki powinien być według ciebie? – zapytał znów.

– Czerwony – odparłem, modląc się, by gliniarz wreszcie wrócił.

– Ech! – stęknął czarnuch. – Cholerne podróby.

– Niby jakie?

– Z Coca-Coli. Pogięło cię, bracie? – wysyczał. – Ho, ho, ho! Ten czerwony pajac to zastrzeżony znak towarowy. Korporacyjne gównno, które daliście sobie wcisnąć.

– Jasne, a prawdziwy święty Mikołaj zawsze był czarny. Jak kominiarz. – Machnąłem ręką, wskazując raczej kolor jego twarzy niż ubioru. – Trzynasty apostoł się znalazł.

– Srali, mazgali – odparł enigmatycznie. – Sam się przekonasz.

– Nie ma mowy!

– Człowieku, skasowałeś mnie w połowie roboty. Musisz mnie zastąpić.

– Nie muszę.

– Musisz i zastąpisz. Czy ci się to podoba, czy nie.

– Swoją starą możesz straszyć, nie mnie. Siedzisz, człowieku, po uszy w gównie – odparłem, myśląc o rysach na moim nowym RAM-ie. – W wyjątkowo śmierdzącym, gorącym jak smoła...

– Razem siedzimy – odparł spokojnie. Za spokojnie.

– Doprawdy? – zdziwiłem się.

– Nachyl się – poprosił.

Rozejrzałem się wokoło, ale nikt nie zwracał na nas uwagi. Więc się nachyliłem. Patrzyłem w jego pobladłą twarz, ale ruchem oczu kazał mi spojrzeć niżej. Przejechałem wzrokiem po czarnym stroju aż do pasa.

– Rozchyl – wyszeptał.

– Co mam rozchyłać? – obruszyłem się.

– Kubrak – odparł.

Wahałem się przez chwilę, ale sięgnąłem do lamowanej poły, rozsuplałem szeroki pas, potem jakieś sznurki. Wreszcie odchyliłem gruby materiał na tyle, by zobaczyć białą koszulę. Była biała tylko na klatce piersiowej, poniżej czern mieszała się z rubinową czerwienią. Wokół postrzępionej dziury na brzuchu.

– Co to... jest? – wyszeptalem, blednac, i natychmiast zakryłem tę plamę.

– Rana postrzałowa – odpowiedział i zaraz dodał: – Wybieraj. Albo mnie zastąpisz, albo ten postrzał idzie na twoje konto.

– Nikt ci nie uwierzy...

– Doprawdy?

– Przecież to ja cię tu przywiozłem.

– W sumie masz rację... – przyznał. – Ale zanim gliny do tego dojdą, posiedzisz z miesiąc.

Miał skurwiel rację. Jeśli mnie oskarży, sporo czasu minie, zanim zobaczę swój dom.

– W co ty grasz, czarny chujku? – spróbowałem po raz ostatni. – Przywiozłem cię tutaj, dupsko uratowałem, chociaż nie musiałem, na wiosnę by znaleźli twój zewłok, o ile wilki nie byłyby pierwsze. A ty tak mi się odpłacasz?

– To nic osobistego – odparł, nie zważając na obelgi. – Ktoś musi tę robotę wykonać. Zrozum to wreszcie.

Gliniarz wyszedł zza załomu korytarza, niosąc nową gazetę i kubek aromatycznej kawy. Jej zapach wyprzedzał go o kilka jardów.

– Decyduj, człowieku – szepnął facet w czerni.

No i zdecydowałem... A co innego mogłem zrobić?

* * *

Nic się nie martw, powiedział Ed. To prostsze niż budowa cepa. Masz tu palmtopa, mówi, i wciska mi jakieś elektroniczne cacko. Aktywujesz go, przykładając kciuk do ekranu. Zrób to przy mnie. Dobrze. Masz w nim wszystkie zasady i protokoły. Jest jakiś problem, sprawdzasz. Zresztą co tu dużo gadać? Cała robota to dwa przyciski, jak na Jetsonach. Naciskasz i jedziesz. Naciskasz i kończysz. Akurat. Wyciągnąłem palmtopa z kieszeni. Włączyłem i czytam.

„Jeśli jesteś nowym pracownikiem, naciśnij jeden”.

Aha! Jak na infolinii. Wiedziałem, że wcale nie będzie prosto. Wiedziałem! Ale nic to, naciskam jedynekę.

„Wpisz rozmiar noszonego ubrania i naciśnij krzyżyk”.

Wpisałem, nacisnąłem. Z tyłu sań rozległ się cichy syk. Spojrzałem zaciekawiony na ekran.

„Załóż strój roboczy i naciśnij krzyżyk”.

Obszedłem zaprzęg i podniosłem ze śniegu zamkniętą próżniowo torbę foliową wypełnioną idealnie czarnym materiałem. Dokładnie taki sam zestaw, jaki miał na sobie Ed. Zważyłem w dłoni palmtopa... Przecież to jakaś paranoja. Mikołajowie w czerni, hi-techowe sianie i do tego renifery. To się kupy nie trzyma. Już miałem rzucić cholerstwem o ziemię i wracać do RAM-a, przynajmniej kawałek Wigilii w domu zaliczyć, a to cudo zaczyna mi nagle w dłoni wibrować. Patrząc na ekran i własnym oczom nie wierzę.

„Masz minutę na założenie stroju roboczego i uruchomienie sań”.

– Bo co! – prychnąłem prosto w ekranik.

„Bo jajco”. Napis był krótki i zaraz zniknął. Zastąpił go szereg cyfr. Mój numer konta w First Union. Pod nim login i hasło. „Do całkowitego opróżnienia konta pozostało 50 sekund” – zamigało czerwienią.

Wiącha, którą puściłem, skończyła się długo po tym, jak już byłem ubrany w czarne wdzianko. Sukinsyny! Hakerzy pieprzeni! Zasiadłem w kokpicie pięć sekund przed upływem czasu, ale na palmtopa spojrzałem sporo później, kiedy już skończyłem kłać.

„Włóż komunikator do stacji dokującej”.

Na ściance przede mną podświetliła się wąska szczelina. Włożyłem do niej palmtopa, bo chyba o niego chodziło.

„Wybór kolejnego adresu, naciśnij jeden”.

Nacisnąłem. Na ekranie pojawił się adres, jedno z przedmieść po drugiej stronie aglomeracji Chicago, i zaraz pod nim kolejna wskazówka: „Uruchomienie sań – przycisk z napisem START”. Zrobiło się jaśniej. Zauważyłem wąską konsolkę i dwa przyciski – było dokładnie tak, jak mówił Ed. Nacisnąłem ten z napisem „Start”.

Zaszumiało, nagle poczułem, że profilowane siedzisko, na którym przycupnąłem, robi się głębsze, miększe, coś objęło moje nogi i ramiona. Nie wiadomo skąd nad kokpitem pojawiła się przezroczysta kopułka. A potem szarpnęło jak w startującym odrzutowcu i gwałtowne przyspieszenie wcisnęło mnie w sprężynujące oparcie. Ludzie, jaki czad. Pięćset koni RAM-a wysiada w przedbiegach. Oddechu nie mogłem złapać. I nagle sru, gdyby nie ten obejmujący mnie materiał, zaryłbym nosem w półkę z przyciskami.

Ciemność. Cisza.

Gdy podniosłem głowę, kopułka już gdzieś zniknęła. Mogłem też wstać, siedzenie na powrót stwardniało. Wyjrzałem z kokpitu i... nie uwierzycie. Sanie stały na środku szerokiego podjazdu przed wielkim wiktoriańskim domem. Zresztą dom to za mało powiedziane, znalazłem się przed pałacem! W kilku oknach paliło się światło, ale wokół panowała kompletna cisza. Siadam, patrzę na ekran palmtopa.

„Odbierz przesyłkę z podajnika”.

Przesyłkę? Z podajnika? Szum z tyłu sań uświadomił mi, że znam odpowiedzi na oba pytania. Zeskoczyłem na ziemię i zobaczyłem w tylnej, obłej ściance pojazdu spory otwór. Mógłbym iść o zakład, o cały mój majątek, że go tu wcześniej nie było. W sterylnym wnętrzu leżał czarny worek. Dość sporych rozmiarów. Chwyciłem go, na szczęście nie był ciężki. Zajrzałem do środka. Sześć paczuszek. Piękny ozdobny papier, szerokie złote wstążki. Małeńkie bileciki. Przesyłka! Domyślałem się, co mam zrobić, ale na wszelki wypadek spojrzałem na mój wszytkowiedzący komunikator.

„Zrealizuj dostawę i naciśnij krzyżyk”.

Przesyłka, dostawa. Co to do cholery ma być? Seven-Eleven w wydaniu bajkowym? Elfy na kasach, sanie w promocji, a mielone renifery w mięsny na funty w świątecznej ofercie? Zarzuciłem worek na plecy i idę w stronę domostwa. Ed miał rację, na razie bułka z masłem.

Zadzwoń, rozdaj paczki i spieprzam do następnego... tfu, klienta.

Byłem już blisko drzwi. Może z sześć kroków dzieliło mnie od szerokich marmurowych schodów, gdy zorientowałem się, że coś jest nie tak. Na początku nie wiedziałem, co mi nie pasuje, ale poczucie to rosło z każdą sekundą. I wtedy je zobaczyłem. Płatki śniegu. Kilka dosłownie, pewnie zmiecione przed chwilą podmuchem wiatru z portalu. Wisiały w powietrzu tuż przed moją twarzą. Mieniły się w blasku reflektora oświetlającego wejście wszystkimi barwami tęczy, ale nie poruszały się. Ja też się zatrzymałem. Gapiłem się na nie z otwartymi ustami. Nawet wibracja palmtopa nie była w stanie wyrwać mnie z transu. Dopiero po dłuższej chwili spojrzałem na ekran. Zgodnie z przewidywaniami był na nim numer mojego konta i zegar odliczający czas.

– Wiem, wiem – mruknąłem i schowałem urządzenie do kieszeni.

Zanim podniosłem worek z prezentami, ująłem w palce jeden z płatków. Był twardy, jakby wycięto go z cienkiej blaszki. Mogłem go poruszyć, przesunąć, ale ledwie go puściłem, wciąż pozostawał nieruchomy. Dziwne...

Wszedłem do domu bez większych przeszkód, drzwi otworzyły się bezszelestnie. W środku przywitała mnie kompletna cisza. Palmtop znów zawibrował, tym razem na ekranie pojawił się plan domu, coś w rodzaju mapki z nawigacji. Cienka czerwona linia prowadziła prosto do choinki i sznura z wielkimi wełnianymi skarpetami.

Załatwiłem sprawę szybko i wróciłem do sań. Sprawdziłem po drodze płatki. Wisiały tam, gdzie je zostawiłem. Niesamowite. Usiadłem w kokpicie, wstawiłem komunikator do bazy i znów zobaczyłem napis:

„Wybór kolejnego adresu, naciśnij jeden”.

Przynajmniej wiedziałem już, w jaki sposób firma transportowa „Popieprzony Mikołaj i partnerzy” załatwia tak wiele dostaw w tak krótkim czasie...

* * *

Nie wiem, które to było zlecenie. Setne, tysięczne. Zlewały mi się już te wszystkie domy, domki, bloki. Wszędzie to samo. Odbierz paczkę, dostarcz paczkę, naciśnij krzyżyk. Czasem tylko sceneria była piękniejsza, najbardziej podobały mi się te miejsca, gdzie w trakcie dostawy padał gruby, gęsty, puszysty śnieg. Cudnie tam było. Jak w bajce. Miliardy wiszących w powietrzu płatków, które można było rozcierać rękami. I ten tunel w kształcie człowieka wyrzeźbiony w śnieżycy, gdy wracałem. No, cudnie, BYŁOBY cudnie. Gdyby nie ta cisza. Wszechobecna, porażająca. Grobowa. Dopiero po pewnym czasie wpadłem na to, że mogę przecież posłuchać muzyki z iPod'a. Jak podczas roboty na platformie. Pomogło, wierzcie mi, że pomogło.

Nie czułem głodu – od pierniczków zostawianych przy choinkach mdliło mnie już, bo niczego innego cholernie cudaki nie pozwalały mi ruszyć, a czasem aż ślinka leciała,

zwłaszcza w tych wielkich rezydencjach. Nie wiedziałem nawet, że istnieją takie gatunki szkockiej, whisky, bourbona. I że można dostać butelki z zawartością mającą po sześćdziesiąt i więcej lat. Na platformie mieliśmy o wiele bardziej plebejskie wymagania. Jak to mawiał nasz brygadzysta: każdemu według potrzeb.

Tak czy siak odwaląłem robotę automatycznie, raz za razem, mając nadzieję, że z każdą dostarczoną przesyłką jestem bliższy powrotu do domu. Czas się nie liczył, czas był tutaj naprawdę jedną z najprostszych rzeczy. Nie zastanawiałem się już nad niczym. I chyba właśnie to mnie zgubiło. Ta rutyna. Kolejny adres – San Diego, California. Tam nie mogło być śniegu. I nie było. Ciepłutka noc, rozgwieżdżone niebo, wielka chata stylizowana na hiszpańską hacjendę. Półkolisty garaż na osiem stanowisk. Wielki basen. Spokój i cisza.

Wyskoczyłem z kokpitu, a właściwie omal z niego nie wypadłem. Zaczepiłem połą rozpiętego kubraczka o krawędź siedziska i musiałem podeprzeć się ręką, żeby nie zaliczyć gleby. Ale glibnęło mną ostro, aż mi słuchawki spadły. Zebrałem je z ziemi i zasuwam na tył sań. Nie usłyszałem szumu otwieranego podajnika chyba dlatego, że cykady tak głośno brzęczały. Jak ci ludzie mogą mieszkać w takim hałasie? – pomyślałem, skręcając za sanie.

Cykady? Jakie cykady? Zamarłem i spojrzałem trzeźwiej wokoło. Wiatr kołysał czubkami palm, gdzieś daleko zaszczekał pies. Co jest grane? Sięgnąłem do kieszeni po komunikator. Ekran płonął czerwienią.

„Naruszenie procedur bezpieczeństwa” – migało na przemian z: „Natychmiast naciśnij przycisk START”. Przecież był wciśnięty, nie ruszałem... Kurwa, kurwa, kurwa. A o co się oparłem, wyłączając z kokpitu? No właśnie.

Dobra, bez paniki. Na razie nic się nie stało. Nikt mnie nie widział i nikt mnie nie zobaczy. Naciskam „Start” i po krzyku. To tylko kilka kroków. Parę sekund. Myliłem się.

– Kim pan jest? – Facet w rozpiętej koszuli, ze sporym kieliszkiem wina w dłoni, stał przy pierwszych reniferach. Wyglądał na jeszcze bardziej zaskoczonego niż ja i miał cholernie znajomą twarz. – To teren prywatny. Jak pan się tutaj dostał? – Zaskoczenie zniknęło z jego głosu równie szybko, jak pojawiał się w nim strach.

– Wszystko wyjaśnię – ruszyłem w jego stronę. Cholerny palmtop omal sam nie wyskoczył z mojej kieszeni. – Jestem dostawcą, paczki rozwożę. Świąteczne. – Miałem nadzieję, że kupi tę historyjkę choć na kilka sekund, czas potrzebny do naciśnięcia tego cholernego przycisku. – W saniach mam dokumenty dostawy.

– Stać! Ani kroku dalej! – Ryknął ktoś za moimi plecami. Z prawej otworzyły się drzwi, oślepiło mnie jasne światło.

– Panowie, to nieporozumienie! – zacząłem, robiąc kolejny krok. Jeszcze tylko dwa, trzy i będzie po sprawie.

– Na ziemię! – ryknął ten za mną; mogłem iść o zakład, że jest uzbrojony.

Do faceta w koszuli podbiegło dwóch ochroniarzy. Z karabinami szturmowymi w ręce. Zasłonili go własnymi ciałami. Po kilku sekundach przybiegło kolejnych czterech. Co to za

ludzie? Taka ochrona? Taka broń? Wymierzili we mnie. Wszyscy naraz. Zamarłem. Palmtop też.

– Ja to wszystko wytłumaczę...

– Panie wiceprezydencie, proszę z nami. – Trzej agenci wycofali się, otaczając zdziwionego faceta, a ja odetchnąłem z ulgą.

Lepsi federaści niż handlarze narkotyków, zwłaszcza ci grubszy. Chociaż i tak zapowiadała się niezła przeprawa. Wdarcie się na teren prywatny, naruszenie miru domowego i to u tak wysokiego rangą polityka. Saniami, z tuzinem reniferów, w stroju błazna. Może chociaż to ostatnie zaliczą mi w poczet... Nagle zrozumiałem, jak ten sukinsyn Ed zaraził się ołowicą. Pewnie skrewił w podobny sposób. Zapamiętałem, że powinienem go o to zapytać, jeśli przeżyje.

– Na ziemię! – powtórzył ten za mną, ale teraz dla efektu jeszcze strzelił. Chyba w powietrze albo ślepakiem, bo nic mi nie świsnęło obok ucha i nie poczułem trafienia. Ale i to wystarczyło, żeby rozpętało się istne pandemonium. Miałem ułamki sekund na wymyślenie planu i podjęcie decyzji. W tak krótkim czasie i Salomon nie należy z próżnego. Musiałem improwizować. Dzięki adrenalinie mogłem to wszystko jakoś ogarnąć. Zrobiłem krok do przodu, udając, że zamierzam się położyć w trawie. Potknąłem się przy tym, to dało mi kolejny krok. Dłonią już mogłem sięgnąć krawędzi kokpitu. Podniosłem ręce do góry, przyklęknąłem na jedno kolano. Ci z M-16 w dłoniach ruszyli w moją stronę. Sądząc z szurania za saniami, ich koledzy zrobili to samo. I wtedy odbiłem się od ziemi, rzuciłem całym ciałem na burtę sań. To była moja jedyna szansa, jedyna możliwość. Nie dałbym rady wskoczyć do środka, ale mogłem zawisnąć na krawędzi, przechylić się, dosięgnąć przycisku. I dosięgnąłem, tyle że ułamki sekund za późno. Faceci z sił specjalnych mają niezły refleks. I mało rozumu. Zrozumiałem to, gdy padłem na trawę, wijąc się z bólu. Wystrzelili niemal równocześnie, w powietrzu nade mną wciąż wisiało kilkanaście pocisków. Przynajmniej dwa miałem w sobie. Na szczęście, tylko w nodze. Na szczęście, daleko od tętnic. Na szczęście, w kokpicie była apteczka. Dobrze wyposażona apteczka.

Oni sami sobie zgotowali znacznie gorszy los. Jeden już nie żył. Ten, który podchodził do mnie z tyłu. Naliczyłem na jego wygiętym w łuk ciele co najmniej osiem otworów. Trzy serie z broni automatycznej nastawionej na ogień ciągly. Ech... Przynajmniej się nie męczył. Klęczący obok niego facet z UZI zaliczył jedną kulkę w ramię, co chyba uratowało życie tym z przodu. Gdyby strumień ołowiu, który szerokim wachlarzem kierował się w niebo, poszedł prosto... Lepiej nie myśleć, zwłaszcza że i moja dupa tam była, i to wcale nie w przenośni. Przyjrzałem się bliżej postrzelonemu. Jeden ze śladów zostawionych przez pociski kończył się tuż przed jego białą koszulą. Kula też tam była. Sięgnąłem po nią, ale natychmiast cofnąłem rękę, sycząc z bólu. Gorące cholerstwo. Wyjąłem palmtopa z kieszeni i używając go jako narzędzia, odepchnąłem pocisk w bok, żeby minął biednego zastygłego frajera, kiedy czas wróci do normy. Kuśtykając sprawdziłem, czy któraś z pozostałych kul nie leci tam,

gdzie nie trzeba. Sześć kolejnych musiało zmienić diametralnie trajektorię. W tym jedna zamierzająca przewietrzyć mózg pana wiceprezydenta. Los jest jednak ślepy.

Dopiero kiedy upewniłem się, że żaden złom już nikogo więcej nie skrzywdzi, usiadłem przy saniach. Obracałem milczącego palmtopa w dłoniach. Podobno mieściły się w nim odpowiedzi na wszystkie pytania. Spróbujmy. Przycisnąłem kciuk do ekranu. Skaner zrobił swoje, ekranik pojaśniał.

Znów pojawił się znajomy napis: „Naruszenie procedur bezpieczeństwa”, ale zaraz zamigotał i zniknął. Ekranik zappełnił się pytaniami. „Czy nastąpiło wykrycie dostawy?”, „Czy doszło do bezpośredniego kontaktu z odbiorcą”, „Czy odniosłeś obrażenia w trakcie kontaktu?” i cała seria podobnych bzdur. Odpowiadałem na nie, czasami po chwili zastanowienia, ale zawsze zgodnie z prawdą. W końcu dotarłem do końca tej litanii. Grube, czerwone litery oznajmiły mi: „Automatyczny wybór zastępcy”. Pod spodem migał mniejszy napis: „Proszę czekać”.

Czekałem, co innego mogłem zrobić. W końcu pojawił się adres. Też z San Diego. Patrick Samuel Levine. Lat czterdzieści sześć. Rozwiedziony. Bezdzienny. Idealny kandydat do postrzelenia... Przepraszam, na dostawcę świątecznych prezentów. Sądząc z kartoteki, bynajmniej nie świętego. Muszę tylko wymyślić jakiś sposób wrobienia go w to gówno. Tak, jak mnie wrobiono. Ale od czego mam palmtopa, w nim są podobno odpowiedzi na wszystkie pytania.

Wojciech Świdziniewski [1975 – 2009]

Mówił o sobie: Śledzik, birbant, hulaka i utracjusz. Był miłośnikiem wczesnego średniowiecza z naciskiem na epokę wikingów, dość mocno zaangażowanym w ruch odtwórstwa historycznego (drużyny „Srebro Peruna” i „Winland”) oraz wielkim fanem swojego rodzinnego miasta, Białegostoku.

W życiu miał się różnego fachu – począwszy od pracownika zakładu pogrzebowego, na baronie szmateksowym kończąc.

Debiutował w „Nowej Fantastyce” (2/197 1999) opowiadaniem „Konsekrowany”. Nominowany do Nagrody im. Janusza Zajdla 2001 za opowiadanie „Murarze”, które ukazało się w „Science Fiction”. Opowiadanie „Kłopoty w Hamdirholm” („Science Fiction” 7/28 2003) nominowano do Nagrody Nautilusa. Współtworzył białostockie fanzyny „Widok z Wysokiego Zamku” i „NaCzelni”, przez wiele lat redaktor periodyku literackiego „Fahrenheit”.

Zmarł miesiąc przed premierą swojej pierwszej powieści, skrzęcych się humorem i kpina, „Kłopotów w Hamdirholm”.

**Wojciech
Świdziniewski**

**Bądź moim
krukiem**

Tomek Pacyński był dla mnie małym, złośliwym i chichoczącym krasnoludem, który niemilosierdzie bał się łaskotek. Łysy, brodaty, brzuszek, łapy nabite węzłami mięśni – wykapany krasnolud. No i nie powiem, zawzięty jak ta rasa też był. Gdyby jeszcze zamiast papierosów palił fajkę...

Pamiętam jak dziś pewien ciężki poranek na konwencie w Ogrodnickach pod Białymstokiem. Wszedłem z domku i pierwsze co zobaczyłem to Packa siedzącego w knajpianym ogródku i łupiącego jakieś kamienie. Podeszedłem bliżej i spytałem, po cholere tak łupie?

– Narzędzia z epoki kamienia tworzę – odparł, ćmiąc papieroska. Pokiwałem głową z uznaniem, w końcu sam odtwarzam historię i rozumiem takich ludzi.

– Dużo masz tych narzędzi? – kontynuowałem dalej „wywiad” z Puckiem, który z nienacka okazał się kumplem po fachu.

– Żadnego. Robię je i wyrzucam. – Przyjrzał się swojej robocie i cisnął świeżo obrobiony kamień w las. Przez chwilę próbowałem zgłębić motywacje Packa dotyczące się sztuki kamieniarskiej. Dałem sobie jednak spokój, ale Pacek, widząc, że się zastanawiam nad jego słowami, sam udzielił mi wyjaśnienia:

– Wyobrażasz sobie tych paleontologów i archeologów, którzy znalazłszy te kamienie, zaczną to wszystko przekopywać w poszukiwaniu osady z epoki kamienia łupanego? Jak się będą głowić, myśleć, kombinować, dwoić się i troić, żeby wymyślić jakąś rozsądną teorię? A ja w tym czasie, siedząc w Broku i głaszcząc jednego ze swoich kotów, będę śmiał się do rozpuku. – Rozejrzał się po okolicy. – Zresztą, tu masz takie zadupie cywilizacyjne, że przyda się wam, Podlasiakom, lekkie podbicie datowania osadnictwa...

Cały Pacek. Siedzi pewnie gdzieś tam w zaświatach, z popielniczką zapchaną kipami (Tomek miał taką popielniczkę u siebie w domu, przy komputerze, na którym pisał teksty. Była po brzegi wypełniona niedopalkami i fizyczną niemożliwością dla zwykłego człowieka było dorzucenie tam jeszcze jednego kipa. Jednak Packowi nie sprawiało to żadnego problemu), patrzy na nas i się wyzłośliwia. Czasami pod nogi gałąź rzuci i zachichocze, widząc, jak się potykamy. Zaraz jednak z ziemi nas podniesie, przyjaźnie poklepie, żartem rzuci, pomoże...

Dokładnie takiego Go pamiętam...

Mały, złośliwy, chichoczący krasnolud.

To dla Ciebie, Packu.

*„A man ain't meant to be alone
With demons scratching at his soul”.*

*„Człowiek nie powinien być sam,
kiedy demony rozdrapują jego duszę”.*

„Walkin Through The Desert (With A Crow)”
Ghoultown

Marcin niezbyt pewnym krokiem wyszedł z „Ryczących Czterdziestek”, zostawiając za sobą gwar szantowego pubu. Powłócząc nogami, ruszył w stronę ulicy Mickiewicza. Niepotrzebnie pił te dwa kieliszki krupniku. Teraz wyraźnie czuł, jak wódka walczy o prawo do opuszczenia jego trzewi. Chwiejąc się, szedł dalej, w kierunku jasno oświetlonej ulicy.

– Ech, Marysia – cicho powiedział do siebie. Drobną rozchichotaną brunetką o ciętym języku i oczach skrzących się wesołością, którą poznał dzisiejszego wieczoru. Dziewczyna godna zainteresowania. I to nie na jedną noc, ale na coś trwalszego. Nie chciał jej spłoszyć, więc nie poprosił o numer telefonu, ale za to odprowadził do taksówki, wspominając od niechcienia, że jutro też wpadnie do „Ryczących Czterdziestek”. Żyłka została zarzucona, teraz trzeba tylko czekać, aż ryba chwyci.

Wyszedł na Mickiewicza i skupił się na mozolnej wędrówce, starając się nie wyglądać na kogoś, kto wypił o dwa kieliszki za dużo. Policja lubiła zbierać sobie punkty, zatrzymując takich właśnie podejrzanych, za nic mając bójki w pobliskim parku.

Właśnie, park. Gdyby poszedł tamtędy, znacznie skróciłby sobie drogę. Rzucił okiem na zegarek. Dopiero dwudziesta trzecia, a on już porządnie zalany. Jedenasta wieczorem to nie była dobra godzina na spacer po parku. Młodzież, często już zdrowo podchmielona, opuszczała puby i kierowała się w stronę centrum, gdzie znajdowało się kilkanaście topowych dyskotek. A że młodych zawsze rozpira energia i wydaje im się, iż są nieśmiertelni, to i o burdę było bardzo łatwo. Zresztą Marcin kilka lat temu nie był lepszy. Jak dziś pamiętał imprezy na Kortach, czy też Trybunach, jak inaczej nazywano plac przy akademikach Akademii Medycznej. Było ostro – kilka bełtów i potem krótki kurs do Herkulesów. To było jednak kiedyś. Teraz miał pracę, pieniądze i stać go było na parę wyjść w tygodniu do lepszego pubu w centrum i porządną zabawę bez oszczędzania.

Minął Wydział Prawa i doszedł do miejsca, gdzie zaczynały się Planty, kompleks parkowy zaprojektowany i wybudowany w okresie międzywojennym. Tu zatrzymał się, mając do wyboru trzy drogi. Mógł pójść prosto, przeciąć plac przed pałacem Branickich, wyskoczyć na Rynek Kościuszki, i dalej, Lipową dojść na swoje osiedle. Mógł też skręcić w lewo, Plantami minąć Korty i dalej parkiem dojść do Legionowej, gdzie skrót, koło kopuły spalonej przez Niemców synagogi, mógł przedostać się na Suraską, by następnie idąc Liniarskiego też znaleźć się na Lipowej, skąd już miał blisko do domu. Ta druga trasa była krótsza, istniało jednak duże prawdopodobieństwo napotkania chętnych do bójki już w samym parku. Była też trzecia opcja, dość kusząca. Skręcić w prawo i przez park ks. Poniatowskiego dotrzeć do Teatru Dramatycznego, w podziemiach którego mieściła się

spokojna knajpka. Mógłby tam pokrzepić się jednym piwkiem i ruszyć dalej już aleją Piłsudskiego.

Pomasował się po brzuchu. Dalej czuł te dwa kieliszki. Pokręcił głową, odrzucając trzecią opcję i powlókł się przed siebie. Na starcie z małolatami w parku też nie miał sił. Minął budynki gospodarcze kompleksu pałacowego, w których obecnie znajdowały się między innymi galeria i restauracja „Arsenał” i po stopniach wszedł na dziedziniec pałacu Branickich.

Zawsze lubił to miejsce, zwłaszcza wieczorem, oświetlone dziesiątkiem lamp, błyszczące splendorem minionych wieków, kiedy to Jan Klemens Branicki walczył ze Stanisławem Augustem Poniatowskim (swoim szwagrem notabene) o tron Rzeczypospolitej.

Marcin zatrzymał się na środku dziedzińca i palnął się w czoło. Przecież miał pieniądze! Czasy oszczędzania już minęły i mógł pozwolić sobie na ekstrawagancję, jaką była podróż taksówką do domu. Ruszył dalej, zastanawiając się, czy na Kilińskiego jest jeszcze postój.

Niebo rozświetliła błyskawica. Chłopak zaniepokojony spojrzał w górę, utwierdzając się w przekonaniu, że taksówka jest teraz najlepszym rozwiązaniem. Kiedy patrzył na nieboskłon, znowu błysnęło. Nie na niebie, ale od strony pałacu.

Był przy wjeździe na podjazd. Odwrócił się ostrożnie, nie czując jeszcze niepokoju. U styku prawego skrzydła pałacu z frontem budowli pojawiło się kolejne wyładowanie. I zaraz następne. Marcin zmarszczył brwi zaniepokojony i podszedł parę kroków w kierunku niezwykłego zjawiska. Błyskawice szczepiły się ze sobą i zaczęły formować kulę.

Piorun kulisty! – przemknęło mu przez głowę. Rozejrzał się w poszukiwaniu schronienia. Zaraz jednak zastygł w przerażeniu. To coś rosło, trzaski wyładowań atmosferycznych były coraz silniejsze, a... kula pędziła prosto na niego!

Odetchnął z ulgą. Nie pędziła, tylko błyskawicznie zwiększała swoją objętość, co sprawiało wrażenie, jakby się zbliżała.

– Kurcze, całkiem jak w „Terminatorze”... – mruknął, mimowolnie kierując się w stronę dziwnego zjawiska.

Błękit kuli przeszedł w biel, by po chwili rozbłysnąć intensywnie. Chłopak podniósł rękę, żeby osłonić oczy. W bańce, która sięgała już pierwszego piętra, poruszały się jakieś postaci. Wydawało się, że wyskakują prosto na dziedziniec.

Marcin jak gęś wysunął głowę, chcąc przyjrzeć się temu niecodziennemu spektaklowi.

Krzyknął ze zdziwienia i cofnął się. Najpierw coś uderzyło w jego lewe ramię – zupełnie jakby ktoś dał mu całkiem solidnego kuksańca. Potem podskoczyło drugie, i zaraz podrzuciło nim całym.

Charcząc, zwałił się na płytki dziedzińca. Ze znieruchomiałej klatki piersiowej sterczały trzy długie strzały...

* * *

Wookie siedział za barem i postukując zapalniczką, tępo wpatrywał się w ekran telewizora, w którym leciał właśnie koncert Bonamassy. Poniedziałkowy wieczór w „Antrakcie”, w środku letniego sezonu, to najnudniejsza część tygodnia. Połowa miasta, która bawiła się w weekend, siedziała teraz w domu, dochodząc do siebie po pierwszym dniu pracy w nowym tygodniu. Druga połowa siedziała gdzieś na Mazurach, bądź szwendała się po różnych zakątkach kraju i Europy.

Barman westchnął ciężko. Zerknął na zegarek. Ledwie paręnaście minut po dwudziestej trzeciej, a lokal już był pusty. Sezon w teatrze też się skończył, więc aktorów i technicznych, głównej klienteli pubu, również brakowało. Właściwie to mógłby pójść już do domu, ale wrodzone poczucie obowiązku kazało czekać w „Antrakcie” na północ, kiedy to z czystym sumieniem mógłby zamknąć pub i wróciwszy do domu, zasiąść przed WoWem.

Popatrzył na ścianę przyozdobioną półkami z dziesiątkami butelek przeróżnych alkoholi. Żeby jeszcze było z kim wypić, toby czas się tak nie dłużył. A i tak pewnie, kiedy zbliży się dwunasta, to w drzwiach pojawi się jakaś drętwa parka, zamówi sok albo herbatę i będzie siedzieć do Bóg wie której, patrząc sobie głęboko w oczy. I lizać się. Nic tak Wookiego nie wkurzało, jak publiczne obnoszenie się z miłością.

Zaszurała wycieraczka i w drzwiach pojawił się Oleg, niewysoki, długowłosy blondyn z widoczną nadwagą. Rozejrzał się po pustym lokalu i nic nie mówiąc, rozsiadł się przy barze. Zaczął bezwiednie bawić się podkładką pod piwo – był wyraźnie podenerwowany. Wookie nigdy jeszcze nie widział go w takim stanie.

– Coś ty taki jakiś nijaki? – zapytał, stawiając dwa kieliszki na blacie.

– Sam jesteś? – spytał Oleg.

Wookie, nalewając gorzkiej żołądkowej do obu kieliszków, skinął potakująco głową.

– Ankę wysłałem do domu. Po cholere mają siedzieć tu dwie osoby jak nie ma roboty dla jednej. Zdrowie.

Oleg łyknął, krzywiąc się lekko.

– Co się stało? – ponownie zagał Wookie.

Gość popatrzył na ekran niewidzącym wzrokiem. Barman wyraźnie widział, że nie może skupić wzroku na obrazie.

– Bonamassa? – powiedział w końcu Oleg. – Możesz puścić Amon Amarth? I tak nikogo nie ma.

Wookie skinął głową i sięgnął po płytę.

– I możesz jeszcze podać piwo i fajki?

– A masz czym płacić? – Pomimo całej sympatii, jaką żywił do tego grubasa, interes był interesem.

– Nie mam. Spłacę kreskę, jak tylko dostanę zaliczkę.

Wookie podszedł do nalewaka:

– „Zaliczkę”... O tej twojej zaliczce słyszę już od pół roku. Sporo ci się tego nazbierało.

Oleg uśmiechnął się smutno:

– Nie ty jeden podejrzewasz mnie o kity z tą kasą. Możesz do tego dorzucić mojego osobistego brata, a twojego serdecznego przyjaciela, resztę mojej rodziny i paru bliższych znajomych.

– Dziwisz się? – Wookie wzruszył ramionami, kładąc papierosy na blacie. – O twojej książce słyszę już od roku – masz ją niby napisaną, oddaną do redakcji, czy coś tam. Kasę miałeś dostać zaraz po podpisaniu umowy. Nikt jej nie widział. Ani kasy, ani umowy. Wszystko to słowa, słowa, słowa... Jesteś po prostu niewiarygodny. A rysa rośnie.

Oleg łyknął wielki haust piwa:

– Myślisz, że mnie to nie wkurwia? Takie są procedury. Tylko, że wkurwanie się nic nie da. Poza zwiększonym apetytem na browar. Nic też na to nie poradzę, że jestem alkoholikiem... Wróć. Pijakiem. Lepiej być...

– ...znanym pijakiem niż anonimowym alkoholikiem. Znam to. Nie myślałeś się leczyć?

Oleg parsknął, wydychając dym.

– Przyganiał kocioł garnkowi. Ja nie walę dzień w dzień po kilka browców...

– Ale już jak się dorwiesz, to łoisz do nieprzytomności.

Obaj się roześmieli. Oleg zaraz spowaźniał.

– Pół godziny temu widziałem śmierć człowieka.

– Pierdolisz...! – Wookie wytrzeszczył oczy.

Oleg pokręcił z determinacją głową.

– Widziałem na własne oczy... Zginał kierowca mojej piętnastki, tu zaraz, na przystanku na Branickiego.

– A ty cały jesteś? – zdziwił się barman.

– Czy ja powiedziałem, że to był wypadek? Kierowca zginał postrzelony z łuku, kiedy zatrzymaliśmy się na przystanku.

– Z łuku? – z niedowierzaniem spytał Wookie.

– Kiedy wysiadałem z autobusu, wyraźnie widziałem strzałę sterczącą z jego piersi.

– I tak sobie poszedłeś?

Oleg wzruszył ramionami.

– A co miałem robić? Siedziałem na końcu, nic praktycznie nie widziałem – tylko usłyszałem brzęk tłuczonej przedniej szyby. W czym mógłbym pomóc?

– Jesteś pewien, że to była strzała?

Oleg zwiesił głowę, ciężko wzdychając. Kiedy ją podniósł, popatrzył barmanowi prosto w oczy.

– To nie jest kolejna historyjka, żeby wyludzić piwo... To nie jest kolejny kit... Powiedz mi, jakie mam hobby?

– Dobra, dobra. – Wookie podniósł ręce w geście poddania się. – No offence!

– Powiedz!

- Historia...
- Jaka epoka?
- Wikingowie... wczesne średniowiecze.
- Jak mocno jestem w to zaangażowany?
- No... masz na tym punkcie pierdolca.

Oleg uśmiechnął się szeroko, odchylając się na barowym stołku.

– No właśnie. Chyba potrafię rozróżnić strzałę od... od czegoś innego powodującego śmierć kierowcy?

Znowu zaszurała wycieraczka. Obaj odwrócili się w stronę drzwi.

– No, to sobie posłuchaliśmy – mruknął Oleg i unióśł brwi, widząc, kto wchodzi do lokalu.

W drzwiach stała zjawiskowa brunetka o długich prostych włosach, pociągłej, trochę trójkątnej twarzy i wielkich, sarnich oczach. Jako że był środek lata, miała na sobie tylko obcisłą czarną minispódniczkę i równie obcisłą granatową bluzeczkę. Rozejrzała się po lokalu i weszła dalej. Za nią pojawiła się kolejna brunetka, już nie tak olśniewająca, ale też niebrzydka.

Jednak oczy obu mężczyzn wciąż skierowane były na pierwszą kobietę.

Kiedy mijiała bar, powiedziała urzekająco aksamitnym głosem:

– Dzień dobry.

Oleg pokiwał tylko z uznaniem głową, nie odrywając wzroku od jej piersi. Wookie grzecznie odpowiedział.

Minąwszy bar, skierowała się do dolnej sali. Grubas z lubością wpatrywał się w jej kształty.

– Ech, lizałbym jak słony boczek... – powiedział wystarczająco głośno, żeby kobiety usłyszały. Pierwsza drgnęła tylko. Druga odwróciła się i pogardliwie wydymając wargi, warknęła:

– Obłeśny cham!

– W rzeczy samej – odparł z uśmiechem.

– Kurwa, musisz to robić? – powiedział z wyrzutem Wookie.

– Przecież powiedziałem prawdę. Nie mów mi, że jak ją zobaczyłeś, to nie pomyślałeś o jej zerznięciu.

Wookie skrzywił się.

– Nie musisz jednak ogłaszać tego całemu światu...

– Ale pomyślałeś, co? Przyznaj się!

– Pomyślałem, pomyślałem...

– To czemu nie być szczerym i nie nazywać rzeczy po imieniu?

Wookie pochylił się nad blatem i powiedział przyciszonym głosem:

– Nie pomyślałeś, że tej kobiecie będzie przykro, gdy potraktujesz ją jak kawał mięcha do

rżnięcia?

– To ty to powiedziałaś. Dla mnie jest aniołem, bóstwem, które bym wielbił i hołubił. A przy okazji lizał jak słony boczek, co pewnie by się jej też podobało. Gdyby to robił ktoś zupełnie inny, nie ja. W naszym społeczeństwie trzeba kłamać, żeby coś osiągnąć... – Oleg przerwał, widząc zbliżającą się z zamówieniem dziewczynę, która wcześniej określiła go chamem.

– Poproszę herbatę i sok porzeczkowy. – Wookie poszedł na zaplecze wstawić wodę.

– A pan to mógłby swoje uwagi zachować dla siebie – powiedziała, szukając w portmonetce drobniaków.

– Czemu? – zdziwił się grubas. – Przecież powiedziałem na głos tylko to, co myśli każdy facet na widok takich lasek jak panie.

– To było bardzo niegrzeczne...

– ...i dlatego przepraszam za kolegę – powiedział z uśmiechem wracający Wookie. – Jest zgorzkniałym pijakiem, którego porzuciły wszystkie partnerki. Ale to dobry człowiek, inteligentny, bystry, z dużym poczuciem humoru. Kiedy trzeba, potrafi też być kulturalny...

– Zamknij się – warknął Oleg. – Nie prosiłem cię o rekomendację.

– Dla mnie jest po prostu chamem i burakiem – parsknęła klientka. – Herbatę pan przyniesie?

– Oczywiście!

Wookie popatrzył na Olega i pokręcił głową.

– No co? – rozłożył ręce grubas. – Przecież nie wyszły. Chyba podobało im się to, co powiedziałem.

Wookie nic nie odpowiedział, tylko zmienił płytę z Amon Amarth na Arcade Fire. Z głośników popłynęły dźwięki „Funeral”.

– Adekwatne do dzisiejszych wydarzeń – mruknął Oleg, kończąc piwo. Wookie nalał mu następne.

Ponownie zaszurała wycieraczka. Do „Antraktu” weszło dwóch mężczyzn, rozejrzeli się krótko i skierowali prosto do Olega.

Starszy zamówił coca-cole, młodszy wyciągnął policyjną legitymację i przedstawił się:

– Policja, Hubert Białobrzęski. A to Jarek Dmowski. To pan był z pół godziny temu w tym autobusie gdzie zastrzelono kierowcę?

– Byłem. Skąd pan wie, że ja to ja?

Policjant uśmiechnął się pod nosem.

– Ciężko jest się panu zgubić w tłumie, co? – Wyciągnął z kieszeni notes i przeczytał: – „Oliwkowe bojówki wpuszczone w wojskowe buty, koszulka z nadrukiem jakiejś metalowej kapeli, krzyż do góry nogami na szyi, długie blond włosy i broda. Gruby”.

Oleg wziął łyk piwa i spokojnie powiedział:

– Faktycznie, ten opis pasuje i ktoś mógłby nawet pomyśleć, że chodzi o mnie. Jednak

jest parę szczegółów, które się nie zgadzają. To nie nadruk z metalową kapelą, tylko logo drużyny „Srebro Peruna”, do której należę. A to – tu pochwycił jeden ze swoich wisiorów – nie jest krzyż do góry nogami, tylko replika symbolu religijnego Starej Wiary, młota Thora znalezionej na Islandii. Chociaż część historyków upiera się, że jest to chrześcijański krzyż. Ciekawe, co? Pogaństwo i chrześcijaństwo zawarte w jednym symbolu. Bardzo mi to odpowiada – ta zawieszka jest, tak jak ja, rozerwana między dwoma światami. O co jestem oskarżony?

– O nic, mądralo – bez cienia uśmiechu odpowiedział Biało-brzeski. – Przesłuchujemy wszystkich świadków, a ty nam uciekłeś z miejsca przestępstwa. To jak to było?

– Jechałem piętnastką. Autobus zatrzymał się na przystanku – ja już stałem na tylnym pomoście przygotowany do wyjścia. Zaraz po otwarciu drzwi rozległ się brzęk rozbijanej szyby, a po chwili krzyk jakiejś kobiety. Wysiadłem na zewnątrz i ruszyłem ku przodowi autobusu. Przez otwarte przednie drzwi widziałem kierowcę przyszpilonego do fotela bardzo długą strzałą. Idealny strzał w serce, szybka śmierć na miejscu. Musiał strzelać prawdziwy mistrz. Rozejrzałem się – nikogo nie było widać. Nic dziwnego, zresztą. Z porządnego łuku wprawny strzelec może trafić w cel z kilkudziesięciu metrów...

– Znasz się na łukach? – przerwał mu drugi policjant.

– Trochę znam. Należę do „Wikingów”, grupy odtwarzającej wczesne średniowiecze. Potrafię rozróżnić łuk angielski od krymsko-tatarskiego. I powiem wam jedno, panowie. Ta strzała to był prawdziwy majstersztyk. Nie jakaś tam fabryczna robota, tylko artystyczne rękodzieło rodem ze średniowiecza...

– He?

Oleg przerzucał wzrok z jednego policjanta na drugiego.

– To panowie nie wiedzieliście, że ta strzała, co ugodziła kierowcę, to historyczna replika? Strzały historyczne znacząco się różnią od współczesnych, sportowych. Właściwie to współcześnie ze strzały historycznej pozostał tylko podział na główne elementy składowe, czyli grot, promień i lotka. Nawet laik już na pierwszy rzut oka jest w stanie odróżnić strzałę historyczną od współczesnej – chodzi tu głównie o zastosowane materiały.

– Gdzie takie można dostać? Znaczą się, te historyczne.

– Głównie w internecie, na stronach drużyn i rzemieślników oraz na większych festynach historycznych. Łatwo znajdziecie producenta – każdy rzemieślnik w jakiś tam sposób oznacza swoje produkty.

– Dużo nam pan pomógł – mruknął Biało-brzeski. – A chciał pan zbiec z miejsca przestępstwa. Będziemy musieli lepiej się przyjrzeć waszemu środowisku tych „Wikingów”. I panu. Nie widać, żeby śmierć tego człowieka zrobiła na panu większe wrażenie.

– Widziałem więcej śmierci niż statystyczny Polak – Oleg wzruszył ramionami. – Pracowałem krótko w zakładzie pogrzebowym. Byłem też świadkiem śmierci ojca. Owszem, jestem świetnym kandydatem na mordercę, gdyby nie parę szczegółów – byłem w tym

autobusie, kiedy to się stało. No i jestem łucznikiem do dupy. A ktoś, kto strzelał w półmroku i z takiej odległości musiał być mistrzem.

– Tak – westchnął Białobrzieski. – To dość rozsądne alibi, które zmuszony jestem uznać...

Do przedsionka „Antraktu” z rumorem wpadły dwie postaci. Wookie, Oleg i policjanci z niedowierzaniem patrzyli na rozgrywającą się scenę. Przed nimi toczył się pojedynek na broń białą między „Dawidem” i „Goliatem”. „Goliat”, wysoki na ponad dwa metry smukły mężczyzna, z niesamowitą wprawą i szybkością wywijał szablą. Długie blond włosy i poły szarego płaszcza wirowały z każdym ruchem. „Dawid” był niskim krępyim mężczyzną, który bronił się przed „Goliatem” toporem i tarczą. Sapał i postękiwał przy tym dość głośno.

Wszyscy otrząsnęli się z szoku w chwili, gdy walczący dotarli do drzwi prowadzących na salę. Białobrzieski i jego partner niemal równocześnie wyciągnęli broń i starszy krzyknął:

– Stać, policja!

To zdekoncentrowało „Dawida” na tyle, że odsłonił się na moment i „Goliat” szybkim cięciem w poprzek klatki piersiowej zakończył walkę. Zanim ciało krępego mężczyzny dotknęło podłogi, „Goliat” był już przy drzwiach.

Policjanci rzucili się za nim, a Białobrzieski krzyknął do Wookiego:

– Dzwon po karetkę!

Wookie rzucił się do telefonu, a Oleg do leżącego „Dawida”. Otwarte, szkliste oczy, brak pulsu i powiększająca się kałuża krwi utwierdziły go w przekonaniu, że była to ostatnia walka krępego wojownika.

Na zewnątrz huknęły strzały i po chwili do lokalu wpadł przerażony Białobrzieski, zamykając za sobą drzwi i zasuwając kraty antywłamaniowe. Błyskawicznie założył samozatrząskującą się kłódkę i zawołał:

– Barykaduj!

Oleg posłusznie złapał za pierwszy z brzegu stół i wtaszczył go do przedsionka. Brzęknęła rozbijana szyja i o przeciwległą do wejścia ścianę coś zastukało.

– Szybciej! – ponaglał go policjant.

Oleg postawił stół w wejściu i poleciał po następny. W „Antrakcie” rozległy się piskliwe wrzaski. To krzyczały dwie brunetki, które zaintrygowane hałasem i krzykami wyjrzały z dolnej sali. Wookie odłożył słuchawkę telefonu, podbiegł do nich i zaprowadził z powrotem do stolika.

Uporawszy się z zablokowaniem wejścia, Białobrzieski ciężko dysząc, osunął się po ścianie na podłogę.

– Zajebali Jarka – rzucił krótko.

– Kto? – spytał Oleg, sięgając po przedmiot, który przed chwilą uderzył w ścianę. – Nie kończ – dodał zaraz, rozpoznając strzałę. – Łucznik z autobusu.

Policjant pokręcił głową.

– Niejeden. Kilku. Takich jak ten co tu był – przerwał, rozejrzał się. – A właśnie, co z

tym drugim?

– Nie żyje. Mówisz, że było ich kilku?

– Tak. Wskoczyliśmy na zewnątrz, a ten wysoki skurwysyn był już przy bramie. Jarek strzelił. Dryblas zwinął się w locie i pacnął na ziemię. Wtedy aż zaświstało wokół nas. Jarek... on biegł przede mną... dostał chyba z cztery. Normalnie, zakrwawione groty wyskakiwały mu z pleców i... Jezu! Rzuciło nim tak, jakby tańczył breakdance'a. Oddałem kilka strzałów do cieni kręcących się za płotem i wycofałem się tutaj. Jarek zginął... A to... to wszystko jest jakieś popierdalone...

Do przedsionka wszedł Wookie.

– Nie mogę dodzwonić się na pogotowie. Co tu się dzieje?

– Spróbuję przez naszą centralę. – Policjant jakby zaczął dochodzić do siebie. Nawiązał połączenie z dyspozytornią.

Oleg pokrótce wyjaśnił barmanowi całą sytuację. Potem obaj podeszli do ciała. Grubas kucnął przy trupie i uważnie mu się przyglądał. Po chwili dołączył do nich Białobrzęski.

– Dzieje się coś dziwnego. Pogotowie zapchane jest zgłoszeniami. Nasza centrala i straż pożarna też. Park i okolice zaroily się dwumetrowymi łucznikami, którzy walczą z przysadzistymi knypkami. Nie oszczędzają też nas, ludzi. Pojawiły się pierwsze pożary – płonie lodowisko i szpital Gigant. Dyspozytornia ściąga wszystkich, kogo się da, a lada chwila ruszy sztab kryzysowy. Nawet Straż Graniczna ściąga swoich ludzi. Panowie, jest tak źle, że dostałem polecenie pozostania w tym lokalu. Jesteśmy w środku jakiejś chorej ulicznej wojny, a to miejsce wydaje się najbezpieczniejsze. Mamy czekać na posiłki.

Oleg i Wookie z niedowierzaniem patrzyli na policjanta.

– To jakiś koszmar... – burknął barman. – Muszę się napić. Gorzką?

– Tak – zgodnie odpowiedzieli policjant i Oleg.

– Niech pan spojrzy. – Grubas pokazał na rękaw koszuli nieżyjącego. – Ręcznie tkany len na gieżło. Ręcznie gręplowana wełna na tunikę i spodnie. Wszystko farbowane naturalnymi barwnikami i ręcznie pozszywane. Krajki ściągające spodnie to też fachowa robota. Skórzane buty, pasek i kaletka – historyczne jak diabli. – Sięgnął po topór i tarczę. – Żeleźce kute, osadzone na wyciętym w lesie kołku, nie na stylisku zakupionym w sklepie. Tarcza zrobiona z desek, a nie jak u nas ze sklejki. Powiem tak: jeśli chodzi o odtwórstwo historyczne, to ten koleś, w skali dziesięciopunktowej otrzymałby jedenaście. Prawdziwy majstersztyk. Dokładnie jak ta strzała.

– Znasz go? – spytał Białobrzęski.

– Nie – Oleg pokręcił głową. – Ale mam swoją teorię. Ten koleś ma tylko z metr pięćdziesiąt wzrostu. Jest to bardzo bliskie średniej wysokości człowieka w średniowieczu.

– Chcesz powiedzieć – zmarszczył brwi Wookie – że to przybysz z przeszłości? Prawdziwy wiking?

Oleg uśmiechnął się:

– Nie wiking. Średnia wysokość Normana to metr siedemdziesiąt pięć, a i dwumetrowi giganci czasami się zdarzali. Wszystko to dzięki mięsnej i rybnej diecie. Ten martwy koleś odpowiada wzrostem typowemu mieszkańcowi centralnej Europy z X wieku.

– Bajki.

Przy barze stały zapomniane klientki. Piękność, która tak zachwycała Olega, twardo patrzyła mu w oczy.

– Bajki – powtórzyła zdecydowanie. Oczy stojącej za nią koleżanki były okrągłe z przerażenia.

– O, już panie nie piszczą – uśmiechnął się Oleg. – Podróże w czasie są możliwe...

– Teoretycznie – przerwała mu. – Wymagałyby ogromnych ilości energii.

– Myślałem, że pani składa się tylko z ładnej buzi, cycków i długich nóg. A tu proszę! Jest jeszcze mózg! Tym bardziej lizałbym panią jak słony boczek.

– Cham! – wypluła z siebie druga.

Oleg przeniósł na nią wzrok.

– Wiemy już, co pani o mnie sądzi. I już zaczyna się to robić nudne. Czy pani jest lesbijką? – ponownie zwrócił się do pierwszej piękności.

– Skąd takie pytanie? – gorąco zaprzeczyła, zerkając na Wookiego. – To moja prywatna sprawa, ale dla pańskiej informacji to jestem zdeklarowaną hetero.

– Tego się domyśliłem po tonie odpowiedzi. Sama odpowiedź nie była przeznaczona dla mnie, tylko dla mojego przyjaciela Wookiego, nieprawdaż? Jest pani nim zainteresowana i nie chciałaby zniechęcić go do siebie już na wstępie. Dlatego nie wyszła pani z lokalu zaraz po mojej uwadze. Nieważne. Pani koleżanka jest lesbijką i podkochuje się w pani.

– Jak śmiesz...?! – Ta mniej piękna wysunęła się do przodu. Na jej twarzy malowała się wściekłość.

– Magda! – uspokoiła ją piękność. – To głupia teoria.

Oleg jednym haustem wypił kieliszek gorzkiej.

– Magda... Nie do końca taka głupia. Magda broni pani niczym facet, stawia drinki, herbatki i takie tam pierdoły. A co najdziwniejsze odszczekuje się za panią, a przecież jest pani inteligentna i elokwentna – świetnie by pani sobie poradziła. Sądząc po zainteresowaniu Wookiem, to nie ma pani partnera życiowego...

Piękność otworzyła usta, żeby coś powiedzieć. Zaraz je jednak zamknęła.

– ...a to też jest intrygujące. Taka piękna kobieta i nieszczęśliwie samotna. Domyślam się, że pani koleżanka-lesbijka, najlepsza przyjaciółka, zawsze pani pomaga wykaraskać się z jakiegoś głupiego związku z facetem – zakończył Oleg sarkastycznie.

– Skąd pan to wszystko wie? – spytała zaskoczona.

– Nie słuchaj go, Anka. – Magda wysunęła się przed swą przyjaciółkę. – To obleśny, gruby i napalony facet, który nigdy nic nie zruchał!

– Przechwalanie się, kto kogo i ile razy zruchał to zabawa dla gimnazjalistów

zaczynających życie płciowe. Prawda jest tylko taka, że już dawno nic nie zruchałem, jak pani Magda ładnie nam to określiła. Za to reakcja pani Magdy całkowicie odpowiada mojej teorii. Skoro znamy już imiona naszych piękności, Magdy i Ani, to czas się przedstawić. Jestem Oleg, ten barman to Wookie, a ten młodzieniec z giwerą to policjant... eee...

– ...Białobrzieski. Hubert – funkcjonariusz skłonił się. – Możemy skończyć te farmazony? Mamy tu, było nie było, trupa – nieważne z której epoki, trup jest trup. A skoro mamy tu spędzić trochę czasu, to może byśmy go gdzieś usunęli?

– W korytarzu jest rupieciarnia, tam możecie go upchać. – Wookie wskazał na przejście do toalet.

Oleg i Białobrzieski chwycili nieboszczyka za ręce i pociągnęli w stronę korytarza prowadzącego do ubikacji.

Mijając dziewczyny, Oleg mrugnął do Magdy, uśmiechając się:

– Zimny jak twoje uczucia do facetów.

– Skończ już te szkolne przepychanki – warknął policjant.

– Zabił pan już w sobie dziecko? – odparł Oleg. – Praca policjanta potrafi wykoślawić nawet najsilniejszą psychikę.

– Koślawy to jesteś ty, pierdolcu – sapnął Białobrzieski. – Wkurwiasz mnie tym swoim bełkotaniem.

– Widzę, że stres daje się we znaki – radośnie powiedział Oleg, upychając zwłoki za drzwiami rupieciarni. – Żebyś tylko się sam nie postrzelił, harcerzyku.

Policjant chwycił go za koszulkę i przycisnął do ściany.

– Zamknij mordę, grubasie! Myślisz, że jesteś taki twardy, taki maczo? Twoja paplanina i stroszenie piórek przed laskami nie potrafią ukryć tego, że tak naprawdę jesteś zwykłym mięczakiem, co gania po lesie z patykiem, bawiąc się w rycerzy. Z miłą chęcią rozjechałbym ci ten nalany tłuszczem ryj, zasrany twardzielu, ale w obecnej sytuacji przyda się tutaj każda para zdrowych rąk, chuju!

– Nie jestem twardzielem. – Oleg wyszarpnął się z chwytu policjanta. – Nie jestem też mięczakiem. Jestem nikiem, człowiekiem, który stracił już wszystko i nic mu nie pozostało. Poza ucieczką w przeszłość. Poza wikingowaniem. Poza upijaniem się do nieprzytomności. I twoja opinia o mnie, jak i zdanie pozostałych ludzi na świecie, kompletnie mnie nie interesuje. Więc odpierdol się ode mnie i pozwól mi być tym, kim jestem.

– Przegranym frajerem – pogardliwie wydeła wargi Anka. – Magda od razu poznała się na tobie. Zgorzkniały looser.

– Pierdol się – rzucił wściekle Oleg, mijając ją.

– Na pewno nie z tobą.

Szczęknęła rozbita szyba, zaraz kolejna. Przez okna pubu do środka wpadło kilka strzał i wbiło się w bar, kilkadziesiąt centymetrów od diskutujących.

– Za bar! – krzyknął Oleg i rzucił Ankę na podłogę. Zaczęli czołgać się do wejścia na

zaplecze. Magda krzyczała rozpaczliwie. Dookoła furkotały strzały. Białoברזeski złapał ją za kark.

– Na głębę, głupia! – Przycisnął ją do ziemi. – Ruszaj za Olegiem! – Popchnął ją w kierunku uciekających na czworakach grubasa i Anki, a sam przyskoczył do zakratowanego okna i na oślep zaczął strzelać w ciemność parku.

Ostrzał się skończył tak nagle, jak się zaczął. Białoברזeski ostrożnie wyjrzał na zewnątrz. Nic nie wskazywało na obecność tajemniczych łuczników. Wycofał się za bar i dalej do kuchni, gdzie siedzieli wszyscy zebrani.

– Tu będzie najbezpieczniej – powiedział do niego Wookie. – Dalej są korytarze biegnące pod sceną, a wśród nich jeden prowadzący na samą scenę. Będziemy mogli uciec... jakby co.

Białoברזeski kiwnął tylko głową i usiadł na podłodze, opierając się o lodówkę z napojami. Wyciągnął magazynek ze swojego walthera, rozładował go i załadował z powrotem, mówiąc:

– Jeszcze trzy.

– Nie masz zapasowego magazynka? – spytał Wookie z niepokojem.

Białoברזeski uśmiechnął się:

– Człowieku, to Białystok a nie Chicago. Zresztą lada chwila przybędzie odsiecz.

– A propos – zaczął Oleg. – Możesz zadzwonić i spytać, kiedy?

Policjant nic nie powiedział, tylko sięgnął po telefon. Długo czekał na połączenie, po uzyskaniu którego jeszcze dłużej słuchał w milczeniu co ma mu do przekazania dyspozytorka. Potem podziękował i odrzucił telefon na podłogę. Wszyscy patrzyli na niego wyczekująco.

– Nie będę was oszukiwał – podjął w końcu. – Jest bardzo źle. Centrala straciła kontakt z radiowozem, który po nas wysłano. W mieście jest bardzo ciężko. Płonie budynek filharmonii, kościół farny i budynki przy Mickiewicza do wysokości „Kąska”. Jesteśmy w samym środku terenu opanowanego przez tych świrów. Ulice Mickiewicza i Branickiego są zajęte przez „wroga”, jak się oficjalnie nazywa intruzów, aż do wysokości Galerii Białej. Wróg ma też w rękach całą Skłodowskiej-Curie aż do skrzyżowania z Legionową, cały kompleks parkowy z pałacem Branickich, Planty, Zwierzyniec, ulice Kilińskiego, Kościelną i aleję Piłsudskiego do skrzyżowania z Sienkiewicza. Naszym zaporami udało się powstrzymać ich ekspansję na ulice Warszawską, Sienkiewicza i Lipową. Mamy siedzieć tutaj i czekać na pomoc.

– Jesteśmy zgubieni... – szepnęła Magda, wtulając się w ramię Anki.

– Warszawska... – powiedział Wookie. – To całkiem blisko. Mogliby się do nas przebić.

– Podjęto dwie takie próby – od strony ulicy Elektrycznej i potem Pałacowej. Zginęło kilku funkcjonariuszy, kolejnych paru jest rannych...

– Nie mogę w to uwierzyć... – pokręcił głową barman. – Nasi mają broń ostrą, pleksiglasowe tarcze, hełmy i cały ten nowoczesny sprzęt... I nie mogą się do nas przebić? I giną jak muchy?

– Łuk to zabójcza broń dystansowa – powiedział Oleg. – Cicha i szybka. W nocy praktycznie nie jesteś w stanie ustalić, skąd nadleciała strzała. Wprawny łucznik potrafi wystrzelić w ciągu minuty kilkanaście strzał z całkiem rozsądną celnością. Strzała wystrzelona z łuku o naciągu kilkudziesięciu kilogramów z łatwością przebija się przez kolczugę i przeszywanicę. Nasze ulice są dobrze oświetlone, mamy sporo terenów zadrzewionych, gdzie można się dobrze ukryć... – Przerwał, marszcząc brwi, jakby coś go zaintrygowało.

Zapadła cisza, którą przerwał Białobrzeski, podnosząc się i mówiąc:

– Skoro mamy tu spędzić Bóg wie ile czasu i jesteśmy właściwie obleżeni, to trzeba pomyśleć o naszym bezpieczeństwie. Proponuję wykorzystać tę chwilową ciszę na froncie na przespanie się i odpoczynek. Ja pierwszy obejmę wartę. Potem grubas i barman. Aha, można wygasić wszystkie światła, żeby nie ułatwiać sprawy wrogowi? No i wyłączyć muzykę?

– Oczywiście – podniósł się Wooke. – I może zabarykadujemy okna?

– Dobry pomysł, same kraty nie powstrzymają strzał – przytaknął Oleg. – Ja sobie naleję piwa.

– I zaznacz w kajecie – rzucił barman.

– Boże, Wookie, jest sytuacja kryzysowa, a ty tu pitolisz o pieniądzach! Za parę minut możemy być wszyscy martwi!

– Jedno – stanowczo powiedział Wookie.

– Dwa – z uśmiechem targował się Oleg.

Barman machnął ręką.

– W tym jeden paulaner – dorzucił grubas.

Wookie tylko westchnął i poszedł za Białobrzeskim.

Oleg otworzył butelkę paulanera, nalał do wysokiej szklanki i z powrotem usiadł na podłodze, delektując się smakiem hefe-weizena.

– Najlepsze piwo na świecie. Sycące, delikatne, o niepowtarzalnym smaku, aromacie...

– Dlaczego? – przerwała mu Anka.

– Właśnie mówię: aromat, smak...

– Dlaczego mnie uratowałeś... tam, przy barze?

Oleg odstawił szklankę.

– Bo jesteś piękna, zjawiskowa i byłaby wielka szkoda, gdyby jakaś głupia strzała pozbawiła świat twojej obecności. Takiego ciała... i umysłu, oczywiście, szkoda marnować.

– Możesz skończyć z tymi seksualnymi podtekstami i odpowiedzieć poważnie na moje pytanie? Przecież cię wtedy obraziłam. I byłeś wściekły. Miałeś wszelkie podstawy, żeby pozostawić mnie na pastwę tych strzał.

– Próbowalaś mnie obrazić. Jestem świadom swoich wad. I zalet. Wiesz, od dzieciaka jestem pulchnym, mało atrakcyjnym pączkiem i od najmłodszych lat byłem obiektem kpin swoich rówieśników... w tym dziewczyn. To bardzo bolało, bo jak wiesz, dzieci są bardzo

okrutne. Nauczyłem się jednak, jak sobie z tym radzić. Zaakceptowałem to, jaki jestem. Byłem zdenerwowany po tej „rozmowie” z Białobrzeskim, wykorzystalaś to, żeby mnie pognać, wbić szpilę, zrewanżować się za mój chamski tekst. Normalna sprawa. Nie mam o to żalu...

– DLACZEGO?

– Bo jesteś piękna i chciałbym cię kiedyś przelecieć.

– Dalej swoje...

Oleg uśmiechnął się.

– Jesteś przyzwyczajona do tych odwiecznych gier damsko-męskich, tokowania pełnego małych i większych kłamstewek, dlatego szczerść odbierasz jako chamstwo, bo nikt cię na szczerść nie podrywał.

– Podrywasz mnie? – zdziwiła się Anka. – Rzucając chamskie uwagi i nazywając je szczerścią?

– Powiedz mi, jakie mam szanse pójść z tobą do łóżka?

– Teraz? Żadne.

– A wcześniej, zanim się odezwałem? Mów szczerze.

Zastanawiała się przez chwilę.

– Też żadne. Nie byłeś w sferze moich zainteresowań.

Oleg rozłożył ręce.

– Sprawa jest prosta. Wiem, jak widzą mnie kobiety i nie łudzę się, że taka laska jak ty wykaże zainteresowanie moją osobą. Owszem, mógłbym tę szczerść zachować dla siebie i kulturalnie zacząć z tobą rozmowę. Ale po co? W najlepszym wypadku spędzilibyśmy razem ten wieczór, ja żłowiąc piwo, ty pijąc herbatę, żartując, dowcipkując, opowiadając ciekawostki ze swojego życia. I na tym by się skończyło. Nie, chwileczkę. Tak by się skończyło dla ciebie. Ja napaliłbym się jak szczerbaty na suchary, myśląc „Boże, taka dupencja spędziła ze mną fajny wieczór, wyraźnie dobrze się bawiła, może coś z tego będzie”. I żyłbym tą złudną nadzieją. A przecież już z założenia nie byłem kandydatem do twojego łóżka. Kiedy by to jednak w końcu dotarło do mnie, zacząłbym odczuwać... hm... dyskomfort psychiczny? Wbrew temu, co sobie o mnie myślisz, jestem wrażliwym facetem. Wpadłbym pewnie w jakiś cholerny dołek, cierpiałbym, ryczał w poduszkę i takie tam pierdoły. Po cholere mi to?

Wrócił Wookie i usiadł na podłodze, przysłuchując się rozmowie.

– I tym tłumaczysz to swoje chamstwo? Bo jesteś nieatrakcyjny?

– Nieatrakcyjny dla ciebie – jesteś laską z górnej półki, nieosiągalnej dla mnie. Już większe szanse miałbym u twojej kumpeli lesby – gdyby, oczywiście, była hetero.

– Wypraszam sobie! – fuknęła Magda.

– I tak cię lubię – mrugnął do niej.

– Oleg, musisz być taki... obcesowy? – jęknął Wookie. Magda spojrzała na niego z wdzięcznością.

– Widzisz? – Oleg uśmiechnął się do Anki. – On musi być miły, rycerski i kulturalny. On wie, że ma u ciebie szanse. A w głębi serca pragnie cię tylko przelecieć...

– Kurwa! – krzyknął Wookie. – Uspokój się!

– Dalej zbiera punkty – kontynuował niewzruszenie grubas. – Twoja przyjaciółka już patrzy przychylniej na niego – w końcu wstawił się za nią. Ty też zaczynasz w nim widzieć obrońcę cnót niewieścich. Ja w tej rozgrywce się nie liczę.

– Wiesz, że nie masz u mnie szans i nigdy ich mieć nie będziesz. Wiesz, że nie lubię ciebie i jest minimalna możliwość, żeby to się zmieniło. Dlaczego mnie uratowałeś? Mogłeś przecież nic nie zrobić. Zostawić sparaliżowaną strachem...

– To, że zachowuję się jak cham i burak nie znaczy, że taki jestem. Mam ludzkie uczucia. Nie potrafiłbym stać i patrzeć, jak z drugiego człowieka robią poduszkę na szpilki. Chyba że ten człowiek byłby niesamowitym skurwysynem. Ty skurwysynem nie jesteś. Najwyżej zadufaną suką, chociaż i tego nie jestem pewien. Coraz bardziej mnie intrygujesz. Razem siedzimy w tym gównie. I jesteś piękna. Tak piękna, że z chęcią wyliżałbym cię...

– Wiem, wiem. Jak słony boczek.

– Dokładnie, widzę, że bardzo dobrze już mnie znasz. – Oleg uśmiechnął się kąpiąco. – Jest jeszcze jedna sprawa. W normalnej sytuacji nigdy by tej rozmowy nie było, nigdy bym ci życia nie uratował. Naszą znajomość skończyłaby jakaś twoja cięta riposta, rzucona przy wyjściu. Ten syf, w którym teraz jesteśmy, nigdy nie miał prawa się zdarzyć. Gdybym wiedział, że tak to się skończy, że bylibyśmy skazani na swoje towarzystwo przez Bóg wie ile czasu, trzymałbym język za zębami. Po co tworzyć jakieś stresowe sytuacje, skoro i tak siedzimy w gównie po szyję?

Anka patrzyła na niego przez chwilę. Oleg zauważył, że ma wyjątkowe oczy, ale tę uwagę zachował dla siebie.

– Cały ten twój wywód to jedna wielka bzdura – powiedziała w końcu. – Pierdolenie o Szopenie. Masz gigantyczne kompleksy związane z wyglądem, nie masz powodzenia. Rekompensujesz to sobie, obrażając kobiety. I świetnie się przy tym bawisz. Oleg uśmiechnął się szeroko.

– Masz mnie. Sprawia mi to niekłamaną przyjemność. Trzeba mieć w życiu jakieś zajęcie. Miałem w przeszłości traumatyczne przeżycia z przedstawicielkami twojej płci. Teraz tylko marzę o zemście. Zachodzę do knajpy, czekam na superlaskę i dopierdalam jej, ile wlezie. Po to żyję.

– Kolejna bzdura.

– Oczywiście, że tak. Biorę udział w twojej grze. Mówię to, co chcesz usłyszeć. A ty myślisz, że co? Odsłonię kawałek siebie jakiejś obcej babce, która i tak na mnie nie leci i którą właściwie gówno obchodzi?

– Myślę, że w końcu odsłonisz – powiedziała nagle Magda. – Bo przy takiej obleśnej... hm... postaci, to twój jedyny sposób na podryw. Pokazać „wrażliwą duszę”, „serce złamane

starą nieszczęśliwą miłością”, „głębię swego wrażliwego wnętrza”...

Oleg, nic nie mówiąc, dokończył piwo i podszedł do barowego nalewaka.

– To ma sens – podjęła za koleżanką Anka. – Jak się nie ma boskiego ciała, zgrabnego tyłeczka, porządnego wózka, portfela wypchanego kasą, czy też sławy, to pozostaje tylko branie lasek na litość...

Oleg drgnął i znieruchomiał.

– Cicho! – syknął.

– Co? Zabolało? – Teraz z kolei, czując swoją przewagę, odezwała się Magda. – Ot i cała wielka tajemnica Olega – niezaradny życiowo frajer, bez grosza przy duszy, który nie potrafi sprawić, by kobiety czuły się przy nim bezpiecznie...

– Zamknijcie się! – Oleg wyskoczył zza baru i podbiegł do okna, przy którym czuwał Białobrzeski.

– Sam się zamknij! – wrzasnęła Magda.

– Słyszysz to? – zapytał policjanta.

Białobrzeski wsłuchał się w dźwięki dobiegające z parku. Na początku słyszał tylko ryk syren, pojedyncze krzyki i odgłosy pistoletowych strzałów. Zaraz jednak usłyszał coś jeszcze...

– Chodzi ci o to miarowe buczenie, przerywane co jakiś czas?

Oleg z uśmiechem energicznie przytaknął głową.

– No i? – wzruszył ramionami policjant.

– To są rogi, panie władzo! Rogi! Ktoś dmie w rogi, mnóstwo rogów... o, teraz dołączyły bębny! Ktoś szykuje się na bitwę!

– Na bitwę...? – zmarszczył brwi Białobrzeski. – Czekaj, czekaj, te dźwięki są coraz bliżej... A co, jeśli oni idą na nas!? Kurwa, a ja mam tylko trzy pociski!

Do okna podbiegły teraz dziewczyny i Wookie. Anka i Magda, słysząc złowróźbne brzmienie kotłów i ponury dźwięk rogów, przytuliły się do siebie. Magda załkała cichutko. Wookie przysłuchiwał się, zagryzając dolną wargę.

Oleg usiadł na jednym z krzeseł przy pobliskim stoliku i rozparł się wygodnie.

– I po co straszyć nasze niewiasty, panie oficerze? Gdyby mieli nas zmieść z powierzchni ziemi, to nie potrzebowaliby całej pierdolonej armii, tylko dobrze ustawionych łuczników. Nie szturmują budynku, raczej pilnują, żebyśmy z niego nie wychylili nosa. Zresztą, tam na zewnątrz, przed „Antraktem”, nikogo nie ma. W przeciwnym razie już dawno leżelibyście naszpikowani strzałami.

Odskoczyli od okna jak oparzeni. Oleg kontynuował:

– Na zewnątrz nie ma nikogo, ponieważ szykuje się wielka bitwa między tymi kurdupłami z X wieku a tymi gigantami, i dowodzący łucznikami ściągnął wszystkie siły, by wesprzeć swoją armię. Cholera, niepotrzebnie wyskoczyłem z tą teorią. Teraz dziewczyny poczuły się bezpieczniej i już ich nie da się tak łatwo... ekhm... pocieszyć.

Magda i Anka spojrzały na niego z politowaniem. Oleg mrugnął do nich.

– To teraz możemy przebić się do swoich! – podskoczył uradowany Wookie.

– Błąd – odezwał się znowu Oleg. – Jesteśmy w środku terytorium wroga i nie stanowimy dla niego większego zagrożenia – mógł spokojnie stąd zabrać swoich ludzi. Posterunki zewnętrzne to co innego. Może je osłabił, ale na pewno jakieś pozostawił. Ja bym przynajmniej tak zrobił.

– Gruby ma rację. – Białoברzeski znowu podszedł do okna. – Centrala kazała nam tu siedzieć, to siedzimy. Mamy żywność i wodę. Możemy tu ukrywać się mnóstwo czasu, choć nie sądzę, żeby to wszystko trwało dłużej niż dwadzieścia cztery godziny. Pojawi się wojsko z ciężkim sprzętem i zmiecie te misie z powierzchni ziemi w try miga.

– Ma rację nasz oficyjer – Oleg klepnął się po udach. – Teraz to bym coś zjadł. Wookie, zrobisz frytki?

– Boże, jak ty mnie wkurwiasz... – stęknął barman. – Idź sobie zrób je sam...

– ...i wpiszę na zeszyt – gorliwie mu dopowiedział grubas.

– A rób sobie, co chcesz, bylebyś dał mi spokój!

Oleg zniknął na zapleczu.

– Zawsze jest taki? – spytała Anka.

– Czasami bywa – odparł Wookie. – Choć nie aż tak. Dzisiaj jest wyraźnie wytracony z równowagi i pierdoli większe głupoty niż zazwyczaj. To rozgoryczony stary kawaler, któremu wydaje się, że odkrył tajemnicę świata. Uważa, że facet jest w stanie utrzymać kobietę przy sobie tylko za pomocą kasy, a im piękniejsza kobieta, tym więcej szmalu na nią trzeba łożyć. Anka i Magda spojrzały po sobie.

– Coś w tym jest – powiedziała Anka.

– Idźcie coś zjeść – odezwał się Białoברzeski – i niech gruby mnie zmieni. Mam już dość wpatrywania się w ciemność.

* * *

Oleg siedział w ciemnościach pierwszej sali „Antraktu” i niewidzącym wzrokiem wpatrywał się w mrok parku. Za oknem panowała cisza, a powietrze przesiąknięte było smrodem spalenizny niosącym się od strony płonącego kościoła farnego.

Podskoczył przestraszony, gdy coś szczęknęło w kuchni. W drzwiach prowadzących na zapleczce pojawiła się smukła sylwetka.

– Nie chce mi się spać – powiedziała Anka. – I... i boję się siedzieć tak sama... Wszyscy śpią.

– Możesz usiąść na drugim stoliku.

Anna po omacku przeszła na wskazane miejsce.

– Boże – westchnęła. – To wszystko jest takie nierealne...

– Jeśli nie chcesz, nie musisz ze mną rozmawiać. Nie lubisz mnie, więc nie sil się na uprzejmości.

– Hmm, inaczej teraz się zachowujesz. Jesteś spokojniejszy.

– Ogarnąłem sytuację – westchnął ciężko Oleg. – Obawiam się, że to wszystko – tu wykonał bliżej nieokreślony gest, wskazując na wnętrze „Antraktu” i park – to moja wina.

– Nie gadaj głupstw.

– Potrzebuję tylko jeszcze paru dowodów...

Zapadła cisza. Gdzieś w parku trzasnęła przydeptana gałąź. Anna podskoczyła, Oleg dalej siedział niewzruszony.

– Nie bój się, nic nam nie zrobią... – powiedział cicho.

– Skąd nagle to wiesz?

– Wiem i już. Oni w naszym świecie tylko szukają swego stwórcy. Jeżeli nie będziemy im przeszkadzać, znajdą go i sobie pójdą.

Anna już otworzyła usta, żeby skwitować jego wypowiedź kąśliwą uwagą o bredniach, jednak zaraz je zamknęła. W końcu ta teoria była dobra jak każda inna.

Znowu cisza.

– Mocno bolały?

Oleg poruszył się w ciemności.

– Rozstania? Bardzo. Rzadko się zakochuję i kiedy już osiągałem ten stan, to kochałem całym sercem. Tylko że pokazać tego nie potrafiłem...

– Mówisz o kochaniu w czasie przeszłym...

– Bo to już przeszłość. Odkryłem schemat rządzący miłością i nie potrafię się do niego dopasować.

– Czemu nie możesz się dopasować do tego schematu?

Oleg zaśmiał się króciutko.

– Bo jestem idealistą. Mam swoje idee, wizje, których uparcie się trzymam i które są dla mnie bardzo ważne. Kobiety, w bezpośredni lub pośredni sposób, zawsze kazały mi wybierać między tymi ideami a miłością. Idee wygrywały. Wolę być nieszczęśliwy, ale sobą, niż udawać, że jest git, grając w dodatku role, które całkowicie mi nie pasują.

– Co to za idee?

Oleg milczał przez jakiś czas. W końcu powiedział:

– I tak uważasz mnie za świra, więc mogę śmiało odpowiedzieć na to pytanie prawdą. Urodziłem się o tysiąc lat za późno i moje serce bije w innej epoce. Niektórzy uważają to, co robię, za dziecinadę, inni mi tego zazdroszczą – przynajmniej jeśli chodzi o facetów.

– A co robisz?

– Za każdym razem, gdy ktoś o to pyta przeżywam katusze. Podejrzewam, jak musi brzmieć w uszach zwykłego człowieka kwestia: „jestem wikingiem”, co byłoby najprostszą definicją tego co robię. Dlatego muszę mówić odpowiednią formułkę – żeby nie wzięto mnie

za aż takiego świra. Zajmuję się odtwórstwem historycznym, powrotem do przeszłości, rekonstrukcją człowieka sprzed tysiąca lat i wszystkich możliwych aspektów jego życia. Niektórzy uważają, że to zwykła wymówka, żeby nachlać się z kumplami w sobotni wieczór. Najczęściej tak myślą niektóre.

– A z czego żyjesz? Bo rozumiem, że jest to twoje hobby.

– To nie tylko hobby, to już styl życia. Mój sklep jest właśnie w fazie upadania. Teraz, w sezonie, to z pokazów. Jak nie ma sezonu... Zobaczymy. Będę pewnie wegetował. Chociaż czasami uda mi się coś napisać i sprzedać do jakiegoś pisma.

– Hmm, zaskoczyłeś mnie – powiedziała po chwili milczenia Anna. – Myślałam, że jesteś takim zwykłym burakiem i prostakiem. A tu proszę: sklep, wikingowie, pisanie... Zdajesz się być o wiele ciekawszą osobą niż mi się wydawało.

– I tu jest problem – westchnął Oleg. – Jestem dla was ciekawostką. Kobiety też wiążą się ze mną przez ciekawość. Chcą zobaczyć, jak to jest być z facetem, który poświęca sporą część życia czemuś tak pokreconemu, jak odtwórstwo historyczne. Facetem, który jest bardzo dobrze znany w białostockim świątku rekonstrukcji, którego zdanie i opinia są dość wysoko cenione przez większość i który w jakiś tam sposób jest sławny. Tylko że ta sława nie daje niczego oprócz satysfakcji – nie przynosi worków pieniędzy, pięknych domów, dostatniego życia. Finansowo jestem biednym – rzecz nieakceptowana przez kobiety – choć bogatym w przeżycia, przygody i podróże kolesiem.

– A pisanie?

– Nie rozśmieszaj mnie. Pisanie dostarcza tak nieregularnych środków finansowych, że nie można uznać tego za zawód. Zwłaszcza, jak się nie jest Sapkowskim albo Pilipiukiem. Poza tym, nie potrafię pisać na zawołanie. Muszę mieć do tego nastrój i „czyste konto” jeśli chodzi o problemy. Kiedy coś mnie dręczy, nie potrafię się skupić na tworzeniu.

– Faktycznie, marny z ciebie kandydat na męża – powiedziała z delikatną kpina i przekąsem Anna. – Prawdziwy umierający w biedzie i na suchoty „poeta romantyczny, który oddał się idei walki o wolność ojczyzny”.

– Prawda? – zaśmiał się Oleg. – Idealista do entej potęgi. To jest wersja oficjalna. Prawdziwa jest taka, że chcę robić w życiu tylko to co lubię.

– I nie poświęciłbyś się dla kobiety? Na przykład rezygnując z tej paskudnej brody i całkiem niezłych długich włosów dla dobrze płatnej pracy jako, powiedzmy, przedstawiciel handlowy?

– Nie. To by mnie zniszczyło. Uwielbiam House’a... wiesz, tego aspołecznego lekarza samotnika. Uwielbiam, bo główny bohater bardzo przypomina mnie. W jednym z odcinków pacjent House’a, cyklofrenik, chciał się zmienić z ćpuna i alkoholika, a jednocześnie wziętego dziennikarza tropiącego przeróżne afery, w przykładowego domatora. Nie mógł o swojej chorobie powiedzieć nikomu, ponieważ wtedy utraciłby wiarygodność jako dziennikarz. Nie powiedział też o tym swojej żonie, bojąc się, że go zostawi. Za to przeszedł specjalną

operację, nie pamiętam jej nazwy, która pomagała przy zaburzeniach nastroju. Oczywiście, kiedy wszystko wyszło na jaw, żona opuściła go, nie znosząc braku zaufania.

– No i? Jesteś cyklofrenikiem? Co to ma wspólnego ze zmianami w twoim życiu? – Anna wzruszyła ramionami.

– „Tak bardzo ją kochał, że przekonał samego siebie, że potrafi się zmienić. A nie potrafił” – tak podsumował całą historię House. Facet stracił wszystko, co najważniejsze – żonę, zdrowie i siebie. Nie zyskał nic prócz jeszcze większego bólu.

– Jeśli opierasz swoje życie na serialach, to jesteś zwykłym idiotą. Żadna panna nie zdecyduje się poświęcić swego życia u boku kogoś, kto nie chce w związek choć trochę włożyć od siebie.

– Nie opieram życia na serialach, nie szukam w sąsiadach podobnych ludziom Cylonów, choć uwielbiam

„Battlestar Galactice”. House był przykładem, taką przypowieścią biblijną. W związek angażuję się całym sercem, nie rozumiem tylko potrzeby poświęcania się – jeśli znajduję drugą połówkę pomarańczy, jak to obrazowo powiedział Platon, to jest ona z tego samego owocu, powinna pasować IDEALNIE, bez żadnego docinania skórki, czy przesuwania pestek. Nie poznałem jeszcze takiej kobiety, której bym pasował dokładnie taki jaki jestem. Przestałem już nawet szukać tej jedynej, ponieważ NIE MA tej jedynej. W rozmowie, w zabawie nie podrywam kobiet, nie szukam partnerki. Lalki na jedną noc też nie. Dlatego mogę sobie pozwolić na takie „chamskie” traktowanie takich niesamowitych lasek jak ty – nic od ciebie nie chcę i wiem, że do niczego nie dojdzie. Nawet gdyby udało nam się związać, to długo razem byśmy nie pociągnęli – zaraz poznałabyś się na mnie. Świadomie czy podświadomie wpływałabyś na mnie, chcąc mnie zmienić, a ja nie potrafię...

– ...Nie „nie potrafie” – przerwała mu. – Ty NIE CHCESZ się zmieniać. I pod tym względem jesteś identyczny z tym swoim House’em – obaj lubicie cierpieć, nie potraficie bez tego żyć, bo to sprawia, że czujecie się lepsi od reszty ludzi.

– Nie chcę się zmieniać, ponieważ jest mi z tym dobrze.

– Więc czemu narzekasz?! – Anna zeskoczyła ze stolika. – Czemu cały czas o tym rozmawiamy?!

– Nie krzycz, obudzisz resztę. – Nie zmieniając tonu wypowiedzi, usadził ją z powrotem. – Ty chcesz o tym rozmawiać. Ja akceptuję siebie i rozumiem wybory kobiet jeśli chodzi o partnerów życiowych. Kobiety kochają ciekawych, „półdzikich” facetów, wołają jednak żyć z tymi nudnymi, którzy co miesiąc przynoszą do domu porządną pensję zarobioną na etacie z umową o pracę na czas nieokreślony.

– Hmm, a co z tymi laskami, co to kasy mają w bród i szukają takich właśnie „półdzikich” facetów, bo się strasznie nudzą?

– Jeszcze takiej nie spotkałem. Są pewnie niesamowicie zapracowane – muszą udowodnić otaczającym je facetom, że dorównują im w tym, co robią. Nie mają więc czasu na zawieranie

znajomości z takim dzikusami bez krawata jak ja.

Anna przez chwilę wpatrywała się w niego. Oleg widział tylko znieruchomiałe białka oczu rozświetlone mizernym światłem wpadającym przez wybite okno.

– Uważasz mnie za atrakcyjną?

– Tak.

– Chciałbyś się ze mną związać? Tak na stałe, nie na lizanie jak słony boczek?

Oleg parsknął:

– Już ci mówiłem – nie ma takiej możliwości...

– Tak czy nie?

Oleg spowaźniał i teraz to on wpatrywał się w Annę.

– Jesteś zgrabna, piękna, bystra i inteligentna – czegoż mógłby więcej chcieć facet? Chyba że masz zjebany charakter... Co często chodzi w parze u kobiet z urodą i inteligencją. Tak, mógłbym się z tobą związać... jak to powiedziałaś? „Na stałe”.

– Czemu więc zamiast się spytać, czym się zajmuję, wyjechałeś z tym popapranym tekstem?

Oleg pochylił się do niej.

– Ponieważ takie pytanie jest standardową zagrywką, jednym z najbardziej znanych otwarć w nieplanszowej grze, jaką jest wyrywanie lasek. I do niczego by to nie doprowadziło.

Anna uśmiechnęła się:

– Mogłam przecież odpowiedzieć, że mam dobrze prosperującą agencję modelek i szukam „półdzikiego” faceta, żeby zapełnił mi dziurę... – tu mrugnęła szelmowsko – w moim życiu.

– To by niczego nie zmieniło. – Oleg zeskoczył ze swojego stolika i podszedł do sprzętu grającego. Wyciągnął z kieszeni odtwarzacz mp3 i wetknął go w wejście USB odtwarzacza DVD.

– Przecież ustaliliśmy, że odpowiadałaby tobie dokładnie taka kobieta... niezależna i nie interesująca się twoim stanem majątkowym. Co robisz?! – Anna podskoczyła, widząc, że Oleg włącza telewizor, chcąc wybrać jakiś utwór muzyczny z katalogu.

– Odpalam moją ulubioną piosenkę.

– Ale... – Dziewczyna patrzyła na niego z niedowierzaniem. – Ale przecież ci łuczniczy na zewnątrz! Zaraz ich wszystkich tutaj ściągniesz!

– Posłuchaj tego. – Oleg zdawał się jej nie słyszeć. – To Ghoultown, mało znana kapelka z Teksasu grająca połączenie punku z country western i gothic rockiem. Miażdżąca kombinacja. Ich jednym z najlepszych kawałków jest „Walkin’ Through The Desert (With A Crow)”.

– Ale... – Anna pokazała na park za oknem.

– Zaufaj mi. Nic nam się nie stanie. W pełni kontroluję sytuację.

Utwór zaczął się typowymi dla country gitarami, po chwili wszedł wokalista – również

śpiewający w typowej dla country stylistyce. Jednak przy refrenie muzyka nabrała tempa, pojawiły się ciężkie gitarowe riffy, a wokół zmieniał się na typowo rockowy. Potem znowu utwór zwalniał do country, by zaraz ponownie przyspieszyć. Kiedy skończył się, Oleg ściszył nieznacznie muzykę i podszedł do Anny.

– „A man ain't meant to be alone with demons scratching at his soul”. A właśnie teraz demony przeszłości drapią moją duszę.

– Co ty pieprzysz?! – zirytowała się. – Jesteś zwykłym nieudacznikiem, który do swojej życiowej nieudolności dorabia jakieś chore i nietrzymające się kupy ideologie! Jakie demony?! Jesteś po prostu looserem uciekającym przed rzeczywistością!

Oleg podszedł do okna i oparł się o parapet. Po chwili zaczął mówić:

– Za moment przy tym ogrodzeniu pojawi się trzech tak zwanych łuczników. Dwóch z nich pomacha mi ręką na przywitanie i znikną tak nagle, jak się pojawili.

– Bredzisz, chłopie – sapnęła z bezsilnością Anna. – Teraz jesteś nagle prorokiem...

– Minie trochę czasu zanim tu dotrą – kontynuował niewzruszenie Oleg. – Długo nad nimi nie jestem w stanie zapanować, więc patrz na to cholerne ogrodzenie! Jeśli stanie się tak jak powiedziałem, to uzyskam potwierdzenie swojej teorii i będę mógł ci wszystko wyjaśnić.

– Jesteś chory... – jęknęła z rezygnacją. – Nawet zacząłeś mi się już podobać, a teraz masz jakieś jazdy... Czy ja kiedyś spotkam normalnego faceta...?

– Zamknij się i patrz! – przerwał jej.

– Ech! – Tupnęła ze złością i zawróciła do kuchni.

– Anka! – zatrzymał ją krzyk Olega. – Patrz, do cholery!

Odwróciła się.

Świt przebijał się już przez noc. Drzewa przestały być zbitą masą ciemności, a zaczęły już nabierać kolorów – początkowo szarości wymieszanej z zielenią przetykaną pasmami mgły, czy też dymem okolicznych pożarów.

Kilkaście kroków od okna, przy płocie wyznaczającym granice kawiarnianego ogródka, pojawili się trzej wysocy mężczyźni uzbrojeni w łuki. Byli niemal identyczni, ubrani w zielone płaszcze sięgające kostek. Długie blond włosy luźno opadały im na plecy i klatkę piersiową. Znad ramion wystawały kołczany pełne strzał. Pociągłe twarze promieniały nieziemską urodą.

– O kurwa... – szepnęła z niedowierzaniem Anna. – Tak więc wyglądają.

Oleg uniósł dłoń na powitanie. Dwaj przybysze odpowiedzieli tym samym gestem. Trzeci stał nieporuszony, wpatrując się w Olega.

– Nie... to niemożliwe. – Anna wpatrywała się w te na poły nierealne postaci. – Są jak z innej bajki... Piękni jak anioły...

Oleg odwrócił się do niej i chwilę przyglądał się zaskoczony twarzy.

– Kiedy się dziwisz, jesteś jeszcze piękniejsza... To nie anioły, to elfy.

– Elfy? – Anna całkowicie zignorowała komplement.

– Zaraz jeden z nich odgarnie włosy i zobaczysz jego uszy.

– Skąd...?

Elf, który jako jedyny nie pozdrowił Olega, przeciągnął dłonią po włosach, na chwilę odsłaniając spiczaste uszy.

– To nie jest prawdziwe... – Anna pomasaowała czoło. – Muszę usiąść. Skąd wiedziałeś, że akurat teraz się pojawiają? Masz jakiś... dar?

Oleg uśmiechnął się.

– Jedyny dar, jaki posiadam, to dar snucia opowieści. Wezwałem ich.

– Wezwałeś?

– Są moją opowieścią, mam nad nimi częściową kontrolę. Pełną mam w ich świecie. Tutaj, gdzie rzeczywistość miesza się z fikcją, mogę nad nimi tylko częściowo zapanować. Wyczuwają moje emocje i reagują adekwatnie do tego co czuję. Nad krasnoludami mam większą władzę...

– Jakimi krasnoludami? – Anna zmarszczyła brwi.

Oleg pokazał na rupieciarnię.

– Tamten trup to krasnolud. I elfy i krasnoludy pochodzą z mojego wymyślonego świata.

– TWOJEGO świata? – Anna pokręciła z niedowierzaniem głową. – Jesteś przybyszem z innego wymiaru, czy co?

– Przecież powiedziałem, że z wymyślonego świata. Paręnaście lat temu napisałem kilka opowiadań z krasnoludami i elfami w rolach głównych. Napisałem o nich i zapomniałem. Ale one nie zapomniały. – Pokazał miejsce, gdzie stały elfy. – O, już ich nie ma.

– Ciężko mi w to uwierzyć. – Dziewczyna potarła czoło. – Kiedy się zorientowałeś, że to chodzi o ciebie?

– Kiedy zobaczyłem tych dwóch walczących w przedsionku. Pierwszą myślą, jaka się pojawiła, było: „Bogowie, skąd tu się wzięły krasnoludy i elfy?”.

– Czemu wtedy nic o tym nie wspomniałeś? – spytała Anna.

Oleg uśmiechnął się.

– Przedstawiłem bardziej realną teorię, którą ty nazwałaś bajką...

– Z przekory to zrobiłam – przerwała mu. – Na złość, żeby cię wkurzyć.

– Co by było, gdybym powiedział, że ten uciekający to elf, a ten nieżywy to krasnolud? I bez tego jestem dziwakiem, nie potrzebuję jeszcze bardziej udziwniać swojego wizerunku... Potem zainteresował mnie strój tego martwego krasnoluda – dokładnie tak sobie wyobrażałem ubiór tej rasy. I kolejna sprawa – taktyka elfów, czyli trzymanie się drzew i ostrzał łuczniczy. Nie zrobiłbym tego lepiej. Dziewięćdziesięcioprocentowej pewności nabrałem, słysząc bębny i rogi – biorąc udział we wczesnośredniowiecznych imprezach, byłem uczestnikiem i świadkiem wielu starć. I dokładnie tak sobie wyobrażałem prawdziwą bitwę – z bębnami, rogami, falowaniem szeregów i całą tą niezbędną podbudowaniu morale otoczką. Zacząłem wtedy wszystko składać do kupy i zauważyłem, że nawet ataki i

pojawianie się elfów i krasnoludów było uzależnione ode mnie. Kiedy toczył się tutaj pojedynek, byłem przerażony i za wszelką cenę chciałem, żeby to się skończyło. Dlatego ten elf uciekł. Kiedy przerażenie minęło, elfy zaczęły ostrzalać...

– Zaczęły też ostrzalać – ponownie przerwała mu Anna – kiedy byłeś wściekły na mnie.

– Tak – pokiwał smutno głową. – Chciałem... Chciałem, żeby piekło cię pochłonęło. Sam nie jestem w stanie zrobić tobie krzywdy, ale oni... Oni nie mają takich skrupułów.

– Tak cię zabolaly moje słowa? Już nie pamiętam nawet co to było. Przepraszam.

– Wystarczy, że ja pamiętam. I nie przepaszaj. Należało mi się. Czasami nie potrafię utrzymać języka za zębami – Oleg nabrał powietrza. – I teraz przeszłość mnie ściga... Wiesz, mimo wszystko jestem wdzięczny losowi, że jesteś tu obok, że się ze mną nie zgadzasz, kłócisz, kwestionujesz moje teorie i sposób widzenia świata. To mi bardzo pomaga. „A man ain't meant to be alone with demons scratching at his soul”. „Człowiek nie powinien być sam, kiedy demony rozdrapują jego duszę”.

– Co zamierzasz teraz zrobić?

– Nie wiem – Oleg wzruszył ramionami. – Trzeba to jakoś odkręcić. Najpierw trzeba sprawić, żeby elfy i krasnoludy dogadały się między sobą i zakończyły tę bezsensowną walkę. Potem... potem muszę ich wszystkich jakoś odesłać do mojego świata.

– Hmm – zamyśliła się Anna. – Trzeba to zgłosić... nie wiem... odpowiednim służbom? Niech ktoś się tym zajmie...

– Nie „ktoś” – odpowiedział cicho Oleg, patrząc przez okno na park. – Ja. „Ktosie” nie uwierzą w historię o elfach i krasnoludach, co wylazły z czyjejś głowy. Muszę to zrobić ja. Tylko że...

– Boisz się – dokończyła za niego.

– Tak, boję się. Dziwisz się? Nie jestem twardzielem, chociaż czasami zgrywam takiego.

– Opuścił głowę. – Nie ma co tu ukrywać, boję się zmierzyć z rzeczywistością, którą sam stworzyłem... którą tworzę.

Anna podeszła i położyła rękę na jego ramieniu.

– Rozumiem to. Każdy ma swoje demony, które na różne sposoby rozdierają mu duszę. Jedni bronią się przed nimi do ostatka tchu. Drudzy nie chcą ich z kolei wypuścić. Jakie są twoje?

Oleg myślał przez chwilę. Obrócił się nagle.

– Bądź moim krukiem – powiedział, intensywnie wpatrując się w jej oczy.

– Że jak?

– „You never know where the road is gonna end. Sometimes I think this bird, this bird's my only friend. When I awoke I thought I was free but there he'd be, that bird that follows me”. „Nigdy nie wiesz, kiedy skończy się droga. Czasami myślę, że ten ptak, ten ptak jest moim jedynym przyjacielem. Kiedy się obudziłem, myślałem, że jestem wolny, lecz był tam ten ptak, który za mną podąża”. To z tej piosenki Ghoultown. Bądź moim krukiem. Bądź tym

ptakiem co jest zarówno przyjacielem jak i znieawidzonym towarzyszem. Wkurza mnie twoja obecność, bo burzy mój świat, ale z drugiej strony cieszę się, kiedy jesteś obok. Dopełniasz mnie. Pomóż mi. Bądź moim krukiem!

Anna wpatrywała się w czarne oczy Olega, z których biła siła. I coś, czego wcześniej nie widziała. Ciepło. I jeszcze coś. Prośba. Choć jego sylwetka, wyprostowana, bez żadnych oznak spięcia, mówiła, że wszystko jest okej, że nie ma się czym martwić, że ma nad wszystkim kontrolę, to jego oczy, studnia duszy, błagały o pomoc. A z za tego błagania wyzierał ledwo widoczny, dobrze zamaskowany strach.

Biedaku, pomyślała Anna, jak wrażliwym trzeba być i co przeżyć, żeby aż takim murem oddzielić się od ludzi. Co życie musi zrobić z człowiekiem, żeby tak zamknął się w sobie, włożył tyle masek, nie ufał nikomu, tworzył setki przeróżnych teorii mających wyjaśnić to co się dzieje i kurczowo bronił siebie przed światem? Przecież to nie jest głupi facet. Owszem, jest trochę zagubiony, żyje w odrealnionym świecie... Tylko nie wiadomo, czy ten świat był w nim od zawsze, czy powstał tylko po to, żeby ten biedak miał gdzie się schronić, gdy rzeczywistość za bardzo zacznie na niego naciskać. Westchnęła z rezygnacją.

– Jestem idiotką, że na to idę... Nie mogę się jednak oprzeć... – Przerwała, nie potrafiąc sprecyzować, co dokładnie ją skłoniło do podjęcia takiej, a nie innej decyzji. Litość? Fascynacja tym człowiekiem? Wyjątkowość tej sytuacji? A może coś, co zaczęło kiełkować w jej sercu kilka godzin temu... – Nie mogę stać z boku, gdy mój świat wali się w gruzy. Co robimy?

– Dziękuję – Oleg ścisnął jej rękę. – Pójdziemy do nich pogadać.

– Tak po prostu pogadać? – spytała, pomagając mu odblokować drzwi.

Oleg odsunął ostatni stolik i szarpnął kratę:

– Psiakrew! Kłódka samozatrzaszkująca! Na szczęście wiem, gdzie Wookie trzyma klucze. Nic się nie bój – w końcu mam nad nimi jaką taką kontrolę.

Wrócił z kluczami.

– Byłeś dość pewny siebie, kiedy to mówiłeś – powiedziała, patrząc jak mężczyzna niezgrabnie otwiera kłódkę – ale kiedy widzę, jak trzęsą ci się dłonie, nie wiem, czy do końca w to wierzysz.

Oleg uśmiechnął się.

– To? To choroba alkoholowa. Od dwóch godzin nie miałem piwa w pysku.

Odsunął kratę, wziął głęboki wdech i otworzył drzwi na zewnątrz.

Świt już na dobre rozpanoszył się w parku. Ptaki, nie zważając na ponurą scenię, wyśpiewywały niewzruszenie swoje trele, którym akompaniował szelest liści. Gdzieś z miasta dobiegał dźwięk policyjnej czy też strażackiej syreny.

Oleg patrzył na leżące zwłoki policjanta Dmowskiego, na jego poszarzałą twarz, otwarte oczy przepelnione szklanym zaskoczeniem. I na prawie półtorametrowe strzały wystające z jego piersi.

Anna jęknęła, zasłaniając usta i przywarła do ramienia Olega.

– Boże – wyszeptała łamiącym się głosem. – To... On... On jest bardziej przerażający od trupa tego krasnoluda. Bardziej realny...

– I martwy, czyli nieszkodliwy – powiedział Oleg, przechodząc na jej prawą stronę, jakby w ten sposób chciał chronić kobietę przed zmarłym i śmiercią. – Trzymaj się. Jestem pewien, że takich widoków będzie więcej. Chodźmy.

Ominęli trupa i po schodach weszli do górnego ogródka. Tam, przy bramie, leżało kolejne sztywne ciało, tym razem rosłego elfa, tego samego, który zabił w „Antrakcie” krasnoluda. W jego plecach czerwieniły się dwie dziury po kulach.

– Gdzie idziemy? – spytała, gdy wyszli na plac przed Teatrem Dramatycznym. Oleg rozejrzał się i wskazał na rysującą się w dali bramę główną pałacu Branickich leżącą dokładnie naprzeciw wejścia do teatru. Nawet stąd widać było tam jakieś sylwetki wchodzące i wychodzące na podjazd przed pałacem. Musieli przeciąć cały plac Poniatowskiego i przejść na drugą stronę ulicy Mickiewicza.

– Gdybym tworzył historię takiej inwazji elfów i krasnoludów na Białystok, to wybrałbym dla elfów pałac Branickich. Pasuje do ich dostojności i poczucia estetyki – odpowiedział, kiedy ostrożnie ruszyli przed siebie.

– A dla krasnoludów? – Anna trwożliwie rozglądała się po bujnych parkowych chaszczach rosnących po lewej stronie.

– Zwierzyniec.

Kiedy przechodzili wzdłuż placu, Oleg zauważył jeszcze dwa naszpikowane strzałami ciała ludzi. Obydwa leżały przy alejce prowadzącej do małego mostka na rzece Białej, która dalej wychodziła wprost na ulicę Jana Klemensa Branickiego. Chciał podejść i z bliska obejrzeć zwłoki, jednak rzuciwszy krótkie spojrzenie na przerażoną i pobladłą twarz Anny, zrezygnował z tego pomysłu.

Wszystko jest takie nierzeczywiste, pomyślał. Oto szedł środkiem placu przed białostockim teatrem z piękną kobietą u boku, w równie piękny, zapowiadający się słonecznie wtorkowy poranek. Tak powinno wyglądać normalne życie, pomyślał Oleg i uśmiechnął się do siebie.

– Skąd ten uśmiech na twarzy? – spytała już trochę pewniej Anna.

– Popatrz, idziemy środkiem Białegostoku, miasta, które obecnie jest strefą wojny rozgrywającej się między trzema rasami, z czego dwie są wymyślone. Dookoła nas leżą naszpikowane strzałami trupy i jestem pewien, że z pobliskich drzew obserwują nas elfy... I możliwe, że jeszcze jakiś krasnoludzki zwiadowca. Jedyнным normalnym elementem w tym wszystkim jesteś ty, ja i spacer do pałacu Branickich. Wszystko by wyglądało niemal identycznie, gdybyśmy spotkali się na randce w „Antrakcie” – jedynie pora się nie zgadza. Wybralibyśmy się z wizytą do Branickich nie skoro świt, ale wieczorem, kiedy pałac jest pięknie oświetlony, a fontanny przed teatrem oblegane przez ochlapującą się i przemoczoną

dzieciarnię.

– Pieprzony romantyk – burknęła, ale bez jakiejś wyraźnej nagany w głosie. – Płoną kościoły, giną niewinni ludzie, jakieś strzelaniny, a temu na randkowanie się zbiera...

– I to w tobie też kocham – odparł sztucznie ciepłym tonem niewzruszony Oleg. – Tę bezpośredniość i szczerość. Wiesz, jeszcze nie znalazłem w tobie żadnej wady... – Zatrzymał się, zastanawiając się nad czymś głęboko. – A co, jeśli ty też jesteś przeze mnie wymyślona? I tak może być... Jesteś zbyt perfekcyjna, żebyś była rzeczywista. Wkurwia mnie to, że nie mogę w tobie znaleźć żadnej wady, żadnego uchybienia w idealnej formie i treści. Jesteś dla mnie idealna w takim stopniu, że tylko mój umysł mógł cię taką wykreować. Wydarzenia, jakie nas spotkały... mnie spotkały, mają prawo zdarzać się jedynie w bajkach. To nie może być realne... Ała...! No, co ty?! Przestań!

– Ile kopniaków muszę nasadzić w twoje tłuste dupsko, żebyś zrozumiał, że jestem realna, a nie wyskoczyłam wprost z twoich erotyczno-fantasmagorycznych snów!? – dyszała Anna, zakładając but, który ześliznął się z jej stopy, kiedy nożnie udowadniała Olegowi swoje realne istnienie. – A nie przyszła czasem do tego twojego włochatego łba myśl, że jesteś po prostu we mnie zakochany i przez to nie możesz dojrzeć moich wad?

– Ja?! Zakochany?! – obruszył się Oleg. – No, no, już od razu myślisz, że każdy facet, który na ciebie spojrzy od razu się zakochuje...

– Nie, Panie Wszystkowiedzący. – Anna podeszła i dźgając go palcem w klatkę piersiową, akcentowała co drugie swoje słowo. – Nie każdy facet od razu we mnie się zakochuje. Myślę, że jest tylko taki jeden co lizałby mnie jak słony boczek, któremu jestem potrzebna, dla którego moja obecność jest bardzo ważna, który nie widzi we mnie żadnych wad, a niektóre wręcz kocha. I który się tak poblokował, że nie jest w stanie przyznać przed światem, ba! przed sobą, że mnie pokochał. – Anna wzięła się pod boki. – No, Panie Pseudowiking, kochasz mnie pan, czy nie kochasz?! Odpowiadaj mi pan zaraz tutaj! Oleg uniósł brwi i zaprezentował całą gamę głupich min. Wypalił w końcu:

– Wiesz, że idziemy po dawnej fosie otaczającej kiedyś pałac? A Teatr Dramatyczny stoi na dębowych palach sięgających dna tej fosy?

Anna tupnęła ze złością i krzyknęła łamiącym się, bliskim płaczem głosem:

– Jak chcesz, uparty baranie! Widzę, że znowu uciekasz, znowu się kryjesz! Wystarczy, że zaczynasz jako tako kontrolować swoje życie i od razu chowasz się do muszli! Ale ja się tak łatwo nie dam spławić! Będę się kręciła w pobliżu na wypadek, gdybyś na to niezwykle proste pytanie zechciał mi odpowiedzieć! A teraz daj mi rękę, niedorozwoju emocjonalny! – Tu go ponownie zdzieliła, tym razem w plecy, aż po pustym placu poniósł się huk.

– A to za co? – spytał zduszonym głosem, krzywiąc się z bólu.

– Dawaj łapę! – Oleg z oporami podał jej rękę. – Będę cię lała co jakiś czas, żebyś pamiętał, że jestem realna, że jestem obok i że zawsze...

– ...mogę wylizać cię jak słony boczek? – przerwał jej, profilaktycznie odskakując.

Anna się wściekła:

– Durniu, nie widzisz jak jestem przerażona?! Umieram ze strachu! Potrzebuję pocieszenia, a tobie, jak jakiemuś szczeniakowi, na żarty się zbiera – zaczęła płakać. – Te trupy... wszędzie... Ta niewiadoma... Nie chcę umierać...! Czy dobrze wybrałam, idąc z tobą...? Może trzeba było zostać w „Antrakcie”...? Potrzebuję wsparcia, słyszysz?! Drugiej osoby... potrzebuję ciebie, tak jak ty mnie... Potrzebuję prawdziwego mężczyzny, który w ciężkich chwilach doda mi otuchy i sił, by walczyć dalej! Boże, jacy wy, faceci, jesteście idiotyczni, zapatrzeni w siebie, swój świat... Zauważacie nas tylko wtedy, kiedy nas potrzebujecie, a przy okazji nie widzicie żadnych sygnałów, jakie wam dajemy – że potrzebujemy ciepła, pamięci, przelotnego pocałunku, nawet głupich kwiatów! A jak już dotrą do was te sygnały, to błędnie je odbieracie! Mam tego dość! Mam dość tych dupków, z którymi byłam! Mam dość bycia maskotką, dopełniaczem do lexusa, czy najnowszego merola! – Uniosła zapłakaną twarz ku niebu i przez zaciśnięte zęby powiedziała: – Boże, czemu oprócz cycków rozmiaru K dałeś mi jeszcze inteligencję i szerokie zainteresowania!? Byłabym sobie normalną lalką do rżnięcia i uśmiechania się... zwyczajnym bezmózgowcem, którego interesują jedynie świcidelka i wypchany portfel... Nie szukałabym faceta z ciekawą osobowością, nietypowym spojrzeniem na świat, tylko zwykłego młota, mistrza osiedlowego lansu! Gdybym jeszcze chociaż była trochę brzydsza, to może przyciągałabym mniej wypacykowanych gogusiów, a więcej typów, co to oprócz podstawowych pięciuset słów znają jeszcze z dziesięć tysięcy wyrazów w trzech językach! Mam tego dość, słyszysz?! Mam dość tego, że nikt mnie nie widzi taką, jaką jestem naprawdę! Mam dość tego szamba, w które mnie wjebałeś! I mam dość tego, że zakochałam się w... – Tu machnęła ręką, przerywając nagle i szlochając, skryła twarz w dłoniach.

Oleg podszedł do niej i niemrawo, jakby robił to pierwszy raz, przytulił. Jej włosy pachniały nagrzaną słońcem łąką. Zaciśnęła pięści na jego T-shircie i rozplakała się jak mała dziewczynka.

– Tak – powiedział ledwo słyszalnie.

– Co „tak”? – zachlipała, pociągając nosem.

– Tak, zakochałem się w tobie.

– Naprawdę? Czy mówisz tylko tak, żeby mnie pocieszyć? – Anna złożyła głowę na jego piersi. Wszystko przestało być ważne. Trupy, strzelające elfy, biegające krasnoludy. Pożary i walki w mieście. Za to pojawiła się ulga. Annę ogarnął spokój, który rozlewał się po całym ciele, jakby właśnie przed chwilą puściła wielka emocjonalna tama. Ja też odgrodziłam się od świata setką murów, pomyślała. Teraz osiągnęła spokój porównywalny ze stanem nirwany. Wsluchiwała się w głos, którego tonacja, niedźwiedzie mruczenie dochodzące zza gęstej brody, kołysała jej zboląłą duszę.

– Naprawdę – Oleg z trudem mówił otwarcie o swoich uczuciach. – Zakochałem się w tobie od pierwszego wejrzenia. Wiedziałem też, że nie mam u ciebie żadnych szans.

Podejrzewałem tylko, jak to mogłoby się skończyć. Moim ślinieniem, umizgiwaniem, robieniem z siebie durnia – wszystko na darmo, bo dla takich lasek jak ty jestem nic nieznaczącym facetem. Dlatego wołałem już na początku zniechęcić cię do mnie. Miałbym wtedy spokój...

– Dureń – mruknęła. – Rozmowa nie musi być od razu wrywaniem, jakbyś to określił... Poza tym ZAWSZE warto spróbować. Nie jestem taka jak wszystkie...

– „Nie jestem taka jak wszystkie”. Ileż razy to słyszałem. I to dokładnie w chwilach, gdy kobieta zachowywała się dokładnie tak, jak zachowałyby się... kobieta? Wracając do wrywania. W naszym przypadku jakakolwiek rozmowa z tobą skończyłaby się próbą zaciągnięcia cię do łóżka. Jestem pewien, że dziewięćdziesiąt siedem procent facetów prowadzących z tobą konwersację, myślało w tym samym czasie jedynie o zerznięciu cię. Pozostałe trzy procent to byli zapewne geje.

Oboje milczeli.

– Wiesz – powiedziała po chwili Anna. – Pierwszy raz od kilku godzin zapomniałam o tym całym syfie, w jakim się znajdujemy...

– Ja nie – spokojnie odparł Oleg. – Odkąd cię przytulam, jesteśmy na celowniku dwóch elfów, które, co prawda, przyjaźnie się do nas uśmiechają, ale łuki i strzały trzymają w pogotowiu. Spokojnie, Aniu. Bez żadnych gwałtownych ruchów.

Anna uniosła głowę i popatrzyła na Olega.

– Więc cała ta rozmowa miała na celu tylko mnie uspokoić?

Oleg uśmiechnął się ciepło, zaprzeczył ruchem głowy i złożył delikatny pocałunek na jej czole. Anna przesunęła dłonie po jego twarzy i przyciągnęła go do siebie. Kiedy tylko delikatnie musnęła językiem jego wargi, Oleg odsunął się szybkim ruchem:

– Nie tak pub... – próbował powiedzieć.

Zamknęła mu usta pocałunkiem.

Kiedy skończyli, Anna powoli odwróciła się do przyglądających się im elfów. Uśmiechnęła się, lekko dygnawszy. Elfy popatrzyły po sobie i również się ukloniły.

Anna popatrzyła z tryumfem na Olega, jakby chciała powiedzieć: „Widzisz, dzięki mnie wszystko będzie dobrze”.

– To będzie dla nas pestka – powiedział, otaczając ramieniem jej biodro, a do elfów krzyknął: – Prowadźcie mnie do swojego króla! Jam jest waszym stwórcą, tym, kogo szukacie!

Elfy znowu popatrzyły po sobie i jeden z nich skinął głową na znak, że zrozumiał. Cała czwórka ruszyła, Oleg i Anna na przedzie, elfy za nimi.

– W jakim języku do nich mówiłeś? – spytała Anna.

– Ja? – zdziwił się Oleg. – W naszym, polskim.

– Nie, słyszałam dziwną śpiewną mowę, ni to przypominającą francuski, ni to śpiewną mowę Indian.

– Dziwne. – Oleg podrapał się po brodzie. – Byłem pewien, że mówię po polsku... Ej! Ty też lubisz Indian?

Anna kiwnęła głową.

– Północnoamerykańskich?

– Tak.

– Jesteś idealna. Indianie to moja pierwsza fascynacja! Dakota, Pawnee... zresztą wszyscy Indianie Równin. No i Aztekowie z Ameryki Łacińskiej! Kurde, ja chyba naprawdę cię wymyśl... Ała! No, nie przy elfach! Jak ja teraz wyglądam! – Oleg zatańczył, otrzymawszy sójkę w bok. Idące za nimi elfy zachichotały. Nie co dzień można zobaczyć, jak osobisty stwórca jest szturchany przez niewysoką brunetkę.

Doszli do zbiegu Mickiewicza z aleją Jana Pawła II, które niczym fosa otaczały pałacowy dziedziniec z bramą.

Oleg zatrzymał się, widząc jak z terenu pałacu co chwila wyskakują małe grupki łuczników i kierują się w różne strony miasta.

– Patrz! – Anna pokazała na prawo, gdzie Mickiewicza i aleja przechodziły w rondo Lussy, a dalej w ulicę Pałacową biegnącą do Warszawskiej. Skrzyżowanie tych dwóch ostatnich blokowało barykada z radiowozów. Oleg dopiero po chwili dojrzał stojący przy rondzie policyjny van. Wyglądał jak jeź – cały naszpikowany strzałami. Uchroniły się jedynie osiatkowane szyby. Ze zdziwieniem zauważył, że strzały wbiły się w blachy samochodu do połowy półtorametrowego promienia. Rzucił krótkie spojrzenie na łuki trzymane przez jego eskortę. Miały długość grubo powyżej dwóch metrów, a wykonane były z kilkunastu warstw różniącego się kolorem drewna.

– Bogowie – mruknął głośno. – Ile to musi mieć naciągu... co najmniej tyle co porządna kusza. Sto, sto pięćdziesiąt kilo... Kto to naciągnie?

Elfia eskorta z lekko drwiącym uśmiechem patrzyła z góry na Olega i Annę. Oleg, mierzący niecały metr osiemdziesiąt, żeby spojrzeć w oczy blisko dwuipółmetrowemu gigantowi, musiał mocno zadzierać głowę.

Jeden z elfów nałożył strzałę na cięciwę. Napiął łuk i posłał pocisk w rosnące nieopodal drzewo grubości szczupłego mężczyzny. Strzała przeszła na wylot.

Oleg pokiwał z uznaniem głową.

– Chodźmy – machnął ręką na swoich strażników.

Podeszli do pałacowej bramy i zatrzymali się zaskoczeni widokiem. Plac aż po pałac wypełniony był elfami i sprzętem obozowym. Dziesiątki koni, namiotów, setki elfów – wszystko to przyozdobione wąskimi smużkami małych ognisk i gwarem rozmów.

Oleg poczuł zdecydowane szturchnięcie w plecy. Odwrócił się do swojej eskorty Elfy groźnie, niemal wrogo, kazały mu ruszać.

Skąd ta zmiana? – pomyślał. Jeszcze przed chwilą z radością prezentowali swoje umiejętności, a tu nagle takie zachowanie. Co się stało?

Weszli na dziedziniec i Anna, przestraszona widokiem setek roślących wojowników, mocniej ścisnęła dłoń Olega. Mijane elfy niezbyt przyjaźnie lustrowały parę ludzi. Jednak w miarę jak zbliżali się do pałacowego podjazdu, ich nastawienie zmieniało się z niechętnych spojrzeń w przyjazne uśmiechy i pozdrowienia.

Oleg zrozumiał. Kiedy ujrzał to wielkie obozowisko, stracił na chwilę kontrolę nad tym fragmentem wymyślonego przez siebie świata. Teraz, kiedy ponownie z tym wszystkim się oswajał, jego kontrola nad elfami coraz bardziej się umacniała.

Dostrzegli olbrzymi namiot. Po jego lewej stronie jaśniał portal, z którego cały czas wysypywali się nowi elfi wojownicy.

Kiedy wprowadzono ich do środka, Anna zaniemówiła z wrażenia. Otaczał ją niebotyczny przepych – miękkie dywany w fantastyczne kolory i wzory, draperie zdobiące ściany, meble o niezwykłych kształtach kapiące od złotych ozdób. I elfy. Nie takie jak te na zewnątrz, prości wojownicy, ale dostojnicy w skrzęcych się od kosztowności szatach. Każdy fragment ich stroju, nawet każdy ruch zdradzał, że ma się do czynienia ze szlachtą, arystokracją elfiego świata. Anna pomyślała, że idealnie pasują do tej magnackiej rezydencji, pomimo że pałacowi Branickich, jak i ich słynnemu ogrodowi daleko było do świetności sprzed kilkuset lat.

Anna otrząsnęła się z pierwszego wrażenia, próbując się wsłuchać w śpiewną konwersację jaką prowadził Oleg z elfem, który jako jedyny nosił na czole piękny diadem. Elfi król, pomyślała.

Elfi król powiedział coś i wszyscy spojrzeli na nią. Popatrzyła ze strachem na Olega:

– Co on o mnie powiedział?

Oleg, zaskoczony, patrzył na nią, wyraźnie zastanawiając się, co ma odpowiedzieć.

– Że... że... jesteś najpiękniejszą kobietą jaką widział.

– I to cię tak poruszyło? – zdziwiła się.

– Tak – odparł już pewniej. – Powiedział też, że twoja uroda przyćmiewa blask najładniejszych elfich niewiast. Nigdy nie myślałem, że może być ktoś piękniejszy od elficy.

– To miłe – odpowiedziała zadowolona z pochlebstwa Anna i skłoniła się elfowi w diademie. Ten uśmiechnął się i odpowiedział delikatnym ukłonem. – Kto to jest? – spytała. – Jakiś król?

– To Khorinos – odpowiedział Oleg. – Władca wszystkich elfów.

– Możesz nauczyć mnie ich języka?

– Nie. Mogę zrobić coś innego.

– Cieszę się, że odnaleźliśmy cię, stwórco. – Anna ze zdziwieniem zauważyła, że nagle zaczęła rozumieć mowę elfów. Głos Khorinosa brzmiał jak szum morza, spokojnie, a jednocześnie zdecydowanie.

– Ja ich rozumiem...

– Tak, mówią teraz po polsku.

– Skąd wiesz, że to ja jestem stwórcą?

– Nikt z tych miernot zwanych ludźmi, nie zbliżyłby się nawet do mojego namiotu. Ty stoisz nieuszkodzony przede mną, ze swoją wybranką u boku. To musisz być ty.

– Hmm... tak. Możemy gdzieś usiąść? – Oleg potarł się po czole. – Dopiero teraz dociera do mnie fakt, że to co się dzieje jest jak najbardziej realne.

– Oczywiście. – Khorinos wskazał mały stolik z otaczającymi go trzema fotelami. Kiedy zasiedli, król elfów skinął na swoich doradców. Ci skłonili się i opuścili namiot. Oleg i Anna zostali sam na sam z władcą.

– Co was sprowadza do mojego świata? – zapytał wprost Oleg.

– Nasz świat ginie. Jesteśmy dziesiątkowani przez choroby, nasze dzieci rodzą się zdeformowane, nawiedzają nas kataklizmy. Nasze budowle już nie mają takiego rozmachu jak kiedyś... Wszystko w nas umiera. Pokój z krasnoludami skończył się z dnia na dzień. Nagle poczuliśmy parzącą nienawiść do naszych młodszych braci. Owszem, nigdy nie darzyliśmy się wielką sympatią, ale zawsze udawało się nam zgodnie żyć obok siebie. Teraz jest inaczej... – Khorinos ze smutkiem pokiwał głową. – I jest coraz gorzej.

– Jak się tu dostaliście?

Khorinos uśmiechnął się smutno.

– Kiedy tworzyłeś nasz świat, zapełniłeś go też elementami, które nijak do nas nie pasowały. Nazwaliśmy je artefaktami... Zebraliśmy te przedmioty i wykorzystaliśmy jako pomost do twojego świata. Dzięki naszym magicznym mocom udało się otworzyć portal do tego miejsca.

– Sprytnie – z uznaniem powiedział Oleg. – Czego ode mnie chcecie?

Khorinos wstał i przeszedł w drugi koniec namiotu do stolika z kryształową karafką. Napełnił tam trzy złote puchary i podając je swym gościom, powiedział:

– Chcemy, żebyś uratował nasz świat. Chcemy, żeby wszystko powróciło do dawnej formy. Byśmy znowu mogli żyć i rozwijać się w pokoju.

Anna łyknęła z podanego jej naczynia. Tak cudownego wina jeszcze nigdy nie smakowała. Oleg, patrząc na swój puchar i ze smakiem oblizując wargi, pokiwał z uznaniem głową.

– A skąd tu się wzięły krasnoludy? – spytał ponownie kosztując napoju. – Dobre...

Khorinos ponownie usiadł.

– To efekt zniekształceń naszego świata. Krasnoludy nie mają żadnych zdolności magicznych, a mimo to portal, identyczny z naszym, otworzył się również u nich.

Oleg odstawił pusty puchar. Anna popatrzyła na niego z wyrzutem.

– No co? – wzruszył ramionami. – Pić mi się chciało.

– Zero szacunku dla sztuki...

– Wino jest wino – machnął ręką. – Grozi wam wielkie niebezpieczeństwo – powiedział do Khorinosa. – Zakłóciliście naszą rzeczywistość na wszelkie możliwe sposoby. Musicie

wrócić do siebie, zanim nasze wojska rozniosą was na strzępy.

– Wojska? – Khorinos parsknął kpiąco, dolewając wina do pucharu Olega. – Ci w tych szaroniebieskich strojach? Kiepscy z nich wojownicy. Mają co prawda tę dziwną huczącą broń, ale są mało skuteczni.

– To jedynie służby porządkowe. Strażnicy graniczni i oddziały prewencji, a nie prawdziwe siły militarne z ciężkim sprzętem – odparł, kręcąc głową, Oleg. – Jestem pewien, że już tu ciągną z pobliskich jednostek siły pancerne. Czołgi, transportery opancerzone, piechota uzbrojona w broń ciężką, helikoptery... Cały nowoczesny sprzęt. Nie oprzecie się im. Zmiotą was w jednym ataku. Musicie stąd uciekać, dla własnego dobra.

– Stwórco, nie mamy dokąd uciekać – zdecydowanie powiedział król elfów. – Nasz świat chyli się ku upadkowi. Tu, obok ciebie, chcemy stworzyć naszą nową ojczyznę.

– To niemożliwe. – Oleg znowu pokręcił głową. – Musicie wrócić do siebie, a ja obiecuję, że naprawię wasz świat. Daję wam na to swoje słowo. Jeśli tak się nie stanie, będziecie mogli tu wrócić i... robić, co się wam żywnie podoba. Nie będzie jednak takiej potrzeby – naprawię wasz świat.

Khorinos patrzył uważnie na Olega, rozważając jego słowa.

– Już raz nas zawiodłeś...

– To się nie powtórzy – z przekonaniem przerwał mu Oleg.

– Jeśli jest to jedyny sposób – westchnął elf – musimy ci zaufać.

– Musicie – zgodził się z nim człowiek. – I musicie poczekać, aż wszystkie krasnoludy również stąd się zabiorą. Jeśli zamkniecie swój portal, ich pewnie zniknie też.

Khorinos skrzywił się:

– Nie mogą tu zostać?

– Nie. Należą do waszego świata. Bez tego będzie niepełny.

– Kto je do tego przekona? Te krnąbrne pniaczki skupione są tylko na chlaniu piwka i złocie.

– A któżby inny? Ja. – Oleg podniósł się i wyciągnął dłoń w stronę elfa. – Postanowione?

Khorinos z wahaniem uściskał jego dłoń.

– Zgoda. Nie zawieź nas.

– Nie zawiodę.

Cała trójka wyszła z namiotu. Khorinos wezwał swoich doradców i pożegnał się z Anną i Olegiem, dodając:

– Mało kto ma okazję spotkać się ze swoim stwórcą. Masz dwie godziny zanim nie zamkniemy portalu. Liczę na ciebie.

– Jestem z was dumny – odparł Oleg. – Pomimo tego, że spotykamy się w tak przykrych okolicznościach, to cieszę się, że osobiście mogłem zobaczyć, co stworzyłem. Jesteście idealni, nie mogę was zawieść. Wszystko idzie ku lepszemu.

– Jestem tego pewien – odparł król elfów i zniknął w swoim namiocie.

Anna i Oleg ruszyli do bocznej furty prowadzącej na Mickiewicza.

Anna cmoknęła Olega w policzek.

– Co dalej?

– Idziemy do krasnoludów. – Oleg odetchnął z ulgą.

Pozostawiwszy za sobą obóz elfów i pałac Branickich, nie niepokojeni przez nikogo wyszli na opustoszałą ulicę Mickiewicza. Doszli do Plant i tu skręcili w prawo, w główną arterię parku, tak zwaną aleję Zakochanych. Gdyby poszli w lewo, wróciliby do Teatru Dramatycznego i skrytego w jego piwnicach „Antraktu”.

– Wiesz, te twoje elfy są niezwykle piękne – powiedziała Anna, uśmiechając się do siebie na wspomnienie przepychu otaczającego Khorinosa.

– Nie są moje. Tak jak i krasnoludy – odparł skromnie Oleg. – Obie te rasy to wymysł pradawnych Skandynawów, dość mocno podretuszowany przez Tolkiena. Dzięki niemu na stałe weszły do literatury fantastycznej. Ja tylko korzystam z tych wzorców, wrzucam w jakieś dziwaczne światy, konfrontuję z rzeczywistością – ich albo czasami naszą. To wszystko. O bogowie...

Zatrzymali się, widząc w oddali pobojuwisko. Zaraz ruszyli jednak naprzód wiedzeni niezdrową ciekawością.

– To ślady bitwy – powiedział Oleg. – Tej, którą słyszeliśmy w „Antrakcie”.

Kiedy podeszli bliżej, do lotu poderwały się gawrony i wrony żerujące na martwych.

Przed nimi piętrzyły się stosy zwłok. Krasnoludzkie brody zbroczone krwią, wywrócone białka oczu elfów, odrąbane kończyny, wyprute wnętrzości, połamany oręż, asfalt alejki zbrukany krwią... Obok kilkanaście elfów rozpałało potężne ognisko i wrzucało do nich zwłoki. Pracujący poświęcili ludziom tylko krótkie spojrzenie i powrócili do swoich obowiązków. Wszystko to w pięknej scenerii parku, z ukwieconymi klombami, działającymi fontannami... Wszystko to zalane promieniami letniego słońca...

– Nie chcę na to patrzeć – powiedziała Anna, ciężko przetykając ślinę.

– Dobrze, omińmy... to – zgodził się również wstrząśnięty widokiem Oleg.

Zeszli z alejki, zagłębiając się między drzewa. Kiedy byli na wysokości pobojuwiska, do ich nozdrzy napłynął mdły odór palącego się mięsa i nawet zasłonięcie twarzy nie uchroniło ich przed tym smrodem. Wrócili z powrotem na alejkę i nie odwracając się, w milczeniu, szybko ruszyli przed siebie.

Oleg, patrząc pod nogi, szedł zatroskany. To wszystko było jego winą. Całe to zamieszanie w mieście. Płonące kościoły, zamordowani niewinni ludzie, rzeź między elfami i krasnoludami...

Nagle Anna, łkając, wtuliła się w jego pierś.

– Mam dość... Nie chcę już na to patrzeć...

– Na co... – Wtedy Oleg dostrzegł drzewa wzdłuż alejki. Wszystkie były przyozdobione wisielcami. Dziesiątki ciał krasnoludów wiszące w bezruchu. Zsiniąłe, nabrzmiąte brodate

twarze z wyrzutem patrzyły na swego stwórcę. Wywalone fioletowe jęczory, zastygłe grymasy strachu i bólu...

– Nie patrz. – Przytulił Annę przerażony. – Przeprowadzę cię przez to. Ale bądź moim krukiem... Pomóż mi. Mów do mnie. Nie chcę myśleć o tym, co tu się stało... To moja wina... Skąd miałem wiedzieć, że pisanie to tak poważna sprawa... Skąd miałem wiedzieć, że świat wymyślony i ten realny kiedykolwiek się spotkają? Mów, proszę... Pomóż mi przez to przejść... Porozmawiajmy o czymś mało ważnym, o czymś nieistotnym.

– O czym? – odparła zduszonym głosem.

– Nie wiem... Pokłóćmy się o coś trywialnego. Hmm... Twoje piersi nie mają wcale rozmiaru K, najwyżej D...

– Co?! – Anna poderwała głowę. – Idziemy przez aleję pełną wisielców, a ty chcesz rozmawiać o moich cyckach?!

– Tak lepiej. Nie myśl o... tym. I spraw, żebym i ja nie myślał. Masz fajne cycki, ale to nie jest rozmiar K... – Oleg patrzył z przerażeniem na rudowłosego wisielca, który powolutku obracał się na swojej linie, jakby chciał odprowadzić ich wzrokiem.

– Tak jak większość facetów – zaczęła niepewnie – i spora część kobiet nie znasz się na biustonoszach. Noszę rozmiar 65K, gdzie „65” jest obwodem ściśle mierzonym pod piersiami na wydechu. „K” to rozmiar miseczki. – Jej głos nabierał pewności, ale był trochę mechaniczny, jakby mówiła wyuczoną formułkę. – Facetom się nie dziwię, że nie znają numeracji staników, bo wołają cycki kobiet bez opakowania. Kobiety natomiast boją się dużych rozmiarów, nie wiedząc, że za mały biustonosz nie tylko spłaszcza im biust, ale też powoduje przesunięcie piersi „na plecy”...

– Wymyślasz to? – z niedowierzaniem spytał.

– Nie. Jak ci mówiłam, mam agencję modelek. Muszę się na tym znać. Biustonosz, jak sama nazwa mówi, ma nosić cycki, a nie rozplaszczać. Największym problemem kobiet przy doborze stanika jest fakt, że nie mierzą obwodu pod piersiami, tylko sugerują się samym rozmiarem piersi. Za dużo luzu w biustonoszu powoduje, że piersi rozjeżdżają się na boki, przez co kobiety wybierają mniejsze miseczki, żeby biust usztywnić. Wystarczy jednak odpowiednio dobrać obwód biustonosza i już samo to sprawia, że piersi są odpowiednio utrzymywane. Do tego trzeba dopasować miseczkę, tak aby piersi czuły się swobodnie, a jednocześnie leżały tak jak powinny. Zanim poznałam tę prostą tajemnicę, nosiłam rozmiar 70D. Wierz mi, wtedy moje cycki nie miały tak wspaniałego wyglądu jak teraz... Hmm, wylewały mi się pod pachy. Tak, to dobre określenie.

– To jeden z bardziej chorych monologów, jakie słyszałem... I jeszcze ta sceneria... Trochę to wszystko dla mnie zbyt skomplikowane. Pozostanę jednak przy starym, męskim określeniu wielkości piersi: deska, małe, niezłe i zajebiste. I obwisłe.

– To dość uwłaczające naszej godności – burknęła niezadowolona Anna. Nie była już jednak tak spięta. – Przydałoby się wam trochę więcej finezji.

– Faceci są prości jak konstrukcja cepa, dlatego stosują niewyszukane, najbliższe rzeczywistości określenia. Jak coś jest małe, to będzie nazywane małym. Coś jest obwisłe – automatycznie określane jest mianem „obwisłe”. To prostsze niż szukanie jakichś lingwistycznych wybiegów i eufemizmów.

– Jaaasne... Wy nie używacie eufemizmów!? Na dziesięciocentymetrowego kutasika mówicie pała...

– To co innego...

– A ty jak dużego masz?

Oleg zatrzymał się zaskoczony. Anna patrzyła na niego filuternie.

– Panno Anno! – krzyknął z wyrzutem. – Nie znamy się na tyle, żeby rozmawiać o wielkości mojej pały!

– Wiedziałam! Dziesięć centymetrów! Zresztą zaraz możemy sprawdzić... – i zaczęła grzebać przy jego rozporoku, klepiąc przy tym jego wydatny brzuch. – No, no, pod takim kamieniem musi się czaić całkiem spory jaszczur...

– Przestań! – zdenerwował się Oleg. – Dookoła wiszą trupy, a ty tu takie rzeczy... – Prawdę mówiąc, to ostatni wisielec został dobrych kilkanaście metrów za nimi.

Anna westchnęła i posmutniała.

– Musiałeś przypominać... Było całkiem miło. Obiecuj mi, kiedy to wszystko się skończy, zaprosisz mnie na normalną randkę i wszystko zaczniemy od początku.

– Obiecuję, chodźmy – zgodził się szybko.

Przeszli przez Akademicką i skierowali się ku placowi Katyńskiemu. Przecięli rondo i powoli zbliżali się do Zwierzyńca.

– Jesteś pewien, że oni tam będą? – spytała Anna, trwożliwie patrząc na ziejącą wybitymi szybami filharmonię.

Po drugiej stronie ronda dopalał się jeden z budynków szpitala.

– Będą, wszystko na to wskazuje. W dodatku przed sobą mamy kolejny dowód na to, że kierujemy się w dobrą stronę. Zamknij oczy.

Anna posłusznie spełniła, o co ją prosił. Mocniej ścisnęła jego dłoń.

– Co to jest?

– Odpowiedź krasnoludów na to, co zrobiły elfy.

Na samym początku alejki zwierzynieckiego parku, leżało w równym rzędzie kilkanaście ciał.

– Nie chcę na to patrzeć. – Anna znowu skryła twarz w koszulce Olega. Słyszała, jak jego serce przyspiesza, jakby za chwilę miało wyskoczyć z piersi. Położyła dłoń na klatce piersiowej mężczyzny, chcąc je uspokoić.

– Bądź moim krukiem... – wyszeptał niemal niesłyszalnie.

Minęli rządęk związanych elfów, każdy z nich leżał z poderżniętym gardłem. Krew wsiąkała w bruk alejki.

– Już – powiedział, kiedy minęli miejsce egzekucji.

Anna oderwała się od niego i pocałowała w policzek.

– To nie twoja wina – powiedziała, ze zmartwieniem patrząc się na jego zmarszczone czoło i pobladłe policzki.

– Moja. Ja to wymyśliłem i zaniedbałem. To wróciło po mnie. Przeszłość zawsze wraca...

– Nie widzę w tym twojej winy – dalej upierała się Anna. – To splot wydarzeń i całe szczęście, że ty jesteś tutaj. Dzięki temu ten koszmar może skończyć się już za chwilę. Pomyśl, co by się stało, gdyby elfy dalej kontynuowały swoją walkę. Ile istnień musiałoby jeszcze zginąć? Tylko ty jesteś w stanie uratować to miasto.

– Całkiem jak w jakiejś pieprzonej hollywoodzkiej produkcji. Bohater, jego kobieta i heroiczny czyn – parsknął z sarkazmem.

– Nic na to nie poradzisz. Za to teraz musisz zrobić to, co powinno być zrobione. O, tam jest jakiś obóz! – wskazała na kilkanaście brudnych namiotów stojących przy namiastce białostockiego zoo jakim był Zwierzyniec.

– Dziwne, że nikt nas nie zatrzymuje – zaniepokoił się Oleg. Weszli do opuszczonego obozowiska. Nie widać jednak było w nim oznak pośpiechu. Stojaki na broń stały puste, podobnie jak wieszaki na zbroje. Za to dookoła poniewierały się kości zwierząt. Przed największym namiotem, na wbitych w ziemię palach pyszniły się jako trofea świeżo ścięte głowy kilku żubrów, lwa i niedźwiedzia.

– Wszyscy poszli na bitwę – powiedział ze smutkiem Oleg. – Wszyscy zginęli. – Usiadł na trójnożnym stołku przy jednym z wygasłych ognisk.

Anna położyła rękę na jego ramieniu.

– Co się stało, to się nie odstanie. Zresztą to były tylko wymyślone postacie...

Oleg podniósł głowę i popatrzył na nią.

– To nie były tylko majaki z moich opowieści! To realne istoty! Przecież piłaś ich wino, czułaś smród spalonych ciał... Oni byli... są częścią naszego świata! Są częścią tego świata, ponieważ ich stwórca też należy do tego świata! Ich stwórcy zależy na tym, żeby wiodło im się dobrze, bo są jak jego dzieci, ich przygody są przygodami, które on chce przeżyć! Są też jego niezrealizowanymi marzeniami, przyjaźniami, których nie doświadczył, miłością, jakiej nie zaznał! Tak naprawdę, są wszystkim i jedynym, co ma! Oni wszyscy żyją w pisarzu, bo są częścią jego osobowości! Tutaj nie zginęły tylko głupie pniaczki, ale zmarł również spory fragment mnie!

– Kochanie, nie wiem, co to znaczy pisać. – Anna kucnęła przed nim i wzięła jego dłonie w swoje. – Nie wiem, co to znaczy tworzyć nowe światy. Kompletnie się na tym, nie znam. Wiem natomiast, że twoja wyobraźnia sprawi, że te światy odżyją – nic jej przecież nie ogranicza...

Oleg myślał nad czymś intensywnie. Westchnął w końcu i uśmiechnął się:

– Masz rację, kochanie. Mogę naprawić wszystko, co zostało zniszczone w moich

światach. Nie mogę, niestety, nic zrobić z tym, co wydarzyło się tutaj, w Białymstoku. I to na zawsze leżeć będzie cieniem na mojej duszy. Te wszystkie okropności w świecie realnym... Nigdy o nich nie zapomnę.

– I tak będzie. Pisarz musi mieć cierń w sercu, żeby tworzyć. – Usiadła u jego stóp i siedzieli tak nic nie mówiąc.

Godzinę później portal jaśniejący w klatce lwa zamigotał i znikł.

Oleg odetchnął z ulgą. Choć może było to westchnienie niemej rozpaczy.

* * *

– To jesteśmy umówieni. Nareczka. – Oleg odłożył słuchawkę.

– Kto to?

– Wookie. Zapraszał mnie... Ał!!

– A masz! A masz! – Anna tłukła go poduszką. – Zapomniałeś? Nie ma ja! Jesteśmy MY!

– Dobra, dobra! – chichocząc, odparł Oleg. – Specjalnie tak powiedziałem! Oczywiście, że my! Ubieraj się, zaraz wychodzimy.

– O nie, mój drogi. – Anna, wyciągając okrągłego lizaka z ust i grożąc nim Olegowi, powiedziała: – Nie ruszymy się z domu póki nie napiszesz dwóch stron opowiadania o elfach i krasnoludach!

– Ale teraz...? – skrzywił się Oleg. – W sobotę?

– Teraz – powiedziała, wychodząc z pokoju. – To już dwa tygodnie odkąd obiecałeś Khorinosowi, że naprawisz ich świat. Chyba nie chcesz, żeby to wszystko się powtórzyło.

– Nie – westchnął. – Nie chcę.

– To zabieraj się do roboty.

Oleg odwrócił się do komputera i otworzył nowy plik Open Office'a. Chwilę pomyślał, wszedł na My Space i wpisał „ghoultown”. Po pojawieniu się strony zespołu, wybrał utwór „Walkin' Through The Desert (With A Crow)”. Przez chwilę rozkoszował się muzyką, po czym zaczął klepać na klawiaturze:

„Marcin niezbyt pewnym krokiem wyszedł z »Ryczących Czterdziestek«, zostawiając za sobą gwar szantowego pubu. Powłócząc nogami, ruszył w stronę ulicy Mickiewicza. Niepotrzebnie pił te dwa kieliszki krupniku. Teraz wyraźnie czuł, jak wódka walczy o prawo do opuszczenia jego trzewi. Chwiejąc się, szedł dalej, kierując się ku jasno oświetlonej ulicy”.

Przerwał na chwilę i uśmiechnął się do siebie, słysząc nucącą Annę.

„Kiedy znikniesz z mego życia?” – pomyślał, przypominając sobie słowa powitania króla elfów, te, których nie zrozumiała Anna. „Bądź pozdrowiony, o stwórco. Tak jak i twoja małżonka. Jest identyczna z naszymi malowidłami”. Dokładnie to powiedział Khorinos.

„Niech ta bajka trwa wiecznie” – pomyślał Oleg i wrócił do pisania.

Magdalena Kozak

Pisarka, specjalistka od wampirów. Z wykształcenia lekarz, reanimowała polskich krwiopijców zanim załła nas fala serialowej wampiromanii. Autorka bestsellerowej serii o wampirach z ABW.

Zajmuje się badaniami klinicznymi. Miłością jej życia – oprócz męża, wojskowego zresztą – są militaria. Skacze ze spadochronem, strzela, uprawia sporty walki, interesuje się wszystkim, co zaczyna się na „jednostki specjalne...”.

Urodzona w 1971 roku, w 2004 zadebiutowała na łamach „Fahrenheita”. Dwa lata później, nakładem Fabryki Słów, wydała pierwszą powieść pt. *Nocarz*, w następnym roku jej ciąg dalszy – *Renegata*. Z końcem 2008 ukazał się *Nikt*, kontynuujący historię wielce nietypowego oddziału tajnej jednostki antyterrorystycznej.

**Magdalena
Kozak**

Polowanie na jednorożce

Opowiadanie „Polowanie na jednorożce” powstało zaraz po tragicznej śmierci Packa.

Tomek był moim Mistrzem, uczył mnie pisać, poprawiał pierwsze teksty, dodawał odwagi, A jednocześnie pokrewną duszą, taki sam wariat militarysta, jak i ja, zważaliśmy się od razu.

Dominika Repeczko, która agentowała nam obojgu, podśmiewała się trochę z tej militarnej jazy, żądając dla odmiany opowieści o pięknych, romantycznych, smukłych elfach. Odpowiadaliśmy jej z Packiem: jasne, nie ma sprawy, może być o elfach, będziemy do nich strzelać.

Tomek nigdy tego tekstu nie napisał. Nie zdążył, a może tylko żartował? Nie wiem i już się nie dowiem.

Więc napisałam go ja – najlepiej jak umiałam. W spóźnionym hołdzie Szefowi, który niczym jego Dziadek Mróz, gotów był strzelać do krasnoludków.

*Narodzeni na nowo
Myślą trochę inaczej
Nie potrzeba im złota
Nie trzeba odznaczeń*

*A często ci, co myślą, że wiedzą
To wcale a wcale nic nie wiedzą
I gdy zapytasz, o co chodzi
To często źle powiedzą i poradzą*

*A kto jest bez winy
Niech pierwszy rzuci kamieniem*

Kult „Narodzeni na nowo”

1.

Skąd leci pierwszy kamień? Nie wiadomo.

Ale wiadomo, że oto stało się, oto jest... i rozpoczyna się reakcja łańcuchowa. Jakby nagle na tablicy wyników meczu pojawiły się wielkie litery: TERAZ. JUŻ.

I lecą kolejne kamienie.

Powód walki to tylko pretekst. Najważniejsze jest wyzwolenie pieczołowicie uzbieranej agresji. Nareszcie nadchodzi złoty strzał adrenaliny, nieporównywalny z żadnym innym doświadczeniem. To już TERAZ. JUŻ.

Tłum szaleje, pijany własną odwagą i euforią walki. Lecą kamienie, butelki, fragmenty sztachet i ławek... Wszystko, co tylko znajduje się w pobliżu. Leje się krew. Jej zapach, połączony z okrzykami bólu i wściekłości, jest swoistym afrodyzjakiem. Zagrzewa do dalszego boju. Współcześni berserkerzy odnajdują na chwilę sens swojego istnienia.

Kordony policji chętnie włączają się do zabawy. Ogarnia ich to samo szaleństwo, tyle że wzmacniane poczuciem wyższości. Gliniarze mogą dać upust własnej agresji równie dobrze jak i rozwścieczony tłum, przy tym pozostają wciąż po jasnej stronie mocy. Armatki wodne wspierają ich zza pleców, przytakując gorliwie.

Świat staje się czarno-biały. Oto źli i dobrzy, przyjaciele i wrogowie, i wszystko jest tak cudownie jasne.

Leżę na dachu stadionu przykryta maskującą płachtą i obserwuję rozwścieczony tłum. Walka o byt, stereo i w kolorze, lepsza niż na Discovery Channel. Przytulam mocniej przyjaciela, zaciskając na nim dłonie. Przez twarz przebiega mi lekki, cyniczny uśmiešek. Lubię ten widok.

Bo ja zła kobieta jestem. Po prostu zła.

Wzdycham lekko. No, trzeba się brać do roboty. Nie czas na zachwyty nad kłębiącymi się na dole przejawami ewolucji. *Survival of the fittest*, jak pisał Darwin, owszem, to imponujące. Ale przecież jestem tutaj, by namierzyć swój cel.

Więść niesie, że w dzisiejszych zamieszkach agencja „Pro publico bono” wypróbuje swoją nową, ostateczną broń. Jeżeli będą miała odrobinę szczęścia... będą mieli, skurwysyny, o jeden jej egzemplarz mniej.

Policja najwyraźniej nie radzi sobie z rozszalałym tłumem. Przyparciu do muru, zepchnięci w róg gliniarze walczą teraz o przetrwanie. Nagle nie są panami sytuacji, w majestacie prawa wymuszającymi rozejm. Role zmieniają się błyskawicznie, to już nie jeden klub przeciw drugiemu, ale kibice przeciw policji. Niespodzianka? Ej, chyba nie. Powinni byli to przewidzieć przecież.

No, cóż. Inteligencja to zdolność szybkiego przystosowania do zmieniających się warunków otoczenia. Przetrwają najsilniejsi... Albo najsprytniejsi. Albo ci, co mieli najwięcej szczęścia. Ciekawe, czy ktoś powiedział policjantom, że jeśli dzisiaj nie poradzą sobie sami, z pewnością stracą pracę? Bo już nie będą zdolni do jej wykonywania, po tym, co się z nimi stanie.

Wątpię. Chyba nie wiedzą o niczym. Nikt nie wie, oprócz mnie zawieszanej na dachu nad tłumem.

Brama stadionu otwiera się.

Biała plama podąża powoli na środek boiska, z łatwością torując sobie drogę wśród tłumu. Ludzie rozstępują się przed nią w osłupieniu.

Przyciskam przyjaciela jeszcze silniej, przywierając chciwie do celownika optycznego. Teraz zobaczę wszystko idealnie. Czarny krzyż w środku pola widzenia nie przeszkadza mi, bynajmniej. Nadaje widowisku dodatkowy smak.

A więc zrobili to. Wieści były prawdziwe.

Biały koń, wyglądający jak arab czystej krwi, wdzięcznie stąpa po płycie stadionu. Srebrzysty róg na jego czole rzuca wokół odbłyски słońca, jakby był usiany diamentami. Obok niego kroczy dziewczę w bieli, z długim do pasa, ciemnym warkoczem. W dłoni ściska jedwabną uzdę, prowadząc zwierzę wolnym, dostojnym krokiem.

Dziewica z jednorożcem zatrzymują się na środku. Ona wskakuje na śnieżnobiały grzbiet, po czym sięga ku warkoczowi. Zaczyna rozplatać włosy, śpiewając jakąś dziwną, niezrozumiałą pieśń.

Tłum wokół zastyga w nagłym milczeniu. Spokój rozchodzi się, niczym fala, kręgami skamienienia. Jeszcze przez chwilę obrzeża stadionu pochłonięte są wrzeniem, by zaraz potem zamrzeć w bezruchu. Wszystkie oczy kierują się ku centrum stadionu.

Dziewczę wciąż śpiewa. A jednorożec stoi spokojnie, rzucając swój urok na zebranych.

I znajduje się idealnie na środku mojego celownika.

– Dość tego, koleżanko – mruczę pod nosem. – Jeszcze chwila, a nową Ardeę wyśpiewasz... Wziąwszy pod uwagę, jak spierdolona jest ta poprzednia, nie sędzę, żeby był to dobry pomysł. – Wbijam wzrok w wąziutkie, czarne nitki krzyża, zgrywając je z głową zwierzęcia. – Adios!

Naciskam spust.

– One shot – odzywa się głos Toma Berengera w mojej głowie. – One kill.

Jednorożec pada na kolana, siejąc dookoła rozbryzgami krwi. Ułamek sekundy później wali się na ziemię bezwładnie, dziewczica przerywa swą pieśń rozpaczliwym „aaaa!”, widząc, jak matka ziemia przybliża się ku niej z niespodziewaną prędkością. Upadają oboje, zwierzę przygniata dziewczynę do ziemi, miotając się w agonalnych drgawkach. Ta zaczyna krzyczeć przeraźliwym głosem, ale to już jej własna inwencja, nie dalszy ciąg pieśni. Tego na pewno nie było w partyturze.

A tłum wciąż stoi, w osłupiałym milczeniu.

Uśmiecham się z satysfakcją. Zadanie wykonane.

Podrywam się z podłoża, płachta zsuwa się ze mnie z szelestem. Patrzą z żalem na przyjaciela. Niestety, dragunów musi zostać. Starannie zatarte numery seryjne nie powinny pozostawić dochodzeniówce zbyt wiele pola do popisu. A nie wolno mi mieć karabinu przy sobie, jakby co.

Zbiegam z dachu, szczebelki drabinki przeciwpożarowej migają mi przed oczami z zawrotną prędkością. Wreszcie jestem na dole. W biegu zdejmuję cieniutkie, skórzane rękawiczki, wpycham je do kieszeni. Skok w krzaki, potem przejście przez uprzednio przeciętą siatkę... I oto jestem na ulicy. Pospiesznymi ruchami rąk rozgarniam dekolot. Rozglądam się dookoła z rozpromienioną miną. Nie ma nikogo. Zresztą, nawet jakby ktoś przechodził, pomyślałby najwyżej, że blondynka gziła się z kimś po krzakach.

Uśmiecham się w krótkim przebłysku wspomnienia. Na pierwszą akcję ubrałam się, jak sądziłam, że należy: czarne bojówki, czarna bluza, nawet kominiarkę zabrałam ze sobą. A Szeff nawymyślał mi od idiotek. Taki strój na ulicy to przepis na wpadkę. Wszyscy przechodnie mnie zauważą. Co innego dzinsy i bluzka z dekoltem. Jedyne, co w tym przypadku ludzie zapamiętają, to całkiem niezłe cycki.

Oczywiście, Szeff miał rację, jak to on. Przekonałam się o tym nieraz.

Idę spokojnym, powolnym krokiem w kierunku przystanku autobusowego. Myśli pulsują dojmującą ulgą.

Jeden jednorozec mniej.

A ja zła kobieta jestem. Bardzo zła.

2.

Żółto-czerwony tył autobusu znika za rogiem, migając mi kierunkowskazem na pożegnanie. A niech to szlag! Siadam na ławeczce, przygotowując się na kilka albo i więcej minut czekania. Może szkoda, że nie podbiegłam... Nic to, pocieszam się w myślach. Za facetami i autobusami nie biegam. Będzie następny.

– Cześć, Ala! – Jakby ściągnięty myślami o facetach, wyłania się zza rogu Piotrek, niedawno poznany... Zaraz, kim on jest? Ach tak, prawnik. – Co porabiasz?

Uśmiecha się przyjaźnie i siada tuż obok na ławeczce, zdecydowanie za blisko.

– Spróbuj wydedukować, Holmesie! – rzucam, odsuwając się nieco. – Czekam na: a, samolot, be, autobus, ce, prom kosmiczny...

– Złośliwa, jak zawsze! – Piotrek przysuwa się, niezrażony. – Ale ja nie z tych, co się

łatwo dają spławić. Umówisz się ze mną wreszcie na kolację? – Jego wzrok wędruje w kierunku mojego dekoltu i zatrzymuje się tam na dłużej.

Wzruszam lekko ramionami, ale tak, żeby gest nie był zbyt obraźliwy. Piotrek jest całkiem przystojny. A ja zasłużyłam na odrobinę przyjemności. Właściwie, czemu nie. Nic nie mam do stracenia, nawet mniej niż nic.

– Kiedyś... – rzucam swobodnie. – Może...

– Może dzisiaj? – korzysta skwapliwie z okazji. – Dzisiaj jest równie dobre kiedyś, jak każde inne, nieprawdaż?

W myślach przeglądam szybko mój kalendarzyk. Zobaczę się z Szefem po południu, zamelduję o przebiegu akcji, może dostanę kolejne zlecenie... Potem, właściwie, nie mam nic do roboty. A odprężyć się dobra rzecz.

Kiwam głową z wystudiowanym, przychylnym uśmiechem. O ile nie jest skończonym durniem, zrozumie go właściwie: ten sygnał oznacza TAK. Lepiej posprzątaj w mieszkaniu, stary.

Chyba zrozumiał, odchyła się bowiem w tył, z wyrazem triumfu na twarzy.

– Masz jakieś szczególne życzenia? – cedzi powoli, smakując te słowa, jakby powtarzał po kolei cyfry swojej wygranej w Lotto. – Chińszczyzna? Dania francuskie? Włoskie?

– A może romantyczny wieczór przy świecach? – Idę na skróty, nie chce mi się odbębniać tych obowiązkowych knajpianych głupot. – Czy istnieje taka opcja?

Piotrek zachłystuje się lekko, zdumiony. No tak, wzdycham w myślach, znowu zła kobieta ze mnie. Od razu przechodzę do rzeczy, a to przecież jego święte męskie prawo. To nieładnie tak komuś zabierać całą przyjemność z polowania. I do tego jeszcze przejmować inicjatywę, ego biedaka zaraz rozsypie się w proch.

Uśmiecham się kusząco, czekając na efekt. No jak, kolego, stracisz taką okazję przez błahe uchybienia w protokole dyplomatycznym?

– Jasne – Piotrek natychmiast pozbywa się jakichkolwiek skrupułów. – U mnie czy u ciebie?

– Mam bałagan – rzucam krótko. – U ciebie. O dziewiątej. Wyślij mi adres SMS-em, chyba masz numer mojej komórki?

Nadjeżdża autobus, drzwi otwierają się z sykiem. Podnoszę się i wbiegam do środka. Odwracam się, machając ręką Piotrkowi, który siedzi wciąż na ławeczce, uśmiechnięty od ucha do ucha. Odmachuje mi gorliwie, drzwi zamykają się.

– Masz szczęście, że się nie spotkałeś z jednorożcem, kolego – mruczę pod nosem. – Zacząłbyś traktować „nie cudzołóż” zbyt poważnie. I nici z przyjemnie spędzonego wieczoru. A tak, dostaniesz, co chcesz. Nic więcej... Ale ani odrobiny mniej. To chyba uczciwy układ, co?

Milknę, wpatrując się w okno. Za brudną szybą wlecze się Warszawa, szeregi samochodów pełzną mozolnie w nieubłaganym upale. Przede mną jeszcze długa droga do

domu. Przeklęte korki, niech je szlag.

3.

Szef patrzy na mnie, przyjmując raport. Na jego pomarszczonej twarzy pojawia się wyraz aprobaty, nie sposób jednak nie zauważyć, że w kącikach oczu czai mu się zmęczenie. No i coś go gryzie, też widać od razu. Po raptem kilku miesiącach spędzonych razem, czytam w nim jak w książce. Podnoszę więc pytająco brwi.

– Olek nie żyje – oznajmia Szef, nawet nie próbując odwlekać momentu, w którym będzie musiał podzielić się ze mną tą wiadomością.

– Jednorożce? – pytam od razu, czując, jak wzdłuż kręgosłupa maszeruje mi nieprzyjemny dreszcz.

Szef kiwa głową, ciężkie westchnienie wyrywa mu się z ust. Siada na fotelu, kolejne kawałki tapicerki osypują się w dół. Macha ręką, wskazując mi tapczan. Usiądź, młoda, pogadamy, mówi ten gest.

– Nie wiem – odpowiada. – Znaczą, poniekąd, na pewno tak.

Siadam posłusznie, wbijając w niego niespokojne spojrzenie. Wiedzą o nas? Przecież dopiero co zaczęliśmy... Tak szybko, tak łatwo nas rozgryźli? Tak... Już?

– Olek miał wypadek wczoraj – słowa Szefa kapią niesłuchanie powoli. – Jakiś kierowca, pewnie pijany, zjechał na chodnik, potracił go. Zadzwonili po pogotowie, ale karetka przyjechała strasznie późno. Kobieta z dyspozytorni nie przekazała wezwania. Uparła się, aby dzień święty święcić, a było już pięć minut po północy i zaczęła się niedziela.

Kiwam głową ze zrozumieniem. Pewnie ta kobieta spotkała jednorożca... I zaraziła się nim.

– Żydzi mają bardzo rozsądny sposób radzenia sobie w takich sytuacjach – mówi Szef bardzo gwałtownym tonem. – Mają coś, co się nazywa halacha. Prawo, które między innymi reguluje rozsądne odstępstwa od nakazów. Na przykład, pozwala na pracę w szabas, jeżeli ma ona na celu ratowanie życia ludzkiego.

– Widać jednorożce nie uznają halachy – odpowiadam cicho.

Milczymy przez chwilę oboje.

– Wciąż nie wiemy, skąd one się biorą? – pytam dla formalności, przecież wiem, że gdyby tylko udało się zdobyć tę wiadomość, mi pierwszej by powiedział. – Gdzie mają... Stajnie? I kto je tu sprowadza? Kto tak naprawdę stoi za tą agencją „Pro publico bono”? Szef kręci głową w ponurym milczeniu.

– Na pewno są to bardzo dobrzy ludzie – rzucam cynicznie. – Którzy chcą czym prędzej

zbawić ten świat.

– Albo rzucić nas innemu światu na kolana – szepcze Szeff, odwracając głowę w kierunku wąziutkiego okna sutereny. – Całkowicie bezbronnych... – milknie znów.

Nie mówi więcej nic. Nie musi. Przedyskutowaliśmy ten temat tysiące razy.

Czyż nie byłoby to piękne? Niebo na Ziemi. Nikt nie zabija, nie kłamie i nie kradnie, bo po prostu nie jest do tego zdolny. A po ulicach przechadzają się jednorożce. I piękne, smukłe dziewczynki o długich warkoczach, śpiewające wzniosłe pieśni.

Trzeba być złym do szpiku kości, żeby nie zakochać się w takim obrazie natychmiast.

Co za szczęście, jestem zła. I póki co, wolę ten świat takim, jaki jest, z umiarkowanym podejściem do bożych przykazań. Chociaż nawet chętnie czciłabym ojca swego i matkę swoją, gdyby tylko wyleźli z tej swojej zasyfiałej nory na Pradze i przestali chlać. I ciągnąć innych za sobą, do dna.

Wstaję z wersalki, podchodzę do wyjścia. Klamka z oporem ustępuje pod moją ręką, opadając powoli. Drzwi otwierają się z głośnym skrzypnięciem.

– Myślisz, że zdążymy? – pytam cicho. – Że uda nam się powystrzelać je wszystkie, zanim zarażą świat... dobrocią?

Szeff milczy, wciąż wpatrując się w okno. Czekam jednak cierpliwie. Nie dam się tak łatwo zbyć.

– Nie wiem – odzywa się wreszcie, nie patrząc na mnie. – Ale przynajmniej spróbujemy. Cóż nam innego pozostało?

Kiwam głową i zamykam drzwi.

4.

Oczy Piotrka błyszczą w ciemnościach, płonąc nieskrywanym zadowoleniem. Przewracam się leniwie w pościeli. Liczę w myślach: raz, dwa, trzy... Już.

Siadam, przeciągając się powoli i częstując go przy okazji widokiem moich nagich piersi. Przesuwam się do krawędzi łóżka, spuszczam nogi i schylam się w kierunku porzuconej bielizny.

Piotrek podrywa się natychmiast.

– Hej, dokąd się wybierasz? – pyta niby spokojnie, ale minę ma nietęgą.

Wzruszam lekko ramionami w odpowiedzi, zapinając stanik. Uśmiecham się do siebie w duchu. Dobra zła kobieta, dobra. Idealnie wyliczyła czas. Trzeba wiedzieć, kiedy wstać i wyjść.

On przysuwa się czym prędzej, prawie widać, jak tabuny myśli kłębią mu się pod

czaszką. Złapany króliczek zamierza się wymknąć, nie wolno dopuścić do tego niebezpiecznego precedensu. Przecież to on jest od wypraszenia króliczków z domu, nie ma mowy, żeby bezczelne zwierzaki oddalały się samowolnie.

– Zapomniałem powiedzieć, że oferta dotyczyła kolacji ze śniadaniem – decyduje się wreszcie na dość desperacki krok. – Nie chcesz skorzystać?

No proszę, takie to proste. Bądź wilkiem, a ja będę owcą. Bądź owcą, to ja nie omieszkam skorzystać z okazji, żeby sobie pobyć wilkiem.

– Może kiedy indziej – uśmiecham się swobodnie. – Zamówisz mi taksówkę?

Podnoszę się, zakładam majtki, rajstopy. Potem bluzkę. Zapinam guziki, jeden po drugim.

A on patrzy na mnie bez słowa. Błysk radości w jego oczach gaśnie niczym zdmuchnięta raptownie świeczka. Nie płacz, mój drogi, myślę cynicznie. Na pewno grałeś już nieraz w tej scenie. Zakładałeś koszulę i spodnie, i wychodziłeś nocą z domu dziewczyny, niczym trofeum unosząc ze sobą jej smutny wzrok.

A że czasami zdarza się inaczej... No cóż, raz ginie torreador, raz byk. Nikt nam nie obiecywał, że zawsze wszystko będzie cudowne.

– Zamówisz mi taksówkę? – powtarzam, uśmiechając się uprzejmie.

Piotr wstaje z łóżka. Podchodzi do mnie, nagi, wyciąga ręce krótkim ruchem, jakby chciał mnie objąć, ale zatrzymuje je i cofa zaraz. Zamiast tego sięga do spodni, leżących na krześle i wysuępuje z nich komórkę. Wstukuje numer, nie patrząc na mnie.

Kiwam głową z podziękowaniem, po czym podnoszę spódnicę z podłogi i opuszczam sypialnię. O ile pamiętam, łazienka jest w korytarzu, po prawej.

Kiedy z niej wychodzę, Piotrek czeka już w przedpokoju, ubrany. Jest zupełnie spokojny, widać zdążył już posklejać swoje ego z powrotem.

– Skoro nie jestem w stanie cię skusić śniadaniem... – oznajmia z uśmiechem. – To może miałabyś ochotę na jakieś inne atrakcje? Co?

Uśmiecham się również, bez słowa. Owszem, w łóżku było nieźle, dziękuję. Ale po co miałabym to przedłużać? Żadnych długoterminowych układów. Nie nadaję się do nich, nie ja.

– Chciałabyś zobaczyć jednoroźca? – Piotrek zniża głos do szeptu i patrzy na mnie uważnie. – I to z bliska... Co?

Sztywnieję nagle, na szczęście udaje mi się nie zmienić wyrazu twarzy. Nadal uprzejmy uśmiech, chociaż w środku wrze. O żeż kurwa mać. Wszystkie ręce na pokład, maszyny cała wstecz! Błyskawiczna zmiana planu! Teraz, już!

Podchodzę do niego i oplatom mu ręce wokół szyi. Całuję go lekko w policzek.

– To by było bardzo miło z twojej strony – szepczę czule. – Nie bierz tego za bardzo do siebie, no wiesz, że nie mogę zostać. Po prostu jutro rano mam wizytę bardzo ważnych gości... Nie mogę wbiec do mieszkania potargana i z oczami podkrążonymi z niewyspania. Po prostu nie mogę. Rozumiesz?

Rozpromienia się natychmiast. Oto nareszcie balsam na jego łózkową samoocenę. Po

prostu obiektywna przyczyna zewnętrzna, żadne tam odrzucenie, skąd!

– Jasne. – Kiwa głową gorliwie. – A więc... Chciałabyś?

– No pewnie! – przytakuję z entuzjazmem.

Chciałabym zobaczyć jednorożca z bliska, i to jak! Najchętniej mając przy tym granat pod ręką. Albo dwa.

– A ty... Widziałeś już jakiegoś? – Patrzę na niego uważnie.

Jeżeli powie, że tak? Przecież tak chętnie cudzołożył przed chwilą... Znaczy, że jest odporny. A więc może być jednym z nich, kimkolwiek oni są.

Albo może stać się jednym z nas.

– Nie. – Piotrek kręci głową. – Ale kumpel obiecał mi załatwić. Na pewno da radę wykombinować wejście dla dwóch osób.

– No to super! – Nie posiadam się z radości. – Kiedy?

Przytula mnie do siebie mocniej, a potem pochyla twarz, sięgając ustami ku moim wargom. Całuje mnie długo, rzetelnie, z języczkiem. Oddaję mu pocałunek bez protestów. Dla dobra sprawy, niech będzie i tak.

– To nie ode mnie zależy, ale postaram się, żeby było jak najszybciej. Zadzwoń jutro – mówi Piotr, odrywając się wreszcie. – Biegnij, taksówka czeka.

Podchodzimy do drzwi, on otwiera je szarmanckim gestem. Posyłam mu ręką całusa na pożegnanie i zanurzam się w ciemność klatki schodowej.

Serce bije mi jak oszalałe. Jest trop jednorożca. Znowu jest jakiś trop.

5.

– Nie ufaj mu – zapowiada SzeF kategorycznie.

Parskam z oburzeniem, jak kotka.

– Masz mnie za głupią? – rzucam, poprawiając się nerwowo na kanapie. – Oczywiście, że mu nie ufam, przecież to facet.

SzeF patrzy na mnie karcąco, jakby zamierzał się obrazić w imieniu wszystkich samców tej planety. Wzruszam ramionami, gwałtownie, żeby się zamknął od razu. Inaczej zaserwuje mi tekst, że przecież jemu ufam, a skoro tak, to czy nie uważam go za mężczyznę. A ja go wtedy odeślę do wszystkich diabłów i do tej wiedźmy, z którą żyje. I wywiąże się kolejna idiotyczna i niczemu niesłużąca dyskusja.

Na szczęście SzeF jest na tyle mądry, że powstrzymuje się od komentarza. Milczy, czekając na mój ruch.

Zrywam się z kanapy, zaczynam chodzić po malutkim pokoiku w tę i z powrotem. Trzy

kroki, zwrot, trzy kroki, zwrot. Mój guru wodzi za mną spokojnym, niewzruszonym wzrokiem. Nie protestuje. Wie, że tak mi się myśli najlepiej: w ruchu.

– Od jakiegoś czasu wybrani ludzie zapraszani są na spotkanie z jednorożcem – mówię rzeczowym tonem. – Jakby na razie dopiero obserwowano nasze reakcje.

– Bardzo mądrze jest to pomyślane, zauważ – zgadza się Szef natychmiast. – Robią to po kryjomu, w niewielkich, kilkunastoosobowych grupkach. Spotkanie z jednorożcem. Zakazany owoc dostępny tylko dla wybranych.

– Gdyby trzymali zwierzaki w kościołach i zachęcali: „przyjdź, staniesz się lepszy”, ludzie omijaliby ich szerokim łukiem – wykrzywiam się cynicznie. – A tak, domyślam się, że tłumy chętnych walą drzwiami i oknami.

– Kościół na razie nie wypowiada się w temacie jednorożców. – Szef odchyła się nieco w fotelu. – Bardzo, zresztą, rozsądnie.

Kiwam głową w milczeniu. Jasne, że rozsądnie. Nie można się łatwowiernie pakować w byle cud. Nie wiadomo przecież, skąd się nagle wzięły te białe, rogate koniki i kto tak naprawdę za tym wszystkim stoi. I jak się ta cała akcja skończy.

Może któregoś dnia pojawi się władca jednorożców, a my klękniemy przed nim wszyscy, bez cienia protestu. Nie będziemy mieli innego wyjścia, nikt przecież na drugiego ręki nie podniesie. Nie zabijaj. Od dzisiaj traktujemy to poważnie.

Tych kilku dobrodopnych, którzy się trafią, zniknie w masie zbaraniałej ludzkości, prowadzonej niczym jagnięta na rzeź. Albo, co gorsza, przyłączy się do katów, w dobrze przemyślanym geście samoobrony.

I nieważne, kto się okaże tym Numerem Jeden. Czy szalony naukowiec ulepszający rzeczywistość w zaciszu tajnego laboratorium, czy kolejny superterrorysta, marzący o panowaniu nad światem, z braku lepszego zajęcia akurat. Zresztą, w obecnej sytuacji, obawiałabym się każdego możliwego scenariusza, łącznie z lądowaniem UFO i inwazją elfów. Te też potrafiłyby nieźle dać w kość.

– Jak myślisz, na takim pokazie jest tylko jeden jednorożec, czy może być ich więcej? – pytam z namysłem.

Szef łapie wlot, o co mi chodzi. Dobry jest. A raczej: wystarczająco zły.

– Na pokazie pewnie jeden – mówi powoli. – Ale bardzo możliwe, że gdzieś w pobliżu mają swoje gniazdo. – Uśmiecha się, mrugając okiem porozumiewawczo. – Tylko się tam dostań, dziewczynko. A my zrobimy resztę.

– Na pewno będą sprawdzać wszystkich przed wejściem i to dość dokładnie – rzucam niespokojnie. – Co prawda, mogę połknąć nadajnik. Sekcji mi nie zrobią tak od razu, mam nadzieję... – zatrzymuję się w miejscu, niepewnie zerkając na Szefa.

W końcu, jestem zwykłą kobietą, a nie Johnem Rambo. Myśl o własnej sekcji bynajmniej nie jest mi obojętna. Tym bardziej, że zazwyczaj wiąże się z dość nieprzyjemnymi zdarzeniami, które do tej sekcji prowadzą.

– Nie wiem – oznajmia mój rozmówca wprost.

Podchodzę do kanapy, siadam, a raczej zwalam się na nią bezwładnie. Patrzę Szeфовi w oczy. Biorę głęboki wdech.

– Na dzień dzisiejszy, wchodzę w to – mówię nieco drżącym głosem. – Ale jak przyjdzie co do czego, ni cholery nie wiem, jak się zachowam. Wiesz dobrze, że straszny ze mnie tchórz... Więc lepiej nic mi nie mów o ogólnym planie ani takich tam, dobrze?

Szef patrzy na mnie ze zrozumieniem.

– Jasne – kiwa głową. – W myśl słusznej zasady, że im mniej wiesz, tym krócej cię będą przesłuchiwać. Jasne.

Kiwam głową i ja. Chyba tak będzie najlepiej. Chyba tak. Zresztą, skąd mam wiedzieć, akurat ja. Nie mam żadnych złudzeń co do moich umiejętności bojowych. Staram się, jak mogę, ale na prawdziwej konspiracji znam się mniej niż nic.

Bardzo możliwe, że tak naprawdę nie zna się na tym również Szef. Przecież sam też wie tylko tyle, co wyczytał w książkach albo domyślił się sam. Ale jest Szefem, ponieważ z nas wszystkich i tak najlepiej orientuje się w temacie.

Jesteśmy żalosną bandą pieprzonych amatorów, przemyka mi przez myśl. Wszystko, co wiemy o tego typu akcjach pochodzi z filmów i literatury sensacyjnej. A przecież wiadomo, prawdziwych patentów tam się nie sprzedaje. Głupi by byli fachowcy, udostępniając taką wiedzę publicznie i kręcąc sobie z niej na własną dupę paskudny bat. Niestety, póki co, żaden James Bond nie zechciał wstąpić w nasze szeregi. Może i dobrze, zabiłby nas śmiechem od razu.

Ale i tak spróbujemy zrobić, ile się da. I nie poddamy się bez walki. Uwzięliśmy się na te nieszczęsne jednorożce.

Może za bardzo lubimy cudzołożyć, kłamać i kraść.

6.

Oczy Piotrka znowu błyszczą w ciemnościach pełne satysfakcji: tym razem mucha zostaje w sieci na dłużej.

Mając w pamięci bliskie spotkanie trzeciego stopnia z jednorożcem, przyjmuję bowiem ofertę kolacji razem ze śniadaniem. Na początku nie wymaga to ode mnie szczególnego poświęcenia, kolega w łóżku jest niezły, a przynajmniej bardzo się stara. Naprawdę, nie jest najgorzej, chociaż to już drugi raz.

Dopiero potem robi się dużo mniej zabawnie. Piotrek zasypia, tuląc mnie do siebie z całych sił. Czuję się jak w klatce. Duszę się.

Wyplątnę się ostrożnie z jego ramion, ale te, jakby namagnesowane, wciąż przyklejają się do mnie. Mam ochotę krzyknąć. Niech się odczepi, niech da mi święty spokój, niech mnie nie prześladowuje swoją nachalną obecnością!

Ale zdaję sobie sprawę, że byłby to błąd, może nawet duży błąd. Wkopałabym się od razu. Powinnam przecież wtulić się czule w ramiona kochanka i tak spać, spokojna i bezpieczna. Jak każda normalna kobieta.

Tylko że ja nie jestem normalna. Jestem przecież zła.

Uspokajam się na siłę. Liczę w myślach, starając się nie czuć na sobie tych cholernych rąk. Wreszcie udaje mi się, zasypiam niespokojnym, płytkim snem.

Śni mi się znowu Marek, jak co noc. Oczy mu błyszczą jednorożcem. Siedzi przede mną i gorliwie spowiada się ze wszystkich swoich kłamstw i zrad... Jakbym kiedykolwiek pragnęła się o nich dowiedzieć. Za to on już jest czysty, więc promienieje radością. Ja wyjątkowo nie.

A potem namawia mnie, bym poszła razem z nim do jednorożca, jeszcze raz. Przekonuje, że tym razem wszystko będzie dobrze, że spłynie na mnie światło łaski. Że owszem, za pierwszym razem nie zadziałało jak trzeba, ale nie wolno się poddawać, trzeba spróbować jeszcze raz. Że to tylko pomyłka, nie znaczy wcale, że jestem zła...

Nie chcę, płaczę, wrywam się. On jednak nie ustępuje w swojej gorliwości neofity. Wreszcie poddaję się, skoro tak mu cholernie na tym zależy. Jak zwykle, jestem gotowa zrobić dla głupka o wiele więcej niż powinnam. Idę więc za nim. Chociaż już jest ciemna noc.

Maszerujemy ulicą. Ciemne postacie wypełniają gdzieś z mroku. Ale ja się nie boję, wiem, że Marek mnie obroni. Niejeden raz widziałam, co potrafi.

Oni podchodzą, ustawiają się wokół. Dopiero wtedy myśli rozbrzmiewają mi nagłym alarmem. Patrzę na mojego mężczyznę niepewnie. Nigdy dotąd nie dopuścił przeciwników tak blisko. Zazwyczaj sam przejmował inicjatywę i rozstawiał ich po kątach... Co się dzieje, czemu nagle zmienił taktykę?

Pierwszy z nich podchodzi bliżej i bez słowa zadaje Markowi pierwszy cios.

A ten... nadstawia drugi policzek.

Gardło zaciska mi się zwierzęcym przerażeniem. Zastygam, sparaliżowana niczym ptak, kiedy zbliża się ku niemu hipnotyzujący wąż.

Raptem rzucają się na Marka wszyscy, seria ich ciosów i kopniaków jest jak przelewający się po jego ciele sztorm. Uspokajają się dopiero, kiedy ofiara przestaje się ruszać.

A potem patrzą na mnie. A ja nie mogę nawet drgnąć.

Podchodzą bliżej, zacieśniając krąg. Tym razem dookoła mnie.

Nadal nie mogę drgnąć.

A potem zaczynają...

Z gardła wyrywa mi się krzyk, paniczny, dojmujący wrzask. Zrywam się, siadam na łóżku, wodząc dookoła przerażonym wzrokiem.

– Rzucę was na pożarcie jednorożcom, skurwysyny! – bełkoczę wśród łez.

Serce wali mi pospiesznym młotem. Gdzie jestem? Ulica, nie, szpital, też nie. Aha, już wiem.

Piotrek podrywa się, zaglądając mi z niepokojem w twarz. Rzucam jeszcze przez chwilę głową na boki, w prawo i lewo, wreszcie uspokajam się.

– To nic... – mówię powoli. – To nic. To tylko straszny sen.

Wycieram wierzchem dłoni zasmarkany nos.

– Musiał być naprawdę okropny – Piotr obejmuje mnie, przytula i głaszcze po głowie – skoro się tak wystraszyłaś, dziewczynko.

Chce mi się wyć. Spierdalaj, nie mów do mnie dziewczynko, nie głaszcz mnie i w ogóle odwal się z tą swoją landrynkową empatią. Nikt cię nie prosił, żebyś tu nagle zaczynał tchnąć dobrocią. Chciałeś dobrego rżnięcia, dostałeś je i starczy. To teraz won.

Ale wiem, że nie mogę mu tego powiedzieć. Obrazi się i nici ze spotkania. A ja muszę przecież dorwać te pieprzone białe wałachy.

– Taki tam... – mówię, siłą uspokajając oddech. – Sen i tyle. Nie miewasz koszmarów?

– Owszem, miewam. – Wciąż nie przestaje mnie głaskać, cierpnie mi skóra na plecach, ale znoszę to dzielnie. – Jednak rzadko kiedy straszą mnie w nich jednorożce. – Pochyliła głowę, zaglądając mi troskliwie w oczy.

– Pewnie się przejęłam twoją obietnicą. – Uśmiecham się w odpowiedzi. – Wiesz, bo ja straszny tchórz jestem, reaguję na byle co...

On też się uśmiecha z wyrozumiałością. Nareszcie może się poczuć dowartościowany w swojej męskiej roli i poopiekować się słabą, głupiutką kobietką.

– Przecież nie musimy tam iść, jeżeli nie chcesz – oznajmia protekcyjnie. – Chociaż, swoją drogą, to zabawny pomysł, bać się jednorożca. – Poklepuje mnie po plecach. – Przecież to cudowne, łagodne stworzenia. Samo dobro. Tak mówią.

Potakuję głową w milczeniu.

– Chodź, przytul się. – Piotrek pociąga mnie za sobą w dół. – Niesamowita jesteś, wiesz? Na pierwszy rzut oka twarda, jak cholera, wyjątkowo twardy orzech do zgryzienia. A jak przychodzi co do czego, płaczesz po nocach i boisz się jakichś głupich jednorożców. No, no, no... – Otula nas oboje kołdrą wyjątkowo pieczołowicie.

Milczę. Leżę naga obok niego, nie protestując przeciw tej nachalności. Nawet oplatam go ramionami, dla dobra sprawy. Już trudno, zniesie się jakoś i to.

– Wiesz, taka podobasz mi się jeszcze bardziej – mówi nagle Piotr półgłosem. – Chyba się zaczynam w tobie zakochiwać, wiesz?

Wstrzymuję oddech, ręce zaciskają mi się kurczowo na jego ramionach. Na szczęście wygląda to, jakbym się po prostu przytuliła mocniej. A on to uznaje za odpowiedź. No tak, który z facetów nie wierzy, że skoro dziewczyna idzie z nim do łóżka, to znaczy, że jest zakochana po uszy. Przecież to tylko oni uznają seks bez zobowiązań. My, oczywiście, nie.

– Nic nie mów – szepcze Piotrek, gładząc mnie znowu po głowie. – Ja wiem, to strasznie

szybko przyszło, aż niewiarygodnie szybko. Po prostu nic nie mów, dobrze? Pozwól mi upolować nasze szczęście... Zaczaimy się, a ono przyjdzie z czasem, zobaczysz.

Kiwam głową w poczuciu ulgi, że nie muszę kłamać. Co on bredzi, głupi. Boże, jaki on strasznie głupi. No, ale już trudno, chce złudzeń, niech je sobie ma.

Miłość. Jeżeli o mnie chodzi, to słowo umarło wraz z pierwszym zastrzelonym jednorożcem.

I szczerze mówiąc, od tamtej pory żyje mi się znacznie wygodniej.

7.

Willa w Kampinosie, stylizowana na niewielki zameczek, architektoniczny koszmar, plastikowy Disneyland w skali mikro. Miejsce w sam raz na otrucie cywilizacji.

Witają nas piękni młodzi ludzie w powłóczystych szatach. Uśmiechają się, kiwając przyjaźnie głowami. Wyglądają jak reprezentacja Towarzystwa Przyjaciół Elfów, albo coś w tym stylu. Ale to po prostu pracownicy organizacji „Pro publico bono”. Taki mają strój służbowy, dział Public Relations długo się nie musiał nad nim zastanawiać. To przecież oczywiste, jak powinni wyglądać i zachowywać się pasterze jednorożców. Dokładnie tak.

Wchodzimy razem z grupką nieznanym mi osób, Piotrek trzyma mnie za rękę. Śmieszny jest z tą swoją demonstracją: tak, proszę państwa, to tutaj to moje, złapałem i mam. Trzymam mocno, jakby ktoś nie widział. Proszę się nie obawiać, nie ucieknie.

Drepczę za nim posłusznie, z wyrazem radosnego podniecenia na twarzy. Z każdym krokiem jestem coraz bliżej celu. Oczyma wyobraźni widzę, jak jedna z moich komórek wysyła niewidoczne sygnały. Akurat z tego aparatu nie udało mi się nigdzie zadzwonić, jego obudowa jest jedyną częścią mającą cokolwiek wspólnego ze standardem. Serwisanci Nokii zdziwiliby się, widząc wewnątrz zupełnie inne podzespoły, zasilacz i antenę. No cóż, taki lajf.

Kamuflaż okazuje się zupełnie niepotrzebny, pozwalają nam wejść do środka bez żadnych przeszkód. Poprzednim razem, jak pamiętam, trzeba się było rozebrać, zostawić wszystkie rzeczy i założyć odświętne, białe togi. Teraz już nie. Nawet torebki i plecaki można zabrać ze sobą. I nie ma wykrywaczy metalu, w ogóle niczego nie sprawdzają. Widać czują się wyjątkowo bezpiecznie.

Pewnie mają ku temu podstawy.

Idziemy korytarzem, dość ciemnym i długim. Moje serce przyspiesza rytm, mięśnie spinają się. Zaczynam oddychać szybciej i płycej. Wkrótce znowu zobaczę z bliska jednorożca, tak samo, jak wtedy... Ale nic już nie wróci z tego, co było. Nic.

Czuję, jak zalewa mnie ogromna, potężna fala nienawiści. Zaciskam zęby, dygocząc w środku. W torebce mam berettę, oczywiście, razem z pozwoleniem na broń, używaną w celach sportowych. Ale nie, nic z tego. Nie powinnam jej nawet tknąć. Szef ostrzegął, żebym nie robiła niczego na własną rękę, tylko pozwoliła działać innym. Wtedy to miało sens, kto mógłby się spodziewać, że pozwolą mi zabrać pistolet do środka, ba, że nie sprawdzą nawet, co mam w torebce.

Piotrek patrzy na mnie z niepokojem. Niemalże widzę jego myśli. No proszę, ale się biedaczka denerwuje, a niby taka twardzielka była. Ech, te blondynki... Ścisną mocniej moją dłoń. Kiwam mu głową z uśmiechem. Już dobrze, to tylko nerwy. Już dobrze.

Ogromne drzwi otwierają się przed nami, wchodzimy do wielkiej sali wspieranej smukłą kolumnadą. Na samym środku stoją jednorożce. Trzy.

Uśmiecham się szeroko.

Witajcie, moje drogie. Pogadamy, jak nieparzystokopytny z nieparzystokopytnym? Bo, widzicie, ja też jestem konik.

Trojański.

Pięć bladoliczych, długowłosych dziewcząt stoi przy swojej stadninie, kiwając ku nam zapraszająco dłońmi. Podchodzimy więc bliżej. Ludzie dookoła mnie mają zachwycone, wniebowzięte twarze. Pospiesznie kopiuję tę minę i ja, ubierając oblicze w dokładniuteńko taki sam wyraz. Zerkam na Piotrka ukradkiem, jego oczy też świecą uniesieniem.

Oho, myślę z pewną dozą przykrości, właśnie się skończył całkiem niezły seks. Teraz kolega będzie się chciał koniecznie ożenić. Byle nie ze mną, nie ma mowy. *Adios, muchacho*. Znajdź sobie dziewczinę.

Ludzie stoją w absolutnej ciszy, wpatrując się w zwierzątka niczym zahipnotyzowani. Gapię się i ja, odliczając w duchu nieznośnie ciągnące się sekundy. Nasi powinni już wiedzieć, co trzeba, nadajnik stanął w miejscu, a zatem to tu. Nawet jeżeli budynek jest ekranowany, widzieli, w którym miejscu urwał się sygnał.

Pewnie jeszcze poczekają chwilę, dla wszelkiej pewności.

Oczywiście duszy widzę ich, jak jadą. Biała furgonetka pełna złych ludzi siedzących ze skupionymi, zaciętymi minami. Szef naprowadza kierowcę, śledząc sygnał z nadajnika na laptopie i klnąc na ten cholerny GPS. Pozostali milczą, ściskając w dłoniach egzemplarze wszelkiej broni, jaką tylko dało się kupić na stadionie od Ruskich. Pewnie same kałachy, może nawet jakiś wintorez się trafił... No i nieśmiertelne tetetki, których wszędzie pełno i które tak doskonale radzą sobie z większością zachodnich zabezpieczeń. Zbytek łaski, jednorożce nie noszą kamizelek kuloodpornych. Nie pasują im one do image'u.

No cóż, drogie koniki. Szykujcie się na rzeź.

Nagle oczy napęlniają mi się łzami. Ja wiem, to nie zwierzęta są winne. Tylko ci, którzy postanowili wykorzystywać je w ten sposób.

A mimo to muszą umrzeć. Muszą.

Mrugam, pospiesznie wypędzając wilgoć z oczu. Dziewice spoglądają na mnie bystro, podejrzliwie. Aha, więc to one stanowią tutejsze Sonderkommando, w razie czego zajmą się mną, jak należy. Przybieram wyjątkowo uduchowiony wyraz twarzy. Przecież takie wzniosłe spotkanie może wzruszyć słabą niewiastę do łez, nieprawdaż?

Odwracają wzrok, uspokojone. Kolejna głupia blondynka, już po niej, myślą zapewne.

Być może to prawda, już po mnie. I po wszystkich tu zgromadzonych. Kazałam Szeferowi nie przejmować się, tylko detonować od razu, w razie potrzeby. Może nie zdąży wyjść. Może nikt nie zdąży. Zwłaszcza te pieprzone jednorożce.

Szef się zgodził, bez żadnych komentarzy. Wiadomo. To zły człowiek jest.

8.

Jakby ściągnięty myślami, dociera do nas potężny huk wybuchu. Sala trzęsie się gwałtownie, osypując tynk z sufitu i ścian.

Białe konie zaczynają rzeć w przerażeniu, szamocząc się niespokojnie. Dziewice z trudem utrzymują je na jedwabnych paskach, rozglądając się dookoła. Patrzą na nie z uznaniem. Są spokojne, opanowane, niczym automaty oceniają i analizują sytuację.

Zgromadzeni ludzie nie robią nic. Ani drgną, jakby nagle zupełnie zostali pozbawieni instynktu samozachowawczego. Jakby zapomnieli, czym jest ból i strach. Nic dziwnego, oto właśnie zarazili się dobrocią, rozpoczynają pobyt w ziemskim raju, w którym jagnię leży bezpiecznie obok lwa.

Pasterki jednorożców ruszają do wyjścia, przeciwległego do tego, którym nas wpuszczono. Zabierają swoją trzódkę, poganiając ją pospiesznymi uderzeniami. Konie rżą cichutko, rozpaczliwie. Pewnie wyczuwają czającą się dookoła śmierć.

Jedna z dziewczyn zostaje w środku, zamyka drzwi na klucz. Odwraca się ku nam, staje z rękami założonymi na piersiach. Jej mina oznajmia wyraźnie: to mój klucz, nie możecie mi go przecież ukraść.

Ludzie patrzą na nią przez chwilę, po czym siadają na ziemi. Czekają spokojnie, aż pojawi się jakieś inne wyjście. No bo przecież faktycznie, nie można ukraść tego klucza.

Spinam się w sobie. Nie, nie pójdzie ci tak łatwo, lalunia. Nie ze mną. Tam są jeszcze przynajmniej trzy jednorożce do zabicia. Z pięcioma komandosicami nie ważyłabym się zadzierać. Ale z tobą jedną... Może sobie poradzę.

Przysuwam się do Piotrka, obejmuję go za szyję.

– A może by ten klucz pożyczyć? – szepczę mu do ucha. – Przecież to nie kradzież. Najwyżej zabór mienia w celu krótkotrwałego użytkowania.

Uśmiecha się, kiwając głową.

– Ale jak? – mruczy ostrożnie. – Ona może nie chcieć go nam dać...

– Nigdzie nie jest powiedziane, że nie można spuścić uczciwego lania bliźniemu swemu – rzucam zdecydowanie. – Zwłaszcza jeżeli na nie zasłużył.

Patrzę na niego z napięciem. Może zaraz zakrzyknie ze wzdargą, że ja zła kobieta jestem... A wtedy *adios*.

Nie, Piotr nie płonie świętym oburzeniem. Zamiast tego kiwa głową, leciutkim, ledwo dostrzegalnym ruchem. Boże drogi, łaskawys nad podziw tym razem! Czyżby Piotrek był jednak jednorożcoodporny?

Podnosimy się z ziemi, oboje. Idziemy w kierunku dziewczyny, uśmiechnięci, z jak najbardziej pokornymi minami.

Ona spina się natychmiast, w jej oczach czai się tygrys szykujący się do skoku. Po plecach przebiega mi zimny dreszcz. Możemy jej nie dać rady, nawet oboje.

– My tylko z pytaniem – mówi Piotr, uśmiechając się pojednawczo. – A może nam pani pożyczyć ten klucz?

Dziewczyna zastyga na moment, myśląc pospiesznie. Chyba nie spodziewała się takiego obrotu spraw.

– Nie – mówi w końcu.

– A dlaczego nie? – pyta Piotr wciąż uprzejmie uśmiechnięty. – Poszlibyśmy do domu, skoro nie ma już jednorożców...

Ludzie przytakują zgodnym chórem. No jasne, po co tu siedzieć, skoro główna atrakcja wieczoru zabrała się i wyniosła, nie do końca zgodnie z programem.

Dziewczę znowu namyśla się z mozołem.

– Bo mi nie wolno – odpowiada tonem zamykającym dyskusję.

– A kto nie pozwala? – odparowuje Piotrek niezrażony. – Możemy z nim porozmawiać?

– Nie możecie – warczy dziewczica. – Siadajcie na miejsca z powrotem. – Wodzi po zebranych wściekłym wzrokiem. – I zamknijcie się wreszcie. Wszyscy.

Ludzie potakują, pokornie zwieszając głowy. Nie wolno, znaczy nie wolno. Pewnie jest w tym jakiś sens. Zakładamy przecież dobrą wolę wszystkich zainteresowanych stron.

A we mnie wrze. Czuję, jak wszystkie emocje ostatnich miesięcy zbierają się we mnie w jedną porażającą erupcję. Za chwilę wybuchnie bomba, po której nie będzie czego zbierać nawet.

Do tej pory stałam cicho, uwieszona u boku Piotra prowadzącego negocjacje. Dziewica nie poświęciła mi nawet spojrzenia, tak bardzo w jej mniemaniu byłam nikim. Jestem więc tuż koło niej. Tuż obok, na wyciągnięcie ręki.

Wyrzucam prawą rękę w przód jednym szybkim ruchem. Opieram dłoń o jej prawe ramię, zaciskam na nim palce i pcham, obracając ją wokół jej własnej osi. Nie spodziewała się niczego, głupia, leci więc jak marionetka. A ja już jestem za jej plecami. Nakładam lewą

dłoń na swoją prawą, splatam je. Zaciskam jej szyję pomiędzy prawym przedramieniem a barkiem, niczym w nieubłaganym imadle. Dziewczyna charczy rozpaczliwie, kiedy dociskam prawą rękę, miażdżąc jej tchawicę.

Nienawiść pulsuje we mnie, barwiąc świat czerwienią. Pochylam się gwałtownie w dół. Rozlega się charakterystyczny trzask łamanego kręgosłupa. Dziewica przestaje charczeć, natychmiast.

Puszczam ją, bezwładne ciało wali się na ziemię. Prostuję się, dysząc ciężko.

– Weź klucz – polecam zdecydowanie, patrząc na Piotrkę. – Idziemy.

Pochyla się posłusznie, wyjmując naszą wolność spomiędzy martwych palców dziewczyny. Ludzie wciąż siedzą na ziemi, gapiąc się na nas w osłupieniu. Nikt z nich się nie rusza.

Piotrek otwiera drzwi, biegniemy pospiesznie. Krótki korytarz prowadzi do żelaznej bramy otwartej na oścież.

Wybiegamy na dwór. Trwa tam regularna wojna. Serie wystrzałów, odgłosy wybuchów i trzask płomieni odbijają się ogłuszającym echem. Pośród tego krzyki ludzi i przeraźliwy kwik zwierząt. Słup ognia wzbija się do góry, czarnym dymem wspomagając ciemność nocy. Płoną stajnie.

Trzy jednorożce leżą martwe tuż za drzwiami, dziewczęce obok nich. Charakterystyczne czerwone plamy znaczą miejsca, gdzie dosięgła ich seria z kałasznikowa.

Szef miał rację. Załatwili wszystko sami, nie musiałam się o nic martwić. Tylko dostać się, gdzie trzeba, tylko tyle. Czuję, jak szal wściekłości opada, pozostawiając po sobie dziwną, głuchą pustkę. Przedstawienie skończone, można wstać i wyjść.

Nasi też już się chyba zbierają, widzę ciemne sylwetki przemykające po dachach. Robota skończona, nie ma na co dłużej czekać. Trzeba wiać.

– Uciekajmy stąd! – Piotrek próbuje przekrzyczeć huk płomieni. – Już!

Patrzę w tył, w ciemność bramy. Tam wciąż siedzą ci ludzie, a płomienie ze stajni przeskakują właśnie na dom.

– Mają otwarte drzwi, do cholery jasnej! – Widać rozumie mnie bez słów. – To ich sprawa, czy zamierzają łaskawie ruszyć dupę! Zrobiłaś, co mogłaś, ale bez przesady z tą pieprzoną dobrocią! Ruszamy!

Twarz rozjaśnia mi się w paskudnym uśmiechu. Chyba jednak jest jednorożcoodporny... Jest taki cudownie zły.

Biegniemy w kierunku ogrodzenia, klucząc pomiędzy murkami, drzewami i krzewami, dającymi nam chwilowe schronienie przed gradem kul. Piotrek prowadzi, wprawnie i pewnie, jakby całe życie nie robił niczego innego. Podążam więc jego śladem, przemykając się za nim wśród drzew.

Płomienie strzelają coraz wyżej. I wciąż słychać ten bezustanny, rozpaczliwy krzyk. To giną jednorożce. Kończy się coś pięknego, dobrego... Odchodzi w dal.

9.

Zatrzymujemy się wreszcie na jakiejś polance w Puszczy Kampinoskiej, zmęczeni, zziębnięci. Walimy się na ziemię, siadając po turecku i wpierając palce w świeżą, pachnącą trawę.

– Ależ to skurwysyństwo – mówi Piotrek, potrząsając głową. – Ten numer z jednorożcami... To po prostu straszne.

Patrzę na niego ostrożnie. Która strona jest bardziej skurwysyńska w jego mniemaniu? Ta, która hoduje jednorożce, czy ta, która je zabija?

– Zmienią nas w potulne bydelko – dorzuca, jakby chciał rozwiać moje wątpliwości. – Będziemy bez szans.

– Dokładnie tak – mówię powoli, kiwając głową.

On milknie, przyglądając mi się uważnie. Czuję, jak po plecach spaceruje mi wyjątkowo nieprzyjemny dreszcz. Uświadamiam sobie, że przecież dopiero co zabiłam człowieka... A Piotr to widział. Dokładnie.

Zaczynam drżeć.

Nie żał mi tej dziewczyny ani trochę. Zasłużyła na to. Zresztą, działałam poniekąd w samoobronie, gdybym nie utorowała sobie drogi na zewnątrz, spalilibyśmy się tam wszyscy. A ona była za dobrze wyszkolona, żebym mogła spróbować ją tylko obezwładnić, widziałam to w jej tygrysiach oczach. Nie mogłam ryzykować. Po prostu nie mogłam. Ani też nie chciałam.

Nie, nie żał mi. Miałam prawo tak postąpić, z pewnością tak. Ale zwyczajnie, po ludzku, boję się konsekwencji. Co on teraz zrobi? Doniesie na mnie... Policji?

Biorę głęboki wdech.

– Nigdy mnie nie kochałaś, co? – stwierdza nagle Piotrek jakimś takim dziwnym, odrętwiałym głosem. – Chciałaś tylko, żebym cię tam doprowadził. A twoi znajomi dokończyli resztę. Wiedziałaś, co się stanie, prawda?

Uśmiecham się zimno, cynicznie. Niech się dzieje, co chce. Nie zamierzam płakać, bynajmniej. Przecież jestem do szpiku kości zła.

– A co byś chciał usłyszeć, Bogarcie? – rzucam oschle. – Tekst rodem z Casablanki? Jak to poświęciłam moje wielkie, nowo narodzone uczucie dla tej wspaniałej sprawy?

Potrząsa głową natychmiast.

– Nie – zaprzecza zdecydowanie. – Daruj sobie te bzdury. Nie.

Przez chwilę jego oczy mają wyraz nieprzebranej goryczy, jakby „te bzdury” kojarzyły

mu się z czymś bardzo bolesnym. Dojmujący skurcz zagnieżdża mi się w klatce piersiowej. Nagle widzę w Piotрку człowieka, kogoś, kto gdzieś tam w środku posiada prawdziwe uczucia. Ale niekoniecznie wystawia je na sprzedaż w jaskrawo pokolorowanych folderach reklamowych pełnych wykrzykników i egzaltowanych not.

Ale może to tylko moja nadinterpretacja. Myślenie życzeniowe, do jakiego kobiety bywają aż zanadto skłonne.

Wzruszam ramionami.

– No więc, czego chcesz? – mówię już nieco ciszej.

Patrzy na mnie w skupieniu. A potem podnosi się, pełźnie ku mnie na czworakach i obejmuje mnie ramieniem. I mówi coś bardzo dziwnego.

– Chcę, żebyś mi dała trochę czasu. – Opiera czoło o moją głowę. – Żebyś pozwoliła mi powalczyć razem z wami... Z czasem mnie pokochasz, może. Nie chcę tracić tej nadziei.

Mrugam oczami, do których nagle napływają jeziora łez.

– Jeżeli zaczniesz zabijać jednorożce, możesz zapomnieć o tym, że kiedykolwiek kogoś pokochasz – cedzę powoli. – Jeśli więc do nas dołączysz, przestanie ci na mnie zależeć, zobaczysz. Ale twój wybór, proszę.

Opanowuje mnie dojmujący żal. Nie będzie mnie już kochał... W sumie, szkoda. To nawet nie było takie złe.

– Przecież nie muszę do nich strzelać osobiście – kręci głową w odpowiedzi. – Wystarczy, że was wspomogę organizacyjnie. Bo straszną amatorkę odwalacie, aż strach się bać.

Milczy przez chwilę, a potem dodaje:

– I nie chciałbym cię stracić... Naprawdę.

Zamykam oczy, przelewa się przeze mnie fala ciepła. Jakby dotknęło mnie coś pięknego, coś prawdziwie czystego i dobrego... Jak jednorożec.

Przeszywa mnie nagły dreszcz. Otwieram oczy, patrząc na Piotrka przez łzy.

Jednorożec? Nie ufam tym skurwysyńskim konikom nic a nic.

Za często okazują się trojańskie.

10.

Pociągam nosem, przetykam ślurgoczący płyn. Odsuwam się nieco, pochylając się nad torebką.

– Przepraszam, potrzebuję chusteczki – chlapię cicho.

– Jasne, ja chyba też – potakuje on, sięgając do piterka na dokumenty, przymocowanego

do paska. – Usmarowałem się jak nieboskie stworzenie.

Uśmiecham się, grzebiąc w torebce, aż dokopuję się wreszcie na samo dno. Jest. Beretta 85FS Cheetah, z nielegalnie podłączonym magazynkiem. Broni sportowej nie wolno przewozić w ten sposób... Ale co z tego. Ważne, że ją mam pod ręką w razie potrzeby.

A potrzeba właśnie nadeszła. Gardło zaciska mi się determinacją. Muszę zabić kolejnego jednorożca, teraz, już.

Zaciskam palce na klamce, wydaję ją z torebki niezdarnym ruchem... A wtedy ręka Piotrka łąduje na mojej, przygniatając ją brutalnie do ziemi. Podnoszę zaskoczona wzrok.

Prosto w twarz patrzy mi lufa pistoletu. Charakterystyczne kanciaste kształty. Glock.

Piotr mierzy we mnie, lewą ręką przytrzymując moją dłoń, prawą zaś niemalże przykładając mi swój pistolet do twarzy. Tygrys w jego oczach wychodzi z ukrycia, obrzucając mnie drapieżnym spojrzeniem.

A więc znowu miałam rację. To było zbyt piękne, żeby mogło być prawdziwe. Tylko że się z tą racją spóźniłam, niestety.

Rozluźniam mięśnie trzymające berettę, rezygnując z daremnego oporu. Niech się dzieje, co chce.

– Grzeczna dziewczynka – mówi Piotr. – Puść.

Rozwieram palce, a wtedy on odbiera mi broń i rzuca ją gdzieś w bok, na trawę. Ogarnia mnie dziwne odrętwienie, jest mi już właściwie wszystko jedno. Nagle zaczynam się śmiać, zanosząc się urywanym, nieco histerycznym chichotem.

– Nigdy mnie nie kochałeś, co? – przywołuję jego słowa sprzed paru chwil. – Chciałeś tylko, żebym cię doprowadziła do moich... Wiedziałeś, co się stanie, prawda?

Uśmiecha się zimno, cynicznie.

– Teraz ty chcesz tekst z Casablanki? – pyta uprzejmie. – W razie czego, służę. Naprawdę chcesz?

Zamykam oczy na chwilę. Który facet nie uwierzy, jak mu powiesz, że się w nim zakochałaś, przypomina mi się moja własna myśl sprzed paru dni. No, tak. Oczywiście, kobiet dotyczy to też.

– Dobrze grałeś – przyznaję, z trudem dźwigając zmęczone powieki. – Uwierzyłam.

– I vice versa. – Piotr kiwa głową w prawie niedostrzegalnym geście uznania. – Ja też.

Milczymy oboje przez chwilę.

Ogrania mnie poczucie ulgi. Oto powraca mój świat bez złudzeń. Trzeźwy i rozsądny, w którym miłość od pierwszego wejrzenia jest zjawiskiem co najmniej podejrzanym, a prawdziwe uczucie buduje się z trudem, latami. W którym nie ma cudownych jednorożców, smukłych dziewczic rozplatających warkocze, wzniosłych, egzaltowanych wyznań... I całej masy tym podobnych bzdur. Jest prosta, konkretna rzeczywistość. Twarda, niewybaczająca błędów i aż do bólu uczciwa w konsekwencjach. Lepiej tak, naprawdę lepiej tak.

Choć może trochę jednak żal.

Wreszcie on opuszcza broń. Nie chowa jej, trzymając wciąż w pogotowiu. Ale nie mierzy już we mnie. Omiata wzrokiem wierzchołki drzew i jaśniejący gdzieś na wschodzie świt.

– Węszymy koło tych jednoroźców, to fakt – rzuca, nie patrząc na mnie. – Sprawa śmierdząca jak diabli i to na tysiące kilometrów dookoła. Takie rzeczy trzeba opracowywać bardzo starannie. Nie można podejmować zbyt pochopnych decyzji. Sprawdzamy więc wszystkich, którzy się koło tego kręcą, bez względu na to, czy to przyjaciele, czy wrogowie.

Spuszczam głowę. No, tak. Oto pojawił się James Bond i zaczyna zabijanie śmiechem.

– Miałem się dostać do was, przeniknąć do organizacji – mówi Piotrek dalej, obserwując mnie uważnie. – Pochodziłem, powęszyłem trochę... Amatorzy, pożałujcie Boże, uznałem od razu. Brakowało tylko, żebyście ogłoszenia o swoich akcjach zamieszczali w internecie. – Wzrusza ramionami z lekką pogardą. – No, ale cóż, praca to praca, wziąłem się za wykonanie zadania. Wytypowałem ciebie jako dosyć łatwy cel. Szczegóły znasz.

Parskam z nagłej złości, jak kotka. On śmieje się krótko, ale bez szyderstwa w głosie.

– Zaskoczyliście mnie dzisiaj, przyznaję – rzuca zaraz potem. – Myślałem, że najpierw będziecie rozpoznawać teren, węszyc, ustalać szczegóły, profesjonalnie opracowywać plany... A wy szast prast i już. Po robocie. Amatorzy, doprawdy.

– Ma to swoje zalety – warczę ze złością. – Nie potrzebujemy stu pięciu podań, pieczętek i pozwoleń, jak wy.

– I chwała wam za to – odpowiada Piotrek natychmiast, po czym wpatruje się we mnie z napięciem. – Dlatego chciałbym się przyłączyć – oznajmia powoli.

Patrzę na niego w osłupieniu.

– Oficjalnie zamelduję, że infiltrowuję niebezpieczną organizację terrorystyczną – wyjaśnia bardzo poważnym tonem. – W praktyce zaś będę mógł zrobić, co uznam za słuszne, bez oglądania się na sto pięć podań, pieczętek i życiorys. Bo wiesz... Tych jednoroźców na pewno jest więcej. Trzeba działać i to szybko. Ale zanim u siebie przekonam kogo trzeba, upłynie z tysiąc lat. Wolę więc dołączyć do was. W ten sposób obie strony, ja i wy, będziemy mieli więcej szans.

Przelykam ślinę. Narasta we mnie wściekłość na drania, że mnie tak wykiwał. Czuję się upokorzona i zawiedziona, choć przecież i ja nie byłam zbyt kryształowa w tej grze. Ale z drugiej strony rozumiem, że przyda nam się wreszcie ktoś, kto zna się na rzeczy. Aczkolwiek przyjęcie go może być potwornie niebezpieczne, niczym wpuszczenie wilka do owczarni. To zawodowiec, a my jesteśmy amatorzy przecież. Kompletnie bezradni, jakby co.

Nie wiem, co robić. Po prostu nie wiem. Nie wiem już nic.

– Zobaczymy, co Szef na to powie – bąkam wreszcie. – Może cię nie chceć w zespole. Tym bardziej że musimy trzymać w tajemnicy twoją prawdziwą tożsamość. Nie każdemu by się to spodobało, taki podwójny agent wśród nas...

– Szef nie musi wiedzieć o wszystkim – podsuwa Piotrek, patrząc na mnie poważnie. – A z drugiej strony, z pewnością przyda wam się trochę fachowej porady.

Przymruża oczy, jakby z lekkim szyderstwem: no jak, koleżanko, stracisz taką okazję przez błahe uchybienia w protokole dyplomatycznym? Co?

Przełykam ślinę. A niech go szlag.

– Zobaczymy, co SzeF powie – upieram się. – Nie widzę inaczej.

W głębi duszy jestem pewna, że SzeF powie: tak. I ucieszy się jak diabli, że będzie mógł pracować z prawdziwym zawodowcem, bez względu na związane z tym ryzyko. To przecież maniak, całkowicie oddany sprawie. Strzelałby do krasnoludków, gdyby je uznał za niebezpieczne, za przyczynę ludzkich krzywd. Z pewnością powie: tak.

Piotr kiwa głową powoli. Chowa glocka z powrotem do torebki przy pasie, zapina ją, a ta znów wygląda jak zwykły, niewinny piterek na dokumenty. Oczy rozszerzają mi się zdziwieniem. Bardzo zmyślna konstrukcja, nie ma co.

– Chodź, wracamy do domu – wzdycha on. – Przecież nie pójdziemy do tego twojego SzeFa od razu.

Patrzę na niego pytająco. Niby czemu nie? Trzeba obgadać wszystko, jak było. Naradzić się.

– Najgłupsza rzecz, jaką można zrobić zaraz po akcji, to spotkać się pełnym składem – wyjaśnia spokojnie. – Jeżeli ktokolwiek ma ogon, wpadacie wszyscy. Cała siatka jest spalona. To chyba jasne, co?

Przełykam ślinę. Aha. No, cóż. Chyba ma rację. Kurczę, jeśli to prawda, trzeba tam zadzwonić. Albo przynajmniej wysłać SMS-a. Uprzedzić, ostrzec. Że to nie tak.

Wstaję i otrzepuję się z piasku, popatrując na niego spode łba.

– No, dobrze – mówię nagle. – To dlaczego my mamy iść razem? Co?

Podchodzi do mnie, opasuje ramieniem.

– Żebyś mi nie zniszczyła legendy, maleńka – stwierdza z cieniem uśmiechu w głosie. – Przecież to poprzez ciebie infiltruję organizację. Moi puszczają za mną ogon, od czasu do czasu. Muszą wiedzieć, że się sprawdzam w boju i nie lżę w raportach.

Zaciskam gniewnie wargi. Ta jego pewność siebie zaczyna mnie już wkurzać. No proszę, będzie mnie tu pouczał. To przecież ja tu jestem ta zła kobieta! Taka bardzo, bardzo zła. A tu nagle przyszedł ktoś naprawdę zły, a mnie jest z tym strasznie niewyraźnie. Bo okazuje się, że po prostu głupia, zagubiona cipa jestem. Do prawdziwej złej kobiety dużo mi brakuje.

Wzdycham ciężko. Spuszczam głowę, obserwując Piotrka spod przymkniętych powiek. Mimo wszystko, nie potrafię się na niego wkurzyć tak porządnie. Paradoksalnie, przy tym złym mężczyźnie czuję się dużo bezpieczniej. Przynajmniej wiem, że jest prawdziwy i że mogę się po nim spodziewać wszystkiego najgorszego. Bez żadnych wzniosłych bzdur. Przy nim nikt mnie nie zwabi w pułapkę jednorożca. To fakt.

A zatem dobrze. Może poradzę sobie jakoś z tą jego nonszalancją. Niech będzie i tak.

– Poza tym... – mówi Piotr, poważniejąc. – Jesteś naprawdę niezła w łóżku, wiesz? – Patrzy mi w oczy z nieodgadnionym wyrazem twarzy. – Jeżeli nie miałabyś nic przeciwko

temu, z chęcią kontynuowałbym ten aspekt naszej znajomości.

Nie jestem w stanie powstrzymać uśmiechu, odwracam więc głowę, żeby go nie zauważył. Nagle zdaję sobie sprawę, że jego ręka na moich ramionach nie przeszkadza mi wcale. Nic a nic.

– No, właściwie, czemu nie – stwierdzam powoli. – Ty też nie jesteś taki najgorszy... – Odwracam twarz z powrotem, spoglądając mu wreszcie w oczy. – Tylko błagam cię, żadnych bzdur.

– Absolutnie wykluczone – odpowiada natychmiast z przekonaniem, odwzajemniając mi spojrzenie. – Na pohybel jednorożcom.

– Na pohybel – potwierdzam, czując, jak gdzieś tam w środku kiełkuje we mnie nieśmiała iskierka nadziei.

Sięgam znowu do torebki, wydaję komórkę. Pospiesznie wstukuję SMS-a do Szefa. Niech się nie spotykają, głupki, bo inaczej za chwilę wszystko trafi szlag. Szczegóły później. Naciskam: wyślij i oddycham z ulgą. Chyba zdążyłam. Mam nadzieję, że tak.

A potem Piotr i ja odwracamy się i idziemy w las.

Razem, ręka w rękę, krok w krok. Zaczyna się prawdziwe polowanie na jednorożce.

Teraz. Już.

EuGeniusz Dębski

Urodzony w roku 1951 w Truskawcu, wrocławianin, filolog rusycysta, absolwent Uniwersytetu Wrocławskiego. Autor powieści z gatunku SF i fantasy, thriller SF, melanży powieści sensacyjnych i fantastycznych. Opublikował kilkadziesiąt opowiadań na łamach „Fantastyki”, „Nowej Fantastyki”, „Feniksa”, „Portalu” i „Science Fiction”. Tłumaczony na rosyjski i czeski, niemiecki i węgierski. Laureat nagrody Śląskiego Klubu Fantastyki „Śląkfa”, czterokrotnie nominowany do Nagrody im. Janusza A. Zajdla. Jedyny na świecie pisarz posiadający nagrody specjalnie dlań ustanowione: Nagrodę Mątwy i Srebrnej Muszli. Najbardziej znany z cyklu powieści, których bohaterem jest detektyw Owen Yeates i opowiadań fantasy o Hondelyku, wojowniku-xameleonie. Tłumaczy rosyjską fantastykę autorstwa Bułyczowa, Pierumowa, Wasiliewa, Rybakowa, Jeskowa i innych.

W Fabryce Słów wydał dziesięć powieści i trzy zbiory opowiadań. Jego utwory znalazły się również w kilku antologiach.

**EuGeniusz
Dębski**

Trupi tan

– Jakie krzywdy? – wrzeszczy siostra. – Przecież oddał ci kawałek życia? Nie pamiętasz: domki na drzewach, wakacje, samochód jeden i drugi, kaucja za pobicie kobiety...

– Ale mógł to inaczej rozegrać?!! – wrzeszczy tępawy synalek.

Kilka scenek z życia trupoli: ojciec mojego kolegi pracuje jako fordanser, pewnie sobie to chwali nawet. Niebezpieczne zawody, niechciane – śmieciarze, kanalizacja, akwizytorzy...

Finał: syn poklepuje ojca po twarzy. – Tatuś, jedziesz do Elektrowni Atomowej, tobie promieniowanie nie szkodzi, a mnie się kasa należy, za te dziesięć lat, kiedy nie żyłem w domu, nie?

Trupol: Synuś, nie sprzedawaj mnie...

1. Syn rozplakał się.
2. Syn rozplakał się, ale widząc zbliżających się kolegów, spoliczkował trupola i poszedł na piwo.
3. Roześmiał się. – Mogłeś nie oddawać się w moje ręce, teraz nie pierdol i do roboty...
4. Obudził się zapłakany. Ale zaraz po chwili przyszli koledzy i zdecydował się sprzedać...

Sandaczom

Agnes spoliczkowała brata na pogrzebie.

Potem, znacznie później próbowała ponownie, ale już był czujny, nie dał się zaskoczyć, nie dał się uderzyć.

Uważała, że tylko tak może mu poustawiać klepki we łbie.

Uważał, że kompletnie nie zasługuje na takie pouczenia, zwłaszcza od siostry, której moce umysłowe nawet zmarły ojciec oceniał, mimo wszystko, nisko.

Symboliczna trumna z pletniowej wytłoczki wjechała do mikrofalowego pieca. Szklane drzwiczki zamknęły się, za taflami okopconego na brzegach szkła błysnęło, trumna efektownie rozbłysła i zniknęła niemal bez śladu. Z niewidocznych, wędrujących nad podwieszanym sufitem głośników popłynęły patetyczne tony moratoretty „Moje królestwo” Fierbacha.

Żałobnicy wychodzili jak przyszedli: parami albo pojedynczo. Podchodzili do rodziny, emitowali kilka standardowych zdań; nie trwało to długo, nie wydarzyło się nic godnego uwagi. Wszyscy przyglądali się z zainteresowaniem Marty’emu, potem pobieżnie rzucali pół zdania do Agnes i przechodzili do matki. Agnes stała, przełykając łzy, mrugała często i tylko dlatego udawało jej się nie rozbeczeć na całe gardło. Martin nie mówił nic, ścisnął podawane dłonie, kiwał głową, zerkał ponad głowami składających kondolencje na stojącą nieopodal znudzoną dziewczynę. Chuda, z liftowanym biustem, fluorescencyjno-białymi włosami sięgającymi nienaturalnie czarnych brwi, usta pociągnięte czarną szminką. I tym samym kolorem podbarwione nozdrza. Pewnie jej się wydawało, że czerń to dobry pomysł na pogrzeb – do kompletu: czarne paznokcie, grube czarne podeszwy i czarne spiralne sznurowadła do różowych wierzchów butów Seniora Jumpa.

Matka z przejściem opowiadała, jak Koncertmistrz, jej ulubiony kocur, przyszedł pożegnać się z Gilbertem:

– No, naprawdę! Wiele już w życiu widziałam, ale on tak wzruszająco się zachowywał, wskoczył na łóżko, lekarz wypisywał akt zgonu, a on lizał Gilberta w powiekę, to znaczy – chciał językiem unieść powiekę. Serio! Lamia się kręciła przy nodze noszy, też czuła, że już pana nie zobaczy. Mówię wam, one się tym bardzo przejęły. Po południu nie chciały nawet za bardzo jeść, moje biedactwa. Zadzwoiłam do sklepu i kazałam przywieźć próbki innych karm, i dopiero Black Cat im posmakował. Poważnie, jakby chciały pokazać, że cierpią. No!

„Mamo, umarł twój mąż i nasz ojciec, a ty opisujesz, jak przeżyły to twoje koty?! A co ty przeżyłaś? Dlaczego koty kręciły się koło noszy, a nie ty?” – chciała krzyknąć Agnes.

Ale, oczywiście, krzyk pulsował tylko w jej głowie.

– Kochani, zapraszamy do naszego domu na skromny poczęstunek – zakwokała nagle matka. Zaczęła zagarniać gości, przynajmniej tych, którzy jeszcze nie urwali się z zasięgu jej rąk i głosu. – Henrietta ma prześliczne kociaki. Jeśli ktoś godny będzie chciał sobie wybrać – proszę bardzo. Ale wiecie, jaki mam do naszych braci mniejszych stosunek – nie pozwolę za skarby świata skrzywdzić żadnego. Z tym że was to nie dotyczy...

Agnes odwróciła się do brata. Martin uśmiechał się szeroko w przestrzeń przed sobą... Nie, do chudej dziewczyny pod drzewem; rozejrzał się i przywołał ją ruchem głowy.

– Marty, jeszcze parę godzin możesz wytrzymać – wycedziła do brata.

– Co ty powiesz? – skrzywił się pajacowato. – Muszę? A kto mi, niby, każe? Starego już nie ma, zresztą – już dawno mógł mi nasko...

Agnes strzeliła go w twarz z całej siły, tak szybko, że nie zdążył się ani uchylić, ani nawet przerwać zdania.

– ...czyć!... Czyś ty ochujała, suko?

Dziewczyna Martina skamieniała, oczy, pogłębione czernią brwi, miała szeroko otwarte.

– Gnojek!

Agnes odwróciła się i poszła w kierunku samochodu. Matka przerwała w pół słowa, ruszyła w stronę purpurowego z wściekłości syna, po kilku krokach jakby zapomniała, po co doń idzie, odwróciła się i pognąła za Agnes. Dogoniła ją w połowie drogi na parking.

– Boże, tak się obawiam... – Agnes już dawno wiedziała, że matka jest jedyną na świecie osobą, poza kilkoma heroinami tandetnych romansów, które mówią, niezbyt zresztą prawidłowo „tak się obawiam” – ...że Henrietta pójdzie się bawić i nie nakarmi dzieciaczków. – Drepcząc obok, wyjęła z torebki nabyty specjalnie w tym celu *ComuniCATor* i włączyła podgląd nad legowiskiem kotki. Nie wsiadła do samochodu, mimo otwartych drzwi i poprychującego parą z rury skraplacza silnika, zanim nie przekonała się, że Henrietta spokojnie leży, a piątka kociaków wtulona w jej brzuch spokojnie sapie.

Dojechali do domu gładko, za nimi ciągnął zadziwiająco długi sznur chętnych na darmową wyżerkę. A może na kociaki Henrietty? Osiem samochodów.

Kiedy wszyscy rozsiedli się w salonie, Lancis, prawnik domu, odczekał chwilę, potem ustawił mikrofon mikroportu na wprost ust i powiedział:

– Witam państwa serdecznie. Otwieramy testament, który jest ostatnią i ostateczną wolą zmarłego, noszącego miano Gilbert Samuel Voss Da Stoine. – W jednym głośniku, bliżej drzwi, zafurkotało, korektor pstryknął, rozległ się cichy syk, po którym wszystko wróciło do normy. – Rzec pierwsza i najważniejsza: po śmierci rzeczzonego, ciało zostało zaopatrzone zgodnie z polisą, wyposażone w przetrwalnik, wszystkie raporty medyczne w posiadaniu rodziny, do wglądu każdego zainteresowanego, zgodnie z powszechnie obowiązującą procedurą, prawem federalnym i wolą zmarłego. Rzec druga: ciało zostało przekazane przez rzeczzonego Gilberta Samuela Da Stoine’a do dyspozycji... – zerknął spod archaicznych irtujących okularów, które miały dodawać mu dystynkcji, na rodzinę i obecnych, wytrzymał

efektowną pauzę – ...synowi, Martinowi Davidowi Da Stoine'owi. Bezwarunkowo i niepodważalnie, przy pełni władz prawnych, medycznych, socjalnych i umysłowych.

Zamknął stylizowaną na teczkę e-planszetę, zdjął okulary, po czym wziął z leżącej na stoliku obok tacy akt własności i breloczek z czytnikiem, niezniszczalnym i skonfigurowanym na jednego jedyne trupa na Ziemi – Gilberta Samuela Da Stoine'a i oba przedmioty wręczył zaskoczonemu Martinowi.

– Och, synku! – plasnęła w dłonie matka. – Tak się obawiałam... – Nie dokończyła i nikt nigdy nie dowiedział się, czego mianowicie obawiała się żona zmarłego trupa Gilberta.

W salonie przez chwilę panowała cisza. Wuj Carl, relacjonując przeziębionej i nieobecnej z tego powodu na ceremonii żonie przebieg przekazania trupa, powiedział: „Zapanowała martwa, co się zowie, cisza!” i unióśł palec, żeby nie przegapiła zgrabnego kalamburu.

Martin prychnął dziwnym śmieszkiem, ni to ulgi, ni to zdziwienia, ni to pogardy. Rozejrzał się po obecnych z głupią miną, choć usiłował to ukryć – zakłopotany, zmieszany i podniecony. Uradowany.

Agnes przygryzła wargi. W skrytości ducha liczyła na to, że to ona stanie się dysponentem trupa ojca. Dobra, niech będzie – matka. Ale ten gnojek Martin?! Który zarzucał ojcu wiele grzechów świata, w tym wszystkie swoje, odtrącił wyciągniętą pomocną dłoń, ukąsił ją nawet – bo przecież to on podebrał z konta półtora tysiąca! – i wyniósł się z domu z dumnie uniesioną głową: patrzcie, jak odchodzi Martin Da Stoine! I teraz prycha, jakby chciał powiedzieć: no proszę, sprawiedliwości stało się zadość!

Zdławiła łzy i wyszła z salonu do kuchni, a potem do ogrodu. Wiedziała, że wszyscy na nią patrzą, ale i tak wołała to, niż żeby widzieli jak płacze. Podeszła do małej fontanny, usiadła na krzeselku i pozwoliła łzom, by płynęły po twarzy i po krótkim locie łączyły się z wodą w zbiorniku fontanny.

Martin w salonie zaczął odbierać pierwsze gratulacje. Desdemona Da Stoine z aksamitnym uśmiechem na ustach ucałowała syna, pogłaskała go pieszczotliwie po policzku i odsunęła się, robiąc miejsce innym. Niemal wszyscy poczuli się zobowiązani pogratulować Martinowi spadku. I tylko stryj Doel, ściskając prawicę bratanka, bąknął coś, co można było zrozumieć jak: „Nie skrzywdź go, synu” albo „Nieźle skrzywdził cię, synu”, albo „Nie myśl sobie, skurwysynu!”.

Martin przyjął, że usłyszał drugą wersję. Przy stryju, który podszedł do niego jako przedostatni, już nie powstrzymywał okazywania radości – na twarzy miał szeroki-szeroki uśmiech. Kiedy predefilowali przed nim wszyscy goście, matka nagle rzuciła się za nimi na trawnik przed domem. Usłyszał, jak gdcze o kociakach Henrietty i nie może zapanować nad zdziwieniem, że nikt nie chce wziąć takiego uroczego stworzenia.

– Ona straciła węż – rzucił do Millicy, czarnobrewej ultrabiałowłosej dziewczyny. – Nie czuje, że cały dom prześmierdł szczynami, a oni czują. Dlatego nikt nie wziął i nie weźmie kotka. A to oznacza, że to stado powiększy się o kolejne cztery osobniki.

– Sześć. Jest ich sześć, widziałam i policzyłam – powiedziała Millica.

– Cztery przeżyją. Jedna trzecia ginie – ucieka, topi się, wpada pod samochody... Kiedyś i ja miałem udział w pomniejszaniu pogłowia kotów – zachichotał. Millica poruszyła brwiami, złączyły się jej nad nasadą nosa, tworząc z łuków brwiowych jedną lekko tylko wygiętą kreskę. – Matka się dziwiła... – usłyszeli kroki na werandzie, Martin ściszył głos i szybko dokończył: – ...że tak często wpadają do basenu.

Desdemona weszła do salonu, uśmiechnęła się miło do syna.

– Pójdę się położyć na chwilę. Trochę mnie to, mimo wszystko, zmęczyło.

Agnes, wchodząca przez kuchnię do salonu, zatrzymała się w progu.

– Co masz na myśli, mamo, mówiąc „mimo wszystko”? Bo dla mnie to znaczy: „mam w nosie ten pogrzeb, ale mimo wszystko się zmęczyłam”, tak?

– Kochanie, jak możesz tak myśleć, tak mó-ó-ówić? – jęknęła Desdemona. – Jak możesz tak myśleć w ogóle?

– Właśnie – jak mogę? – powiedziała z goryczą córka. Podeszła do barku i naląła sobie podwójną whisky, usiadła w fotelu. Popatrzyła na brata. – Co zamierzasz zrobić z ojcem?

Wzruszył ramionami.

– Nie wiem jeszcze. Zaskoczył mnie... stary drań... – dodał niezręcznie to „stary drań”. – Naprawdę nie wiem.

– Ale też nie pozwolisz mu spokojnie odejść na spoczynek wieczny, co?

– A niby dlaczego? – warknął rozeźlony. – Dlaczego mam odrzucać ofertę własnego ojca...

– Bo nie jesteś jej godny! – wycodziła przez zaciśnięte zęby.

– ...który widocznie uznał, że jestem, skoro sam tak zarządził!

– I wydusiłbyś z niego ostatnie grosze, gdybyś tylko mógł. Tak jak dusiłeś przez całe życie.

– A co ty tak w ogóle masz przeciwko? Przecież on się nie męczy, nie czuje się nieszczęśliwy, ani w ogóle nic nie czuje... Jego już nie ma, Agnes! Opamiętaj się, to tylko skorupa, tylko zewłok, trup, ciało.

– Do wykorzystania!

– A utylizacja w ziemi to nie jest wykorzystanie? Widziałaś, jakie parki powstają na miejscu starych cmentarzy? Nie wiesz może, dlaczego miasta tak chętnie przenoszą cmentarze z miejsca na miejsce, a „opuszczone” tereny sprzedają za gigantyczną kasę pod uprawy?

– O tak, pochowanie własnego ojca uważasz za zmarnowanie ciała, nie? Cały ty!

– Tak. – Martin nagle się uspokoił. Dotarło do niego, że Agnes może się wściekać, może go atakować, przezywać i wyzywać, ale nic więcej. To on jest prawnym właścicielem trupa ojca. – Ja. Ojciec przegonił mnie... – Zobaczył, że oczy siostry otwierają się szeroko, uświadomił sobie, że jej nie wciśnie kitu, szybko pomachał ręką: – Okej, okej! Nie wyrzucił,

ale z premedytacją doprowadził do tego, że się chętnie wyniosłem z domu. I widocznie wystarczyło mu odwagi i honoru tylko na tyle – na spadek. Nie wystarczyło za życia... za życia... – zająknął się. Cholerna Agnes! Wie wszystko...

– Za życia... ty szkarłupniu! Miał cię może przeproszać? Za to, że pobiłeś kobietę i musiał cię wyciągać z aresztu, zapłacił kaucję, którą zmarnowałeś, uciekając... To nazywasz wyrzuceniem z domu?

– Skoro tak chętnie wracasz do wspomnień, do prehistorii, to może przypomnij sobie i wcześniejsze czasy, co? – Podszedł do barku, obejrzał się przez ramię. – Napijesz się, Miła, czegoś? Dlaczego urywałem się z domu, dlaczego wpadłem w złe towarzystwo? Dlaczego... dlaczego wrobiono mnie w pobicie tej baby?

– Martin, jesteś żaloszny. – Agnes wstała i podeszła do brata z zaciśniętymi piąstkami. – Potrafisz sobie samemu wcisnąć każdy kit na swoją korzyść i potem już żadne fakty nie zmieniają twój zdania. Zawsze umiałeś siebie usprawiedliwić, wytłumaczyć, wybielić... I robiłeś to z takim przekonaniem, że ludziom robiło się głupio, a czasem nawet zaczęli wątpić w swoje władze umysłowe. Ale ja jestem trzeźwą osobą. Jestem starsza od ciebie, wszystko znakomicie pamiętam. Wiem, gdzie są akta policyjne, znam ludzi, którzy znają prawdę... – Uniosła rękę, Martin gwałtownie odskoczył poza zasięg jej ramion, ale Agnes chciała tylko zaakcentować wypowiedź. – Ostrzegam cię – albo zrezygnujesz z wykorzystania zewłoku ojca, albo będę zmuszona wszcząć postępowanie wywłaszczające. I pierdołę wszystko inne – wstyd, hańbę rodziny, skrupowanie, plotki, twoją nienawiść. Będę walczyła rozpaczliwie i ostro, na wszelkie sposoby. Ojcu należy się spokój po śmierci, kropka!

– A co jest takiego złego w tym, że zarobi dla nas trochę pieniędzy?! – wrzasnął Martin. – Czy matce nie przyda się forsa dla tych pierdolonych kotów? A czy ja nie zasługuję na lepsze lokum niż przyczepa ze sraczem chemicznym i suchym prysznicem? Co? Co takiego niedobrego zrobiłem, że...

– Zamknij się, idioto! – powiedziała z pogardą. – Już się nakręcasz, za chwilę będziesz święcie przekonany, że nie ty, a ja złamałam żuchwę tej kurwie, a w najlepszym razie wbijesz sobie w pierdolony mały francowaty mózg, że pobiłeś ją, że zdemolowałeś jej pysk, żeby bronić przed tą furiatką jakąś matkę trójki dzieci!

– Jesteś chora. – Opanował się z trudem, tylko dlatego, że widział szeroko otwarte oczy Millicy. – Z nienawiści.

– Odpowiem ci w twoim stylu: nie, to ty jesteś chory. Z uwielbienia do siebie.

Agnes odwróciła się i wyszła na korytarz prowadzący na krótkie schody, które wiodły do jej i Martina pokoi w nietypowo zlokalizowanej kostce mieszkalnej – przyklejonej do domu w połowie wysokości między parterem i piętrem. Obecnie, od kilku lat, były to dwa jej pokoje, ale licząc się z przyjazdem brata, wyniosła z jego dawnej sypialni wszystkie swoje rzeczy, pozostawiając pomieszczenie w stanie hotelowo-pensjonatowej używalności: kanapa,

telewizor, szafa, neutralny obrazek na ścianie, umyślnie zostawiła też dwie małe kolorowe fotografie rodziców – z czasów, kiedy nie byli rodzicami i nawet się jeszcze nie znali: ojciec leży na nagrobku – naturalnej wielkości kamienna piękność na szezlongu, ojciec podsuwa jej pod nos kwiatek; obok fotografia matki: piękna ruda kobieta w czerni siedzi po turecku na kanapie, trzyma w ręku duży meksykański kafel, na którym całują się dwa kaktusy. Fotografie wcale nie wypłowywały, wyglądają jak wykonane miesiąc temu, a to dzięki prostemu zabiegowi: Agnes co pół roku drukuje je na nowo ze skanu; oryginały, przechowywane przez nią w światłoszczelnej kopercie, wyglądają już fatalnie.

Szła do swojego pokoju, tłumiąc szloch, jednak przekroczywszy próg ze zdziwieniem skonstatowała, że nie chce się jej płakać. Zamiast tego wyjęła telefon i wyszukała numer do kancelarii Lancisa.

– Mówi Agnes Da Stoine. – powiedziała, gdy odebrał. – Chciałabym wiedzieć, jakie należy poczynić kroki, by uniemożliwić mojemu bratu wykorzystanie trupa ojca. – Szybko, nie czekając na, spodziewaną, negatywną odpowiedź kontynuowała: – Chcę wszcząć postępowanie wywłaszczeniowe, czy jak tam się ono nazywa, byle brat nie mógł do czasu rozstrzygnięcia wykorzystać...

– Przepraszam, że przerwę, ale tego właśnie nie może pani osiągnąć – oschłym tonem rzucił prawnik. Najwyraźniej nie lubił Agnes, może nie tyle jej, tylko tego typu klientów. – Procedura wywłaszczeniowa, słusznie ją pani tak nazywa, nie przerywa praw do dyspozycji zewłokiem ojca pani. Dlatego tak mało osób się decyduje na proces redystrybutywny: nawet jeśli zakończy się pozytywnie, w sensie – pomyślnie dla powoda, to i tak ciało już jest sprzedane, a odzyskanie go wiąże się, co jasne, ze zwrotem wyłożonej przez kupującego kwoty, i to przy założeniu, że zechce pozbyć się praw. A wcale nie musi. Ale – dobrze, odzyska pani prawa do trupa ojca, skąd weźmie pani sporą, przecież, sumę? Wiem, założy pani sprawę bratu o zwrot pieniędzy. Nie wygra jej pani, bo w chwili sprzedaży dysponował prawami do zewłoku. A gdyby nawet sąd, w przypiływie szaleństwa, zasądził ów zwrot, to brat po prostu przedłoży zaświadczenie, że już nie ma tych pieniędzy. Wtedy każą mu spłacać panią – po dwadzieścia dolarów miesięcznie, na przykład. To by było przez jakieś czterysta lat. Poczekaj pani tyle?

– Ale... – Agnes zrozumiała, że zwyczajnie nie wie, co powiedzieć, a ten bydlak w pseudookularach z przyjemnością czeka i uśmiecha się z wyższością. – Nie ma precedensów? Nie powie mi pan, że wszyscy się godzą...

– Przepraszam, że przerywam trochę niegrzecznie, wiem. Ale szkoda mi pani i mojego czasu – to jest banalna sprawa, tak młócona, tak wielokrotnie badana, że już nawet została zdjęta z programu studiów prawniczych, jako procedura skończona i nieodwołalna. Od początku wprowadzenia technologii terminalnego podtrzymania parazyticia było takich procesów dziesiątki tysięcy. A wie pani, ile ich było w ostatnich czterech latach? Nie wie pani. Cztery. Tylko cztery osoby zdecydowały się, mimo ostrzeżeń i wiedzy prawniczej

prowadzących postępowanie ludzi, wnieść o dyskredytację praw do spadku organicznego. Niech pani nie zgaduje, ile z nich wygrało. Bo już pani wie. Żadna. Wszystkie przegrane w pierwszej instancji bez prawa do apelacji. – Odczekał chwilę. – Może pani, oczywiście, wystąpić z takim wnioskiem. Będę brutalny i szczery: powiem nawet, że z przyjemnością to w pani imieniu uczynię – kosztuje mnie to tylko wyjęcie z pamięci wzorca wniosku. Wpiszę tam pani dane, wyślę i nie kiwnąwszy więcej palcem, skasuję całkiem miłą kwotę z pani konta. Nie zrobię nic więcej, nie zmarnuję ani sekundy, bo po co? – Odkasznął. – Proponuję raczej dojść z bratem do ugody, zgody, do pojednania, i tym sposobem wynegocjować udział w...

– Mnie nie chodzi o pieniądze! – wykrzyknęła Agnes.

– Aha. No dobrze. To wynegocjuje pani z bratem okres użytkowania, na przykład. Dwa lata. Cztery? Albo zakres obowiązków, bo być może niektóre uważa pani za... uwłaczające?

– Wszystkie! Panie Lancis. Wszystkie! Co to za przyjemność, wiedzieć, że ojciec, jako trup, sprzedaje benzynę?

– Mój, proszę pani, sprzedaje Biblię.

– I to pana cieszy? Że ciało pańskiego ojca chodzi od domu do domu i proponuje Biblię? Że dzieci mogą go opluć, obsikać, przewrócić, że jakaś zboczona nimfomanka może się nim masturbować, że...

– Och, przesadza pani. To tylko powłoka mojego ojca. Jego tam nie ma.

– Tak, według tego, co jest w sprzedawanej przez niego Biblii – jest na łąkach Abrahama, tak?!

– Tak – powiedział po prostu Lancis. – Panno Da Stoine jeśli zechce pani rozpocząć postę...

Agnes wcisnęła klawisz resetu.

Przegrana, nawet nie rozpoczęta sprawa. Ona przegrała, ojciec przegrał... Ale ojciec? jak on mógł? Dlaczego? Sądził, że ona albo matka skrzywdzą go? Nie, to niemożliwe. Oczywiście, nie utrzymałyby go, zresztą, prawo zabrania zatrzymywania zewłoków w rodzinach, nawet nie dałoby się go kupić i zatrudnić we własnej firmie. Prawo bardzo precyzyjnie określiło kwestie powiązań z kupcami i rygorystycznie tego przestrzegano. Owszem, krążyły słuchy, że taki to a taki przez podstawioną firmę kupił własną żonę i potem ją „miał” dla siebie. Oczywiście, nie chodziło o wykorzystywanie seksualne, ale zakochany zrozpaczony mąż mógł, podobno, widywać żonę, jak sprząta biuro, czy serwuje posiłki w barze. Ale te opowieści należały raczej do *urban legend*, zawsze bowiem „mój znajomy słyszał, od kuzyna, a ten od szwagra, czyli brata jego żony, która była w świetnych stosunkach, w tym seksualnych, z kolegą brata szefa firmy...”.

Pokręciła się po pokoju, podeszła do okna, wyjrzała na trawnik skoszony tydzień temu przez ojca. Łzy napłynęły do oczu, dławiąca kula w gardle spuchła nagle i niemal zatamowała oddech.

* * *

– Mamo, nie chciałabyś porozmawiać z Martinem?

Matka dokończyła metodyczne odważanie karmy dla Miłej, zerknęła na córkę z ukosa, nie odwracając głowy od wagi, poruszyły się tylko oczy. A potem usta:

– A po co, kochanie?

– Żeby nie wykorzystywał ojca, żeby go nie sprzedawał.

Matka dmuchnęła najpierw na tackę, z zadowoleniem przyjrzała się tańcowi cyferek na wyświetlaczu. Waga BYŁA dokładna i precyzyjna – reagowała nawet na napór wydychanego powietrza. Odłożyła odważoną porcję, odwróciła się do córki.

– Ależ skarbie, przecież tata nic nie czuje!

– Mamo, nie możesz go traktować jak bryły chodzącego mięsa! Był twoim mężem przez dwadzieścia kilka lat!

– No to co? Umarł. Ja WIEM, że umarł, a to, że nie gnije w ziemi, czy że nie spalił się na skwarek, a potem jeszcze bardziej, na pył, tylko porusza się, chodzi, pochyla, podaje, kuca... Co to ma za znaczenie? Przecież gdyby ta... taka powłoka była najważniejsza, to nie wychodziłoby się za mężczyzn, zawsze obarczonych jakąś skazą, tylko za manekiny o urodzie Adonisa, prawda? Pomijam już fakt, że ta powłoka ojca była przecież trochę zużyta, trochę podstarzała, trochę niemrawa w wielu sprawach... – Westchnęła. – Ale najważniejsze jest co innego, co rozumiemy wszyscy, poza tobą, skarbie: umarł duch, to, co było człowiekiem. Umarł umysł, żądze, pomysły, dowcip, mentalność, intelekt... Co ci jeszcze wymienić? Został kapeć, powłoka, zewłok, trup, truchło...

– Jak możesz tak mówić? Całowałaś tę powłokę, ona... – Agnes pokręciła głową, nie była w siłach dokończyć:...bywała w tobie...

– Nie, kochanie. Jako powłoka ojciec wcale i niemal nigdy mi się nie podobał. Ja lubiłam ciepłych przytulnych blondynów, a nie brunetów i dryblasów. Koleżanki mi go zazdrościły, to było miłe, ale poza tym – nie imponował mi, wyglądem, mam na myśli. Podobał mi się jego mental, jak się odezwał! Jak coś palnął, jak przyciął komuś?! O! – Odwróciła się i policzyła miseczki. Na tarasie kotłował się tuzin „ogonów”. – Gdyby był bokserem, to może bym zapamiętała jego ciało jako tę część, która była ważna, ale Gil nigdy i nikogo nie uderzył. Walił słowem, tak. – Podniosła głowę. – Kochanie, jeśli chcesz wiedzieć, ja też chcę być, o ile to tylko możliwe, zachowana...

– Czy... – Agnes poczuła się jakby z nieba zwała się na nią ubita na sztywną pianę chmura, zimna, mokra i parząca. – Mamo, chcesz powiedzieć, że... zapisałaś swoje ciało Martinowi? Też? Mamo?!

– Angie... – Matka na krótką chwilę przymknęła oczy i westchnęła jednocześnie, potem otworzyła je i popatrzyła na córkę. – Widzisz, nie wątpię, że mnie kochasz... Na swój

jednakże sposób. Ty byś mnie pogrzebała albo spaliła.

– A co w tym złego?! Wolałabyś smażyć cały dzień kotleciki i pulpeciki?

– Po pierwsze, trupy nie są z reguły dopuszczane do takich serwisów. Po drugie – tak, wolałabym! – Desdemona zadarła do góry brodę. – Wolałabym, jak miliony tych, którzy mogą się poddać parawitalizacji. Wiesz, dlaczego? Wiesz, córeczko?

– Mamo, przestań! Udowodniono miliony razy, przy każdym trupie, jego zejściu ostatecznym, udowadnia się niezbiecie, że przywrócenie do realu jest niemożliwe! Gdyby było, czy myślisz, że ci wszyscy milionerzy, multimilionerzy, miliarderzy, nie oddaliby wszystkiego, co do centa, żeby tylko odwrócić nieuchronne?

– A ja... po prostu... wierzę... – powiedziała cicho matka. – Tak jak przez ponad dwa tysiące lat ludzie wierzyli w Chrystusa, nie mając ku temu najmniejszych naukowych, co tam naukowych, racjonalnych powodów! W każdym razie, mogę uwierzyć w odtworzenie trupa, a nie mogę, niestety, w ulepienie z popiołów od nowa, czy w oklejenie kości tkanką. Ty proponujesz nam radykalne odejście z tego świata, a ja tak nie chcę!

– I jeszcze powiedz, że tata...

– Nie, ojciec z innego powodu. On w to nie wierzył – pokręciła głową matka i odwróciła spojrzenie na stojące w szeregu różnokolorowe i różnokształtne miseczki z wyborem karm. Bogatszym niż w niejednym małym sklepiku. – Kochanie, nie chcę ich dręczyć, ale... – rzuciła spojrzenie na taras. Pupile Desdemony kłębiły się przed szklanymi drzwiami. – To ich pora...

„Wychodź, bo wpuszczam kotki, a one ciebie nie lubią i będą jadły nerwowo” – znaczyły ostatnie słowa Desdemony.

Agnes wyszła z pokoju matki. Rozmowa z nią nie mogła i nie wniosła nic nowego do sytuacji. Wyglądało, że tylko i wyłącznie Martin może odmienić los niezującego ojca.

Ale do rozmowy z bratem Agnes jeszcze nie dojrzała.

* * *

– Ty, co się dzieje? Czemu siostrula tak się na ciebie wciąła? – zapytała Millica, ugniatając w palcach kulkę gumy.

Zrobiła z niej zgrabny sześcianik, który przyczepiła od spodu stołu obok dwóch innych.

– Zawsze się cięliśmy – niechętnie przyznał Martin. – Nic, że bliźniaczka, ale starsza o kwadrans... Mówiłem o tym tak... – rozciągnął usta w uśmiechu-grymasie i wyrzucił przesadnie artykułując: – Stąd Straszna Starsza Siostra! – Potrząsnął głową. – Mądrzejsza zawsze, wzorcowa, przykładowa uczennica, modelowa studentka...

– To czemu jeszcze panna? – zapytała Millica obojętnie, obracając w palcach inny sześcianik gumy, zapakowany. Ostatni, wahała się więc, czy już go rozpakować. Pytanie rzuciła niemal bez udziału woli i umysłu.

– Właśnie! – warknął Martin. – Taka mądra, taka racjonalna i sensytywna jednocześnie, taka dojrzała... Aż przejrzała! – prychnął. Podszedł do sekretery, na której, od kiedy pamiętał, stały w ramach fotografie – dowody ich z Agnes rozwoju, potwierdzenia starzenia się rodziców, dumne stwierdzenia miłych i wartościowych znajomości: raczkujące bobasy, błękit i róż, uśmiechnięty ojciec z powiększającymi się zatokami, pierwsze cztery kotki matki, wuj Hender, dyrektor filii Foss Motor, bogata ciotka Morgan, matura, nabzdyczony Martin, Agnes mrużąca oczy w grymasie ni to pogardy, ni to odrazy... Nie wiadomo, oczywiście, kogo tak oceniała... – Jej się wydaje, że wie wszystko najlepiej, w tym – jak należy kochać rodziców.

– A ty?

– Co ja?

Millica podważyła czarnym pazurkiem opakowanie gumy, ale jeszcze nie była pewna, czy to już czas na nową porcję, po następną trzeba by już iść na stację benzynową.

– Czy ty wiesz, jak kochać starych?

– Nie pierdziel, dobrze?! – syknął.

Odwrócił się, gotów skłąć ją, gdyby zauważył cień kpiny w jej oczach, ale dziewczyna nie kpiła. Zapytała, żeby tylko coś powiedzieć, nie interesowała ją odpowiedź; zajęta była rozważaniem problemu gumy: otworzyć – nie otworzyć.

– Mój dziadek był fordanserem po śmierci – powiedziała nagle z westchnieniem, chowając gumę do kieszonki na piersi. Kosteczka wypaczyła tkaninę, udając, że to lewy sutek sterczy agresywnie. – Kręcił się po salach tanecznych dla staruchów prawie trzy lata. Nazywali to trupi tan. – Podniosła spojrzenie na chłopaka. Jasne szare oczy patrzyły beznamyślnie, obojętnie. – Pewnego razu przechodziłam tamtędy... No dobra, poszłam popatrzeć... – Sięgnęła do karku i energicznie kilka razy przetrzepała włosy. – Ktoś go oblał jakimś sosem, czy obrzygał, nie wiem, a on niezrażony podchodził do siedzących pod ścianami bab i zapraszał je do tańca. Te baby uciekały, oczywiście, przed nim. Dopiero po chwili przyszedł ktoś ze sterami i wyprowadził trupa. Chujowo było... Ale raz się o niego pobili dwie podchmielone babcie, wzywali policję, ojciec pojechał tam do tej *dancerni*... – Prychnęła przez nos. – Jaja jak słupy...

– A po co ojciec? Przecież nie byliście właścicielami trupa? – zainteresował się Martin.

– No pewnie, że nie! Ale dziadek miał w kieszeni kartkę z adresem i telefonem ojca. Do dziś... – szarpnęła w górę ramionami – ...nie wiadomo, kto ją tam podłożył. Matka mówiła, że to pismo teścia, znaczy – dziadka. Ale wiadomo z definicji, że trupy nie mogą nic robić same... Właściciele też to wykluczyli. Przyjechali na wezwanie policji, podobno wykonali ekspertyzę grafologiczną, która nie wykazała cech właściwych charakterowi pisma dziadka.

– Zgrabnie posuwasz tym policyjnym tekstem – pochwalił ją Martin. – Spadamy, co? Mogę iść do banku i wziąć trochę karmy, zaliczkę na poczet trupa. To co?

Millica skinęła głową, wyszarpnęła kostkę gumy, i z ulgą i przyjemnością wpakowała ją do ust.

Ruszyli do wyjścia jednocześnie.

Trzasnęły drzwi. Przyklejony jako ostatni sześcianik gumy opadł z cichym puknięciem na podłogę.

* * *

– Dziewczyno – powiedział staruch i włożywszy niemal cały palec wskazujący do ust, gmerał w nich chwilę.

„Matko, chyba sobie wyjmie migdałek!” – pomyślała Agnes i z trudem powstrzymała się, by nie odsunąć się od menela.

Ten jednak tylko grzebał brudnym palcem w gębie, splunął, elegancko odwracając głowę.

– Dziewczyno – powtórzył. – Nie wiesz, czego chcesz. Nie wiesz, w co chcesz się wpakować. Bo wiesz...

– No, to wiem, Malmut, czy nie wiem? Zdecyduj się – przerwała mu.

– To jest intratny biznes, utrzymanie trupa to 0,36 dolara dziennie. Skąd wziąć bardziej potulnych i tanich robotników? Nawet Tajowie i chińscy uciekinierzy nie pracują za takie grosze! Ten biznes się trzyma mocno i ma zasoby, żeby ten stan utrzymać. A ty chcesz mu wypowiedzieć wojnę...

Jeszcze trzy lata temu ten staruch był – owszem – niezbyt lotnym i niezbyt perspektywicznym, wiecznie młodym młodszym asystentem na wydziale macierzystym Agnes. Potem przeżył załamanie nerwowe, gdy ukochana żona gracko pozbawiła go praw rodzicielskich i niemal jednocześnie wymiotła konto, po czym wyniosła się z młodszym o siedemnaście lat kochasiem. Który ją zamordował z zimną krwią trzeciego dnia pobytu w Meksyku. Malmut się nie spił – stoczył się radykalnie i nieodwołalnie: sprzedał co mógł i poszedł w narkoty. Dwie kuracje, jakby wyszedł z tego, ale do banalnego życia już nie wrócił. Wynegocjował, bo nie wywalczył przecież, inteligencik jajogłowy, rewir na południowy wschód od centrum i tu rządził dobrotliwie.

– Malmut. Muszę dotrzeć do ludzi, którzy mogą mi pomóc. Powiedziałam ci: wykradzenie ciała ze sterami. Albo zniszczenie ciała nieodwołalne. Jeśli wykradzenie to z przetruceniem mnie i trupa do Kanady albo na Kubę. W najgorszym razie do zseparatyzowanej Alaski...

– Na Alaskę – poprawił ją Malmut. – Mówi się „na Alaskę”.

Agnes zacisnęła wargi, dźgnęła go parasolem w dołek, czubek parasola ześliznął się, w sumie omal nie nadziała na koniec parasola moszny włóczęgi. Syknęła.

– Przepraszam, nie tam mierzyłam!

– Pierdole, Agnes! – jęknął menel, trzymając się za podbrzusze. Teatralnie, nie dźgnęła go wcale tak mocno. – Jak ty tak wszystko załatwiasz, nieudolnie i nieefektywnie, to ja pier...

– Zamknij się, Malmut. Nie rznij mi tu brylantu scen brytyjskich, tylko powiedz, kiedy

mam przyjść po adres!

– Na Święto Dziękczynienia! – warknął. Zmarszczyła brwi, to było jeszcze prawie dwa tygodnie. – Następnie! – rozrechotał się Malmut. – Już! Spokojnie, Bombko! – Odsunął się pod mur, jak najdalej od Agnes i podrapał pod pachą. Dość nieudolnie grał rolę parcha i kloszarda, tak grałby go klasycznie wykształcony ludzki aktor, nie awatar, ludzki aktor, który nie widział prawdziwych goliardów, włóczykiów, narkomanów, a tych, których widział, nazywał z dworska „drapichrustami”. – Przyjdź jutro po czwartej.

– Dzisiaj! – syknęła Agnes.

– Dzisiaj to mi możesz... wiesz co! – rzucił obojętnie. – Wysączyć. Z polotem!

– Dobra. – Agnes udała, że nie słyszała ostatnich słów Malmuta-menela. – Będę tu jutro o czwartej, niech cię tu nie będzie, to idę na policję i pokazuję zadrapania na piersiach i brzuchu. Usiłowanie gwałtu.

– Dobra. Widzę, że jesteś w formie, Agnes – powiedział nagle Malmut-wykładowca. – Idź się prześpij, dziecko. Wyglądasz jak kandydatka do mojego haremu.

Agnes prychnęła pogardliwie: – Harem u ciebie to od słowa „hara”, co nie?

Odwróciła się i pomaszerowała do pozostawionego przecznicy dalej wozu. We wnętrzu pochyliła się nad monitorem i poddała analizie wygląd. Nie cieszył oka.

„W gruncie rzeczy niewiele się zmieniło – pomyślała samokrytycznie i nieco masochistycznie. – Trochę cieni pod ślepiami tylko ożywia buźkę... Zmarchy na czole? Zawsze były. Wyblakłe spojrzenie? Moje. Szare usta – a skąd bym wzięła inne?”

Westchnęła, włączyła się do ruchu, odczekała aż elektroturbina rozpędzi ją do czterdziestki, po lekkim szarpnięciu hybrydowego silnika wdusiła zdecydowanie gaz i niemalże z piskiem opon włączyła się do ruchu.

Na zjeździe z autostrady uświadomiła sobie, jaka myśl dręczy ją od rana. Zwolniła, zjechała na pas awaryjny i zatrzymała się. Martin odebrał już po drugim sygnale, jakby trzymał komórkę w rękę i czekał na jej telefon.

– Marti?

– Ta...

– Słuchaj... Mam do ciebie prośbę... Proszę... – Przełknęła narastającą w gardle gulę. – Proszę cię, pozwól mi pożegnać się z tatą... Proszę... Nieważne kiedy, jutro, pojutrze, przecież nie idzie... nie wysyłacie...

– Dzisiaj – przerwał jej. – W nocy odchodzi transport.

Chyba się uśmiechał. Złośliwie.

– Jak to... – zabrakło jej słów. – Dlaczego...

– Bo Laskers, firma, z którą podpisuję kontrakt na trupa, ma dziś transport. Adieu! – roześmiał się, potwierdzając najgorsze przypuszczenia Agnes.

– Marti... Przecież... No, dlaczego jesteś taki... nieczuły, nieludzki? – eksplodowała Agnes. Cisnęła słuchawkę na fotel obok, ale od razu chwyciła ją i podniosła do uszu. –

Przecież tata nic złego ci nie zrobił! Nic! Kochał cię...

– Tak? W ciekawy sposób to okazywał!

– Jaki znowu sposób? Czy to nie ty wyniosłeś się z domu? Czy on cię wyrzucił? Przeklął? Przegonił?

– Przestań pierdolić, siostrzyczko. Zatrął mi życie, wymusił na mnie, żebym się wyniósł i ucieszył się, jak to zrobił...

– Durniu! Przecież ciebie nie było wtedy w domu, to JA wiem, JAK się cieszył. – Już wiedziała, że źle prowadzi rozmowę. Jej brat posiadał w doskonałym stopniu umiejętność przekręcania słów, zamiany pytań w pretensje, a pretensji w urazy, i to ciężkiego kalibru. Ale już było za późno, usłyszała to w intonacji:

– Co ty nie powiesz!

– Marti, ojciec nie wyrzucił cię z domu, przypomnij sobie, bądź choć raz obiektywny, choć raz nie wybielaj siebie, tylko spróbuj sprawiedliwie i rzeczowo.

– Pierdol się, Agnes!

Rozłączył się. Agnes patrzyła chwilę tępo na wyświetlacz, na którym równie tępo, ale i wytrwale pulsował, jakby chciał się wbić jej w umysł, napis „połączenie przerwane”. Łzy napływały same, nieproszone, ciężkie – migiem spływały po policzkach i kapały ze słyszalnym tępym uderzeniem w tkaninę spódnicy. Agnes rozejrzała się.

– Ale ze mnie idio-o... – rozszlochała się.

Nie płakała tak od śmierci ojca. Nie płakała tak po śmierci ojca. Chyba nigdy tak nie płakała. Szyby pokryły niespodziewanie półperełki deszczu, ukryły Agnes przed spojrzzeniami przejeżdżających kierowców. Dała więc sobie „przyzwolenie na beczenie”. Łzy lały się obficie, obficie, obficie... Agnes siedziała z głową na podglówku, mrugała i czekała, aż wypływ łez się skończy, płakała biernie, bez zaciskania pięści, bez potrząsania głową. Po prostu ryczała. Po kilku minutach poczuła, że zapas łez się wyczerpał. Posiedziała jeszcze chwilę nieruchomo, potem sięgnęła do torebki i wyjęła rulonik chusteczek. Oderwała kilka, przyłożyła do oczu, zerknęła w dół.

– Jakbym miała choć trochę cycków, to by mi pływały teraz – powiedziała na głos. – A tak mam pierdolony podołek... – Trysnęły jeszcze jakieś zapóźnione łzy. – Kto tak, kurwa, mówi – podołek! Zastrani lingwiści!?! – wrzasnęła i walnęła pięścią w kierownicę.

Na złość sobie, żeby oderwać się od innych myśli. Poskutkowało, zawsze tak robiła – na ciężkie myśli, na frustrę – kopniak we własny tyłek. Kopniak, potem racjonalizm. Myślenie.

– Myśl, Angie – powiedziała na głos.

Tak walczyła z chandrą, stresem, splinem. Mówiła do siebie. Albo inaczej – włączała radio, czekała albo szukała znanej piosenki i wyłączała radio. Śpiewała, zastępując Bee Atix, albo Caulę Rong, albo Wayde’a My Marde’a. Siąknęła i trąciła pilota na kierownicy. Trafiała na Lionela Blue.

*Będę Twoim tym poziomkowym ciastem
na wszystkie Twoje pod-wieczorki i pod-poranki i pod-południa
chcę żebyś upijał się sokiem brzoskwiniowym
oddechy, tętno, myśli niech się splatają w jedno
miejmy wspólną krzywą hemoglobinę i białe ciałka, i czerwone, i ciałka w ogóle...
jak rodzeństwo syjamskie zrośnijmy się sercami
i napiszmy oświadczenie,
że nie wyrażamy zgody na zabieg rozdzielenia...
nigdy
Bo ja tak chcę...*

– Tak! – przerwała śpiew i wyszukała w kompie namiar na Laskers. – Sz-kurwa! Kawał drogi...

Włączyła wycieraczki i idiotycznie beztrosko, bez sprawdzania, co się dzieje za nią, obok niej i przed nią, włączyła się do ruchu. Półtorej godziny później wyhamowała przed magazynem.

Wystukała numer do Malmuta.

– Posłuchaj – powiedziała, gdy zachrypiał coś do słuchawki. – Akcja musi być wykonana dziś. Teraz. W ciągu godziny. Najwyżej godziny. Bo potem wywożą ich do sortowni pewnie, a może już posortowani są, nie wiem... NIE! NIE OB-CHO-DZI MNIE! Zrób coś raz dla kogoś, kutasie cholerny, egotyku pierdolony! A ja ci nawet za to zapłacę!

– Ale, droga Angie...

– Dobrze, droga! Tyle ile chcesz, tylko wyciągnij ojca stąd zaraz, bo go wywiozą i stracę resztkę mizernych szans! Słyszysz?

– Kurwa, głośniej się drzyj, idiotko! – buchnęło wyraźnie i czysto z głośnika. – Co ty myślisz, że trasery policji mają kiepskie słowniki? Jeszcze jedno hasło, jedno słowo kodowe i wypierdolę ten telefon do beczki z ogniskiem!

– Przepraszam... – powiedziała Agnes. – Wybacz mi, histeryzuję... Ale zrobiło się koszmarnie pilnie...

– Rozumiem, ale i ty zrozum mnie. To są miejsca pilniej od skarbców bankowych strzeżone. Co ty myślisz, że pierwsza jesteś pogrążona w żalu? Wiesz, ile ludzi chciałoby mieć swojego... nieutulonego... – umyślnie, na użytek policyjnych programów sitowych, uniknął słów „trup”, „nieboszczyk”, „trupol”, „zmarły”... Obawiam się, że przegrałaś, koleżanko. – Agnes zaczerpnęła powietrza, ale Malmut jakby widział ją na monitorze: – Nie krzycz, nie gadaj nic, nic nie rób. Posiedź dziesięć minut i pomilcz.

W głośniku słuchawki zapadła martwa cisza. Agnes ostrożnie odłożyła ją na siedzenie obok. Niewiele gorszych w tej chwili rzeczy mogłoby się wydarzyć, gorszych od rozwalenia fonu.

Włożyła między zęby paznokieć lewego kciuka i zaczęła go obrabiać, popluwając co i rusz odkąszonymi skrawkami płytki i skórek. Przerobiła tym sposobem wszystkie palce, obu rąk, ruszyła w drugą rundę. Posykując z bólu gryzła, dochodząc do miejsc wrośnięcia paznokci w tkankę. Malmut odezwał się przy serdecznym palcu prawej ręki.

– Tak!?

– Nic z tego. Naprawdę nie da się. W każdym razie – ja nie mogę nic zrobić. Mogę ci dać hasło, na wejście. Ale co zrobisz w środku, to już twoja sprawa. Bo sądzę, że gówno. Tam już jest tak gęsto od szpicli... Chyba więcej niż... wiesz, obiektów. Nie da się.

– Boże, Malmut... Błagam cię... Zrobię wszystko... NAPRAWDĘ WSZYSTKO!

– Dziecko, mogę wziąć od ciebie to wszystko, ale nic dalej. – Milczał chwilę, Agnes słyszała, jak tłucze się jej serce. – Dobra, powiem ci to: nikła, naprawdę nikła nadzieja, bliższa zeru niż czemukolwiek, ale jest... potem... Przrzekam, że zrobię, co mi się uda. Ale potem.

– Po... tern... – wytchnęła Agnes.

– Tak. I nic na to nie poradzę... Teraz nic, potem też nic, ale nic z malusieńkim plusikiem.

Opuściła rękę, popatrzyła na ekranik.

„1124Gag3”

Wejściówka na teren. Musi spróbować.

– Tylko czego? – zapytała siebie na głos, zanim otworzyła drzwi.

Już na wstępie spotkało ją niepowodzenie – boczne wejście odrzuciło kod, podpowiedziało uprzejmie, żeby spróbowała z wejścia głównego, dla umówionych klientów. Ta brama otworzyła się, ale miły kompowy głos od razu uprzedził ją, że została sfotografowana i spryskana „absolutnie niealergennym i niewyczuwalnym nawet przez psa” identyfikatorem. To miało chłodzić zapaly niektórych „podjaranych” klientów-potentów. Tych żywych, bo ci drudzy przecież się nie buntowali w żaden znany sposób. Bo gdyby tylko zechcieli, to by znaczyło, że myślą, a jeśli myślą... Agnes ruszyła korytarzem za prowadzącą ją plamką światła na suficie, usiłując przypomnieć sobie, ilu to już prawników odgrażało się, że z tamtego świata dadzą cynk. Żaden z nich nie dał.

„Biuro” – w prawo. „Magazyn. Strefa robocza” – w lewo. Agnes, nie zwalnając, skrzyła w lewo. Plamka wędrowała jeszcze chwilę po suficie prawej odnogi, potem zwołniała. Znieruchomiała. Zapulsowała. Błysnęła czerwienią.

Agnes już wystukiwała, drżącym palcem, kod na pierwszych drzwiach. Puściły. Z ulgą ruszyła, słysząc za sobą: „Madam? Madam?! Ma...”. Na szczęście drzwi nie posłuchały jęczącego w korytarzu, zaskoczzonego kompa. „Zdębiały” – pomyślała Agnes. Filologiczna i redaktorska przypadłość – szukanie eleganckich ekwiwalentów pospolitych słów. Maszerowała szybko, płaskie grube podeszwy cichutko popiskiwały, po kilkunastu krokach Agnes nabrała wprawy i szła pozornie tak samo, ale dokładnie stawiając stopy, sprawiła, że popiskiwanie ucichło. Zza rogu wyszedł młody chłopak, obojętnie przemknął po niej

spojrzeniem, jak większość mężczyzn – nieciekawa sylwetka, nieciekawa fryzura, w odpowiedzi na brak zainteresowania – wrogie spojrzenie.

– Magazyn? – rzuciła od niechcenia. – Sortownia?

– W prawo i po lewej drugiej drzwi – odpowiedział lekko tylko zwracając głowę.

Poszła według instrukcji, otworzyła kolejne drzwi – cudem kod ciągle jeszcze działał.

Weszła do pokoju. I skamieniała. Na wprost drzwi stał ojciec. Gładko ogolony, lepiej niż za życia. Włosy na głowie miał też skrócone, ale to tak nie rzucało się w oczy – zawsze nosił krótkie „wojskowe” fryzury, wariacje „języka”. Koszula w paski, obfite rękawy, ciasne mankiety, ciemne spodnie. Jacket. Od frontu niemal zwyczajna kamizelka, na plecach rozdymająca się na dwa płaskie zbiorniki w warstwie variflonowej tkaniny. Zbiorniki wypełnione cudownym magicznym sekretnym płynem paraustrojowym, podtrzymującym aktywność ciała. Niemożliwym do zastosowania w ciele żywym, ale świetnie nadającym się do utrzymywania quasi-życia w trupach. Ojciec stał nieruchomy, ze spojrzeniem utkwionym jakby w jakimś punkcie na ścianie obok drzwi, przez które weszła Agnes i których jeszcze nie zamknęła. Pojawił się w nich obojętny chłopak, tym razem z blachą policjanta na piersi. Lekko trącił Agnes, by weszła głębiej do pokoju, odwróciła się, chcąc zaprotestować i teraz zobaczyła, że po lewej stronie w fotelach siedzą jeszcze trzy osoby: Martin i dwaj mężczyźni. Jeden w służbowym garniturze, z identyfikatorem, na miłą śmierdział firmą Laskers. Drugi był gliniarzem – zaczął niedbale, z klaskaniem otwierać i zamykać swoją odznakę. Cisza trwała dość długo. Policjant popatrzył na Martina. Ten nasycił się zemstą, cmoknął.

– Myślisz ciągle, że jesteś cwana, a ja głupiutki Martinek? – powiedział. – Od razu wiedziałem, że będziesz coś kombinować. No i se pokombinowałaś. Przystępstwo federalne? – zapytał gliniarza.

Ten – niechętnie – skinął głową i ostatni raz klasnąwszy odznaką, schował ją do kieszeni.

– Od siedmiu do szesnastu lat – z gotowością odezwał się młody policjant. – Wnosi pan o ukaranie? – zapytał Martina.

Brat siedział chwilę nieruchomo i patrzył na Agnes, na sekundę przeniósł spojrzenie na trupa, wrócił do siostry.

– Nie. Nie wnoszę. Ale to ostatni raz. Jeśli jeszcze raz spróbujesz coś zrobić trupowi albo z trupem – koniec. Umywam ręce i wędrujesz w więzienne drelichy, siostrzyczko.

Policjant wstał bez słowa, zasalutował niedbale Agnes, ominął ją i wyszedł, drugi, sądząc z odgłosu kroków, wyszedł również. Mydłek od Laskersa założył nogę na nogę, eleganckim gestem podciągnąwszy nogawkę spodni.

– Chcia... – Agnes zachrypiąła, przerwała, odchrząknęła i kłamała dalej: – Chciałam tylko pożegnać się z tatą... Co, do cholery, mogłabym jeszcze zrobić?

– A choćby spróbować go uziemić – odezwał się pracownik Laskersa.

Jego głos brzmiał, jakby wydobywał się z dziurek nosa, niemal nie poruszał ustami.

Agnes pomyślała, że tak mogłyby mówić trupy, gdyby mówiły. Martin niecierpliwie

potrzęsnał głową.

– Dobra, dziękuję, eee... panie... Ganzel...

Elegant wstał, wystudiowanym gestem potrząsał rękami, dokładnie jak prowincjonalny aktorzyzna rewiowy czy żigolo z knajpy obok burdelu.

Wyszedł.

Agnes podeszła do fotela, w którym siedział uprzednio policjant i opadła nań wolno, właściwie przycupnęła tylko na brzeżku.

– Marti...

– Agnes, przestań! – jęknął brat. – Nie zrezygnuję z tej forsy, za żadną cholere. Należy mi się. Ty zostałeś w domu, ty poszłaś na uniwersytet, ty grzejesz teraz dupkę na uczelni, ty czerwonym pisaczkiem kreślisz wypracowania przyszczytanych dziewczuszek... A ja jestem robotem z pracą na powietrzu, ciągle szukam ciepłego stanu, ale takich cwanych, co nie lubią w zimie marznąć pod truckami, jest pełno. Teraz mam szansę otworzyć swój warsztat i nie z truckami, tylko z motorami, i w cieple gmerać w tym, w czym lubię i umiem. Czy nie tego chciał ojciec, kiedy zapisywał mi swojego trupa?

– Może i tego, ale to nieetyczne... To jest jak koprofagia, to nekrofilia z ekonomicznym wyuzdaniem, to jak...

– Agnes, staram się być uprzejmy i nie naskakiwać na ciebie, ale ty potrafisz każdego doprowadzić do furii. Mnie na pewno. Spadam. I nie idź za mną.

Wyjął z kieszeni sternika, wdusił zielony trójkąt. Ojciec lekko poderwał głowę.

Zalewając się łzami, których zasoby przecież nie tak dawno się skończyły, Agnes patrzyła, jak brat wychodzi, a ojciec idzie za nim. Dwa kroki za nim. Nie zwracając uwagi na nią.

Jak miał zwrócić, skoro nie było takiej komendy?

Nie pożegnał się z córką, ona nie pożegnała się z ojcem. Odwróciła się i tłumiąc szloch powlokła się do wyjścia.

Martin doprowadził ojca do kompleksu komórek, w których trupy czekały na sortowanie.

Usiadł na wygodnym krześle, wyciągnął nogi przed siebie, ale zaraz poderwał się i podszedł do małego automatu z napojami. Piwo było tylko dwóch gatunków, niezbyt lubianych, ale lepsze gorsze piwo niż jego brak. Psyknął uwalniany z puszkii gaz.

Ojciec stał nieruchomo, ponownie zapatrzony w przestrzeń przed sobą. Martin pociągnął długi łyk, odsapnął.

„Pupilka – pomyślał. – Czysta, grzeczna, mądra Agnes... Kochana. Kolanka dla niej zawsze... Ja też mogłem, ale właśnie – mogłem, a ona zawsze. Dobra, nigdy mi nie odmówił, ale ja się nie pchałem pod głaszczącą rączkę papy”.

– Nie głaskałeś mnie, tato, po głowie – powiedział, patrząc nie na ojca, ale na jego odbicie w szybie. – Zbudowaliśmy razem domek na drzewie, tak. Ale robiłeś to, bo tak należy, bo tak wszyscy robią, a nie z miłości do syna. Wędkowaliśmy tak samo – bo inni

ojcowie zabierają synów na ryby. Sam, zresztą, nie umiałeś łowić. I sport w liceum, obowiązkowy baseball, obowiązkowe wyjazdy na mecze... To wszystko było, ale ty też czuleś, że to nie było szczere, że było wymuszone, wyrozumowane, fałszywy byleś, tato. Tak... – pociągnął łyk, drugi i skończył puszkę. Natychmiast kupił drugą i trzecią. – Nawet wzięłeś mnie na strip-tease. Inni ojcowie nie brali, moi koledzy mi zazdrościli, ale nie wiedzieli, że traktowałeś mnie jak ropuchę – z lekkim obrzydzeniem. Tak, tak! – Otworzył puszkę i wypił połowę. Poczul, że rozcieńczone piwem dwa wcześniejsze drinki ruszyły do boju z jego organizmem. Było przyjemnie. – Dawałeś mi samochód, a nawet pożyczyłeś na własny. Ty fałszywy zasańcu! – krzyknął nagle i cisnął pustą pierwszą puszką w ojca. Nie trafił. Ojciec nawet nie drgnął, gdy puszka przeleciała mu przed twarzą. – Ale, na szczęście, tkwiło to gdzieś w twojej głowie, że traktowałeś mnie jak zbędny w domu śmieć, jak nieudany zakup – worek ziemi z niewłaściwym pH! Otworzył puszkę i tę też osuszył duszkiem. Rzucił w kierunku kubła i nawet trafił. Emocje nagle opadły. Poczul się zmęczony. Zerknął na zegarek. Ziewnął. Osunął się w fotel i przymknął powieki.

– Głupia przemądrzała cipa... – burknął pod nosem.

Cisza, ciepło i wypity alkohol otuliły go miłym wytłumiającym dźwięki i emocje pokrowcem. Poczul w głowie pustkę, potem jakby ktoś wcisnął przycisk „play” – nagle pojawił się ogród, stolik pod drzewem smoczogłowca, puszka piwa, pierwsza puszka piwa w życiu. Miał dwanaście lat, wygrał ją od Fredwaya. I zamierzał wypić. Pusty dom. Pozornie pusty. Ojciec nagle pojawił się w polu widzenia.

Martin poderwał się.

– Hej, synu? Spokojnie, piwo to nie kryminalna sprawa. – Ojciec musiał zobaczyć go wcześniej, bo usiadł i postawił na stole swoją puszkę. A może przypadkiem wpadł na ten sam pomysł – piwo pod smoczogłowcem? – To kiepski gatunek – powiedział, uśmiechając się i wskazując puszkę Martina brodą. – Ja po takim od razu robię się senny. Nie wiem, czy to wina technologii czy składników – ale mizerne piwo usypia mnie lepiej od lumanery. – Ojciec uderza kilka razy opuszką wskazującego palca w pipster, po czym podważa go. – To popukiwanie, synu, gwarantuje, że piwo nie tryśnie ci na spodnie – mówi. Pociąga łyk. Patrzy na skonfundowanego Martina. – Spróbuj. I tak to kiedyś przecież nastąpi, to czemu nie dziś. Dwaj mężczyźni przy piwie. Możemy pójść oglądać jakiś mecz – mówi ojciec.

– Nie-e, wolę tu. – Martin chwyta puszkę, wywraca ją, szybko ustawia i szarpie za pipster. Ojciec podrywa się do tyłu, ale nogi krzesła zaryły się w ziemi, nie odsunęło się i ojciec wali się na bok ze swoją puszką piwa w rękę. Oblewa się zawartością puszki, ale Martin tego nie widzi dobrze, bo jego piwo trysnęło mu w twarz. Odskakuje od stolika, a ten potracony wywraca się. Po chwili obaj siedzą na trawie i głośno ryczą ze śmiechu. Ojcu został w puszcze łyk, Martinowi niewiele więcej. – Nie mogę!... – jęczy Martin.

– A widzisz, synu, ludzie mówią, że picie piwa to przyjemność! – mówi tata, ocierając twarz.

Wyciąga rękę, chwytając mokrą piwną dłoń syna, podciąga go i pomaga się podnieść, a ten robi to samo i już stoją obok siebie. Ojciec stuka puszką w puszkę Martina, dopijają swoje ostatnie, a tak naprawdę ostatnie i zarazem pierwsze łyki. Śmieją się.

Martin chlipie i budzi się. Czuje, że ma na twarzy głupi uśmiech i łzy w oczach.

Patrzy na swoje puszki, jedna pełna, jedna otwarta ledwo nadpi...

– Nie rób tego, synu!

Martin zrywa się, puszki spadają na podłogę, z otwartej chluscze piwo, fotel wali się na oparcie. Martin w panice odwraca się do ojca.

Ten stoi, jak stał, nieruchomy, niewzruszony, niezwracający uwagi na powstały bałagan. Syn podbiega i staje przed ojcem, musi wspiąć się na palce, żeby natrafić na spojrzenie, bo, jak się okazało, ojciec patrzy nie prosto przed siebie, a przed siebie w górę. Puste spojrzenie. Nieruchome powieki. Raz na pół minuty powolne, leniwe opuszczenie i podniesienie ich. Nic więcej.

– Tato?

Martin odsuwa się, trąca ojca w ramię. Ten posłusznie okręca się i stoi teraz bokiem do Martina.

– Tato!!!

Martin przestawił ojca, by stał, jak przedtem. Złapał za ramiona i potrząsnął. Ojciec trzęsie się, ale tak, jakby był wystrugany z deski – trzęsie się, a raczej kołysze od stóp do głowy, głowa kołysze się z największą amplitudą. Martin przestaje szarpać ojca.

„Kurwa, przyśniło mi się? Telepatia? No, przecież to niemożliwe!”

– Nie-moż-li-we! – powtarza na głos.

– Co jest niemożliwe? – słyszy za sobą.

Szybko ociera łzy, odwraca się.

W drzwiach stoją Bezel i Yorgie. Uśmiechnięci, z zaolejonymi oczkami po paru piwach.

– Z kim gadasz? Z trupem? – pyta Yorgie. – Co to, oczka mamy zażawione?

– Co ty pierdolisz?! – oburzył się Martin. – Piwo mi trysnęło w gały.

– A ty nie wiesz, że trzeba najpierw puknąć w pipster? – pyta Bezel.

– Wiem... Ale...

– Ale! Nie ma ale. Zbieraj się, idziemy.

– Masz koperek? – pyta Yorgie.

Wiecznie bez kasy, wiecznie chętny na darmochę, łasy do bólu...

– Mam.

– Ile?

– Co cię gównem obchodzi? – wtrąca się Bezel. – Na dziś na pewno wystarczy. Prawda, Martie?

– Ta. I na jutro, i jeszcze parę dni. A potem dostanę resztę i przestaję balować.

– No to idziemy.

– No, idziemy.

Martin podszedł do ojca, wyjął z kieszeni sternika, włożył ojcu do kieszeni jacketu.

– Notopa! – rzucił.

Jeszcze zanim doszedł do drzwi twarda gula w gardle rozplynęła się niemal bez śladu.

„Przesłyszałem się. Gówniane piwo! – pomyślał, przewodząc na korytarzu całej trójce. – Już stary mówił, że gówniane piwa... No. Nie mogą trupy się porozumiewać. Nie. Mo. Gą.”

W holu z głośników płynęła piosenka Lionela Blue. Agnes siedziała plecami do przejścia i wydmuchiwała nos.

*Ale jeśli mnie porzucisz, poczujesz smak budyniu octowego
przez wszystkie Twoje pod-wieczorki i pod-poranki i pod-południa
sprawię, że będziesz się upijać szlamem z dna zatoki
zabiorę ci oddech, tętno, myśli – będziesz myślała tylko o jednym
nie chciałaś wspólnej krzywej hemoglobiny i białych z czerwonymi ciałek, i ciałek w ogóle...
rozdarłaś moje serce, oderwałaś od swego krwiobiegu
i napisałaś oświadczenie,
że nie wyrażasz zgody na zabieg przyłączenia...
nigdy
Bo tak chcesz...
Więc teraz jestem trupem, trupem, trupem
A ty się ciesz...*

Rafał Dębski

Rocznik '69, autor kilkudziesięciu opowiadań i dziewięciu powieści, w tym czterech wpisujących się w nurt literatury fantastycznej.

Z wykształcenia i wykonywanego zawodu psycholog, pracuje w gimnazjum, zmagając się ze skutkami lekkomyślnej reformy oświaty. Poza pisaniem jego wielką pasją jest historia, którą traktuje jednak nie jako suchą naukę o wydarzeniach, ale woli dostrzegać w jej krzywym zwierciadle ludzi – ich postawy, emocje, motywacje. W życiu chciałby osiągnąć wiele. Bardzo wiele. Ale przede wszystkim żyć tak, aby nie żałować... No, ogólnie nie żałować niczego. Jest również – o zgrozo – genetycznym leniem. Może właśnie dlatego bardzo dużo pracuje – żeby mieć jak najszybciej z głowy to, co tak czy inaczej musi wykonać. I – jak to często się dzieje w przypadku ludzi naprawdę leniwych – robota bardzo go kocha i zawsze potrafi odnaleźć. Czy raczej należałoby powiedzieć – dopaść.

**Rafał
Dębski**

**Gdy smok
powie
dobranoc**

– Wstawaj, wstawaj!

Łomotanie w okiennicę wyrwało mnie z głębokiego snu. Ciężki koszmar! Przecież ledwie zdążyłem nad ranem zmrużyć oko, tak mnie Kryśka wymęczyła. Zawsze podczas prac polowych wysysała ze mnie wszystkie soki. I siły. Zupełnie jakby robota dodatkowo ją nakręcała. Kobiety są dziwne.

– Wstawaj, Romek, trza do mojej zagrody lecieć!

Podniosłem się z wyrka, przelazłem przez śpiącą babę. Diabli nadali tego Zbycha. Głos ma jak dzwon na kościelnej wieży, mógłby się nająć za megafon na dużym dworcu. Wielkie chłopisko, a jak tylko coś się dzieje, zaraz leci po pomoc. Najczęściej do mnie.

Otworzyłem okno, odśrubowałem drewniane skrzydło okiennicy.

– Romek!!! – wrzasnął mi prosto w twarz. Myślałem, że ogłuchnę. – Wstawaj, do mojej zagrody trza... Wstawaj, mówię!

– Ciszej, durniu! Nie widzisz, że już wstałem? Czego drzesz mordę po nocy?

Popatrzył na mnie błędnym wzrokiem. Miał błękitne oczy małego dziecka i zbójcejką brodę na dziobatej gębie.

– Pódźże ze mną! – Chwycił mnie za klapy kołnierza przy bluzie pizamy, próbując wywlec przez okno. – U mnie na płocie wyjec jakisiś usiadł i siedzi.

Potrząsnąłem głową, odganiając resztki snu.

– Wyjec, powiadasz? – mruknąłem. – No to weź go zagłusz, skoro tak wrzeszczy. Głos masz sposobny bardziej niż ja.

– Nierozumisz, nierozumisz! – powtarzał to gorączkowo, monotennie, próbując wyciągnąć mnie przez okno. – To wyjec, wyjec prawdziwy, ogromny jak góra i na płocie siedzi!

Uwolniłem się z jego uścisku stanowczym ruchem, co sprawiło, że spora część pizamy została w zaciśniętych, wielkich jak bochny kułakach.

– Czekaj, niech się tylko ubiorę.

– Ino chyba! – zawołał. – Nimanacoczekać, nimanacoczekać, kto wie, co on tam zdążył nawyprawiać!

Wkładałem spodnie, podskakując na jednej nodze. Z pośpiechu i nerwów ledwie zdołałem zapiąć rozporek. Miałem wrażenie, że portki pęczą mi się na tyłku i w ogóle ze wszystkich stron.

– Jesteś wreszcie!

Gdy tylko wyszedłem za próg, Zbych ucapił mnie mocarną łapą i pociągnął przez całą

wieś, bredząc bez przerwy o tym wyjcu.

* * *

Faktycznie, siedział na płocie. I rzeczywiście był wielki jak góra. Smok. Cholerny smok, pokryty brunatnozieloną łuską, łypiący z wysoka złotymi, gadzimi oczami.

– To tyn! – wrzasnął Zbych. Smok aż drgnął od tego głosu. – To tyn wyjec!

Przyglądałem się bestii z zimnym kamieniem w sercu. Obok mnie żona Zbycha trzymała w rozedrganych rękach widły. Chłop zostawił ją samą, żeby pilnowała poczwary, a sam poleciał do mnie. Niby – wedle wszelkich zasad zdrowego rozsądku – powinien zrobić na odwrót, ale nieborak nie miał pojęcia, co to jest zdrowy rozsądek.

– Dobrze, żeś jest, rycerzu – powiedziała kobieta łamiącym się głosem.

– Nie jestem ry... – zacząłem zwyczajowo i zwyczajowo nie dali mi skończyć.

– Weź go zabij! – wrzasnął histerycznie Zbych.

Taaa... Weź go zabij, jasne. Tylko, jak i czym? Wioska nigdy nie dochrapała się prawdziwego smokobójcy. Cały powiat go zresztą nie miał. Władze utrzymywały uparcie, że prawdopodobieństwo pojawienia się smoka w tej okolicy jest mniejsze niż zagrożenie przejściem trąby powietrznej.

Trąba przeszła miesiąc temu...

– No, zabij go! – Zbychowa przyłączyła się do męża. – Rusz się! Jak babę ucapić to wiesz, ale teraz stoisz niby słup!

Zbych spojrzał na mnie podejrzliwie, ale nic nie powiedział. Na pewno kiedy indziej odważy się zapytać, czy miałem okoliczność z jego kobietą.

– Moment – wydałem wargi. – Spokojnie. Nie wiadomo, skąd się zjawił i jakie ma zamiary...

– Jak to, jakie? – Głos Zbychowej wzniósł się o kilka tonów. – Jak łony wszystkie, dziewicy zażąda do pożarcia! Albo chociaż cnotliwej niewiasty!

I cofnęła się dwa kroki, zupełnie jakby jej mogło coś w ogóle zagrażać.

– Nie panikujmy. – Próbowałem załagodzić sytuację. – Wpierw trzeba rozpoznać, co i jak. To wielkie bydlę, ale rozumu pewnie nie ma za grosz, jak i one wszystkie. Byle go nie rozdrażnić...

Tymczasem za moimi plecami zaczął gromadzić się tłumek miejscowych. Wrzaski gospodarza dotarły do najdalszych zakątków osady.

– Dlaczego twierdzisz, że to wyjec? – Spojrzałem na Zbycha. Słowo „wyjec” przywiodło mi na myśl widok mały stojącej z uniesionym pyskiem i wydającej z siebie przenikliwe dźwięki. Smok nijak do tego wizerunku nie pasował.

– Jak to czemu? – Chłop wytrzeszczył na mnie oczy. – Som mi powiedział!

– On? – zdumiałem się. – Smoki przecież nie mówią.

– To skąd bym wiedział?

– Może coś ci się ze strachu ubzdurało.

– Nic mi się nie ubzdurało, som mi powiedział, że jest wyjec! – Chłop oskarżycielsko wycelował masywny palec w jaszczura.

– Smoki nie mówią, nie rozumiesz? Nawet jeśli myślą, to nie mówią!

– Ale tyń gada! – upierał się gospodarz.

Popatrzyłem na zjawisko. Siedziało na płocie, a w dodatku wbrew wszelkim prawom fizyki nie ugięła się pod nim nawet jedna sztachetka. Czegoś takiego też jeszcze nie widziałem.

– Jak gada, to niech coś powie, wtedy uwierzę – zauważyłem trzeźwo. – Kim jesteś? – zawołałem w górę.

– Jestem Wyjec z rodu Wyjec! – doleciał z wysokości niski, przyjemny bas.

Zatkało mnie. Faktycznie, gadający smok. Ale takie spotyka się przecież tylko w bajkach. Musiałem jednak coś zrobić a przynajmniej zabrać głos. Tłum czekał, a ja zdawałem sobie sprawę, że jeśli się nie wykażę, mogę pożegnać wygodne życie miejscowego bohatera i obrońcy przed złem.

– To kim w końcu jesteś? – wykrztusiłem. – Smokiem czy wyjecem?

Bestia poruszyła się gwałtownie, rozłożyła rachityczne, błoniaste skrzydła, ale płot nawet nie zatrzeszczał. Coś tu było nie tak.

– Jestem Wyjec – oznajmiła. – Smok Wyjec.

– Kurna – zmiąłem w ustach o wiele cięższe przekleństwo. – Zdecyduj się! W życiu nie słyszałem o takim gatunku. Są pancerne, zielone, grzywiaste, kulomiotne i różne inne, ale wyjców nie ma!

– Ale ja nie jestem wyjec tylko Wyjec!

– Co ty gadasz, czło... smoku? Co ty pieprzysz?!

Widząc, że nic nie rozumiem, westchnął ciężko, po czym zaczął wyjaśniać. No i wyszło szydło z worka. Rzecz była całkiem prosta i gdyby Zbych okazał się bardziej gramotny, zaś mniej tchórzliwy, sam mógłby do tego dojść. Otóż miano smoka nie było określeniem przynależności gatunkowej, ale po prostu nazwiskiem. Gość nazywał się Vyietz i pochodził ze starożytnego plemienia jaszczurów Vyietzów. A konkretnie von Vyietzów.

– Ty z nim nie gadaj, ino bier siekiera i rób swoje! – zawołał głos za mną. Nie musiałem się odwracać, żeby wiedzieć, kto wydalil tak zgrabnie skonstruowane zdanie. Michaś, wioskowy podżegacz. Każde ludzkie zbiorowisko ma kogoś najmądrzejszego w całym autobusie, najdowcipniejszego w całym autobusie i najsilniejszego w całym autobusie. Wszędzie też znajdzie się wioskowy intrygant i wioskowy głupek. I właśnie z takich egzemplarzy zestawia się kompletny gabinet figur wioskowych. Z tym, że to tendencja bardzo ogólna i nie ma tu znaczenia, czy znajdujemy się w stolicy wielkiego mocarstwa, czy w jakiejś zapadłej dziurze maleńkiego kraiku. Michaś łączył trzy kardynalne cechy: był zarazem

najmądrzejszy i najdowcipniejszy w całym autobusie, a w dodatku lubił podżegać. Mieszanka piorunująca. Nie znaleziono go jeszcze w lesie z elektryczną kłonicą w plecach tylko dlatego, że był synem kuzyna sołtysa, czyli znajdował się pod tak zwanym ochronnym parasolem władzy.

– Porywca jest tubylcza ludność – zauważył smok.

– Porywca – potwierdziłem skwapliwie.

– A czy ty, młoda istoto, jesteś może tutejszym smokobójcą?

Hm... Nazwał mnie istotą. Nie młodym człowiekiem, nie młodzieńcem, ale istotą... Ciekawe.

– Smokobójcą? – zaśmiałem się z przymusem. – To szumne określenie, jeśli o mnie chodzi. Kiedyś zdarzyło mi się zabić czterometrowego jaszczura, to znaczy młodego smoka przypominającego warana, który pojawił się nie wiadomo skąd. Tak to już jest, ostatnio coraz częściej. Ponoć przez to – spojrzałem w niebo. Na błękitnym, rozświetlonym firmamencie majaczył wielki, pionowo usytuowany dysk obcej galaktyki, wrzynającej się w Drogę Mleczną. Podobno kiedyś, dawno temu, nie było tego zjawiska na nieboskłonie. Ale tamtych czasów nie pamiętają nawet najstarsze smoki.

Vyietz podążył za moim wzrokiem.

– Tak... – powiedział w zadumie. – Pamiętam dni, kiedy jeszcze jej nie było widać.

Drgnąłem, by nie powiedzieć – podskoczyłem.

– Jesteś aż tak stary? To niemożliwe. Nawet smoki nie żyją tak długo.

– Masz rację – odparł. – Ale mamy bardzo rozwiniętą pamięć genetyczną. Przynajmniej w moim rodzie.

Moim skromnym zdaniem pieprzył głupoty, żeby zrobić wrażenie, ale nie prostowałem niczego. Im banda chłopców będzie bardziej przerażona i onieśmielona, tym mam większe szanse, żeby coś wykombinować, zyskać na czasie.

Ale ludzie nie zwrócili większej uwagi na słowa Vyietza. Zaszemrali, zaczęły się pierwsze złorzeczenia. Według nich powinienem teraz wydobyć ognisty miecz i rozsiekać intruza. Chrząknąłem.

– A tak właściwie – zapytałem niepewnie – to czego chcesz?

– A bo ja wiem? – Wykonał taki ruch, jakby wruszał ramionami. Rachityczne skrzydła zafalowały.

– Dziewicy będzie żądał – pisnęła jakaś baba.

Vyietz spojrzał na ludzi.

– No, powiedz, że nie!

Smok milczał.

– Romek, albo go zabijesz, albo się z tobą potem policzymy! – Sołtys przepchnął się na czoło. Dopinał portki, poprawiał koszulę. I krawat. Odkąd został władzą wiejską, namiętnie zaczął nosić krawaty. W grochy. Biało-czerwone. – Po coś cię tu trzymamy, nie? Pozwalamy

darmozjadzić, baby nasze paskudzić, gorzałą częstujemy. A wszystko na taką właśnie okoliczność. Jesteś wreszcie smokobójcem, czy nie?

W tej chwili pożałowałem tych wszystkich przechwaleńek w karczmie, opowieści o zabijaniu wielkich jaszczurów, wyjazdów na szkolenia do Lublina, podczas których zamiast podnosić kwalifikacje trawiłem czas, błakając się po knajpach i lupanarach wielkiego miasta. Bo Lublin miał swojego smokobójcę, a jak! Rycerza pasowanego, Hektora de Vray, ucznia najsłynniejszego z pogromców smoków, Thomasa von und zu Brok. Kilka razy faktycznie zaplątałem się na jego wykłady i zajęcia terenowe, ale tyle z nich wyrozumiałem, że jeśli się ujrzy smoka większego nad trzydzieści łokci, nie ma się co szczypać, ale trzeba brać nogi za pas, najlepiej porzucając za sobą wypchanego siarką barana. Myliłby się jednak ten, kto by przypuszczał, iż ów zwierz ma być śmiertelną zakąską dla bestii. Po prostu odór siarki zmieszanej z baranim łojem sprawia, że smok traci trop. I to była bodaj jedyna pożyteczna informacja, jaką uzyskałem – smoki mają zasadniczo słaby wzrok, za to węch i słuch znakomite. Po tych właśnie nielicznych szkoleniach doszedłem do wniosku, że przede wszystkim trzeba się uwiarygodnić i umocnić pozycję. Stąd ten waran, którego miejscowi wzięli za szczególnie złośliwe, młodociane smocze bydłę. Kosztował mnie noc pijatyki z dozorcą ogrodu zoologicznego i kupę nerwów.

– Słuchajcie, Walery. – Wziąłem kacyka na bok. – Widzieliście toto? – Wskazałem wzrokiem Vyietza. – Jeszcze do was nie dotarło, że mamy do czynienia ze smokiem magicznym, a nie jakąś tam przerośniętą jaszczurką albo zgołą zwyczajnym dinozaurom, którego pochwyła szalona pętla dwunastowymiarowego kontinuum i wyrzuciła w naszą czasoprzestrzeń? Tym razem kaprys zderzających się galaktyk przygnał nam prawdziwy problem.

– Magiczny, powiadasz? – Sołtys zdjął kapelusz, poskrobał się po niemytej głowie. – A jak magiczny, to co z tego?

– To trzeba się dobrze zastanowić, co uczynić. Jasna rzecz, mogę go w każdej chwili zarznąć jak prosię – zełgałem z kamienną twarzą – ale kto wie, co się wtedy stanie? A jeśli wybuchnie? Dwunastowymiarowe kontinuum może eksplodować z siłą bomby wodorowej. A w połączeniu z magią nastąpi zwinięcie przestrzeni, lokalny kolaps i cała nasza wieś znajdzie się w horyzoncie zdarzeń. Może nawet cała gmina. Oj, nie podziękujecie wam starosta za taką przysługę.

Z ulgą stwierdziłem, że Walery nic nie zrozumiał. I dobrze, bo ja też niewiele. Przydały się na coś stare numery „Wiedzy i Życia” upchnięte po kątach starej biblioteki dawno już zamkniętej zbiorczej szkoły gminnej. Ocalały, bo papier słabo nadawał się na podpałkę, a już zupełnie był nieprzydatny do innych strategicznych celów w gospodarstwie wiejskim.

– Kontyłum, powiadasz? – mruknął sołtys. – I te no, chore zdarzenie?

W tłumie rozległy się okrzyki, ludzie zaczęli podnosić kamienie. Z przerażeniem pomyślałem, że zaraz zaczną rzucać. Pół biedy, jeśli we mnie, najwyżej zasłonię się sołtysiem.

Gorzej by było w smoka.

– Diabli wiedzą, na co stać taką poczwarę, kiedy oberwie głazem – szeptałem gorączkowo. – Na pewno ma o wiele więcej niż trzydzieści łokci. Więcej nawet niż pięćdziesiąt. Nawet wielki mistrz smokobójców Hektor de Vray, i jego wspaniały mentor Thomas von und zu Brok, z pewnością wykorzystaliby swą rozległą wiedzę w starciu z nim. Znaczący, dali nogę. Ale ja nogi nie daję, przecież widzicie – pociągnąłem bonzę za rękaw. – Zróbcie no coś! Władza jesteście, czy nie?

– Stać! – ryknął natychmiast. – Kto pierwszy rzuci kamieniem, tego osobiście oddam starej Machejce na pół roku służby!

Chłopy ukradkiem upuszczali kamienie, udając, że nikt nic, w żadnym razie i w ogóle... Stara Machejka mieszkała za lasem, w obskurnej chałupie z omszałych desek i warzyła zioła oraz berbeluchę o dziwnych właściwościach. A poza tym była ładna, by nie rzec – piękna, miała gładkie ciało, jędrne pośladki i nieustającą ochotę na miłość. Miejscowi mężczyźni bali się jej jak ognia, bo niejednego już przywiodła wpierw do opętania z żądzy, a potem impotencji z nadmiaru wrażeń. Pół roku u niej nikt jeszcze nie przeżył.

– To co mamy robić? – mruknął ktoś.

– Zostawcie go znającemu. – Sołtys wskazał w moją stronę, a ja o mały włos byłbym odwrócił głowę w poszukiwaniu tego, kogo miał na myśli.

– A jak zażąda dziewicy? – rzuciła drżącym głosem jakaś niewiasta.

– Na razie nie żąda – odparłem stanowczo. – W ogóle nie wiadomo, czy smoki gustują w dziewicach. Może... – urwałem, żeby nie powiedzieć za dużo. Bo może im wszystko jedno, kogo zeżrą. Gdybym to powiedział, poryw paniki mógłby się obrócić w agresję przeciwko smokowi, a to by zniweczyło misterny plan, który właśnie zaczął się rodzić w mojej głowie. Trzeba będzie skoczyć jeszcze do biblioteki, odkurzyć jeden z numerów mego ulubionego czasopisma.

– No to chodźta – rzucił sołtys. – W pole trza. Same się podorywki nie zrobią, a kartofle z ziemi nie wyleżą.

Ruszyli tłumnie do zagród.

– A ty, Szymek – usłyszałem głos sołtysa – podejdz do mnie po robocie. Coś mi się z traktorem dzieje, silniki odpalają, ale strasznie nierówno pracują!

– A przyjdę, przyjdę! Ino mi przypomnijcie na jaki napęd macie traktor? – odkrzyknął wesoło Szymek, złota rączka. – Raketowy?

– Odrzutowy – odparł sołtys.

– To się może łopatki pokrzywiły. Nie wpadł warna tam jaki gawron podczas orki?

– A wpadł, wpadł, ino nie gawron a spory bociek.

– To roboty na całą noc będzie. Przygotujcie no jaki baniak z bimberkiem.

– A juści, jakże by inaczej.

Głosy oddalały się. Odetchnąłem z ulgą. Zyskałem trochę czasu. Do namysłu i w ogóle.

* * *

– Dzielne chłopisko z ciebie. – Sołtys poklepał mnie po ramieniu.

Stałem naprzeciwko smoka z obnażonym ostrzem. Miecz wyglądał okazale, miał szeroką klingę i masywny jelec. Kupiłem go swego czasu na bazarze w Lubartowie za śmieszne pieniądze. Sprzedawca uczciwie uprzedzał, że nadaje się toto co najwyżej na ścianę albo żeby teściową postraszyć, ale w starciu z prawdziwym orężem nie wytrzyma nawet dwóch złożeń. Z tym, że ja nie zamierzałem się z nikim składać. Droższa od samego miecza była pochwa – solidna, zdobiona stalowymi i miedzianymi guzami, prawdziwa perełka. Cóż, prezencja jest najważniejsza.

– A dlaczego nie załatwimy skurczybyka z dwururki? – zastanawiał się Ignac, kowal mający chałupę nad rzeką. – Mam bardzo grzeczną plazmóweczkę na jelenie. Co tam jakimiś rożnami machać, panie, jak można w łeb z breneki, panie, i będzie po sprawie, panie.

Kowal był z zamiłowania myśliwym, a w kuźni przebywał niechętnie. Żył głównie z kłusowania i sprzedaży skórek. I dobrze, bo gdyby było inaczej, natychmiast należycie oceniłby mój śliczny mieczyk. Zresztą kłusownictwo bardziej się opłacało niż uczciwa praca. Miastowi za ciężkie pieniądze brali wszystko, co upolował. Nic więc dziwnego, że jako jedyny w wiosce dorobił się mercedesa z napędem hybrydowym plutonowo-grawitacyjnym.

– Jak chcesz, to idź po spluwę – powiedziałem. – Tylko zanim strzelisz, pozwól, że się oddalę. Znaczy, zaczekaj ze dwa dni, żebym mógł odjechać dostatecznie daleko. Widziałeś kiedyś naprawdę wkurzonego smoka?

Nie widział. Ja też nie, ale liczyłem na jego rozbudzoną mym ostrzeżeniem wyobraźnię.

Rozmawialiśmy szeptem. Jaszczur spał, a w każdym razie miał zamknięte oczy. Chyba mu się nawet coś śniło, bo mruczał i oblizywał się, a co jakiś czas podskakiwał na płocie, przekładając łapy. Uczciwie mówiąc, wyglądał dość mało groźnie, przypominał raczej przerośniętą kurę niż straszliwą bestię. Dopóki nie otworzył oczu, bo te były jadowicie zielone, od czasu do czasu pojawiały się w nich purpurowe plamki i żółte iskry. Nieprzyjemny widok.

– Długo tak wytrzymasz go pilnować? – zatroskała się sołtysowa.

Spojrzałem na nią. Miała smutne oczy i opuszczone kąćki warg. No tak – przypomniałem sobie – przecież mieliśmy się spotkać dzisiaj po zachodzie słońca na umówionej polanie. Wiejska władza organizowała cotygodniowe posiedzenie, to znaczy naradę na najwyższym szczeblu. Ale dzisiaj, ani sołtys nie myślał o ochlaju, ani mnie było do jego baby.

– Ile będzie trzeba, nadobna sołtysowo – odparłem dwornie. – Dla zachowania życia i czci tutejszych niewiast gotów jestem na największe poświęcenia, gotówem nawet złożyć w ofierze swe marne członki dla uchronienia was od złego.

W mordę kopany! Skąd mi takie słowa w ogóle przyszyły do głowy?! Poczulem się jak idiota, a Ignac, sołtys i jego żona patrzyli na mnie z otwartymi gębami.

– Od razu znać, żeś rycerz i prawy smokobójec – rzekł z uznaniem kowal. – Żaden miejscowy by tak pięknie nie zapodał.

Taaaa... Przypomniały mi się czasy bitewnego zgiełku, brzęczących ostrzy, zapachu lanej z murów smoły, odoru krwi i rozkładających się ciał. Ale to było gdzie indziej, a przede wszystkim kiedy indziej.

– Co za życie – rozległ się nagle tubalny głos. Wyietz otworzył oczy, rozejrzał się po okolicy. – Złość się we mnie budzi, gdy o tym pomyślę.

– Zaczyna się – mruknął kowal. – Mówiłem, żeby go z dwururki...

– Zawrzyj pysk! – zniecierpliwiał się sołtys. – A ty nic nie zrobisz? – zwrócił się do mnie.

– Idźcie stąd – powiedziałem bohatersko. – Jeśli ma kogo zeżreć, niech ja będę pierwszy. A nuż mi się uda przez bestię połkniętym do jej żołądka się dostać i tam mieczem od środka rozerznąć, by sławą wieczną się okryć.

Miałem ochotę splunąć od nadmiaru eleganckich zwrotów. A kiedyś przecież w ogóle nie mówiłem inaczej.

Skorzystali z mojej rady nad wyraz skwapliwie. To znaczy spieprzali w podskokach. Sołtysowej aż majtki migwały spod spódnicy Zapatrzyłem się przez chwilę na ten widok, poczułem ukłucie żalu, że nici ze schadzki. Bo co jak co, ale nogi baba miała prześliczne. Takie nie za szczuple, ale i nie za tłuste, równiutkie i bielutkie. Delicje!

Smok tymczasem zaryczał przeciągle, zatrzepotał skrzydłami i wyciągnął groźnie szyję.

– Nie strasz, nie strasz, bo się... wiesz – mruknąłem, wznosząc dla pozorów miecz. Diabli wiedzą, może ktoś nas podgląda. Krzaków w okolicy dostatek.

Vyietz uspokoił się natychmiast. Wyglądało to z boku, jakby się zląkł mojego ostrza. Co, rzecz jasna, było bzdurą, bo nie urodził się jeszcze taki broniorób, który by wykuł bez użycia magii ostrze zdolne przeciąć smoczą łuskę. A w tym świecie magia nie działała tak, jak gdzie indziej.

– Hardy jesteś, młoda istoto – rzekł smok. – Pamiętaj jednak, że stąpasz po bardzo kruchym lodzie.

– Rzekłbym nawet, fantomatycznym lodzie.

Vyietz spojrział na mnie uważnie, a potem odezwał się wprost w mojej głowie.

– Co masz na myśli mówiąc o fantomatycznym lodzie?

– Tylko to – odparłem również w myślach – że jesteście przecież fantomem, a nie realnym bytem.

Milczał dłuższą chwilę, miałem wrażenie, że zbiera się po potężnym ciosie.

– A więc wiesz – zasyczał. To było bardzo nieprzyjemne doznanie, taki przenikliwy głos w samym środku mózgu. – Kiedy się domyśliłeś?

– Prawie natychmiast – uśmiechnąłem się. – Widziałem w życiu parę smoków, ale żaden

nie był w stanie usiąść na czymś i nie zgnieść tego ciężkim, pancernym zadem. Żaden też nie posiadał na tyle inteligencji, żeby go w trakcie czasoprzestrzennego walkowania rozbiło na ciało astralne i realne. Co cię tu przyniosło?

– A ciebie, elfie? Jak cię dawniej zwali, bo przecież nie Romek?

– Remir all'Dreight.

– Remir all'Dreight – powtórzył z zadumą. Własne imię zabrzmiało mi nieoczekiwanie obco. Przywykłem być Romkiem znikąd, wiejskim smokobójcą bez pojęcia o walce z bestiami. – Przyniosło nas to samo. Zawierowania czasoprzestrzeni. A wszystko przez tę przeklętą galaktykę! – Tupnął nogą.

Dobrze, że nikt nie widział, jak potężna łapa przechodzi przez sztachety i uderza bez najmniejszego odgłosu w ziemię. Błogosławiłem się też za przemyślność i powstrzymanie chłopów przed rzucaniem kamieniami. Poprzechodziłyby przez ciało jaszczura i tyle. Uznaliby, że to upiór, nieczysty demon, a wtedy do akcji wkroczyłby ksiądz z sąsiedniej wioski. Trzeźwy umysł kapłana mógłby stanowić spore zagrożenie dla moich zamierzeń. Niepotrzebny mi był logicznie myślący przedstawiciel rasy ludzkiej.

– Czegoś ode mnie chcesz – powiedział Vyietz. – I na pewno nie jesteś smokobójcą.

– Tak, czegoś chcę – znów się uśmiechnąłem. – I nie jestem smokobójcą. W mojej ojczyźnie nie zabija się smoków. Po co, skoro tak w zasadzie w ogóle was nie ma? To znaczy jesteście, ale w tak małej populacji, że szkoda gadać.

– Nie gubisz się w tym świecie? – spytał. – Twój pobratymcy prowadzą ciągle wojny, nie dochrapaliście się cywilizacji. Latacie półnaczy po lasach i śpiewacie przy ogniskach te swoje durnowate sagi. Stawiacie jakieś idiotyczne zupełnie kamienne zameczki albo zgoła gówniane twierdze z prostym ostrokołem. Pustynia. To dlatego wydaje się wam, że smok jest rzadkim zjawiskiem. Nie zapuszczamy się gdzieś, gdzie nie idzie robić normalnych interesów, za to można oberwać oszczepem albo złośliwą strzałą. Nie lubimy prymitywów.

Poczułem się dotknięty. Tak, elfy są wojownicze, ale nie nazwałbym naszych pieśni durnowatymi, a zamków gównianymi. Chociaż, z drugiej strony... Taka opowieść o Maldarku Szalonym... Co za sens wyrywać z niewoli najukochańszą kobietę, żeby zaraz potem samemu ją zabić, bo honor nie pozwala wziąć wybranki za żonę? Albo saga o Niewinnych, którzy wyrzynali całe narody w imię poszukiwania wyższej prawdy... I te budowle. W świecie ludzi faktycznie przeciętna wiocha wyglądała lepiej niż u nas stołeczna metropolia.

– Nie gubisz się? – powtórzył pytanie smok.

– Z początku się gubiłem – odparłem. – Dlatego osiadłem w najmniejszej wiosce, jaką mogłem znaleźć. Przypomina mi dom. Jeszcze do tej pory, kiedy jadę do Lublina, najpierw trzęsę się ze strachu w raketoplanie pekaesu, a potem łażę jak struty po ulicach, patrząc na te wszystkie latające i jeżdżące ustrojstwa. To wielkie i groźne miasto! Dlatego uparcie trzymam się tej osady...

– A nie dlatego, że miejscowi nic nie wiedzą o pojawianiu się dzikich elfów w innych

zakątkach świata? Chłopi tak łatwo cię nie zdemaskują, nikt się nie zastanawia, dlaczego ukrywasz uszy pod długimi włosami. W mieście byś nie przetrwał zbyt długo.

– Sporo wiesz – zauważyłem.

– A bo fantomię się kawał czasu po różnych miejscach. I mam już tego serdecznie dosyć.

To mi odpowiadało – najbardziej był mi potrzebny niezadowolony ze swojego losu niepełny smok.

– W takim razie mam dla ciebie pewną propozycję – powiedziałem tym razem na głos.

– Propozycję? – Spojrzał w stronę wrzynającej się w niebo galaktyki. – Mów. Ale w myślach.

Sołtys był najzupełniej zdumiony i zdruzgotany, gdy oświadczyłem, że nie jestem w stanie zabić smoka. To znaczy jestem, ale muszę się udać po czarodziejską miksturę. Na szczęście ciemny chłop nie miał bladego pojęcia, że jego świat jest absolutnie i kategorycznie amagiczny.

Lublin przywitał mnie obrzydliwą mżawką i gigantycznym korkiem. Na wjeździe od strony Warszawy podobno rozbił się luksusowy antygravitacyjny autobus wiozący oficjeli, w tym syna wojewody i trwało wielkie sprzątanie. Czy to był wypadek, trudno powiedzieć, bo wiadomość pochodziła z podawanej sobie z ust do ust plotki. Jeszcze kilkanaście lat temu, kiedy wylądowałem zniecka na zimowym polu pod wioską, wyrwany z samego środka bitewnego zamętu, ekrany holowizorów i głośniki radiowe pełne były obrazów i dźwięków. Ale ostatnio wszystko trafił szlag. Podobno na skutek oddziaływania obcej galaktyki. Tak to przynajmniej tłumaczyli w sporadycznie ukazujących się gazetach. W każdym razie jakoś wtedy właśnie rozpoczęła się wojna gospodarcza między związkiem miast Warszawy, Lublina i Radomia a Panmetropolią Kielecką. Dość szybko wojna ekonomiczna przerodziła się w działania zaczepne z użyciem środków militarnych. Niemrawe wprowadzie, ale zawsze. Kiedyś w czasopiśmie poświęconym polityce międzynarodowej przeczytałem mądre zdanie: „Tam, gdzie nie istnieje komunikacja między grupami społeczeństwa, prędzej czy później musi zacząć się wojna”. To było zresztą jedno z pierwszych zdań, które wydukałem podczas nauki miejscowego języka. Stary nauczyciel z wioski poświęcił mi naprawdę sporo czasu. I tylko on wiedział, że jestem elfem. No, uczciwie mówiąc, świadomość tego miała jeszcze moja Kryśka, a poza tym żona Zbycha, sołtysowa i parę innych bab. Cóż, pewnych przymiotów elfiego rodzaju nie da się ukryć, gdy nadciągnie żądza. Ale kobiety konsekwentnie milczały. Po pierwsze, ceniły sobie miłą odmianę i przygodę, a po drugie, gdyby się wydało, że obcowały z odmieńcem, pierwszy z brzegu kapelank jak nic przygotowałby dla nich stos. Wszak niejedno miasto dochrapało się już nie tylko smokobójców, ale też elfobójców i goblinobójców. Patrzyć tylko, jak pod topór pójda wszelkie inne rasy. Wystarczy, że ich przedstawiciele zaczną pojawiać się w nadmiarze.

Sklep z materiałami myśliwskimi był zamknięty na głucho. Brak towaru. Nic dziwnego,

zważywszy na paniczne nastroje związane z coraz częstszym pojawianiem się różnych odmieńców. Za to w kiosku handlującym petardami i innymi takimi atrakcjami zdołałem zakupić parę potrzebnych rzeczy. Z wyładowanym plecakiem wróciłem na wieś.

Smok patrzył na mnie z dezaprobatą. Nie powiem, było mi trochę wstyd, ale nie tak, żeby zaraz się czerwienić i takie tam.

– Uknuleś bardzo niecny plan – rzekł z wyrzutem. To znaczy, nie powiedział tego głośno, ale miałem wrażenie, jakby wykrzyczał myśl na cały świat. – Na pewno chcesz to zrobić?

– Chcę – oparłem zdecydowanie. – Nie zamierzam skończyć jako prosty wojownik, potrzeba mi czegoś więcej. Może zdołam poprowadzić moich ziomków do cywilizacji.

– Jak chcesz – westchnął Vyietz. – Tak czy inaczej, czego bym nie sądził o twoich pobudkach, jesteś mi potrzebny.

Tak, z całą pewnością byłem mu potrzebny. Wyłowiłem przy okazji rozmów kilka jego myśli, które mogły mi o tym wiele powiedzieć. Najprościej rzecz ujmując, byłem zasadniczo chodzącą anomalią czasoprzestrzenną. Podobnie jak on. Tyle, że ja przebywałem tu materialnie, a on jedynie mentalnie. Mnie zależało na powrocie do swoich, a jemu na powrocie do ciała bądź jego przywołaniu. I musieliśmy to zrobić, zanim się chłopci zorientują, że w istocie rzeczy jaszczur niczym nie może im na razie zagrozić.

– Jestem łagodnym smokiem – powiedział, odczytując moje myśli. – Nie przypominam tych wszystkich prymitywów, które napadają na osiedla i pożerają kogo popadnie. Działam zawsze subtelnie i z wyczuciem.

Wzruszyłem ramionami. A bądź sobie jaki chcesz, nic mi do tego. Kiedy dopniemy swego, nie będzie to miało najmniejszego znaczenia. Szczególnie w sytuacji, kiedy zyskam w swoim świecie nieograniczoną władzę.

– Zbliża się równonoc – Vyietz spojrzał w rozgwieżdżone niebo. – Jutro. To najlepszy czas. Tuż po północy siły entropii osłabną na tyle, żeby wykorzystać nasze potencjały.

Nie do końca to rozumiałem, ale podobno wystarczyło, żebym się napiął, skorzystał z jego wskazówek, a powinno się otworzyć przejście do mojego świata. To też przeczytałem w jednym z ostatnich numerów „Wiedzy i Życia”. Tym, który ostatnio sobie odświeżyłem. Jakiś uczony o szerokim umyśle kilkadziesiąt lat wcześniej przewidział tam możliwości zakłóceń czasoprzestrzennych i pojawienia się istot z różnych wymiarów. A także teoretycznie opracował ramowe zasady ich wzajemnego oddziaływania na siebie i materię. Miałem tylko nadzieję, że nic mu się nie pomyliło.

Tak czy inaczej, na wszelki wypadek, gdyby mój sprzymierzeniec coś kombinował, postanowiłem się zabezpieczyć. Nikomu nie można ufać. Właśnie tego nauczyłem się, przebywając między ludźmi.

Noc była ciemna choć oko wykol. Niebo szczelnie przykryły chmury i gdyby nie dar

widzenia w ciemności, mógłbym w ogóle nie dotrzeć na miejsce spotkania. I tak w ostatniej chwili ominąłem grabie, które zostawiła przed furtką ta bałaganiara Kryśka. Kiedyś już zdarzył mi się podobny wypadek. Leżałem potem dwa dni nieprzytomny. Elfy są jednak bardziej wrażliwe od ludzi. Widziałem raz jak Jasiak, syn Zbycha, identycznie rąbnął się trzonkiem grabi w łeb. Tylko się otrząsnął, kłął przez chwilę, a potem poszedł dalej.

Vyietz czekał, fosforyzując lekko. Ta właściwość uchroniła go w dużej mierze przed ciekawością wieśniaków. Zdawało im się, że jeżeli świeci, to znakomicie widzi po ciemku, dlatego żaden nie podszedł z siekierą albo widłami, nie próbował ustrzelić go z samopału.

Plecak ciążył mi straszliwie. Nieprzyzwyczajony jestem. W moim świecie w tym względzie panuje równouprawnienie. To kobiety noszą bagaże.

– Jesteś wreszcie – mruknął smok. – Najwyższy czas. Za chwilę nadejdzie ta chwila...

W tym momencie wokół zaroilo się od światełek. Mieszkańcy wsi z latarkami i pochodniami wylegli z pobliskich chałup. Czekali na sprzyjający moment, przyczajeni, stłoczeni, w zupełnej ciszy.

– Wybacz – powiedziałem głośno do smoka. – Ale nie mogę pozwolić, żebyś próbował jakichś sztuczek.

– Wystawiłeś mnie – stwierdził bez złości.

– Wystawiłem – skinąłem głową. – Muszę mieć gwarancję, że wywiążesz się z obowiązków i nie wykorzystasz...

– Patrzcie odmieńcowi na łapy! – przerwał mi ochryply głos. – Oszukaniec, tfu! Smokobójec bez jajec! Tfu, tfu!

Sołtys skierował światło silnej latarki prosto w moje oczy. Zasłoniłem się dłonią.

– A to przekłetyoszustjedenzabićbygozarąbaćkłonicą – zajazgotała sołtysowa. Czulem całym sobą jej strach. Ludzie chyba mają w zwyczaju walczyć z własnym przerażeniem usiłując skierować uwagę na kogo innego.

– Milcz, głupia babo! – ryknął sołtys. – Jutro jeszcze pogadamy! – pokazał jej zaciśniętą pięść.

Stara Zbycha stała za mężem, nawet w drżącym świetle pochodni i latarek było widać, że twarz ma opuchniętą.

– Widzę, że w istocie to ty mnie wystawiłeś – skonstatowałem z pewnym zdumieniem, ale bez złości.

– Ja też muszę mieć pewne gwarancje – uśmiechnął się Vyietz. – Ty stąd odejdziesz, ale ja muszę gdzieś się potem podziąć ze swym ciałem. Tam, gdzie je zostawiłem, wołałbym nigdy nie wracać.

O co w tym chodzi? Że ja go spróbowałem zrobić w konia to jedno, ale dlaczego on dogadał się za moimi plecami z miejscowymi? I na jakich warunkach? W moim przypadku rzecz była prosta – gdyby smok próbował mnie wykiwać, w trakcie odzyskiwania ciała chłopci mieli go zarąbać siekierami i skłuć widłami. Sam mi się przyznał, że przez dobrą minutę, gdy

ciało astralne łączy się z materialnym, jest słaby i podatny na ciosy.

Dobrze już, nie będę udawał, że jest inaczej niż jest! Powiedziałem sołtysowi prawdę o fantomie i jego słabości. A on już wiedział, co dalej. Tak czy inaczej, mieli go zarznąć. Skóra, kły i gruczoły smoka to prawdziwy rarytas, można się nieźle wzbogacić. Czyżby jaszczur zaproponował im coś bardziej lukratywnego?

– Czyńcie swoje – powiedział do mnie naczelnik wsi. – A ty, czcigodny smokobójco – skłonił się przed Vyietzem – pamiętaj o naszej umowie.

– Pamiętam, pamiętam.

Smokobójca? Smok? W tej chwili zrozumiałem. A może pomógł mi w tym sam jaszczur? W oczach sołtysa widziałem chciwość, jego palce nerwowo zaciskały się i przebierały w okolicach kieszeni.

– Będą cię wynajmować do zabijania innych smoków – bardziej stwierdziłem niż zapytałem. – A może nawet to ty będziesz napadał wioski, a oni będą udawali, że cię zabijają lub przynajmniej odpędzają!

– Już czas – rzekł, ignorując moją uwagę. – Skup się. Inaczej...

Tak, teraz dotarło do mnie już wszystko!

– Sprytne – kiwnąłem głową. – Dzięki nim – szerokim gestem wskazałem wrogi tłum – możesz być pewien, że się nie cofnę. Ale dlaczego pomyślałeś, że mógłbym?

Nie odpowiedział. Przymknął oczy i zaczął coś nucić. Poczułem, jak ogarnia mnie odrętwienie, a potem od czubka głowy aż do pięt spływa fala gorąca. Zdawało mi się, że zaraz spłonę, a jednocześnie było to dość przyjemne. Świat zawirował w zabójczym tempie, nie tylko dookoła mnie, ale także w osi poziomej, jakbym stopami chciał na przemian uderzać niebo i ziemię. Chmury znikły w jednej chwili, ukazały się gwiazdy i rozjaśniająca nieboskłon galaktyka wyrosła w całym swoim groźnym pięknie. Wtedy wszystko nagle się skończyło, wirówka stanęła. Widziałem sylwetkę Vyietza, słyszałem krzyki, a przede mną otwierał się portal. Wejście do mojego świata. I w tej chwili opadły mnie wątpliwości. Każdego by opadły. I zrozumiałem, dlaczego Vyietz chciał mieć pewność, że udam się do swoich. Bo ujrzałem przed sobą skrwawione pole bitwy. Dwie armie zamarły, zaskoczone nieoczekiwanym zjawiskiem. Patrzyli na mnie, a ja na nich. Moje nogi zaczęły szorować po szutrze wiejskiej drogi, jakaś siła ciągnęła mnie w stronę portalu. Rany! Co mi odbiło, żeby tam wracać? Jakże mogłem zapomnieć o ciągłych wojnach, o rzekach krwi? Teraz też widziałem zatrzymany w pół ruchu miecz godzący w szyję przerażonego młodzika, walające się głowy, pucinanę ręce, nogi, wnętrzności ciągnące się pod stopami walczących.

– No już, spieprzaj! – zagrzmiał Vyietz.

Zacząłem iść w przeciwną stronę, pokonując dziwną siłę. Ale wtedy sołtys dał znak i uzbrojony tłum poszedł dwa kroki w moim kierunku. Tak, Vyietz był sprytne. W naturze zawsze jest coś za coś, a on mógł odzyskać ciało tylko w przypadku, kiedy ja wrócę do swoich. Nie zamierzał ryzykować ani się nade mną litować.

Zrezygnowałem. Pozwoliłem nieść się do portalu. Ukradkiem tylko wydobyłem z kieszeni przygotowany uprzednio pakiecik. Gdy znalazłem się po drugiej stronie, o czym powiadomił mnie podmuch lodowatego mrozu, który od razu zgasił uczucie gorąca, potarłem draszkę, rzuciłem pudełko daleko do przodu. A potem zdjąłem plecak i wydobyłem spory rulon. I on poleciał w ślad za pierwszym ładunkiem.

Moi pobratymcy zawsze bali się burz, piorunów i ogólnie gniewu niebios. Mogłem się zatem spodziewać, że pokaz ogni bengalskich uczyni na nich należyte wrażenie. A kogoś, kto włada takimi zjawiskami muszą okrzyknąć królem, poddać się jego rozkazom! Byle to dobrze rozegrać do samego końca, dopiąć swego, zanim skończą się zapasy fajerwerków.

Huknęło, na ziemi zatańczyły snopy iskier, zmuszając wojowników do cofnięcia się. Następnie eksplodował „Chiński Smok”. Z dumą pomyślałem o swojej przebiegłości.

Ale wtedy mocarna ręka ucapła mnie za kark.

– Następny, widzicie go?! Znów magik ze sztucznymi piorunami! Znamy takich cwaniaków, co im się zdaje, że jak wrócą z zaświatów to coś znaczą, to coś im się należy! Dawaj te swoje zabawki, zabieraj dupę w troki i do szeregu!

Ktoś mi wcisnął do ręki miecz, plecak poleciał na bok, ciśnięty z pogardą.

– Znaj łaskę – dodał wielki elf, który mnie trzymał. – Możesz sobie wybrać, po której chcesz być stronie. Na razie my wygrywamy, tak że...

Spojrzałem tęsknie w stronę portalu. Właśnie zaczął się zamykać, kiedy doleciał stamtąd potężny ryk i tubalny, rozkazujący głos:

– A teraz, kmiotki, dawać mi tu stado owiec i dwie dziewice!!!

Vyietz rzeczywiście miał zwyczaj działać subtelnie i z wyczuciem.

Zanim pogrzyłem się w zgiełku bitwy, zdążyłem jeszcze pomyśleć, że nie tylko ja mam zupełnie przerąbane. A największy ze smokobójców, Thomas von und zu Brok, z pewnością będzie miał w najbliższym czasie co robić.

Jacek Komuda

Pierwsza szabla polskiej literatury. Uczestnik wyprawy na Moskwę, opis jego peregrynacji można przeczytać w pamiętnikach zatytułowanych *Samozwaniec*.

Pisarz, niezależny historyk, autor powieści historycznych i fantastycznych, których akcja rozgrywa się w Rzeczypospolitej szlacheckiej i w XV-wiecznej Francji. Wierny prawdzie, nie stroni od brutalnych, mocnych kart historii. Woli pisać ku przestrodze niż ku pokrzepieniu serc. Wskrzesza dawne obyczaje, postaci, zapomniane miejsca. Jego bohaterowie to ludzie miotani namiętnościami, a nie kroczące ideały.

Z Fabryką Słów wydał: „ukraińskie” *Wilcze Gniazdo* (2002), *Bohuna* (2006) – powieść o największej polskiej klęsce w wojnach z Kozakami, „bieszczadzkie” *Czarną Szablę i Diabła Łańcuckiego* (2007), dwutomowe *Galeony Wojny* (2007) nawiązujące do bałtyckich batalii za czasów Zygmunta III Wazy, *Czarną banderę* (2008) opisującą brutalny świat korsarzy i buntowników, *Herezjarchę* (2008), kolejny, po *Imieniu Bestii*, zbiór poświęcony Franciszkowi Villonowi oraz *Samozwańca* (2009), 1. tom cyklu *Orły na Kremlu*.

Za *Galeony Wojny* uhonorowany Nagrodą im. Leonida Teligi 1009 przez miesięcznik „Żagle”.

**Jacek
Komuda**

**Partia
porucznika
Szymańskiego**

*Czasami ludzie mijają się przypadkiem,
nic nie wiedząc o sobie.*

*Mój duch łańcuchem skuty do ziemi
zwisa się w przepaść piekielnych łon,
a kiedy targnie skrzydły dźwięcznymi
głuche się echo ozwie jak dzwon.*

Tadeusz Miciński
„Lucifer”

Rozdziobią nas chłopi i wrony

Trupy na polskim stosie ofiarnym, w jaki zmieniała się łąka pod Małogoszczem, nad wierną rzeką Łosośną, zdążyły nie tylko ostygnąć, ale i zeszywnieć. Leżały ciche i spokojne, pokryte krwawymi nacięciami moskiewskich pałaszy; naznaczone plamkami czerwieni w miejscach, gdzie kula ugodziła ciało i szerokimi rozgwiazdami tam, gdzie znalazła wyjście. Splecione w wieczystym braterstwie broni. Wiekuiście znużone bojem, jaki poprzedniego dnia stoczyły w miasteczku partie Langiewicza i Jeziorańskiego z wojskami Czengierego, Gołubowa oraz arcyzdrajcy i moskiewskiego bękarta Dobrowolskiego. Krwawy plon bitwy, w której moralna chwała przypadła jak zwykle powstańcom, doczesne zaś zdobycze, w postaci Małogoszcza i taborów polskich – carskim służalcom.

Trup pana Szymańskiego okazał się znacznie bardziej żywotny niż pozostałe. Miał więcej szczęścia od kompanów z partii, a może też po prostu przeoczyli go Moskale dobijający rannych bagnietami; przetrząsający torby i kieszenie w poszukiwaniu złotych imperiałów, gorzałki, machorki. W każdym bądź razie ich ciosy nie były śmiertelne, bo nagle poruszył się pod stosem ciał, jęknął, a potem otworzył oczy, dając wszem i wobec świadectwo, że choć skluty i poraniony jak Chrystus Narodów, to jednak był w stanie zejść z krzyża o własnych siłach.

Najpierw w oczy uderzyła go jasność. Nie były to jednak fajerwerki, jakie towarzyszą otwarciu bram raję, ale łuna Małogoszcza. Moskale, mszcząc się bowiem za długi opór powstańców, podpalili miasteczko, oczywiście po uprzednim splądrowaniu.

Szymański czuł zimny, przesywający ból w lewym, przebitym kulą na wylot, pokrytym zakrzepłą krwią przedramieniu. W prawym boku, tam, gdzie pod stosami ciał dosięgnął go ostry grot moskiewskiego bagnetu, niczym cierń dokuczała mu paskudna rana.

Nigdy jeszcze życie nie wydawało się tak bolesne.

Powstaniec leżał na zakrwawionym śniegu, zdeptanym tysiącami kopyt i nóg, zmienionym w błotniste, zamarzające bajoro. Zeszywniał i przemarzł na sopol. Nie miał kożuszka, buty także gdzieś poszły – pewnie na nogach Moskali, albo zacnych chrześcijan ściągających na pobojojiska jak kruki na żer. Lewą nogę przygniatał łeb wiernego kasztana, który padł od kartacza, kiedy wraz z partią Jaszowskiego szli do beznadziejnej szarży.

Poruszył prawą ręką, podparł się, aby wypełznąć spod zwłok towarzyszy. Brzuch przygniatało mu martwe ciało Grossterna – Żyda spod Kalisza, za którego głowę wyznaczono nagrodę tysiąca rubli, na drugiej nodze zaś czuł ucisk zwłok młodego Jamesa de Gordon – Anglika, który przybył wraz z partią małopolską bić się za wolność waszą i naszą, tudzież oswobodzenie Królestwa Polskiego od najeźdniczej, azjatyckiej dziczy zwanej Moskalami.

Dalej leżeli kolejni – martwi, stratowani, powstańcy i ochotnicy, Włosi, Niemcy, Francuzi, nie licząc oczywiście Polaków z rodzinnej partii Jeziorańskiego, zebranej w Jeruzalem pod Rawą.

Nie wyglądało to dobrze. Nie wyglądało zachęcająco. Podobnie jak cała przyszłość Królestwa Polskiego i Rządu Narodowego, któremu władza wymykała się, niczym lejce z rąk woźnicy pijanego samą wolnością, bo na gorzałkę nie starczało już pieniędzy.

Jęknął i prawie zawył, wyczołgując się spod trupów. Koszula, którą mu zostawiono, skostniała jak żelazny kirys, przymarzła do zwłok towarzyszy. Poszarpał rany, oddzierając ją od ciała, zostawił skrawki płótna na krwawych czamarach powstańców. Obrócił się na brzuch i niemal szlochając z bólu i zimna, brnął w zamrzniętym po wierzchu bloku, wydostał się na śnieg, który mokrym chłodem owionął rany i skaleczenia. Bok przebity bagnetem rwał jak rozdzierany rozpalonym do czerwoności hakiem. Szymańskiego skręcał ból, dokuczało pragnienie. Lewą ręką nie mógł ruszać, prawą zaczerpnął garść śniegu, przytknął do warg i począł jeść chciwie. Ulżyło...

Nie mógł wstać. Pełznął zatem przed siebie, pozostawiając w śniegu szeroką, zakrwawioną koleinę, byle dalej od stosu trupów; wiedział, że jeśli bitwa została przegrana, a na to niestety się zanosilo, Moskale wrócą niechybnie, by pogrzebać ciała. Z nimi żartów nie było. Szymański wątpił, by chcieli wlec go do aresztu czy na komisję śledczą. W tym stanie i takim stroju nie wyglądał na paljaczyszkę-buntowszczyka, noszącego w zanadrzu podręcznik do robienia spisków; prędzej na stracha na wróble. Powstaniec nie wątpił, że każdy Doniec czy Moskal dobije go kolbą, ciosem łaski; zwłaszcza kiedy przekona się, iż przy boku jeńca nie ma kabzy wypchanej grosiwem. Zatroszczyli się bowiem o nią wcześniej żołdacy od Czengierego i Dobrowolskiego, zabierając powstańcowi nawet woreczek z pięcioma półimperiałami zawieszony na szyi razem z kartką, na której wypisano prośbę, komu zanieść wiadomość w razie jego śmierci.

Oprzytomniał dopiero wtedy, gdy tryknął głową o dębczaka; młode drzewko wyrosłe na miedzy, szeleszczące brązowymi, wyschniętymi liśćmi, które jeszcze nie osypały się z gałęzi, sterczące samotnie wśród stratowanych zagonów. Ujrawszy tę dziadowską podpórę, Szymański zacisnął wargi, podkurczył nogi, podniósł się najpierw na jedno, potem na drugie kolano.

Jakoś to poszło, jakoś to było – w każdym razie na pewno o wiele lepiej, niż próba wzniecenia insurekcji w rawskim powiecie. Wreszcie stał na dygocących nogach, czując lodowate szpile wbijające się w bosc stopy. Walcząc z zimnym, szarpiącym bólem, ruszył przed siebie, powłócząc nogami jak błędny, byle dalej, dalej i dalej... Zgubić się w śnieżnej bieli. Jego kroki czerniały na śniegu jak zwiędłe liście.

Źle zrobił; lepiej było zostać przy stosie trupów. Ledwie przemierzył dębinę, a za nią polanę zarośniętą kolczastą tarniną, zniennačka rozszczeakały się przed nim wiejskie kundla, a w nozdrza uderzył zapach dymu. Wieś... Gdy patrzył na szare strzechy chałup pokryte

grubymi płatami mokrego, osuwającego się w dół śniegu, wydała mu się oazą spokoju. Tu mógł otrzymać ratunek i pomoc. A jednak, kiedy ruszył przed siebie, skostniały jak całun śmierci, pokrwawiony i umorusany w błocie, przekonał się, jak bardzo się mylił.

Dostrzeżono go od razu. Zobaczył pastucha, bosego jak on sam, lecz przecież przyodzianego w czapę i zgrzebną, samodziałową kamizelę, za którą Szymański oddałby w tej chwili własną duszę. Ujrzał chłopów w sukmanach i kozuchach, nadciągających z pól, wypadających z chałup. Nie minęło wiele chwil, gdy spory tłum zgromadził się przed rannym powstańcem.

– Ludzie! – rzekł głucho Szymański. – Pomocy... Zmiłowania proszę.

Niski, pleczysty chłop w wutowanej siermiędze ruszył w jego stronę. Lecz drugi – wąsaty, z pulchną ogorzałą gębą – chwycił go za ramię, powstrzymał.

– Ej, ty tam – zagadnął niskim, charczącym głosem – coś ty za jeden? Przybłęda?

– Widzicie, że jestem ranny...

– A kaj cię tak poranili?

– A to nie wiecie? W bitwie...

Tłum cofnął się jak od zadżumionego. Zafalował, zaszemrał. Niski, siwawy chłopiek przeżegnał się jakby zobaczył diabła.

– W bitwie? Toś ty powstaniec?

– Z partii rawskiej... Ratujcie...

– No, bracie – warknął gruby, wielki jak góra chłop w dostatnim kozuchu, z blachą na piersi. – Skoro sam powiadasz, żeś buntownik i żeś w bitwie był, to my cię w areszt zajmujemy.

Szymańskiemu zdawało się, że się przesłyszał.

– W areszt? Mnie? A za co?

– Do miasta musimy cię odstawić. Do Kielc. Pójdź z nami, ja tu sołtys.

– Jak to? Co z was za Polacy...

– O, znalazł się jescze jeden pan Polak. Słyszałeś Scypon? – wysepleniał drażal o niskim czole i czarnych, prawie schodzących się brwiach. Jego rozwarte usta demonstrowały liczne braki w uzębieniu, a zwłaszcza poczerniałe pieńki po przednich zębach, wybitych po to, by nie wzięto go w żołdaty.

– Ty paniczyk, nie skakaj. Nu, chłopcy, trza go wiązać.

– Wy mnie wydać chcecie Moskałom? – jęknął Szymański. – Przecie ja za waszą wolność się biłem...

Dziwne, lecz słowa powstańca wcale nie zabrzmiały niczym dzwon budzący z wiekuistego snu sumienie polskiego ludu.

Zamiast tego chłopcy wybuchnęli śmiechem.

– Uuuu, cha, cha! – zagrzemiał sołtys. – Takie gadki to my już słyszeli. Ty se gadaj, a tu jest prikaz. Chodź bracie z dobrawoli!

– Kajżeś buty zgubił, panie wolność?

– Buntownik! Powstaniec! Miatieżnik! – rozkrzyzczeni się pozostali chłopci.

– Nagroda za takiego!

– Tfu, zaraza boska z nimi!

– Przez tych Poloków Kocmyrzów Duny* spaliły – wysepleniała baba, stara i zmurszała jak sosna – ludzi wygnali! Nahajami skórę skroili!

– Antek, Janko! – grzmiał sołtys. – Chybajcie z powrozami! W łyka brać!

Chłopi nie zartowali. Dwóch wsiowych chłystków wyskoczyło z gromady ze sznurami. Za nimi podszedł kędzierzawy chłopina w baraniej burce, potem dwóch parobków z widłami, dalej zaś sołtys i reszta przyszłych obywateli Rzeczypospolitej Trojga Narodów, której próba odbudowy kosztowała pana Szymańskiego ból, pot i krwawe łzy. A na dodatek konia, szablę, belgijski sztucer i kulbakę, nie mówiąc już o nadszarpiętej dumie.

Obywatele włościanie otoczyli go kręgiem nieprzyjaznych, wąsatych gąb, pierścieniem nieświeżych, przesyconych gorzałką oddechów, koliskiem przekrwionych oczu i kędzierzawych łbów.

– Brać go!

– Ii, takiego ta wiązać – rzekł ktoś z tłumu. – Powroza szkoda. Toć toto do figury w Borku nie dojedzie i uświrknie.

– Zembrze i bez postronka.

– A puścić toto – rzekł niski, czarniawy chłopina, który w tych okolicznościach zdał się Szymańskiemu największym patriotą w całej okolicy. – Niech ta lezie, skąd przyszło.

– Wieś nam Moskale spala! – ryknął sołtys. – Przyjdą tu Duny po śladach. Nie wy będziecie pod nahajką rzycią świecić. Zwijajcie się! Polak jest – to trza go brać!

Chłopi skoczyli na rannego jak wilcy. Pierwszy złapał za zakrwawioną, wiszącą bezwładnie lewą rękę. Drugi zamierzył się kulakiem. Znikąd nie było wyjścia, ratunku, ani pomocy.

– Ludzkości, rodzie Kaina! – jęknął powstaniec. – *W wnętrzościach mogił szłocha lud i szłocha serce krwawe...*

I nagle, dosłownie z jasnego nieba uderzył grom.

Zanim Szymański zorientował się, że miał on postać kuli z niemieckiego rewolweru Adamsa, w gromadę chłopów wpadł kary koń dźwigający pannę ubraną po męsku, z rozwianym warkoczem wymykającym się spod konfederatki. Na długim rzemieniu ciągnęła za sobą podwodowego wierzchowca; nieźle radziła sobie w siodle, trzymała wszystkie wodze w jednej garści, a drugą, uzbrojoną ręką mierzyła prosto w łeb sołtysa.

– Dość już! – Jej głos był jak smagnięcie batem. – Puśćcie go i wszyscy precz!

Tłum zafalował, zahuczał groźnie. Nie dała mu przyjść do sprawy. Jednym ruchem uderzyła konia ostrogami, wpadła w gromadę włościan, obalając i tratując chłopów. Strzeliła

* Tak nazywano Kozaków dońskich służących w armii rosyjskiej.

jeszcze raz – nad ich głowami, aż echo odbiło się od ciemnozielonej ściany lasu.

– Wsiadaj!

Bezwiednie ruszył w stronę luźnego konia. Nie zdołał nawet chwycić wodzy pokrwawioną dłonią; wierzchowiec spłoszył się i cofnął.

– Na co czekasz?!

Nie miał sił, by wykrzyzczeć, że nie poderwie się z ziemi, bo biodro rwało bólem i gorącem. Padł na szyję niespokojnego zwierzęcia.

– Polska miatieżniczka! – zaryczał sołtys przezornie skryty gdzieś w tłumie przestraszonych chłopów. – Bierzcie ją, gromada! Pół rubla nagrody dam!

Panna jednym ruchem chwyciła Szymańskiego za pokrwawioną koszulę na karku, poderwała w górę z niezwykłą siłą, aż krzyknął, gdy przerzuciła go przez kulbakę. Jęknął, padając na przedni, wysoki łęk, podciągnął prawą nogę, przerzucił nad końskim grzbietem.

Cudem usiadł w siodle, cudem odnalazł wodze. Nie musiał powodować koniem, bo nieznajoma nie wypuściła z ręki cugli, zacięła rumaka batem, aż skoczył w przód niczym kula wystrzelona z ośmioletówki.

Wypadli za opłotki wioski ścigani krzykami, wrzawą, przekleństwami. Nie słyszeli głosu sołtysa, który podbił stawkę do jednego, a potem dwóch całych rubli. Przesadzili zmurszały płot, pognali na pola. Z tyłu trzasnął wystrzał, kula szydlerzo gwizdnęła między gałęziami.

A potem wjechali między jodły i świerki, zapadli w polski las. Szymański nie pamiętał dalej nic; może gałęzie chłuszczące go po twarzy, drzewa migające w oczach. Stare dęby, polana między nimi, splątane korzenie. Upadek jak z najwyższego drzewa, miękki dotyk mchu i zapach mokrej ziemi.

I wreszcie ręka dziedziczki gładzącej go po czole.

– Śpij... Śpij, panie Szymański.

Więc usnął, pierwszy raz bez bólu i cierpienia.

Schronisko w puszczy

Zbudził się z omdlenia niczym z głębokiego snu, na polanie zasłanej brązowymi liśćmi. Ogromne dęby górowały nad nim jak posągi, grube konary unosiły się w przepłotach ku niebu, korzenie rozsadały murawę, wiły jak węże, splątane, czarne, groźne. Za kręgiem drzew wznosił się bór. Wielka i głucha puszcza, polski las – schronisko dla wszystkich buntowników i powstańców, kawałek dzikiej, niepokornej Rzeczypospolitej, której nigdy nie zdołał podbić i ujarzmić żaden zaborca.

Szymański leżał na posłaniu z gałęzi i mchu, nakryty grubym, niedźwiedzim futrem.

Kiedy poruszył się, poczuł, że jego rany obandażowano grubo i sprawnie. Czuć w lewym ręku wracało z wolna.

Nie było bólu; nie było cierpienia, nie było gorączki. Wiatr świętokrzyski przyniósł woń dymu z pobliskiego ogniska, więc powstaniec wstał. Narzucił na ramiona kozuszek i rogatą czapkę; nie były to jego rzeczy, ale leżały całkiem udatnie. Kiedy przesunął ręką po czole, wyczuł między brwiami małą grudkę błota. Zdrapał ją z wysiłkiem... To była zaschnięta krew.

Polana wyglądała na tak zdziczałą i zapomnianą, że sam Mickiewicz lepiej nie odmalowałby jej swym lotnym piórem. Ledwie Jakub Szymański spojrzął na stare drzewa i gąszcz tarniny, od razu domyślił się, że w takim mateczniku prędzej spotka niedźwiedzia, niż kozacki patrol. A jednak ktoś był w obozowisku, bo między korzeniami zobaczył głębokie koleiny, które mógł zostawić tylko wóz. Partia powstańcza? Któż inny mógłby zapuścić się tak głęboko w lasy pod koniec zimy 1863 roku.

Jego wybawicielka siedziała przy ogniu. Czekala? Czuwała?

Szymański podszedł do niej. Siadł na zmurszałym pniaku, spojrzął pochmurnie w ogień.

– Którego dziś mamy?

– Nie liczę dni – głos miała chropawy i nieprzyjemny. – Drugi, albo trzeci marca.

– Zjawiłaś się pani we wsi nagle... Jakby ktoś strzelił z bicia. Widziała mnie... pani, jak szedłem z pola bitwy?

– *W wnętrzościach mogił szlocha lud i szlocha serce krwawe...* Skąd znasz te słowa?

– To jest wiersz.

– To jest twoje życie. Podziękuj muzie od poezji, bo gdybym go nie usłyszała, gnąłbyś w więzieniu w Kielcach, albo w dziesiątym pawilonie Cytadeli. O ile, rzecz jasna, nie skończyłbyś w drodze pod moskiewską nahajką.

– A jednak podziękuję właśnie pani.

– Pamiętasz pan, jak szło dalej?

– Co?

– Wiersz.

Armat śpiżowych tętni grzmot

i tętni serce krwawe.

Bagnety pełzną pjanych rot

i pełźnie serce krwawe.

Zadrgały bruki rżniętych miast

– zadrgało serce krwawe.

Wampiry gaszą wieczność gwiazd

i gaszą serce krwawe...

– Deklamujesz pan z taką swobodą, że, jak domniemywam, człowiek, który to pisał, jest pańskim znajomym.

– To Adam. Nasz pan. Ze dworu w Jeziernej. Pan dziedzic... od poezji.

– Czy pan wie, co się z nim stało? Zginął? Słyszałam, że był z wami w partii rawskiej.

– Nie widziałem go między poległymi.

– Jak blisko niego pan był w bitwie?

– Szarżowaliśmy na Moskali z ułanami, zaraz po tym, kiedy Azjaci wystrzelali batalion Grudzińskiego. Pan Adam był tuż obok. Widziałem go, póki pod moim koniem nie rozerwał się granat. A kiedy uciekałem, nie znalazłem jego ciała między trupami. To znaczy, że nie zginął. Jeśli uszedł, to razem z Pustowójtówną i resztą oddziału.

– Langiewicz poszedł za Łosośną. Wycofał się. Jedni powiadają – do Bolmina, a drudzy – do Wąchocka.

– Pani go szukasz?

– Langiewicza?

– Pana dziedzica.

– Szukam? Tak. Masz pan rację – chcę go odnaleźć, zanim moskiewska kula i bagniet zrobią z pana Adama kolejnego wieszacza. Bo zawsze jakoś tak się składa, że każdy polski bohater, to martwy bohater. W każdym bądź razie jeszcze nie zdarzyło mi się spotkać żywego. Wyjąwszy tych, co dogorywają na Syberii.

– Uratowałaś mnie dla poezji pana Adama? Zobaczył jej oczy – ciemne i smutne, patrzące z pogardą i żalem.

– Nie miej żadnych złudzeń, panie Szymański.

– To słowa cara. Pani sprzyjasz Moskalom? Zaborcom?

– Sprzyjam wyłącznie zdrowemu rozsądkowi. Uratowałam cię, bo myślałam, że dzięki tobie znajdę tego waszego... pana dziedzica od poezji. Teraz wiem tylko tyle, że pewnie jeszcze żyje i włóczy się gdzieś po lasach. Wiele was łączyło?

– Pan Adam był dla mnie jak ojciec. Mojego zabili chłopci... Kłusownicy w lesie, ponad dwadzieścia lat temu. A on kazał mnie uczyć. Posłał do szkół, do Rawy. Bo ja nie jestem żaden włościanin, ale szlachcic... Obywatel. Choć majątkości straciliśmy w powstaniu trzydziestego pierwszego roku.

– Byłeś wać z panem Adamem w Paryżu?

– Byłem tu, kiedy wrócił z Francji. Pamiętam jak dziś, dwa lata temu nagle przyjechał do wsi, zwołał gromadę, potem dał ziemię włościanom. A kiedy Rząd Narodowy ogłosił manifest, rozdał nam broń i konie z folwarku. Bo musi pani wiedzieć, że u nas cała wieś poszła do lasu. Poginęło wielu chłopca pod Słupią i Małogoszczem. Oni w oddziale u Jeziorańskiego byli za kosynierów i żuawów.

– Taki człowiek nie powinien zginąć.

– Co panią z nim łączyło? Jeśli mogę spytać...

– To był i jest jedyny człowiek w Polsce, który umie przekuć ducha poezji na żelazo. A żelaza potrzebujemy, aby bić Moskali. Pozwól pan jednak, że prawdziwe powody, dla których chcę go znaleźć, zachowam wyłącznie dla siebie.

– Jestem pani wielce zobowiązany, dlatego chcę pomóc.

– Nie wyleczyłeś się pan jeszcze z marzeń o zwycięstwie? Następnym razem Fortuna nie będzie aż tak łaskawa; nie wykpisz się raną od bagnetu i kuli. Co zrobisz, jak cię Moskale wezmą żywcem? Nie myślisz chyba, że kiedy cię puszczą przez zieloną ulicę, wiersze pana Adama będą twym puklerzem. Panie Szymański – ty naprawdę liczysz na to, że zwyciężycie?

– Polska żyje i żyć będzie wolą samodzielną, a jej dzieci wolą zginąć na polu walki z hordami najeźdźcami Azji, niż przebywać w niewoli i upodleniu.

– Kiedy jest zima, możecie przemykać się po lasach jak wilki. Jednak gdy nastanie wiosna i lato, car rzuci przeciwko wam trzysta tysięcy wojska. Niechaj tylko przycichnie insurekcja na ziemiach zabranych. Dziś już walczycie jeden przeciwko dziesięciu, a co stanie się, gdy nadejdzie sroga kupa Moskali? Czym chcecie się obronić przed carem? Dekretami tych durniów z Warszawy? Kto wam pomoże?

– Musimy wytrwać do wiosny, bo wtedy Napoleon* niechybnie zaatakuje Prusy, a Austria – Rosję. W Gdańsku zaś wylądował korpus angielski...

Panna parsknęła tak złośliwym i zimnym śmiechem, że Szymański mimo woli poczuł ucisk pod sercem.

– Powstanie wstrząśnie sumieniem Europy...

– Od kiedy to kurwy mają sumienie? – spytała takim głosem, że pan Szymański aż zadrżał.

– Pani mówisz jak ulicznica – rzekł wstrząśnięty. – Nie godzi się słuchać takich słów z ust kobiety...

– Lepsze są żołnierskie słowa płynące ze szczerego serca, niż takie wersety, którymi napycha wasze puste łby Rząd Narodowy i cały zastęp poetycznych durniów, którzy powinni raczej smalić koperczaki do pensjonarek, a nie dowodzić powstaniem. Ach, mój panie, znam ich odezwy na pamięć. Nikczemny rząd najeźdźczy, rozwścieczony oporem męczzonej przezeń ofiary, zrzucić przeklęte jarzmo lub zginąć! Po strasznej hańbie niewoli. Po niepojętych męczarniach ucisku doprawdy niepojęta i niezachwiana jest głupota tych, co myślą, że samym żarem serca przegnąją stąd Moskali.

– Szkopuł w tym, że pan Adam jest jednym z tych... poetycznych durniów – jak pani raczyłaś ich nazwać.

– Oby nie stał się kolejnym trupem poetycznie użyźniającym polską ziemię. On jeden godzien jest tego, by dalej żyć.

– Nie będzie chciał, jeśli ojczyzna nie zostanie uwolniona. Pani nie wierzy w zwycięstwo powstania?

* Mowa oczywiście o Napoleonie III

– Jestem Justyna Grotowska, a nie żadna pani. Tak, wierzę. Mój mąż też wierzył. Póki go nie rozsiekali na kawałki. Na krwawe strzępy. Głowa osobno, ręce osobno, nogi...

Szymański milczał.

– Car utopi powstanie w polskiej krwi, dlatego nasza walka okaże się zwycięska, tylko jeśli będzie prowadzona we właściwy sposób. Nie wygracie, wystawiając się na kule i śpiewając *Boże, coś Polskę*. Moskale chcą uczynić piekło na ziemiach Królestwa Polskiego. A zatem stańcie się diabłami. I zabijajcie ich tak, by wiedzieli, że giną.

– Dziwne słowa w pani ustach.

– A czego spodziewasz się po kobiecie, której męża zabito, a dwór spalono? Mam być jedną z tych żałosnych dzierlatek, których pełno w polskich bajeczkach? Durną pannicą, co będzie wyszywać panu orzełki na czapraku, szlochać i modlić się za powodzenie insurekcji? A gdy trafisz pan do niej zakrwawiony, cierpliwie opatrywać twoje rany, zaś kiedy wciągniesz do łóżka – wszak z księdzem i z polskim powstańcem to nie grzech, to przysługa ojczyźnie – będzie ci deklamować *Pana Tadeusza* w poczuciu dobrze spełnionego obowiązku każdej polskiej niewiasty?

– Co ty opowiadasz, pani?!

– Boli? To dobrze. To znaczy, że wreszcie zdrowiejesz. Jak mniemam, także na umyśle. A to już znaczy, że możesz iść ze mną.

– Dokąd?

– Odnaleźć twego pana Adama. Idziesz czy wracasz do domu, mości rycerzyku?

– Pójdę z panią. Tylko gdzie mamy iść?

– Zobaczysz. Wszystko pokażę.

Ludzie czy szakale?

Justyna zwietrzyła zasadzkę z daleka. Jeszcze zanim wjechali w płytki jar okolony świerkowym lasem, wskazała ludzkie cienie skryte wśród drzew. Miejsce, w którym się przyczaili było tak oczywiste dla zorganizowania napadu, że aż trudno było nie oglądać się na boki z rewolwerem w ręku. Całkiem jak w bajeczce dla dzieci – wąwóz ograniczony dwiema ścianami lasu, środkiem którego biegł rozjeżdżony trakt na Opatów.

– Wy tam! Wyłaźcie! – krzyknęła Justyna, wstrzymując konia i podnosząc nahajkę.

Chociaż wykryci w porę, napastnicy nie zmienili planów. Wyszli spoza drzew, popędzili w stronę konnych. Szymański najpierw odetchnął, bo nie wyglądali na Moskali ani chłopów. To byli powstańcy, leśna partia, wyniszczona i obdarta, oderwana moskiewskim granatem od swojego oddziału. Ludzie w kozuchach dziurawych jak rzeszoto i czamarach podszytych

marcowym wiatrem. Nie byli to już tyralierzy, żuawi, kosynierzy czy ułani, ale po prostu banda wygnańców pędzona po gościńcach przez głód i równie niebezpieczna, co stado zdziczałych psów.

– Stać! – ryknął Szymański, kładąc rękę na kolbie colta, którego dostał od Justyny razem ze starą, polską szablą. – Z czyjej wy partii?! Co tu robicie?

Nie zatrzymały ich słowa, ani doprawdy epicki rozmiar lufy dragoona. Odkryci i wypatrzeni w lesie, skoczyli na ofiary jak wilki. Pierwszy – zarośnięty aż po same oczy, z długimi płowymi wąsiskami, w utyłanej w błocie konfederatce – od razu wyciągnął rękę, chcąc chwycić wodze konia pana Szymańskiego. Jakub zaświecił mu bronią w oczy.

– Kaszę dawajcie! – wycharczał powstaniec. – I konie.

– Kto tu dowodzi? Gdzie dowódca?!

– Uciekli... Dwóch ich było.

– Od Miechowa idziemy... Z partii Kurowskiego – załkał niski i szczupły młodzik, z gołą głową, potarganym włosom i smutnym obliczem ozdobionym okrągłymi, drucianymi okularami. Trząś się i dygotał; wyglądał jak chodząca kupa nieszczęścia. Widać było jak na dłoni, że jego wyobrażenia o polskim czynie zbrojnym, Królu-Duchu i dziejowej peregrynacji znacząco odbiegały od powstańczej rzeczywistości. I tak jak każdy zwykły człowiek wołał stać się zwykłym rabusiem, niż umarłym z głodu męczennikiem narodowym.

– Na ziemię! – Wąsacz chwycił juki Szymańskiego. – Dawaj pan jedło! Schodź!

– Chcesz kaszy?! – spytała ze złym błyskiem w oku Justyna, która znalazła się tuż obok Szymańskiego. – Masz, skurwysynu! Nażryj się do syta.

Jednym ruchem sięgnęła do worka na obrok. Sypnęła z zamachem garść owsa i sieczki prosto w twarz powstańca.

Wąsacz podniósł złe, czerwone oczy na dziedziczkę, rozdygotana ręka opadła mu do pasa, za który wetknięty miał pistolet.

– Ja was pozabijam, psie krwie! – zaryczał.

– Spokój! Opanujcie się! My nie Moskale! – zaoponował Szymański.

– Zabij psich synów! – syknęła Grotowska. – Co, kozojeby, boicie się niewiasty i jednego mężczyzny? Krowy wam jebać, nie do lasu z partią chodzić!

– Co ty mówisz?! – wybełkotał przerażony Szymański, bo wszystko już wymykało się spod kontroli. Do diabła, nie po to wyczołgał się ze stosu trupów pod Małogoszczem, aby teraz zginać od kos i pik swoich towarzyszy broni. – Apeluję o spokój!

– Chodź tu i weź sobie jedło! – Justyna zdawała się go nie słyszeć. – Boisz się, tchórze, kobiety? Moskiewskie psy jajca ci z korzeniami wyrwały?!

Jednym ruchem wysforowała się do przodu, smagnęła nahajem w łeb powstańca, strącając sfatygowaną konfederatkę.

– Bierz co chcesz... Jeśli potrafisz!

Wąsaty szarpnął za rękojeść pistoletu.

– Stój! – huknął Szymański. – Opanuj się, panie!

– Zabij go!

Wąsaty wyszarpnął pistolet... Szymański dojrzał wykrzywione wściekłością oblicze, zimne oczy.

Colta już miał w ręku, odciągnął wierzchem lewej dłoni kurek, bębenek obrócił się z trzaskiem, a palec nacisnął na spust. Wypalił wąsatemu prosto w łeb, odwalając kawał czaszki.

Coś przestawiło się w głowie Jakuba, coś pękło. Uderzył konia ostrogami, wpadł między powstańców, wymachując dymiącym rewolwerem. Odciągnął kurek jeszcze raz.

– Złożyć broń, bo was wystrzelam jak psy! Co to ma być, do ciężkiej cholery?!

Czerwony, ogorzały powstaniec w kożuchu szarpnął za pas przecinający pierś. Chwila i miał w ręku karabin.

Sekunda i mierzył w Szymańskiego...

Jakub naciskał spust; o jedno мгновение oka szybciej! Dwa strzały huknęły prawie natychmiast. Kula z dragoona uderzyła ułamek wcześniej; pocisk z belgijskiego karabinu ćwierknął przy policzku Szymańskiego jak wróbel, a człek, który go wystrzelił, padł na wznak, zadygotał, zacharczał w kałuży krwi.

Justyna strzeliła tylko raz – prosto między oczy draba z kosą, który zamachnął się z tyłu na jej kompana. Szymański położył trupem kolejnego buntownika; trafil niecelnie, w ramię. Poprawił strzałem w brzuch, posyłając charczącego i krztuszącego się powstańca na ziemię.

A potem, razem z Justyną, wpadli na nich konno, rozproszyli, złamali do reszty. Szymański rąbnął kolbą w głowę jedyne uciekającego.

Reszta zbiła się w bezładną kupę najeżoną kosami i lancami. Dyszącą, dygoczącą, lecz niezdołną wykonać żadnego, tyleż rozpaczliwego, co żałostnego gestu. Z oddziału pozostali najmłodsi, niektórzy nieledwie dzieci. Szymański widział ich twarze umazane błotem, bez wąsów i zarostu. Biedne szczeniaki...

– Co teraz? – syknął Szymański do Justyny. – Uchodzimy?

– Oszalałeś?! Przejmuj komendę!

– Ja?

– Nie, książę Poniatowski! Bądź mężczyzną! Choć przez chwilę.

Szymański podjechał do grupy, opuścił dymiący rewolwer.

– Kto tu najstarszy stopniem?

Cisza.

– Kto starszy, pytam! Podoficer!

– Lewicki... Był... – Młodziak w okularach pokazał wzrokiem wąsatego draba spoczywającego na środku traktu.

– Winni niesubordynacji zostali ukarani! – zagrzemiał Szymański. – Wiecie, co grozi za napaście i gwałty na drogach? Wiecie, wy... – brakło mu słów.

– Grozi szubienica z wyroku sądu polowego – rzekł zimno drugi z powstańców. Młody, miał może ze dwadzieścia lat i szlachetne, posępne oblicze.

– Doskonale. Zamierzaliście nas zabić? Jak Moskali?

– Odpowiadać! – krzyknęła Justyna, zajeżdżając powstańców z drugiej strony.

– Nie jedliśmy – powiedział ktoś – od sześciu dni!

– Dowódca nas zostawił... Porucznik Kochański...

– Drugi był Zakliczyn, uszedł... Nie wiemy, gdzie.

– Nie chcieliśmy was zabijać – mruknął czarniawy. – Umieramy z głodu.

– Na mocy prawa wojennego przejmuję nad wami komendę! – rzekł Szymański, starając się, by każde jego słowo brzmiało jak grzmot pioruna – jak ująłby to pewnie niejeden polski poeta tworzący wiersze w zaciszu rodzinnego dworku. Niestety, w obecnej sytuacji miał wrażenie, że jakakolwiek mowa brzmiałaby równie przekonywająco dla tych zdziczałych z głodu ludzi, co dźwięk wypróżniającej się krowy.

– Kiedy będziemy jedli?

Krótki, grzący strzał poskutkował lepiej niż najostrzejsze słowa. Opadające z łoskotem ciało. Przerazenie na ogorzałych, brudnych, zarośniętych obliczach.

Tego nie uczynił Szymański. Nie chciał... Nie mógłby. Ale nie mógł zaprzeczyć, że jego ręka sama podniosła broń do strzału.

– Każdy przejaw niesubordynacji zostanie ukarany. Rozumiecie, skurwysyny?! Albo będziecie maszerować, albo was powystrzelam jak psy!

– Ktoś się nie zgadza? – spytała szyderczo Justyna. – Ktoś protestuje?

– Zabieram was na poszukiwanie najbliższego oddziału polskiego – ciągnął Szymański. – Potem zdam dowodzenie i sprawę z tego, co uczyniłem. Bacność! Gotuj broń! Za chwilę chcę widzieć wszystkich w szeregu! Nie jesteśmy w burdelu, ale w wojsku!

Dziwna rzecz, ale posłuchali. Pewnie dlatego, że Szymański nie zawahałby się poświęcić ostatnich trzech kul, by zaprowadzić ład i porządek. Prawdę powiedziawszy, gotów był strzelić w łeb co drugiemu, byle tylko ująć ich w żelazne karby dyscypliny.

Najpierw odpiął i zrzucił na ziemię juki, które zabrali z leśnego obozowiska.

– W tych workach jest jedzenie. Daję wam kwadrans na posiłek. Pan – wskazał na czarne – podziel wszystko równo i sprawiedliwie. A pan – wskazał na okularnika – zbierz broń i kule zabitych. I rozdziel je między wszystkich.

– Tak jest, panie poruczniku.

Gdyby nie rewolwery Szymańskiego i Justyny, pewnie rzuciliby się na jedzenie jak wilki. Ale dwie lufy wystarczyły, by suchary i suchą kielbasę rozdzielić równie sprawiedliwie, co dworską ziemię między chłopów dekretem Rządu Narodowego.

Potem Jakub zobaczył, że Justyna klęczy przy tym z powstańców, który został ogłuszony. Dotykała jego głowy, coś robiła. Zapewne cuciała. Zbędny wysiłek; Szymański najchętniej obudziłby szelmę kopniakiem.

Podjechał do posilających się.

– Jak się pan nazywasz? – wskazał rewolwerem czarniawego.

– Telesfor Mickiewicz.

– Z Litwy?

– Też. Ale i z Radomska.

– Panie Mickiewicz, mianuję cię podoficerem. Tymczasowo. Zbierz połowę ludzi i uformuj z nich choć pół plutonu.

– Tak jest!

– A pan – wskazał okularnika – jak się zowiesz?

– Jan Hercel! – wyjąkał stropiony młodzian, pewnie student, albo syn rzemieślnika z Królestwa.

– Będziesz drugim podoficerem. Proszę zebrać resztę oddziału i uporządkować. Pioruneeem!

– Tak jest, panie poruczniku.

Właśnie awansowałem – pomyślał z przekąsem Szymański, który w oddziale Jeziorańskiego był zaledwie szeregowcem. Ale tak już było w powstaniu, że ten był sobie rotmistrzem, majorem czy pułkownikiem, kto tylko potrafił zebrać w lesie lada jaką partię z sąsiadów i rodziny.

– Trójkami w lewo marsz! – zakomenderował, gdy z żelaznych racji zostały wyłącznie okruszyny; nie bacząc, że rozkaz stosował się bardziej do kawalerii niż do piechoty. – Ja zaraz dołączę.

Posłuchali bez szemrania. I dobrze, bo szkoda było dobrych kul na Polaków. Posłusznie weszli między drzewa.

Szymański został na trakcie, przy trupach odartych już z wierzchnich okryć i broni. Stał nad nimi na koniu i zdjął czapkę, bo nagle dotarło do niego, że... Pozabijał swoich.

Co ja zrobiłem? O Boże, co ja zrobiłem! – zawył w głębi duszy.

Zadygotał, pochylił się w kulbace, a potem, mając w pamięci tryskającą krew, przed oczyma martwe ciała, a w nozdrzach kwaśną woń prochu, zwymiotował jak pijany żak, jakby wraz z zawartością żołądka wyrzucił z siebie całą swą wrażliwość i cierpienie. A z nimi zapewne i duszę.

Co on zrobił? Co on uczynił?! Szymański nie poznawał siebie samego.

Otarł usta rękawem i wtedy rozległ się trzask. Poczul ból w policzku, a przed sobą ujrzał Justynę.

– Opanuj się, babo! – syknęła jak kocica. – Jeszcze cię zobaczą.

– Co ja... Co ja...

– Stul gębę! I wydaj jakiś rozkaz! Ludzie na ciebie czekają!

– Ja nie wiem – wybełkotał – dokąd? Dokąd mamy iść?

– Cicho!

Daleko, z północy niosło się echo strzałów. Bitwa? Potyczka? Langiewicz? Niedobitki? Jakaś nowa partia?

– Rozkaz wydał się sam. Idziemy sprawdzić, co się dzieje.

Na pobojuwisku

Rozległa leśna polana otoczona koliskiem smukłych jodeł była już tylko pobojuwiskiem, a nie polem chwały. Leżało na nim krwawe wiano, jakie w swym ślubnym prezencie składał naród polski nowej Rzeczypospolitej, która wyłonić się miała z bitewnego zamętu. Zwłoki buntowników wystrzelanych i wybitych co do nogi przez moskiewską dragonię i Kozaków dońskich. Leżeli na stosie, głowami zwróceni w różne strony świata – co było znakiem, że zostali po prostu otoczeni wśród drzew, po czym bronili się w kupie do ostatniego kapiszona, kuli i miarki prochu.

Trupy ograbiono – Moskale zapewne zabrali tylko broń, buty, kosztowności. Ludzkie hieny i szakale, które ciągnęły do lasów na najlżejszy nawet odgłos bitwy, zabrały im czamary i kozuchy, medaliki i szkaplerze, czapki i pasy, pozostawiając ciała obdarte do szarawarów i galotów.

I jak to zwykle w Polsce bywało, wśród trupów nie było ani jaśnie wielmożnych panów hrabiów Wielopolskich, Miniszewskich i Zybkiewiczów, ani też prostych Maćków, Borków i Antków spod znaku i herbu słomianych chałup. Ci pierwsi mieli bowiem wiekowe garby na grzbietach i portki powycierane od przyklękania i zamiatania posadzek przed jego królewsko-carskimi mościami. Drudzy zaś rozumieli z powstania tyle co wół z urzędowego pisma.

Któż zatem leżał na krwawym polu? Szymański widział oblicza pokryte plamami krwi i czytał w nich jak w otwartej księdze. Książdz, wikary, dziedzic, oficjalista dworski, student, czeladnik szewski, stolarz, organista, nauczyciel z wiejskiej szkoły, gajowy, rządca dworski, subiekt, Żyd i kupiec... Ci, których władza Moskwy gnioła nieznośnym ciężarem, a do stracenia mieli tylko swoją wolność. Zbyt bogaci, by być jak robocze woły, a zbyt odlegli od bywalców petersburskich salonów, aby patrzeć na rzeź Polski przez lorgnon.

Nie było wśród nich pana Adama. Szymański i powstańcy rozglądali się wśród poległych. Odsuwali i przenosili trupy, krążyli wokół polany, sprawdzając, czy gdzieś w ostępach nie utaił się choć jeden zbieg z pola bitwy.

Na próżno.

– Panie poruczniku – odezwał się nagle Hercel. – Ja naszych braci poznaję. Ci tutaj są z pułku Langiewicza. To jest Słoński, a to Wrona – obaj byli z Szydłowca, poszli do partii, co się zbierała w Wąchocku, a potem pod Małogoszcz.

– Szukajcie dalej. Chcę wiedzieć, kto nimi dowodził. Szukajcie rozkazów i dokumentów.

Sam w to nie wierzył; który Moskal zostawiłby papiery przy trupach? Choć z drugiej strony zdarzało się, że carscy żołdacy nie mieli czasu na dokładne obszukiwanie zwłok, zadowolając się łatwym łupem. Dla przeciętnego, moskiewskiego niewolnika złote ruble, machorka, buty czy srebrny szkaplerz były o wiele lepszym zyskiem niż polskie papiery, cenne dla dowódcy, lecz dla zwykłego żołnierza dobre najwyżej do skręcenia cygareta z machorki.

– Patrzcie panowie, jakiś dziennik! – zakrzyknął Mickiewicz.

– Pokaż, chłopcze!

Jakub z ciekawością chwycił niedużą książkę formatu in octavo, oprawioną w brązową skórę, podniszczoną na brzegach, pokrytą brunatnymi plamami zakrzepłej krwi. Otworzył okładki, ujrzał karty papieru zapisane drobnym, odręcznym pismem...

Jak zwiędłe liście czernią me kroki na śniegu,

Noc cicha, błękitna mimo chmur.

*Błyskają ognie gdzieś z tamtego brzegu –
wśród gór.*

Noc cicha – mimo chmur – mimo zawiei.

*Noc twórcza. Patrzę uśmiechniony
w życie i śmierć. Jam brat Amaltei,
ale z niebiosów strącony.*

*Apollo – Helios – Agni –
więcej ma duszo – nie pragnij.*

*Noc cicha, twórcza – borów szumy –
nad morzem księżyc skrzy –
w głębinie widzę tummy
i wieże trzy.*

*Na czarnej wieży biją dzwony –
to człowiek pogrzebiony.*

*Na purpurowej groźne strażę –
tam przeznaczenie każe.*

*W trzeciej – co zowie się królewska –
lampa niebieska –
to Ty!*

– Justyna! To jego wiersze!

– Co?

– Wiersze pana Adama... od poezji. On był tutaj! Walczył! To jego dziennik!

– Pokaż!

Jak wilczyca porwała niewielki dziennik, przerzuciła poźółkłe karty, przymknęła oczy i powąchała, jak gdyby w fetorze świeżo przelanej krwi i smrodzie ludzkiego łajna – towarzyszącego zawsze poległym – szukała tej jedynej, niepowtarzalnej woni poety.

– Był tu! Moskale go wzięli!

– Albo przeżył bitwę. Jest blisko. Czuję to.

– Czym? Sercem?

– Znalazłam dwa tropy. Jeden Moskali – wiedzie na wschód – powstał zaraz po bitwie. Drugi prowadzi na południe. Do Wądołów. Chłopi tu przyszli i stawiam moją cnotę, że to właśnie oni ograbili powstańców, a jeśli kto przeżył bitwę, zabrali go ze sobą. Tak czy owak mogli skraść jakieś rzeczy pana Adama.

– Co robimy?

– Pójdziemy do wsi, wypytamy włościan, co tu się stało i czy widzieli ocalonych.

– Chłopi nam nie sprzyjają.

– Spalimy wieś, jeśli okaże się, że zdradzili.

– Co takiego?! – niemal zakrzyknął Szymański. – Samosąd... Bezprawie. Powstańczy sąd skáže nas za to na śmierć! To niegodziwe, postąpić tak z przyszłymi obywatelami, którym Rząd Narodowy dał wolność i ziemię.

– Ci obywatele chcieli cię wydać Rosjanom!

– Czy to ich wina, że nie wiedzą, iż powinni być wiernymi Rzeczypospolitej?

– Mamy za mało czasu, aby nauczyć tych kozojebów miłości do ojczyzny. Zostawmy to szkołom w wolnej Polsce. Dziś liczy się tylko zwycięstwo, a oni są przeszkodą na drodze do niego. Zaczniemy zatem pracę u podstaw z polskim ludem, pracę organiczną – rzekłabym mądrymi słowami. I sprawmy, by w imię ojczyzny bardziej bali się nas, niż carskiego wojska. Bo wtedy nikt już nigdy nie wyda naszych braci.

– *Uuuu, cha, cha!* – rozbrzmiał chamski, chropawy głos tuż przy uchu porucznika. – *Takie gadki to my już słyszeli. Ty se gadaj, a tu jest prikaz. Chodź bracie z dobrowoli!*

– *Kajżeś buty zgubił, panie wolność?*

– *Buntownik! Powstaniec! Miatieżnik! Polak!*

Szymański przymknął oczy. A kiedy je otworzył, były jak dwie studnie bez dna. Diabeł mógłby pić z nich do woli nektar nienawiści. I cieszyć się, że ci, co wyruszyli bić się za Polskę z Bogiem, tak szybko doszli do przekonania, że całkiem sprawnie można walczyć o nią także mimo niego.

– Zbierać się! Ławą marsz! – zakomenderował. – Idziemy do wioski, gdzie mogą być nasi bracia. W Wądołach znajdziemy żywność, konie i przyodziewek. Moskali tam nie ma. Ruszać się! Za kwadrans chcę wszystkich widzieć na nogach!

Zdrada i kara

– Patrzta, chłopy, jeszcze jeden z lasu!

– Buntownik ani chybi.

Szymański podjechał wolnym klusem do gromady chłopskiej przed karczmą, na skraju wioski. Sam jeden, z nahajką w ręku.

Nie musiał się rozglądać, prowadzić śledztwa czy wypytywać o losy powstańców z rozbitego oddziału. Chwilę wcześniej przed domostwo zajechały dwa wozy wyładowane kozuchami, pasami, sztucalami i karabinami poległych. Były tam także wojskowe kulbaki, czapraki, ogłowia. Za karczmą dwaj pastusi gnali batami niewielki tabuniki koni – pewnie połapanych wokół poboju.

To wszystko wyglądało doprawdy przerażająco.

Stanął przed tymi, którzy prawie dwa tygodnie temu chcieli go wydać Moskalom jak psa. Poznawał w gromadzie wielkiego jak góra sołtysa w kozuchu, z zawieszoną na piersi blachą, pieczystego chłopka w watomanej siermiędze, jak i czarnego chama bez przednich zębów, wiejskich parobków, chłystków i wsiowe baby okutane w chusty i zapaski.

– Ej, panie... Panocku! Czego wy tu?!

– To ten sam, co drzewiej... Co tu od bitwy przylazł.

– Znowu wrócił. On sam.

– A po coście tu przyszli?

– Panie... – zaczął sołtys. W obliczu konnego i uzbrojonego człowieka nie był już tak pewny siebie, jak wobec półżywego powstańca. – Ktoście wy?

– Jestem pan wolność. Nie pamiętacie? Wróciłem.

– A po co?

– Uczyć lud polski miłości ojczyzny.

– Samiście aby? – We wzroku sołtysa błysnęła lisia chytryść. A może już widział się hersztem chłopskiej partii, która odniosła wiktoria nad samotnym powstańcem; zwycięstwo, które słać będą na zabawach przyszłe pokolenia Wądołowskich chamów, przy dźwiękach kapeli przygrywającej oberki do końca świata.

– Nie trzeba więcej ludzi na waszą bandę.

– Czego kceta?

– W imieniu Rządu Narodowego Rzeczypospolitej – rzekł spokojnie i smutno Szymański – za pospolitą grabież wojenną, za pomoc carskiemu najeźdźcy, za próbę wydania powstańców wrogom narodu polskiego, skazuję wieś Wądoły na spalenie, a włościan na karę śmierci i konfiskatę dobytku na rzecz oddziałów powstańczych.

– A kto, panie wielmożny, wyrok na nas wykona? – zapytał zuchowato sołtys. – Ty sam? Na całej gromadzie?

– Zaczniemy od ciebie.

Podniósł dragoona i strzelił.

Huk zabrzmiał jak głos bitewnego werbla. Szymański spudłował szpetnie – chciał trafić w sam środek łba sołtysa, kula zaś poszła w górę, zdmuchnęła tamtemu tylko czapkę z głowy.

Lecz była znakiem do rozpoczęcia rzezi.

Na głos wystrzału zza krzaków, zza opłotków karczmy wypadli ludzie z partii Kurowskiego, niedobitki spod Miechowa, którzy zresztą mieli własne porachunki z chłopami dobijającymi rannych Polaków.

Chamy i bandosy nie zdołały nawet pisnąć. Powstańcy runęli na nich jak burza, kłując lancami, siekąc pałaszami, szablami, tnąc kosami. Huknęły dwa pierwsze strzały, potem, po długiej chwili trzeci. Niepotrzebnie, bo opór był słaby, a prochu i kul nie mieli zbyt dużo.

Włóścianie Wądołowscy nie stawiali oporu. Rozpierzchli się wśród wrzasków, nad którymi górował przerażony krzyk ubijanych. Baby i dzieci pognały do karczmy, parobkowie i gospodarze skakali przez płoty, rwali do chałup, stodół i gumien, uchodzili w pola.

Powstańcy nie dawali im pardonu. Wpadli w opłotki wioski rozwścieczeni, rozżarci jak wilcy. A potem runęli hurmem do izb i komór, do stodół i gumien, bijąc bez litości, tchu i zmiłowania.

Szymański usłyszał jak między chałupami budzi się wściekły ryk i lament, płacz bab i dziewczek miesza się z wrzaskiem zabijanych. W nozdrza uderzyła go woń świeżo przelanej krwi i kwaśny odór prochowego dymu.

– Rąbać chłopów! – zakrzyknął do ludzi z plutonu Hercla nadbiegających od lasu, przeskakujących przez strumień na zaśnieżonym polu. – Baby i dzieci wygnąć! Rabo... Rekwirować żywność i konie! Chałupy palić! I żadnych gwałtów!

Nie musiał powtarzać tego dwa razy. Powstańcy pognali za resztą oddziału, rozproszyli się między chatami.

– Justyna! Za mną!

Uderzył konia ostrogami i pognał jak wichur zniszczenia za umykającym w panice sołtysiem. Koń poszedł w galop, stratował parobka w koszulinie, przemknął przez błoto, wpadł między zagrody.

Sołtys uciekał, jakby w zadku wyrosły mu skrzydła. Szymański dojechał go w połowie wioski, rąbnął zdrowo w kark, wkładając w uderzenie całą siłę zdrowego, prawego ramienia. Nic mu nie zrobił, zaledwie przeciął kożuch na plecach; jak zwykle na wojnie, kiedy śmiertelny cios okazuje się słabym pacnięciem. A może po prostu pan porucznik nie mógł zabić bezbronnego człowieka?

Sołtys dobiegł do płotu, wgramolił się nań z trudem; zmurszałe deski pękły pod jego ciężarem, zleciał z wrzaskiem pod drugiej stronie, rozwalając ogrodzenie do reszty.

Szymański zdusił wierzchowca łydkami, zmusił do skoku ponad resztkami płotu. Sołtys pędził jak wichur, już był w obejściu, runął do chałupy.

Porucznik dopadł go przed progiem. Tym razem zajechał prosto w posiwiały łeb, obrócił

w miejscu konia, poprawił rękojeścią szabli w zakrwawioną głowę. Z boków biegli już powstańcy, widząc swego dowódcę przy chacie. Mickiewicz i kilku jego ludzi, przy nim Hercel z resztą swoich.

Popchnęli rozwrzeszczanego, krwawiącego sołtysa na ścianę; uderzył szerokimi plecami o pobielane bale, aż zadudniło.

– Nie bijcie, jasne pany! – zakrzyczał rozpaczliwie. – Ja nic nie winien! Ukazy przyszły z guberni, coby buntowszczyków chwycić i dostarczać. Ja dziatki mam małe.

– Buntowszczyki sami do was przyszli. Łap nas teraz i chwytaj, capi synu!

– Gdzieżbym śmiał, proszę łaski pana... Litości! Zmiłowania.

– Gdzie są powstańcy, których ograbiliście?! Zabiliście któregoś?

– My nie wiemy, proszę łaski pana. Nic nie wiemy...

– Zła odpowiedź.

Szymański rąbnął szablą w łeb sołtysa, od lewej do prawej, po skosie. Chłop wrzasnął, osunął się na nogach, ale powstańcy od razu postawili go na nogi. Teraz rozkrzyczał się jeszcze bardziej, zaszlochał, łapiąc się za prawie odrąbane, zwisające na skrawku skóry ucho.

– Mów, co się stało z rannymi powstańcami? Dobiliście ich? Wydaliście Moskalom?

– Nie zabijajcie, powiem!

– Daję słowo oficera polskiego, że jeśli będziesz gadał, przeżyjesz!

– Dony zabrali pobitych... Do Jędrzejowa do haresztu. Słyszałem jak gadali... Myśmy żadnego nie tknęli, ino trupy obłuskali.

– Był wśród powstańców taki wysoki, szczupły, z długimi włosami, z brodą? Porucznik, dziedzic? Pamiętasz go?

– Jakże bym nie pamiętał, proszę łaski pana... Jadam go zwali, żeby mię tak cholera pokręciła...

– Przeżył?

– Wzięli go Moskale.

Szymański przymknął oczy. Ucichły wrzaski mordowanych chłopów. Ucichły płacz bab, rżenie koni, krzyki uciekających.

Wszystko odeszło.

Wszystko na nic.

– Puścić go! – rozkazał powstańcom.

– Jak to?! – syknęła Justyna. Stała na karym koniu tuż obok. – Ten cham musi ponieść karę! Dla przykładu i potomnych!

– Dałem słowo, że nie tknę go palcem.

– Ty tak. Ale ja nie.

– Stój!

Jednym ruchem, ściągnęła gruby sznur z pętłą z przedniego lęku. Zarzuciła go na ramiona i szyję zakrwawionego, rozwrzeszczanego sołtysa. Ruszyła ku bramie.

Sznur napiął się jak drgająca żmija, szarpnął chłopem, przewrócił, powłókł go po ziemi. Pani Grotowska nie pofolgowała. Uderzyła konia ostrogami, pognąła skokiem, wlokąc za sobą wyjącego chama przez błoto i kamienie. Już po paru krokach kozuch i koszula poszły w strzępy, odsłaniając blade ciało, które wnet pokryło się błotem i krwią.

Dziedziczka pomknęła główną ulicą wioski, pozostawiając za sobą ślady podków i rów wyryty drgającym, żywym tobołem na końcu powroza. Zawróciła wdzięcznie, półwołtą w prawo, w galopie. Przemknęła obok powstańców i wozów, na które ładowali dobytek. Dopadła do zagrody, osadziła konia przed wrotami i przecięła sznur, pozostawiając w błocie zmasakrowanego wieśniaka. Podjechała do oniemiałego Szymańskiego i powstańców. Potrząsnęła sznurem.

– W dawnych czasach mówili na to arkan. Winnicie się w niego zaopatrzyć, mości panowie powstańcy, bo dobry zarówno do uczenia pokory chamów, jak i do wieszania zdrajców.

– Z pani dziedziczki to prawdziwa siłaczka – rzekł Hercel głosem pełnym podziwu. – Takiego sążnistego chłopca za koniem włóczyć... Toż ja bym chyba nie dał rady.

– Jak zechcesz to każdej dasz radę – rzekła wesoło. – Powstanie i las zrobią z ciebie mężczyznę!

Podjechała do młodego powstańca i niespodziewanie pochyliła się i pocałowała go w usta.

Młodzieniaszek z wrażenia wypuścił z rąk moskiewski pałasz. Aż zatrzęsł się, bo pewnie pierwszy raz w życiu spotkał go taki fawor.

– Dobij go – pokazała wzrokiem leżącego w błocie i gnoju na środku drogi sołtysa. – To zdrajca, arcyłotr moskiewski!

Hercel bez słowa porwał za pistolet. Chciał skoczyć w stronę bramy, ale Szymański zastąpił mu drogę.

– Co się z wami dzieje! – ryknął na młodego. – Nie było rozkazu! Schowajcie broń i stawajcie do szeregu!

– Tak jest... – Powstaniec zadygotał. – Ja... Nie...

– Do szeregu!

Szymański podniósł wzrok na Justynę, ale już jej nie było. Wypadł przed wrota, rozejrzał się po wsi; rabunek trwał w najlepsze. Powstańcy wyprowadzali wozy naładowane po brzegi ziarnem, kartoflami i workami kaszy; zaprzęgali do nich chude, chłopskie konie. W błocie, gnoju i krwi leżały pod ścianami zagród trupy w sukmanach, siermięgach i kozuchach. Baby i dzieci modliły się nad ciałami z płaczem, czasem gnały za powstańcami, starając się szlochem i prośbą skłonić, by zostawili im choć garsteczkę ziarna na zasiew.

– Nie wolno się litować! – rzekła Justyna, jak gdyby odgadując myśli porucznika. – Wądoły mają być przykładem dla całego Królestwa. Niech chamy wiedzą, co stanie się z ich dobytkiem, jeśli będą sprzyjać Moskałom.

– Ładować wiwendę na wozy! – rozkazał Szymański. – Kto umie jeździć, siodłać wierzchowce i na koń. Pozostałe brać na arkany. Podpalać!

Ostatni akt dramatu przeciągał się długo. Mokre, nasiąknięte wodą strzechy nie chciały się palić. Dopiero gdy podłożono ogień w środku, błysnęły pierwsze płomienie, a nad kominy i brogi poczęły unosić się z trzech stron smugi popielatego dymu.

– Panie poruczniku! Panie Szymański! Poznaje mnie pan?

Przez błoto przedzierał się wymizerowany, zarośnięty mężczyzna w burce, wsparty na ramieniu czarniawego chłopka. Porucznik patrzył na jego oblicze i nie mógł rozpoznać nikogo znajomego.

– Jestem Ruszczyć, z partii Langiewicza! Biliśmy się pod Małogoszczem. Panie Szymański!

Tak, teraz nagle przyszło nań olśnienie. Wyciągnął rękę do dawnego kompana. Zarośnięty, śmierdzący Ruszczyć zmienił się nie do poznania; kozacka szabla wytoczyła z niego niejedną kwartę krwi.

– Panie Szymański, ja zmiłowania proszę. Ten oto Świeca, włościanin tutejszy, przechował mnie u siebie. W chlewie ukrył. Nie palcie mu chałupy!

– Która to?

– Ta z kominem.

Szymański odwrócił wzrok. Widział, jak do wskazanej zagrody podbiegają dwaj powstańcy. Jak podkładają ogień pod strzechę – od dołu, tam gdzie była sucha.

– Przez mękę Chrystusa, pana naszego, pomiłujcie panie poruczniku – zajęczał chłop, padając na kolana przed Szymańskim. – Ja nie winowaty, że w naszej wiosce ino złodzieje i bandosy, z szelmą sołtysem Wąsem, królem koronowanym worów. Ja do lasu żywność i słomę dla was nosił, proszę łaski pana.

Szymański był panem i władcą. Mógł wstrzymać egzekucję. Mógł ocalić chałupę.

Nie zrobił nic.

– Wieś cała będzie spalona i zrównana z ziemią – rzekł powoli. – Twoja zagroda razem z innymi. A wiesz, czemu?

– Jakże to?! – zakrzyknął chłop. – Gorszyście wy Polacy jak Moskale! Za co? Za co mnie rujnujecie?! Przecież nie jestem winien!

– Za to, że mając w domu powstańca, bohatera polskiego, kazałeś mu, chamie, w chlewie siedzieć. Zapamiętaj to sobie, włościaninie. Następnym razem najlepsze łóżko oddasz, a sam z żoną maciorą w chlewie będziesz się parzył! Patrz!

Chłop nie patrzył; skłonił się, zgiał w pół, przyłożył ręce do dygocącej głowy. I tylko spod czarnych, pokrytych bliznami palców spływały krwawe łzy.

– Nie tacy byliście kiedyś, panie Szymański – rzekł Ruszczyć. – Wojna was na gorsze odmieniła. Nie tacy powinniśmy być. My wszyscy... Bo jak to?

– Bierz broń i siadaj na koń! – warknął Szymański. – Wnet Moskale zobaczą lunę i

przyjdą, a potem jak psa cię powieszają!

– Zbierać się do wymarszu! – zakrzyknął. – Panie Mickiewicz, zgarnij waść ludzi, sadzaj na wozy, konnych poprowadź do rozstaja. Ruszać się migiem!

Ruszyli wolno, obładowani łupem jak rozbójnicy z borów. Niektórzy żuli zdobyczną słoninę i chleb, inni dopijali gorzałkę z bukłaków. Wyładowane furgony toczyły się z łoskotem, grzęzły w błocie wśród świstu batów, rżenia koni.

– Dokąd teraz? – zapytał Mickiewicz Szymańskiego.

– Do lasu – wskazał głową porucznik. – On naszym domem i ostoją. Łozem i dworem. Znajdziemy legowisko, odżywimy się i pójdziemy – bić Moskali.

– Nie będziemy szukać partii Langiewicza? Pan porucznik mówił...

– Sami sobie starczymy za partię! Marsz!

– Z panem Adamem już koniec – odwrócił się do Justyny. – W Jędrzejowie stoi srogi garnizon. Już raz tam nasi zginęli, kiedy chcieli miasteczko zdobywać na początku powstania. Za słabi jesteśmy, aby się z nimi rozprawić. Potrzebujemy nade wszystko broni, bo we wsi wzięliśmy żywność, ale żołnierskiego ekwipunku tyle co nic.

– Jest ktoś, z kim powinieneś się spotkać.

– A! Emisariusz rządu?

– Ktoś, kto może pomóc odbić pana Adama.

– Gdzie go znajdę.

– W Kielcach.

– Nie zdobędziemy miasta.

– Nie musisz. Zapadniemy w lasy na dwa, trzy dni. Przez ten czas zdobędę dla ciebie zwykłe ubranie. I powiem ci, gdzie masz się udać.

Nadzieja

Miejsce, w którym Szymański spotkał się z człowiekiem polecanym przez Justynę, nie powinno było istnieć. Przynajmniej porucznik nigdy nie słyszał, by w zwykłej kieleckiej kamienicy znajdował się sekretny dom schadzek, zamtuż i karczma w jednym; a właściwie kawiarnia udająca warszawską bawialnię z krainy Guciów Potockich.

Przy niskich stołach pokrytych wzorzystymi serwetami, na ławach, na które rzucono skóry, wymoszczo wałkami i poduszkami, zasiadała zadziwiająca kompania. Moskiewscy oficerowie o spasionych, czerwonych gębach zdobionych zbójeckimi bokobrodami, dobrze oddającymi gwałtowny charakter azjatyckiej nacji. Frakowe i mundurowe towarzystwo z gubernialnych i powiatowych urzędów, gdzie wśród kaszkietów i kapeluszy, a nawet rzadko

spotykanych cylindrów, których noszenia zakazywał Rząd Narodowy, spotykało się i studenckie czaka. Ludzie tak różnych narodowości, profesji i konfraterni, że patrzącemu na nich, zgromadzonych w jednym miejscu, człowiekowi przychodziła na myśl utopia Fouriera czy Tomasza Morusa.

Wszystkie stany i rangi pogodziła swawola i hulanka. W kłębach dymu krążyły karty i flaszki wódki. Ladacznice zaczepiały oficerów, siadały na kolanach chwiejącym się amantom, jakby nie było żadnego powstania, nie płynęła krew i nie ginęli ludzie.

A jednak wszystko to odbywało się po cichu. To nie był wrzaskliwy szynk, ani hałaśliwa traktiernia. Nawet carscy oficerowie nie okazywali wylewnych uczuć, ani namiętności rosyjskiej duszy, które kazały im tłuc butelki szampana czy strzelać do luster w warszawskich cukierniach i hotelach. Siedzieli w ciszy, pałac dziwne, proste i długie fajki, czasem tylko porozumiewając się nad stołem ściszonymi głosami.

– Pogoń.

– I święty Michał – odpowiedział nieznajomy.

To było hasło jak z dziecięcej ochronki. Szymański miał wrażenie, że nawet najdurniejszy carski szpicel wyklepałby je z pamięci, bez wahania.

– Pan porucznik Szymański?

– Proszę ciszej. Tu są zaborcy.

– Oni? – Nieznajomy machnął ręką w stronę oficerów skupionych przy pobliskim stoliku.

– Proszę się nie przejmować. W tym stanie nie usłyszeliby nawet głosu trąby ostatecznej.

– Stanie?

– To palacze opium. – Mały człowieczek o rzadkiej, wystrzyżonej w szpic brodzie, z głową nakrytą czerwona czapeczką, wskazał ławę naprzeciwko siebie. – Proszę, niechże pan usiądzie.

Uścisnęli sobie dłonie. Szymański drgnął, kiedy mała, błękitna iskra przeskoczyła między rękawami surdutów. Nieznajomy miał wąską i zimną rękę.

Porucznik usiadł i bezwiednie przyjrzał się Moskałom. Wśród bokobrodów, epoletów i ciemnozielonych mundurów krążyła z rąk do rąk bambusowa fajka, ujmowana z ciężką, niczym członek świętego Włodzimierza.

– Nektar bogów. Ambrozja ludzkiej duszy, która wyzwala ducha z okowów materializmu. Przywieźli je do Królestwa z Syberii. W Chinach było przyczyną dwóch wojen z Anglikami, którzy płacą nim za jedwab, herbatę i inne towary kolonialne. Cóż, każda nacja ma swoje kłopoty. Na początek jednak porozmawiajmy o tych najbliższych, polskich.

– Kim pan jest? Powstańcem? Kupcem? Szlachcicem?

– W tej chwili i w tych czasach – graczem. Zna pan wista, mariaszka? Pokera? Szachy? To wszystko dobre dla dzieci. W grze, którą prowadzę, stawką nie są pieniądze, ale los całych narodów, królestw i kontynentów. Tak, oczywiście mam pieniądze – uśmiechnął się przyjaźnie – ale nie inwestuję ich w weksle i papiery na giełdzie, ale w politykę. Gdzie dużo

ważniejsze są koneksje i informacje. Wie pan, polityką w dzisiejszych czasach nie kręca królowie czy despoty. W większości przypadków to wypadkowa woli narodów, kaprysu tyranów, knoń przekupionych urzędników i zastraszonych ludzi. A ja trzymam w ręku na pewno nie wszystkie, ale być może dobre karty.

– I chce pan postawić je na tak niepewny interes jak powstanie narodowe Polaków?

– *A coeur vaillant rien d'impossible**, proszę pana. Nie twierdzą, że jest to inwestycja, która zwróci się po roku czy dwóch. Ale jako długoterminowy wkład kapitału politycznego obiecuje wysoki procent zysków. Bo Polska, proszę pana, kiedyś powstanie. Jeśli nie dziś, to jutro. Jeśli nie jutro, to nawet za sto lat. A ten, kto włoży w nią dziś srebrnika, dostanie ich dziesięć.

– Jak mam...

– Jestem Feliks Hamburgski. Ale proszę, może pan mi mówić po imieniu. Po prostu Szczęsny.

– Jakub Szymański.

– Jaką pomoc jest pan w stanie nam zaoferować? – Porucznik jednak nie zdecydował się na poufalskość.

– Pomoc? Ach, pomoc chciałem wam już dawno, mój drogi panie. Rosja jest tak skorumpowanym i przeżartym imperium, że kiedyś zaproponowałem, aby Polacy złożyli mi miliony, a ja rozwiążę w Petersburgu sprawę polską raz na zawsze. Oczywiście, za pomocą łapówek. Niestety, ponieważ z Polakami nic nie można zrobić, zatem postanowiłem, proszę pana, zrobić coś dla was.

– Co pan oferuje?

– To, co jest wam najbardziej potrzebne. Broń i wszelakie wsparcie, którego wymaga sprawa powstania. Oczywiście, mogę dać pieniądze. Ale co zrobi pan z nimi w lesie? Nie pojedzie pan przecież na targ. Dlatego myślę, że w pana przypadku najlepsze będzie, gdy dostarczę wam od razu to, czego potrzebujecie. Plus rzecz ważniejszą od broni i żywności. Wieści. O tym, co dzieje się na świecie, a przede wszystkim o planach wroga. O Moskalach. Jestem człowiekiem ustosunkowanym – mam dobre koneksje w Warszawie, w Petersburgu, w Berlinie i gdzie pan jeszcze chce. Pomogą nam znacznie bardziej niż najlepsze karabiny i pistolety.

– Miło to słyszeć. Rzeczywiście potrzebujemy broni i kul. Można by rzec, że spadł pan nam jak z nieba.

Hamburgski uniósł rękę.

– Powoli proszę pana. Pomogę we wszystkim i otworzę wam nieograniczony kredyt. Ale nie za darmo.

– Chce pan mojej duszy?

– Nie, nie przesadzajmy – roześmiał się Szczęsny. – Pana duszę już mam. Ja nie jestem

* Franc: Dla chcącego nic trudnego.

diabłem, proszę mi wierzyć. Nie jestem także Żydem, ani cokolwiek pan pomyśli. Urodziłem się w Królestwie Polskim, tyle, że gdy odziedziczyłem niezgorszy majątek, postanowiłem zainwestować go w politykę, a nie w handel. Napije się pan?

– Bardzo proszę.

Kelner wynurzył się z półmroku jak duch, stawiając przed Szymańskim szklanę z zielonkawym płynem. Co to u diabła było? Ani wino, ani zwykła siwucha.

Hamburski obsłużył go własnoręcznie. Położył na szklance sitko z kawałkiem cukru. Wydobył flaszę z ciemnobrązowym płynem, odkręcił korek, przechylił.

Pyk, pyk, pyk, ciężkie oleiste krople spadły na cukier, rozmoczyły go, rozpuściły.

Szczęśny zanurzył sitko w zielonkawym płynie, rozmieszał. Sprawdził pod światło, czy napój stał się klarowny.

– Co to jest?

– Laudanum, proszę pana. Rzecz znana poetom i malarzom. Zwłaszcza polskim. To coś, co uszlachetni pańską duszę. Dam panu potem flaszkę, bo może przydać się w walce. Gdyby, nie daj Bóg, został pan ranny.

Hamburski otworzył małe, drewniane puzderko zdobione w kwiaty i dziwne znaczki. Wydobył długą fajkę z kości słoniowej, otworzył przykrywkę małej lampki, zapalił ją od świecy. Odkręcił wieczko małego słoiczka, wytrząsnął do główki fajki ciemną kapsułkę i zbliżył do ognia.

– Proszę wybaczyć, że nie proponuję panu fajki, ale jest pan amatorem i przyswajając opium w takiej formie, naraziłby się pan wyłącznie na przykre mdłości. Skuteczność tego specyfiku wynika tylko i wyłącznie z pewnego układu, podobnego, jaki zachodzi między mężczyzną i kobietą. Jeśli ono – wskazał fajkę – zdoła nas oczarować, nie będziemy w stanie go porzucić. Proszę tylko nie prawić mi morałów. To tak, jakby doradzać Tristanowi, aby uśmiercił Izoldę, a panu, by znenawidził Polskę i został carskim szpiclem. Ale proszę, niechże się pan napije.

– Wolałbym wrócić do konkretów, panie Szczęśny. Czego oczekuje pan w zamian za pomoc?

Hamburski włożył do fajki małą rurkę i zaciągnął się solidnie. A potem wyjął spod stolika szklaną płytkę z malowidłem... Nie! To był czarno-biały obrazek przedstawiający szczupłego mężczyznę o pociągłej twarzy, z krótko przystrzyżoną brodą i długimi włosami skreślającymi się w delikatne kędziory. Gdyby nie powstańcza czamarka z szamerunkiem można by pomyśleć, że to wizerunek Chrystusa.

– Dagerotypia to moja druga pasja. Oczywiście, poza polityką. Prawda, że udany? – uśmiechnął się jak dziecko przyzwyczajone do pochwał i przy okazji zademonstrował poźółkłe i poszczerbione zęby. – W zamian za pomoc powstańcom żądam dwóch rzeczy. Po pierwsze, chciałbym, aby pomógł mi pan odnaleźć tego człowieka.

– To Adam. Pan dziedzic od poezji.

– Justyna powiedziała mi, że został schwytyany przez Moskali. Chciałbym uwolnić go z niewoli.

– Czego pan od niego chce?

– Proszę się nie obawiać, nie zamierzam mu uczynić krzywdy. Pan Adam jest tak wielkim poetą, że w jego duszy odbija się jak w zwierciadle cała gorycz, czar i urok naszych czasów. Tragedia powstania i Polaków. Tak wielki człowiek nie powinien skończyć na moskiewskiej szubienicy. Wiem, że został schwytyany po bitwie pod Małogoszczem. Pragnę, by pan go uwolnił, albowiem chciałbym, by odegrał znaczącą rolę w moich planach.

– Jaką rolę?

– Chcę, by stał się duchowym przywódcą powstania. Mickiewicz i Słowacki nie dożyli wielkiej chwili odrodzenia Polski. Ich wola i pragnienia odrodziły się w sercu pańskiego dziedzica. Chcę, by był natchnieniem dla Polaków. Nowym Królem-Duchem odrodzonej Rzeczypospolitej. Wie pan, ja wierzę, że tylko prawdziwi tytani i geniusze, owi swoiści „nadludzie” naszych czasów mają prawdziwe dusze.

– I pan Adam jest takim właśnie „nadczłowiekiem”?

– O tak. Jestem o tym święcie przekonany.

– Jaki jest drugi warunek?

– Chciałbym, aby czasem odnajdywał pan dla mnie ludzi, których fotografie panu przekażę. Nic wielkiego – kilku Polaków, czasem jakiś Moskal. I pozwalał Justynie, aby zajęła się nimi w szczególny sposób.

Ciekawe, co łączyło panią Grotowską i tego Hamburgskiego? Poczul ukłucie w sercu, gdy pomyślał, że może byli kochankami.

– Co takiego będzie z nimi robić?

– Nie sugeruję żadnego stosunku miłosnego. Po prostu, dokona dla mnie pewnych... nazwijmy to tak: naukowych oględzin. Nic wielkiego. Naprawdę. Nie stanie się im krzywda. Nie będzie ich boleć, nie zginą. Ważne tylko, aby pan jej w tym nie przeszkadzał.

– To wszystko?

– Oczywiście. Sam pan widzi, że moje warunki nie są wygórowane.

– Tak czy owak, stawiasz mnie pan pod ścianą. Cóż jeszcze dodać: zgoda!

Szybkim ruchem Szymański poderwał ze stołu szklanicę. Wychylił zawartość jednym haustem. Zielonkawy płyn spaliłby jego gardło, gdyby nie cukier, który był w nim rozpuszczony. Nalewka pomknęła w dół, przenicowała na skroś duszę powstańca.

– To świetnie, to wspaniale. To jedyny właściwy wybór, proszę pana. Gratuluje.

– W takim razie – Szymański skrzywił się, bo laudanum szło do głowy wyjątkowo ciężko i opornie, pewnie dlatego, że pił je po raz pierwszy – proszę teraz posłuchać, czego potrzebujemy.

– Doskonale znane mi są pańskie potrzeby. Proszę czekać na mnie za dwa dni na polanie pod krzyżem w pobliżu Korczyna. Przywiozę wam prawdziwą broń, nie te myśliwskie

pukawki, z których nie traficie Moskala na sto kroków.

– Co to będzie? Enfieldy? Sztucery belgijskie? Rosyjskie karabiny?

– Panie Szymański, proszę mi zaufać. Przywiozę naprawdę potężną broń, dzięki której zdołacie zdobyć areszt w Jędrzejowie i uwolnić z niego pana Adama.

– Czy pan wie, ile nam tego potrzeba?

– Ile wlezie. Przywiozę 100 sztuk, razem z pociskami. Prócz tego konie, kulbaki, ogłowia i co wam tylko niezbędne.

– Chyba zapomniał pan o prochu.

– Broń, którą przywiozę nie potrzebuje go.

Szymański parsknął śmiechem.

– Pan wybaczy, ale chyba nie zna się pan na sprawach wojskowych. Broń bez prochu... Chyba nie chce sprzedać nam pan łuków?

– Proszę mi zaufać. Dostaniecie coś, co pozwoli wam osiągnąć przewagę nawet nad kilkakrotnie większymi siłami Moskali.

– Choćbyśmy dostali pioruny ogniste z nieba, nie starczy tego na garnizon w Jędrzejowie.

– Proszę o odrobinę zaufania, drogi panie. Przywiozę też plan i zdradzę wam informacje, co trzeba uczynić, aby pokonać wroga. Zapewniam pana, że nie wystarczy w tym celu iść pod moskiewskie karabiny z Bogurodzicą na ustach.

– Mam nadzieję, że nie rzuca pan słów na wiatr.

– Oczywiście. Proszę, to dla pana. – Podał Szymańskiemu butlę z laudanum. – To może się przydać. Lekarstwo, panaceum na choroby, uśmierzy ból, gdyby pan został ranny.

– Czy także ból duszy?

– Przede wszystkim. Niech pan tylko pamięta, aby nie brać od jednego razu więcej jak dwadzieścia pięć kropli. Dawki można zwiększać, ale powoli. Jeśli wypije pan od razu całą butelkę, ten specyfik zabije pana szybciej, niż dopali się płomień w mojej lampce.

– Dziękuję. Czekam na dostawę.

– Oczywiście. Do zobaczenia pojutrze.

Moskale przy sąsiednim stoliku leżeli niczym martwi w oparach szatańskiego specyfiku.

Leśne przygotowania

Hamburski nie rzucał słów na wiatr. Dwa dni później przyprowadził na leśną polanę pod Korczynem dwa wozy, każdy zaprzężony w parę gniadych, rosnących koni. Furgony wyładowane były tak bardzo, że drewniane, okute żelazem koła zapadały się w wiosennym bloku prawie po same osie, pozostawiając głębokie bruzdy na trakcie. Powstańcy z oddziału

Szymańskiego ciągnęli do konwoju jak pszczoły do miodu. Hamburgski zaś, rozszczebiotany niczym szczygieł, rozkładał szeroko ręce, witając się z każdym, kto tylko chciał uścisnąć mu dłoń.

– Przywiozłem, przywiozłem. Wedle umowy. Na razie pięćdziesiąt sztuk, ale będzie ich więcej. Reszta schowana w bezpiecznym miejscu, dowiozę jak się ściemni, albo jutro z rana.

– Panowie powstańcy! – perorował, odrzucając brzeg płóciennej pałuby. – Oto oręż Marsa, broń, która zmieni bieg historii, a Polsce przywróci niepodległość. Oto najpotężniejsze strzelby, jakie znaleźć można na polach bitewnych świata.

Podniósł z wozu długi, lśniący nowością karabin, a potem wręczył go porucznikowi.

Szymański myślał zrazu, że to sztucer. Zmienił zdanie, kiedy ujrzał kolbę i łożę broni. To był karabin piechoty, długi, wysmukły, oprawiony w orzechowe drewno. Na tym jednak podobieństwo się kończyło. Zamiast bowiem wygiętego kurka z młotkiem i kominkiem na kapiszon, broń zaopatrzona była w grubą dźwignię prowadzącą w prawo, zwieńczoną okrągłą, metalową gałką.

– Oto najnowszy krzyk techniki – zakomunikował tryumfalnym głosem Hamburgski. – Karabin iglicowy, szczyt myśli i genialnej duszy Mikołaja Dreysego.

– Słyszałem o nim – rzekł Szymański. – Istotnie, tyleż ciekawy, co kłopotliwy wynalazek. Podobno na trzysta kroków trafia sześćdziesiąt, może siedemdziesiąt procent strzałów. I to w czasie o trzy razy krótszym. Czy to jest owa cudowna broń, którą pan tak zachwalałeś? Jeśli tak, to jestem co najmniej zawiedziony, bo nie wiem, czy stać nas na takie marnotrawstwo amunicji.

– Czy mógłby pan z łaski swojej wziąć swój sztucer, a mnie oddać karabin?

– Proszę.

– Pozwól pan, że się z panem nie zgodzę. Pańska opinia bierze się z niemożności wyobrażenia sobie, jak można wykorzystać w bitwie karabin iglicowy. Czy zechce pan zacząć nabijać swój sztucer, gdy powiem komendę: gotuj broń?

– Czekam.

– Gotuj broń!

Szymański chwycił belgijski sztucer. Wyrwał z ładownicy kulę zawiniętą w papier, przegryzł czubek ładunku.

Hamburgski przesunął jakiś lewarek, obrócił wielką dźwignię w lewo z metalicznym chrzęstem, odciągnął ją do tyłu, pchnął do przodu, obrócił w drugą stronę...

Porucznik wsypał proch do wnętrza lufy, wbił tam podłużną kulę.

Hamburgski zaryglował zamek, podrzucił karabin w górę.

Szymański chwycił stempel i...

Szczęśny przystawił mu broń do piersi!

– Bum, bum! Już pan nie żyje, panie poruczniku.

Jakub nie zaprzestał nabijania sztucera. Wbił kulę stemplem do samego końca, pobił ją

mocno, by rozplaszczyć w gwintowanej lufie i...

Przecież nie żył. Dopiero teraz dotarło do niego, że na normalnej wojnie nie zdołałby nawet wystrzelić.

– Czy teraz pan rozumie, panie Szymański? Z karabinu iglicowego nie musi pan celować prosto w oko wroga. Wystarczy, że luźna tyraliera strzelców zasypie go gradem kul. W czasie jednej minuty jest pan w stanie oddać nawet dziesięć strzałów. Przyjmijmy jednak, że w warunkach polowych są to trzy wystrzały. Trzy razy pociągnie pan za spust, podczas gdy wasi przeciwnicy zdążą dać ognia zaledwie jeden raz. A przecież Moskali jest trzy razy więcej niż was. Już pan rozumie, mości Szymański?

Porucznik wziął karabin Dreysego, zważył go w rękach. Dziwna, potężna broń. Obrócił i odciągnął z trzaskiem kurek, odsłaniając wnętrze małej komory na początku lufy, zaopatrzonej w małą, cienką iglicę.

– Co pan tam wkłada? Nie widziałem, by wsypywał pan tam proch.

– To – Hamburski podniósł w górę grubą, ołowianą, podłużną kulę osadzoną w papierowym sabocie – pocisk zespolony. Wystarczy włożyć go do lufy, zaryglować i nacisnąć spust. Igła przebijająca spód naboju wywołuje zapal kapiszona umieszczonego centralnie i... wystrzał. Czegóż pan chce więcej?

– Ta broń jest za długa dla kawalerii.

– Dla pańskich ułanów mam coś znacznie bardziej poręcznego. Proszę pozwolić.

Szczęśny odrzucił płachtę na drugim wozie, a Szymański poczuł zawrót głowy. Leżały tam dziwaczne, krótkie strzelby przypominające nieco myśliwskie dwururki. Tyle, że jedna lufa umieszczona była nad drugą, a dolna nie miała otworu. Spust miał dziwaczny kabłąk, podwójny, zaopatrzonej w podłużny pierścień, łożo okute było mosiężną blachą.

– Oto kawaleryjski karabin Henry'ego. Prosto z Ameryki, gdzie oddaje duże usługi na polach wojny Unii z Konfederatami. Proszę spojrzeć na tę sosnę. Niech pan wyobrazi sobie, że to jest tuzin Moskali.

Jednym ruchem Hamburski ujął strzelbę, wsunął dłoń w okrągły kabłąk, a potem niespodziewanie strzelił. Kula pomknęła do celu z ogłuszającym hukiem, sosna zakotyssała się lekko.

Szczęśny nie przeładowywał broni. Nie odciągał kurka, nie wbijał kuli do lufy. Po prostu, oderwał prawą dłoń od kolby, przesuwał kabłąk w przód i w tył. Z dołu, spod lufy wypadła z trzaskiem jakaś mała baryłka. Mickiewicz schylił się po nią, chciał podnieść; syknął – widać była gorąca.

Hamburski strzelił po raz kolejny. Przeładował kabłąkiem obok spustu. Rąbnął drugi raz, trzeci, czwarty, piąty, szósty...

Wystrzelił szesnaście razy w czasie, w którym Szymański zdołałby zaledwie jeden raz przeładować odprzodowy karabin moskiewski.

– Proszę – podał mu dymiącą strzelbę. – To dla pana. W sam raz dla jazdy. Czy już

pozbył się pan uprzedzeń względem najnowszych wynalazków? Przyznam, że tak samo postępowali Moskale w czasie wojny krymskiej, bo zachowali gładkolufowe strzelby piechoty, podczas gdy sojusznicy używali gwintowanych. Były tak celne, że niejedyn raz Anglicy zlikwidowali obsługę baterii dział, nie podchodząc nawet na odległość strzału z armaty.

Szymański nie wyciągnął ręki po karabin Henry'ego. Oglądał iglicówkę Dreysego, zatrzymując wzrok na puncy.

– Ta broń ma pruskie oznaczenia wojskowe – rzekł, przesuwając palcem po dwugłowym orle w pobliżu rękojeści zakończonej gałką. – Co pan przywiozłeś? Skąd to masz? Te karabiny musiały zostać skradzione z magazynów w Berlinie, albo Królewcu. Jeśli dostaną się w ręce Moskali, będzie z tego wielka zagraniczna awantura.

– Czy to źle, że car wypowie wojnę Prusom za dostarczanie najtajniejszej broni powstańcom? Czy europejska zawierucha, która i tak kiedyś wybuchnie, nie będzie z korzyścią dla sprawy polskiej?

Szymański milczał, bo nie znajdował odpowiedzi na to wszystko.

– Panie Mickiewicz, panie Hercel. Proszę rozdać broń i moderunek, zapoznać się z obsługą i rozpocząć ćwiczenia strzeleckie. Nie mamy dużo czasu.

Szczęśny uśmiechnął się szeroko żółtymi zębami kochanka opium.

– Jak pan wyobraża sobie dalszą akcję? – zapytał Szymański. – Jest nas zaledwie trzydziestu. Dwunastu konnych, reszta kosynierzy; niech będą strzelcy po tym, jak pan nas uzbroiłeś. Nie łudźmy się, prędzej car Aleksander ustąpi z petersburskiej stolicy, niż zdobędziemy Jędrzejów z tą bandą młokosów i dzieciuchów, którzy poszli do powstania, bo im się wydawało, że walka z Moskalami to wyprawa na grzyby! Nawet uzbrojeni w taką siłę ognia nie zdołamy opanować aresztu w mieście, w którym stacjonuje cały rosyjski batalion.

– Z tych, jak pan mówisz, dzieciuchów będą lepsi żołnierze niż ze starych weteranów. Młode dusze, to chłonne umysły – dadzą się uformować jak ciasto. Ulepimy z nich wspaniałych ludzi i dzielnych Polaków.

– Te młode dusze uciekną ze strachu przy pierwszym boju z Moskalami, tak jak uchodzili spod Miechowa, gdzie Kurowski posłał ich kolumnami pod wraże karabiny.

– Po pierwszym boju, w którym zwyciężą, nie będą czuli respektu przed wrogiem.

– Po pierwszym starciu w Jędrzejowie będziemy martwi.

– Dlatego wcale nie musimy zdobywać aresztu, aby osiągnąć powodzenie.

– Co takiego? Wszak sam pan mówiłeś, że chcesz uwolnić pana Adama? Myślisz, że wrogowie wypuszczą go na piękne oczy?

– Wypuszczą, kiedy zmusimy ich do tego w prosty i skuteczny sposób.

– Zapewne siłą perswazji...

– Tu niedaleko, w Dolimowicach, jest dwór zarekwirowany i zamieniony na bardzo ekskluzywny lazaret. Leżą tam oficerowie ranni w walkach z powstańcami pod

Małogoszczem i w okolicy, w tym wielu wysoko postawionych. Zajmie go pan ze swoimi ludźmi, zabarykaduje się w środku, a kiedy przyjdą Moskale, ogłosi pan, że jeśli nie wydadzą wam powstańców przetrzymywanych w Jędrzejowie, zabije pan wszystkich rannych. Jeśli będą zwlekać, co godzina będzie rozstrzeliwał pan jednego oficera.

– Pan oszalał?!

– Nie ja, ale Centralny Komitet Narodowy, wywołując powstanie w najmniej odpowiedniej chwili. Być Polakiem, to być szaleńcem. Szaleństwo to jedyne wyjście.

– Ależ to... To krańcowe barbarzyństwo, niegodne polskiej sprawy.

– Rosjanie jakoś nie widzą niczego niegodnego w wieszaniu was na najbliższej suchej gałęzi. Co nosi pan na boku? Nie idzie mi o pałasz. Tam, pod bandażem? Czyż nie jest to znamię po moskiewskim bagnecie, którym potraktowali pana carscy żołnierze, gdy leżał pan ranny w błocie pod Małogoszczem?

Szymański milczał.

– Nasz wróg ustąpi jedynie przed brutalną siłą. Kiedy zobaczą, że za każdym krzakiem, w każdym miejscu w Królestwie Polskim czeka na nich śmierć. Gdy będzie strzelał każdy dom i każde drzewo. Kiedy uderzymy w najbardziej wrażliwą część ich narodu – w arystokrację. W oficerów i szlachtę, która ma koneksje na dworze w Petersburgu. Niechaj kilku z nich zginie w okrutny sposób, a zobaczy pan jak szybko piękne damy zasypią cara błagalnymi listami, by zakończył tę krwawą wojnę. Niech tylko hrabiowie i książęta przestaną przyjeżdżać do Królestwa jak na polowanie – by z daleka postrzelać sobie do powstańców, a poczują się niczym zamknięci w klatce z dzikimi zwierzętami. Wtedy zobaczy pan, jak szybko zrzędzie mina wszystkim Bergom, Konstantym i Gorczakowom.

– Ani rząd, ani dowódca obwodu nie upoważnił mnie do takiej akcji.

– Jaki rząd? Jaki dowódca? Gdzie oni są wszyscy?! Panie Szymański, niech pan, do diabła łysego, przestanie być głupcem, a zacznie myśleć jak człowiek. Ten oddział i ci ludzie są ostatnią zbrojną siłą na południowych ziemiach Królestwa! Pan chyba nie wie, co się dzieje!

– Podlegamy pod rozkazy Langiewicza...

– Pański Langiewicz dwa dni temu, po bitwie pod Grochowiskami uciekł do Galicji. Dałbym głowę, że siedzi teraz w jakimś kurniku awansowanym na cesarsko-królewski areszt wojskowy. Kurowski, dawno rozbity pod Miechowem, zaszył się gdzieś chyba w obawie, że czerwoni ukręcą mu łeb za to, jak posłał ludzi na śmierć. Jeziorański, w partii którego pan walczył, także przeszedł granicę, pobiwszy Rosjan pod Skałą.

Szczęśny przypadł kocim ruchem do Szymańskiego; porucznik zobaczył jego rozpalone oczy pokryte siateczką pęknięć.

– Powstanie umiera, rozumie pan?! I musi za wszelką cenę zostać podtrzymane, dopóki w granice nie wkroczą ochotnicy z Wielkopolski i posiłki z Krakowa!

– To, co pan proponuje, nie mieści się w głowie! To zwykła podłość. Nie będę katem i

mordercą. Nawet dla Moskali.

Hamburski opuścił bezradnie ręce. Pokiwał głową.

– Taki sam... Taki sam jak... – nie dokończył. Narzucił płachtę na wóz. – W takim razie proszę sobie radzić samemu. Ja odchodzę.

– Co pan robi z tym wszystkim?! – zapytał Szymański widząc, że Szczęśny chce wsiadać na wóz.

– Zabieram broń. Proszę walczyć o Polskę cepem i kosą. Gwarantuję, że szybko zostanie pan bohaterem narodowym. Trzy stopy pod ziemią, albo na stryczku, na drewnianej belce!

– Broń tu zostaje! Rekwiruję ją w imieniu...

– Chi, chi, chi! – roześmiał się Hamburski. – Proszę bardzo. Tylko czym będzie pan z niej strzelał? Szyszkami z lasu? Te karabiny wymagają innych nabojów niż belgijskie sztucery!

Szymański rozłożył ręce.

– Ma pan zapasy takich pocisków?! – wysyczał Szczęśny, podtykając mu pod nos grubą kulę z papierowym sabotem napełnionym prochem. – Bo ja nie przywoziłem ich ze sobą. Owszem, dysponuję całym magazynem, szkopiul w tym, że jest dobrze schowany.

– Aresztuję pana i wtedy zdradzi pan jego położenie.

– I co jeszcze? Każe mnie pan rozstrzelać? Powiesić? Torturować, jeśli będę milczał?! Śmiało, bo jak była wcześniej mowa, na Moskala coś pan iść nie ma ochoty!

Porucznik milczał

– Dam panu naboje tylko jeśli przystanie pan na mój plan ataku na lazaret. I zatwierdzi go słowem honoru – rzekł po chwili Hamburski. – Proszę, niech pan się zgodzi! Niech wreszcie zobaczą zwycięstwo Polaków. To ważne dla naszej sprawy.

Szymański poczuł znów ból w ranionym boku. Zobaczył nad sobą cienie w szynelach, w okrągłych czapkach i pikielhaubach, ujrzał bagnety opadające w dół raz za razem, przebijające ciała powstańców jak ćwieki, którymi przybijano do krzyża Chrystusa.

Małogoszcz. Chwila, w której leżał pod stosem zakrwawionych trupów, bezwładny niczym Chrystus, kiedy zdejmowano go z krzyża.

Otworzył oczy; Hamburski stał obok z zimnym uśmiechem.

– Co pan... Co mamy zrobić?

Szczęśny sięgnął do wozu, wyszarpnął spod karabinów zielonkawą, rosyjską szynel, strzepnął go i rozłożył.

– Co to jest?

– Pojedźcie do szpitala w moskiewskich mundurach. Część z was na wozach, konni jako eskorta. Niech pan tak nie otwiera oczu. Będziecie udawać Moskali, którzy przywieźli rannych z potyczki. Kiedy otworzą wam bramę, chwycicie za broń, wybijecie strażników i zabarykadujecie się w środku. Szkice dworu przekażę za chwilę, proszę dać mi dwa kwadransy, a potem dokładnie omówimy cały plan. Teraz niech pan dokończy rozdawanie broni. A w ogóle dziękuję za zdjęcie!

Szymański poczuł, jakby oblała go fala gorąca. Dopiero teraz spostrzegł, że nieco dalej, między drzewami stał na trójnogu dziwny aparat – drewniana skrzynka ślepiąca na nich pojedynczym okiem soczewki.

– Dagerotyp to moja druga miłość – rzekł Hamburski. – Dziękuję za pozowanie do zdjęcia, panie Szymański. Chce pan zobaczyć?

– Pokaż pan.

Szczęśny zakrzętnął się szybko wokół aparatu. Wkrótce porucznik patrzył na szklaną, wilgotną płytkę, na której widniał czarno-biały obraz przedstawiający zarośniętego powstańca w konfederatce, z austriackim pałaszem przy boku i strzelbą Henry ego w ręku.

– Dagerotypia to zwierciadło człowieka – westchnął Hamburski. – Wie pan, czasem mam wrażenie, jakbym tymi obrazkami kradł ludzkie dusze. Nic, pójdę pana utrwalić i zaraz wracam.

Zniknął za wozem, a Szymański rozejrzał się po swoich podkomendnych.

– Mickiewicz! Hercul! Do mnie, panowie!

– Broń prawie rozdana! – zameldował Hercul. – Potrzebujemy jeszcze kul i pocisków do tych... drejsów.

– A ja mam taką sprawę do pana porucznika – rzekł Mickiewicz z całkiem nietęgą miną.

– Słucham.

– Możemy na osobności?

– Proszę.

Odeszli kilka kroków od wozu.

– Idzie mi o tego Hamburskiego, dagerotypistę – rzekł niewyraźnie Mickiewicz, unikając wzroku Szymańskiego.

– Nie podoba ci się? Nie wierzysz mu? Myślisz, że to carski szpicel?

– Nawet nie to, panie poruczniku.

– A co?

– On przyjeżdżał do nas, do partii Orłowskiego, która ukrywała się w lasach Grabskiego pod Łowiczem i robił nam dagerotypy. I... nie wiem, jak powiedzieć.

– Mów śmiało.

– Każdego z tych, komu zrobił zdjęcie, spotkała śmierć. Pod Strykowem, gdzie zresztą sam spadłem z konia i złamałem żebra, pod Dobrą i w innych potyczkach. Wszyscy zginęli! Co do jednego.

– Co zatem proponujesz?

– Ja bym go wziął pod areszt, panie poruczniku. Wypytał, wybadał. To dziwny człowiek.

– Dzięki niemu masz karabin, panie Telesforze.

– Karabin nie będzie moim sumieniem. A trzeba przyznać, że będąc w partii, w powstaniu, nade wszystko chciałbym pozostać człowiekiem. Bo tylko godni ludzie mogą odbudować Polskę.

– Obym ja mógł być tak bezgrzeszny. Zapamiętam twoje słowa. Dziękuję.

Przy wozach Hercel kończył rozdawać broń. Karabiny Henry’ego ułanom, dłuższe strzelby Dreysego byłym kosynierom, którzy teraz mieli zmienić się w tyralierów. Szymański zobaczył, jak do młodego podoficera podchodzi Justyna, a potem poprawia mu rozpięty kożuszek na ramionach i dotyka pleców.

Odwrócił się, bo nagle poczuł przypływ złości. Grotowska wyraźnie wiązała się z młodym Herclem; porucznik był prawie pewien, że nie była to zwykła żołnierska przyjaźń. Dlaczego tak zależało jej na tym młokosie?! Do diaska, kobieta w wojsku zawsze oznaczała niezgodę.

A najgorsze w tym wszystkim było to, że w głębi duszy czuł do niej żal.

Szlag by to jasny trafił. Nie było czasu na waśnie. Jutro, najdalej pojutrze ruszali do walki.

Pozostawało mu na pocieszenie tylko jedno.

Pękata flaszką laudanum ukryta w jukach na koniu.

Bitwa pod Dolimowicami

Był blady i mglisty, przedwiosenny świt, gdy dwa wymoszczone słomą furgony zbliżały się wolno ku Dolimowicom, wioząc ludzi z leśnej partii przebranych w zgniłozielone szynele rosyjskiej armii. Szymański otwierał pochód, jadąc na wronym koniu, mając przy boku sześciu ułanów, również odzianych w moskiewskie szynele nieudolnie skrywające karabiny Henry’ego, nabite pistolety, polskie szable i austriackie pałasze. Pozostali powstańcy przycupnęli na wozach, okryci derkami i kożuchami, poowijani w płócienne szmaty udające opatrunki. Jechali przez błoto i opary, wypatrując, czy gdzieś na trakcie nie spotkają Kozaków.

Dwór był daleko za wsią, na rozstajach. Moskale wystawili przed nim budkę strażniczą, kilka namiotów, wojskowe furgony. Zwozili tu rannych z całej okolicy; tych lżej poszkodowanych opatrywali na miejscu, postrzelonych zaś i porąbanych przewozili później do Kielc i Radomia.

Wartownicy spostrzegli ich z daleka. Natychmiast wokół budki i przed uchylonymi wrotami do stajni zaroilo się od moskiewskich mundurów.

– Dawaj parol, gospodin! – zakrzyknął wartownik, postawny chłop w szłomie ze szpikulcem i szynelu długim aż do ziemi.

Nie było żartów, żołnierz zdjął z ramienia karabin, odciągnął kurek, wymierzył wprost w pierś Szymańskiego.

– Nie krzycie! – rzekł w odpowiedzi porucznik, podnosząc rękę w pojednawczym geście. – Jesteśmy z pierwszego Priebrażskiego pułku. Przyjechaliśmy z rannymi.

– My was nie znamy, gospodin oficer. Parol nada!

Szymański miał nadzieję, że Priebrażski pułk stacjonuje gdzieś w Królestwie Polskim. W końcu na lekcjach historii nie raz i nie dwa Moskale wkładali mu różgą do głowy, że imperator Piotr I sformował niegdyś dwa sławne, gwardyjskie pułki moskiewskie – Siemienowski i właśnie Priebrażski.

Szymański dał znać, by się zatrzymali. Wartownik zerknął na leżących na słomie powstańców, na białe płachty bandaży, derki i baranice, ale bynajmniej nie stał się mniej podejrzliwy. Jego kompani podchodzili bliżej, zagłądali do wozów.

– Skąd jedziecie?

– Nie mam czasu! – huknął Szymański do wartownika. – Zabierajcie rannych!

– Stój! – wartownik był starym weteranem, z gębą popstrzoną cętkami prochu, długim wąsem, śmierział dziegciem jak Moskwa w dzień targowy. Szymański już wiedział, że nie oszuka go zwykłymi słowami, bo między Bogiem i prawdą, nawet w szynelu nie wyglądał na rosyjskiego oficera. Do diabła, co robić? Co robić? Za chwilę zginie! Tamten miał go jak na widelcu, na dziesięć kroków. Mierzył pewnie; jeśli Szymański każe dać ognia, skończy z kulą w sercu...

Co robić? Podjechać bliżej?

Huknął strzał.

Szymański zobaczył, jak wartownik zostaje odrzucony w tył; kula przeznaczona dla Jakuba poszła prosto w niebo.

Mickiewicz! Mickiewicz nie wytrzymał. Wypalił, ratując życie dowódcy!

Szymański wyszarpnął rewolwer i krzyknął, oddając swój pierwszy strzał w gromadę Moskali:

– Mości panowie! Ognia!

Błysk, grzmot i huk przeorały plac przed dworem. Powstańcy zerwali się z wozów, odrzucając szynela, kozuchy i derki. Wypalili wprost w twarze rosyjskich żołnierzy, położyli ich na ziemi niczym krwawy plon pod chłopską kosą.

W następnej chwili Szymański zeskakiwał z siodła, a potem gnał w stronę dworu ozdobionego od frontu drewnianym gankiem, zwieńczonym wysokim szczytem.

– Hercul! Do namiotów! Mickiewicz! Za mną, do środka!

Z boku, w obozie Moskali rozdzwonił się dzwon alarmowy, zabił głośno, żałośnie. Znowu rozbrzmiały strzały, suche plaśnięcia poprzedzające wyjący świst nadlatujących kul. Zza furgonów, stert siana rozległ się werbel, szli na nich Moskale zerwani ze snu, prowadzeni przez podoficera w kepi, pochylając lśniące szpikulce bagnetów.

– Stawaj w szeregu! – rozdarł się Szymański. – Gotuj broń!

– Mierzaj!

– Pal!

Karabiny Dreysego wypaliły nierówną kanonadą. Moskale odpowiedzieli ogniem; powstańcy zgięli się pod gradem pocisków rozległy się wrzaski, jęki.

– Stać! Stać! – zaryczał porucznik. – Przeładowywać broń! Damy im jeszcze popalić!

– Zaciął się! Nie działa! Nie działaaaaa! – zawył Hercel, szarpiąc się z opornym rygłem zamka. – Do dupy! Gdzie mój sztucer! Zostawiłem go, aaaaaa!

– Odciągnij prowadnicę, durniu! – Szymański wydarł mu pruską strzelbę z rąk, jednym ruchem odciągnął ręczkę, odsłaniając komorę naboju. – To nie gwintówka! Wbijaj nabój.

Blady, trzęsący się Hercel wcisnął papierowy nabój do komory, chwycił za ręczkę, zaryglował.

– Na ramię broń!

– Uraaaaaaaa! Uraaaaa!

Moskale nie czekali, aż przeciwnicy przeładują karabiny. Pędzili na nich szeregiem, na bagnety, całym plutonem.

Bagnet zuch, kula głupia – mawiał Suworow. Gdybyś teraz stanął na wprost Polaków, łajdaku, nauczyłybyś się modlić do Mikołaja Dreysego jak do swojego, brodatego, moskiewskiego Boga!

– Mierzaaaaaj! – Szymański rzucił precz rewolwer dragoona, który zawisł na rzemieniu, porwał za pas z amerykańską strzelbą, podniósł broń do ramienia.

– Pal!

Nierówna palba wystrzałów. Moskale padający na ziemię. Proch, kurz i dym.

– Przeładuj broń!

– Uraaaaaaa!

Byli blisko, Szymański widział brodate oblicza żołdatów, połyskujące bagnety. Tuż obok jego ludzie szarpali się z zamkami, wbijali papierowe naboje do komór, ryglowali je pospiesznie dygocącymi rękoma.

– Już? Już, gotoweeeeee?!

– Gotowe!

– Zrobione!

– Broń do ramienia!

– Pal! Pal, mości panowie!

Tym razem rąbnęli jedną, równą salwą wprost w rozognione oblicza wrogów. Moskale padli na ziemię, pół plutonu zważyło się z nóg, jedni uspokojeni na zawsze, inni rzucający się jak ryby na piasku. Oddział zatrzymał się, pokrwawiony, rozstrzelany, jeszcze nierozumiejący, co się stało.

– Stojiii! – zakrzyczał podoficer. – Gotowi! Wpieriod!

– Pal!

Wystrzały zagrzmiały jak uderzenie gromu. Moskale zakrzyczeli, ale wytrzymali

morderczy ogień, spodziewając się zapewne, że zaraz, za chwilę nadejdzie czas, w którym przeciwnicy zajmą się długą i doniosłą czynnością nabijania broni. Ta chwila nigdy nie nastąpiła. Zamiast niej zachrzęściły odwodzone zamki.

– Nabijaj!

– Mierzaj!

– Pal!

Błysk, dym, kurzawa przesłoniła cały świat.

– Jezuuuus! – ryknął jeden z ludzi Szymańskiego. Pochylił się nad zamkiem Dreysego; przy wystrzale płonące gazy uderzyły go wprost w twarz. Zatoczył się błądy, poparzony, z nadpalonymi włosami, wył, przykładając ręce do oblicza.

– Nabijaj!

Nie mieli już do kogo strzelać. Moskale uchodzili w panice, porzuciwszy rannych i zabitych, pędzili luźną kupą ku namiotom. Podoficer chciał ich zebrać, Mickiewicz przystanął na chwilę, wymierzył, dał ognia z takim skutkiem, iż wróg nakrył się nogami.

– Herce! Dobij Moskali! Mickiewicz! Za mną!

Jak wichur wpadli na ganek dworu; drzwi nie zostały zamknięte w bitewnym zamęcie. Dwa kopniaki, pchnięcie ramieniem i otworzyły się do wnętrza. Wpadli do sieni przesyconej wonią maści, płótna i krwi.

Runęli do pokojów, między drewniane legowiska z rannymi. Dwór był wysoki, suchy, przepaścisty, pełen porąbanych, postrzelanych Moskali, z których część leżała spokojnie na łóżkach, nieliczni zaś porwali się na nogi, widząc powstańców.

Podniosły się krzyki, wrzaski, przekleństwa.

– Kto eto?

– Czego chcecie?

– Buntowszczyki!

Ranni Rosjanie nie mieli wielkich szans. Kilku bardziej krewkich powalono kolbami, innych uspokoiły pistolety przystawione do głów.

Powstańcy przypadli do okien, zaryglowali drzwi, zebrali całą broń, kule i ładunki. Z komory służącej za salę opatrunkową gnano już do Szymańskiego pod bagnetami i karabinami lekarza. Nie wyglądał zgoła na wroga – blade oblicze, wąsy, okrągłe okulary, rozdygotane ręce.

– Pan jesteś medykiem?

– Tak jest, panie dowódco. – W polszczyźnie jeńca nie czuło się ani krztyny moskiewskiego akcentu. – Opuśćcie proszę broń, panowie powstańcy, to jest lazaret polowy. Mamy rannych, wielu ciężko. Nie róbcie im, proszę, krzywdy, nikt tu nie podniesie broni przeciwko wam.

– Pan Polak?

– Tak, Polak.

Szymański porwał za rewolwer, z zamachem zdzielił doktora ręką w twarz. Lekarz jęknął, zatoczył się, padł na kolano. Od razu chwycili go i przytrzymali powstańcy, brutalnie poderwali na nogi, powlekli przed oblicze porucznika.

– Zdrajca nie Polak! Co to za Polak, co Rosjanom służy?!

Doktor zadygotał; stał, zgięty, trzymający rękę przy twarzy. Spomiędzy palców kapąły wolno krople krwi.

– Możecie mnie nawet zabić – wycharczał cicho. – Nie dbam o to. Ale nie róbcie krzywdy rannym. Okaż miłosierdzie, panie poruczniku.

– Gdzie wy je okazaliście? Pod Małogoszczem? Pod Miechowem?

– Ja tylko apeluję do pańskiego sumienia. Jako lekarz...

– Proszę milczeć i słuchać, doktorze. Puszczamy pana wolno. Proszę iść precz, nawet do Kielc. A kiedy napotka pan pierwszy wasz oddział, przekaze pan, że partia powstańców porucznika Szymańskiego zajęła wasz lazaret polowy w Dolimowicach i oświadcza, że rozstrzela wszystkich jeńców, o ile carskie władze wojskowe nie spełnią naszych warunków. A tych są dwa. Po pierwsze: w trybie natychmiastowym uwolnić powstańców uwięzionych w areszcie w Jędrzejowie i przekazać ich naszej partii. Po drugie – dać swobodne przejście do Lasów Świętokrzyskich. Proszę iść. I pamiętać, że jeśli nie przekaze pan mojej wieści, pańscy ranni skończą na naszych bagnietach.

– To, co pan mówi – wybełkotał doktor – to bestialstwo! Nie może pan...

– Mogę i zrobię to! – Szymański zmacał lułą dragoona krwawiącego doktora. – Idź pan już, do jasnej cholery!

– Nie zostawię rannych. Możecie mnie rozstrzelać, ale znam swoje obowiązki.

– Ja pójdę!

Moskal zbliżył się do nich nie wiadomo kiedy. Ranny w szyję, z ręką na temblaku, blady i wymizerowany, a jednak prosty jak trzcina.

– Ja pójdę, panie oficerze. Doktor niech zostanie pomagać naszym. Przekażę, co pan tylko zechce.

– Ty, Moskalu, módl się, aby wasi dowódcy posłuchali tych próśb. Bo jeśli nie zechcą, to gwarantuję, że będziesz pierwszy w kolejce do egzekucji!

Żołnierz zbladł.

– Odwołuję się do pańskiego honoru, aby poniechał pan tego widowiska. Nie bądźmy barbarzyńcami. Jestem kapitan Wiesielowski, kawaler Orderu Świętego Włodzimierza. Ja...

– I kto to mówi! – ryknął Szymański. – Ilu powstańców zabiłeś, Moskalu? Ilu twoi ludzie dobili bagnietami? Ilu kazałeś zaknutować na śmierć! Co, psi synu, skończyła się zabawa w strzelanie do Polaczków?! Bo Polaczki to już nie buntowszczyki, ale wcielone diabły? Biliście nas jak dzikie bestie, więc staliśmy się bestiami! A wy pierwsi poczujecie nasz gniew. A teraz milcz, bo ci wytataruję twój order polskim nahajem na plecach.

Szymański odciągnął z trzaskiem kurek rewolweru, wymierzył w sam środek czoła

doktora.

– Idź!

– Nie pójdę.

– Strzelam!

– Strzelaj pan!

Szymański napał na spust. Ale nie zdążył wykonać wyroku.

Tupot butów, zakotłowało się w przyległej izbie przepełnionej jękami rannych.

– Panie poruczniku! Moskale idą! Kupa sroga! Dragony!

– Na stanowiska! Gotuj broń! Podpuścić blisko! Hercel! Weź pięciu ludzi i pilnujcie jeńców. Jakby któryś podniósł bunt, strzelajcie od razu w łeb, albo dobijcie bagnetem.

– Tak jest!

– Słyszycie mnie, Moskale?! – zagrzemiał Szymański.

Okrzyki i jęki potwierdziły, że chyba tak.

– Jesteście zakładnikami naszej partii. Dopóki wykonujecie polecenia, będziecie żywi. Za wszelkie nieposłuszeństwo kula w łeb. Doktorze!

– Tak, tak, proszę pana.

– Upiekło ci się! Idź do Moskali. Pilnuj, by siedzieli cicho.

Szymański podszedł do okna, przy którym skupili się powstańcy. Wyrzął przez uchylone okiennice.

Przed dwór zajeżdżali konni. Widać słyszeli strzały, bo rozglądali się na wszystkie strony, czujni i skupieni. Mgła już zeszła, rozwidniło się do reszty, więc Szymański widział ich szare mundury, granatowe epolety, skośne kepi na głowach ozdobione błyszczącymi, cesarskimi orłami. Dragoni.

Chwila jeszcze i zza krzaków wyjechało trzech. Szli wolno, rysią, oficer z dobytym pałaszem, reszta z karabinkami przygotowanymi do strzału.

Porucznik wyczekał, aż podjadą bliżej, a potem wycelował z rewolweru. Nie było sensu przedłużać tej farsy. Strzelił.

Zakotłowało się, zadymiło wokół dworu. Huk wystrzałów, grzmot kul. Kwiczące konie.

Dwóch zwiadowców padło przeszytych kulami. Jeden wraz z koniem, drugiego, który wyleciał z kulbaki na błotnisty podjazd, spłoszony wierzchowiec powłókł na strzemieniu po krzakach i kamieniach.

Podoficer zawrócił, pochylił się w siodle – widać ranny – pomknął do swoich. Szymański usłyszał krzyki i wrzaski.

– Job twoju mat,!

– Dawaj, dawaaaaj!

Na drodze dragoni zsiadali z koni. Poszli do ataku. Przez dworski ogród. Prosto na śmierć.

– Pli!

Moskale dali ognia, aż zatrzęsły się ściany dworu, okiennice poszły w drzazgi, kule wyszczerbiły framugi, drzwi i ściany.

– Pal!

W huk powstańczych wystrzałów wmieszały się odgłosy komendy:

– Eskadron w ataku paaaszli!

– Nabijaj broń!

Rosjanie skoczyli ku ścianom, chcąc dopaść osłony, zanim Polacy nabiją strzelby; pognali przez błoto, kałuże, kryjąc się między kopami siana, ponaglani przez oficerów.

Szymański uśmiechnął się zimno.

– Mierzaj!

– Pal!

Błysk i grzmot przeorał szeregi przeciwnika. Dym podniósł się, przesłonił na chwilę cały świat, a nade wszystko piekielne kłębowisko trupów, wyjących, pokrwawionych rannych, którzy czołgali się między martwymi ciałami swych braci.

Zabrzmiała trąbka i bęben, oficerowie poderwali spieszonych dragonów do ataku, krzycząc, klnąc, płazując ich pałaszami.

Na próżno!

Rozległ się trzask zamków pruskich iglicówek i na Rosjan spadła nowa fala ołowiu; powstańcy wypalili im wprost w twarze, zmiotli niczym wichur łan zboża, rozproszyli, zmusili do odwrotu.

Wybuchły wrzaski, a potem panika. Teraz żaden car, ani święty nie powstrzymałby dragonów. Rzucili się do ucieczki, padł dowodzący oficer i trębacz. Polacy nabili broń jeszcze raz, a potem wystrzelili w plecy pierzchających.

To wystarczyło. Szymański wyglądał zza framugi. Widział dragonów rozkładających się obozem za gościńcem, pod lasem, konne patrole otaczające dwór ze wszystkich stron.

– Panie Hercel, wywieście białą chorągiew.

Kawał szpitalnego płótna, przygotowany zawczasu, załopotał w porannym wietrze.

Moskale milczeli. Szymański zaniepokoił się już, że może nie zechcą w ogóle rokować, co znacznie skomplikowałoby ich sytuację.

– Co teraz, panie poruczniku? – zapytał Mickiewicz. – Przebijamy się do lasu?

– Teraz krzycz głośno, jak tylko możesz. Moskaleeee! Moskaleee! – rozdarł się porucznik, wychylony przez rozbite, postrzelane okno. – Chodźcie bliżej! Chcemy porozmawiać.

Nikt nie odpowiadał.

Darli się długo; wreszcie od strony stogów dostrzegli jakiś ruch. Jeden z dragonów wychylił się spoza kopy siana.

– Poddajcie się, buntowszczyki! Zdajcie na łaskę jemu wieliczestwa majora Wiesielowskowo!

– Wyślijcie trzech ludzi! Chcemy rozmawiać!

– Najpierw złóżcie broń!

– Najpierw stul mordę, Moskału. Biegnij do wieliczestwa i powiedz, że chcemy porozmawiać o wydaniu waszych jeńców.

– A nie będziecie strzelać?

– Nie będziemy! Idź śmiało!

Nie czekali długo. Wnet na podjeździe ukazał się oficer i trzech dragonów. Z białą flagą.

– Panie Mickiewicz, proszę wziąć rewolwer. Panowie Hercel, Pomianowski, Stur, za mną!

Szymański powiódł spojrzeniem po jeńcach rosyjskich zgromadzonych w jednej izbie pod strażą. Ciężko ranni leżeli na zsuniętych łózkach, inni zgromadzili się na podłodze, wpatrując się w pilnujących ich Polaków czujnymi, błyszczącymi oczyma.

– Ten – Szymański wskazał Wiesielowskiego. – I ten – lufa rewolweru powędrowała w stronę wysokiego Rosjanina w mundurze podporucznika.

– Co chcecie z nami zrobić?! – wypalił Wiesielowski. – Panowie Polacy, opanujcie się!

– Ten drugi nie! – rzekł mocny, zdecydowany głos. – On jest mój!

Justyna przecisnęła się zza pleców powstańców. Podeszła do Rosjanina pokryta brudem i pyłem, śmierdząca prochem jak bogini wojny.

– Co znaczy, że jest twój?

– Była umowa z Hamburgskim. Weź sobie każdego z nich. Ale nie tego.

– Co chcesz z nim zrobić? Nie wygląda na ogiera.

– Ty też nie. Przytrzymajcie go! Już!

Hercel i jeszcze dwóch z oddziału posłuchali bez wahania. Chwycili Moskala za rękę, wygięli w tył. Justyna zaś dobyte spod kożuska brązowy, mosiężny cylinder zakończony ząbkowanym ostrzem. Podeszła do Rosjanina.

– Co wy chcecie zrobić?! – zakrzyknął ranny. – Co to ma znaczyć?

– Nie drzyj gęby. Przytrzymajcie mu głowę.

Dębowski skoczył i chwycił Moskala za włosy.

Justyna przyłożyła tubę do czoła jeńca, nacisnęła na jakąś dźwignię. Rozległ się trzask, Moskal krzyknął, szarpnął się, ale ręce powstańców trzymały go jak katowskie kleszcze.

Grotowska odjęła tubę od czoła Moskala. Jeniec zamrugał oczyma, wstrząsnął głową, spojrzał po obecnych zdumionym spojrzeniem.

– Puście go!

– Co mi pani zrobiła? Co to jest?

– Nic panu nie będzie – położyła mu rękę na twarzy i rzekła krótko, dobitnie, zdecydowanie: – Śpij.

Moskal osunął się, zwisł bezwładnie w ramionach powstańców.

– Coś ty mu zrobiła?! – warknął Szymański.

– Ty zajmij się lepiej dowodzeniem!

– Wychodicie miatieźniki! – dobiegło ich sprzed ganku.

– Brać tego – Szymański wskazał Wiesielowskiego – i tego – chwycił za ramię innego Moskala. – I jeszcze tamtego – wskazał kolejnego jeńca lufą rewolweru. – Związać im ręce za plecami.

– Co z nami pan zrobisz? Co to ma być! – zakrzyknął wyznaczony jeńiec. – Ja jestem Dymitr Michaił Nikonow, siostrzeniec hrabiego Golicyna... Poczekajcie, mogę wam pomóc. Panowie, ja zapłacę!

– Na ile zatem taksujesz pan swoją hrabiowską głowę?!

– Sie... Dziesięć tysięcy rubli złotem.

– Możesz dać sto.

– Dam sto – wyjąkał Moskal.

– Na mszę za swoją duszę! Mickiewicz, brać ich!

Szli z Telesforem i dwoma innymi powstańcami ku wyjściu, popychali przed sobą Moskali lufami pistoletów i rewolwerów.

Sokołowski i Belda otworzyli przed nimi drzwi, przepchnęli Moskali za próg, wprost w świeży blask wiosennego poranka.

Wysłańcy już na nich czekali. Stali hardzi, dumni i bladzi jak sam car Aleksander, kiedy podpisywał dekryty o usmirieniu polskowo miatieża czy rozkaz powieszenia tysięcy miatieźników. Szymański i Mickiewicz rzucili jeńców na kolana. Na widok swoich Moskale pobledli.

– Czego chcecie, buntowszczyki?!

– Jestem Jakub Szymański, porucznik, dowódca oddziału wydzielonego wojska polskiego województwa rawskiego

– Chcecie złożyć broń? – przerwał mu bezceremonialnie carski porucznik, młody, ale zarośnięty, jak to zwykle na wojnie. – Pan i pańscy ludzie nie macie żadnych szans. Za pół godziny będzie tu batalion strzelców łotewskich z Kielc. Proszę zdać się na łaskę cesarskiej armii i namiestnika Królestwa Polskiego, inaczej wszyscy zostaniecie uspokojeni! Na wieki.

– Proszę mnie wysłuchać uważnie. Wziąłem do niewoli prawie pół setki waszej starszyzny i podoficerów. Pańskich rodaków, o ile jest pan Moskałem.

– Rosjaninem.

– Otóż panie Rosjaninie, jeśli spróbujecie znowu szturmować lazaret, każę wszystkich waszych braci wystrzelać jak psy. Co do jednego! Zdobędziecie dwór, ale po trupach waszych braci.

– Pan chyba oszalał?! Nie chce pan uwolnić jeńców? Proszę, niech pan ich wypuści!

– Niech pan słucha uważnie. Jeńcy są zakładnikami w naszych rękach i w razie jakiegokolwiek ataku poniosą śmierć. Czy to do pana dotarło?!

Porucznik położył dłoń na szabli. Stali na wprost siebie – żołnierze wrogich armii. Carski

oficer w kepi i błękitnym mundurze z naramiennikami, przy szabli i polski szlachcic w kożuszkę pokrytym plamami krwi, z szamerowanym zapięciem z pętlcami, w konfederatce z trójkolorową kokardą.

– Pan raczy żartować – wydyszał wreszcie Rosjanin. – Czego pan chce?

– Proszę przekazać nasze warunki dowództwu: jestem gotów przekazać wam jeńców zdrowych i całych, pod warunkiem, iż uwolnicie i przyprowadzicie tutaj naszych powstańców przebywających w areszcie w Jędrzejowie, a potem zagwarantujecie nam prawo odejścia do Lasów Świętokrzyskich!

Porucznik zadygotał. Ale to nie był jeszcze koniec.

Szymański wydobył gruby zegarek na łańcuszku. Wskazówka sekundowa nieuchronnie przesuwiała się po tarczy w stronę godziny dwunastej.

– Aby ułatwić wam podjęcie decyzji, od tej chwili, co godzinę będziemy zabijali jednego jeńca. Zaczniemy od oficerów i starszyny. Mickiewicz, zastrzel Nikonowa.

– Jak to...

– Strzelaj mu w łeb!

Rewolwer w ręku Telesfora zadygotał. Szymański zobaczył jego młodą twarz ściśniętą bólem, bladą. Tak, młodzieńcze, najwyższy czas pozbyć się złudzeń. Nie wygramy tej wojny wierszykami i *Boże, coś Polskę* śpiewanym po lasach.

– Na co czekasz?!

Co ja tu robię?! – pomyślał Szymański, bo wszystko to dochodziło do niego jak przez grube szkło. Co ja takiego chcę zrobić? Jak to? To tak mnie... wojna zmieniła?

Ale wściekłość była silniejsza niż obawy.

– To rozkaz.

– Odmawiam wykonania rozkazu – wyszeptał drżący Mickiewicz.

– Co takiego?

– Nie mogę zabić bezbronnego. Nie tak...

– Kurwa mać! – ryknął Szymański. Jednym ruchem wyrwał rewolwer podoficerowi z ręki, opuścił w dół, spotykając się z przerażonym wzrokiem Nikonowa i nie słuchając wcale jego krzyku, wrzasku, próśb i połajanek, strzelił mu prosto w łeb, przymykając oczy, by nie czuć na sobie wzroku tamtego. Kula skruszyła czaszkę, zbryzgało ich krwią; poczuli smród łajna. Wyglądało na to, że carski oficer narobił w spodnie jeszcze przed egzekucją.

Wiesielowski krzyknął. Chciał zerwać się na nogi, ale cztery ramiona trzymały go mocno.

A Szymański wymierzył dymiący rewolwer w pobladłego porucznika dragonów.

– Proszę stać w miejscu, bo będzie pan następny!

– Zaraz, niech pan poczeka – wybełkotał Moskal. – Jeśli wy tacy... jesteście. Tacy. Ja muszę zawiadomić majora. To straszna sprawa, nie mogę sam podjąć decyzji. Proszę poczekać. Barin major Wiesielowski wyjedzie do pana...

– Tylko bez broni.

– Tak, tak... – Porucznik odwrócił się i już go nie było. Wrócił dosłownie po minucie, prowadząc starszego jegomościa o sumiastych, siwych wąsach i długich, nastroszonych bokobrodach. Rosyjski major spiorunował ich wzrokiem, ale nie wzdrygnął się na widok trupa, który jeszcze podrygiwał w kałuży krwi i końskiego nawozu.

– Co to ma znaczyć?! – zbulgotał. – Czego chcecie, wy miatieźniki?! Co to ma być?

– Egzekucja Moskala – rzekł Szymański. – Myślę, że pan porucznik przedstawił panu majorowi zarówno obecną sytuację, jak również to, co stanie się za godzinę – zakołysał zegarkiem w ręku.

– Zabiliście... naszego oficera?! Ty psie! Ja ciebie powieszę! Tysiącem kijów knutować cię będziemy! Ty – paljacziszka proklataja mać! Ty miatieźnik!

Szymański strzelił bez ostrzeżenia. Wpakował kulę w potylicę kolejnego Moskala. Poprawił drugim strzałem, położył go trupem.

Moskiewski major krzyknął. Chciał rzucić się na pomoc swojemu, ale powstrzymały go lufy karabinów. Wytrzeszczył oczy, zbulgotał jak samowar z Tuły.

– Teraz już pan Polak! – wycedził Szymański w oczy majorowi. – Powtórz: Pan Polak. Albo zabiję jeszcze dziesięciu oficerów z pańskiej armii!

– Jak pan możesz? To niegodziwe... To zwykły, podły szantaż! A ja, panie Polak, nie będę rozmawiał z tak podłymi, nikczemnymi skatinami! Poddać się, bo was powieszę wszystkich na drzewach na trakcie.

– Oczywiście. Powiesi nas pan co do jednego. Ale najpierw zobaczy pan czterdzieści egzekucji. Takich jak ta!

Jednym ruchem odciągnął kurek rewolweru i przystawił do głowy kapitana Wiesiełowskiego!

A wtedy major jęknął. Spojrzenia jego i jeńca skrzyżowały się. Zaraz, u licha, jak nazywał się ten moskiewski dowódca?!

– Proszę tego nie robić! – zahuczał Rosjanin. – Co to ma być? To nie jest wojna... To... okrucieństwo.

– Pan wybaczy, ale słowo „okrucieństwo” brzmi dziwnie w ustach Moskala.

– Zostaw go, panie Polak! – ryknął major. – Ja proszę!

Ton jego głosu zmienił się nagle, a Szymański uśmiechnął się rozweselony. Ot, zdaje się, że swoim coltem dragoonem zagrał na rosyjskiej duszy jak na bałajce.

– Milcz! – krzyknął jeńiec do majora, gdy lufa dotknęła jego głowy. Zdradził się. Poddał. Szymański wiedział już teraz na pewno, że miał przed sobą syna starego dowódcy dragonów.

– Na co jeszcze czekasz?! – zakrzyknął młody Wiesiełowski. – Aż będziesz wisiał na stoku Cytadeli? No, strzelaj paljacziszka! Bohaterze narodowy!

– Proszę, niech pan nie strzela! Niech pan nie zabija mi syna! – zakrzyknął w odpowiedzi major. – Mikołaj, ciszej, ciszej, proszę!

– Milczeć!

– Proszę posłuchać, panie poruczniku Szymański – wybełkotał major. – Ta rzeź nie ma sensu. Ocali pan głowę. Zaraz zdejmę posterunki dragonów. Otworzymy panu drogę do lasu i damy oficerskie słowo honoru, że nie przeszkodzimy w odwrocie. Proszę tylko, aby pozostawił pan jeńców w lazarecie i wycofał się. Obiecuję, że nie będziemy niepokoić pana oddziału.

– Jakiego oddziału! – zawył Wiesielowski. – Hej, ojczyźnie, nie prowadź rozmów z buntownikami! Pokaż Polakom, że my Rosjanie nigdy nie damy im wolności. Wasze szczeniaki – obrócił głowę i wpatrywał się wprost w twarz Szymańskiego – będą mówić po rosyjsku! Modlić się po prawosławnemu! I umierać za cara! Zabierzemy wam całą nadzieję, wy psie krwi, jebione z kurwy syny! To już koniec! Słyszysz? Koniec?!

– Odejdę stąd tylko z naszymi powstańcami uwięzionymi w Jędrzejowie – odparł spokojnie Szymański. – Albo nigdy nie zobaczy pan swojego syna. Daję wam godzinę. I tylko proszę – żadnych głupstw. Mamy dużo broni.

– Proszę się wstrzymać, apeluję do pańskiego honoru i rozsądku – zaczął major.

– Jaki honor? To buntownik! Polacy nie mają honoru! Przefujarzyli go w trzydziestym pierwszym! Ty Paljak – Warszawu prospał?!

– Proszę nie słuchać mojego syna! – wybełkotał major. – Uczynię wszystko co w mojej mocy, aby dojść do jakiegoś pokojowego rozwiązania.

– Czekamy! Ma pan godzinę, panie majorze.

– W godzinę posłaniec nie dotrze do Jędrzejowa. Muszę...

– Nic pan nie musi. Czas biegnie. Zabrać go. – Szymański wyszczerzył zęby w uśmiechu i zakołysał złowieszczą zegarkiem. – Dobrze. Dam dwie godziny. W podarunku... Od Rządu Narodowego.

Powlekli jeńca ku dworowi. Szymański szedł obok i pogwizdywał.

– Jeśli twój ojciec się pospieszy, masz szansę, aby się zemścić – rzekł chmurnie do Wiesielowskiego.

– Ja nie będę się mścił.

– Dlaczego?

– Już byłem w rękach powstańców, w partii Orłowskiego.

– I co?

– Zostałem zwolniony, dałem oficerskie słowo honoru, że nie będę z wami walczył. Dlatego złożyłem prośbę do zwierzchników... o przeniesienie na Kaukaz.

– Kto jej wysłucha!?

– Jeśli nie wysłuchają, złożę dymisję.

– Gniewko – rzucił Szymański do jednego ze swoich, chłopca wielkiego jak góra i tak silnego, że jedną ręką mógłby dławić Moskali. Aż dziw, że taki wielkolud wyląkł się na skalistej, nieurodzajnej kieleckiej ziemi. – Następnym razem zatkaj im gęby gałganami!

Strzały we dworze

– Co my tu robimy, panie poruczniku?

– Bijemy się dla Polski, Mickiewicz.

– Jesteśmy w pułapce. Z jeńcami. I mamy ich zabić. To wszystko takie... straszne.

– Inaczej wyobrażałeś sobie powstanie.

– Myślałem, że będziemy się bić... jak równy z równym. Kiedy lotem błyskawicy rozeszła się wieść, że rozpoczyna się walka o wolność, walka na śmierć i życie, zdawałem sobie sprawę, że mnie w tej walce zabraknąć nie może. Taka była wola Boga i... przodków moich.

– Nie myślałeś, że pošlą was na śmierć i zatracenie? Że powstanie wywołało paru romantycznych głupców? Że jeden dowódca nie pomoże drugiemu? Że będzie zreć was robactwo, będziecie tułać się po lasach w wiecznym odwrocie, bez szansy zmierzenia się z Moskałem? Bez nadziei na lepsze jutro?

– Panie poruczniku, ja dobrze wiedziałem, że nie będzie to tryumfalny pochód, jak w wierszach poetów. Znam wojnę z opowieści. Wiedziałem, że będzie ciężko.

– A jest gorzej?

– Ja nie myślałem, że będę zabijał rannych wrogów. Na co nam przyszło, panie poruczniku.

– A nie myślałeś, że Moskale będą nas wieszać jak psy? Tropić jak dzikie zwierzęta? Dobijać na pobojuwiskach?

– Panie poruczniku, my nie powinniśmy tego robić.

– Nie wygramy tej wojny, walcząc w polu. Za mało nas na to.

– Nie powinien pan tak postępować.

– Dlaczego?

– Robiąc takie rzeczy, uczyni pan z nas, Polaków, Moskali.

– Chcesz się napić?

– Co to?

– Laudanum. Pomaga na to wszystko.

– Nie mogę pić. Nie w takiej chwili.

– Możesz mnie potępić, ale wygramy powstanie. Zemsta na wroga. Z Bogiem i choćby mimo Boga. Nie wmówisz mi, że nie znasz tych słów.

– Ja nie mogłem... zabić tamtego więźnia. Przykro mi.

– Jeszcze się nauczysz.

Huk wystrzału niemal rozsadził dwór na kawałki. Potem rąbnął drugi strzał. I trzeci!

Szymański zerwał się na nogi. Strzelano w sąsiedniej izbie, w której byli ranni. Wpadł tam z gotową bronią, za nim Mickiewicz wyszarpujący pistolet zza pasa.

Jeńcy podnieśli krzyk, zbili się w rozpaczliwą gromadę, kiedy powstańcy skierowali na

nich lufy strzelb i karabinów.

Trup moskiewskiego podoficera leżał na najbliższym łóżku z dwoma czerwonymi dziurami na piersi. Wyglądały jak dodatkowe guziki wojskowego szynelu.

– Sięgał po broń! – krzyknął Hercel. – Panie poruczniku, to był bunt! Myślał, że się podkradnie do nas! Niedoczekanie jego, moskiewskiego skurwysyna!

– Zabijcie nas skatiny! – ryknął gruby Rosjanin. – Już, strzelajcie!

– Spokój! Nikt nie zginie!

– Ja bym was wszystkich wystrzelał jak psy! – darł się Hercel.

– Panie poruczniku! – zakrzyknął Wiesiełowski. – Apeluję do pańskiego rozsądku. Proszę stąd zabrać tego człowieka, bo nie doczekamy do wieczora. A przecież jesteśmy panu potrzebni jako zakładnicy.

– Co tu się działo?

– Pański podoficer wygrażał nam bez przerwy. Rwał się do bicia, do pałasza.

– Panie Hercel, czy to prawda?

Powstaniec wolno zdjął z nosa okrągłe okulary. Ścisnął je w rękę, jakby chciał pognieść. A potem wypuścił na podłogę. Nadepnął na nie nogą, aż zachręściło.

– Po co ich trzymać?! – zagrmiał. – To Moskale, dzicz azjatycka! Nic za nich nie dostaniemy! Ich major łągał jak pies. Zamiast po naszych, posłał po posiłki. Ile możemy się tu bronić?! Dzień, dwa? Aż zapalą nam dach nad głowami? A zrobią to. U nich mnogo ludiej! Co im znaczy paru oficerów?! Tyle co końskie gówno na gościńcu!

Szymański wprost nie poznawał Hercla. Co za diabeł w niego wstąpił? Co się z nim stało, a może – co odmieniło?!

– Ci jeńcy są jedyną gwarancją, że wyjdziemy żywi z oblężenia!

– Po co w ogóle tu przyszliśmy? Teraz jesteśmy jak szczur w potrzasku.

– Miałem zdobywać Jędrzejów szturmem? Z równym skutkiem, co Kurowski Miechów?

Uspokój się pan, opuść broń! Mierzysz do dowódcy!

Zaskoczony Hercel opuścił broń, którą wycelował w pierś Szymańskiego.

– Masz krew na czole. Obetrzyj się, chłopie.

Hercel dotknął czoła, ścierając plamkę krwi.

Na zewnątrz zabrzmiała trąbka dragonów.

– Zaraz się przekonamy, kto miał rację. Chodź pan ze mną, Moskale chcą rozmawiać.

Przed dworem stał rosyjski dragon z trąbką, bez broni, jedynie przy szabli. Na pręcie, który trzymał, powiewała biała chorągiewka.

– Panie poruczniku, major Wiesiełowski przyprowadził jeńców. Dowództwo zgadza się na pańskie warunki.

Szymański poczuł się tak, jakby stupudowy ciężar spadł mu z piersi. Przez chwilę miał ochotę dosłownie ucisnąć moskiewskiego żołnierza.

– Pan major chciałby porozmawiać osobiście.

- Niechaj tu przyjdzie.
- Czeka na pana w połowie drogi. Bez broni.

Szymański rozejrzał się, ale nie wyczuł podstępny. Ruszył ku stogom, przed którymi czekało na niego dwóch oficerów. Z daleka rozpoznał starego majora – po wąsiskach, bokobrodach i woni tytoniu.

Moskał spojrział na niego spod przymrużonych powiek. Jego wzrok zapowiadał knutowanie i szubienicę, zsyłkę na katorgę i dziesiąty pawilon warszawskiej Cytadeli. Zabawnie było obserwować, jak dusił się od złości.

Porucznik zakołysał zegarkiem. Odemknął wieczko i ostentacyjnie wyregulował dużą wskazówkę.

- Czas minął, wasze błagorodie. Kto ma być pierwszy?
- Wygrałeś buntowszczyku!
- Czyżby?

– Mam jeńców... Na wozach. Ale słyszałem strzały w lazarecie.

– Pański syn jest zdrow i spokojny. Jeden z waszych, podoficer, okazał się nieco zbyt krewki. Uspokoił go lepiej, niż wy nasze demonstracje na placu Zamkowym.

– Jak dokonamy wymiany?

Szymański rozejrzał się.

– Proszę przewieźć jeńców na polanę jakieś pół wiorsty stąd – wskazał ręką. – I zostawić. Zapakujemy waszych rannych na wozy i wyjdziemy z lazaretu. Przechodząc przez polanę, pozostawimy waszych, a zabierzemy Polaków.

– Jakie mam gwarancje, że uwolnicie oficerów? Ta sprawa nie jest prosta, proszę pana. Uwolniłem buntowników bez zgody dowództwa i być może czeka mnie za to sąd polowy.

– Proszę w takim razie przejść na naszą stronę. Witamy w partii.

– Pan chyba żartuje?!

– Mówię poważnie. Cóż ja bym robił z tyloma rannymi w lesie?! Nie mówiąc o tym, że któryś mógłby uciec i zdradzić naszą kryjówkę. Bo mam jeszcze jeden warunek: kiedy będziemy opuszczać lazaret, proszę, aby pańscy dragoni pozostali w obozie. Aby rzecz była jasna: jeśli zobaczymy w zasięgu wzroku choćby jednego Moskala, zabijemy wszystkich rannych jak psy. Z porucznikiem Wiesielowskim na czele.

– Jaką mam rękojmię...

– Moje słowo!

– Słowo mordercy?

– Wszyscy jesteście mordercami. Chciałbym uprzedzić też pana, że jeśli planujecie zaatakować nas w chwili, gdy będziemy zostawiać więźniów na polanie, to mamy całą rzecz na uwadze. Jadąc, każdy z naszych weźmie sobie na cel jednego Moskala. Jeśli w okolicy pojawi się choć jeden uzbrojony człowiek, pociągniemy za spusty. Proszę zrozumieć powagę sytuacji.

Oblicza majora i młodego porucznika pozostały jak wykute z kamienia, z którego wykonano moskiewską Granitową Pałacę. A jednak Szymański był pewien, że taki plan rodził się w ich umysłach.

– Nie mogę się na to zgodzić!

– Czas ucieka – wzruszył ramionami. – Jeśli nie ma zgody, nie wyjdziemy z dworu.

– Ile możecie się tam bronić?!

– Nam jest wszystko jedno!

– Poddajcie się!

– Wy się poddajcie. Myślicie, że miło jest mi zabijać waszych bezbronnych jeńców?

– To po co pan napadł na lazaret?

– Po co jesteście w Polsce?

– To część rosyjskiej dzierżawy... – wypalił młody.

– Milczcie, poruczniku – przerwał mu major. – On cię nie wysłucha. Dobrze, panie Szymański. Zgadzamy się na wasze warunki. Wyprowadzajcie więźniów. Tym razem wygraliście, przekłete polskie buntowszczyki! Ale strzeżcie się, bo za to, coście zrobili, będzie konopny powróż! Szubienica!

– Tylko? Przyznam, że liczyłem na coś szczególniejszego, panie Wiesielowski. Szubienica jest przecież za sam udział w powstaniu.

– Jebał cię pies, Szymański!

– Doprawdy? Proszę się nie ponizać, panie majorze. I zamiast gadać, przystąpić lepiej do wykonywania rozkazów.

– Ja wiem, co mam zrobić. Proszę mnie nie uczyć.

– Niezmiernie się cieszę.

Szymański wrócił do dworu. Wszedł do izby, w której przetrzymywani byli Moskale i powiódł po nich smutnym wzrokiem. Zauważył, że zadrżeli pod jego spojrzeniem.

– Wasze dowództwo zgodziło się wymienić was na powstańców. Nie zostaniecie straceni i nic nie grozi wam z naszej strony.

Krzyk i westchnienie ulgi. Cały strach uleciał z Moskali jak z przekłutego balonu. Pilnujący ich powstańcy opuścili broń. Mickiewicz otarł pot z czoła, Hercel oblizał wargi.

Szymański wydał rozkazy. Wnet zaprzężono konie do furgonów, złożono na nie rannych, a potem cała kawalkada ruszyła w stronę lasu. Powstańcy jechali konno, kroczyli pieszo przy wozach. Każdy miał w ręku nabity karabin. Każdy mierzył w pierś jednego z jeńców.

Szli.

Moskale odwołali patrole. Tabor bez przeszkód przejechał po błotnistym polu, skrył się w zaroślach.

Szymański jechał konno obok wozu, na którym leżał młody Wiesielowski, trzymając strzelbę Henryego na wprost jego piersi.

– Będzie pan żył – rzekł do oficera. I jakby szukając towarzystwa, a może

usprawiedliwienia, dodał: – I co, pewnie jestem w pańskich oczach co najmniej... wampirem?

– Widziałem... Mój ojciec widział rzezie jeńców. Nic nowego. Ale wzięcie rannych żołnierzy wroga jako zakładników – to okrutne i podłe. Jest pan gadem, panie Szymański. Ale co ja będę panu robił wyrzuty. Nie przekonam pana.

– Nowe wojny nowoczesnej Europy wymagają nowych sposobów walki.

– Pan mnie przeraża, ale fakt pozostaje niezbity: nie zwyciężycie. Nie mówię tego przez złość czy rosyjską dumę, ale ze zwykłego porachowania sił. Nasz rząd wysłał przeciwko wam przeważające wojska i wydatkował środki. Car woli zrujnować Rosję, niż wyrzec się panowania na tych ziemiach.

– Jeśli przegramy, nasze dzieci i wnuki wezmą broń do ręki. Nie oplaca się bardziej dać nam autonomię, niż co dwadzieścia lat poświęcać miliony rubli na tłumienie kolejnych powstań?

– Sam pan nie wie, co pan mówi. Ta sprawa jest nie do rozwikłania. Co Polacy zrobią, jak już dostaną trochę swobody? Wykorzystają ją tylko po to, aby przygotować kolejny bunt i oderwać się w całości od Rosji.

– Może to znak, że Królestwa Polskiego nie da się utrzymać przy boku carów? I w końcu wy, Rosjanie, powinniście przyjąć to do wiadomości.

– Ja to wiem i bez pańskich słów. Ale nasz rząd tego nie zrobi. Honor i dumą każdego Moskala jest utrzymać Polskę w imperium. I udawać, że nie ma żadnego polskiego kłopotu.

– Przyjechał pan tu sam, czy pana przysłali?

– Zdziwi się pan, ale zgłosiłem się do armii na ochotnika.

– Dlaczego?

– Postrzelać do Polaków. Pokazać, że jestem mężczyzną. Wie pan, mówiąc szczerze, byłem za młody, kiedy wybuchła wojna krymska.

– Trochę się panu nie udało polowanie. Z myśliwego został pan zwierzyną.

– Niekoniecznie. Na wiele rzeczy otworzyły mi się oczy.

– Na przykład na to, że powstanie przegra?

– Powstanie już wygrało.

Szymański opuścił broń.

– Pan sobie kpi ze mnie.

– Nie śmiałym w takiej sytuacji. Powstanie wygrało, nie militarnie, rzecz jasna, ale moralnie pokazało, że my, Rosjanie, nie mamy tak naprawdę niczego poza wojskiem i knutem. Możemy utrzymać naszą matuzkę Rosję wyłącznie siłą, a nie prawem i obyczajami. Niczym i nikim wam nie zaimponujemy. Nie sprawimy, by Polacy przyjęli naszą kulturę, bo nas nie chcą, nienawidzą, nawet kiedy całują carską żopę. To jest nasz największy wstyd, nasza największa hańba i porażka. Dlatego nikt się do niej nie przyzna; zrozumie pan duszę rosyjską? Dlatego bijemy was po lasach, wieszamy i wysyłamy na Sybir, bo nie możemy przyznać się do klęski. Bo nie mamy dla Królestwa Polskiego nic poza siłą i carskim

sołdatem.

– Sam pan to sobie tak wykoncypował?

– Kiedy dawni Rzymianie podbijali barbarzyńców, nieśli im światło: prawo, porządek, wznosili miasta, akwedukty. My, co widzę z wielką przykrością, nie przynieśliśmy wam nic poza knutem. W tym tkwi całe nastawienie Rosji do Polski. Nasz rząd, nawet będąc na granicy upadku, nie zgodzi się na waszą wolność.

– Zgodzi się. Dziś wygraliśmy największą z bitew.

– Nie zgodzi się. Sam pan zobaczy. Car poświęci swoich braci, byle tylko zniszczyć Polskę. Ale to oczywiście ślepa uliczka, bo Polaków może złamać tylko jedno: gdyby ich wszystkich pozabijać. Bo nawet przesiedlenie całej Polski na Syberię da tylko tyle, że zaraz wybuchnie tam kolejne powstanie. A na wymordowanie całej nacji nie starczy sił. To niewykonalne, nie dokona tego żaden car, żadna władza, żadne wojsko.

– Dziękuję.

– A ja nie.

A potem była wolność. Polski las szumiący łagodnie w podmuchach wiosennego wiatru. A na pagórku czekała na nich gromada wynędzniałych, zarośniętych, okrytych łachmanami postaci.

Więźniowie z Jędrzejowa chwiali się na nogach, nie wierzyli własnym oczom. A kiedy ukazał się przed nimi kondukt powstańczy, a Szymański wjechał na karym koniu na wzgórze, rozległ się jeden okrzyk, płacz i szal radości. Porucznik znalazł się nagle w tłumie towarzyszy broni, którzy rzucali się do jego rąk, całowali kopyta konia, wpadali w ramiona powstańców z leśnej partii. I krzyczeli, krzyczeli co sił w gardle.

Szymański zeskoczył na ziemię. Przebijał się przez niedawnych więźniów, oddawał uściski i pozdrowienia. Tulił szlochających i tych okrytych ranami. Pocieszał ludzi, co uszli spod powroza szubienicy.

I wszędzie szukał wzrokiem swego dziedzica.

– Pan Adam? Czy widzieliście pana Adama? Był z wami? Siedział w celi? Wysoki, szczupły, włosy jak u Chrystusa, broda, wielkie oczy... Nie widzieliście?

Nie widzieli.

Aż wreszcie, kiedy nadaremnie wykrzykiwał nazwisko pana dziedzica od poezji, jeden z więźniów odwrócił się, przypadł do porucznika.

– Pan Adam? Szczupły? Długie włosy? Był u nas, a jakże...

– Co z nim? Co się stało?! Gdzie on jest, nie widzę go?!

– Zabrali... Dony! – prawie zaszlochał powstaniec. – Powlekli do Warszawy. Już on w dziesiątym pawilonie, w Cytadeli, pod knutem katów Tucholki. Miejcie go w opiece święci anielscy.

Szymański poczuł się tak, jakby ktoś zdzielił go przez łeb żelaznym obuchem. Świat stanął dęba. Pan Adam... w Cytadeli! Tyle krwi, tyle śmierci. A wszystko na nic.

Więźniowie padali mu do stóp jak aniołowi wolności. Ale pana Adama nie było wśród nich.

– Poczekajcie, panie poruczniku! – zakrzyknął nagle więzień. – Pan jesteś... Szymański? On mi coś dał; przykazał, coby oddać.

– Co takiego?

Powstaniec rozerwał róg sukiennej kurty. Wydobył spod materiału zwitek papierów. Porucznik porwał go chciwie, rozłożył.

Na Boga, to był wiersz. Wiersz przeznaczony dla niego!

Wbił wzrok w rozmyte, niewyraźne rzędkie pisma nakreślone na papierze przesiąkniętym ludzkim potem, brudem i krwią.

I przeczytał.

Kochany mój Jakubku. Niewiele mam czasu na pisanie, a jeszcze mniej papieru. Nie wiem, czy to przeczytasz kiedyś, ale miej te strofy w sercu, kiedy mnie pognają do Cytadeli na śledztwo... Nie wiem, czy się spotkamy, ale upraszam cię z całą mocą duszy mej, abyś pozostał taki, jaki byłeś kiedyś...

Żegnaj, żywię nadzieję, że nie na wieki i jeszcze się kiedyś spotkamy. Choć ja porzuciłem wiarę, że jeszcze ujrzę świat żywych.

Twój opiekun, pan Adam.

*Polska... kochałem ją w twych rumieńcach,
którymi zorza wschodziła zza boru –
w twoich złotych warkoczach i w żeńcach –
i w błyskawicach letniego wieczoru,
w ryku żubrów idących na spoj...
od szłochu pęknie pierś... Bóg mój!*

*Pani! jedyna moja – wszechświat w Tobie
poznałem, bom go ukochał przez Ciebie!
i jeśli teraz żyję smętny w grobie,
to z wiarą, że się ocknę w Twoim sercu – w niebie
Ach, gdym Cię złożył na marach otrutą –
bólami ścietą twarz – źrenice szklane –
tom ja przysięgnął taką pomstę lutą,
jak Duch – co pisał ogniem: Thekel – Mane!*

*Przez nocy tysiąc szukałem zbrodniarza,
w gusła zabrnąłem i w czarne zakłęcia –*

*Szatan objawił: zbrodniarz u ołtarza –
– służy mnie – ale ma wygląd jagnięcia –
– służy mnie – ale go oddam bez żalu –
– ażeby Moskal poznał bratyma w szakalu.*

Wszystko dokoła zszarzało, zbladło. Gwar głosów oddalił się, rozmył, zaniknął. Świat rozmył się, rozmiął na części. A kiedy złożył na powrót w jego głowie, miał postać zaciętego oblicza Hercla.

– Panie poruczniku! – Szymański zdał sobie sprawę, że jego podkomendny krzyczy. – Panie poruczniku!

– Co się dzieje?

– Moskale chcą odejść.

– Niechaj jada!

– Panie poruczniku, nie możemy ich wypuścić.

– O czym ty mówisz?

– Wystrzelajmy ich jak psów. Jak wyzdrowieją, będą walczyć przeciwko nam!

– Rannych i chorych jeńców? Oszalałeś?

– To wrogowie nasi! Nie dawajmy im pardonu!

– Cóż się zrobił taki zarty na krew?!

– A kto chciał ich pozabijać, jak nie pan?

– Ja? Pozabijać? Jeńców? Zaraz? Co się dzieje?

– Przecież pan do nich strzelał jak do psów?

To dziwne, ale Szymański z trudem przypominał sobie to wszystko, co miało miejsce we dworze. Jakaś rzeź rannych? Terror? Zabijał jeńców? On? Jak mógł?

– Major dotrzymał słowa. I my dotrzynamy. Hej, Mickiewicz! Ruszamy stąd jak najszybciej. Zbieraj rannych na wozy. Moskale zostaną tutaj do nadejścia swoich.

– Tak jest.

Hercel chciał jeszcze protestować, ale Justyna objęła go z tyłu, przycisnęła i przytrzymała. Przymknął oczy, w których narastał gniew.

Szymański wskoczył na konia i ruszył wraz z oddziałem. Po tym, czego dowiedział się o Adamie, nie cieszyła go nawet myśl, że na dnie flaszki laudanum został spory napałek brązowego trunku.

Duch

Wyprawa do wiernego lasu, a potem jazda do Kielc na zwykłej furmance, srogie spojrzenia Dońców patrolujących drogi, rozpytujących o buntowczyków, a zwłaszcza najgorszego – Szymańskiego, którego legenda zaczynała już krążyć po okolicy.

I wreszcie kamienica, a w niej warsztat dagerotypisty. Mroczny jak samo piekło, lecz cichy, bo przesłonięty i obity pluszowymi kotarami niby ściany trumny. Hamburski rozłożył przed Szymańskim niezbędny każdego polskiego poety: opium, laudanum i absynt połyskujący zielonkawo w grubej butelce.

– Pan Adam jest w Cytadeli, w dziesiątym pawilonie – powiedział Szymański, podczas gdy opium zagrzewało się w fajeczce, a laudanum przesączało przez cukier, jak zwykle, z początku wolno i leniwie, za to później szybko łaskoczące duszę kwiatem swej słodyczy. – Nie mogliśmy nic zrobić, poza uwolnieniem naszych braci. I utworzeniem z nich dużego oddziału powstańczego.

– Nie spodziewałem się tego. – Hamburski wyglądał na przybitego. Nos mu się wydłużył, oczy zapadły. – Tragedia! Ale to jeszcze nie polskie Termopile! Ta porażka, która i tak wyjdzie nam na dobre, bo jak sam pan mówisz, twój oddział powiększył się o jeńców, oznacza zaledwie drobną zmianę naszych planów, proszę pana. Bo pana Adama musimy wydostać z łap Moskali, nie pytając nawet o cenę!

– Musi pan zatem użyć swoich koneksji w Petersburgu, aby spróbować wyciągnąć go z opresji.

– Mój panie, moje koneksje nie wystarczą, aby przywrócić mu wolność. Owszem, jestem w stanie sprawić, aby został ułaskawiony i zamiast na szubienicę lub długoletnie zesłanie, skazany został na osiedlenie lub przymusowy pobyt na Syberii. Lecz to nie jest wyjście – przecież potrzebujemy GO właśnie teraz, tutaj i jak najszybciej.

– Mam zdobyć Cytadelę Warszawską? – Szymański błysnął w uśmiechu zębami. – To się nie uda nawet z karabinami Dreysego. Za dużo pan pali opium i za długo przebywa na Parnasie, zamiast na ziemi.

– Nie panu o wyrokować o moich wizjach, panie pułkowniku.

– Poruczniku.

– Partia się rozrasta. Napływają ochotnicy z miast i wsi. Czas, aby stanął pan na czele pułku i przeprowadził akcję, która rozśławi imię jego dowódcy w całym Królestwie.

– Sam pan wcześniej mówił, że pójdzie z Bogurodzicą na ustach na kolumny Moskali to śmierć, a teraz chce ze mnie pan zrobić męczennika polskiej sprawy? Powstanie potrzebuje symbolu, ale żywego, a nie skłutego bagnetami.

– Wcale nie każe zdobywać panu dziesiątego pawilonu Cytadeli. – Hamburski uśmiechnął się złowieszczo; wyglądał całkiem jak kruk zabierający się właśnie do wydziobania oka trupowi. – Myślałem znowu o posianiu w szeregach wroga strachu poprzez niespodziewaną i niezapowiedzianą akcję. Taki terror, jak sam pan widzi, potrafi zdziałać więcej niż kule i bagnety najliczniejszej nawet armii.

Szymański poczuł dziwne mrowienie na plecach.

– Chce pan, abym znowu zagroził egzekucją moskiewskich jeńców? Nie bądźmy dziećmi, w Jędrzejowie wypuszczono powstańców z prowincjonalnego aresztu, z którego mieli trafić przed Komisję Radomską. Ilu rosyjskich oficerów musiałbym zastrzelić, aby generał gubernator, albo sam car uwolnił kogoś z Cytadeli?

– A czy nie wystarczyłoby do tego wielki książę Konstanty Nikołajewicz?

– Złap go pan i przyrowadź. A wtedy pogadamy.

– A nie wystarczyłaby jego rodzina? I generała oberpolicmajstra Trepowa? I Wielopolskiego? I Tuchołki?

– Co pan zamierza?

– Mówię o zamachnięciu się nie na carskich czynowników, których odgradza od nas kordon policji i wojska, ale o zagrożeniu życiu ich bliskich – rodzin, matek, żon... I dzieci.

Ostatnie słowo domówił niemal szeptem. A potem sięgnął pod biurko i wydobyl gruby brulion oprawiony w skórę.

– Proszę to zobaczyć.

Wewnątrz był plan kunsztownie wykreślony piórkiem na papierowych kartach. Szymański nie był architektem, ale rozpoznał w nim schemat jakiegoś domostwa, a raczej dostatniej rezydencji.

– Za trzy tygodnie żona Trepowa zamierza wyprawić bal w pałacu Namiestnikowskim, aby pokazać typowo azjatycką pogardę wobec ogłoszonej przez polski rząd żałoby narodowej. Rzecz jasna, rezydencja otoczona będzie przez wojsko, w obawie jakiejś demonstracji. Dlatego nie ma sensu urządzenie tam zbrojnych akcji.

Wskazał długim, giętkim palcem linie na szkicu w brulionie.

– To plany pałacu Brühla. Na balu będą jedynie sami dygnitarze razem z żonami. Dla bezpieczeństwa, aby nie doszło do zamachu, dzieci, tudzież małoletni krewni namiestnika Trepowa i innych gości przewiezieni zostaną do tej właśnie rezydencji, gdzie pozostaną pod ochroną policji i guwernerów. Dla bezpieczeństwa, chi, chi, chi.

Przez nocy tysiąc szukałem zbrodniarza, w gusła zabrąłem i w czarne zakłęcia – powtarzał sobie w głowie Szymański.

– Przekupiłem i pozyskałem różnymi środkami służących, którzy wskazali mi stary, nieużywany kanał, zbudowany prawie sto lat temu, kiedy mieściła się tam moskiewska ambasada. Część z was przejdzie tamtędy, reszta odwróci uwagę strażników, przynosząc sfalszowaną depezę od wielkiego księcia Konstantego. Mówiąc krótko – zamiast atakować pałac Namiestnika, w którym się was spodziewają, uderzycie na pałac Brühla. I weźmiecie do niewoli moskiewskie szczeniaki.

*Szatan objawił: zbrodniarz u ołtarza –
służ mi – ale ma wygląd jagnięcia...*

Szczęśny nie wyglądał jak jagnię. Wychudła, porowata twarz zлана potem. I tylko oczy, coraz głębsze, coraz mroczniejsze...

– Niech pan pomyśli, co zrobi Konstanty Nikołajewicz, rodzeniutki braciszek katowskiego cara – Aleksandra, kiedy zobaczy pańskiego colta dragoona przy główce swej ślicznej Olgi? Gdy powie mu pan, że albo uwolni wszystkich więźniów Cytadeli, albo jego synaczek, a carski bratanek Mikołaj zostanie zarąbany tak samo, jak Moskale zabijają polskie dzieci? Jak płakać będzie i zmięczać cara maślanymi łzami żona wielkiego księcia – Aleksandra Józefowna? Będzie miał pan w ręku moskiewskie szczeniaki. Wychowane, wytresowane w nienawiści do Polski. Te, którym guwernerzy i nauczyciele powtarzali w kółko, że sprawa polska jest tylko wewnętrzną sprawą imperium. A Polacy to buntowszczyki godne szubienicy. Będzie miał pan władzę jak car!

*Służy mnie – ale go oddam bez żalu
ażeby Moskal poznał bratyma w szakalu.*

– O, panie pułkowniku Szymański. Cóż będziemy mogli osiągnąć, mając w ręku tak żywe i mocne argumenty?

Szymański odsunął nienapoczętą nawet czarkę z laudanum.

– Jeśli, jak sam pan mówi, będę mieć w ręku tak wielką władzę, sam stanę się carem. A Polakom nie potrzeba drugiego Aleksandra.

– To jedyna sposobność, by wstrząsnąć Moskwą. A przy okazji – uwolnić pana Adama.

– A ze mnie – chyba całkiem przypadkiem – uczynić potwora?

– Bohatera!

– Co pan, do diabła, opowiada! Brać do niewoli rannych Moskali to jeszcze ujdzie, bo to żołnierze, a żołnierz idąc na wojnę, wie, że czeka go walka bez pardonu. Ale zabijać dzieci? Brać je pod lufy tych pięknych, pruskich karabinów, które nam pan przywiózł? Panie Hamburski, pomylił się pan. Ja jestem żołnierzem, buntownikiem, powstańcem, mordercą... też, ale Moskali. Lecz nie będę zabójcą dzieci! Ani ja, ani żaden Polak!

– Obawiam się, że będzie pan musiał przeprowadzić ten atak i postawić pod lufą rewolweru te szczeniaki oderwane od sutków pruskiej suki!

– Tego najmłodszego, Wiaczesława, co się urodził wielkiemu księciu niecały rok temu w Warszawie, też?

– Każdego z tej podłej rodziny!

– Nie jestem taki jak Moskale!

– Zmuszę, aby pan to zrobił! – wysyczał Hamburski. – Mam do tego środki! Już za późno, nie może się pan wycofać. Musi pan porwać te bękarty i przystawić im lufy do głów!

– Najpierw, panie Hamburski, przystawię rewolwer do waszej!

Szymański skoczył jak zbik, chwycił Szczęsnego za łeb, poderwał w górę, aż mu spadła czapeczka, odkrywając splątane, mokre pukle włosów na łysiejącej głowie. A z dołu, do samej grdyki, przytknął lufę colta dragoona.

I zatrząś się, bo postawił wszystko na ostrzu noża. Koniec, nie było już odwrotu.

– Kim ty jesteś, Hamburski i dla kogo pracujesz?! Czyim jesteś szpiclem? Prusaków? Austrii? Francuzów?

– Wszystkich naraz – wycharczał dagerotypista. – Każdemu sprzedam duszę, aby tylko kupić Polsce wyzwolenie!

– Łżesz! – Szymański wbił dragoona w dolną część jego szczęki. – Jaki jest twój cel? Co chcesz osiągnąć tym okrucieństwem? Wywołać wojnę? A może zniszczyć powstanie? Czy ty myślisz, że Trepow i car Aleksander będą negocjować z porywaczami dzieci?! Nawet jeśli wypuszczą pana Adama, to i tak zemsta carska będzie taka, że spali pół Polski i zburzy Warszawę!

– To ją będzie musiał potem odbudować! – wycharczał Szczęsny.

– Co wy knujecie z Justyną? Co ona przykłada do czoła żywych ludzi? Skąd macie karabiny Dreysego?! Kto wam je dostarczył i po co? Mów, albo rozwalę ci łeb jak tym Moskałom we dworze w Dolimowicach!

– Będziesz musiał dokonać ataku na pałac Bruhla, panie Szymański. Nie masz wyboru.

– Zawsze jest jakiś wybór. Choćby śmierć niż hańba.

– Pan nie ma nawet takiego – wydyszał Szczęsny. – Proszę, jeśli pan chce, pokażę panu wszystko, wytłumaczę. Jeśli ta wiedza nie będzie dla pana zbyt okrutna.

– Idź przodem! – Szymański odsunął lufę pistoletu i przeszedł za plecy Hamburskiego. – I pamiętaj, mierzę w ciebie cały czas!

Szczęsny pokiwał głową. Weszli do ciemnego pomieszczenia odgrodzonego kotarami od gabinetu, w którym rozmawiali.

Hamburski manipulował coś przy drzwiach – a może przy ścianie, bo nagle Szymański usłyszał chrzęst, jakby cały kawał muru odchylił się na zawiasach.

Zobaczył plamę błękitnawego blasku obrysowującą postać dagerotypisty.

– Proszę za mną, panie Szymański!

Do diabła! Było ciemno i został tak oślepiiony tym światłem, że prawie nie był w stanie poznać, gdzie teraz stał Hamburski. Gdyby chciał – uszedłby przed lufy colta równie łatwo, jak nietoperz znikający w mroku.

Szymański postąpił do przodu i oto znalazł się w innym świecie. W okrągłej sali przepełnionej błękitnym, czasem zielonawym, gdzieindziej czerwonym blaskiem, który przenikał do głowy równie łatwo co świeżo odmierzona porcja sześćdziesięciu kropel laudanum.

W ścianach, w równych, sklepionych niszach, stały rzędami słoje, większe niż ludzka głowa, zalakowane starannie na górze, połączone miedzianymi rurkami. W pomieszczeniu

było parno, gorąco jak w piekarni, ale nie czuło się woni ciasta. Raczej coś, jakby zapach kurzu i pleśni. Smak pyłu i długo nieodwiedzanej pustki.

Słoje dawały błękitnawe światło. Dobywało się zza nich ciche, ledwie słyszalne bzyczenie, jakby schowano tam ule z pszczołami. Szymański rozglądał się dokoła, próbował policzyć naczynia, ale zgubił rachubę przy trzydziestym. Podszedł więc bliżej i...

W słojach były głowy. Ludzkie głowy... Ale może gdzieś tam, w głębi, ukrywały się całe ciała, nie mógł dostrzec... Szkiełkiem i okiem nic by tu nie wskórał, wymiary myliły się w tym miejscu i tym dziwnym świetle.

Zrazu pomyślał, że to preparaty anatomiczne, ale potem zrozumiał błąd. Ci wszyscy zgromadzeni tutaj... otwierali i zamykali niewidzące oczy, jak gdyby wypalili sowy porcję opium. Poruszali głowami, wargami i językiem.

Oni żyli!

Opuścił broń, bo kołowało mu się w głowie od tego wszystkiego.

– Co to jest?! Czy oni nie żyją?

– To wylęgarnia dusz, panie Szymański.

– Co im zrobiłeś?

– Wykradłem dusze, które możesz podziwiać tam, w niszach. Nie obawiaj się, żaden z tych, których duchy zobaczysz w lejdejskich flaszach, nie odniósł szkody. Nawet kiedy je zabierałem, nie poczuł nic ponad mocny wstrząs zadany iskrą Volty. Elektrycznością, którą zaprząłem do mojej pracy.

Gdyby Szymański nie widział zawartości słoików, wyśmiałby tego mędrka szczerym, chłopskim śmiechem. Jak ten wieśniaków w Wądołach, kiedy im bajął o wolności.

– Jak możesz zabrać komuś duszę? Przecież ona należy tylko do Boga! Łżesz, Hamburski! Aby ją posiadać, musisz ich zabić! Bo tylko wtedy uwolniony duch oddzieli się od ciała.

– Sprawy i rzeczy ducha nie mieszczą się w naszych trzech wymiarach, ani w geometrii, którą nakreślił nam Euklides. Odległość nie jest dystansem, miła – miłą, a grubość – grubością. Dusza nie jest, jak twierdził Dicearne, harmonią i uzgodnieniem czterech żywiołów, nie przypomina kulistego naczynia, ani też, jak pisał Żyd Filon – nie występują jej dwie odmiany: dobra i zła, jak aniołowie Boga i Szatana. Ja twierdzę, cytując Leona Hebrajczyka, że jest to raczej umysł ze swymi dwiema potęgami: uczuciem i wolną wolą. Porywam dusze, panie pułkowniku, ale nie czyniąc złego ludziom. Przekuwam je tylko na nowo, jak kowal na kowadle, bijąc w nie młotem mej wiary, a tak naprawdę – elektrycznością.

Ukazał dziwną tablicę z heblami i szeregiem maleńkich dźwigienek, od których rozchodziły się miedziane, znikające w ścianie żyły. Takie same cieniutkie rurki ujrzał Szymański przy wielkich słoikach z uwięzionymi duszami.

– Na nic mi martwi ludzie – ciągnął Szczęsny. – Ich dusze idą prosto do Boga lub do

Diabła, uciekają i wymykają się wszelkim próbom pochwycenia. Mnie interesują tylko żywi!

– Jak je porywasz? Jak to możliwe?

– Elektryczność, panie pułkowniku. Przepływa przez pana serce, mózg i nerki. A dusza połączona jest z ciałem poprzez astral. Tu – pokazał palcem między swoimi, cienkimi jak u dziewczynki brwiami – ma pan astralny zmysł, zwany trzecim okiem. Wystarczy przyciągnąć go ładunkiem elektrycznym. O właśnie takim kondensatorem.

Pokazał mosiężny cylinder, ten sam, który Justyna przykładała w Dolimowicach do czoła Moskala. Jego górna krawędź była pokryta małymi ząbkami, jak w paszczy maleńkiego potworka. Nacisnął coś i z cichym trzaskiem wysunęły się stamtąd dwa pręty. A potem przeskoczyła między nimi błękitnawa iskra.

To nie mogła być prawda.

– Wystarczy potem podłączyć ten... kondensator do lejdejskiej flaszki, a zmysł astralny ściągnie do niej duszę. Wyjdzie ona z ciała, a jednocześnie w nim pozostanie. Bo tamten świat, panie pułkowniku, ma inne wymiary niż nasz. I rzeczy dla nas połączone, tam mogą znajdować się w zupełnie innych miejscach. Lecz musisz wiedzieć, że zwykle dusze prostaczków niewiele znaczą. Dlatego przekuwam je tu na nową potęgę, dręczę, torturuję... Mieszam ze sobą, aż staną się duchem mężnych, wielkich ludzi!

– Skąd wiesz, która dusza się nadaje? A która nie?

– Po dagerotypach, mój panie. Pan widzi tylko obrazek, a ja – wewnątrz żywego człowieka. Dlatego robię zdjęcia Polakom.

– Dlatego dagerotypowałeś pana dziedzica od poezji?! – zapytał wstrząśnięty Szymański.

– Chcesz zabrać mu duszę i zamknąć jego jaźń w takim słoju?! Bo obrazek, który mu zrobiłeś, pokazuje ci, że jest mężna i wielka? Chcesz ją dręczyć! Za co?

– Nie za, lecz po co, panie pułkowniku. Aby odnaleźć wielkie dzieło. Stworzyć duszę „nadczołowieka”. Króla-Ducha z pism Słowackiego. Ducha Narodu Polskiego, który wstępując w nowe ciało stanie się naszym własnym Bogiem. I niczym dawny Prometeusz uwolni Polskę od zaborców, złoży ją na nowo i wskrzesi jak pannę młodą. I wstanie naga, w styksowym wykapana mule...

– Ty jesteś bluźniercą!

– Nie, mój panie. Tylko skromnym rzemieślnikiem. Naukowymi metodami, elektrycznością i prawami Volty, Faradaya i Kirchoffa urzeczywistniłem to, o czym pisali nasi poeci. Chcę stworzyć tego, który JEST. Wallenroda, co poszukiwał go Mickiewicz. Króla-Ducha, którym określał go Słowacki, ludem – Ehrenberg. Męża z dramatów Krasieńskiego, któremu Pankracy krzyczał, umierając: *Galilejczyku, zwyciężyłeś!*

– Jesteś antychrystem!

– On już ma swoich popleczników: Moskali, zaborców i azjatyckie hordy. Tak samo Bóg: ten z kolei wybrał sobie zachód Europy. Francję, Anglików i Stany Ameryki. Któż zatem zostaje nam, Polakom? Czyż nie powinniśmy stworzyć sobie własnego Boga?

– Co robisz z duszami? Sam powiedziałeś, że je torturujesz! Zadajesz ból, cierpienie!

– Zaręczam ci, że ciało nie uroni przy tym ani kropli krwi. Spójrz, proszę, na flasze przed tobą. Ten tam, młody, czarnowłosa to Jermołow, moskiewski porucznik piechoty, którego duszę pochwyciła Justyna w lazarecie w Dolimowicach. Dziś nie wie, cośmy mu zrobili, lecz wkrótce zmienię jego życie, bo nagle w sercu odezwie się miłość do pewnej polskiej damy. I będzie płonąć wiekuistym ogniem. Lecz Jermołow jeszcze nawet nie domyśla się, że człowiek, którego kiedyś zastrzelili przy ucieczce, to był jej brat, a ona pamiętała rosyjskiego porucznika aż za dobrze. Tam oto warszawski statysta, co poparł Wielopolskiego, kiedy ten wszczął styczniową branżę. Synowie jego poszli do lasu i zginęli, bez broni, bez nadziei, bez szansy na ludzki pogrzeb, rozplątani pałaszami dragonów. Dziś albo jutro przyjdzie o tym wieść – jak myślisz, co uczyni ów świątobliwy, carski służalec? Będzie się modlił czy raczej strzeli sobie w łeb. A może wejdzie z pistoletem na pokoje margrabiego, by podziękować mu za to, że jego dzieci poszły w bój bez broni?

Tam oto młody chłopak. Syn carskiego generała. Lecz już w powstaniu, u czerwonych. Radykał, insurgent pierwszej wody. Chce wieszać zdrajców i Moskali. Jak myślisz, kiedy spotka się z ojcem na polu bitwy?

A tam, dawny oficer carski, zacny, honorowy i młody. Ma z żoną synka Piotrusia, ale gdy rzucił moskiewską liberię i przeszedł na stronę powstańców, jego wuj zabrał dziecko, mówiąc: – Niech nie zna ojca buntowszczyka. Ja go wychowam na Moskala, nie będzie hańbił rodu! A matce serce pękło!

Tu ojciec oplakuje dzieci. Tam znów schwyтали powstańca. Będą go sądzić, odeślą do Radomia, stąd do Warszawy. Dostałby pewnie parę lat Sybiru, ale w komisji będzie Polak, co się kocha w jego żonie. A syn, co wypłakuje powstańczego ojca, jest tak naprawdę synem tego carskiego kata. Jak myślisz, co więzień robi, kiedy dowie się o tym wszystkim?!

Szymański zatoczył się, bo wszystko to było jak sen po zażyciu całej butli laudanum.

– Ty ich dręczysz gorzej niż torturami! – ryknął. – Zmieniasz cnotliwych w łotrów, honorowych w szubrawców. Damy w dziwki! Panów w żebraków! A bohaterów w zdrajców!

– Nie zawsze, zwykle odwrotnie. Moim celem nie są wcielone diabły, ale „nadczłowiek”, który poprowadzi naród do wolności. Cóż – wzniosły cel uświęca środki. By leczyć, trzeba czasem zabić, hartować serca w twardej szkole życia.

– Ludzkie sumienia to nie lalki! Nie możesz bawić się nimi jak zabawkami!

– Mogę i bawię się. Dla dobra Polski. A pan, panie pułkowniku, mi w tym dopomoże.

Błądzące po kolejnych obliczach, twarzach i duszach oczy Szymańskiego nagle zamarły. Czarnowłosa niewiasta... Jego wybawicielka, jego przewodniczka, jego miłość...

Justyna! A więc ją też uwięził, schwytał, porwał. Bawił się jej duszą jak kot myszą. Dlatego była tak zmienna w nastrojach, tak frywolna i okrutna.

– Ją wzięłeś, wcielony diable. Ją też porwałeś, trzymasz tutaj... Kim, kim ona jest dla ciebie?! Niewolnicą?! Wiedźmą? Suka?

– Pan się myli, pułkowniku. Ja nie mogę niczego zakazać, ani nakazać. Ja tylko mieszam dusze. Wpływam na nie, przesyłam myśli, wrażenia i uczucia od jednej do drugiej.

– Zabiłeś którąś kiedyś, bo tak ci się podobało?!

– Czasem wychodzą mi potwory. Bękarty diabła. Śnią o złamanym młocie i splugawionym krzyżu. O tym, by w Moskwie powstała siła, co zdusi cara, a potem zjednoczy cały świat we wspólnej niewoli. Co to może znaczyć, Bóg jeden wie. Lecz takie dusze... są niebezpieczne. Tak, niszczyć je, by nie spłodziły sukubów swej woli. Patrz tam, obok ciebie!

Szymański zobaczył wychudłą, ascetyczną twarz ozdobioną bródką w okolicach ust, oblicze szlachetne, lecz groźne. A wtedy Hamburgski przekręcił jakiś hebel i nagle błysk niczym piorun przeszył wnętrze butli. Najpierw jeden, potem drugi, trzeci i... dziesiąty. Szymański odskoczył, bo jakby burza rozpętała się w butli pełnej błękitnego światła. A wówczas ostry jak brzytwa wizerunek rozpadł się na kawałki, zginął, szczył w wyładowaniach przypominających pioruny.

– Do piekła, idź do Szatana! – warknął Hamburgski. – Śnić o swojej wspólnocie, o komunizmie!

Poświata w butli znikła, naczynie było puste, a Szymański złapał się za serce. Nie chciało mu się wierzyć, że gdzieś tam zginął właśnie człowiek.

– To, co robisz, Hamburgski – rzekł głucho – przerasta me wyobrażenie o okrucieństwie. Niczym są przy tym wszystkim lochy Cytadeli, Komisja Radomska i kopalnie Syberii. Ty jesteś oprawcą największym z nich wszystkich. Tuchołka godzien umywać ci nogi. Ale ja zrozumiałem... Pan Adam przekazał mi list, zbudził z letargu. Nie wezmę już do ust laudanum! Nie będę ci służył. Nigdy nie dostaniesz duszy pana dziedzica od poezji! A jeśli już to po moim trupie!

Uniósł rewolwer na wysokość serca Hamburgskiego.

– Uwolnij je wszystkie! Uwolnij dusze, które ukradłeś, ty psie, szelmo, złodzieju! Już nigdy nikomu nie zaszkodziś. Nie dam ci.

– Bo co? Zabije mnie pan, panie pułkowniku?

– Jak psa.

– Proszę bardzo!

Szymański nacisnął spust. To znaczy chciał nacisnąć, bo metal stawiał opór. Przez chwilę szarpał się z dragoonem, ale pistolet był odbezpieczony, kurek odciągnięty. Do kroćset, co się działo? Spust się zaciął? A może on sam nie mógł go nacisnąć?

– Nie może mnie pan zabić – rzekł spokojnie Hamburgski. – Za chwilę się pan dowie, dlaczego, panie pułkowniku.

Szymański potoczył wściekłym wzrokiem po niszach ze słojami, a potem obrócił broń w stronę najbliższej.

– Nie mogę? Zgoda! Ale przynajmniej je uwolnię od dalszych męczarni!

Wypalił z colta w słoje, w którym była dusza Justyny. Wystrzał rozbrzmiał gromowym

głosem w pomieszczeniu, kula strzaskała szkło i druty, wznecając strzępiaste wyładowania i błyskawice. Błękitna poświata zgasła, więzienie uwolniło się, rozpadło, a dusza wróciła do Boga.

Szymański przeniósł broń na kolejny cel, obojętny, co zrobi Szczęsny. I wtedy zatrzymał się, krzyknął, zadygotał.

W błękitnej poświacie lejdejskiej flaszki zobaczył... swoje oblicze!

Hamburski miał jego własną duszę!

Uderzył się w piersi kolbą rewolweru, jakby nagle poczuł tam pustkę, jakby wyrwano mu żywcem serce. Lecz przecież było na swoim własnym miejscu, biło, krew krążyła, władał swymi członkami jak dawniej.

Poczuł w nozdrzach woń dymu z ogniska na tamtej, zapomnianej polanie w borze, dokąd z Wądołów przywiozła go Justyna. Przypomniawszy sobie głębokie koleiny wozu i grudkę krwi, którą odkrył na czole między brwiami.

To musiało stać się wtedy.

Obrócił się na Hamburskiego, a ten pokiwał głową. Przełączył jakiś hebel na tablicy.

Szymański poczuł, jak w jego ciało wbijają się znowu moskiewskie bagnety. Jak węż, śmierdzący krwią i prochem żołdaci przetrząsają krwawy stos na małogoskim polu, szukając pieniędzy i butów, jak srebrne szpikulce przebijają broczące krwią ciała.

Znów dostał postrzał w lewe ramię, potem zobaczył lufę własnego colta dragoona przystawioną do głowy. Trzymał go człowiek wyglądający jak on sam. Zrozumiał nagle, że wcielił się w Moskala, którego zabił przed dworem w Dolimowicach.

Piekło zważyło na jego głowę piramidę strachu, bólu i cierpienia. Padł, wypuściwszy z ręki rewolwer, zwinął się tak jak wtedy, po bitwie, kiedy wszystko się zaczęło.

A Hamburski uśmiechnął się tajemniczo.

– Czy już rozumiesz, co mogę z tobą zrobić, panie pułkowniku? Czy będziesz wykonywał moje rozkazy? Chyba – wyszeptał cicho i złowroźnie. – Chyba tak, prawda?

Pożegnanie

– Co robisz, panie Mickiewicz?

– Odchodzę.

– Nie wierzysz w zwycięstwo?

– Odchodzę do partii Becka. Słyszałem, że zbiera oddział gdzieś w Grodziskiem. Będę walczył dalej.

– Dlaczego nie z nami?

- Nie chcę tak walczyć, panie pułkowniku.
 - Nie da rady inaczej. To dla Polski.
 - Więc w imię tej pańskiej Polski mam zabijać jeńców, mordować dzieci? To nie moja Polska, panie pułkowniku.
 - Mickiewicz, wy przegracie. Nie pobijecie wroga bez terroru.
 - Ale będziemy wielcy duchem.
 - Pognają cię na Sybir.
 - Może Bóg pozwoli dożyć wolnej Polski. Może, jak będę stary, zanim przymknę powieki, zobaczę ją na własne oczy...
 - Nie potępiam cię, panie Telesforze.
 - Panie pułkowniku!
 - Słucham.
 - Niech pan jedzie ze mną! Będziemy bili Moskali po drogach i lasach, jak za starych, dobrych czasów. Tu, wokół nas, dzieje się coś dziwnego! Jakieś szaleństwo nas ogarnia. Ja to czuję, jakby diabeł czyhał na mą duszę.
 - Panie Mickiewicz... Jeśli to czujesz, tak jak ja, to uciekaj! Uciekaj, póki jeszcze czas!
 - A pan?
 - Za późno. Muszę doprowadzić wszystko do końca. Muszę to przerwać. Ale powiem ci jedno – masz rację. Dostrzegasz, że nie jesteśmy już sobą. Uciekaj, póki pora. Koń, karabin, zapasy, wszystko jest twoje. Jedź!
 - Panie pułkowniku. Ja już pana nie zobaczę.
 - Jedź do wszystkich diabłów! Zanim się rozmyślę! Allez!
- Mickiewicz popędził konia. Ruszył w las. Nie obejrzał się już.

Już tylko nędza...

Hamburski trzymał w garści wszystkie argumenty niczym woźnica lejce w poszóstnym cugu. Miał władzę absolutną nad Szymańskim; pułkownik nie wątpił, że jakakolwiek próba buntu sprawi, że Szczęsny ześle go w otchłań cierpienia tak straszną, jak okrutne musiało być samo piekło.

Teraz wyjaśniło się wszystko, od samego początku. Wiedział, skąd wezbrało w nim zwierzęce okrucieństwo powodujące, że niczym bezwolny golem mordował rannych Moskali, przejmował strachem i terrorem władzę w oddziale, który spotkali na trakcie. Wtedy Szymański sam siebie nie poznawał, cudze myśli rządziły jego czynami; dziś widział w tym wszystkim zdradę i znowę Hamburskiego, który wykuwał jego duszę za pomocą przeklętej

energii Volty.

Ale pułkownik odzyskał zdolność do okazania choć namiastki wolnej woli. Wiersz od pana Adama był jak antidotum na zatrucie. Niczym eliksir, który zmył z jego umysłu miazmaty szaleństwa. Od tamtej pory Szymański nie tknął laudanum, chociaż ciało dopominało się diabelskiego specyfiku ze złowieszczym skowytom. Laudanum oznaczało śmierć, otepienie, opętanie. Poddanie się władzy i woli Hamburgskiego. Tamten miał ciągle jego duszę w garści, skrępował jestestwo Jakuba powrozami grubymi jak te, którymi wieszateli Murawioi obdarowywali Polaków na Litwie. Ale nie zdołał już wpłynąć na jaźń powstańca. Szymański był niewolnikiem, jednak zachował wolną wolę wyboru.

O tym wszystkim myślał, kiedy jechali przez lasy do Telejówki, gdzie mieli zostawić broń u znajomego rządcy folwarku, przebrać się w zwykłe ubrania, zamienić konie na kolasy i bryczki, a potem jechać do Warszawy na akcję, która przejmowała grozą duszę Szymańskiego.

Co robić? Jak się zbuntować? Zachorować? Odszukać Hamburgskiego, otworzyć słoje? Uwolnić dusze? To nie wchodziło w rachubę. Szymański sam nie był pewien, czy ten szaleniec nie mógł aby czytać myśli z jego duszy. Czy stał teraz nad lejdejską flaszą, wpatrując się w błękitnego ducha Jakuba? Czy wiedział, jakie trapiły go myśli?

Wszystko przegrane, zawalone... Co teraz? Hamburgski posyłał ich na drogę do zatracenia, do zmienienia Królestwa Polskiego w prawdziwe piekło. Pułkownik nie miał złudzeń, że po tym, co zrobią w Warszawie dzieciom carskich oficjeli, Moskale będą palić dwory, wieszac bez sądu nie tylko powstańców, lecz także wszystkich napotkanych Polaków, którzy wydadzą im się zdolni do trzymania broni. Represje będą równie dzikie i okrutne, jak ich akcje, bo carski rząd terrorem odpowie na terror. To wszystko nakręci tylko spiralę zbrodni i nienawiści do niesamowitych rozmiarów, jak wielki pęcherz, który kiedyś pęknie, zalewając wszystkich krwią.

Nie można było do tego dopuścić.

Ale jak to zrobić?

Aż bał się swoich myśli, bo nie wiedział, czy Hamburgski nie ma do nich dostępu. Coś musiał zrobić? Ale co?

Jechali przez wiosenne lasy i dąbrowy, mijali drzewa okryte pąkami, pola, na których wyrastało zielone żyto i świeża, soczysta trawa.

Nic nie cieszyło Szymańskiego. Komu zaufać? Jak przerwać nić łączącą go z Hamburgskim? Jak wyrwać swoją duszę ze szponów tamtego?

Chyba tylko niweczając akcję, na którą posłał go Szczęsny. Niweczając tak, aby tamten nie mógł już go wykorzystać. Ale jak to zrobić?

Sposobność nadarzyła się sama. Nagle powrócił Hercel, który jechał w przedniej straży.

– Panie pułkowniku, Moskale na gościńcu!

– Siła ich?

– Duny i piechota. Będzie ze stu ludzi.

– Za prowadzącą czwórką w lewo marsz! – zakomenderował Szymański. – Klusem!

Wjechali do lasu, równoległe do traktu, którym maszerowali Moskale.

– Stępem marsz! Pojedynczo w prawo zwrot! Stawaj!

Stanęli rozciągnięci tuż za linią drzew, ukryci przed wzrokiem Moskali. Szymański podjechał do skraju boru, wyrzał ostrożnie. Faktycznie, drogą szedł oddział Moskali. Najpierw Dońcy na małych, ruchliwych konikach, za nimi piechota idąca równym krokiem w wiosennej kurzawie, z błyskiem bagnetów na karabinach, w ciemnogrnatowych szynelach poprzecinanych na krzyż białymi pasami od ładownic.

I wtedy coś błysnęło w głowie pułkownika. Już wiedział, co powinien zrobić, aby zatrzymać błędne koło, z którego nie mógł się uwolnić.

– Gotuj broń!

– Panie pułkowniku, co... atakujemy?! – jęknął Hercel.

– Galopem do ataku, maaarsz! – zakrzyknął Szymański. Ażeby spalić wszystkie mosty i zmusić oddział do walki, porwał za rewolwer i strzelił w stronę wroga. Huk rozdarł ciszę jak nocny grom. Zakotłowało się na gościńcu. Dońcy skoczyli łukiem w pole, piechota zafalowała.

– Do ataku! – zagrział Szymański. – Brać na szable! Za mną, kto w Boga wierzy!

Wypadli galopem z lasu w łoskocie kopyt, z błyskiem oręża, pomknęli prosto na Moskali.

Szymański liczył na klęskę. Nie wiedząc już co robić, chciał po prostu rzucić się z oddziałem na przeciwnika i zginać, by raz na zawsze uwolnić się spod władzy Szczęsnego. Pierwszy raz zdradził swe myśli, zdradził kompanów i sprawę powstania.

Przeliczył się!

Wpadli na wroga z takim impetem i zaskoczeniem, że zdawać by się mogło, że na głowy Moskali runęło gołoborze Łysicy czy Świętego Krzyża. Żaden bagnet nie zagroził im drogi, nie padł ani jeden wystrzał. Szymański zobaczył, jak konie tratują i roztrącają moskiewską piechotę, jak pod ich kopytami ścielą się granatowe mundury i błyszczące epolety podoficerów. Zrozumiał, że zaskoczenie było tak wielkie, a wola walki powstańców tak ogromna, że w jednej chwili zmiotli cały oddział, rozegnali go na wszystkie strony, rąbiąc szablami, tratując pałaszami, strzelając z bliska z karabinów Henryego...

Pozostało mu tylko jedno. Pośród wojennej zawieruchy, kwiku koni, łoskotu wystrzałów, wśród padających ciał i lejącej się krwi, wyciągnął colta dragoona, odwiódł kurek wierzchem lewej dłoni...

„Na nic mi martwi ludzie – wysyczał mu do ucha Hamburski. – Ich dusze idą prosto do Boga lub do Diabła, uciekają i wymykają się wszelkim próbom pochwycenia. Mnie interesują tylko żywi”...

Skoro nie zginał w walce, został mu już tylko jeden sposób, aby to wszystko zakończyć.

Szybkim ruchem przyłożył sobie lufę dragoona do skroni i nacisnął spust.

Pójdź ze mną przez padół płaczu

Potem była ciemność tak przytłaczająca jak granitowa skała. Bezkresna niczym powierzchnia morza. A pod powierzchnią ból. Tylko on trzymał go na falach życia. Unosił coraz wyżej poprzez oceany cierpienia. Aż wreszcie wyrzucił na brzeg, który okazał się niskim, twardym barłogiem ustawionym w ponurym, brudnym lochu. Ale nie w piekle.

Szymański leżał bez sił, bez mocy. Czuł, że jego głowę spowijają grube płaty płóciennego bandaża, a każda próba rozchylenia ust wywołuje tępy, przeszywający ból.

Przy łóżku siedział ktoś, kto trzymał go za rękę. Szczupły mężczyzna o wielkich, łagodnych oczach, z długimi brązowymi włosami opadającymi poniżej ramion, z krótko przystrzyżoną brodą układającą się poniżej ust w szpic.

Pan Adam... Był tu? A może to sen?

Jaka szkoda, że nie mógł nic powiedzieć, wykrzyknąć żalu ostatnich powstańczych dni. Nie miał nawet sił, by ucałować dłoń, która uczyniła dlań tyle dobrego.

– Jesteś w Cytadeli, Jakubku – rzekł dziedzic od poezji. – W szpitalu więziennym. Przywieźli cię tutaj półżywego spod Kielc, gdzie cię znaleźli Moskale na polu bitwy. Miałem o ciebie staranie i jakoś, dzięki woli Najwyższego, udało mi się przywrócić cię do życia. Nie mów nic... Ja wiem.

Powstaniec wycharczał coś z trudem, ale to było wszystko, co zdołał osiągnąć.

– Nie trudź się, wszystko będzie dobrze. Wybrałeś dobrze. Mądrze i sprawiedliwie. A to jest najważniejsze.

Szymański chciał mówić, słowa płynęły potokami z jego głowy ku ustom, lecz wargi nie słuchały rozkazów. Pułkownik zamierzał opowiedzieć wszystko, o Justynie, Hamburskim, o jego poszukiwaniach pana dziedzica. Lecz nie mógł. A może po prostu – nie było takiej potrzeby?

– Śpij, mój Jakubku – rzekł cicho pan Adam. – I niech Pan Bóg ma cię w swej opiece. Mnie już wołają, partia się formuje. Czeka mnie droga daleka... Na wschód... na Sybir. Kośćmi naszymi chce Moskal użyźnić stepy i lasy. Ale może wyrośnie mu kiedyś drzewo wolności. O ile nie zetnie go za wcześniej tępym sierpem swej niewoli.

– Niech Bóg będzie z tobą, mój Jakubku – dodał poeta. – I niech cię trzyma w opiece i zachowa przy życiu. Pamiętaj moje wiersze, one powiodą cię poprzez otchłanie i przepaście, aż do wolnej Polski.

Szumi wicher – płacze, w gałęziach jodłowych –

*dokądże mnie wiodą boginki żałobne?
– Poprzez góry, morza – przez wulkanów jamy
powiedzeni braciszka na trójsen głęboki.
W pierwszym śnie on wyśni lico ukochanej
i będzie z nią płynął po złotych jeziorach;
a w drugim śnie bory, pałace wysokie,
miesiące czerwone i serce Chrystusa;
a w trzecim: głębokie groty lazuruowe
i gwiazdy grające – i że jest – szczęśliwy!*

*O siostry żałobne – czemuż mię niesiecie
w zimne kurytarze nad stojącą wodą?
Ale nie odrzekły – twarz mi zakrywają
i grają i łkają na czarownym flecie.*

– powiedział pan dziedzic od poezji. Lecz to już było o jedno słowo za dużo. Stojący z boku carski żołdat chwycił go za ramię i popchnął ku drzwiom. Pan Adam poszedł, pobrzękując łańcuchami, jak Chrystus na Golgotę, jeszcze przed wzięciem krzyża. Przeształ przez próg i tyle po nim pozostało; tak zapamiętał to Szymański – pusta rama otwartych drzwi i mroczny, rozchybotany cień na brudnej ścianie więzienia.

Piekło

Było już mu wszystko jedno czy zawiśnie, zostanie zaknutowany na śmierć, czy wywieziony na Syberię. Pan Adam był zdrow i daleko – to tylko się liczyło. Szymański wiedział, że nie znajdzie spokoju za życia, zaprzepaściwszy dzieło Hamburskiego i prędzej czy później musi powtórzyć swój desperacki krok – zastukać w zaświaty lufą rewolweru.

Rękoma nie był w stanie władać, ale siły wracały mu z wolna. Wreszcie poruszał palcami, potem, po wielu dniach mógł z wysiłkiem unieść rękę. Dokoła wrzało jak w ulu – więźniowie zmieniali się, to odchodzili, to przychodzili. Słyszał pogłoski o kolejnych powstańczych bitwach, o pogromach partii wielkopolskiej, lubelskiej i mazowieckiej. A wreszcie o ustanowieniu dyktatury przez Traugutta.

I nadszedł dzień, gdy pojawiła się przy jego łóżku komisja wojskowa. A starszy Moskal, pułkownik, zacierał ręce, kiedy dyżurny felczer tłumaczył mu, że już niedługo, za dwa, trzy tygodnie więzień wstanie z łoża i będzie wzięty na górę – na przesłuchanie.

Kiedy odeszli, Szymański odczekał niecierpliwie do nocy. Chciał zedrzyć bandaż i rozszarpać rany – wykrwawić się w łóżku, zanim Moskale wezmą go na mękę.

Z pasją uchwycił się za głowę, namacał zwitek płótna. Chciał zerwać je z głowy, a wtedy ktoś chwycił go za rękę. Przed sobą zobaczył wyszczerzone w złośliwym uśmiechu oblicze niepozornego człowieczka w kolorowej czapeczce.

– Nie tak prędko, panie pułkowniku! – wysyczał. – Jeszcze z panem nie skończyłem. To potrwa tylko chwilę, zrobię panu zdjęcie.

Ściągnął zasłonę z dagerotypu, a potem pokazał Szymańskiemu szklaną płytkę prezentującą wizerunek rannego powstańca.

– Gdzie jest pan Adam? Był tu dawno temu! Słyszałem! Gdzie go znajdzie?!

– W ziemi.

– Łżesz, panie pułkowniku. Rozmawiał z wami.

– Wyprawdzili go na stok Cytadeli. Na szubienicę, gdzie stryk dusi w świętej Rusi imię.

– Mów prawdę, albo strącę cię żywcem do piekła! Zaznasz mąk, jakich nie wymyśliłby nawet ten twój poeta!

– Co jeszcze możesz mi zrobić? – wzruszył ramionami Szymański. – Nie dostaniesz jego duszy. Wymknęła ci się, poszła tam – wskazał oczyma w górę.

Hamburski stał i kiwał głową, dygotał na całym ciele.

– Być może, ale ty nie dostaniesz takiej szansy! Nie wymkniesz mi się, panie pułkowniku. Będziesz tu pilnowany dzień i noc, bez tchu i bez przerwy. Wiązany do łóżka i w kajdany, karmiony na siłę i przywiązywany do słupka! Nigdy nie zdołasz się wyzwolić! Twoja dusza należy do mnie! A ja nie pozwolę, aby odeszła do Boga. Rozumiesz? Nie zdołasz strzelić sobie w łeb, nie dasz rady się powiesić! Zmarnowałeś kawał mojej roboty, więc muszę zacząć wszystko od początku. Od początku?! Słyszysz?

Szymański nic nie słyszał. W głębi duszy narastał w nim krzyk tak wielki, że rozdzierał jego ciało na drobne kawałeczki.

Polonia restituta

– I taka oto, synu, jest historia mego życia – zakończył starzec, po czym uderzył się suchą kościstą dłonią w pierś. – Hamburski ma moją duszę... Nigdy jej nie odda. Lecz teraz już mnie to nie trwoży. Ile mi, staremu, jeszcze życia zostało?

Młody więzień w szpitalnej koszuli, z krótką, czarną brodą nie dosłyszał ostatnich słów starego. Szczerze mówiąc, zawiódł się na historii tego człowieka. Myślał, że „Biezdusznyj”, jak pospolicie nazywano tego obląkańca, wspominać będzie dawne boje i chwałę

powstańców. Tymczasem starzec bajał mu godzinami o dziwnych wariacjach, jak to stracił własną duszę gdzieś pośród kieleckich borów i błot, dowodząc własną powstańczą partią, rozbitą koło Radomska czy Opatowa. Pomieszało się staremu we łbie, ale co zrobić, był to jedyny Polak na tym oddziale szaleńców szpitala Świętego Mikołaja w Petersburgu.

Zbliżający się łoskot kroków sprawił, że dziad wtulił się w kąt między łóżkiem a ścianą, podciągnął pled aż pod brodę i zadygotał.

– Hamburgski! – wystękał. – Ja nie... Nie po mnie! Nieeeee!

Szczęknęły rygle. Na progu stanęli diad'ka i sanitariusz. Starzec dygotał na całym ciele, jakby to diabli naprawdę przyszli zabrać go do piekła.

Diad'ka kiwnął głową na młodego.

– Idziesz z nami. Do gospodina profesora.

– Idę – mruknął młody. – Prowadźcie.

Szybko wzięli go pod ręce, wyprowadzili na korytarz. „Biedzusznyj” łkał, szlochał, krzyczał cienko, bojąc się, że to właśnie jego prześladowca się zbliża. Dziad miał prawdziwego szmergla we łbie – każdego mundurowego czy sanitariusza brał za swego dręczyciela, który przychodził, aby zabrać duszę do piekła. A może, aby mu ją oddać? Doprawdy, im dłużej słuchał Wiktor paplaniny tamtego, tym mniej rozumiał i jeszcze mniej go to wszystko obchodziło.

Poprzez korytarz doszli do pracowni, potem wtoczyli się przez drzwi. Profesor już czekał. Wysoki, szczupły, z włosami zaczesanymi gładko do góry.

– Zostawcie nas samych.

Diad'ka i sanitariusz pokłonili się i wyszli. A wtedy więzień niespodziewanie i bez żadnych wstępów, padł lekarzowi w ramiona.

– Szybko, nie ma czasu, towarzyszu Wiktorze – wydyszał lekarz. – Bierzcie, wkładajcie ubranie. Czas ucieka. Mój człowiek czeka w dorożce pod szpitalem.

Rozpiął sakwojaż, rzucił Wiktorowi koszulę, spodnie, marynarkę. Niecierpliwie wcisnął w dłoń laskę ze złoconą gałką.

– Kapelusz?

– Mam cylinder. – Mazurkiewicz spiesznie przetrząsał teczkę. Wyciągnął wreszcie spłaszczony szapoklak, uderzył pięścią w otwór, rozłożył go, a potem tryumfalnie ozdobił głowę swego pacjenta.

Ubrany w garnitur Wiktor wyglądał zaiste imponująco – rzekłbyś czynownik wyższej rangi, co najmniej tajny radca, wicekanclerz, albo inny papuczyk wycierający kolanami posadzki Carskiego Sioła i Zimowego Pałacu.

– Wasza ekscelencja pozwoli – rzekł Mazurkiewicz i otworzył drzwi.

Wyszli na szpitalny korytarz.

– Tędy, na lewo.

Szli po drewnianej podłodze, najpierw Wiktor, potem drepczący za nim niecierpliwie

lekarz. Posługaczki szorowały deski, wylewając z balii gorącą wodę, trąc zawzięcie mydliny szmatami.

– Po schodach na sam dół, ekscelencjo!

Szybko zeszli po marmurowych, okrytych dywanem stopniach. Na dole Wiktor rozejrzał się bezradnie, ale usłużny doktor już wskazał drogę do bramy.

Nie zdołali jeszcze zrobić pół tuzina kroków, gdy nagle z półmroku wysunął się portier – niczym duch. Zgiął się wpół.

– Tędy nie ma przejścia, panie doktorze. Panowie będą łaskawi tam, w róg podwórza, tam jest furtka i stoi żandarm.

Mazurkiewicz skłonił się lekko i poprowadził towarzysza w przeciwną stronę, ku drzwiom na dziedziniec. Szarpnął za wielką, mosiężną, wykutą na kształt carskiego orła klamkę, otworzył drogę na podwórze.

I nagle wokół nich zrobiło się jasno, pięknie, zielono. Owionął ich zapach petersburskiej wiosny. Maj był na świecie, rok 1901 nowej epoki, nowych czasów pary i elektryczności. Wyzwolenia i nadchodzącej rewolucji.

Carski żandarm stał tuż przy bramie, z daleka błyszczała świeżo malowana budka w żółte i czarne pasy.

Wiktor zwołnił. Wartownik był coraz bliżej. Domyśli się? Zawoła na alarm?

Mazurkiewicz dogonił więźnia, włożył rękę do kieszeni płaszcza, miał tam rewolwer. Wiedział, że jeśli dojdzie do awantury, starczy mu sił i nerwów na to, aby wyciągnąć broń, ale nie wierzył, że pociągnie za spust. Zabić, jakie to łatwe w słowach. Ale tak... Wszystko okazuje się trudne jak zdobycie górskiego szczytu.

Żandarm był coraz bliżej. Już ich usłyszał... Odwrócił czujnie głowę. Wszak taki plan nie mógł się udać. Mazurkiewicz już wiedział, że chciał przeprowadzić ucieczkę Wiktora za szybko, za prosto, za wiele oczekiwał. Co teraz?

Żandarm uklonił się dwornie. Wyciągnął klucz, otworzył furtkę i przepuszczając ich obu, zasalutował.

Wiktor nawet nie spojrzał na niego. Wyszli na ulicę Priażka, skręcili w stronę Oficerskiej. Mazurkiewicz, z dygocącym sercem rozglądał się za dorożką. Stała pod gmachem, po drugiej stronie ulicy.

Szybko, prawie biegiem wskoczyli do pojazdu.

– Witam, witam panowie – rzekł cienki głos.

Człowieczek, który tam siedział, uchylił kapelusza, ukazując łysą głowę ozdobioną kępkami posiwiałych włosów, nakrytych tatarską krymką.

– Na Morską! – zakrzyknął na woźnicę.

Bat świsnął, wychudzony koń ruszył z kopyta.

– Panowie się nie znacie – rzekł zdyszany Mazurkiewicz. – Towarzysz Wiktor. A to towarzysz Hamburski. Nasz nowy człowiek. I doradca.

– Witam, panie Piłsudski.

– Czyż pan oszalał!? – zachnął się lekarz. – Chcesz nas pan zgubić?

– Przepraszam, przepraszam – rzekł unizonym głosem Hamburgski. – Nie jestem jeszcze przyzwyczajony do konspiracji. Tu są wasze bilety. – Wyciągnął rękę z kopertą. – Towarzysz Tatar będzie czekał na was na dworcu, kwadrans przed północą.

– Dziękuję wam, towarzyszu Hamburgski. – Piłsudski uścisnął małą i drobną dłoń nieznajomego. – Doprawdy, wyciągnęliście mnie z nielichych tarapatów.

– To ja jestem zaszczycony, mogąc poznać tak znamienitego człowieka, który, da Bóg, będzie komendantem przyszłej Rzeczypospolitej. Za pozwoleniem, fotografia to moja życiowa pasja – rzekł Hamburgski. – Pstryknąłem wam kilka fotek, kiedy tu szliście. Proszę – będzie do kroniki, do „Robotnika”, kiedy już ukaże się relacja o waszej ucieczce.

– Niech pan schowa! – zakrzyknął Mazurkiewicz. – Czy pan wie, co by się stało, gdyby znaleźli to żandarmi?!

– Zaraz, zaraz, bez pośpiechu – mruknął Piłsudski. – Patrzcie jak zielono... Jak pachnie dokoła. – Zerknął na odbitkę i pokręcił głową z niedowierzaniem. – Bardzo dobre fotografie.

– Niektórzy powiadają, że kiedy robię im zdjęcia, to tak, jakbym kradł im dusze – uśmiechnął się Hamburgski.

– My, socjaliści – odwzajemnił uśmiech Piłsudski – nie mamy duszy.

– Oczywiście. Bo wszystkie od dawna są u mnie.

Dorożka terkotała po bruku. A Hamburgski oparł się wygodniej i przymknął oczy w poczuciu dobrze spełnionego obowiązku.

Wiersze wykorzystane w opowiadaniu to utwory Tadeusza Micińskiego, kolejno: *Lucifer*, *Wampir*, *Do chodzenia po śniegu*, *O Polsce* oraz *Lamentacje*, lekko uwspółcześnione przez Autora.

Jarosław Grzędowicz

Autor *Pana Lodowego Ogrodu*, jednego z największych hitów polskiej fantastyki. Łowca fantastycznych trofeów, nagrodzony „Słakfą”, dwukrotnie Sfinksem i trzykrotnie Nagrodą im. Janusza A. Zajdla.

Urodzony w roku 1965, debiutował w 1981. Współzałożyciel magazynu literackiego „Fenix”, w którym redagował dział prozy polskiej oraz pełnił funkcję redaktora naczelnego. Prowadzi stałą rubrykę naukowo-cywilizacyjną w „Gazecie Polskiej”. Tłumaczy gry i komiksy. Nakładem Fabryki Słów opublikował: zbiór opowiadań *Księga Jesiennych Demonów* (2003, 2007), powieść *Pan Lodowego Ogrodu*, t.1 (2005) i t. 2 (2007), powieść *Popiół i kurz*, *Opowieść ze świata Pomiędzy* (2006) oraz *Wypychacz zwierząt* (2008). Felietonista „Science Fiction Fantasy i Horror”. Autor opowiadań zamieszczonych w fabrycznych antologiach, „Feniksie”, „Fantastyce”, „Nowej Fantastyce” oraz literackim dodatku „Faktu”.

**Jarosław
Grzędowicz**

Chwila przed deszczem

Tomkowi, gdziekolwiek jest

Niebo nad miastem było o tej porze jak brudne lustro. Albo jak zmętniała, kuloodporna szyba. Albo jak „ekran nastawiony na nieistniejący kanał” – kiedyś, gdzieś przeczytał takie określenie. Ładne. Nie wiedział tylko, co to znaczy „nieistniejący kanał”.

Migotało w górze świetlistą mozaiką przypadkowych pikseli. Powinno jeszcze wydawać z siebie biały szum.

Siedział na dachu „Impex Tower”, właściwie kucał na mokrej balustradzie ze stali kwasowej, a miasto rozciągało się pod nim jak świetlista wysypka. Wyły syreny, ulice zapychały się tysiącami autobusów, miriadami skuterów i nielicznymi samochodami. Metropolia zapadała na poranną miazdżycę.

Niebo szarzało. Gdyby nie to całe „globalne schładzanie stratosfery” być może mógłby zobaczyć wschód słońca. Albo w ogóle słońce. A tak, nie było nawet brzasku, tylko ten coraz bardziej szary „nieistniejący kanał” nad głową. Za jego nagimi, lśniącoymi mżawką plecami skrzypnęły grube stalowe drzwi.

– Co ci jest?! – Dziewczyna tuliła do nagiego ciała spandeksową kołdrę w japońskie ideogramy i usiłowała zrobić kilka drżących kroków w jego stronę. Lorina, albo Marina...

– Przestań! Spadniesz! – usłyszał w jej głosie histerię.

– Kiepski początek – oznajmił. – Ktoś, kto stoi na krawędzi dachu, zazwyczaj wie, że ewentualnie spadnie. Chodzi o to, żeby przekonać go, żeby nie spadał. Lepiej zacząć od czegoś neutralnego, czego się nie spodziewa. Złamać skrypt poznawczy. I broń Boże nie mówić nic takiego, co już powiedziano na filmach. W ten sposób uruchamiasz ciąg skojarzeniowy.

– Złaź stamtąd, sukinsynu! – krzyknęła, tupiąc w beton bosymi stopami. Najwyraźniej miała lęk wysokości. Znał ten objaw. Wołałaby sama kucnąć na tej balustradzie, niż patrzeć jak on to robi.

– No chodź, głupku, przeziębisz się. – Zobaczył przez ramię, że upuszcza kołdrę i wyciąga do niego ramiona. Drobne piersi uniosły się nad chudą klatką piersiową poznaczoną kaszką piegów.

Wstał, bez trudu łapiąc równowagę na mokrej rurze i podskoczył, opadając bezpiecznie na dach, słysząc jej krzyk za plecami. Odwrócił się akurat, by chwycić w dłoń szczupły nadgarstek, a potem przygarnął jej pokryte lodowatą mgiełką mżawki i gęsią skórką blade ciało. Przeziębienie... Upadek z czterystu metrów... Rak jelita... Archeogeny muszą przejmować się tyłoma rzeczami. W każdej sekundzie.

Bez wytchnienia.

– Mało się nie zsikałam przez ciebie, ty fiucie! Czego siedzisz na tej balustradzie jak jakiś pojeb...! Wiesz, co by z ciebie zostało?

– Wiem – powiedział krótko. Wiedział.

– Jak możesz tu mieszkać, jeśli boisz się wysokości? – zapytał, kiedy już byli w środku. W podniebnej kawalerce z płyt gipsowo-kartonowych. Osiemnastometrowym pudełku, jednym z setek na każdym piętrze. Niewiele większych niż boksy, które miały tu stać, gdyby istotnie zbudowano biura. Siedzieli na rozwiniętej, szorstkiej macie tatami, która w ciągu dnia miała zniknąć, oddając przestrzeń biurowej wykładzinie barwy popiołu i składanym meblom.

Zza przepierzeń dobiegały stłumione senne odgłosy, chrapanie, westchnienia i kaszel. Archeogeny zawsze kaszłą.

Wzruszyła ramionami.

– Jest tanio. To znaczy tanio, jak na to cholerne miasto. Zresztą nie mam okna. I tak nie byłoby widać nic prócz nieba. Opowiedz mi o sobie.

– Co „o sobie”? Nazwisko? Adres?

– Nie jestem taka głupia. I tak byś nie powiedział. Jaką masz grupę?

– Grupę? Typoszereg genotypu? Chcesz wiedzieć – na wypadek, gdyby ci się udało?

Uśmiechnęła się chytrze i ukradkiem pogłaskała po podbrzuszu. Właśnie to mu się wczoraj spodobało, w nielegalnym klubie na Barterowej, zajmującym jakąś opuszczoną hurtownię. Niczego nie udawała. Od razu: „chcę mieć twoje dziecko. A przynajmniej spróbować”.

– Tak. Chcę wiedzieć. Gdyby się udało.

– Tau.

– Naprawdę?

– Tak. Tau 7RAND.

– I co możesz? Oprócz siedzenia na krawędzi dachu?

Uśmiechnął się smutno i przesunął kciukiem po jej wardze. Miała zabawny pyszczek. Jedyny w swoim rodzaju, z tymi wystającymi przednimi zębami jak wiewiórka, trochę za wąskimi oczami i zbyt grubymi brwiami. Oni wszyscy mieli jedyne w swoim rodzaju twarze. Prawdziwe.

– Co mogę? Prędkość maksymalna czterdzieści sześć kilometrów na godzinę.

Parsknęła z irytacją.

– Naprawdę. Zmierzyłem. Nie choruję. Nie ma szans, żebym dostał osiemdziesiąt podstawowych rodzajów nowotworu i marne szanse na inne. Miażdżyca i choroby serca to nie dla mnie. Śpię cztery godziny. Mogę nauczyć się dowolnego języka w jakies trzy tygodnie i robić obliczenia na liczbach pięciocyfrowych w pamięci. I bez problemu mogę cię znowu przelecieć.

Przytrzymała go wyprostowanymi ramionami.

– Zaraz. A wrzody żołądka? Nerwica?

Zaprzeczył ruchem głowy.

– A gdybym... gdybym była z tych co was nienawidzą i była taką żywą bombą... gdybym cię zaraziła?

Znowu ruch głowy.

– Legendy. Spuchłby mi kutas i węzły chłonne, dwa tygodnie leżałbym w łóżku z wysypką i katarem, może nawet złapałbym grypę. Musiałbym łykać aspirynę i inhibitory immunologiczne. Sraczka, gorączka... To wszystko.

– Ile to wszystko kosztowało? Myślałam, że masz grupę gamma.

– To było jeszcze zanim rząd zaczął refundować reprogeny. Mama wydała kupę forsy. W pełni autorski genotyp. Full wypas. Jej synek musiał być idealny.

– I jesteś?

Roześmiał się.

– Nie rozmawiamy ze sobą, to chyba nie. Zdaje się, jestem klęską genetyki, DNA to nie wszystko.

– Jak naprawdę masz na imię?

– Mówiłem ci. Wszyscy tau mają takie imiona. Taka moda.

– I wszyscy macie po dwa metry?

– Tau? Na ogół. I mordy jak z żurnala. Jak cholerne greckie rzeźby. Kiedy wydajesz czterysta osiemdziesiąt tysięcy na genotyp swojego dziecka, to chcesz, żeby to było widać. Ci, którzy doczekają się kolejki refundowanej reprogenetyki mają niewielki wybór.

Przestała go przytrzymywać. Chude dłonie prześlizgnęły się z jego barków na kark. Oblizwała wargi.

Tatami miało rzędy podłużnych, ryżowych splotów, srebrzyste włókna wyglądały jak sprasowana spirala DNA. Za przepierzeniem ktoś, gdzieś, włączył muzykę.

– A jeśli mi się uda... – wydyszała – to będę ci winna czterysta osiemdziesiąt tysięcy?

– Tylko połowę – odpowiedział. – Tak to działa. Genetyka. To nie klonowanie. Zapładniam cię tradycyjnie, więc dostajesz tylko połowę moich genów.

Tamci odezwali się kilka sekund po najmniej odpowiednim momencie. Wibracje w kości skroniowej były nieznośne, niemożliwe do zignorowania. Krzywiąc się, uniósł dłoń do ucha.

– Czegoż, kurwamać? – warknął.

– Raczej: „czegoż, kurwamać, panie komisarzu”. Robota. Nie jedź do biura, tylko od razu na miejsce. Gdzie jesteś?

– W śródmieściu.

– Niedobrze. To jest w Mysiadle i już jest syf. Przyślę wóz, ale korki...

– Zdążę. Gdzie konkretnie i o co chodzi?

– Jesteś sam?

– Nie.

– Niedobrze. Przyślę teemesa. Kiedy będziesz?

– Daj mi dwadzieścia minut.

Komunikat napłynął po paru sekundach, kolejną falą wibracji, którą odczuł tak, jakby połknął zabawkę erotyczną. Wzdrygnął się. I już wiedział.

A potem pozbierał ubranie.

– Muszę iść do pracy.

– Ariel?

Zatrzymał się przy odsuwanych drzwiach z włókna szklanego, z płaszczem w ręku. Leżała na boku, wsparta na łokciu i gładziła palcem matę w miejscu, w którym przed chwilą leżał.

– Jeśli mi się uda... Nie szukaj mnie. Nie znajdziesz.

Pokiwał głową.

– Nie będę.

– Ale nie zapominaj.

– Nie zapomnę. Marina...

– Karina.

Zasunął drzwi, słysząc trzask magnetycznego zamka. „Impex Tower” budził się do życia za tysiącami identycznych przepierzeń.

Przesadził z tymi dwudziestoma minutami. W rzeczywistości dotarł na miejsce w trzydzieści siedem i trochę się zdyszał.

Uliczkę dojazdową blokowała pancierka SPAT-U, wszędzie rozciągnięto żółte taśmy, błyskały niebieskie światła na dachach samochodów, na chodnikach stało trochę okolicznych mieszkańców w szlafrokach i piżamach, autonomiczny reporter Telsatu sprzężony z kamerami, reflektorem i nadajnikiem satelitarnym wyglądał jak studio na dwóch nogach i wyklócał się ze stójkowymi.

Polizał rozcięcie na prawej dłoni, a potem sięgnął do paska po blachę. Skaleczenie zaczęło się już zamykać, ale do wieczora będzie piekło.

Otworzył okładki i pokazał hologram pancernemu stworowi rozkraczonemu na chodniku, zasłaniając palcem napis „prac. cywil.”.

– Komenda central – warknął. – Wzywali mnie. Kto prowadzi?

– Komisarz Ledziński – powiedziała głucho zbroja z za wielowarstwowego kewlaru. – Siedzi w wozie dowodzenia.

– Dzień dobry, kawy – oznajmił, odsuwając pancerne drzwi. Ledziński siedział przed ekranami w towarzystwie dwóch SPAT-OWCÓW, którzy zdjęli hełmy, przez co wyglądali jak karzełki w zbrojach dla tytanów.

– Szczęśliwy dzień nam nastał – oznajmił jeden z nich, nie odrywając wzroku od obrazu termowizyjnego. – Przysłali Batmana.

– Proszę bez rasistowskich uwag – zjeżył się Ledziński. Sam był neogenem. Wprawdzie

typoszeregu gamma, ale zawsze. Był wyższy od archeogenów i miał banalnie regularne rysy jak manekin, ale trochę kopnięte – jedna powieka lekko opadała, usta krzywiły się w koślawym grymasie. Zdarza się. W końcu typoszereg gamma jest rozdzielany przez państwo i za darmo. Ciesz się, że zablokowali większość onkogenów i że nie wyrosły ci błony między palcami.

– Jakim cudem tak szybko? – zapytał Ledziński. – Ukradłeś skuter? Nie będziemy tolerować...

– Przyjechałem pociągiem – przerwał Ariel. – Z przesiadkami.

– Co?! Surfowałeś?! To przestępstwo...! Napiszę raport!

– Przyjechałem pociągiem – powtórzył z naciskiem. – I tyle. Przestań się wygłupiać. Podeszło mi połączenie. W aktach mam tylko, że jest trzy-osiem. Niezrównoważony desperat, niebezpieczny, trzymający zakładniczkę – dziecko do lat siedmiu. Konkretnie o co chodzi? Uzbrojony?

– Uzbrojony w niebezpieczne, nielegalne narzędzie. Siekiera z początku wieku. Zabytkowa.

– Jaja sobie robicie? Siekiera?

– Mamy dwie ranne – oznajmił sucho jeden ze SPAT-owców. – W tym jedną w stanie ciężkim. Już pojechała do kliniki. Pracownicy opsocu. Przyszły z kontrolą, coś tam znalazły i koleś dostał kota. Teraz grozi, że poderżnie córce gardło. Procedura jest w takim razie jasna – bezpośrednie zagrożenie życia i wzywają nas. Kropka. A my wchodzimy i załatwiamy sprawę.

– Chce czegoś, czy to tylko korba?

– Samochodu i dziesięciu tysięcy. I wolnej drogi na Wrocławskiej.

– Snajper?

– Koleś siedzi w głębi domu. Na termo przez ścianę nie wolno, bo zakładniczka. Procedura. Gaz też opada, dzieciak może mieć alergię.

– Chce jej poderżnąć gardło siekierą?

– Jest ostra – tutaj masz ujęcie. – Ledziński rozwinął w powietrzu hologram. – Kiedy pokazał się na chwilę, żeby złożyć żądania. Trzyma siekierę przy samej głowicy, z ostrzem na tętnicy szyjnej dziecka. Na zbliżeniu widać... – tu zrobił kilka magicznych ruchów palcami – że już ją drasnął. Skóra jest ugięta, a podejrzany spanikowany. Rzeczywiście może naruszyć tętnicę.

– Co o nim wiadomo?

– Grzegorz Klazmus, hetero, kaukaski, bezrobotny, trzydzieści osiem, wdowiec – żona umarła w zeszłym miesiącu na serce, stąd była ta kontrola. Sto dwadzieścia osiem punktów w skali ZAS.

– Dlaczego tak dużo?

– Były doniesienia, że pali tytoń, podejrzenie o libację alkoholową. Jeden udział w bójce.

Rzekomo obrona konieczna. Meldunek z przedszkola o obrażeniach na ciele córki... zaraz... obtarcie na kolanie i łokciu, z naruszeniem naskórka. Może nie przemoc bezpośrednia, ale na pewno zaniedbanie. Liczne wypowiedzi opresywne, nieprawidłowe sortowanie odpadów. Nazbierało się. Głównie z kamer i doniesień.

– Archeogen?

– Osoba z losowym typoszeregiem genotypowym! To nie ma nic do rzeczy.

– Panowie – wtrącił się SPAT-owiec. – Tamtemu puszczają nerwy i trochę szkoda czasu. Taka koncepcja – pan negocjator wchodzi, wychodzi, my wchodzimy, wychodzimy i temat jest skończony. Jedziemy do domu, pan Siekiera na dołek, albo do kostnicy, dzieciak na izbę. Pasuje? Ja mam, kurwa, zmianę od wczoraj!

– Nikt nie podejmie takiej decyzji. Nie na wariata. Od tego są przepisy i procedury. To jest sytuacja zagrożenia życia! Najważniejsze jest bezpieczeństwo!

Ariel wstał i zdjął płaszcz, zerkając krytycznie na rozdarcie oraz brudne smugi, które pojawiły mu się w czasie pospiesznego dojazdu do pracy.

– Wchodzę – oznajmił. – Dajcie mi dziesięć minut.

Wyszedł w burosiny świt i mżawkę. Gdzieś w górze terkotał żyropter. Dźwięk był wysoki, jakiś niepoważny, więc pewnie hieny z Netu, a nie ciężka maszyna SPAT-U. Przelotnie zastanowił się, co by się działo, gdyby nieszczęsny szalenciec miał drugą siekierę, albo nóż. Sprowadziliby czołgi? Lotniskowiec? W tym samym czasie na Kabatach podrzynano ludziom gardła we własnych łózkach.

– Tak pan wchodzi? Na golasa? – zapytał SPAT-owiec który wyszedł razem z nim. – Jakaś kamizelka? Taser przynajmniej?

– Przecież mnie nie zastrzeli z tej siekiery.

– Stać! Czekać! – wrzasnął Ledziński, wyskakując z wozu dowodzenia jakby zaległy się tam osy. – Dzwonili z komendy, jedzie tu dwóch kolesi z abwery, mamy na nich czekać! Mówią, że to ich sprawa!

– To teraz trzeba abwery na porąbów z siekierą? A gdzie oni są? – zainteresował się komandos.

– W korku na Służewiu. Przepychają się na sygnale. Mamy nic nie robić i czekać! Gdzie ten negocjator?

Ariel zniknął.

– Gdzie on polazł?!

– Chyba do środka.

– Co tu się, kurwa, dzieje! Wszyscy mają w dupie! Procedury chyba jeszcze obowiązują, tak czy nie?!

– Ja tam nic nie wiem – nadał się SPAT-owiec. – Pan tu dowodzi.

Ariel przebiegł pochylony przez posesję dwa kontenery dalej, przesadził konstrukcję z siatki udającą płot, rozdeptał komuś grządkę przemoczonej kapusty i przedarł się przez

żywoplot z chorych psychicznie, chuderlawych cypryśników, które wahały się, czy odgrywają skamieniały las, czy grupę bonsai.

Plastikowe, odsuwane drzwi na taras były otwarte, pokój za nimi tonął w półmroku, widać było tylko przewracane meble i rozsypane kartki jakiegoś wydruku na bibułkowym, recykulacyjnym papierze, które zaścielały wszystko jak poźółkłe wodorosty. Ścianę i część kartek znaczyły bryzgi krwi.

W sąsiednim pomieszczeniu jedynym źródłem światła były bioluminescencyjna rurka na ścianie, spleciona w stylizowany kształt ryby i płaski monitor Netu, siejący białym szumem. Widocznie właściciel znalazł nieistniejący kanał.

Z bliska dochodził rozpaczliwy płacz małej dziewczynki i jakieś mamrotanie, a w górze terkotał żyropter.

Oboje siedzieli na podłodze, w małym pomieszczeniu z boku, wśród rozsypanych ubrań i jakichś drobnych szpargałów upchniętych w kilku białych, izolacyjnych modułach transportowych wyglądających na były sprzęt laboratoryjny. Po drugiej stronie mieszkania, obłeńnicze reflektory SPAT-U przedzierały się przez żaluzje jak rtęciowe słońce.

Ariel stał nieruchomo, w plamie cienia tuż przy tylnych drzwiach. Grzegorz Klazmus, drobny mężczyzna o chudej twarzy pokrytej srebrną szczecina dwudniowego zarostu, mamrotał monotonnie i bardzo szybko, w pierwszej chwili trudno go było zrozumieć, ale negocjator uznał, że to modlitwy. Pewnie próbował uspokoić małą, albo siebie, albo oboje.

– „...Ale oni odparli: Idź precz! I mówili: Jeden jedyny przyszedł tu jako przybysz, a teraz chce być sędzią. Postąpimy z tobą gorzej niż z nimi”... – tu nabrał oddechu w gwałtownym spazmie szloch – „...zniszczymy to miejsce, gdyż głośna jest na nich skarga przed Panem i posłał nas Pan, abyśmy je zniszczyli”... Nie podchodź! – wrzasnął nagle histerycznie, usiłując zebrać się z ziemi, a nogi w zniszczonych klapkach ze słomy ryżowej ślizgały mu się po posadzce garderoby. Jedna ręka, wciąż trzymająca siekiere, usiłowała podeprzeć się styliskiem o podłogę. Dziewczynka, szczupła, zasmarkana obecnie blondynka o prostych włosach barwy zeszłorocznej słomy, zanosła się rozpaczliwym zawodzeniem.

– Nie wstawaj, durniu, bo cię zobaczą – syknął Ariel. – Uciekłem im. Nie wchodź nigdzie, gdzie pada światło. Tam są snajperzy.

– Zabiję ją! Rozumiesz?! Zabiję! Nie podchodź! – zawył mężczyzna, przygarniając drobne ciało do siebie. Dziewczynka wydawała się zupełnie bezwolna, poza tym, że zaczęła płakać jeszcze głośniej.

– Przystań się drzeć, bo usłyszą i wejdą – zagłuszył ją na moment negocjator. – A wtedy nawet nie kwikniesz! Czy tego chce Pan?! – zagrzmiał, machając dłonią w stronę neonowego ducha ryby jaśniejącego na ścianie. – Chcesz zabić własne dziecko?!

– Nic nie rozumiesz – zachlipał chudzielec. – Ona zginie, jeśli ją zaborą... wszyscy zginą... „Pan spuści deszcz siarki i ognia, sam Pan z Nieba”... Chcę, żeby mi dali samochód! Chcę samochód z pełnym bakiem i wolną drogę. Chcę zabrać moją córkę na Górę... ona jest

wybrana... czysta! Ona musi żyć! Ja i tak zginę... ale ona jest czysta!

– I dlatego grozisz jej siekierą?

– Nie pozwolę im jej zabrać... na zatracenie... „Pan zniszczy one miasta... i cały okręg... i wszystkich mieszkańców owych miast oraz roślinność Ziemi”.

– „Czy rzeczywiście zgładzisz sprawiedliwego wespół z bezbożnym?!” – ryknął Ariel, prostując się na całe swoje dwa osiemnaście i unosząc rękę. – „Nie dopuść, byś miał uczynić coś podobnego, by uśmiercić sprawiedliwego wespół z bezbożnym, by sprawiedliwego spotkało to samo co bezbożnego. Nie dopuść do tego! Czyż ten, który jest sędzią całej Ziemi, nie ma stosować prawa?”

Zapadła cisza. Dziewczynka pociągnęła nosem z mokrym ślurgotliwym dźwiękiem.

– Wypuść dziecko – oznajmił sucho, spokojnym głosem. – To za daleko zaszło. Ściągnęli tu pododdział antyterrorystyczny. Poleje się krew. Ale to nie może być krew niewinnego dziecka. Wypuść ją. Niech idzie ze mną. Niech idzie ze mną, bo tak chce Pan! Uratuj krew niewinną. Sam rób jak chcesz. Chcesz walczyć, walcz. Chcesz zginąć, giń. Ale ja ci mówię – poddaj się. Teraz dostaniesz może pięć lat. Ale ona będzie żyła. Odbiorą ci prawa rodzicielskie, ale ona będzie żyła. Będziesz siedział w więzieniu, ale ona będzie żyła i pamiętała o tobie. Nauczyłeś ją wiary i słów Pisma. Nie zapomni. A kiedy wyjdiesz, przekroczy szesnaście lat i nikt jej nie zabroni widzieć się z tobą.

Żyropter przeleciał nisko, ściany kontenerowca rozdygotały się w wibracjach. Zza okien światła na dachach samochodów i pancerek błyskały błękitem i purpurą.

Mężczyzna skulił się w kącie, piastując siekierę i wciąż obejmując dziewczynkę jednym ramieniem.

– Nie rozumiesz... Nie przeżyje, jeśli pójdzie z tobą. Nie przeżyje wśród bezbożnych... Chciałem ją zabrać na Górę...

– Przeżyje – powiedział Ariel twardo. – Nie zabierzesz ją na żadną górę, bo tam nie dojedziesz. Nawet jeśli dadzą ci samochód, zatrzymają cię po drodze. Drogi są zatkane.

Mężczyzna podniósł na niego blade, rozedrgane spojrzenie. Łzy pociekły mu po drżącej szczęce. Wydawał się jednak przytomny i chyba rozumiał, co się do niego mówi.

– Nie dasz rady jej nigdzie zabrać – ciągnął negocjator. – Ale ja tak. Ja mogę. Ja zabiorę ją na górę.

– Twoja krew jest skażona... – wymamrotał Klazmus.

– A ty jesteś grzesznikiem – wycedził Ariel. – To nie o mnie chodzi, ale o dziecko. To ona ma trafić na górę. Tobie i tak ją odbiorą, a mnie nie. To ja zabiorę ją na Górę.

Wyciągnął rękę.

Grzegorz Klazmus, podejrzany, patrzył na niego przez chwilę, drżąc z napięcia.

– Może to znak... Mówiłeś słowami Pisma... Zabierzesz ją na Górę?

Negocjator skinął głową.

Puścił dziewczynkę i lekko popchnął w plecy, pomagając jej wstać. Znowu zaczęła

chlipać.

– Idź z panem. Tym panem – powiedział ojciec. – Idź i wstąp na Górę. Ocal swoje życie.

– Kurtka – powiedział Ariel. – Tam jest zimno. I mżawka.

Klazmus oparł siekiere o ścianę, a potem zdjął ze ściany jaskrawą, spandeksową kurtkę z kapturem zaopatrzonym w pluszowe, niedźwiedzie uszy. Ariel stał w milczeniu z wyciągniętą dłonią i czekał, patrząc jak podejrzany przykleka przy dziewczynce, ubierając ją i pomaga zapinać oporny suwak gekko. Zupełnie jakby odprowadzał ją do przedszkola. Dziewczynka pochłipywała, ale stała zupełnie bezwolnie, jak kukła.

Szok zawyrokował. Trauma pourazowa jak ta lala. Nic dziwnego.

Ujął jej dłoń, a potem wziął ją na ręce, nadal nieruchomą i bezradną, jak wystraszone kocię.

– Zabierzesz ją na Górę – powiedział jeszcze raz Klazmus. – Przysięgasz?

– Przysięgam – powiedział negocjator.

– To jej przysięgnij.

– Przysięgam, że zabiorę cię na Górę – powtórzył pochylonej główce o włosach barwy zeszlorocznej słomy, opartej o jego ramię.

– Teraz odejdźcie z Panem.

– Lepiej wyjdź z nami – powiedział i ruszył do laminatowych drzwi, które pijany dziesięciolatek bez problemu wyważyłby kopniakiem, zamkniętych na tani, papilarny zamek i jeszcze dla pewności opatrzonych skoblem z tytanową linką. Otworzył zamki i pchnął drzwi, a potem stanął w świetle policyjnych reflektorów.

– Uwaga, pododdział! – wrzasnął ile sił w płucach. – Negocjator Ariel Gigański z zakładniczką! Nie strzelać! Nie strzelać! Wychodzimy! Nie strzelać!

Za plecami Klazmus mamrotał monotennie.

– „Głosem moim wołam do Pana. A on odpowiada mi z świętej góry swojej. Sela. Położyłem się i zasnąłem; obudziłem się, bo Pan mnie wspiera. Nie boję się dziesiątków tysięcy ludu, które zewsząd na mnie nastają. Powstań Panie! Ocal mnie, Boże mój!”

Ariel odwrócił się przez ramię i zobaczył, jak podejrzany wstaje powoli ze swojej skrytki w garderobie i nadal piastując siekiere przy piersi, wychodzi z plamy cienia i staje w pełnym ręciovym blasku obłączniczego reflektora.

– Cofnij się...! – syknął. I zdążył tylko wcisnąć małej twarz w swój bark. Łomot dubletowego strzału elektromagnetycznego karabinka hematyt spadł na niego jak piorun. W plastikowej szybie bocznego okna pojawił się maleńki otwór, a podejrzany Grzegorz Klazmus podskoczył w miejscu na pół metra w górę i zwałił się na posadzkę. Siekiera łomotnęła o ziemię, rozszarpane żaluzje dzwoniły lekko.

Wyszedł w mżawkę i blask obłączniczych reflektorów oraz zgiełk. Wokół biegali sanitariusze w pomarańczowych kombinezonach, mnóstwo ludzi wykrzykiwało naraz jakieś pytania. Oddał dziewczynkę jakimś kobietom w uniformach barwy marchewki, owinięto ją

polarowym kocem, ktoś wetknął jej do ręki misia z syntetycznego futerka, którego głowa kiwała się jakby miał przetrącony kark. Dziewczynka nie odzywała się, nie poruszała, ani nic nie robiła, zupełnie tak samo jak ten miś. Kiedy nieśli ją do samochodu, uniosła twarz nad ramieniem niosącej jej psycholog i patrzyła na niego nieruchomym szarym wzrokiem.

– Ale jazda... – powiedział i poszedł do wozu dowodzenia po swój płaszcz.

– Odwożę cię na komendę – powiedział potem Ledziński stanowczo. – Nie będziesz skakał po pociągach. To jest przestępstwo!

– Nie skaczę po żadnych pociągach – powiedział Ariel ze znużeniem. – A tym twoim jeżdżidłem będziemy akurat na koniec zmiany. Ja mam raport do napisania.

Ledwo się mieścił w wodorowym „sparku”. Odsunął siedzenie na całą długość szyny, ale kiedy zamknął uniesioną w górę jak skorupa chrząszcza pokrywę drzwi, wbiło go w fotel. Kolana sterczały mu powyżej deski rozdzielczej. Pojazd, bzyząc silniczkami, wytoczył się z kontenerowego osiedla i wkleił w niekończący się korek na dwupasmówce wyglądający jak zamrożony exodus.

– Przynajmniej włącz syrenę – poradził Ledzińskiemu. – Policja jesteś, czy coś takiego.

– Sygnał dźwiękowy można uruchomić po otrzymaniu takiego rozkazu z dyspozycji – pouczył go Ledziński. – Albo w okolicznościach uprawniających ruch uprzywilejowany. Przepisy są jasne. To, że ci się nudzi w korku, to nie jest taka okoliczność.

– Prawdę gadają – mruknął Ariel. – Coś wam mieszają w głowie przy okazji darmowego czesania genów. A taka okoliczność, że zaraz ci się zleję na dywanik uprawnia do włączenia koguta? I jeszcze ta pogoda. Można ześwirować od tej pluchy.

– To przejściowe skutki uboczne. Naprawiamy atmosferę spapraną przez całe pokolenia. Jesteś jak dziecko. Wolałbyś efekt cieplarniany?

Ariel westchnął i z nudów zapalił powietrzne cygaro. Kiedy wydmuchiwał wyimaginowany dym, jego towarzysz spoglądający na niego ze zgrozą, cieszący się genotypem zabezpieczonym przed większością znanych nowotworów, zakrzuszył się odruchowo.

* * *

Raport napisał w pół godziny, na pamięć dżgając dotykowy hologram antycznego policyjnego komputera, a potem poszedł do łazienki.

Ledziński mył ręce w ekologicznej umywalce ciurkającej cienkim jak igła strumyczkiem, dokładnie tak jak w instrukcji. Siedem ruchów wokół kiści dłoni, ruchy okrężne, ułożenie dłoni wokół nadgarstka. Zupełnie jakby chciał wyszorować znamię pigmentowe w kształcie kodu kreskowego, które – jak każdy gamma – miał na grzbiecie dłoni.

– Zapomniałeś o ruchach wokół kciuka – pouczył go negocjator i pomachał luźno zwiniętą w pięść dłonią. – Potrenuj trochę.

– A tobie, co? Tau nie mają genu higieny? – zapytał Ledziński.

– Nie mają genu sikania sobie na palce – wyjaśnił Ariel.

– A, właśnie, natychmiast do komisarza – powiedział Ledziński. – Narobiłeś bydlą. Są tam już panowie z abwery. Zdaje się, że właśnie straciłeś robotę.

– O, to ja dowodziłem tą akcją? – zdziwił się negocjator.

Z abwery był tylko jeden pan, wysoki neogen o dziwnej twarzy oraz posepny cywil z wydziału ekologicznego. Wyglądało na to, że raczej kłócili się ze sobą niż z szefem. Kiedy wszedł do gabinetu, wszyscy umilkli na chwilę.

– Nasz negocjator, pan Gigański – przedstawił komisarz.

– Pan kowboj – wycedził agent. – Nie zna pan procedur? Były wyraźne rozkazy, tak czy nie? Dlaczego postąpił pan samowolnie? Chyba obowiązuje praca zespołowa?

– Nie słyszałem żadnych rozkazów – oznajmił Ariel. – I oczywiście, nie znam dokładnie procedur, ale jak mi się zdaje, to w sytuacji zagrożenia życia priorytet ma życie zakładników. A w tej kwestii negocjator ma prawo do oceny sytuacji. Przypominam, że zakładniczka żyje.

– Ale podejrzany nie, a był jedynym naszym śladem w bardzo poważnej sprawie. Dużo poważniejszej niż groźenie jednej dziewczynce siekierą.

– Był podejrzanym w naszej sprawie – przerwał drugi cywil. – W grę mógł wchodzić ekoterroryzm i handel materiałem biologicznym...

– Halo... panowie? – Ariel od dłuższego czasu machał ręką, jakby chciał zwrócić uwagę kogoś za szybą. – O czym my rozmawiamy? Czy ktoś zauważył, że to nie ja zastrzeliłem Klazmusa? Ja jestem ten, który wyszedł z zakładniczką. Taką mam pracę.

Agent z ABW przez chwilę obserwował sufit, czekając na błogosławieństwo cierpliwości.

– Snajper miała prawo tak zareagować, bo podejrzany zamierzał się siekierą. Gdyby pan...

– Nie zamierzał się – przerwał Ariel. – Stał z siekierą, ale się nie zamierzał.

– Funkcjonariuszka SPAT-U ma prawo być przeczulona w kwestii przemocy wobec dzieci. Gdyby pan siedział na dupie, jak pana proszono, zamiast samowolnie podejmować akcję...

– ...to oboje by nie żyli – dokończył komisarz. – Panowie dostaną nasz raport i wszystkie materiały. Nagrania, symulacje, możecie sobie przeszukiwać miejsce zdarzenia i przesłuchiwać dziewczynkę do woli. W razie czego oferujemy pomoc. Wysłuchałem waszych uwag, dostałem je na dysk i tyle. Możecie się odwoływać albo raportować do woli, możemy też powołać komisję międzyresortową, ale według mnie moi ludzie nie przekroczyli uprawnień. To panowie utknęliście w korku, a mieliśmy trzy-osiem. To tyle, dziękuję wszystkim. Panie Gigański, gratuluję uratowania zakładniczki. Odwiedzi pan psychologa pod kątem szoku pourazowego, a później może pan już iść do domu. Potem ma pan wolne, tak? To po powrocie przedstawi mi pan wynik testów od psychologa. Dziękuję wszystkim.

Facet z ABW dopędził Ariela na korytarzu.

– To się tak nie skończy, kolego – oznajmił. – Też jestem neogenem i mnie nie

podskoczysz. Tau, co? Mnie nie imponują twoje możliwości, Batmanie kopany. Pojadę ci po pagonach aż się sfajdasz.

– Tylko że ja jestem cywilem, kolego – odpowiedział Ariel. – I możesz mi nafiukać. Jestem czysty. Przeczytaj, co masz na odznace. Co jest najważniejsze? Be... co? Bez... co? Bezpie... co? Bez-pie-czeń-stwo. A ja właśnie bezpiecznie wyniosłem dziecko z obłązonego budynku i to dopiero co było w Necie. Spadówa, fedziu.

Wrócił do siebie, zgasił hologramy i wrzucił kilka kartek do niszcarki.

– Idziesz do domu? Zwolnili cię? – zapytał Ledziński.

– Pochwalili – wyjaśnił Ariel. – A idę do kościoła.

* * *

Kościół, który sobie wybrał, znajdował się w starym przemysłowym budynku jakiejś byłej fabryki i wyglądał jak pudło z czerwonej cegły. Obok odsuwanych na rolkach szarych stalowych drzwi, na ścianie świecił hologram głoszący, że jest to „ZGROMADZENIE PIERWSZEGO POWSZECHNEGO ZJEDNOCZONEGO KOŚCIOŁA DIONIZYJSKO-SZEJEŃSKIEGO, PARAFIA POD WEZWANIEM JASIA WĘDROWNICZKA – NABOŻEŃSTWA CODZIENNIE OD 18 DO OSTATNIEGO WIERNEGO”.

W stalowych drzwiach zgrzytnął wziernik, którego nie powstydziliby się klasztor z regułą milczenia.

– Tylko dla wyznawców – oznajmił duchowny o ogolonej głowie i umięśnionej twarzy. – To zgromadzenie religijne.

Ariel pomachał wyjętym z kieszeni miniaturowym łapaczem snów z paciorków, z firmowym holo pośrodku.

Drzwi odsunęły się kawałek i wślizgnął się do środka. Brat furtian miał na sobie natryskową czarną koszulkę z nadrukiem głoszącym „mamy przesrane”. Był żywym dowodem na to, że bez żadnego grzebania w genach można wyglądać jak ucłowieczony nosorożec. Ariel rzadko kiedy czuł się taki malutki.

Przede wszystkim wskazano mu czytnik.

– Najpierw ofiara.

– Naturalnie – powiedział negocjator, wyjmując czip gotówkowy. – Co łaska?

– Będzie komunia z napoju?

– Oraz z mięsa i kadzidła.

– Solo, czy ewentualnie na dwoje?

– Niewykluczone, że na dwoje.

– Osiemdziesiąt.

– Dlaczego tak drogo?

– Masz czesane geny, synu – oznajmił ze smutkiem furtian. – My tu składamy w ofierze

własne zdrowie. Lekceważymy ciało, by czcić ducha. Ty będziesz musiał dużo więcej pokutować niż inni.

Ariel westchnął i przyjął brzemień trzech fluorescencyjnych stempli na nadgarstku.

Wewnątrz było jeszcze prawie pusto, ale świątynia zaczynała się pomału zapelniać. Puszczano już święte pienia, a nad stolikami, gdzie siedzieli pierwsi wierni, unosiły się już chmury dymu z kadzideł i słychać było brzęk dionizyjskich pucharów.

Znalazł sobie ławę pod ścianą i czekając, aż brat szafarz przyniesie jego zamówioną komunię z tytoniu i simentalskiej wołowiny dla Manitou oraz napojów dla Dionizosa, patrzył na dziewczęta tańczące w błyskach świętych lamp. Zobaczył kilka neogenek, wysokich, o doskonałej figurze i nijakich lalkowatych twarzach o niemal nieistniejących noskach i wyдутych wargach, oraz szeroko rozstawionych pustych, okrągłych oczach, ale nawet nie spojrzął na nie po raz drugi. Szukał prawdziwych.

Jedna z nich, brunetka obleczona w multimorfową obcisłą sukienkę o fakturze lampariego futra, dostrzeża go, po czym uniosła ręce wysoko na głowę, znalazła cciukiem sterownik na nadgarstku.

Błysnęło, lamparcie futro na sekundę stało się przejrzyste jak szkło. Ariel uśmiechnął się z aprobatą. Dziewczyna była wysoka jak na archeogenkę, a poruszała się tak, jakby nie miała stawów. Jej taniec stanowił skrzyżowanie numeru cyrkowego i mistrzowskiego tańca erotycznego. Modyfikacje postnatalne. Biomechanika. Trochę toporne, kosztowne, ryzykowne i nielegalne. Diabli wiedzą co sobie jeszcze pozmieniała, ale twarz miała naturalną. Wulgarną i zmysłową jak piękna bufetowa. Twarz dziewczyny, której doskonale pasowały lamparcie cętki, bujna grzywa upięta w koński ogon, skośne, kocie oczy, za duże zęby i kanciasta szczęką. Uśmiechnął się ponownie, unosząc szklanekę w toaście. Uwielbiał naturalne dziewczyny, a one uwielbiały jego wart fortunę genotyp.

* * *

Kiedy wychodził od niej, ze squantu urządzonego w starej zajezdni tramwajowej na Krańcowej, już na niego czekali. Szary, w założeniach niepozorny wu xian był za duży jak na tę dzielnicę i parkował w niedozwolonym miejscu, nic sobie nie robiąc z kamer. Świat był tak samo mokry i szary jak o każdej innej porze dnia i nocy. Błyszczący od mżawki i zalany rudym światłem latarni. Tyle że wściekle wiało. Wichura łopotała nogawkami spodni i ciskała w twarz wodny pył. Parkujący samochód miał włączone wycieraczki.

Ariel znienacka skręcił w jakieś ciemne, zagracone podwórko, słysząc za plecami świst ożywających sprężarek, potem przeskoczył płot i pobiegł wąską uliczką, czując, jak budzi się w nim życie. Jak wtedy, gdy przemierzał miasto, stojąc na dachu szybkiego wagonu metra, z ustnikiem miniaturowego aparatu tlenowego w zębach, jak wtedy, gdy w ryku rozpedzonego powietrza przeskakiwał z jednego składu na dach drugiego, jadącego w

przeciwną stronę. Adrenalina. Skoncentrowana realność wymieszana z paliwem raketowym i testosteronem płonąca w jego żyłach. Sprawiająca, że każda rozświetlona nią sekunda była prawdziwa.

Wpadł na zaplecze dzikiego centrum handlowego na tyłach dworca. W ostre światło rozwieszonych gdzie się dało jarzeniówek, pomiędzy kioski i stragany sklecone z uniwersalnych modułów. W pstrokaty nocny tłum, który wyszedł ze świątyń, kościołów i chramów, i zapragnął zjeść coś ciepłego, zapalić shiszę, albo pod osłoną plandeki wypalić jeszcze papierosa, ukradkiem wypić ostatni łyk z plastikowej, jednorazowej fiolki, zanim zacznie jeździć metro. Dziwki wszelkiej płci czasem trudnej do wyobrażenia, tajniacy, złodzieje, lumpy, dzikie młodziaki pstrokate jak koguty. Nocne życie miasta, które ograniczyło się do kilku takich enklaw, gdzieś poza kątem widzenia kamer. Reszta metropolii była czarna, mroczna i cicha, żeglująca za ciemnymi oknami na spotkanie szarego świtu.

Wszedł do jakiegoś baru zorganizowanego pod łopocącym daszkiem z rozpiętej na rurkach chitynowej biofolii, w gęstwinę składanych krzeseł i krzywych stolików. W otwartym okienku przyczepy nieruchomo tkwiła stara Koreanka o płaskiej pucołowatej twarzy i oglądała „Na Wspólnej – Nowe pokolenie”, nie odrywając wzroku od obrazu wyświetlanego na łopocącej folii. Nie spojrzała na niego ani kiedy składał zamówienie, ani kiedy bezbłędnym ruchem pałeczek wrzucała mu kluski i zalewała je zupą z dystrybutora, ani kiedy podsunął jej czip gotówkowy, ani kiedy zabrał jej przed nosa miseczkę z piekielnie ostrym brunatnym sosem i wlał sobie połowę do czarki z prasowanej skrobiowej pianki.

Czekał.

Podejrzał, że to miało być ostrzeżenie. Przyjacielski oklep. Małe porachunki międzyresortowe. Wątpił, żeby zamierzali dymić przy świadkach.

Siedział w ostrym świetle bioluminescencyjnych jarzeniówek i miniaturowych neonów z wyginanych ręcznie światłowodowych rurek, łowiąc pałeczkami makaron udon i łykając gorący bulion osuimono, palący i oczyszczający wnętrza niczym ognie świętej inkwizycji. W sąsiednim barze, podobnie rozświetlonym i wyposażonym w ogródek osłonięty takimi samymi szeleszczącymi płachtami chityny, wąsaty Syryjczyk w mokrej oliwkowej dżelabie narzuconej na dres, zbierał do wnętrza baraku wodne fajki, wysokie jak minarety z chromowanej blachy i malowanego szkła. Arabowie mieli prawo palić tytoń w sziszach, w charakterze specyfiki kulturowej. Tak tu było. Tam, gdzie dozwolony był tytoń, palono haszysz. Gdzie wydano zgodę na automaty zręcznościowe, grano o grube pieniądze, gdzie zezwolono na masaż albo wróżby, pieprzono się, aż trzęsły się plastikowe budki. Nocne życie zepchnięte w niebyt przez opiekuńcze egalitarne państwo wykwitało gdzie tylko się dało, jak zmutowane chwasty. Tym silniejsze i dziksze, im bardziej dokręcano śrubę. Bazary i stragany rozpedzane w jednym miejscu, wyrastały w drugim, jak grzyby.

Bliskowschodnia muzyka zagłuszała serial oglądany przez Koreankę, ale najwyraźniej jej to nie przeszkadzało. Może umiała czytać z ruchu warg. Wiatr jeszcze się wzmagął, woda

ciurkała z szarpiących się jak żagle plandek.

Za szisza-barem widział pomiędzy budami płataninę rowerów i elektrycznych mopedów powiązanych łańcuchami, a za nimi kawałek prawie pustej o tej porze ulicy. Prawie skończył zupe, kiedy szary wu xian przesunął się wzdłuż chodnika, ciągnąc za sobą chmurę pary.

Ktoś obstawił wejście na stację.

Obrażeni fedzie nie zamierzali odpuścić.

Pstryknął w kolczyk telefonu, wyświetlacz błysnął mu na wnętrze dłoni rubinowymi cyframi. Pierwszy skład odjeżdżał czwarta dwadzieścia. Stację otwierano dziesięć minut wcześniej, więc za trzy minuty.

Wstał z winylowego krzeselka i zamówił sobie jeszcze pijawki w czosnku, chitynowy kubek zielonej prasowanej herbaty oraz kadzidełko. Podała mu mosiężną miseczkę z dziurką i otworzyła pudełko z laki, skąd wygrzebał sandałową pałeczkę i ukrytego pod spodem jinlinga bez filtra.

Ustawił kadzidełko na stole i chroniąc dłońmi płomyk przypalił od pożyczonej kuchennej zapalniczki. Przy tej wicherze nie było szans, żeby ktoś wywęszył tytoń, ale taka była tradycja.

Pierwszy pociąg z wizgiem przetoczył się otwartym torowiskiem gdzieś za budami pasażu i pomknął do miasta. Ariel spokojnie dojadł pijawki, wypił herbatę i wypalił papierosa schowanego w dłoni.

A potem wstał, spiął poły płaszcza wokół nóg, tworząc coś w rodzaju kombinezonu i wcisnął się pomiędzy blaszane budy. Przedarł się przez bezlistne mokre krzaki, a potem wszedł na techniczny wiadukt z zardzewiałej stali. Z prawej kieszeni wyjął niewielką butelkę sprężonego powietrza i plastikowe pudełko ze składanymi goglami. Wyregulował reduktor, zacisnął zęby na ustniku, dociągnął pasy i założył gogle. A potem przelazł za barierkę mostu i stanął za balustradą, oddychając głęboko i uspokajając pracę serca.

Pociąg czwarta trzydzieści pięć ruszał na niewielkiej prędkości. Ariel skoczył z mostu, kiedy zobaczył lokomotywę i uderzył w dach trzeciego wagonu, pośrodku składu. Rozpłaszczył się na srebrnym obłym dachu, dwoma uderzeniami pięści otworzył klapki kryjące stopnie serwisowe, a potem wsunął pod nie stopy i zaklinował się. Uniósł się na ugiętych głęboko nogach, pochylając całe ciało do przodu, a potem wyciągnął przed siebie rękę i schował głowę. Pociąg nabierał pełnej szybkości.

Oczywiście, czekali na niego w domu.

Kiedyś chętnie wdawał się w bójki, skracał sobie drogę przez blokowiska, które miały opinię pól śmierci, ale potyczki z archeogenami nie miały sensu. Nie dawały prawdziwego kopa. Brakowało ryzyka, poczucia, że stawia swoje zabezpieczone na wszystkie sposoby pewnie z dwustuletnie życie na jakąś szalę. Równie dobrze mógł się umawiać na ustawki z dwunastolatkami.

Tu jednak było inaczej. Było ich trzech, byli szkoleni i mieli czesane geny. Jeden epsilon,

a dwóch co najmniej sigma albo i tau. Jeden siedział na jego fotelu przy jego stoliku koktajlowym, a dwóch stało po obu stronach wejściach do salonu. Chwycił tego z prawej i rzucił nim w stronę tego z lewej.

To znaczy taki miał zamiar.

Dostał z łokcia, w przelocie, aż pociemniało mu w oczach, a potem obezwładniono go w ułamku sekundy jakby zaplątał się w liany.

I nic więcej się nie wydarzyło. Nie powalono go, nie skopano, ani nie przysmażono taserem. Po prostu tkwił oplątany ramionami dwóch mężczyzn i tylko prawa górna czwórka ruszała mu się lekko, a policzek krwawił i puchł od wewnątrz.

– I po co pan się tak rozszumiał, kochany panie Arielu? – zapytał ten za stolikiem, ten sam, którego poznał na komendzie. – Czy to trzeba tak od razu z rękami? Przecież chcemy tylko porozmawiać. Chcieliśmy pana podwieźć do domu, to pan gdzieś uciekł, a teraz zaraz przemoc – i proszę: przewrócił się pan. Teraz spadać – rzucił do dwóch pozostałych i krępujące go sploty anakond gdzieś znikły. – Poczekajcie w wozie. Teraz musimy porozmawiać służbowo.

– Przepraszam – rzekł, kiedy tamci już wyszli, a Ariel wrócił z łazienki, po czym wyciągnął do niego rękę. – Mam na imię Harahel.

– O co chodzi? – wybełkotał negocjator niewyraźnie, z powodu wacika przygryzanego w ustach. – Myślałem, że będzie druga runda.

– Przepraszam, że wydarłem się na ciebie na komendzie. Strasznie się wkurzyłem. A ten kuksaniec... no, to biorę na siebie – powiedzmy że prywatnie, za tego „fedzia”. Okropnie tego nie lubimy.

– Co jest grane? – zirytował się Ariel, macając językiem obolałą czwórkę. – Sam robisz za dobrego i złego glinę naraz? Co to jest? Cięcia kadrowe czy cyklofrenia?

– Daj już spokój – oznajmił dobrodusznie Harahel. – Przecież zęby ci chyba odrastają?

– Ale jeśli wypadnie, przez miesiąc będę miał szczerbę – warknął negocjator. – A jutro spuchnę.

Agent wyciągnął z torby graniastą butelkę i postawił na stoliku.

– Masz szklanki?

– A ty masz pozwolenie na prowokację wobec pracownika resortu?

– Przecież w domu można.

– Legalnie zakupiony alkohol na talony i w ramach limitu. A to jest przemycana woda. Bez akcyzy.

– Bo jest autentyczna. Prawdziwa kazachska whisky. Gorzelnia Old Barley & Sons przeniesiona w dwa tysiące dwudziestym ósmym. Daj spokój. Kościół czejeńsko – dionizyjski? Jesteśmy współwyznawcami, tylko należę do innej parafii. – Z wewnętrznej kieszeni wydobył miękką paczkę w kolorze piaskowym, opatrzoną rysunkiem muflona. – Jinlinga?

– Najpierw chcę wiedzieć, o co chodzi.

Harahel sam znalazł szklanki, odkorkował i nalał bursztynowego płynu.

– Chcę prosić o pomoc. Lubisz sernik wiedeński? – Tu wyjął z reklamówki paczuszkę w bibułce.

– Masz dla mnie robotę? To najpierw zwróć się do mojego szefa. Mój bezpośredni przełożony to nadkomisarz Starzewski, komenda central. Jak zobaczę od niego papier, możemy gadać. A teraz mam cztery dni wolnego.

– Oczywiście. Jutro rano masz potwierdzenie – na papierze firmowym. Ze znaczkami skarbowymi.

– Chcę to usłyszeć od Starzewskiego osobiście. Wtedy ci pomogę. Na razie tak sobie tylko gadamy. – Przycisnął skrzydełko nosa kciukiem i obejrzał go krytycznie.

– Chcę tylko, żebyś zrobił to, co obiecałeś.

– Co? Co obiecałem?

– Obiecałeś dziecku. Przysiągłeś, że zabierzesz ją na Górę. Przysiągłeś przed jej ojcem, który potem zginął.

– Czyś ty oszalał, człowieku? Jestem negocjatorem. Staję przed świrami, żeby powstrzymać rozlew krwi. Żeby wyprowadzić całych i zdrowych zakładników. Obiecałbym diabłu, że zrobię mu łaskę, gdyby to było konieczne. W tym wypadku kluczowa była wycieczka w góry i cytaty z Biblii, bo to był maniak religijny.

– Nie wycieczka w góry, tylko odprowadzenie dziecka na Górę.

– Jaka górę? Gdzie mam ją odprowadzić? To ma być Syjon? Ararat? Genezaret? Wzgórze Świętynne? A może Kozi Wierch? Mount Everest?

– Dzieciak wie, o jaką górę chodzi – oznajmił Harahel. – Tylko że nie powie tego nikomu, poza tobą. Bo ty przysiągłeś jej przed Bogiem i tąd, jesteś wybrany i tak dalej. Nie powie i już. A z jakiegoś powodu nie wolno nam jej torturować.

– A można wiedzieć, o co chodzi? Dlaczego to takie ważne? On miał na myśli jakąś mistyczną górę?

– Bo chodzi o zniszczenie Sodomy i Gomory. Klazmus też o tym wspominał? O ogniu z nieba i boskim gniewie? Deszczu siarki i ognia? A tak się składa, że w tej cholerniej Sodomie to my mieszkamy. I do cholery innych ludzi.

Ariel usiadł i niechętnie przyjął od dziwnego gościa własną szklankę napełnioną do połowy oraz zapalonego papierosa.

– To był maniak religijny. Sfrustrowany, biedny, stłamszony przez państwo, które chciało mu odebrać dziecko. Co miał cytować? „Pieśń nad pieśniami”, czy przypowieść o talentach? W takiej sytuacji ktoś, kto szuka pociechy w religii, będzie cytował wersety o bożym gniewie i karze dla grzeszników. Ja je znam na pamięć i zdziwiłbyś się, jak często mi się przydają. Każdy desperat krzyczy o boskim gniewie i pomście.

Przełknął łyk i skrzywił się, bo policzek zapiekł go jak diabli.

– Klazmus należał do sekty – wyjaśnił Harahel. – Nazywa się „Synowie Lamecha” – zgromadzenie mniej więcej chrześcijańskie, ale nawiązujące do pierwszych sekt rzymskich. Bardzo radykalne, bardzo starotestamentowe i gniewne. Tylko dla archeogenów. Sekta jest rozproszona – to organizacja sieciowa, typu Al Kaida. Poszczególne komórki łączą się i rozpadają, nie ma nawet stałych członków i nie wiadomo, ilu ich jest, ale wielu. To jakbyś chciał walczyć z rojem pszczół.

Napił się whisky, odczekał chwilę, masując skronie, jakby chciał poukładać chaotyczne myśli w jakimś porządku.

– Wiemy na pewno, że coś knują. Naszym zdaniem, zamach z użyciem broni biologicznej, ale to tylko teoria. Dlaczego? Bo kradną materiał biologiczny. Przeprowadzili włamanie do bunkra Instytutu Genetyki Reprodukcyjnej i do tajnego bunkra Banku Zasobów Genetycznych i Bioróżnorodności. Ogołocili sejfy genetyczne trzech instytutów i czterech ogrodów zoologicznych. Głównie zamrożone próbki przeznaczone do klonowania na wypadek jakiejś katastrofy; były tam też próbki wirusów i bakterii, których nazw wcale nie chcesz znać. Pobierane z wykopalisk pochówków po zarazach, sprowadzane z placówek badawczych na całym świecie. Po co? Ano, chodzi o to, żeby w razie czego dysponować materiałem do tworzenia szczepionek. Nikt nie chce powtórki z pandemii i spekulacji szczepionkami. Takie świństwa powinny być przechowywane w laboratoriach poziomu czwartego, ale tak się składa, że nas na to nie stać, więc trzymano je w specjalnych sejfach w schronach genetycznych. Zabezpieczone i zamrożone, więc nie powinno być z tym problemu. Dopóki ktoś ich nie ukradnie.

– A po co im reszta tego materiału?

– Według naszych jajogłowych, będą klonować nosicieli. Ptaki, gryzonie domowe, nawet owady. Miliony sklonowanych, zakażonych od urodzenia, biegających, pełzających i fruujących bomb biologicznych.

– Mają takie możliwości?

– Ukradli też sprzęt bioinżynieryjny. Wojskowe moduły laboratoryjne, generatory, kombinezony. Uniwersalny sprzęt. Można hodować szczepionki, przeprowadzać analizy, ale i konstruować modyfikacje genetyczne, albo klonować. Ze specyfikacji można wyczytać, że świetnie wiedzieli, co zabierać. Tyle tylko, że wojsko nabrało wody w usta. Zniknęło im wyposażenie plutonu obrony przeciwskażeniowej z rezerwy „W”, a oni zorientowali się po pół roku. Dowiedzieliśmy się o tym własnymi kanałami w zeszłym miesiącu i dopiero co pozbieraliśmy do kupy.

– Klazmus miał w garderobie laboratoryjne pojemniki... – przypomniał sobie Ariel.

– Termosy do mrożonych próbek. Już puste, więc się w nie pakował. Wyłączył tylko chłodzenie i miał darmowe walizki. Teraz dochodzimy do Góry... „Góra” to kryptonim schronu dla wybranych. Tych, którzy mają przetrwać gniew boży. Takich jak nasza mała. Tylko nie wiadomo, gdzie to jest. Natomiast dziewczynka wie, a ty się zobowiązałeś ją tam

odwieźć. A ja cię proszę, żebyś odwiózł. Klazmus się spieszył. To mi się nie podoba. Koniecznie chciał ją odwieźć na Górę i to jak najszybciej. Co oznacza, że nadchodzi dzień sądu i tak dalej. Trochę jest nerwowo. Współpracujemy?

– Jutro chcę porozmawiać ze Starzewskim. Chcę płatny urlop na czas tej całej operacji, a potem chcę moje wolne dni.

– Załatwione – zgodził się natychmiast Harahel.

– I chcę małpę.

– Co?

– Dużą małpę. I masaż.

Agent zamknął na chwilę oczy.

– Dobra, próbowałem – odparł Ariel. – Jestem negocjatorem. Nie mogę się tak na wszystko zgadzać.

* * *

Wrócili, ledwo zdążył złapać trzy godziny snu, które otrzeźwiły go zupełnie, wziąć prysznic, krótki, bo po kilkudziesięciu sekundach zabrakło wody i rozbić w sokowirówce zgniłego banana oraz kompot ananasowy, który znalazł w lodówce. Narzucił szlafrok kąpielowy i popijając z kubka, wszedł na stronę giełdy i zarobił osiem tysięcy.

Zadzwoił komisarz Starzewski i pobłogosławił mu na podróż.

A potem poszedł umyć zęby, słuchając prognozy pogody. Ogólnie rzecz biorąc, niezachęcającej.

„Ogromne masy ciepłego powietrza tropikalnego, które zbierają się nad Atlantykiem, wkrótce zderzą się z lodowatym powietrzem polarnomorskim, utrzymującym się nad całą Europą. Spodziewane są gwałtowne burze. Wiatr może przekraczać sto dwadzieścia kilometrów na godzinę. Należy spodziewać się przerw w dostawie prądu oraz lokalnych podtopień. Należy pamiętać, że tego rodzaju anomalie klimatyczne są spowodowane wyłącznie przez działalność człowieka w poprzednich wiekach, a zwłaszcza przez gospodarki państw zachodnich i nie należy łączyć ich z zabiegami inżynierii klimatycznej, które zmierzają do uzdrowienia sytuacji. Europejskie służby meteorologiczne przystępują do rozładowania niszczycielskiej potęgi cyklonów za pomocą bezzałogowych pojazdów latających, które rozpylają cząsteczki kondensujące u podstaw każdej chmury burzowej...”

Ariel wypłukał usta resztką wody mineralnej i splunął do umywalki, kiedy zaczęli dobijać się do drzwi.

Otworzył, nie patrząc w ekran i zdębiał. Kobieta niemal dorównywała mu wzrostem, miała białą skórę, włosy barwy kości słoniowej i oczy błękitnofioletowe, jak acetylenowy płomień. Nosila lśniący, szary płaszczyk ściągnięty pasem na biodrach, srebrne natryskowe legginsy i ciężkie wojskowe buty. Wydawało się, że temperatura spadła o kilka stopni.

– Jestem Satrina – oznajmiła głosem, który był jak kryształ pokryty szronem. Spojrzał w dół i zobaczył, że jej wyciosana z lodu dłoń ściska małą rączkę dziewczynki, która chowała się za długim, srebrnym jak soplem udem, ukazując tylko brzeg tej samej spandeksowej kurtki i fragment tego samego, bezwładnego misia-wisielca.

Dziewczynka wyplątała dłoń z uścisku, po czym obeszła jej nogę niczym kolumnę i wycelowała w Ariela palec.

– Ty. To z tobą pojedę. Ona jest grigori. Ty też, ale ty zabierzesz mnie na Górę. Obiecałeś – mówiła matowym, mechanicznym głosem pozbawionym emocji, dziwnym u dziecka.

– Grigori?

– Czuwający. Upadłe Anioły. Zeszły na Ziemię, żeby uczyć ludzi pożytecznych rzeczy, ale zamiast tego nauczyły ich różnych świństw, zaczęły rżnąć Ziemianki i zostały upadłymi. To my, neogenowie – odezwała się Satrina. – Nie zabieraj dużo rzeczy. Wszystko jest w samochodzie.

Zabrał torbę, w drzwiach usłyszał, że „śłużby meteorologiczne w pełni panują nad sytuacją”, więc wrócił jeszcze po wodoodporną kurtkę.

Satrina czekała pod domem w wielkim, terenowym ssang yongu z napędem hybrydowym, z zalany w kanarkowy plastik zezwoleniem specjalnym za przednią szybą. Wrzucił swoją torbę na tył, po czym otworzył tylne drzwiczki i uniósł wpiętej w kapsułę bezpieczeństwa dziewczynce twarz, zaglądając w oczy, po czym podciągnął rękawy i sprawdził jej przedramiona.

– Ty też się wybierasz? – zapytał Satrinę tkwiącą za kierownicą jak lodowy posąg. – Harahel nie wspominał...

– Nikt ci nie wyda dziecka, które odebraliśmy z izby na własną odpowiedzialność. Przepisy. Jadę jako opiekunka i psycholog.

– Pięknie. A ktoś pomyślał, że tam nie wpuszczają neogenów? Ze mną będzie już dosyć kłopotu.

– Wszystko, co mamy zrobić, to dojechać na miejsce i nacisnąć przycisk na dzipliesie. Czekają cztery maszyny z grupami uderzeniowymi, za nami jedzie sekcja szturmowa – w tamtym wanie.

Spojrzał w stronę opływowej furgonetki parkującej pod drzewem; jakiś pozbawiony włosów i wyraźnej szyi mężczyzna w czarnym kombinezonie pokiwał mu ręką.

Chmury ciągnęły po ołowianym niebie nienaturalnie szybko, jak na przyspieszonym filmie. Znowu zaczęło padać. Ciśnienie było jakieś dziwne, aż dzwoniło w uszach, i ciągnęło, żeby położyć się i zasnąć, choćby na trawniku.

Wsiadł i zapiął pasy. W chromowanym ssang yongu przynajmniej sufit nie wgniatał mu głowy. Zaczęło lać, jakby wodospad walił na dach i szyby.

– No jak, Rachelko, dokąd jedziemy? – Satrina przemówiła słodkim, przeznaczonym do rozmów z dziećmi głosem, który brzmiał tak, jakby tygrys usiłował szczebiotać.

– Jadę z nim – oznajmiła dziewczynka, dźgając palcem. – On mnie zabierze.

– Super – oznajmił Ariel i wysiadł, po czym obszedł pojazd dookoła i otworzył drzwi kierowcy. – Słyszałaś.

Satrina przewróciła oczami, ale wysiadła.

– Ale nie wiem, dokąd jechać – powiedział cierpliwie Ariel, siedząc już za kierownicą i ociekając wodą na skórzane siedzenie.

– Tam – oznajmiła Rachel, dźgając palcem przed siebie. Negocjator uruchomił silnik.

– Proszę podać punkt docelowy – poprosił ssang yong lepkim, aksamitnym głosem.

– Tam – powtórzyła dziewczynka. Pojazd ruszył, zostawiając za sobą kłęby pary.

– Proszę podać punkt docelowy – powtórzył ssang yong.

Przez następne dwie godziny był zupełnie pewien, że robią z siebie durniów. Mała nie odzywała się, skulona w kapsule bezpieczeństwa, prawie nie patrząc na drogę, zresztą zza ściany deszczu niewiele było widać. Od czasu do czasu unosiła się jak dźgnięta wewnętrznym impulsem, wskazywała jakiś kierunek i mówiła „tam”. Wtedy kręcił posłusznie kierownicą, przeciskając się przez jakieś ulice, grzęznąc w korkach na estakadach i jadąc w nieznane.

– Nie mogliby nam otworzyć drogi? – zapytał Satrinę. – Chyba szkoda czasu na stanie w korkach.

Nienawidził korków.

– Mogliby, gdybyśmy wiedzieli, gdzie jedziemy – odparła obojętnie.

Z ruchu miejskiego wydostali się po kolejnej godzinie. Stwierdził wtedy, że jadą mniej więcej na południe. To mogło się ewentualnie zgadzać.

– Trzeba szybciej – oznajmiła zniecierpliwiona dziewczynka.

– Dlaczego?

– Szybciej.

– Słyszałaś, co dziecko mówi? Przydepnij – warknęła Satrina.

– Poczuję się, jakbym się ożenił – powiedział Ariel. – To jakiś koszmar.

– Przekroczono dozwoloną prędkość – oznajmił ssang yong nadąsanym tonem. – Proszę zwolnić. Zwolnij. Zwolnij. Prędkość zabija. Zwolnij.

– Możemy go wyłączyć?

– Nie. To główny komputer. Jest sprzężony z GPS-em.

– Jeżeli prędkość nie zostanie zmniejszona – powiedział inny głos, chropawy i nieprzyjemny – nastąpi wyłączenie głównego procesora.

– Oho, włączyła mu się ta druga osobowość – powiedział złowroźnie Ariel. – Ta, którą ukształtowała telewizyjna niania i która odrywała skrzydełka muchom.

– Procesor odłączony. Wysłałam zawiadomienie do najbliższego posterunku policji.

Samochód jechał jednak dalej.

– Ma odcięte te funkcje – powiedziała Satrina. – Czasem lubię tę pracę.

– Przekroczono dozwoloną prędkość – oznajmił ssang yong lekko zdezorientowanym

tonem.

A potem płynęły niekończące się minuty i godziny.

– Tam – powiedziała mała, wskazując jakiś zjazd. Nieco za późno. Ledwo zdążył skrócić kierownicą, opony zapiszczały. Jadącą za nimi furgonetką zarzuciło gwałtownie, przytarło o barierę, posypały się iskry.

– Mają twój numer? – zapytał Ariel. – Teraz się nasłuchamy.

– Padła mi komórka – oznajmiła Satrina z osłupieniem. – Pierwszy raz w życiu.

– Szybciej – powtórzyła mała mechanicznym głosem. – A potem tam!

Niebo nad nimi oczyściło się, ale miało dziwaczny, żółtawy kolor, po horyzoncie sunęły czarnostalowe chmury, przeświecane co chwila migotliwym blaskiem wyładowań. W powietrzu wisiało coś dziwnego.

– Gdzie my właściwie jesteśmy? – zapytał Ariel. – Co masz na tym GPS-ie?

– No signal – powiedziała ze zdziwieniem.

– Pięknie.

Sunęli przed siebie, przez równinę, na której nie było nawet żadnego drzewa, tylko zaorane skiby po kraniec wzroku i droga, którą jechali, dziwacznie pusta, jakby porzucona. To nawet nie przypominało Europy Środkowej. Jechali w dziwacznym świetle rozognionego żółtordzawego nieba. A na horyzoncie migotała kłębiasta czern, jakby odbywała się tam bitwa tytanów. Tylko tam, gdzie jechali, niebo było względnie czyste.

– To chyba Jura Krakowsko-Częstochowska – powiedziała niepewnie.

– Szybciej – powtórzyła dziewczynka.

Piorun uderzył w drzewo na wzgórzu, przez mgnienie oka wypalając rozżarzony ślad na siatkówce, jak trop elektrycznej żmii. Suchy, powykręcany pień stanął w pomarańczowym ogniu, bodąc krwawe niebo słupem dymu.

Dziewczynka zaczęła coś mamrotać. Śpiewnie, jakieś niezrozumiałe sylabiczne słowa, jedno za drugim, splatające się, brzmiące nie jak słowa, raczej jak dźwięki jakiegoś dzikiego perkusyjnego instrumentu.

– Zaïn... Vau... He... Daleth... Gimel... Beth... Alef... Nun... Mem... Lamed... Caph... Iod... Teth...

Coraz głośniejsze i coraz bardziej rytmicznie i śpiewnie. Brzmiało to jak tybetańskie modlitwy.

– Co to jest? – zapytał Ariel nerwowo. – Ona się modli? Ciarki chodzą po plecach.

– Ofan... harab... harabara... zalef... iszim... iszam... chaszmal... hamał...

– Każ jej przestać – powiedziała niepewnie Satrina.

– Ja jako dziecko też się nudziłem w samochodzie – odparł.

– Szinam... ofan... heraf... heram... harab...

Rwali już ponad sto dwadzieścia, sam nie wiedział, ciedy dodał gazu. Chyba w życiu nie jechał tak szybko. Ssang yong zamilkł, może ze zgrozy. Pusta droga i mknący nią

miniaturowy konwój.

– Wyjmij baterię i włóż z powrotem – poradził Satrinie. Za oknami przesuwała się dziwna równina, na loryzoncie wyrosły jakieś wzgórza, pojawiła się ciemna linia lasu.

Horyzont gotował się w czerni przetykanej liliowymi rozbłyskami. Pioruny co chwila łączyły ziemię z niebem rozedrganą pajęczyną.

– GPS się podnosi, ale nie może znaleźć pozycji – powiedziała. – Pokładowy pokazuje błąd systemu. Mój telefon nie może znaleźć sieci. Co się dzieje?

– To chyba ta cholerna burza. Musieliśmy oberwać impulsem elektromagnetycznym.

– Od pioruna?

– ofan... hara... harabara... iszam... aszam... heraf... heram... tam!

Pisk opon, fontanny wody z kolein. Wana z grupą uderzeniową zarzuciło, ale utrzymał tę samą odległość – równe pięćdziesiąt metrów.

Włączył radio, żeby choć trochę zagłuszyć dziewczynkę i jej dziwaczne skandowanie, które chyba nie zamierzało jej się znudzić. Radio krztusiło się trzaskiem, szukając jakiegoś sygnału, ale słyhać było tylko mamrotanie, gdzieś pod ścianą białego szumu, jak przesłonięte niskim niebem.

Jechali. Wzgórza na horyzoncie wyrosły, potem ogarnęły ich mokrym, ciemnym całunem, pod rudym niebem przecinanym bezgłośnymi błyskawicami.

Jechali.

Przez las, coraz bardziej krętą drogą, coraz częściej wśród skał i wzgórz. Mijały godziny.

– Z obliczenia odległości wynika, że jesteśmy gdzieś w Sudetach.

– Szybciej... – powiedziała Rachel. – Tam.

– Mam rozumieć, że nie zatrzymujemy się na obiad?

– Z tyłu są kanapki – powiedziała Satrina jakoś bezradnie.

– Nie chcę. Chcę na Górę.

Żuł kanapkę o syntetycznym smaku, trudnym do skojarzenia z czymś konkretnym. To raczej były warstwy – faktury, a nie smaki. Jakaś chrupiąca błona, jakaś kleista warstwa, warstwa włóknista, warstwa mazista.

Furgonetka z komandosami zrównała się z nimi, kiedy dziewczynka znowu zaczęła mamrotać. Miał nadzieję, że jej się to znudzi.

– Heraf... aszam... hara... iszam... jota...

Ledwo widoczny za szybą ubrany na czarno facet siedzący od strony pasażera zakręcił młynka jednym palcem, na znak, żeby otwarto szyby. Ariel nacisnął przycisk.

– Macie łączność?! – wrzasnął komandos. – Telefon? Cokolwiek?

– Nie! – odrzyknął. – Nawet GPS nie działa!

– Kurwa! – odrzyknął szturmowiec.

– Haraf... heszam... hara... mora...

I zniknął.

Razem z samochodem, w grzmocie piekielnego uderzenia, w ryku klaksonu jedynej ciężarówki jadącej w przeciwną stronę, jaką widzieli od kilku godzin.

Ariel krzyknął i wdusił hamulec. Połowa deski rozdzielczej zapłonęła czerwonymi alarmowymi światłami, ssang yong tańczył po mokrym asfalcie.

Zatrzymał się i przez kilka sekund po prostu trzymał drżącymi rękoma kierownicę.

– Nie widziałem tej ciężarówki – wybełkotał. – Oni też jej nie widzieli...

Otworzył drzwi, samochód rozspiewał się tysiącem gongów i ostrzeżeń.

„Uwaga! Niebezpieczeństwo! Proszę założyć kamizelkę odblaskową! Niebezpieczny manewr! Nie wysiadać!”

Ale negocjator już biegł w stronę kłębowiska blachy kilkaset metrów z tyłu, cały czas mając w uszach mamrotanie Racheli.

Wracał po dwóch minutach, wolnym krokiem, z trzęsącymi się rękami. Satrina wybiegła mu na spotkanie, ale zwolniła, widząc wyraz jego twarzy. Kiedy pokręcił głową, przystanąła.

– Wszyscy – powiedział. – Wszyscy. I w ciężarówce i w furgonetce.

– Może ktoś jest nieprzytomny! – krzyknęła. – Może ma śpiączkę.

Znowu przeczący ruch głowy.

– Nikt nie jest w całości.

Oba wraki splecione w jeden nierozpoznawalny kłąb dymiły lekko, koło w zadartej do góry naczepie wciąż się kręciło. W rudym, mrocznym niebie, nieprzerwanie, stroboskopowo migotały błyskawice.

Usiadł w progu otwartego samochodu i trzęsącymi się rękami wyjął z kieszeni paczkę „Jin-Lingów”, którą dostał od Harahela.

– Jedziemy – odezwała się Racheli.

– Czym ty jesteś?

– Dzieckiem – odpowiedziała. – Obiecałeś odwiedzić mnie na Górę.

Jechali w milczeniu, jak przedtem. Już sami.

„Ogromne fronty burzowe...” mamrotało pod sykiem białego szumu i trzaskiem wyładowań „...nie przyniosło rezultatu...” „wiatr w porywach...”.

Jechali. Niebo migotało. I otaczało ich czarnymi ramionami.

Pstryknął w kolczyk telefonu, ale nic nie nastąpiło. Namacał sterownik, a potem odpiął telefon i rzucił go na półkę pod przednią szybą.

– Która godzina? – zapytał po jakimś czasie. Satrina rozłożyła ręce.

– To dzień, czy noc?

Jechali.

– Tam!

Wtedy skręcali. Przynajmniej przestała recytować i jechali w głuchej ciszy.

I w końcu zobaczyli ludzi. Dziesiątki samochodów porzuconych na jakiejś łące, stojących jeden za drugim, byle gdzie, całe kłębowiska rowerów leżących wśród pni drzew i kęp

paproci. I ludzi ciągnących poboczem. Z plecakami, w kurtkach, jakby ciągnących na monstualny zlot turystyczny. Pod górę.

– Góra! – zawołała Rachela i odpięła pasy uprząży, wierząc się w kapsule. – Zatrzymaj! Idziemy na Górę!

Ariel zatrzymał gdzie się dało, częściowo w rowie. Korowód mijał ich w milczeniu.

Satrina otworzyła bagażnik i grzebała w jakimś plastikowym pojemniku.

– Co teraz? Nie mamy łączności? – zapytał.

Neogenka przepasała się jakąś uprzążą, słyszał, jak trzaska sprzęczkami.

– Weź małą – powiedziała zduszonym, pełnym napięcia głosem. – Ja biorę broń. Narzuciła kurtkę na kaburę, w której rozpychało się coś o groźnym kształcie i wyciągnęła niewielki plecak.

– Bierz – powiedziała, podając mu pakiet zapakowany w metalizowaną folię. – Kombinezon przeciwskażeniowy. Jeśli już zaczęli, wiele nie pomoże, ale lepsze to niż nic. W powietrzu powinny być dwie maszyny! Nie mogli nas zgubić! W wozie jest traser! W razie czego mam flary!

– A słyszysz jakąś? – zapytał.

Rachela tupnęła.

– Idziemy! Już! Szybciej! Weź mnie na barana!

Ruszyli. Zwyczajnym szlakiem turystycznym, w leśnym półmroku. Co chwila uderzenie wichru przetaczało się po koronach świerków, las kłonił się z szumem, jak głaskany niewidzialną dłonią. Coś łamało się i spadało obijając o gałęzie. Szli na Górę, mijając innych pątników. Satrina potrząsała nadajnikiem i włączała go co chwila, ale słyhać było tylko szum, jak odgłos ulewy.

Szli pod górę. Mijając ludzi, którzy natychmiast zauważali ich wzrost, regularne rysy, orientowali się, że neogeni wyprzedzają ich bez wysiłku. Zaczął słyszeć szepty i nie podobało mu się to. Po twardej, wydeptanej ścieżce ze stukotem potoczył się pierwszy kamień. Następny uderzył w pień drzewa.

Satrina sięgnęła pod kurtkę, wyciągając mały, zwarty pistolet elektromagnetyczny, teleskopowa kolba rozłożyła się z traskiem, szczęknięt wyłącznik, kondensatory ożyły z narastającym świstem.

– Jeszcze jeden kamień! – krzyknęła – i będziecie tu mieli Armagedon jakiego sobie nawet nie wyobrażacie!

– Oni odprowadzają mnie na Górę! – wrzasnęła Rachela. – Ci grigori odprowadzają mnie na Górę!

Nie było więcej kamieni.

Droga na Górę trwała jeszcze ze dwie godziny i do złudzenia przypominało to górską wycieczkę w szczycie sezonu. Długi korowód ludzi z plecakami, brnący ścieżką wśród skał, kamieni, kęp paproci, w różowawej kolumnadzie pni, wzdłuż koryta potoku.

* * *

Tylko pogoda była fatalna. Powietrze było naładowane elektrycznością, aż włosy się jeżyły, ale tu pioruny nie były. Tylko czarny horyzont kotłował się nieprzerwaną elektryczną wściekłością. A potem wyszli z lasu.

– Co to jest?! – wybełkotał Ariel. – To jest ten ich schron?

– To jakiś sterowiec... – wykrztusiła. – Albo świątynia...

Niemal cały szczyt, porośnięty zrudziałą górską łąką, zajmowała, lśniąca budowla sklecona z niezliczonych kawałków blachy, stopów i laminatów, poklejonych, pospawanych i znitowanych w jeden gigantyczny, obły jak cygaro kształt, zwieńczony prostokątnym, długim budynkiem, jak kiosk łodzi podwodnej.

Korowód archeogenów dreptał szeregiem i zniknął z czarnym otworze drzwi.

– To jest ten schron...? – zapytał osłupiały Ariel.

– Do tego pana za stolikiem! – zakomenderowała Rachela. – Możesz mnie już zsadzić, tylko trzymaj mnie za rękę!

Powędrował razem z długim korowodem, trzymając ją za rękę, czując na sobie zdumione spojrzenia Rachela dreptała obok, twardo dzierżąc swojego misia-pocieszankę, który zdaniem policyjnych psychologów załatwiał sprawę. Bury łebek kołysał się przy każdym jej kroku.

Z tyłu Satrina kroczyła bokiem, z automatem w jednym ręku, usiłując na zmianę ożywić GPS i radiostację. Słyszał, jak trzaska przełącznikami i klnie.

Mężczyzna przy stoliku wyglądał zwyczajnie, nie przypominał oszalałego guru, który gotów rozpętać pandemię, by oczyścić świat. Ariel widywał setki obłąńców, desperatów, nawiedzeńców i bandziorów, więc kiedy spojrzał na tego tutaj, aż się zatrzymał. Wiedział, że pierwsze wrażenie może mylić, ale bez przesady. Siezający za turystycznym stolikiem facet był normalniejszy od niego.

Zmęczony, chudy, w poplamionych płóciennych spodniach, żółtych roboczych butach i kraciastej koszuli, z twarzą pokrytą kilkudniowym zarostem, o najzupełniej przytomnych oczach.

Rachela puściła jego rękę, po czym szarpnęła głowę misia-pocieszanki, odpruwając ją częściowo od karku. A potem wepchnęła dłoń w syntetyczną włókninę i wydłubała dwa lśniące metalowe cylindry.

– Co to jest, słoneczko? – zapytał mężczyzna zmęczonym głosem.

Rachela dygnęła.

– To tatuś i mamusia – powiedziała. – Tata schował mi w kurtce, ale ja dałam ich temu misiówi, żeby mi nie zabrali.

– Nie ruszaj tego! – wrzasnęła Satrina strasznym bojowym głosem. Mężczyzna podniósł na nią wzrok i spojrzał prosto w lufę.

Rozległ się krzyk, tłum wokół nich rozpierzchł się na boki.

– Spokojnie – powiedział ostrożnie Ariel. – Człowieku, możesz mieć tu tysiące wyznawców, ale stoimy pół metra od ciebie. Tam w lesie – wskazał ręką – siedzi pododdział antyterrorystyczny. W powietrzu są dziesiątki helikopterów. Odpowiedz na proste pytanie. Gdzie są kapsuły?

– To? – mężczyzna wskazał na stalowe walce leżące na stoliku. – To materiał DNA. Zabezpieczony. Nic niebezpiecznego. Pozostałe są tam – machnął ramieniem w stronę dziwacznej świątyni.

– Nie ruszaj się! – wyrębała Satrina skulona nad swoim automatem i napięta jak cięciwa.

– Już jest po wszystkim – wyjaśnił facet za stolikiem i wstał. – Za późno. To już się dzieje. Popatrzcie na horyzont. Patrzcie.

– Kiedy nastąpi atak?!

– Jaki atak, ludzie! Po co?

– To burza! – zrozumiał Ariel. – Burza roznosi zarazki!

– Nie ma żadnych zarazków – powiedział mężczyzna. – Zostały spalone. Ukradliśmy je przez pomyłkę. Z rozpędu. Obudźcie się. My tego nie robimy – machnął ręką w stronę horyzontu. – To nie my chcemy panować nad atmosferą i klimatem. To nie my chcemy panować nad DNA i tworzyć naddludzi.

Spojrzał na mechaniczny, stary zegarek przypięty do nadgarstka.

– Zostały może dwie godziny. Ale nie do żadnego ataku terrorystycznego. Do zamknięcia drzwi. Ocknijcie się. Wszystko, co robię ja i ci ludzie, ludzie z normalnym, przypadkowym materiałem genetycznym, to chowamy się przed deszczem. I tyle. Tego też nam chcecie zabronić? Przyjrzyj się, człowieku! Czy to wygląda jak bunkier, który ochroni nas przed jakąś zarazą? Przyjrzyj się!

– To bez sensu – wycedziła Satrina. – Tracimy tylko czas. – Skierowała lufę na kolano mężczyzny i nacisnęła spust. Rozległ się ostry trzask. A potem następny. I następny. I nic więcej.

– No i tak to działa – powiedział spokojnie mężczyzna. – Nie wiem, dlaczego mnie wybrał. Nawet nie byłem wierzący. Ani szczególnie uduchowiony. A już zwłaszcza nieszczególnie świątobliwy. Nawet nie pofatygował się do mnie osobiście, nie pokazał w płonącym krzaku, ani nic takiego. Po prostu obudziłem się i już wiedziałem. Obudziłem się, wiedząc. Z pełnym zrozumieniem. Bez wątpliwości. I tyle. Oczywiście, zignorowałem to, ale wtedy wszystko czego się tknąłem, dosłownie rozpadało mi się w rękach. Co innego, kiedy zabrałem się za to, co mi kazał. Wtedy udawało się śpiewająco. Myślicie, że mi lekko?! Że niczego nie stracę? Że mi się to podoba? Przecież to jest jakaś groteska! Tak samo jak każdy myślałem, że to jest jakaś metafora!

Satrina wyrzuciła na ziemię pełny magazynek, jednym błyskawicznym ruchem załadowała następny, szarpnęła wyłącznikiem, budząc świst kondensatorów i nagle uniosła

lufę i posłała krótką serię w niebo z ogłuszającym terkotem wyładowania. A potem skierowała lufę na mężczyznę i pociągnęła spust. Rozległ się suchy, bezsilny trzask.

– Jasne, że nie – powiedział mężczyzna i podniósł ze stolika jabłko. – Cuda obywają się bez trąb anielskich i chórów. Cud to ciężarówka na pustej drodze, albo pęknięty szczebel, albo błąd systemu, albo awaria ogniwa elektromagnetycznego. Widziałem ich dosyć. Nie próbuj zatłuc mnie gołymi rękami, bo zrobisz sobie krzywdę. On chce, żebyśmy weszli tam do środka i zamknęli drzwi. Razem ze zwierzętami czystymi, których mam wziąć po siedem, samca i samicę, i nieczystymi po parze, samca i samicę. Także z ptactwa niebieskiego po siedem, aby zachować przy życiu ich potomstwo na całej Ziemi. Wszelkie zwierzęta według rodzaju swego i wszelkie bydło, i wszelkie płazy pełzające po ziemi, i wszelkie ptaki, wszystko co ma skrzydła. Tyle, że w postaci syntetycznej. Jako próbki DNA, bo jak inaczej?

Satrina, płacząc z wściekłości, opuściła automat i rzuciła go na ziemię.

– Myślicie, że mi was nie żal? Ale co z tego? Gdyby chciał mieć na ziemi tytanów, to by im ją oddał. Nie pyta nikogo o zdanie. Wznieśliśmy wieżę Babel, więc powiedział nie. A teraz wchodzę razem z moimi ludźmi do środka. Chodź, mała.

Przygarnął małą Rachelę i ruszył na końcu coraz rzadszego korowodu. Stali i patrzyli bezsilnie.

– Co teraz? – zapytała ze ściśniętym gardłem.

– Teraz – odpowiedział – wytrysną źródła wielkiej otchłani i otworzą się upusty nieba. I wyginie wszelkie ptactwo, bydło i dzikie zwierzęta, i wszelkie płazy pełzające po ziemi, i wszyscy ludzie.

– To świństwo – wykrztusiła.

– Nie jesteśmy ludźmi. A Ziemia miała być dla ludzi.

– Jesteśmy nowymi ludźmi!

– I dlatego zmyją nas wody potopu.

– Chyba nie wierzysz temu świrowi!

Wypukła gródź zamknęła się z głuchym łoskotem. Zostali sami na szczycie góry, patrząc na nadciągającą ze wszystkich stron ścianę grzmiącej ciemności.

Satrina opadła na kolana i przyłożyła dłoń do ziemi.

– Czujesz? – powiedziała. – Ziemia drży.

– To deszcz – odpowiedział Ariel. – To taki deszcz, od którego trzęsie się ziemia.

Objęli się i patrzyli w milczeniu, siedząc na ziemi, kiedy zaczęły spadać na nich pierwsze krople deszczu.

Andrzej Pilipiuk

Urodzony w 1974 roku, pisać zaczął wcześniej, już w piątej klasie szkoły podstawowej. Tworzenie własnych światów stanowiło dla niego ucieczkę przed siermiężną rzeczywistością. Brak wiary we własne siły spowodował, że pierwsze teksty wydał drukiem późno – dopiero na studiach.

Pewnego dnia Jarosław Grzędowicz, wówczas redaktor naczelny „Feniksa”, podjął decyzję opublikowania opowiadań nikomu nieznanego debiutanta. Tym samym wyrwał z lampy korek, wypuszczając na świat szalonego kozackiego dzina... W ciągu dwunastu lat „wielki grafoman” i „najwybitniejszy piewca wsi polskiej od czasów Reymonta” nie odpuścił sobie nawet na miesiąc, stając się jednym z najpoczytniejszych polskich pisarzy.

Dziś dorobek Andrzeja to przeszło setka opowiadań zebranych w siedmiu odrębnych zbiorach, dwie trylogie i kilka samodzielnych powieści. Fabryka Słów opublikowała dotąd 20 książek jego autorstwa. Proza Pilipiuka była tłumaczona na czeski i rosyjski. W wolnych chwilach, pod pseudonimem Tomasz Olszakowski, wydał dziewiętnaście tomów kontynuacji przygód Pana Samochodzika.

**Andrzej
Pilipiuk**

**Dzwon
Wolności**

„To było na targach książki. Spotkaliśmy się w drzwiach, ja byłem już spóźniony, On akurat skończył swoje spotkanie. Zamieniliśmy tylko kilka słów w przelocie. Ot, zdawkowe pozdrowienia dwu kolegów po piórze. Obaj sądziliśmy, że spotkamy się tydzień później na konwencie w Białymstoku i wtedy pogadamy dłużej. Los zrządził inaczej...”

Anton przysiadł na pieńku. Wiatr ciągnący od Morza Białego przewiewał na wskroś cienki waciak. Stąd, z góry, łagier widać było jak na dłoni. Stary katorżnik patrzył na pociemniałe baraki, zasięki z zardzewiałego drutu, blaszane zbiorniki na wodę, ceglana budkę izolatora oraz rozległe pole znaczone słupcami. Tam spoczywali ci, którzy nie wytrzymali pracy ub zostali „zastrzeleni podczas próby ucieczki”.

– Oto dzieło rąk moich... – szepnął. – Ja to uczyniłem. Ja... – W bezsilnej złości zacisnął pięści.

Nawet stąd widział pień po starym dębie i nie do końca zakłęśnięty dół obok. Dalej, w dolinie widniały resztki murów wysadzonej w powietrze cerkiewki i odrapane fasady domów miasteczka. Kotlina była już prawie łysa. Łagiernicy kończyli wycinać ostatnie skrawki lasu. Niebawem trzeba będzie do pracy chodzić za przełęcz.

– Zatem jeśli twoja ręka grzeszy, utnij ją. – Dawny komunistyczny agitator przeżegnał się nabożnie, a potem położył prawą dłoń na pniu. – Albowiem lepiej ci będzie bez ręki wejść do królestwa eee... – Nie pamiętał co jest dalej, ale nie miało to już większego znaczenia.

Od Morza Białego nadszedł kolejny zimny podmuch. Nad przesuszoną ściółką uniosła się chmura popiołu poderwanego z wygasłych ognisk.

– Duch Święty przychodzi jako tchnienie wiatru, a daje dary męstwa rozumu i bojaźni bożej... – wymamrotał pod nosem. – Tak, męstwa...

Obłęd, który go dusił, był podszyty lękiem. Złapał siekierę lewą ręką, niezręcznie. Złożył się do cięcia. Opuścił narzędzie. Od dwu lat żył myślą, że wreszcie to zrobi. Ale teraz poczuł lęk stalowymi kleszczami zaciskający się na żołądku.

Z daleka dobiegał brzęk wiader. Łagiernicy dostawali zupę. W ciepłe dni stary nauczyciel, jeden z dawnych mieszkańców osady, przychodził czasem, by choć przez druty popatrzeć na szczęściarzy, których władza ludowa karmi aż dwa razy dziennie...

Były komunista przywołał z głębin pamięci obraz małego wiejskiego kościółka w Kieleckiem. Dawno, wiele lat przed tym wszystkim, jako młody chłopak służył do mszy. Potem zapomniał o Bogu, zapomniał słowa modlitwy. Odrzucił religię jak znoszony płaszcz. Upadł, jednak potem wstał, by iść dalej... Tu, w łagrze zrozumiał wszystko i szczęśliwie odnalazł dawną drogę.

– Odkupić pragnę moje winy – szepnął po polsku, z trudem przypominając sobie język dzieciństwa. – W ręce twe Panie składam ducha mego...

Uderzył tylko raz. Zabolało, ale znacznie słabiej niż się tego spodziewał. Przez chwilę patrzył na dłoń leżącą na ściółce, a potem usiadł ciężko oparty o pień drzewa i przeżegnał się

kikutem. Zachlapał przy tym oko, ale to go nie obeszło. Czuł ból, senność i narastające osłabienie. Wykrwawi się w kilka minut... Przymknął oczy. Raz jeszcze rozpatrywał splot wypadków, który doprowadził go w końcu na tę porębę. Przez ćwierć wieku twarz tamtego lekarza trochę zatarła się we wspomnieniach. Jak on się nazywał? A tak, Skórzewski.

23 lata wcześniej

Koła to podskakiwały na kamieniach, to więzły w dziurach. Końskie kopyta wybijały werble na ubitej glinie. Resory jęczały i trzeszczały. Obite giemzą poduszki wypuczyły się w górki i dołki. Końskie włosie, którymi je wypełniono, z pewnością całkowicie się sfilcowało... Pęknięta szybka brzęczała niczym namolna mucha. Prawdziwe muchy, oczywiście, też tu były.

– Cóż za paskudna kraina – mruknął doktor Paweł Skórzewski, patrząc na krajobraz widoczny za oknem powozu.

– No – zgodził się woźnica.

Droga wiała się brzegiem Morza Białego. Po prawej usypiska głazów lizane przez fale. Po lewej chłostane wichrami granitowe wzgórza. Ziemię pokrywał barwny kobierzec porostów. Komary i meszki bzyczały w powietrzu niczym czarna chmura. Doktor skropił rondo kapelusza nową porcją olejku goździkowego i nabiwszy fajeczkę machorką, otoczył się kłębem dymu. Pomogło może na pięć minut.

– Wieś leży w lasach w głębi łądu, coby sztormy i wiatry od morza tak nie dokuczały – wyjaśnił pomocnik woźnicy siedzący na koźle.

– Rychło będziemy?

– Godzina jeszcze, a może i dwie...

Minęło ponad trzy. Zakręcili, zostawiając morze za plecami. Droga do wioski była, jeśli to możliwe, utrzymana jeszcze gorzej niż główny trakt. Skórzewski zaklął w duchu, wyobrażając sobie, co dzieje się wewnątrz pudeł z odczynnikami...

Wjechali w las. Drzewa od strony morza były potwornie poskręcane, te dalej, ukryte częściowo wśród skał, wyrosły nad podziw. Doktor wychylił głowę przez okno. Poczł delikatne ukłucie niepokoju. Tajga milczała, ale on czuł jakby spomiędzy grubych świerkowych pni śledziły go jakieś ślepie.

Nie spał od ponad trzydziestu godzin, od kiedy opuścił Archangielsk. Nie potrafił zasnąć w dylizansie. Nieludzko zmęczony oparł głowę o zagłówek. Zamknął piekące oczy, ale sen nie nadchodził. Gdy dotarli na miejsce, było już po północy. Woźnica przez chwilę rozmawiał z tęgą Rosjanką.

– Tu będzie kwatery dla was, doktorze – z ukłonem wskazał okazałe domostwo.

Wzrok lekarza prześlizgnął się po fasadzie. Ściany z grubych drewnianych bali, przy framugach okien typowo rosyjskie zdobienia wycięte w cienkiej desce. Ktoś coś do niego mówił.

– Proszę? – potrząsnął głową.

– Mówię, że spodziewali się pana, pokój już przygotowany... Zaraz zaniemiemy walizy.

Skórzewski stał obok ekwipażu i czuł, że odpływa. Dźwięki docierały jak przez watę. Świat wokół chwiał się dziwnie i kołysał. Ktoś znowu coś do niego gadał, potem były strome i trzeszczące schody na piętro. Kufry wnosili jamszczyk i jego pomocnik. Drzwi nie chciały ustąpić, zawiasy skrzypiały. Okna zaciągnięto grubymi storami. Zabłysła żółta lampa naftowa w rękach nastoletniej dziewczyny i lekarz padł bez czucia między grube, pachnące lawendą poduchy. Przez otwarte okno lało się chłodne wieczorne powietrze. Wciągnął w nozdrza zapach lasu. Gdzieś z daleka wiatr przyniósł dziwny miarowy huk, jakby bicie wielkiego serca...

– Arytmia – myśl zapaliła się i zgasła razem ze świadomością.

* * *

Obudził się całkiem rozbity. Zasnął w ubraniu... Nie wiedział jak długo drzemie, sen nie dał mu pocieszenia. Rozejrzał się po pomieszczeniu. Mały pokój. Ściany z grubych, niedbale ociosanych bali. W kącie szafa, rozklekotany stół i krzesło, na podłodze bieżnik. Koło drzwi umywalka i lustro.

– Kolejna wiosna – pomyślał doktor, patrząc w okno. – Nie, to już przecież lato... Czerwiec? Nie pamiętał, a do kalendarza nie chciało mu się zaglądać.

Za oknem las stał w milczeniu. Zegar za ścianą wybił pierwszą. Pierwsza po południu, czy pierwsza w nocy? Lekarz wstał z łóżka, nabił fajkę i długo przypatrywał się wzgórzom. Czuł dziwny niepokój, coś jak drzenie maszyny zatrzymanej na chwilę w połowie obrotu...

– Starzeję się – westchnął. – Zwidy...

Podszedł do umywalki i nacisnął stopą pedał. Woda ze słoików spłynęła rurkami do miski. Niestety, nawet jeśli nalano mu ciepłej, dawno już wystygła. Umył twarz zimną, potem otworzył kufer, przebrał się. Rzucił wzrokiem w lustro. Spróbował się uśmiechnąć i już za trzecim razem odniósł sukces. Wyszczotkował brodę, zawiązał krawat.

– Noc czy dzień? – zadumał się raz jeszcze.

Zza okna czuł woń gotującej się zupy. Zatem dzień... Teraz dopiero poczuł, jak bardzo jest głodny. Pukanie do drzwi wyrwało go z zadumy.

– Proszę...

Do środka weszła dziewczyna. Mogła mieć jakieś piętnaście, może szesnaście lat. Spłowiwała suknią, uszyta na kogoś tęższego, była przerabiana. Na głowie koronkowa

przepaska... Służąca. To chyba ją widział wieczorem nim udał się spać.

– Myślałam was obudzić, doktorze – powiedziała. – Śpicie od wielu godzin, obiad podano...

– Dziękuję, zaraz zejść.

Przypatrzył się jej. Drobnokoścista. Szcupła sylwetka. Szeroka twarz z lekko spłaszczonym nosem, oczy o skośnym wykroju, długie, smolście czarne włosy. Tubyłka... Jej skóra była śniada, od razu wyczuł, że dużo czasu spędza na świeżym powietrzu. Mogła ubrać się jak Rosjanka z miasta, ale od razu było widać, że lepiej czułaby się w skórzanej kurtce z frędzlami.

Pamięć powoli wracała. Zszedł na parter. W stołowym wszyscy już na niego czekali. Przywitał się z isprawnikiem, który przedstawił się jako Afanasij Pietrowicz, poznał jego żonę Tamarę. Było też kilkoro dzieci. Służąca zaraz postawiła na stole talerze i dużą kamionkową wazę z barszczem.

– No to za spotkanie – gospodarz nalał do kieliszków po odrobinie nalewki.

Stuknęli się. Zabrzęczały łyżki w koszyczku ze srebrnego drutu. Zupa miała niebiański smak.

– Czekaliśmy na was, doktorze. Kiedy zamierzcie przystąpić do szczepień? – zapytała kobieta.

Na stół wjechały paszteciki. Ich zapach wycisnął Pawłowi łzy z oczu.

– Jutro chyba. Nie ma sensu tego odkładać. Czy jest tu praktyka lekarska albo gabinet felczera? Będę potrzebował odpowiedniego pomieszczenia.

– Nie ma. Był felczer, ale on po domach ludzi badał. Zresztą uciekł dwa miesiące temu – wyjaśnił isprawnik. – Mamy też akuszerkę i izbę porodową, ale pomyśleliśmy, że lepiej przygotować miejsce w szkole.

Na drugie danie była dziczyzna w sosie z kartoflami. Doprawiono ją ziołami, czosnkiem i octem winnym.

– Czy te szczepionki są bezpieczne? – indagowała gospodyni.

– Oczywiście.

– I rzeczywiście przygotowuje się je z krów? – Najwyraźniej coś już obito jej się o uszy.

– Zawierają... czynnik chorobotwórczy krwięj ospywyjaśnił doktor. – Może po nich wystąpić lekka wysypka i gorączka, ale za to blizn nie ma i potem człowiek przez lata całe jest odporny na ospę czarną.

– Zatem zdrowie bydelka, które nawet w tak niezwykle sposób potrafi nam się przysłużyć. – Dla isprawnika najwyraźniej każdy powód był dobry, by się napić.

Tręcili się nad stołem. Dzieci pobiegły się bawić. Służąca wniosła samowar i sernik z rodzynekami.

Rozmowa toczyła się leniwie. Urzędnik narzekał na klimat, wspomniał, że krowy na polarnym wickie nie chcą dawać tyle mleka co w centralnych guberniach. Jego żona

marudziła i wspominała wiosenną wyprawę na zacupy podjętą aż do Petersburga, bo w Archangielsku zaopatrzenie sklepów było ponoć fatalne.

Służąca, która, jak się okazało, miała na imię Marfa, donosiła kolejne smakołyki. Wreszcie Skórzewski objadł się tak, że czuł iż pora opuścić pasa...

Po obiedzie wyszli z gospodarzem na ganek zapalić fajki. Teraz dopiero była okazja trochę się rozejrzeć. Sprawdzić, dokąd też los rzucił, tym razem...

Wioska, a może należało by powiedzieć miasteczko? Połowa budynków murowana, reszta wzniesiona z pociemniałych drewnianych bali. Rynek, pełen jeszcze wiosennego błota, stratowany był racicami świń i krów. Niewielka cerkiewka zbudowana została pięć stuleci temu, gdy przybyli tu pierwsi ludzie wyznający wiarę prawosławną. Zamknięta przed laty apteka; prowizor, wedle słów isprawnika, zaprawiał się morfiną aż wyciągnął nogi. Posterunek policji będący zarazem pocztą i sołectwem, szkoła państwowa, sklepik i kilkanaście chałup...

Wóz zaprzężony w dwa woły przetoczył się uliczką. Chłopina na koźle drzemał...

Imperium – pomyślał z melancholią Skórzewski. – Możesz jechać z Łodzi po Władywostok, wszystkie miasteczka takie same, wszędzie tak samo rozleniwieni ludzie, wszędzie te same błotniste rynki i drgające w upale powietrze...

* * *

Na kolację wprosił się batiuszka Iłarion, proboszcz miejscowej cerkwi. Długo i szczegółowo wypytywał o program zapobiegania epidemii. Skórzewski, starannie dobierając słowa, tłumaczył, na czym polega nabyta odporność, jak odkryto szczepionkę i dlaczego używa się wirusa pochodzącego od krów. Duchowny długo kręcił głową z niedowierzaniem, ale obiecał zaagitować do szczepień swoje owieczki. Udzielił też błogosławieństwa. Wreszcie posiłek dobiegł końca.

Doktor Paweł czuł się jeszcze zmęczony po długiej podróży. Las kusił, wystarczyło zejść z werandy... Zamknął za sobą furtkę ogrodu, ruszył między drzewa. Zrobił kilka kroków i przystanął. Teraz dopiero, przeszło dobę od przybycia zrozumiał, co jest nie tak. Nie słyszał ptaków. Las milczał.

– Jest noc – pomyślał.

Ale zaraz wzruszył ramionami. Ta cisza uderzyła go już poprzedniego dnia. Jeszcze na brzegu morza słyszał krzyki mew. Potem, gdy skręcili w głąb łądu, widział zająca... Dopiero tu, między wzgórzami zapanowało to nienaturalne, ciężkie milczenie.

Kilka lat wcześniej doktor odwiedzał pole bitwy pod Plewną. Tam było podobnie – milczący las. Prawie pół wieku wcześniej palba artyleryjska wystraszyła wszystko, co żyło. Ptaki przez kolejnych pięćdziesiąt pokoleń omijały tę okolicę... Ale tutaj...

– Co mogło wydarzyć się tutaj? – szepnął.

Wiatr dmuchnął mu w twarz. Pachniał lasem, ściółką, świerkowym drewnem, mchem. Dobry, przyjazny zapach. I tylko to nieznośne, narastające wewnątrz uczucie paniki. To przejmujące wrażenie czegoś niewyjaśnionego, niedopowiedzianego, nieznanego. Czegoś, co przyczało się właśnie tu, wśród drzew, między wzgórzami tej doliny... Gdzieś za nim trzasnęła gałązka. Odwrócił się, odruchowo kładąc dłoń na kolbie rewolweru ukrytego w kieszeni. Służąca isprawnika stała przed nim, patrząc przyjaźnie swoimi brązowymi oczyma.

– Łóżko przygotowane, doktorze – zameldowała. – A i wody do mycia zagrzałam.

– Co? – Jej wypowiedź całkowicie zbiła go z tropu. – Ach tak, dziękuję – wykrztusił.

Ruszył za nią. Spod sukni migają opalone łydki.

– Marfo – zagadnął.

– Tak?

– Powiedz, proszę, czemu ten las jest taki dziwny? Cicho tu jak w grobie...

– Bo to złe miejsce – wyjaśniła z prostotą, jakby mówiła o rzeczy absolutnie normalnej i naturalnej.

– Złe miejsce – powtórzył w zadumie.

– Starsi mego ludu opowiadają, że popełniono tu straszliwą zbrodnię, ale jeszcze gorsze zostaną tu popełnione w przyszłości. Stąd demony wyrwą się, by zniszczyć świat... A potem powstanie tu czarna przestrzeń pełna wyłącznie zła i nienawiści.

– Demony... – Skórzewski wzdrygnął się.

– O tym powinniście doktorze porozmawiać z szamanem.

Pogrążony w zadumie, nie odpowiedział. Pół godziny później leżał już w miękkiej pościeli przy uchylonym oknie. W lampie płonęła nafta, ale lekarz nawet nie otworzył przygotowanej na wieczór książki. Czuł, że przegapił coś ważnego. Coś było nie tak... Oprócz nienaturalnej ciszy lasu coś jeszcze nie dawało mu spokoju. Spojrzał w płomień lampy i naraz aż usiadł z wrażenia.

Otwarte okno. Wieczór... Myśli krążyły leniwie.

– Gdzie są ćmy i komary?

Najpierw sądził, że jednak się pomylił. Wyjrzał przez okno. Nie. Owady, które tak dokuczyły mu w drodze, rzeczywiście znikły. Teraz dopiero poczuł prawdziwy lęk. Wydobył z walizki piersiówkę i pociągnął solidny łyk mocnego rumu z Moloukai. Alkohol pozwolił mu się pozbierać.

– Zrobię co trzeba i natychmiast wyjadę – podjął decyzję. – Nie mam ochoty babrać się w sekretach tych lasów...

Zamknął okno i starannie zasłonił je grubą kotarą. Zgasił lampę i wreszcie zdołał zasnąć.

* * *

Szkoła ludowa okazała się być niewielkim budynkiem. Cztery klasy, sień przez środek.

Doktorowi udostępniono salę zaraz na lewo od wejścia. Na fasadzie wywieszono duży szyld namalowany na plandece. Skórzewski naszykował szczepionki, strzykawki, igły, rozłożył na stoliku czystą serwetę i przebrał się w fartuch. Około jedenastej zaszli isprawnik z żoną i dziećmi. Potem jeszcze kancelista z biura i kierownik poczty.

Doktor nudził się jak mops, poczytał stojące na półce książki, wreszcie nawet trochę zdrzemnął się na krześle. Około piętnastej ktoś zastukał do drzwi.

– Michaił Fadejewicz Polikarpow – przedstawił się mężczyzna w tużurku. – Nie było okazji rano się zaznajomić, nauczycielem tu jestem.

Lekarz uściśnął dłoń gościa.

– Jeśli można od razu bym prosił w ramach tego programu. – Przybysz podwinął rękaw. – I uczniów hurtem, zamknąłem ich w klasie, żeby huncwoty nie uciekli...

W pół godzinki wszyscy zostali „obsłużeni” i nauczyciel zaprosił doktora na obiad.

– Podoba się panu nasza okolica? – zagadnął, nalewając do kieliszków wina.

– Mam być miły czy szczerzy?

– Rozumiem. Mnie też na początku ta dziura wydała się odrażająca, ale już gdzieś po dziesięciu latach przywykłem. Okolica z historycznego punktu widzenia jest całkiem interesująca. Nasza cerkiewka na przykład powstała jeszcze w XV wieku. Do tego starowiercy utrzymali się tu przez długie lata po reformach patriarchy Nikona. Próbowałem odnaleźć ślady ich osad, są wzmiankowane w źródłach pisanych. Za czasów Iwana Groźnego też niejedno się tu działo. Ale to temat na dłuższą rozmowę. Zdrowie gościa.

* * *

Po południu doktor zaszedł do biura isprawnika. Kancelista siedział, czytając romans, telegraf w kącie milczał. Afanasij Pietrowicz na widok gościa aż poderwał się zza biurka.

– No i jak idą szczepienia? – zaciekał się.

– Zainteresowanie jest nikłe – lekarz wzruszył ramionami. – Może jak ojciec Iłarion ogłosi na mszy, to coś się ruszy.

– Hmm... no tak. I co zameldujemy naczalstwu? – zafrasował się urzędnik.

– Zrobimy, co się da i tyle. Spiszemy protokół. Im więcej papieru, tym zadek czystszy... Wspominał pan o ludziach mieszkających w lesie. Jest tam jakiś przysiółek?

– Takie tam osiedle – wzruszył ramionami. – Kilku osiedleńców, paru katorżników. Drzewa wycinają. Daj księgę meldunkową – zwrócił się do chłopaka.

– Polityczni? – zainteresował się Skórzewski.

– At, – funkcjonariusz machnął ręką. – Jeden wasz krajan, Antoni, ale wołają go Anton, bolszewicki agitator, przysłali go tutaj z pięcioletnim wyrokiem, żeby przy robocie wywietrzała mu z głowy myśl o organizowaniu strajków. Jest jeszcze Grigorij, student z uniwersytetu; pracę napisał – hłe, hłe – naukową, w której najjaśniejszego pana porównał do

cesarza rzymskiego Nerona, to mu dwa lata wycinki lasu wlepili na otrzeźwienie. A pozostałych sześciu to drobne cwaniaczki, złodziejaszki, koniokrad, kieszonkowiec... Wyroki katorgi im się pokończyły, ale zostali tu, na osiedlenie.

– Doborowe towarzystwo, widzę – mruknął doktor.

– Bywało lepiej, bywało gorzej.

– Nie próbują uciekać?

– Nie ma dokąd. Niby granica fińska niedaleko... Pieszko do Norwegii musieliby iść ze dwa tygodnie, bez zapasów, przez lasy. Może by i poszli, ale co im z tego? Po tamtej stronie granicy też nie ma nic. Do kopalni żelaza w Kirunie trza by iść jeszcze z miesiąc. Bez dokumentów, po szwedzku ani po fińsku nie gadają. No i dzikich trochę tu w moim okręgu siedzi. Za wzgórzami, będzie z pół dnia drogi.

– Ewenkowie?

– Lapończycy. Mają tu zimowe leża, wiosną idą ze stadami reniferów na zachód, jesienią wracają. Podlegają niby mojej władzy, ale co z tego. Dokumentów nie potrzebują, podatków nie płacą, bo prawo wypasu jeszcze im któryś car nadał. Do cerkwi czasem od święta przyjdą. Ochrczeni niby, ale kto ich tam wie, w co wierzą.

– Szczepimy ich czy nie?

– A na co im to? Zresztą ich szaman tu bywa. On wszystkich leczy, nie sędzę, żeby pozwolił na zastrzyki. Słuchają go w każdym razie ślepo.

– Marfa...

– Tak, ona po matce z ich ludu się wywodzi. Jej ojciec był tu naczelnikiem stacji telegrafu, zmarł dawno temu. Niby tu za służącą robi, ale ciągnie ją do swoich, jak tylko ma wolne to się z nimi prowadzi. Choć do jej moralności nie mamy żadnych zastrzeżeń – dodał szybko. – Chodźmy, pogadamy...

Zesłańcy zajmowali dwie chaty na skraju poręby. Wrócili właśnie z wyrębu. Jeden mył się w cynkowej misce, drugi rozplątywał znoszone onuce. Reszta rozlazła się po obejściu.

– Anton, chodź no tu – zwołał isprawnik, podchodząc do płotu.

Agitator okazał się niewysokim człowieczkiem. Skórzewski zniechęcił go od pierwszego wejrzenia. Lisia twarz, chytre oczka spoglądające czujnie spod daszka zrudziałej czapki.

– No, co? Wasze błagarodie? – zagadnął przymilnie. – Robota zgodnie z planem.

Lekarz nie mógł oprzeć się wrażeniu, że bolszewik łąze w żywe oczy. Zresztą wredny uśmiezek, który nie zniknął nawet na chwilę z warg tamtego, też robił odpychające wrażenie.

– To jest doktor Paweł Skórzewski z Petersburga. Przyjechał przeprowadzić szczepienia przeciw ospie.

– Muuu, muuu! – zamuczał któryś z zesłańców.

Wszyscy katorżnicy ryknęli gromkim śmiechem.

– Owszem, szczepię wirusem krowianki – przyznał Skórzewski. – Umyć łapy i bierzemy się do roboty... – potrząsnął torbą.

Twarz agitatora stężała.

– Nie zgadzamy się na żadne zastrzyki – powiedział głosem, w którym dźwięczała niezachwiana pewność...

– A kto was pyta o zdanie? – wzruszył ramionami Afanasij Pietrowicz. – Wykonacie polecenie doktora i tyle.

– Na ile znam prawo – do rozmowy włączył się chudy i rozczochrany skazaniec – to nawet w razie zagrożenia życia nie możecie nas zmusić do przyjęcia pomocy lekarskiej.

Skórzewski przez chwilę kontemlował jego twarz: blisko osadzone oczy, garbaty nos i zdobiące go drucziane okulary. To pewnie ten Grigorij...

– To dla waszego dobra – powiedział. – W Rosji i Finlandii szaleje epidemia ospy. Rządowy program szczepień pozwoli na...

– W tych okolicach nie odnotowano jeszcze ani jednego przypadku – prychnął Anton. – Za to coś wiemy na temat zastrzyków aplikowanych w więzieniach.

– Jak mi dali kłuja w grabę to potem pół roku kuśka tylko do sikania się nadawała – uzupełnił ponuro jasnowłosy zesłaniec o szerokich barach i pięściach jak bochny.

– A i potem z braku bab nijak było jej użyć – zażartował któryś i wszyscy znowu zarechotali.

– Szczepienie obowiązkowe nie jest – Skórzewski wzruszył ramionami. – Gdybyście jednak zmienili zdanie, znajdziecie mnie w osadzie.

– Za cara Aleksandra to by się was kazało nahajkami oćwiczyć i tyle – burknął Afanasij Pietrowicz.

Anton splunął tylko w odpowiedzi.

– Każdego dnia cieszymy się, że jesteśmy poddanymi aktualnie panującego najjaśniejszego pana – rzucił Grigorij.

Kolejna salwa katorżniczego rechotu sprawiła, że i Skórzewski kwaśno się uśmiechnął.

* * *

Następny dzień był łudzaco podobny do poprzedniego. Doktor Paweł zaszczepił kilku urzędników i położną, innych chętnych nie było. Godziny nudy i obiad u nowego znajomego. Zjedli rybę, potem służąca postawiła na stole szarlotkę i wyszła. Napili się wina.

– Widzę, że nie wygląda pan dobrze – zagadnął Michaił Fadejewicz. – Jedzenie nie służy?

– Źle sypiam... W zasadzie wcale nie sypiam. Ta cisza mnie przytłacza.

– Owszem, z początku każdego to drażni – przyznał gospodarz – ale z czasem idzie przywyknąć. Po kilku miesiącach nikt już nie zwraca uwagi na ten... drobiazg.

– Czy was to nie dziwi? – Skórzewski spojrzął rozmówcy prosto w oczy. – Las jak martwy, z owadów widać tylko mrówki...

- Interesująca anomalia przyrodnicza – nauczyciel uciekł spojrzeniem w bok.
- Drzemiący wulkan też można potraktować jako anomalię przyrodniczą.
- A wie pan, że to bardzo prawdopodobna hipoteza z tym wulkanem – nauczyciel ożywił się. – Jeśli ognisko magmowe przebija się ku powierzchni, to bywa tak, że powoduje drgania ziemi na tyle słabe, że ludzie ich nie czują, ale dla zwierząt to jak bicie w dzwony na trwogę.
- Marfa, znacie ją? Służąca Afanasija Pietrowicza powiedziała mi, że to złe miejsce.
- Tak, Lapończycy jako lud ciemny mają znacznie więcej jasnowidzów niż my...
- A tak poważnie? – Skórzewski siorbnął herbaty. – Bo i w wulkan w tak nieaktywnym regionie nie bardzo chce mi się wierzyć.
- Będziecie się śmiać. – Michaił bawił się widelczykiem.
- Nie będę.
- Słyszeliście legendę o dzwonie z Nowogrodu? – zapytał nauczyciel. – Tu zna ją każde dziecko.
- Nie wydaje mi się – pokręcił głową Polak.
- Gdy car Iwan Groźny przybył w 1570 roku do Nowogrodu, oskarżył mieszkańców miasta o zdradę... Ponoć mieli spiskować z waszym królem Zygmuntem. Trudno dziś orzec, czy miał podstawy do podejrzeń, czy to wszystko tylko fałsz. Ponoć jakieś pismo w cerkwi znaleziono, ale jego ludzie mogli to sfabrykować. Wiecie przecież, jaki z niego był okrutnik i szaleniec.
- Z naukowego punktu widzenia można oceniać, że cierpiał na ostrą paranoję i manię prześladowczą. Był też niewątpliwie sadystą. Cóż zatem stało się w Nowogrodzie?
- Najpierw kazał zamordować kilkudziesięciu mnichów z okolicznych klasztorów, nie pomnę już powodu. Potem zwołał wiec, na którym oprycznicy wymordowali możnych miasta, a następnie zaczęli grabić i mordować pozostałych mieszkańców. Wiele ulic, tam gdzie próbowano stawiać opór, spalono. Może co czwarty obywatel grodu ocalał, a i to tylko po to, by w kajdanach iść na poniewierkę do środkowej Rosji. Oprycznicy ograbili też ludzi możnych, nie uszanowali nawet cerkwi. Wśród łupów znajdował się Dzwon Wolności.
- Dzwon Wolności?
- Odlano go setki lat wcześniej, by przypominał mieszkańcom, jakie jest ich przeznaczenie. By zawsze pozostali wierni prawom swojego miasta. By cenili wolność jako wartość najwyższą. Bito weń, gdy wiec się zbierał, by wybrać nowego księcia. Jego dźwięk towarzyszył najważniejszym świętom. Odzywał się też na wieść o zwycięstwach.
- Ciekawe...
- Ponoć zużyto nań armaty zdobyte na jeziorze Pejpus przez Aleksandra Newskiego.
- Krzyżacy wtedy nie mieli chyba jeszcze armat? – zadumał się doktor.
- Tego nie wiem. W każdym razie car zabrał dzwon do Moskwy. Chciał powiesić na Kremlu, ale wśród mnichów wleczonych do stolicy na kaźń był jeden *jurodiwy*. Gdy już docierali do miasta, dostał ataku i wykrzyczał prorocstwo...

– Co mówiło?

– Że gdy dzwon ten się odezwie, a dźwięk jego dotrze do stolicy, upadnie tron carów. Przepowiedział, że moc dzwonu jest jak żywioł: ani dobra, ani zła. Można ją było poskromić i niosła ludziom radość i pożytek. Ale skoro zdobył go człowiek zły i przepelniony nienawiścią, to ta nienawiść rozleje się po świecie jak smoła...

– Car uwierzył?

– Tak. Przesądny to on był. Nakazał dzwon zniszczyć. Ale to się nie powiodło. Choć kuli go najcięższymi młotami, dzwon nie pękł. Zatem nakazał wywieźć go daleko, jak najdalej od Moskwy, w lasy północy, i pogrzebać w ziemi.

– I dotarli aż tutaj? To jakaś bzdura! Jesteśmy ponad tysiąc wiorst od dawnej stolicy.

– A jednak tu przybyli. Batuszka z miejscowej cerkwi zobaczył dzwon na wozie i żał mu się zrobiło, bo dumiał, że jak carowi złość minie, można by go na dzwonnicy cerkiewnej zawiesić... Tedy posłał trzech synów, żeby przepatrzyli, gdzie też oprycznicy go zakopią. Jednak chłopcy nigdy już z lasu nie wrócili... Siepacze carscy widać nie chcieli, by ktokolwiek miejsce to poznał.

– Nie wydaje mi się to prawdopodobne... Od czasów Iwana Groźnego minęło ponad trzysta lat. Czytałem, że pamięć ludzka jest w stanie przetrwać nie więcej niż pięć pokoleń...

– Teraz być może tak – zgodził się nauczyciel. – Od kiedy umiemy pisać, łatwiej zapominamy. Powierzamy myśli papierom. A przecież kiedyś było inaczej. To czego nie zapamiętałeś, przestawało istnieć. Zresztą popatrz na naszych sąsiadów – wskazał gestem okno.

Doktor wyjrzał. Dwie kobiety wychodzące ze sklepiku ubrane były w tradycyjne stroje.

– Lapończycy...

– Właśnie. Nauka akademicka uważa ich za zdegenerowaną rasę schyłkową, przeżytek epoki lodowcowej... Ja osobiście mam na ten temat inne zdanie.

– Z pewnością to paleoeuropeidzi. Byli tu tysiące lat wcześniej nim przybyli nasi przodkowie. Nie sądzę jednak, by byli zdegenerowani – powiedział lekarz. – Budowa ciała prawidłowa, są od nas drobniejsi, ale to efekt innej budowy kośćca i życia w stanie chronicznego niedożywienia.

– Interesowałem się trochę ich kulturą. Niewielu umiało dawniej czytać, za to starcy potrafili wymienić swoich przodków nawet siedem-osiem pokoleń wstecz. Wszyscy wiedzą, jak i z kim są spokrewnieni. Młodzi pamiętają, by nie ciągać w krzaki swoich kuzynek. Nie umieli pisać, więc to, co ważne, zapamiętywali. Z nami było podobnie. Jeszcze pięćdziesiąt, siedemdziesiąt lat temu, gdy analfabetyzm był powszechny, pamięć stanowiła używane na co dzień narzędzie...

– Wydaje mi się, że ma pan rację – zgodził się doktor.

– Dlatego też wierzę w prawdziwość legendy o dzwonie. On mógł zostać ukryty gdzieś tutaj. Mamy przekazy z trzech źródeł, księgi cerkiewne, nasze legendy i opowieści

Lapończyków. Ich wódz to potwierdza.

– Wódz?

– Władza zrobiła go pro forma sołtysem, ale to po prostu przywódca tamtej grupy, plemienia, zwał jak zwał. Podobno także szaman. Znam huncwota dobrze...

– Skąd?

– Dziesięć, nie, piętnaście lat temu był moim uczniem. Bystry dzieciak. Pierońsko bystry. Czytać i pisać się wyuczył w dwa tygodnie. Ale potem jakby nauka przestała go interesować. Czytał i coraz rzadziej zachodził. Za to swoich wyuczył czytania i pisania. I to nie tylko *bukwatni*, ale też łacińskim alfabetem.

– A teraz? Posyłają dzieci do szkoły?

– Nie. Może gdyby siedzieli bliżej... Dawniej mieszkali na wschód od miasteczka, zaraz za zagajnikiem. To blisko było. Teraz siedzą za lasem i za wzgórzami, pół dnia drogi, to i zachodzą rzadziej. Zresztą, co to byłaby za nauka? Ściągną tu w listopadzie, jak już śniegi prósza, w kwietniu jeszcze dobrze zima nie puści, a oni już ruszają w drogę. Tu zostanie kilku starców, co nie wytrzymują trudów wędrówki, a wszystkie dzieciaki ciągną na szlak.

– Gorączkę włączęgi mają we krwi jak Cyganie – zadumał się lekarz. – Rozumiem ich...

– W każdym razie ich legendy potwierdzają nasze przekazy. Przywieziono tu dzwon. Dzwon niegdyś błogosławiony, teraz niosący przekleństwo. Dzwon tak straszny, że gdy spoczął w ziemi gdzieś wśród tych wzgórz, umilkły ptaki i owady, a zwierzęta omijają tę okolicę łukiem.

– To przecież...

– Wiem, że z naukowego punktu widzenia to wierutna bzdura, ale obiecaliście przecież, doktorze, że nie będziecie się śmiać.

– Nie będę... Sam widywałem rzeczy, których nie umiem wyjaśnić.

* * *

Skórzewski ocknął się w środku nocy. Gdzieś z daleka wiatr znowu niósł dziwny dźwięk. Było prawie zupełnie ciemno, po niebie sunęły ciężkie burzowe chmury.

– Co za diabeł?

Lekarz uchylił okno i wsłuchał się w odgłosy nocy. W pierwszej chwili wydawało mu się, że to huk pociągu. Zaraz jednak odrzucił to przypuszczenie. Najbliższa nitka drogi żelaznej była sto pięćdziesiąt kilometrów stąd. Łomot narastał i słabł.

– Kuźnia? – zamyślił się Skórzewski. – W nocy?

A może to stukają sita we młynie? Ubrał się, przerzucił przez ramię pasek strzelby i wyszedł na ganek. Dudnienie dobiegało gdzieś z lasu. Nie wahał się już. Ruszył w kierunku źródła dźwięku, najpierw drogą, potem zagłębił się między drzewa. Szedł może pół godziny. Las stał milczący i przerażająco cichy. Martwy. Lekarz co jakiś czas omiatał wzrokiem

krzaki. Nigdzie nie załśniły oczy, nigdzie z gęstwiny nie poderwał się spłoszony ptak.

Dźwięki stawały się coraz głośniejsze. Wreszcie Skórzewski wyszedł na rozległą polanę. W zamierzchłej przeszłości ktoś ułożył tu krąg z głazów. Doktor zdusił płomień w latarni. Pośrodku kręgu płonęło niewielkie ognisko. Siedział przy nim młody Lapończyk. Na kolanach trzymał bęben, w który rytmicznie uderzał widełkami z rogu renifera. Doktor wyminął głazy wytyczające granicę kręgu i usiadł naprzeciw. Milczał.

Wreszcie szaman zakończył grę. Spojrzał nieproszonemu gościowi prosto w oczy.

– Przybyłeś – powiedział wreszcie.

Mówił po rosyjsku prawie bez cienia obcego akcentu.

– Ja?

– Duchy przodków zapowiedziały cię już parę miesięcy temu – wskazał gestem bęben.

Teraz dopiero lekarz spostrzegł, że skórę pokrywają liczby, znaki i symbole namalowane ciemnym barwnikiem. Pośrodku leżał pierścień, kółko wykonane z mosiądzu albo i złota...

– Sołtys, a może raczej wódz wspólnoty – odgadł Skórzewski. – Opowiadali mi o was.

– Tak. Na chrzcie dali mi Oleg.

– A to prawdziwy szamański bęben... Taki, który wskazuje drogę i otwiera inne światy. Taki, którym można rozmawiać z duchami i sprowadzić stada reniferów na szlak.

– Kpicie sobie, dla was to zabobon.

– Poniekąd... Ale nie do końca.

– Wibrujące koło dotknęło znaku krzyża i symbolu podziemi, a wreszcie zatrzymało się. Wiedzieliśmy zatem, że ten kto przybędzie jest lekarzem, że stał się już z siłami ciemności i że miano jego pochodzi od skóry. Gdym usłyszał twe nazwisko, wiedziałem, że przepowiednia się sprawdziła. I zarazem, że mamy naprawdę niewiele czasu.

– Widziałem w życiu wiele dziwnych rzeczy – powiedział lekarz. – Nie wszystko, co przeżyłem, da się wyjaśnić.

– Mimo to nie bardzo chce wam się wierzyć, że głos bębna pozwala nam zajrzeć za zasłonę czasu... Tak bywa.

– Czekaliście na mnie. Czego zatem oczekujecie?

– Choroby można zwalczyć na różne sposoby. Można się modlić, można wyruszyć w ciemności i na ścieżkach ducha walczyć z ich przyczyną. Można też użyć proszków i zastrzyków. Mój lud opuszcza niebawem tę krainę. Daleka droga przed nami. Przejdziemy wiele wsi, wiele koczowisk nim ujrzymy wyżyny kraju zwanego Dalarna. Tam gdzie ziemia i góry rodzą miedź.

– Wybieracie się do Dalarny!?! – zdumiał się. – To przecież w Szwecji.

– Być może. Ale to dobrze. Im dalej, tym lepiej.

– Byliście tam kiedyś? – zaciekał się.

– Nie, ale w czasach moich dziadów przybył stamtąd kupiec, przywiózł nici ciągnięte z cyny i miedziane blaszki. Stąd wiemy, że żyją tam nasi bracia.

- To potwornie daleko.
- Jeśli nie dojdziemy w rok, poświęcimy na to dwa lata. Wszak zesłańcy z twojego kraju pieszo idą nad jezioro zwane Bajkał... A i pieszo czasem trzeba im wracać do domu.
- To prawda. Do czego jestem wam potrzebny?
- Masz szczepionki przeciw chorobie, która dziurawi skórę, a którą Rosjanie zwą ospą. Przejść musimy przez okolice, gdzie tli się ona jak ogień pod mchem.
- Chcecie, żebym was zaszczepił?
- Tak.
- Mam niewielką rezerwę, ale...
- Katorżnicy nie chcieli. Wśród rosyjskich chłopów też nie wszyscy przyjmą ten dar. Dla nas też wystarczy. Mamy złoto wyplukane z rzek na wschodzie. Zapłacimy ci.
- Nie trzeba. Szczepienia zafundował rząd. Zgłóście się jutro w gabinecie...
- Zapraszamy do nas w gościnę. Tak będzie dyskretniej. Po co ludzie mają gadać...
- Niech będzie i tak. A dlaczego stąd odchodzicie? – zainteresował się. – I to jeszcze tak daleko?
- Tam żyją nasi bracia. Tam będziemy bezpieczni. Tu idzie sztorm. Ziemie te spłyną niebawem krwią i na wiele lat opanują je demony zagłady. Musimy uchronić nasze dzieci.
- Sztorm?
- To złe miejsce. Bardzo złe – szaman zaczął lekko uderzać dłońmi w bęben. – Będzie jeszcze gorsze. Wzniosą tu słupy łączone drutem kolczastym. Zamkną ludzi jak bydło w zagrodach i zgotują im los gorszy niż człowiek szykuje zwierzętom. Prawosławni nazwą to miejsce golgotą, bo nawet klasztory zamienione zostaną na siedliska zła... Już niebawem. Ta ziemia będzie przeklęta i przeklinana. Zapadnie nad nią mrok, bo to właśnie tu ukryto klucz do przyszłości. Tu drzemie w ziemi dzwon, którego dźwięk niegdyś zwiastował ludziom wolność...
- Skąd wiecie, że to tutaj? Nawet jeśli oprycznicy przejechali przez miasteczko, mogli przecież udać się w trzech różnych kierunkach.
- On jest tu, w tej dolinie. Milczący las to dowód. Dźwięk, który kiedyś się rozlegnie, uderzy w przód i w tył. Pod prąd rzeki czasu. Zwierzęta go usłyszały i uciekły przerażone. Las między wzgórzami milczy. Dalej na wschodzie, na zachodzie i na południu lasy są pełne zwierzyny. Tu nie trafisz na najmarniejszą wiewiórkę. Orzechy sypią się z cedrowych szyszek, ale nie znajdziesz ni jednego ptaka, który by się na nie połakomił. My też obóz rozłożyliśmy dalej. Za granicą, za wododziałem tej doliny. Tu zostało tylko seide – objął gestem krąg kamieni. – Tylko ja tu przychodzę rozmawiać z duchami. Bo one były tu wcześniej...
- Rozmawiać...
- Nasze bębny. – Szaman uderzył dłońmi, wydobywając dźwięk. – Istnieją zawsze. To, co trzymam w ręce, to tylko odbicie bębna, który jest tam, po drugiej stronie. Zniszczyć go

można, ale i tak destrukcja dotknie tylko ten przedmiot. A gdy przyjdzie czas, wykonamy nowy i tak samo potężny... Wiele razy popi nakazywali nam zniszczyć je jako narzędzie szatana, pamiątkę pogańskich czasów... Zawsze byliśmy posłuszni. Ale gdy zachodziła potrzeba, robiliśmy nowe.

– I co jeszcze powiedziały duchy?

– Że to, co idzie, jest nieodwracalne. Że za rok nie będzie już tu mego ludu, a ci, którzy zostaną, zgotują sobie los straszliwszy od śmierci. Idź już. Spać pora... Jutro Marfa cię do nas zaprowadzi.

Ujął w dłoń widelki i stukając rytmicznie, zaczął wprowadzać się w trans... Doktor patrzył nań jeszcze przez chwilę, aż wreszcie wstał z ziemi i powędrował do wsi.

* * *

Doktor kierował się odgłosami toporów. Poręba nie była duża. Pnie zrąbanych drzew przycięte, w zgrabnych sagach czekały na wywiezienie. Ówdzie stosy popiołu znaczyły miejsce po ogniskach, na których spalono niepotrzebne już gałęzie. Katorżnicy posuwali się doliną rzeki. Tu, w osłoniętych miejscach, drzewa rosły najokazalsze. Skórzewski dłuższą chwilę stał na skaju lasu, patrząc, jak wali się potężny trzystuletni świerk.

Wreszcie wyszedł na otwartą przestrzeń. Anton przerwał ostrzenie siekiery i wyszedł mu naprzeciw.

– Przemyśleliście decyzję? – zagadnął doktor.

Agitator poskrobał się po głowie.

– Tak jakby – powiedział. – Może i faktycznie to dobra szczepionka, ale najpierw to byśmy ją sprawdzili na jednym z nas. Jak się nie przekreśli ani mu łapa nie wygnije, to zaryzykujemy.

– Kogo zatem mam zaszczepić?

– Na razie nie ustaliliśmy. Rozumiecie, nikt się na ochotnika nie chce zgłosić, a żeby przymusić kogo, sił moich mało – zmrużył oczy.

– Jesteście agitatorom, przekonajcie ich – wyszczerzył zęby Skórzewski.

– Trochę głupio tak namawiać, a potem samemu nie brać zastrzyku... – zakpił Grigorij. – Do roboty, Anton, nie ma się co zasiadywać, bo sam wiesz, ilość kubików musi się zamknąć...

Doktor zszedł w dolinę. Marfa czekała koło cerkiewki. Trzymała za cugle dwa osiodłane już konie.

– Pora w drogę, doktorze – wskazała niebo.

* * *

Wyjechali na przełęcz. Ten las był już inny – ćwierkały ptaki, komary cięły jak bestie... Na brzegu jeziora rozłożyła się wioska. Doktor spodziewał się skupiska szałasów i namiotów, a tymczasem ujrzał wrośnięte w ziemię chaty z grubych bali i półziemianki kryte darnią. Dalej znajdowały się jakieś szopy i okólniki, gdzie zapewne trzymano zwierzęta.

Ludzi było sporo. Jedni pakowali juki, inni splatali maty z rogoży, ktoś podkuwał konia, ówdzie koło chat piętrzyły się pakunki.

Zwijają obóz – pomyślał lekarz.

– To nasze zimowe leża – wyjaśniła dziewczyna. – Gdy śnieg pokrywa trawy i renifery mają coraz mniej pożywienia, dla nas kończy się czas wędrówki. Odpoczywamy tu, by wiosną ruszyć w drogę.

– Zostaliście dłużej w tym roku? Nauczyciel mówił, że ruszacie nim śniegi stopnieją.

– Zazwyczaj tak, ale w tym roku czekaliśmy na was. Na człowieka, którego zapowiedziały nam duchy. Ponadto mieliśmy dużo pracy. Trzeba było przygotować wszystko co zabieramy i zniszczyć to, co już się nie przyda... Część mężczyzn pociągnęła jeszcze wiosną wraz ze stadami daleko na zachód. Muszą przygotować nowe miejsca postoju i prosić tamtejsze plemiona o przepuszczenie naszego ludu... Reszta ruszy z nami i spotkamy się na szlaku.

Na pagórku, za wioską, w ziemi ziały głębokie doły. Obok oparte o płot stały krzyże. Skórzewski patrzył na to, nic nie rozumiejąc.

– Odchodzimy na zawsze – powiedział szaman, pojawiając się obok zniecka. – Wykopaliśmy zatem z ziemi szczątki naszych zmarłych. Obmyliśmy kości i złożyliśmy w skórzane worki. Pogrzebiemy ich w nowych grobach, wśród gór nowego kraju. Spalimy też domy, a drogę przebytą zasypimy solą, popiołem i piaskiem, by demony nie ruszyły naszym tropem.

Lekarz milczał. Zaskoczyła go determinacja tych ludzi. Wykopywać szczątki własnych dziadów, by zabrać je na tułaczkę? Spalą za sobą wszystkie mosty. A przecież idą w ciemno. Nie wiadomo, co czeka ich u celu podróży, jak zareagują szwedzkie władze, co powiedzą luterkańscy pastory, widząc najazd kilkuset wyznawców prawosławia...

– Przepowiednie są aż tak złe? – zapytał.

– Marfa zostaje?

– Odchodzę z nimi – powiedziała. – Pora wybrać, kim się jest... Moja matka była z tego ludu.

– Nikt nie wybiera sobie rodziców, przyjmujemy ją. Zresztą od małego bywała tu, zna i język nasz, i obyczaje – uzupełnił szaman. – Chce dzielić z nami poniewierkę. Nie odgonimy przecież. Połowa naszej krwi w niej płynie, ale wielu tu takich.

Doktor milczał. Czy dziewczyna wychowana w rosyjskim miasteczku zdoła się zaadaptować do zupełnie innych warunków życia? Będzie żyła w szałasach, skubała ptaki ustrzelone z łuku, zimą zagrzeje się przy wątłym ogniu... Może to już nie dla niej? A jednak

chce iść z nimi. Boi się.

– Co konkretnie mówią duchy? – zapytał.

– Zabrzmi głos dzwonu i upadną trony Europy. Jednym ludom wolność, choć krótka, innym zagłada... Te ziemie ogarnie wielki wir śmierci... Też powinienes stąd odejść.

– Ja...

– Usłyszysz ten dźwięk. Tak zapisano na kamiennych tablicach przeznaczenia. Ale ocalejesz. Przed tobą jeszcze ciężkie próby, ale jeśli serce ci nie zdrzy, przejdziesz wszystkie z podniesionym czołem.

– Miła perspektywa...

– Przyniosłeś szczepionki? – szaman zmienił temat.

– Sto dwadzieścia dawek.

– Wystarczy aż nadto. Zaraz wszyscy się zbiorą.

Kolejną godzinę lekarz spędził w chacie wodza. Przecierał brudne ręce watą namoczoną w spirytusie i zastrzykiwał szczepionkę, co jakiś czas zmieniając tępiące się igły na nowe.

Marfa nastawiła samowar. Pił herbatę słodzoną dżemem z malin moroszek. I szczepił dalej, aż wszyscy otrzymali swoją dawkę. Przez chwilę jeszcze omawiał z szamanem możliwe interakcje i objawy mogące towarzyszyć szczepieniu. I wreszcie przyszła pora zbierać się na kwaterę. Stał, trzymając konia za uzdę. Pożegnał się już, ale chciał jeszcze o coś zapytać.

– Wiem – odpowiedział szaman. – Pomówimy o tym, gdy za wiele lat spotkamy się na miedzianej górze.

* * *

Rozległo się pukanie do drzwi. Doktor oderwał wzrok od rozłożonej gazety. Od rana zaszczepił dwie osoby...

– Proszę wejść – powiedział.

W progu stanął Anton. Bolszewik tym razem był jakby mniej pewny siebie. Zdjął czapkę i miał ją w dłoniach.

– No co tam? – zagadnął Skórzewski. – Poszliście wreszcie po rozum do głowy? Szczepimy?

– To nie – bąknął zesłaniec. – Prośbę mamy.

– Prośbę?

– Pan jesteś człowiek uczony. Tedy na kościach pewnie się trochę znacie? Myśmy coś w lesie znaleźli...

Skórzewski zamknął kajet z notatkami. Po całodziennym beczynnym czekaniu na pacjentów perspektywa spaceru do lasu była niezwykle kusząca.

– Prowadź. – Wstał i zarzucił na ramiona płaszcz.

Po chwili maszerowali już piaszczystym traktem w kierunku poręby. Pogoda była ładna, nawet do tej niegościnnej krainy zawitało wreszcie lato. Brakowało tylko świergotu ptaków...

– Rąbaliśmy na południowym stoku tego wzgórza – tłumaczył zesłaniec nieporadnie, kalecząc język polski. – Tak i tam rósł ogromny świerk, co kilkaset lat miał. Podcięliśmy go jak należy, a on, padając, obalił kilka innych drzewek. Dwa wyłamał z korzeniami. I jak zajrzeliśmy do dziury po karpi... Zobaczyliśmy kości.

– Sam ocenię – uciał Skórzewski.

Niebawem znalazł się na porębie. Drwale otaczali dół w ziemi, na jego krawędzi leżały dwie czaszki wydobyte z dziury. Kilka żeber i miednica utkwily między korzeniami. Doktor pochylił się nad wyrwą. Na dnie widać było częściowo odsłonięty trzeci szkielet.

– Po to mnie wezwaliście? – zainteresował się. – To bardzo stare kości. Leżą tu od dawna. Policji nie trzeba wzywać, pogrzebać w ziemi wystarczy.

– To dzieciaków jakichś no nie? – bąknął Iwan. – W jakim wieku byli, jak i kiedy zginęli byśmy chcieli wiedzieć.

– Jak zginęli? – Przypatrzył się szczątkom. – Tego na przykład zaduszono – podniósł kawałek pękniętej kości gnykowej. – A temu chyba skrecono kark... Ten zabity z kuszy został – wskazał łopatkę, w której nadal tkwiła skorodowana resztką bełtu. – A kiedy? Patrzcie, jak korzenie wszystko przerosły. Drzewo zetnijcie i policzcie słoje... Trza kości wybrać, do skrzynki wrzucić i na cmentarzu zakopać. Niech batuszka się pomodli, albo międzynarodówkę nad grobem odśpiewajcie – zakpił. – Tylko bez tego kawałka o powstaniu wyklętego ludu ziemi, bo jeszcze faktycznie wstaną.

– Wiemy, co robić – burknął Anton.

– A co was to w zasadzie obchodzi? – zainteresował się lekarz. – To dla archeologów może ciekawe... O, nauczycielowi powiedzcie, on się historią okolicy interesuje.

– A tak nam się widzi – wycedził były student Grigorij – że to synowie popa, co to wedle legendy posłani byli, żeby opryczników dzwon wiozących śledzić.

Rozchylił kułak, pokazując doktorowi łańcuszek i małą zaśnieżoną ikonkę odlaną z mosiądzu.

– Na szyi jeden miał – wyjaśnił.

Skórzewski drgnął zaskoczony i zamyślił się. Co opowiadał nauczyciel? Trzech poszło do lasu, nie wrócili już nigdy, zwłok też nie znaleziono.

– Liczba ofiar jakby się zgadza – mruknął. – I wiek może, choć nie wiemy, czy synowie byli mali, czy podrośnięci już. Czas...

Obejrzał pień świerka. Drzewo miało swoje lata. Wyobraził sobie, jak oprawcy kopią dół, sypchają doń zwłoki, przywalają kilkoma kamieniami, a dla zamaskowania sadzą kilka drzewek. Czy oprycznicy by się tak bawili? Czy raczej powiesiliby chłopaków pośrodku wsi, by dać nauczkę chłopom? A może... Może to co robili, ukrycie dzwonu, wymagało dyskrecji. Może nie chcieli zostawiać trupów, by nikt nie wiedział, którędy szli.

– Jeśli to oni, pewnikiem i dzwon gdzieś opodał spoczywa – rozważał Anton. Jego myśli biegły dokładnie tą samą drogą. – Może ze sto arszynów stąd.

– I co? Może jeszcze chcecie go poszukać? – Skórzewski uśmiechnął się pobłaźliwie, ale widząc w ich oczach nieme potwierdzenie, spoważniał. – A po cholere wam ten dzwon? – zapytał. – Przecież i tak nie wierzycie w magię ani klątwy.

– Carowi na nim zagramy, żeby łajdaka szybciej cholera wzięła – parsknął koniokrad Iwan.

– I co pan na to? – doktor zwrócił się do komunisty.

– Z naukowego i materialistycznego punktu widzenia sensu to nie ma – przyznał agitator. – Jednak patrząc dialektycznie, żadnej okazji, by władzy zaszkodzić, zaniedbać nie można. Poza tym, gdybyśmy go znaleźli i weń uderzyli, to byłby efekt propagandowy jak się patrzy. Takie drobne legendy krążąc z ust do ust, nabierają mocy.

– Jak ta plotka, że chcecie wprowadzić wspólną własność żon i dzieci. – Lekarz westchnął, popukał się w czoło i powędrował do wsi.

* * *

– Nie rozumiem. – Skórzewski nalał sobie herbaty. – Lapończycy mówią że dzwon jest przeklęty, stare legendy twierdzą to samo.

– I co? – zapytał nauczyciel.

– Michaił Fadejewiczu, tak na zdrowy rozsądek...

– Zdrowy rozsądek został w Archangielsku.

– No to na logikę. Zwał jak zwał. To dzwon szczęśliwy. Pał diabli, czy go wykonano ze zdobycznych armat czy nie. Zwiastował zwycięstwo. Śpiewał pieśń wolności... Odzywał się podczas wielkich świąt bogatego i szczęśliwego miasta. Jak niby można przekląć taki spiż, by ludzie zaczęli się go bać?

– Nie wiem. Ale przypomnijcie sobie, co się działo w Nowogrodzie. Ile tysięcy ludzi poszło pod łód. Rzeka krwi. Iwan Groźny był niebezpiecznym szaleńcem. A mówią też, że był opętany. Każdy, kto przyjmuje diabła za towarzysza, musi go potem karmić ludzką krwią. Może tam wylano jej tyle, że dobra moc dzwonu przysła? A może nigdy jej nie było, może to tylko metal?

– I gdy wokół ginęli ludzie, zamieszkał w nim szatan?

– Może szatan, może jakiś demon. Nie jestem teologiem. Nie wiem wiele o tym, co dzieje się po tamtej stronie, jak wyglądają zaświaty i byty, które w nich żyją. Może to wszystko wygląda inaczej, a legenda zniekształciła przekaz.

Nauczyciel dolał do szklanek herbaty.

– A wiesz, co robią zesłańcy? – zapytał. – Szukają go. Widziałem w południe, zaraz jak wróciłeś, oni przyszli do sklepu z żelazem.

– Szukają dzwonu? Jak niby chcą tego dokonać? Toż cały las musieliby przekopać.

– Kupili długie stalowe pręty zaostrome na końcach. Zapewne idą krok i wbijają je w ziemię. Potem idą kolejny krok i znowu wbijają... Liczą, że zdołają go namacać...

– Zaciekawileś mnie – przyznał lekarz. – Może przejdziemy się popatrzeć?

– No, to w drogę. – Nauczyciel dopił wino.

Niecałe pół godziny później dotarli na porębę. Katorżników nie było widać, ale zza drzew dobiegały odgłosy kopania. Lekarz i nauczyciel przedarli się przez krzaki i stanęli zdumieni.

– Wielkie nieba! – wykrztusił Michaił.

Zesłańcy wykopali w ziemi rozległy dół. W jego centralnej części widać było zieloną plamę sklejonego śniedzią piasku. Sterczał z niej uchwyt i kawałek brzuśca dzwonu.

– Faktycznie go znaleźli – wykrztusił doktor Paweł. – Ale...

W tym momencie ciężkie dłonie spadły im na ramiona. Obaj próbowali stawiać opór, ale po chwili ulegli przemocy.

– Przywiążcie ich do drzew – polecił Anton. – Żeby nie przeszkadzali.

– Wygadają... – bąknął Iwan. – Ja bym raczej...

– I bardzo dobrze, że wygadają – agitator uśmiechnął się krzywo. – Nam nie każdy uwierzy, a przecież o to chodzi, by ludzie dowiedzieli się, że Dzwon Wolności odezwał się, zwiastując carowi zgubę... I dobrze, że opowiedzą o tym ludzie kulturalni i wykształceni. Im uwierzą szybciej niż nam.

Doktor Skórzewski stał w milczeniu, patrząc, jak zesłańcy odkopują dzwon. Powoli wyłaniał się zaśnieżoną powierzchnią metalu. Pod wykwitami soli widać było figury świętych i napisy. Brąz, spoczywając przez ponad trzy stulecia w ziemi, poczerniał, pozieleniał i pokrył się jakby szklistą patyną.

– Oprycznicy usiłowali go rozbić, do dziś widać ślady pozostawione przez ich młoty... – powiedział Michaił, daremnie szarpiąc więzy.

Faktycznie, tu i ówdzie gładką pierwotnie czaszę znaczyły prostokątne wgłębienia. Najwyraźniej jednak spiż oparł się próbom zniszczenia.

– Ale... – zaczął lekarz i umilkł.

Więźniowie odsłoniли już cały bok. Od dolnego rantu ku górze biegło pęknięcie długie na kilkanaście werszków.

– Co się stanie, co jeszcze mówi przepowiednia? – zapytał Skórzewski.

– To wystarczy. Rusz głową, człowieku. Upadnie tron carów. Wyobrażasz sobie, co musi stać się wcześniej, by władza do tego stopnia osłabła? – nauczyciel wzdrygnął się na samą myśl.

– Imperium jest silne jak walec parowy – wzruszył ramionami lekarz. – Zmiażdży każdego i przetrwa wszystko. Rewolucja w tysiąc dziewięćset piątym...

– A i oni nie pragną wolności, nienawiść nimi kieruje – Michaił myślał już o czymś innym. – Może to tak ma być? Może gdyby w dzwon uderzył dobry człowiek, na świat

spłynęłoby dobro, a zły przyniesie nieszczęście? Ci tutaj...

– Każdy chce być wolnym... – westchnął doktor.

– Ale nie każdy na to zasłużył. Wszak bez powodu tu nie trafili... Czytałem kiedyś tego całego Marksa... Nie daj Bóg, by ta plugawa nauka... – urwał.

Anton przeciągnął grubą konopną linę przez ucho. Przerzucił przez konar. Dzwon nie był duży, w ośmiu bez większego trudu wywindowali go do góry. Wreszcie zawisł na dębie. Jeden z katorżników zaczepił linę o uchwyt serca. Pociągnął. Dwaj inni pomogli mu. Rozkołysali powoli. Skórzewski patrzył na wahadłowy ruch metalowej bryły i naraz poczuł dziwne napięcie panujące w powietrzu. Nawet wiatr od morza ucichł. I naraz lekarz zrozumiał, że za chwilę, gdy tylko serce uderzy w płaszcz, stanie się coś straszliwego...

– Zaczekajcie – krzyknął i rozpaczliwie szarpnął sznury.

– Stójcie szaleńcy – zawtórował mu nauczyciel.

Nikt ich nie słuchał. Iwan pociągnął mocniej, metal zetknął się z metalem i wreszcie starożytny spiż wydał z siebie ponury huk. Dźwięk sparalizował wszystkich. Był zły, fałszywy, drgała w nim nuta jakby szyderczego śmiechu. Nie cichł przy tym, wibrował i potężniał, aż wreszcie z siłą orkanu pomknął w dal, odbił się echem od wzgórz i wrócił jeszcze potężniejszy. Nim przebrzmiał do końca, dzwon z cichym trzaskiem popękał i rozprysł się na kawałki, jakby uczyniono go ze szkła.

– Dokonało się – mruknął Michaił. – Zrobił swoje i jak mydlana bańka...

– Nie ma w tym nic niezwykłego. – Skórzewski już się otrząsnął. – Struktura metalu przerosła korozją, uderzenie wprawilo spiż w wibracje o wysokiej częstotliwości i stąd zapewne takie efekty – umilkł zdumiony, jak fałszywie brzmia jego wyjaśnienia.

Sam nie wierzył w to, co mówił.

– Nie powinni go ruszać... Zły czas, złe miejsce, zła intencja. A może to, że pęknięty był, też zaszkodziło.

– Wolność?

– Może i wolność dla nich. Ale coś mi się widzi, że nic już nie będzie takie jak dawniej, a nawet oni dostaną zupełne co innego niż prosili.

Anton wyrósł obok nich. Był blady i jakby przestraszony. Wyjął kozik i drżącymi rękami zaczął ciąć ich więzy.

– Widzieliście? – zapytał. – Co za moc dźwięku. Aż można niemal uwierzyć w te wszystkie bajdurzenia... Szkoda tylko, że się połamał. Ale pozbieramy kawałki i pokażemy niedowiarkom. A może i złutujemy...

* * *

– Nie ma wyjścia – powiedział car Mikołaj II, tocząc spojrzeniem po członkach rady. – Honor nakazuje nam ratować naszych braci w wierze i sojuszników. We Francji i Prusach

ogłoszono mobilizację. Spirala szaleństwa się rozkręca.

Dygnitarze milczeli, na wielu twarzach odmalował się frasunek.

– Mobilizacja w Rosji to... – zaczął wielki książę Aleksander.

– To wojna – uciął władca. – Miejmy nadzieję, że będzie krótka i zwycięska.

Spojrzał w otwarte okno. Gdzieś z daleka wiatr przyniósł dziwny złowróżbny huk, coś jak brzęk stalowej sztaby. Może to na którymś z dworców zderzyły się wagony? Może w fabryce pękł kocioł parowy? Szyby zadrżały, rozdzwoniły się kryształowe wisiorki żyrandoli.

Car wzdrygnął się i otrząsnął z zadumy. Przysunął papiery. Wyjął z etui wieczne pióro i bez zbędnego wahania podpisał rozkazy.

Ewa Białołęcka

Zodiakalny Strzelec. Ur. 1967 w Elblągu, mieszka w Gdańsku.

Z wykształcenia pedagog, z zawodu pisarka, redaktor i witrażownik. Dwukrotna laureatka Nagrody im. Janusza A. Zajdla i zdobywczyni tytułu Twórcy Roku przyznanego przez Śląski Klub Fantastyki. Wielokrotnie nominowana do owych nagród.

Opublikowała cztery powieści i kilkanaście opowiadań przetłumaczonych na języki: czeski, słowacki, litewski, angielski i rosyjski. Nie przepada za smutnymi zakończeniami. Nawet dramatyczne opowieści potrafi okraszyć szczyptą humoru.

Czas dzieli między pisanie, pracę redaktora i wykonywanie witraży. Uzależniona od książek. Kolekcjonuje stare wydania klasycznej literatury dla dzieci.

Wielbicielka kotów, stylu fun gothic i secesji. Hobby: prace ręczne, grafika tradycyjna i komputerowa, pisanie fanfiction, hazard na Allegro. Nie znosi chamstwa, ślepego fanatyzmu, dyskusji politycznych oraz telenoweli.

Homo interneticus. Żywi się kawą.

**Ewa
Białołęcka**

**Skok na
żywca**

*Na pamiątkę Tomka Pacyńskiego, twórcy alternatywnego Mikołaja i dobrego przyjaciela;
oraz ku pamięci Michaela Crichtona, który zainspirował mnie swoim „Wielkim skokiem na
pociąg”.*

– To niemożliwe! NIEMOŻLIWE! – Być może okrzyk ów miał zabrzmieć dramatycznie. Niestety, głos prezesa Żywiec Corporation łamał się ze zgrozy i w rezultacie zapiszczał on jak gumowa kaczką. – Iiiiistem zruiiinowany...! Inspektor Maria Sierotka obserwowała, jak mężczyzna w garniturze wartości około dwóch policyjnych pensji chwieje się na nogach, jedną ręką macając się po klatce piersiowej (i krawacie od Titelituriego), a drugą ocierając pot z czoła. Wartości chusteczki inspektor wołała nie szacować. Zrujnowany! Najbogatszy człowiek w tym cholernym kraju! Zubożały monopolista! Jasne... A ona nie może sobie pozwolić nawet na głupie szpilki z krokodyla. Stojący za prezesem młody facet wydawał się niezbyt przejęty sytuacją. Rozglądał się znudzonym, tępowym wzrokiem i skubał paznokcie.

– Niemożliwe, ale jednak realne – rzekła inspektor ugodowym tonem. – Proszę się uspokoić, musimy działać konstruktywnie.

Podinspektor Zływilk kończył tymczasem zbieranie odcisków palców z pojemnika, który inspektorze kojarzył się z gigantyczną pralką wirnikową (ale bez wyżymaczki). Sądząc z miny podinspektora, wyniki były mierne. Wieko „pralki” było otwarte, a ze środka sterczała płetwa ogonowa jakiejś niezidentyfikowanej ryby, doskonale widoczna w świetle rozstawionych dokoła lamp.

– Zdechła...? – spytał słabo prezes, chwilowo rezygnując z hysterii.

Jakby w odpowiedzi płetwa majtnęła się niemrawo, a z wnętrza dobiegło bulgotliwe zawodzenie:

– Szeknajcie nam ziś hiszpaaaańskie ziewszyny, szegnajcie nam ziś maszenia ze sóf, ku pszegom anielskim jusz ruszać nam pora...

– Jak widać, nie, ale jest zupełnie nap... – skomentował podinspektor Zływilk i urwał, bo przełożona wpadła mu w słowo.

– Zneutralizowana! – rzuciła z naciskiem, wyciągając notes z kieszeni prochowca. – Zneutralizowana na amen.

– System alarmowy MS, najlepszy – jęknął posepnie prezes korporacji Żywiec, wpatrzony hipnotycznie w majtającą się płetwę. – Nie do złamania. Reagujący na dotyk, głos, zmianę oświetlenia... właściwie na wszystko...

– Krótko mówiąc: nie można było w pobliżu nawet kichnąć, żeby się nie uruchomił – podsumowała inspektor Sierotka. – Albo więc mamy do czynienia z bardzo zdolnym włamywaczem o możliwościach wręcz nadnaturalnych, który potrafi nie tylko zneutralizować system alarmowy MS, ale też dostać się do zaplombowanego wagonu, wynieść łup i ulotnić się z nim bez śladu.

Inspektor zajrzała ostrożnie do pojemnika – pletwa nadal majtała się rytmicznie, w takt regularnego bulgania, brzmiącego jak czkawka – przez chwilę szacowała wnętrze, a potem na powrót odwróciła się do obecnych. Minę miała nieprzeniknioną.

– Ile tego było? – spytała rzeczowo.

– Sto litrów – wyszeptał prezes grobowym tonem. – To katastrofa...

– E, tam – mruknął młodziak za nim. – Nałapie sobie tata nowe...

Plask!

– Boże, czemu mnie pokarałeś tym kretynem?! – wybuchnął prezes i pomasaował nadgarstek. Mimo że na policzku wykwitał mu śliczny odcisk pięciu palców, rzeczony kretyn jakoś się tym nie przejął. Wzruszył tylko ramionami. Pani inspektor przyjrzała mu się z przelotnym zainteresowaniem. Sądząc z podobieństwa, musiał być crewnym lub nawet synem nieszczęsnego okradzionego. Zanotowała kilka spostrzeżeń. Logika podpowiadała, że cokolwiek obrobił transport kolejowy, nie działał pod wpływem impulsu, lecz planował skok długo i starannie. A to znaczyło, że musiał przebywać blisko źródeł informacji czyli na przykład zarządu firmy.

– Sto litrów to urobek z prawie dwóch miesięcy! Jedna cropla na trzy sekundy! Jedna przekłeta kropla! – pieniała się głowa firmy Żywiec Corp.

Rzeczywistość była nieubłagana. Towar wydobywany w najgłębszej jaskini Gór Niedźwiedzich, filtrowany przez setki ton magicznych skał, zbierający czarodziejską aurę niesłychanie powoli, spływał z jednego jedyne go stalaktytu z rozpaczliwą regularnością jednej kropli co trzy sekundy. W jednej łyżce stołowej mieściło się około dwustu kropli tego specyfiku. W szklance circa cztery tysiące dwieście, a policzenie ilości takich kropli w stulitrowym pojemniku natychmiast przyprawiało o migrenę wszystkich z IQ poniżej 160. Żywiec był składnikiem większości leków i najdroższych (za to cudownie skutecznych) kosmetyków, choć zawartość magicznej esencji liczono nie w mililitrach, a w mikrolitrach lub nawet nanolitrach. Żywa Woda – popularnie nazywana „żywcem” – była cenniejsza od diamentów i platyny, o nędznym złocie nie wspominając.

– Sto litrów... – powtórzyła inspektor Sierotka z namysłem, postanawiając nie przyjmować do wiadomości wartości ładunku. Ochrona zdrowych zmysłów przede wszystkim. – To mniej więcej tyle co zawartość wanny.

– Najwyżej pół – burknął kretyn. – Ledwo dno zakryje...

Widać dysponował wanną dużo większą od tej w łazience inspektora Sierotki.

– Wszystko jedno. Nawet gdyby miał to być zaledwie garnek, pragnę zauważyć, że wewnętrzny pojemnik został opróżniony niemalże do sucha, ale nadal jest na miejscu. Jak panowie myślą, włamywacz wlał sobie tę Żywą Wodę do kieszeni?

– Może miał ze sobą butelki...? – mruknął kretyn, ale został zignorowany.

– Pieczęcie na drzwiach nienaruszone! – ożywił się Zływilk. – Przez otwory wentylacyjne – tu wskazał na sufit – nie przecisnę się nawet dziecko. Jeśli sprawcą był duch, mógł

przeniknąć do wnętrza i nawet dałby radę otworzyć to pudło. Poltergeisty takie sztuki potrafią. Ale i tak nie zdołałyby zabrać łupu ze sobą, bo jest niematerialny. Więc...

Maria Sierotka pokiwała głową z uznaniem. Zływilk był bystry i ambitnie pracował na awans.

– Więc jeśli mamy szczęście, te drogocenne sto litrów jest gdzieś tutaj – dokończyła pani inspektor, czyniąc ogólny gest w stronę sterty pak i pudeł zgromadzonych w drugiej części wagonu. Na samym froncie stała klatka z wybitnie znudzonym, bardzo kłaczystym, ryżym i chyba bardzo rasowym kotem.

– Szkoda, że nie mogę cię przesłuchać – mruknęła pod nosem policjantka.

– Mrau – odparł kot, robiąc minę maharadży.

Wkrótce światełko nadziei zaczęło z wolna gasnąć. Wielki rulon, wedle listu przewozowego zawierający „dywan perski latający”, istotnie zawierał dywan; w pace „artefaktów egipskich” znaleziono jedynie artefakty (oraz starożytną klątwę). Chwilowych emocji dostarczyła skrzynka butelek opisanych jako „artykuły religijne – woda z Morza Martwego”, ale okazało się, że nie ma w nich nic prócz słonej wody. Fotograf policyjny uparcie smrodził magnezją, robiąc zdjęcia wszystkiego, co się dało. Zbiornik z MS bulgotał monotonnie.

Po godzinie rewizji grupa dochodzeniowa ostatecznie straciła zapał. W dodatku kot dał się coraz głośniejszemu i przeraźliwemu, widocznie głodny oraz zmęczony nie mniej od policjantów. Na zewnątrz, poza kordonem funkcjonariuszy, raban czyniła jego właścicielka, paniusia w wielkim kapeluszu, wykrzykująca coś o niezmiernej wartości „kiciusia”, jego rodowodzie, przodkach lepszych od dziadków wszystkich gliniarzy razem wziętych oraz kilogramach złotych medali zdobywanych na wystawach w stolicach Europy, Azji i bodajże czy nie bieguna północnego.

– Oddajcie jej tego cholernego zwierzaka! – warknął w końcu Zływilk. – Na moją odpowiedzialność. Niech mi zniknie z oczu, zanim zjem oboje!

Panienka odeszła, tuląc klatkę do biustu, po czym zapanował względny spokój. Inspektorzy otworzyli łomem ostatnią skrzynkę, odkrywając niewielki przemyt goblińskich zegarków, suchych poza tym jak pieprz.

– JAK? – warczał Zływilk. – JAK, u licha? A przede wszystkim GDZIE się podział towar? Drzwi szczelne, w podłodze żelazne płyty, na zewnątrz strażnik, pieczęcie oryginalne – mag z KSK* sam kładł sygnaturę w Utopencach i sam ją tu na miejscu rozbijał. No i ten przeklęty pociąg był przecież cały czas w ruchu, prawie siedemdziesiąt kilometrów na godzinę!

– Mam przecucie, że kiedy zrozumiemy JAK, dojdziemy też GDZIE – odparła jego szefowa, patrząc w zadumie na maleńkie luki pod powalą, w których zmieściłoby się może pudełko zapalek. – Nikt z pasażerów ekspresu nie może opuścić terenu dworca. Jeśli trzeba, przeprowadzimy rewizje osobiste.

* Królewska Służba Kolejowa

Zływilk zamilkł z szacunkiem. Jak wieść gminna niosła, inspektor Sierotka rozpoczęła pracę w policji zaledwie jako asystentka nadinspektora, ale już po paru miesiącach właściwie samodzielnie rozwiązała aferę w sferach kierowniczych firmy Gąska Balbinka & Company, i od sześciu lat pięła się po szczeblach kariery zawodowej z impetem małego czołgu. O ile można sobie wyobrazić czołg na drabinie.

Ale mimo wszystko... JAK?

* * *

Aby znaleźć odpowiedź na to pytanie, należałoby cofnąć się w czasie o mniej więcej dobę oraz w przestrzeni o tyle, by wylądować na dworcu kolejowym w miejscowości Hezke Utopence^{*}, gdzie na peronie drugim, na ławce pod filarkiem zdobnym w blaszane listki akantu, siedziała młoda panienka w otoczeniu toreb podróżnych i jednej trumny ustawionej na koziołkach. Odziana na czarno, w kapeluszu niemalże wielkości cygańskiego sagana, wyglądała na pierwszy rzut oka jak żałobniczka eskortująca ukochane zwłoki na miejsce pochówku. Bystrzejszy obserwator natomiast dostrzegłby na jej kapeluszu strusie pióra, podczas gdy tradycyjnie żałobne nakrycia głowy przybierano krepą; a w klapie podróżnego żakietu błyszczała broszka w kształcie serduszka przebitego strzałą, co już kompletnie nie pasowało do spraw cmentarnych. Panienka szydełkowała zawzięcie coś z niebieskiej włóczki, co mogło być równie dobrze skarpetką, jak i swetrem dla kalmara.

Inni pasażerowie trzymali się z daleka, najwyraźniej onieśmiał ich widok trumny.

Wreszcie na stację wtoczył się pociąg, buchając kłębami pary niczym przerośnięta czarno-zielona gąsienica z silną zadyszka. Wezwani bagażowi sprawnie zapakowali manatki czarno odzianej panienki na wózki i pojechali w stronę wagonu pierwszej klasy. Dla wygody podróżnych znajdował się w oddaleniu od dymiącej lokomotywy, tuż obok wagonu pocztowego. Właśnie ładowano do niego przesyłki. Szczególną uwagę zwracało coś wielkiego, co sprawiało wrażenie, jakby do wagonu próbowano przemycić nadnaturalnych rozmiarów pudło na kapelusze, z niewiadomych powodów zasłonięte ciemną plandeką.

– Ochrona kolei i jeszcze wojsko? – wymruczała panienka. – No, no... Coś takiego?!

Bagażowy widocznie uznał, że pytanie jest skierowane do niego.

– Pewno coś rządowego, proszę łaskawej panienki. A trumienka nie do bagażowego?

– Nie przyjęli – odparła panienka z roztargnieniem, odprowadzając wzrokiem pakę, dokoła której kręciło się co najmniej dwudziestu mundurowych pod bronią.

– Jakże to, nie przyjęli?! – obruszył się bagażowy. – Ale jakże tak z trupem do ludzi? Ich obowiązek bagaż nadany przyjąć, proszę łaskawej pani!

Do rozmowy wmieszał się konduktor, zawodowym okiem wyłowiwszy nietypową

* (czech.) Przystojne Topielce – podgórska miejscowość turystyczna, słynna z gorących źródeł, samobójstw organizowanych i ciastek cynamonowych w kształcie trumienek

sytuację.

– Proszę szanownej pani, żywi ludzie – do przedziału, a nieżywi, z przeproszeniem, jako paczka, według regulaminu, bez urazy. – Tu pracownik królewskich kolei zsalutował do służbowej czapki, jakby chcąc zaakcentować, że KSK słynie nie tylko z regulaminu, ale też z uprzejmości wobec dam.

Dama załamała ręce.

– Tak też mówiłam w kasie, proszę pana! Ale powiedziano mi, że moja pani powinna podróżować tak jak reszta zwykłych pasażerów. Mam nadzieję, że się zmieści... – Dłonią w koronkowej rękawiczce pogładziła mimochodem wieko trumny, ozdobione okazałym krzyżem.

– Jaka pani? – spytał konduktor zdeorientowany. – Zmarła?

– Pani van Hagenbak jest NIEUMARŁĄ.

– Wampirzyca?!

Panienka wyprostowała się godnie jakby połknęła kij.

– NIEUMARŁA! – poprawiła z naciskiem.

– Ale czemu trumna z krzyżem?

– A czemu nie? Pani van Hagenbak jest bardzo religijna. Regularnie uczęszcza na nabożeństwa. Wieczorne, oczywiście.

– Przepraszam, chyba jednak powinienem sprawdzić... – rzekł niepewnie skołowany konduktor.

– Na tym słońcu?! Oszalał pan?! Bagażowy, proszę natychmiast załadować wielmożną panią hrabinę. Wykupiła cały przedział i ma prawo do spokoju! Proszę, tu są nasze bilety! – Wampirza dama do towarzystwa przeszła do kontraktaku.

Bagażowi spełnili jej polecenie błyskawicznie, zwłaszcza że z wnętrza trumny rozległo się pukanie i damski głos pytający: – Puniu, czy już roznoszą drinki?

Niebawem wagony się zapełniły, załadowano co było do załadowania, peronowi z trzaskiem zamykali drzwi przedziałów, zawiadowca odgwizdał co miał do odgwizdania, lokomotywa sapnęła, pufnęła, pociągnęła z mozołem... i ekspres „Rumcajs” ruszył w podróż, unosząc ze sobą zarówno nadzwyczajny bagaż, jak i nadzwyczajnych pasażerów.

* * *

Panienka, nazwana Punią, kiedy tylko dworcowe zabudowania zniknęły jej z oczu, natychmiast zamknęła wewnętrzne drzwi przedziału na zasuwkę i opuściła roletę w oknie. Pomieszczenie pograżyło się w półmroku. Zdjęła kapelusz, a uwolniony z opakowania długi jasny warkocz osunął się na dywanik w kilku zwojach, niczym zemdlona anakonda.

– Uff, co za ulga! Śnieżka, wyłaż! Zasłoniłam okno.

Po złożeniu wyściełanej kolejowej kanapki, trumna doskonale mieściła się pod ścianą.

Wiekło uniosło się odrobinę na zawiasach, jakby rezydentka dębowej skrzyni nieufnie badała sytuację, po czym otwarło się na oścież, prezentując w całej krasie zawartość, czyli kolejną panienkę – tym razem białą jak śnieg, o ustach czerwonych jak krew i włosach jak sny węglarza.

– Nie mów do mnie: Śnieżka! Zapisz to sobie gdzieś, jestem Snow White!

– Snobka! – prychnęła panienka z blond warkoczem. – A ty nie mów do mnie: Puniu!

– Na litość boską, jak można nazywać się Rapunzel?! Kto daje takie imię dziecku?

– Moja matka... – warknęła Rapunzel przez zęby, nawijając warkocz na ramię jakby był liną.

– Twoja matka była schizofreniczką nie odróżniającą cię od sznurka do suszenia bielizny, moja kochana. Podobnie jak ten utytułowany idiota. „Rapunzel, spuść swoje warkocze” – zapiszczała Śnieżka, przewracając oczami. – „Odrzuć te głupie sentymenty i zacznij żyć dla siebie”!

Wygłosiwszy tę tyradę, zamknęła trumnę i usiadła na wieku, potrząsając burzą ciemnych loków. W wydekoltowanej czarnej sukience ze srebrnymi haftami wyglądała nader gotycko, jak na wampirzycę przystało.

– Dla siebie? Ciekawe jak mam żyć „dla siebie” w roli twojej służącej? – rzuciła Rapunzel z przekąsem. – Czemu zawsze ty grasz hrabinę?

Snow White – Śnieżka wyciągnęła z podręcznej torby lusterko i grzebień, robiąc remanent urody.

– Bo mam śmiertelną alergię na słońce? Bo i tak ja będę odwalać najgorszą robotę, już niebawem? Cierpliwości, kochana Puniu, po dzisiejszym skoku stać nas będzie nie tylko na prawdziwą służbę, ale także na luksusową kryptę dla mnie, pałacyk i armię fryzjerów dla ciebie, i co tylko sobie zamarzemy.

– U boku Jana Emanuela Trzeciego? – rzuciła Rapunzel ze złośliwym uśmiechem.

– Ty małpiatko! – Śnieżka udała, że zamierza cisnąć w koleżankę grzebykiem. – Jak Rex?

– Już dawno w bagażowym, przebrany za kota – zachichotała Rapunzel. Śnieżka zerknęła na przypięty do sukni zegarek.

– Słońce zajdzie o siódmej. Mamy mnóstwo czasu. Nie musiałaś dawać łapówki, żeby zdobyć akurat ten przedział?

– Skądże. Magiczne zaklęcie „wampir” i skwapliwie zepchnęli nas na sam koniec wagonu, z dala od reszty.

– Doskonale.

* * *

Gdyby o godzinie dziewiętnastej dziesięć jakiemuś konduktorowi służbiście zachciało się przejść korytarzem wagonu pierwszej klasy, a potem wyjść na podest od strony, gdzie był on

połączony z zapieczętowanym wagonem pocztowym, to... to i tak niczego by nie zobaczył. W każdym razie jeszcze nie. Zresztą po co miałyby się fatygować i wychodzić na kwietniowy zimny wiatr? Pasażerowie pierwszej klasy jedli akurat kolację w restauracyjnym, podróżni z drugiej i trzeciej rozpakowywali kanapki, a ci kolejarze, którzy nie mieli nic do roboty, odpoczywali w przedziale służbowym.

Kiedy Królowna Śnieżka swego czasu wdała się w nieodpowiedni romans z niesłychanie romantycznym, oszłamiająco przystojnym Księciem Ciemności – nie należy wierzyć w te brednie o jabłuszku i szklanej trumnie (no dobrze, trumna jest faktem, ale nie szklana) – z początku nowy stan wydawał jej się bardzo atrakcyjny. Potem zaś zaczęły ujawniać się jego wady, a zwłaszcza wady adoratora, który uparcie nakłaniał Śnieżkę do wkładania idiotycznych dziecinnych sukieneczek z bufkami i białymi kołnierzykami oraz związywania włosów wstążką z kokardką. Ostatecznie królowna stwierdziła z furją, że nie będzie zadawała się ze zboczeńcem i rzuciła go z hukiem, redukując w ten sposób niedogodności wampirzego życia o co najmniej pięćdziesiąt procent. Do pozostałych pięćdziesięciu należało choćby to, że wampiry, owszem, potrafiły rozpląwać się w mgłę i przenikać przez szpary do zamkniętych pomieszczeń, ale te same zdolności rozpląwania i przenikania nie mają ich ciuchy. Wnioski: nie należało wierzyć filmom z Belą Lugosim.

– Ani słowa!! – zagroziła Śnieżka, otwierając klatkę z kotem. – Ani słówka komentarza, bo cię ugryzę!

Rudzielec miękko zeskoczył na podłogę wagonu. Drgała lekko, kiedy koła pociągu stukały na złączach szyn. Ciało kota zwinęło się konwulsyjnie, zafalowało w nieprzyjemny dla oka sposób i po paru sekundach w miejscu kociego arystokraty przycupnął mężczyzna. Niewielkiego wzrostu, szczupły i muskularny jak linoskoczek, z płomiennie rudą rozwichrzoną czupryną i bokobrodami.

– Sami swoi, ja też jestem goły – oznajmił, wstając. – Poza tym nie wiem, czy da się zwampirzyć kotołaka.

– Zawsze mogę spróbować, Rex – odparła Śnieżka, odwracając się ku cylindrowi, który królował na samym środku pomieszczenia. Mrok wewnątrz wagonu nie był przeszkodą ani dla kocich, ani wampirzych oczu. Ściągnęli plandekę, spod niej ukazał się wielki, biały, emaliowany pojemnik z pokrywą zabezpieczoną zamkiem szyfrowym.

– Nieźle – mruknął Rex, przykłękając i uważnie przypatrując się tarczom. – Gdyby ten twój Jaś nie dał cynku, otworzylibym to bez zabezpieczeń.

– I wtedy co?

– Wtedy włączyłaby się MS i mózg nam by wypłynął uszami. Sprzęt jest w tamtej skrzynce.

Jak się okazało, pudło wypełniały cztery rzędy butelek z jakimś przezroczystym płynem i zwój gumowego szlauchu o niewielkim przekroju.

Śnieżka wyjęła korek i powąchała.

– Wódka?

– Spirytus – skorygował kotołak, wyjmując flaszki jedna po drugiej. Metodycznie otwierał je i ustawiał tuż obok cylindra. – Jak tylko otworzę pokrywę, natychmiast lej do środka, z obu luf! Przygotuj się. I zabierz mi te cycki z widoku, bo się muszę skupić.

Śnieżka zacisnęła zęby, stanęła za plecami Rexa, dzierżąc w każdej ręce butelkę alkoholu, z miną jakby chciała nimi przygruchać kasiarzowi w ryży łeb. Rex wyciągnął z kociej klatki kocyk, wspiał się na stertę przesylek i starannie zatkał nim luk wentylacyjny. Zrobiło się czarno jak u Murzyna pod koszulą.

– MS reaguje na dźwięk i na światło. Ciemność może zdezorientować system i dać nam ze dwie sekundy więcej – mówił Rex, obmacując pojemnik. – Jak tylko dam sygnał, lej spirit do środka i zaraz bierz następne flaszki. Dasz radę zrobić to szybko?

Wampirzyca ostrożnie postawiła butelki koło stóp i dotykiem sprawdziła położenie reszty.

Kiwnęła głową, ale zorientowała się, że kotołak nie może jej zobaczyć.

– Jasne – jej głos brzmiał trochę niepewnie.

– No to... Święty Dyzmo, patronie złodziei, miej nas w opiece.

– Rex?

– Co?

– Przecież ty nic nie widzisz.

– Nie muszę widzieć. Działam na słuch. A teraz cicho.

Przez parę minut słychać było jedynie przytłumiony łoskot pociągu i ciche pstrykanie obracających się tarcz sejfów. Śnieżce ze zdenerwowania wysuwały się kły. Wampiryzm wampiryzmem, była teraz odporna na wiele paskudnych rzeczy (poza fotofobią i reakcją uczuleniową na ajo blanco*), ale mózg uszami? Brrr... Czy Rex w ogóle coś słyszy przez ten hałas?

– Uwaga... – odezwał się kasiarz. Śnieżka zacisnęła mocniej palce na butelkach.

Coś zgrzytnęło.

– Już!!

Śnieżka chlusnęła. Rozległ się skrzek, jakby ktoś poruszył zawiasy niesmarowane od czasów Nerona. Gorączkowo opróżniała kolejne butelki do wnętrza otwartego pojemnika, czując, że obok Rex robi to samo. Wkrótce spirytus się skończył, skrzeczenie przycichło a niebawem ucichło całkiem. Pojaśniało nagle, Śnieżka zamrugała – to Rex wyciągnął koc z wywietrznika, nawet odrobina wieczornego światła oślepiła nadwrażliwe oczy. Para włamywaczy ostrożnie zajrzała przez krawędź zbiornika. Westchnęli unisono.

– MS...

– Słynna MS...

W zbiorniku unosiła się Mała Syrenka. Aktualnie zalana w drobną kaszkę.

* andaluzyjska zupa czosnkowa

Na dnie stał mniejszy pojemnik, zamknięty tym razem na zwykłe klamry, jak wielki termos do lodów. Dokoła niego, objając się o ścianki, pływała Mała Syrenka, coraz bardziej ubzdryngolona. Nic dziwnego, skoro wchłaniała alkohol całą powierzchnią skóry, a nawet nim oddychała. Nie w głowie jej było podnoszenie alarmu, ani wydawanie syrenich wrzasków, przed którymi człowiek próbował się schronić we własnym brzuchu. Wprost przeciwnie, zaczynała być w nastroju frywolnym, podśpiewując – co brzmiało jakby płukała gardło.

– Byłoby prościej, gdyby Trzeci podał nam hasło – burknął Rex z niesmakiem.

– Trzeci nie znał hasła. To pudło miał otworzyć dopiero jakiś oficjel z Żywca – syknęła Śnieżka, próbując okręcić się kocim kocykiem.

– Dobra, zwijamy się, szkoda czasu.

Wyjęcie mniejszego zbiornika zajęło im raptem trzy sekundy.

– Musi stać wyżej – sapnął Rex, mocując się z ponadstukilogramowym ciężarem. Śnieżka pomogła mu bez słowa, bez widocznego wysiłku pakując cylinder na stos skrzynek.

– Tylko go trzymaj, żeby nie zleciał – przykazała surowo. – To jest warte grube miliony.

– Nie musisz mi przypominać.

Jeden koniec szlauchu został zanurzony w zbiorniku, drugi Śnieżka wetknęła do otworu w dachu, po czym westchnęła z niechęcią. Nadszedł czas na najbardziej przykrą część operacji – musiała przeciągnąć to ustrojstwo aż do przedziału, gdzie już czekała Rapunzel, pewnie przytupując z niecierpliwości. Szaleństwo w czystej postaci! Miała się czołgać (goła!) z tym głupim węzłem po brudnym dachu pociągu pędzącego z jakąś obłąkaną szybkością. Uświni się koszmarnie i jak nic zniszczy sobie włosy. Biedna wampirzyca westchnęła jeszcze raz cierpiętniczo rozplynęła się w szarą mgiełkę i ulotniła przez wentylację.

* * *

Było gorzej niż przypuszczała. Pęd wiatru na górze znów o mały włos nie rozwiął jej całkiem. To by dopiero było – wampir unicestwiony przez przeciąg! Ogromnym wysiłkiem woli Śnieżka zmusiła cząsteczki swego ciała, by zmieniły stan skupienia na bardziej konkretny. Powietrze niemalże zrywało włosy z głowy, wszędzie był dym wymieszany z sadzą. Śnieżka pogratulowała sobie w duchu, że nie potrzebuje oddychać, zmówiła w myślach króciutką modlitwę do Lilith, patronki Nieumarłych, a następnie zaczęła się czołgać po dachu wagonu, ciągnąc za sobą gumową rurę. Kiedy dotarła do prześwitu między wagonami, sytuacja uległa poprawie – tu było zaciszniej, choć balansowanie boso na buforach również nie należało do przyjemności. Jeden fałszywy ruch i... Śnieżka nie była pewna czy wampiryczne zdolności regeneracyjne staną na wysokości zadania w konfrontacji z rozpędzonym pociągiem. Mogłaby definitywnie przestać istnieć, nie mówiąc już o stratach na urodzie. Dobrze, że jest taka silna... Oby tylko jakiemuś wścibskiemu idiocie nie przyszła

chęć na spacerki w te okolice. Musiałaby go zabić, niepotrzebne komplikacje, no i pokazywanie się komuś obcemu *saute* też nie było miłe, choć Śnieżka już dawno zapomniała o konwenansach z głupiej ludzkiej młodości.

* * *

Rapunzel znów robiła na szydełku. Twór powstający pod jej migającymi palcami ewoluował z kalmara w barokowy świecznik. Dziewczyna nie wiedziała, co właściwie dzierga, ale sama czynność kołała nerwy. Pukanie w okno sprawiło, że podskoczyła. Na szybie rozplaszczając się wykrzywiona twarz Śnieżki trzymającej w zębach szlauch. Najwyraźniej wampirza królewna trzymała się wszystkim co tylko mogła i brakowało jej kończyn. Rapunzel czym prędzej wpuściła ją do środka, Śnieżka z łomotem spadła na podłogę przedziału. Wypluła rurę i sapiąc, wepchnęła ją koleżance do ręki.

– Ufff... A niech to licha, drugi raz bym się na to nie zgodziła. Zasyśaj!

Rapunzel posłusznie spełniła polecenie. Czarna od sadzy Śnieżka próbowała doprowadzić się do porządku za pomocą chustki i wody kolońskiej.

– Ochch...! To jest tłuste, rozmazuje się tylko! – jęknęła z rozpaczą.

– Nie idzie! – wystękała Rapunzel.

– Ssij, ssij! Bardziej energicznie!

– Ty masz większą wprawę w ssaniu!

– No wiesz...?! Jestem NIEUMARŁA, a to jest Żywa Woda – masz pojęcie co może się stać, jak połknę choć kroplę?

– Najwyżej się odwampirzysz, wielkie rzeczy.

– Ssij, nie kłap dziobem! – zaperzyła się Śnieżka. – Odwampirzę się i co? Znów mam jako to kwiecie powoju owijać się dokoła nadzianych gości, póki nie porobią mi się pierwsze zmarszczki? Niedoczekanie! Uch, powinnam się chyba wykąpać – popatrzyła na czarną chusteczkę.

– Roz... wiej... się... – wydyszała pąsowa na twarzy Rapunzel, na moment przerywając ssanie rury.

– Świetny pomysł!

Ciało wampirzycy zmieniło się w buroniebieski obłoczek, który wpełzł do rozłożonego na kanapce ubrania. Pokażna garść sadzy opadła na kolejny dywanik. Czysta Śnieżka zmaterializowała się wewnątrz własnej bielizny.

– Muszę to dopracować. Gorset mi się pozwiijał. Ochchch... Na głowie mam kołtun!

Tymczasem wysiłki Rapunzel zostały uwieńczone sukcesem. Ze szlauchu zaczęło ciec.

Śnieżka, pospiesznie przyglądziwszy włosy szczotką, wyszła na korytarz pełnić wartę. W samą porę, gdyż do ich przedziału zbliżał się konduktor. Uraczony pełnym dziewczęcym

czaru (i zębów) uśmiechem, zrejterował czym prędzej, mamrocząc pod nosem coś w rodzaju: „przepraszam, przepraszam najmocniej, zapomniałem eee...”. Można było zakładać, że nieprędko wróci.

* * *

Tymczasem w wagonie bagażowym kotołak upewnił się, że pojemnik z bezcennym towarem jest stabilny i zaczął zacierać ślady. Napełnił próżne flaszki morską wodą z głównego zbiornika i włożył na miejsce do skrzynki, wytarł bardzo starannie wszystkie gładkie powierzchnie, na których mogły zostać odciski palców. Mała Syrenka prowadziła sama ze sobą długi, pełen zaprzeczeń monolog. Szlauch powoli, z szuraniem, zaczął stopniowo znikać w wywietrzniku, co znaczyło, że pojemnik z „żywcem” się opróżnił. Rex włożył go Syrence do towarzystwa. Natychmiast oparła się o niego, jak pijak o latarnię. Kasiarz ostatni raz przetarł brzegi pojemnika, potem równo złożony kocyk trafił na powrót do kociej klatki. Dziesięć sekund później wskoczył tamże rudy kot i zamknął drzwiczki łapą.

Pociąg z łomotem pędził przez noc, zmierzając do celu i ku nieuchronnej apokalipsie.

* * *

Zdezorientowani, wymęczeni i zirytowani pasażerowie z ekspresu „Rumcajs” po czterech godzinach spędzonych w poczekalni stanowili mieszankę bliską wykipienia, więc policja powoli zaczęła wypuszczać ich z zaimprovizowanego aresztu. Nikt (prócz wiadomych dwóch osób) nie miał zielonego pojęcia, czemu policja tak bardzo interesuje się termosami, na wpół opróżnionymi butelkami lemoniady, myśliwskimi piersiówkami panów, a nawet flakonami damskich perfum.

– Nic – zameldował Zływilk ze zniechęceniem. – Ani śladu. Niczego podejrzanego, niczego dziwnego.

Inspektor Sierotka przygarbiła się prawie niezauważalnie.

– Może poza krwiopijczą hrabiną w drewnianej skrzynce – dodał podinspektor, a jego szefowa natychmiast wyprostowała się jak struna. Wampir! Jeśli ktokolwiek miał szansę buchnąć Żywą Wodę w czasie transportu, to przecież nie damulka z usmarkanym pięciolatkiem w marynarskim ubranku. Nadal nie wiadomo było co prawda, jak, ale wampiry miały przecież różne talenty i metody.

* * *

Niestety, okazało się, że wampirzyca ma obstawę, a jest nią nie kto inny, jak właśnie owa pyskata panusia w wielkim kapeluszu, właścicielka najbardziej rasowego kota w Europie i

okolicach. Zływilk natychmiast poczuł się lekko osłabiony, a jego frustracja rosła w miarę jak paniusia broniła wątlą piersią dostępu do hrabiowskiej trumny, pomstowała na metody policji oraz powoływała się na drugą poprawkę do konstytucji, dotyczącą praw magicznych ras humanoidalnych.

W torbach podróżnych obu pań nie znaleziono niczego podejrzanego. Rewizja natychmiast została nazwana przez Rapunzel Stachelturn – gdyż takie personalia podała pyskata paniusia – niewiarygodnym skandalem. Mianem zbrodni natomiast została określona zapowiedź przeszukania trumny hrabiny van Hagenbak.

– Jak pan śmie?! Jest dzień! Pani hrabina nie wychodzi na słońce, to karygodne żądania, to jest narażanie jej zdrowia i życia!

– Nieżycia – zdołał wtrącić Zływilk.

– Semantyka! – prychnęła panna Stachelturn tonem, jakby to było przekleństwo. – Żądam, aby natychmiast nas wypuszczono!

– Natychmiast po rewizji – zapewnił podinspektor znekany tonem i przedstawienie rozpoczęło się na nowo. Kres kłótni położył dopiero miejscowy kierownik kolei, który wpadł na pomysł, by w jednym z biur po prostu pozasłaniać okna kocami. Panna Stachelturn wyraziła zgodę z ogromną niechęcią. W trumnie panowała tymczasem głucha cisza. Widocznie pani hrabina ucięła sobie dzienną drzemkę, obojętna na świat zewnętrzny.

W świetle kilku latarni kolejowych Zływilk uniósł wieko trumny, mając niemiłe wrażenie, że coś na niego zaraz wyskoczy. Spojrzał i doznał uczucia rozczarowania. Przez ostatnie godziny miał nerwy napięte jak postronki. Po rewizji wampirzego futerału spodziewał się wielu rzeczy, ale raczej nie widoku śpiącej nastolatki z lekko zadartym nosem i włosami niczym owcze runo, tulącej do siebie najnowszy żurnal.

– No cóż, chyba zaczniemy... – mruknął Zływilk, podnosząc skraj czarnej wampirzej spódnicy. Sekundę później oberwał żurnalem w czoło.

– Własnym oczom nie wierzę – wycedziła hrabina, która uniosła się w swej trumnie w najlepszym stylu Draculi. – Co pan wyprawia?!

Obecni w biurze kierownik kolei i dwaj policjanci cofnęli się odruchowo o krok.

– W pociągu dokonano kradzieży. Sprawdzamy wszystkich bez wyjątku pasażerów i zgodnie z procedurą muszę przeprowadzić oględziny tej... tego... – podinspektor zająknął się.

– Łóżka – skorygowała hrabina chłodno. – Sypiam w tym, więc jest to łóżko. Proszę, może pan obejrzeć.

Zływilk z rosnącym powątpiewaniem przyjrzał się „łożku”. Rozmiar był odpowiedni, by ukryć w nim nawet całkiem pokaźną ilość butelek, ale była tam poduszka, materac, pudełko czekoladek marki Kapitan Blood... Podinspektor zajrzał pod grube prześcieradło.

– Ziemia...? – zdumiał się, wytrzeszczając oczy.

– Ziemia z rodzinnego cmentarza jaśnie pani hrabiny – wtrąciła się panna Stachelturn. – Przepraszam, na czym innym miałyby spać porządny wampir?

– A nie twarżo na tym?

– A panu nie przeszkadzają te włochate uszy? – odgryzła się pannica.

Zływilk zainteresował się jej kapeluszem. Był wielki, wręcz gigantyczny i o rozmiarze nie decydował jedynie nawał koronek, piór i wstążek. Z całą pewnością można było w nim przemycić, oczywiście nie całe sto, ale na pewno kilka litrów „żywca”.

– Przepraszam, co pani ma pod tym kapeluszem?

– Włosy – głos paniusi mógłby służyć do zamrażania lodów.

– Niemożliwe.

– Owszem, możliwe.

– Czy mogę prosić o zdjęcie nakrycia głowy? – naciskał Zływilk.

– Proszę z góry uprzedzić, czy mam zdjąć coś jeszcze. Może od razu zrobić striptiz?

Od strony klatki z kotem dobiegł osobliwy dźwięk, jakby zwierzę dostało ataku kaszlu.

– Dziękuję. Kapelusz w zupełności wystarczy – odparł podinspektor ze słodyczą. Takim tonem mówi się na przykład: „wnusiu, żeby cię lepiej...”.

Pod osobliwym nakryciem głowy istotnie znajdowały się włosy. Warkocz gruby jak nadgarstek, spiętrzony w ciasny zwój, co wyglądało jakby jego właścicielka nosiła na głowie tłustego węża boa.

– To... to wszystko pani własne?

– Co do jednego – zaznaczyła panna Stachelturn.

– Chyba nigdy ich pani nie podcinała?

– Nigdy w życiu. Cierpię na syndrom unerwienia włosów. Nie obcinam włosów, tak jak inni nie obcinają sobie palców.

– Czy to już wszystko? – spytała cierpko wampirzyca, kładąc się na powrót do trumny. – Jeśli tak, proszę zawołać tragarzy i zamówić nam fiakra.

Zływilk kiwnął głową, pokonany. Wyglądało na to, że sto litrów żywca po prostu wyparowało. Panna Stachelturn natychmiast podniosła klatkę z kotem i ruszyła do drzwi wyprostowana, z wdziękiem Murzynki dźwigającej na głowie kosz manioku.

* * *

– Mało nie umarłam na serce, kiedy ten policjant zajrzał pod prześcieradło – oświadczyła Rapunzel.

Siedziała na skraju hotelowego łóżka, mozolnie wyplątując z warkocza gumową rurkę, metr za metrem. Nie mogła jej wyrzucić zwyczajnie za okno w pociągu. Zbyt wiele skoków kończyło się fiaskiem z powodu głupich przypadków. Dowodu przestępstwa należało się pozbyć świadomie i efektywnie, tego już zdążyła się nauczyć. – A ja bym umarła, gdybym już nie była martwa – dodała Śnieżka. – Cały czas się bałam, że dno nie wytrzyma, zarwie się albo zacznie przeciekać. Dodatkowe sto kilo! Gdyby temu glinie przyszło do głowy pomacać

ziemię, na pewno by wyczuł, że jest mokra, i już byśmy się nie wywinęły.

– Po to Rex objął je blachą, żeby wytrzymało. Teraz tylko przywiezie parnik, skroplimy towar do butelek i zakończymy sprawę z Trzecim.

– A potem...

– Ameryka!

– Hollywood!

– Las Vegas!

– Aaaaameeeen! – zakończyły dziewczęta chórem.

* * *

Uświęconą tradycją i wręcz aksjomatem jest to, że z trzech braci dwóch starszych zawsze ma rozum, poważanie i majątek (czyli są statecznymi, nudnymi mieszczanami), trzeciego uważają za głupiego, ale za to jest szczęściarzem, zgodnie z wiadomo jakim przysłowiem.

Inspektor Maria Sierotka doszła właśnie do cichego wniosku, że prezes Żywca pomylił się w rachunkach i Jan Emanuel O’Kocim nie może być jego trzecim synem. Nie uwzględnił jakiejś nieślubnej latorośli, albo pani prezesowa miała kogoś na boku. Nic chyba innego bowiem nie mogło tłumaczyć Jasiowego niefartu.

Aktualnie najmłodszego członka rodziny O’Kocimów ekipa techników policyjnych wyciągała z wojskowego kotła okazałych rozmiarów – takiego, w jakim gotuje się zupę na kuchni polowej. Kocioł stał w opuszczonym magazynie, a magazyn znajdował się na peryferiach dzielnicy, nomen omen, Wodyczki.

– Jak myślisz, morderstwo czy samobójstwo? – odezwała się inspektor, pochylając się nad mokrymi zwłokami położonymi na brezentowej płachcie. Szczęściem trup był stosunkowo świeży. Zływilk zakaszłał, oganiając się ręką od dymu. Znow ten przekłety fotograf i jego magiczne proszki... Zastanowił się. Pytania szefowej często zawierały ukryty haczyk.

– Za samobójstwem przemawia to, że klient jest, za przeproszeniem, w samych gaciach. Niby czemu ktoś miałby mu kazać rozbierać się przed śmiercią? I nic nie zginęło, nawet portfel został w kieszeni marynarki. – Zływilk kciukiem wskazał stosik niedbale porzuconych ubrań. – I jeszcze to, że pokrywa nie była zamknięta na klamrę, chociaż morderca, oczywiście, mógł ją otworzyć po fakcie. Gdyby ktoś chciał go zabić, czemu miałby go topić w garnku? Betonowe skarpetki, jakiś most – tak się takie sprawy załatwia. Według mnie gość wszedł do tego kotła samodzielnie.

– Ale czy dobrowolnie? – Palec inspektorki skierował się w stronę papierowej torby na dowody, gdzie spoczywał znaleziony w magazynie rewolwer.

– Jeśli ten drugi facet miał gnata, to czemu klienta zwyczajnie nie kropnął? – zaproponował Zływilk. – To jednak spora fatyga z tym kotłem. Po co tu w ogóle ten kocioł?!

– Brak śladów przemocy – mruknęła inspektor, nadal oglądając trupa. – Żadnych sińców, zadrapań, nie ma ran obronnych. Wygląda to tak, jakby facet zanurkował i już nie wypłynął. W garnku o pojemności... – inspektorka zerknęła na tabliczkę – sto pięćdziesiąt litrów. I czy to nie dziwne, że dokładnie tydzień temu jego tatusiowi ktoś buchnął sto litrów Żywej Wody...?

– Daje do myślenia – zgodził się Zływilk.

Jeden z techników skończył właśnie pokrywanie specjalnym proszkiem rzeczonoego „garnka”.

– Jest parę ładnych odcisków całej dłoni, trochę pojedynczych, niektóre zamazane, ale coś z tego na pewno się nada... i jakieś zwierzę. Hm... – Policjant przyjrzał się przez szkło powiększające. – Kot...?

* * *

– Nie wiem... – Rapunzel potrząsnęła głową. – Mam jednak wyrzuty sumienia.

– Na wyrzuty stosuje się maść z nagiętka – odparła chłodno Śnieżka, wylegująca się na sąsiednim leżaku. Mimo że po słońcu zostało tylko wspomnienie w postaci złotoróżowego paska na granicy nieba i wody, wampirzyca nie zrezygnowała z wielkiej panamy i przyciemnianych okularów. Nad plażą szumiały palmy poruszane ciepłą bryzą, w pobliskim barze orkiestra grała charlestona, rozlegał się śmiech i rozmowy par rozkoszujących się wieczornym spacerem nad brzegiem oceanu.

– Och, Penny... Lubisz zdrobnienie Penny, prawda? To nie była nasza wina, próbował nas oszukać! – odezwał się Rex, gestykulując ręką, w której trzymał drinka z białego rumu i mleka.

– Ale myśmy chcieli go oszukać pierwsi. I w planach nie było... tej rzeczy na M. – Rapunzel miała dość zasadniczy charakter.

– To kwestia dyskusyjna, Penny. Nie wiesz, czy Trzeci nie miał zamiaru wystawić nas do wiatru od samego początku, a sama przyznasz, że u nas zmiana planów nastąpiła nie od razu.

– Dopiero kiedy upewniłam się, jak ciężkim idiotą jest w istocie! – dodała Śnieżka ze wzgardą. – Puniu, znaczy Penny, ten facet celował w ciebie z rewolweru! Towar wart dziesięć milionów chciał zużyć na kąpiel mającą mu dać nieśmiertelność. Jakby nie można było tego załatwić w sposób znacznie prostszy i tańszy. – Znacząco pokazała kły. – Zresztą jestem absolutnie pewna, że społeczność wampirów nie zyskałaby na Janie Emanuelu, raczej wręcz przeciwnie.

– Na szczęście zadziałałem w porę – pochwalił się Rex dumnie.

– Tak, mój dzielny koteczek zwalający wrogom na głowę ciężkie pokrywy. – Śnieżka pieszczotliwie podrapała go za uchem. – Jesteś szatańsko przystojny w tej amerykańskiej sportowej koszuli.

– Czy moje amerykańskie walory podnosi fakt, że jestem wart prawie trzy i pół miliona dolarów?

– Niezaprzeczalnie, koteczku. Chodźmy potańczyć, moja ty seksowna skarbonko.

Rapunzel westchnęła dyskretnie. Czowała się jak ilustracja przysłowia: Pieniądze szczęścia nie dają. Ale z drugiej strony, znacznie lepiej być nieszczęśliwą i bogatą, niż nieszczęśliwą i ubogą. I jednak wolała martwić się na hawajskiej plaży, niż w jakimś tanim hoteliku w Breslau.

A mleczko kokosowe dobrze robi na włosy, prawda?

Maja Lidia Kossakowska

Urodziła się w roku 1971 w Warszawie. Z wykształcenia plastyk i archeolog śródziemnomorski, z zawodu autorka fantastyki.

Laureatka Nagrody im. Janusza A. Zajdla, Srebrnego Globu, Złotego Kota i „Śląfky”. Debiutowała w roku 1997 w magazynie literackim „Fenix”. Swoją pierwszą powieścią *Siewca Wiatru* (2004) otworzyła polski rynek dla angelologicznej fantazy. Następnie wydała dwa tomy powieści *Zakon Krańca Świata* (2005/2006). W roku 2007 nakładem Fabryki Słów ukazały się: zbiór opowiadań *Więzy krwi*, powieść *Ruda sfora* oraz drugie wydanie *Siewcy Wiatru*, książki w polskiej fantastyce prekursorskiej i już klasycznej; w roku 2008 również anielskie *Żarna niebios*, a w 2009 cykl *Upiór Południa*.

**Maja Lidia
Kossakowska**

Smak kurzu

*– Gulistan – mówi – to ogród róż,
W ogrodzie – mówi – strumienie.
Róże? Na skronie – mówi – róże włóż,
Strumienie – mówi – to cienie.*

„Bal u Salomona”

Konstanty Ildefons Gałczyński

Tomkowi, w Ogrodzie Róż, do rąk własnych

Kiedy klęczysz na piasku z lufą rewolweru wepchniętą głęboko w usta, czujesz przez materiał spodni najdrobniejsze kryształki kwarcu wrzynające się w kolana. Powietrze ma smak żelaza i soli. Niebo w kolorze wypranego jeansu lśni kryształowo, a gołębie niepokoju krążą tuż nad twoją głową, śpiewając „Hosanna”. Świat rozmazuje się i drga wymalowany barwami pieprzonego van Gogha, a ty wiesz, że nic już nie będzie tak samo jak kiedyś. Przed tobą stoi wielki, czarny niczym zbiornik na deszczówkę facet z gębą jowialnego pastora z opakowania „Posiłku kwakra”. Przypomina doktora Doolittle według rysunku autora, ale w topornej kwadratowej dłoni, zamiast uratowanej z opresji morskiej świnki, ścisną kolbę największego colta jakiego widziałeś w życiu.

Reszta colta kaleczy ci właśnie podniebienie i uporczywie próbuje wepchnąć się do gardła. Czujesz, że za chwilę się zrzygasz, jak w dziecięcych czasach w gabinecie laryngologa.

Klęcząc z rękami związanymi na plecach, słyszysz dżdżownice czołgające się pod ziemią i muzykę sfer niebieskich. Szuranie wielu par zdartych zelówek i skupione, pełne namaszczenia oddechy pozostałych mężczyzn.

– Alleluja! – trąbi kwakier nosowym głosem tukana. – Bracia, zgromadziliśmy się tutaj, żeby pozbyć się szatańskiego pomiotu! Mocą patriarchów i proroków zmieciemy go oto z powierzchni ziemi. Zepchniemy w cuchnące głębie piekła! Strącimy do najgorszych otchłani!

Tłumek pomrukuje z aprobatą, znów szura nogami, jakby to była istotna część rytuału.

Beczkaty Doolittle uśmiecha się triumfalnie. Porusza nieco bronią, lufa szoruje ci o zęby. Jego wielkie, czerwone łapy przywodzą na myśl gotowane kraby. Segmentowane, zrogowaciałe pancerze skóry pokryte wypustkami krótkich, ciemnych włosków.

Ręce boga.

Próbujesz przełknąć ślinę, ale tylko nerwowo drga ci grdyka, jakby metalowa śmierć w ustach wysssała całą wilgoć z twego serca. Oczy też masz suche. Rozszerzone, błyszczące, wpatrzone w wieczność za plecami kwakra.

– Chwalmy Pana! – wrzeszczy ktoś z tłumu.

– O tak! Zaprawdę! – podchwytuje krabioręki bandyta, który zamierza zepchnąć cię w infernalną ciemność. – Chwalmy Pana, albowiem dzięki Jego łasce wytropiliśmy między nami pomiot zmijowy!

Jezu, pomiot to chyba jego ulubione słowo. Pewnie powtarza je częściej niż „dobranoc”, albo „poproszę jeszcze dwa piwa”.

– Bracia! Oczyśćmy nasze dusze! Wyrzeknijmy się Złego! Mocą Jozuego i Mojżesza!

Mocą Habakuka i Izajasza, odeślijmy tę wrażą istotę do piekieł!

Raczej mocą Smith&Wessona. Albo Samuela Colta. Albo innego natchnionego świętego męża od kul i prochu.

Znowu twoja grdyka przeładowuje się na sucho, glyk, glyk. Nagle wydaje ci się bardzo ważne, żeby przypomnieć sobie nazwę i model rewolweru. Chryste, co to jest? Colt Python? Peacemaker? Navy? Było chyba coś takiego. Rozpaczliwie obracasz w głowie te słowa, jak nadzieję na ocalenie, jak zaklęcie, jak modlitwę. Prawdziwe imię da ci magiczną władzę nad każdym. Nawet kawałkiem pieprzonego, zabójczego metalu. W każdym razie Valerie tak twierdzi.

Do diabła, możesz się przynajmniej dowiedzieć, jak się nazywa narzędzie, którym cię właśnie zabijają, co?

– Odejdź czarci pomocie i nie nęčaj już nigdy ludzkich dusz słabych i trwoźnych! – grzmi tymczasem kwakier. – Apage! Wypędzam cię! Odganiem od naszej wspólnoty!

Co to, jasełka są? „Egzorcysta” część ósma? Boże Święty, naprawdę to zrobi! Zrobi, posraniec jeden! Odbiło mu na poważnie.

Zaczynasz się trząść. Zęby dzwonią o metal jak loretańskie dzwonki. Słyszysz, jak serce między twoimi żebrami zatrzymuje się na chwilę, a potem wali na alarm. W skroniach krew zasuwa rwącą rzeką. Jeszcze moment i trzaśniesz na zawał.

– Alleluja! – ryczy doktor Doolittle.

– Alleluja! – podchwytyją ochoczo zgromadzeni.

A ty wiesz już, co zaraz nastąpi.

Kłęczysz na piasku, z rękami związanymi na plecach, a w ustach masz chłodną gładkość lufy.

Słyszysz dżdżownice czołgające się w głębi ziemi i zgrzyt sfer niebieskich nad tobą.

I modlisz się żarliwiej niż kiedykolwiek w życiu.

Modlisz się o cud.

Ale, niestety, chłopie. Popyt na cuda zawsze przewyższał podaż.

Więc czerwone szczytce kraba naciskają spust i wielki, gruby pocisk prześlizguje się po twoim języku, a potem wylatuje z połową potylicy, miazgą z kości, skóry i mięsa, oraz całym tym gównem, które masz w głowie.

To tyle, jeśli chodzi o cuda.

Umierasz. Właśnie tak to wygląda.

Alleluja!

* * *

– Znowu to zrobiłeś. Dałeś się załatwić jak dzieciak, Robin. Spieprzyłeś sprawę i tyle. Zawsze wiedziałam, że z ciebie nie będzie krztyny pożytku. Nieudacznik. Bękart. Głupi,

męski palant. Cienias bez jaj.

Miłe powitanie, co? Ale typowe.

Valerie przeciąga się w pudełku po ołówkach, ziewa bezwstydnie, nawet nie zakrywając ust. Pokazuje długie, cienkie zęby drapieżnika. Bardzo nieludzkie zęby.

Hałas mi szkodzi. Światło też. Głowę mam całą poskładaną z lepkich, kanciastych kawałków. Dobra, wygląda jakby była cała, ale wszyscy wiemy, że przed chwilą rozprysła się niczym rozdeptany arbuz. W środku mieszka ból i oślepiająca jasność, pozostałość po pocałunku rewolweru. Muszę spać. Sen poskleja czaszkę, zmyje osad cierpienia, pozwoli mi jeszcze trochę nieżyć, pograży mnie w infernalnym mroku wedle życzenia mego kumpla kwakra.

Gdybym potrafił mówić, wyjaśniłbym, gdzie najchętniej wsadziłbym fochy Valerie. Ale litościwy sen zamyka mi usta. I powieki. I ocalałe resztki mózgu.

Regeneracja. Długa regeneracja. Oto czego teraz mi trzeba.

– Robin! Palancie! Suczy synu! Dość się naspasłeś! Spieprzyłeś wszystko, a teraz masz zamiar się wylegiwać w resztkach gówna? I niby co? Myślisz, że ja na to pozwolę? Niedoczekanie!

Reszta ginie w niezrozumiałym belkocie jakichś walijskich czy staroceltyckich przekleństw.

Valerie. Mój aniołek. Moja dobra wróżka. Elf o motyliach skrzydełkach.

Znowu się wkurzyła. Okłada mnie pięściami i ciągnie za włosy. Typowe. Któregoś dnia kopnie w kalendarz w takim ataku szału. A wtedy wyrzucę ją przez okno jak zdechłego owada. Nie mogę się doczekać.

Tymczasem naciągam kołdrę na głowę.

– Spadaj. Jestem zmęczony.

– Zmęczony? – turkusowe oczy Valerie robią się okrągłe z oburzenia. – Coś podobnego! To już szczyt chamstwa! Marnujesz mój czas, dajesz się rozwalić, wracasz bez jednego, nędznego, krzywego skarbu i jeszcze ośmielasz się narzekać! Nie wierzę! No nie wierzę, Robin, ty dumny bastardzie!

No i koniec ze spaniem. Teraz to i ja się wkurzyłem.

Siadam na łóżku.

– Mówiłem, że to idiotyzm. Ostrzegałem. Nie ma sensu wysyłać mnie do jakichś kretyńskich sekt. Wcale nie mają więcej potencjału niż normalni ludzie. Ze zwykłego połowu wracam z lepszymi wynikami. Od takich posrańców tylko z rozwaloną głową. To wasza wina, że teraz przez kilka dni będę do niczego. Twoja i Cronnacha! I możesz mu to ode mnie przekazać, razem z serdecznymi powinszowaniami. Jeśli zdechniecie przez ten czas, to wiedz, że mało mnie to obchodzi. Ja przez was umarłem piąty raz! Piąty raz, Valerie! I o te cholerne pięć za dużo! A teraz znikaj! Wypad z baru i nie ośmielaj się wchodzić mi w oczy przed następną pełnią. Wynocha! Muszę się przespać.

Valerie jakby straciła rezon. Wraca na nocny stolik i siada na pudełku po ołówkach.

– Rany, Robin. Nie bierz tego tak bardzo do serca. Raz się udaje, raz nie. Jestem trochę porywczą i tyle. No, nie złość się. Wieczorem znów spróbujemy.

Jakim wieczorem? Durna laska. Nie wkroczę w przedzę snów przez dobry tydzień.

Boże, jak mnie głowa boli. Ściskam dłońmi skronie. To nic miłego paść na piach z rozwalonym łbem. Przysięgam, to wcale nie jest fajne. Nawet jeśli wiesz, że prawdopodobnie znów ożyjesz, boisz się jak diabli. Umiera się zawsze tak samo. Za każdym razem naprawdę.

Proszek. Gdzie ja położyłem proszki przeciwbólowe?

– Robin?

– Nie mów tak do mnie! – warczę wściekle. – Nie tak mam na imię!

– Och, też coś. Wszyscy tak macie na imię – wydyma usta. – Po waszym wspólnym, kosmatym, jurnym tatku, szanownym panie Goodfellow. Nie bzdycz się już, to nudne.

To właśnie jest najgorsze w fairies. Zachowują się jakby miały cyklofrenię z atakami co trzy minuty. Przed chwilą mnie opluła i skopała, a teraz cieszy pyszczek i wdzięcznie zakłada nóżkę na nóżkę.

– Wiesz, jak się naprawdę nazywam, kwiatuszku. Inaczej nie miałabyś nade mną żadnej władzy. Nie musiałbym harować, żeby spełniać wasze idiotyczne zachcianki.

Valerie wybucha śmiechem jasnym jak górski strumyk. Jakbym opowiedział dobry dowcip.

– Jej, głuptasie. Jasne, że wiem. Ludzie są tacy niemądry. Ich nazwiska można przeczytać na każdym świstku papieru. Ale twoje drugie, prawdziwe imię, to najstarsze, zdradziła mi twoja mamusia. Dla dobra całego *L'Autre Monde*.

– A ja przeżywam właśnie *le merveilleux breton*, cudowności bretońskie. Podróże do krainy Fairie i podobne atrakcje.

– Przecież jesteś częścią Fairie. Zawsze byłeś – chichocze Valerie. – Jesteś dzieckiem Tamtego Świata, mój biedny, głupiutki *petit Robin*.

Ano, ma rację. Inaczej nie byłoby jej tutaj. Inaczej nigdy nie mógłbym jej zobaczyć. Wróżki. Elfa. Cyklofrenicznej wiedźmy. Jak tam wolicie.

Valerie podrywa się z pudełka, trzepocze skrzydełkami.

– Rany, Robin! Która godzina? – Potyka się o mój zegarek. – Cholera! Pięć po dziewiątej! Czego nic nie mówisz!

Wzbija się w górę i pędzi w kierunku telewizora. Słyszę, jak obija się po salonie niczym pijana ćma.

– Robin, ty piekielny kretynie! Gdzie pilot?! Zaraz się złączą „Wichury miłości”, a ty znów podziałeś gdzieś pilota. Doprowadzasz mnie do szału, zezwierzęcony bastardzie! No, nie! Leży na kanapie! I jak ja go teraz podniosę, idioto?

Na szczęście, pudełko środków przeciwbólowych czeka spokojnie w szufladzie stolika. Połykam wesołą, czerwoną kapsułkę. Wsuwam się pod kołdrę i próbuję złapać choć odrobinę

snu. Wtedy proszki lepiej działają. W salonie Antonia nie może zrozumieć, dlaczego Enrique tak bezlitośnie potraktował biedną Soledad. Valerie, jak zwykle, poradziła sobie z pilotem.

* * *

Valerie naprawdę jest elfem. Malutką istotką z motylimi skrzydłami i charakterem lady Makbet, która panoszy się w moim domu i uwielbia brazylijskie telenowe. Przecież to bajki, nie? A fairies kochają zmyślane historie.

Przybyła z rok temu, żeby wywrócić do góry nogami moje uporządkowane życie. Prawie mnie nie opuszcza. Myślę, że Cronnacht nie pozwala jej zbyt się stąd oddalać. Czasami jednak na posterunku zastępuje ją Kryspin, Barnaba albo nudna jak śnięta ryba Viviana.

Valerie ma trójkątny, wąski pyszczek, najczęściej do złudzenia przypominający ludzką twarz, ale czasem obcy, jak maska upiora w chmurną noc. Mordkę widmowej łasicy pod cementarnym kamieniem. Nie umiem tego inaczej opisać. Jej włosy są rude barwą jesiennych klonów, a oczy zupełnie turkusowe. Przywodzą na myśl dwa czyste, martwe jeziora na alpejskim stoku.

Valerie sepleni i udaje francuski akcent. Kiedy wpada w furję, klnie w niezrozumiałym języku, zupełnie pozbawionym samogłosek. To chyba walijski, bo pełno w nim jakichś „nn”, „gwn” i „mwr”. Lubi piwo, na które uporczywie mówi „cwrw”.

Ma wzrost i figurę minilalki Barbie. W każdym razie takiej, jaką miały dziewczynki w czasach mojego dzieciństwa. Kiedy oderwało się głowę takiej lalce, na końcu szyi pozostawała mała, gładka kulka, pozwalająca obracać się w różne strony różowej, plastikowej czaszce. Czasem, gdy mam ochotę urwać łeb Valerie, myślę, że na jej cienkim, magicznym karku zobaczyłbym podobną gałkę. Nadprzyrodzony, martwy mikrocefal z motylimi skrzydłami.

Ale Valerie wcale nie przysła sama. To nie ona powitała mnie w pięknym, rozległym, pieprzonym *L'Autre Monde*, kiedy umarłem po raz pierwszy.

Niestety, wcale nie Valerie.

* * *

Cronnacha ujrzałem, kiedy przejechał mnie samochód. Wszedłem późno z gabinetu, dzień miałem ciężki jak nagrobek z lastriko, więc wstąpiłem na drinka do „Bugatti”. Maleńki bar świecił w mroku nocy niczym porzucona choinkowa lampka. Na szczęście pan Tymoteusz, stały bywalec, spał już snem utrudzonego cieśli, z głową wdzięcznie opartą o stół, więc nie zasypywał mnie mętными teoriami o wszechświatowym spisku bezimiennych „onych”. I cudnie. W pracy mam dość podobnego belkotu. Wypiłem trzy „Chivasy”, niech tam, prywatna praktyka szła mi wtedy całkiem nieźle, a potem wkroczyłem w mgliste,

listopadowe zimno, żeby przespacerować się do domu. Mieszkam ledwie kilka przecznic od „Bugatti”; jeśli ośmielę się wezwać do baru taryfę, taksiarze patrzą na mnie jak na zużyty kondom, więc zwykle wracam piechotą. Zresztą spacer przed snem to samo zdrowie, nie?

Moje słodkie, brzydkie miasto o tej porze trwało już w kompletnym letargu, jak odwrotny wampir. Nie świeciły nawet pojedyncze okna. Już po paru chwilach zmarłem na kamień, więc klnąc pod nosem, wydłużyłem krok. Echo odbite od ścian kamienic oklaskiwało szyderczo moje maratońskie wyczyny.

Facet w mercu był chyba pijany, bo nawet nie przycisnął hamulca. Wielki, krawaciarski samochód wyskoczył zza rogu niczym szarżujący nosorożec. Takie też miałem szanse. Jak w starciu z afrykańską żywą skamieliną. Dymnął mnie całym impetem rozpędzonej góry metalu, przewodów, chromów i skóry, aż oderwałem się od ziemi i poszybowałem w bok. „Mamo, mamo, ja fruwać, robię to samo co Sowa!”, jak skwitowałyby Maleństwo.

Czarodziejski lot zakończył się, gdy wałęsam potylicą o chodnik. Usłyszałem tylko obrzydliwy dźwięk, jakby ktoś rozdeptał wielkiego owada i wokół zapadł wieki mrok. Gęsty, atramentowy, utkany z ciszy i bezwładu. Mrok śmierci.

Wiem co mówię, umierałem jeszcze cztery razy i za każdym tak to wygląda.

A potem rozsunęła się magiczna kurtyna i zobaczyłem Cronnachta. Wrzasnąłem chyba. Mało kto by nie wrzasnął. Człowiek tuż po zgonie jest wystarczająco zestresowany, naprawdę. Jeśli spodziewa się wizyty, to raczej kochanej dawno zmarłej babuni, świetlistego anioła stróża o słodkim uśmiechu, poczciwego staruszka Piotra, lub ostatecznie różowego obłoku boskiego miłosierdzia.

Nie ponaddwumetrowego stwora o końskiej twarzy, zielonych włosach i błękitnej skórze.

I żeby było zupełnie jasne. Nie chodzi o to, że Cronnacht ma wydłużone oblicze. On po prostu wygląda jak uczłowieczony koń stojący na tylnych łapach. Morski koń, dla ścisłości.

Uśmiechnął się, a był to najbardziej upiorny widok, jaki ujrzałem w życiu. Do tej pory staram się odwracać spojrzenie, kiedy Cronnacht się śmieje.

Ukucnął obok mnie, wyciągnął strasznie długi, trupio zielony palec i dźgnął mnie potężnie w klatkę.

– No, proszę. Puk. Ale bastard. A to dobre. Los mi sprzyja, bracie.

Mówił łagodnym melodyjnym głosem wieczornej fali, a w jego oczach o stalowym błysku nieustannie przelewał się ocean.

Oczywiście, wyglądał jak potwór, ale jednocześnie wydał mi się nieziemsko niewiarygodnie piękny. Prastary koński anioł. Fomorianin. Ale tego nie mogłem wtedy wiedzieć.

– No, wstawaj. Nic ci nie będzie. Musimy pogadać, pukoludku.

Nie mogłem wstać, nie potrafiłem się odezwać, tylko bezwiednie kłapałem ustami niczym ryba rzucona na piach. Schwycił mnie za ramię i pociągnął. Jakby dotknęło mnie morze, uderzyła fala, poniósł cichy, zakłęty sztorm. Uśpiony huragan. Takie to było uczucie.

Usiadłem na trawie, która gęsto porastała chodnik. Rozległe, szaleńczo zielone wzgórza ciągnęły się aż po skalisty klif oceanicznego brzegu. Ogromny, szary przestwór wody zlewał się w nieskończonej dali z horyzontem. Śpiewał. Przysięgam, że śpiewał, a gdyby tylko przerwał swoją potężną, przerażającą, monotonna pieśń, świat zawaliłby się jak wieża z zapalek.

Ośmieliłem się obrócić nieco głowę.

Za moimi plecami stał las pokręconych, gigantycznych drzew, tak starych i pokracznych, że przywodziły na myśl budowle obcych. Ale były żywymi roślinami, których skłębione, szumiące, rosochate myśli prześlizgiwały się tuż na granicy mojej świadomości. Rozmawiały ze sobą, a raczej snuły niekończące się wspomnienia o czasach, gdy gwiazdy były młode, a człowiek nie powstał jeszcze z gliny i boskiego zamysłu.

A pod tym wszystkim wciąż była listopadowa noc. Ciemne zarysy kamienic majaczyły w głębi zieloności wzgórz, trawa przebijała się przez asfalt jezdni, mech pokrywał chodniki, drzewa wrastały w witryny sklepów i klatki schodowe domów.

To właśnie kolejny problem z Fairie. Jest zawsze tuż za rogiem.

– Co...? – jęknąłem. – To...?

Cronnacht ponownie się uśmiechnął, a moje flaki wykonały fikołka ze zgrozy.

– Wróciłeś do *L'Autre Monde*, Farlandii, Szczęśliwego Kraju. Witaj w domu, pukoludku – powiedział.

A potem wyjawiał mi całą prawdę o moim nieprawym pochodzeniu.

* * *

Są w życiu chwile rodem z serialu. Zdarzają się. Momenty, w których się dowiadujesz, że twoja siostra tak naprawdę jest twoją matką, matka babką, a ojciec smolarzem z dzikiego lasu, ulubionym wujciem, kuzynem cioci, kochankiem babci, listonoszem czy co tam jeszcze chcesz. Że cię adoptowano, i to nie do końca tak, że po prostu ładnie się opalasz, tylko twój tato był Zulusem. Straszne chwile konfrontacji, gdy krzyczysz wszystkim w twarz: „Och, dlaczego mi o tym nie powiedzieliście!

To trudne dni. Wiem, bo niektórym ludziom potrafi się całkiem od tego pomieszać w głowie, a wtedy ja i podobni do mnie czarodzieje od psychiki starają się im pomóc.

Ale, chłopie, ostrzegam cię, jeśli twoim narodzinom towarzyszyły dziwne, chętnie przemilczane okoliczności, jeśli ciotki i babki łapią się, wzdychając, za serce, a mężczyźni prezentują kamienne twarze, albo opowiadają o cudach medycyny, miej się poważnie na baczności. Jeśli byłeś wcześniakiem odratowanym na progu śmierci, pulchnym bobaskiem, który zaczął dziwnie schnąć i kwękać, i równie niespodziewanie wrócił do zdrowia, maleństwem, które zaginęło na kilka godzin, a potem dzięki szczęśliwemu zrządzeniu losu odnalazło się całe i nietknięte, uważaj.

Bo istnieje realna szansa, że masz przesrane jak mało kto.

Ja podobno przyszedłem na świat martwy. Odłożono mnie więc na stolik i zajęto się pilniejszymi rzeczami. Na przykład moją matką, która też wykazywała chęci, żeby podążyć w zaświaty. Dopiero kiedy operacja się skończyła, pielęgniarka zbierająca narzędzia zauważyła, że domniemany trupek rusza się wcale żwawo i coś do siebie cichutko mruczy.

Wszyscy odetchnęli z ulgą, a cała ta dramatyczna sytuacja na szczęście nie odbiła się znacząco na moim dalszym rozwoju.

W dzieciństwie byłem nieco samotniczym typem, zagłęzionym w krainie fantazji, ciągle otoczonym rzeszą wymyślonych przyjaciół, święcie wierzącym w magię i cudowne krainy, do których można się dostać, odwiedzając składzik na strychu, starą pralnię, czarodziejską jabłoń czy przelaząc przez lustro jak Alicja. Lustra lubiłem szczególnie. Gotów byłem przysiąc, że fragmenty pokoju niewidoczne w tafli wyglądają zupełnie inaczej niż w moim domu, a nocą i w cichych, sennych chwilach słonecznego popołudnia coś przemyka pod nogami odbitych w zwierciadle mebli.

Szczególnie egzaltowane ciotki lubiły mnie nawet nazywać małym elfem. Fajnie, co? Pomyliły się, ale tylko trochę.

Więc jeśli długo wierzyłeś w świętego Mikołaja, w nocy darłeś się wniebogłoso, bo w szafie krył się potwór, piętnaście razy czytałeś „Narnię” i „Piaskoludka”, a świat oglądany przez kolorową szybkę wydawał ci się całkiem inny niż zwykle, zakarbuj sobie kolejną kreskę na kijku z wieszczymi znakami twojego pecha.

Aha, jeszcze jedno. Zwierzaki. Jeśli lgnęły do ciebie psy, koty, konie czy chomiki, jeśli wylałeś wiadro łez zanim kupiono ci wymarzonego szczeniaczka, jeśli przynosiłeś ze śmietnika wychudłe kocięta i kawki ze złamanym skrzydłem, jeśli gapiełeś się godzinami na rybki, papugi, szynszyle i szczury w witrynie sklepu zoologicznego, jeśli upierałeś się, że musisz jeździć konno, albo hodować irlandzkie teriery pasterskie, nie ma rady. Symptomy są oczywiste.

Jesteś podrzutkiem jakiejś lekkomyślnej lecz frywolnej fairie.

Oczywiście, jeśli sentyment dla zwierząt zamienisz na serdeczne umiłowanie przyrody, prawdopodobnie nie urodziłeś się Pukiem. Jeśli naprawdę dobrze czujesz się tylko w lesie, można przypuścić, że twoja szanowna mamusia była driadą. Obsesyjnie uwielbiasz morze? Jeziora? Nigdy nie kupiłbyś skrawka ziemi, jeśli w pobliżu nie płynie choćby rzeczka? Nie istniejesz bez żeglowania, pływania, tapłasz się w każdym bajorze bez względu na pogodę? Zapewne jesteś owocem zapomnienia się jakiejś najady.

I tak dalej. Dla każdego coś miłego.

Zapaleni grotolazi mogą mieć coś wspólnego z ciemnymi elfami albo gnomami. Miłośnicy wesołej Irlandii, Guinnessa i garnków ze złotem, ogarnięci manią chodzenia z wykrywaczami metalu, pewnie w przeszłości mieli związek z Leprekonami. Wariaci skaczący na bungee lub rzucający się z samolotu ze spadochronem znaleźliby być może w rodzinie

jakaś sylfide.

Ja na przykład jestem Pukiem. W połowie, oczywiście. Wszystkie podrzutki z *L'Autre Monde* są bękartami.

Mieszkańcy Szczęśliwej Krainy nie mają zbyt rozwiniętego instynktu macierzyńskiego. Niektórzy rodzą się z deszczu, wykluwają z jajek w sowych lub kruczych gniazdach, powstają z porannych promieni słońca, lęgną pod wilgotnym kamieniem. Czasem w pełni dorośli, czasem nie, ale zawsze całkowicie zdolni do samodzielnego życia.

Więc kiedy jakaś wesoła elfia panna ma ochotę na przygodę z ładnym pasterzem, drwalem, żeglarzem czy nawet turystą, a przygoda ta okazuje się brzemienna w skutkach, cała wspólnota fairies popada w lekką psychozę. No cóż, wrzeszczącą, bladą gąsienicę ze zbyt ruchliwymi odnóżami trzeba natychmiast komuś podrzucić. Ale nie lisom, wilkom czy borsukom. Z sąsiadami lepiej mieć dobre stosunki. I wtedy ktoś wpada na pomysł genialny w swojej prostocie.

Oddajmy toto ludziom! W końcu do nich należy, no nie?

Wszyscy cieszą się więc i klaszczą, bo problem został rozwiązany, w dodatku zgodnie z wielowiekową tradycją. Szybciutko biegną na rozstaje, skraj miasta, odludny cmentarz, pustą dzwonnice, w poszukiwaniu potencjalnych rodziców dla drącego dziób kłopotu. Ale zwykle nie spotykają tam żywej duszy. Niektórzy, rozczarowani niepowodzeniem, po prostu zostawiają odmieńców własnemu losowi, uważając, że i tak zrobili co do nich należało. Niemowlęta, które krewni z Fairie porzucają w podobnych miejscach, mają zwykle mniej szczęścia, niż ich pobratymcy ulokowani w kołyskach czy szpitalnych łódeczkach. Są bowiem i takie odpowiedzialne młode mamy, które wolą mieć pewność, że ich ukochane, choć niechciane maleństwa nie zamarzną na śmierć lub nie padną ofiarą zdiczałych psów. Na tym jednak ich rodzicielska czułość zwykle się kończy. Zmywają się pędem, nie odwróciwszy nawet głowy. Spieszą się przecież. Cała Fairie będzie szaleć do rana z okazji wycięcia ludziom takiej fajnej sztuczki, a na imprezie nie może zabraknąć głównej uczestniczki wydarzeń.

Dzięki, mamó. Naprawdę dzięki. Bodajbyś mnie wrzuciła do studni.

Naprawdę lepiej stać się obiadem kundla czy lisa, niż po trzydziestu kilku latach dowiedzieć się, że twoi ukochani, najlepsi na świecie rodzice przez cały czas wychowywali półmagicznego bękarta elfiej lafiryndy.

A moja nieodżałowana mamusia nie była nawet wróżką, tylko zwykłą Puką. Żadnych tam motyli skrzydełek, zniewalających spojrzeń, tajemnego powabu i porażającej urody. Męczyli was w szkole „Snem nocy letniej”? Założę się, że tak. Więc pewnie pamiętacie takiego nieco kosmatego gościa o nazwisku Robin Goodfellow, przezywanego również Pukiem? To mój pradziadzio. „Wesoły duszek leśny, znany z licznych psot i figli”. Rzygać się chce na samą myśl.

Fajna rodzina? No, myślę. Równie dobrze w każdej chwili może zawitać u mnie kretyński

ogrodowy krasnoludek z piwnym bandziochem i nosem syfilityka, który przedstawi się jako mój wujek ze strony matki. We wszystko już jestem w stanie uwierzyć. Cholera, wolałbym pojawić się na świecie jako syn *glaistig*, uwodzicielskiej wampirzycy ze szkockich gór. Przynajmniej wyszałaby z mojego głupiego tatunia całą ochotę na szybki numer na leśnym szlaku i nigdy bym nie oglądał mdławego słońca Fairie.

A tak siedziałem na gęstej murawie chodnika, zbyt oszołomiony żeby kląć i złorzeczyć, a konioglowy Cronnacht przyglądał mi się rozbawionymi oczami pełnymi oceanu.

Dziwne, że ani przez chwilę nie wątpiłem w jego rewelacje? Ano, wcale nie. Bo ten przeklęty Fomorianin nie poprzestał na prostej opowieści. Bla, bla, jesteś jak ten Kajtuś Czarodziej czy inny Piotruś z Nibylandii. On mi wszystko dokładnie pokazał. Zwyczajnie wyświetlił w głowie, jak rodzinne wideo ze ślubu czy stypy. Tylko mało kto ma szansę oglądać ze szczegółami własne poczęcie. Młodego turystę, który postanowił odpocząć nieopodal urokliwego jeziora w górach i akurat kiedy przegryzał kanapkę z mieloną, ujrzał w krzakach uśmiechniętą, drobną dziewczynę o rozczochranych włosach i nieprawdopodobnie zielonych oczach. Zupełnie nagą dziewczynę, warto dodać. Mamusia nie lubiła tracić czasu.

Tato widocznie też nie, bo długo nie trzeba go było namawiać.

„Właśnie cię montują, pukoludku”, powiedział wtedy Cronnacht w mojej głowie, jak komentator z Discovery, „Nieźle im idzie, co? Moje gratulacje. Czyż to nie romantyczna chwila?” I zarechotał, aż mnie ciarki przeszły.

A potem wyświetlił mi inne Puki. Moich przyrodnych braci, siostry, rzesze ciotek, kuzynów i powinowatych, aż do samego Robina Goodfellow.

Prawowici Pukowie mają ostre rysy, oczy jak trawa lub woda, wydłużone, zaostrome uszy i ni cholery nie przypominają normalnych ludzi. Nie z tymi dziwnymi twarzami chochlików, włosami jak mech lub kłęczą turzycy, smagłą albo bladą niby mgła skórą i gibkością leśnego stworzenia.

W skomplikowanej, prastarej hierarchii krainy Fairie stoją chyba nieco niżej niż elfy, czyli skrzydlate wróżki, jak Valerie czy Kryspin, ale znacznie wyżej niż gnomy, koboldy, skrzaty domowe i cała masa drobniejszego tałatajstwa. Opiekują się zwierzętami, doglądają młodych w wilczych norach, znoszą martwe myszy głodnym małym borsukom i lisom, wyczesują jeże z pcheł i igliwia, nastawiają dzieciom złamane skrzydła, starają się wypłacać z sideł sarny czy zające, zanoszą porzucone, płaczące kocię pod próg litościwego człowieka, wyrzuconego z domu starego psa zaprowadzą na podwórko gospodarza o miękkim sercu. W ogóle użyteczne z nich istoty. Tylko za nic nie nadają się na rodzinę dla człowieka.

W ogóle niespecjalnie kochają ludzi.

I mają kły albo dwa rzędy zębów.

Chcielibyście poznać prawie gołą, zielonkawą w kolorze ciocię, zębatą jak podwójny rekin?

Gdybym mógł wtedy dorwać moich biologicznych, głupich, niefrasobliwych rodziców, wzorem innego kuzyna z Fairie, Redcapa, zamordowałbym oboje, a w ich krwi pofarbował nie tylko słynną czerwoną czapeczkę, ale cały garnitur z krawatem i skarpetkami.

Ale prawdziwe problemy miały się dopiero zacząć.

Cronnacht uprzejmie odczekał chwilę, aż nieco przyszedłem do siebie, a potem swobodnym tonem wyjaśnił, czego ode mnie oczekuje.

I wtedy dopiero pojąłem, jak bardzo mam odtąd przesrane.

* * *

Przędza snów nie należy do sfery Fairie, mimo że poddani królowej Mab mają nad nią pewną władzę. Podobno ta największa czarodziejka i władczyni elfów panowała kiedyś całkowicie nad materią ludzkich majaków, ale od dawna już gryzie jabłka na rajskiej wyspie Avalon, skąd nie ma powrotu ani do ziemskiej dziedziny, ani do słodkiego *L'Autre Monde*.

Sny są więc pogrążone w wiecznym bezkrólewiu. Pozbawione kontroli, pasą się ludzkimi lękami, frustracjami, fantazjami erotycznymi i szaleństwami, rozrastając w zupełnie przypadkowych kierunkach. Przywodzą na myśl okropnie zarośnięty żywopłot, a raczej labirynt utworzony z żywopłotu. A środkiem tego pokrętnego, zachwaszczonego tunelu pędzi noc. Przelatuje ze świstem i hurkotem od fioletowego zmierzchu do szarości świtu. Jeśli wydaje wam się, że życie w cholernym tempie, bez chwili na oddech, to nie macie nawet pojęcia, jak potwornie szybko śnicie. Obrazy, sytuacje, postaci i rekwizyty zmieniają się częściej niż sceny w hollywoodzkim filmie akcji. Można wyśnić długi, wielogodzinny koszmar w ciągu jednej minuty. Wiem, bo przecież w tej branży teraz pracuję, dzięki uprzejmości Cronnacha.

Kiedy tylko robi się ciemno, prześlizguję się między świadomością a snem, aż na granicę Fairie. Sunący z zawrotną prędkością strumień ludzkich majaków przywodzi na myśl rozpostarty w czarnej pustce światłowód, chociaż to raczej napowietrzny tunel utkany z fosforycznej, złotawej przędzy snów. Wewnątrz, uśpione ludzkie dusze transportowane są z głębin podświadomości wprost na rozświetloną, w pełni racjonalną jawę dnia.

Stoję na skraju *L'Autre Monde*, zawieszony w atramentowym mroku bez dna, jak zwykle trochę niepewnie, bo moje stopy opierają się o pustkę, a pod nimi rozpościera się głębia. To tak, jakbym znalazł się na gigantycznej, krystalicznie czystej szybie rozpiętej nad przepaścią, tylko jeszcze gorzej. Ponieważ żadnej szyby nie ma. Jest jedynie moja przeklęta, niezbyt czysta krew Puka, dziecka Innego Świata. I moc starożytnej królowej Mab, która pozwala odmieńcom z Fairie wkraczać w dziedzinę snów i trochę tam czasem namieszać.

Ja nie będę mieszał, tylko kradł. Ale i tak odrobinę mi słabo.

Przędza snów drga, napina się i kołysze, siejąc wkoło złoty poblask. Powinienem po prostu podejść, rozgarnąć włókna i znaleźć się w środku. Niby proste, co? Przędza jest jednak

giętka, elastyczna, śliska. Może mnie odrzucić w mrok, gdzie po wieczność będę pędził życie godne głębinowej ryby.

Dobra, nie wolno się wahać. To osłabia.

Robię raz, dwa, trzy kroki po szkle nicości i dopadam przędzy. Kiedy już zagłębi się w niej dłoń, okazuje się ciepła, puchata, czasami nieco szorstka w dotyku. Zdecydowanym ruchem rozdzielam włókna i wskakuję do środka.

Podróż przez ludzkie sny przypomina przepychanie się przez zatłoczone metro. Ścisk, rozbłyśki światła i ciemności, gorące oddechy, szmery głosów i nieustanny łomot nocy tuż za plecami.

Sny pędzą szybko, jak ekspres na stację poranka.

Tylko że w tych wagonach nie jadą zwykli podróżni, a uwolnione, głodne i złe duchy podświadomości. Kiedy rozdzielam przędzę i ostrożnie wsuwam się w głąb nocy, mam wrażenie, że wsiadam do pociągu pełnego szaleńców. Mogę zbadać cały zakres stanów emocjonalnych i chorób umysłowych. Są wszyscy, od psychopatów, po katatoników. Siedzą na podłodze, kiwając się monotonnie. Tłuką twarzami o szyby. Płaczą histerycznie, kalecząc sobie ręce czy policzki. Dźgają na oślep widmowymi nożami, gwałcą, mordują lub uciekają, przebierając nogami w miejscu. Większość wrzeszczy. Ci cisi są na ogół smutni, obejmują ramionami głowy albo wyciągają ręce do utraconych krewnych czy rozwiewających się w pył marzeń. Rzadko kto wydaje się spokojny, uśmiechy na bladych ustach widuję jedynie sporadycznie. Są jak małe światełka w tunelu nocy.

W końcu śnimy głównie koszmary, prawda?

Śpiący nie widzą mnie ani siebie nawzajem. Nie mogą. Są ślepi. Oczy mają zasnucone snami. Widać, jak obrazy drgają na gałkach szeroko otwartych oczu, ale nawet dla mnie to tylko kolorowe, rozmyte plamy. Trochę jak na ekranie rozstrojonego telewizora.

Delikatnie rozsuwam złote, miękkie, delikatne pasemka przędzy, posuwając się do przodu, ku mżącemu w oddali niebieskiemu poblaskowi przedświt. Tam kończy się noc i moja praca na tej wachcie. Jakiś wysoki mężczyzna o twarzy wykrzywionej stroboskopem nieustannych tików krzyczy coś wprost w moje ucho i wymachuje pięściami, ale huk przelatującej nocy zagłusza słowa. Oczy śpiącego są pokryte fosforycznym, błękitnym bielmem. Znak, że znajduje się w głębokiej fazie rem. Jego fizyczne ciało rzuca się teraz niespokojnie w łóżku, ale dusza podróżuje wraz ze mną w ekspresie snów.

Wkraczanie w przędzę snów to parszywa robota. Nie dziwię się, że mało kto w Fairie ma dość siły, żeby się tu zapuszczać. Ja też nie dałbym sobie rady, gdybym nie był praktykującym psychiatrą. To znaczy praktykującym jeszcze przed rokiem, bo dzięki wizytom Cronnachta i jego skrzydlatych przyjaciół, moja praktyka poszła się popieścić.

Nie można w dzień leczyć wariatów z urojeń, a wieczorami zbierać okruchy ludzkich koszmarów.

Bo tym się właśnie zajmuję. Wyciągam z ludzkich snów wszystkie te fragmenty,

pokruszone kawałeczki i ostre odłamki majaków, które mają coś wspólnego ze światem fantazji. Słowem, nie obchodzi mnie lęk przed utratą pracy czy chorobą dziecka, nawet jeśli przybiera postać okropnego potwora. Muszę znaleźć w głębi snu pierwotną cząstkę strachu przed magią, nadprzyrodzonym, nieznanym. Więcej mam pożytku z prostego koszmaru pełnego obawy przed ciemnością, niż z rozbudowanej, surrealistycznej wizji pełnej dziwnych stworów i owadziogłowych aniołów, jeśli jego podstawę stanowi prosta troska o domowe finanse.

Nie czytam snów. Nie potrafię. Ale mniej więcej wiem, przed jakim potworem ucieka śpiący. To intuicja i praktyka pracujące w jednym zaprzęgu. Przesuwam się między obłąkanymi cieniami śpiących ludzi. Nic. Lęki na tle zaburzeń erekcji, strach przed starością, zawistną koleżanką, umykającym bez perspektyw życiem. Przędza gęstnieje, dusi za gardło, przytłacza. Oblepiają mnie strzępy cudzych złych snów. Tak samo jak na jawie, w pracy. Smutno mi, ciężko. Chce mi się płakać, w piersi zalega wielki kamień. Nagrobny. A do świtu tak daleko. Jeśli będę przebywał w tym syfie przez kolejne i kolejne noce, rozpiję się albo wpadnę w depresję.

Gdzieś niedaleko płacze dziecko. Zawodzi rozpaczliwie jak zepsuta trąbka. Przesuwam się bliżej. Jasne, tak jak myślałem. Nic ciekawego. Jakieś koleżanki mają ładniejsze lalki, markowe ciuchy czy wypchanego, gadającego kucyka, który żre plastikowe marchewki, a potem wypuszcza na dywan schludną, plastikową kupę. Dzieci to złudny towar. Wydawałoby się, że będą doskonałym materiałem, ale tak naprawdę rzadko można z nich wyciągnąć porządny kawałek snu. Skarb, jak powiada Valerie.

„Och, Robin, ty patalachu. Znowu dziś wracasz bez skarbu, przyznaj się!”

Nie, zaraz. Coś mi się zdaje, że nie tym razem. Jest. Tamta blada, długowłosa kobieta w kącie. Zaplątana głęboko w przędzę niczym wałka w kokonie pajęczyny. Ogromne, rozszerzone oczy ma pełne snu. Kolory, moc, pełnia wizji. Jasne, nie mylę się. Ona wierzy, wierzy całym sercem w mój kochany, pieprzony *L'Autre Monde*. Pewnie wiccanka albo zwolenniczka New Age. Balansuje na granicy schizofrenii, jeśli już jej nie przekroczyła. Tańczy na drucie nad przepaścią, z kieszeniami pełnymi suszonych ziół i talizmanów z króliczych łapek. Super. Co za cholernie dobry sen. To znaczy, oczywiście, zły. Ale za to pełen głębokiej, atawistycznej magii.

Cronnacht podskoczy ze szczęścia na swoich mokrych kopytach wodnej chabety.

A Valerie wreszcie zamknie jadaczkę. Przynajmniej na chwilę.

Zbliżam się powoli, przeciskając przez tłum śniących wariatów bijących spod powiek blaskiem telewizyjnej emisji. Muszę uważać. Kiedyś od jednego zamaszystego śpiącego tak oberwałem w pysk, że omal mi szczeka nie wypadła. Pewnie mu się wydawało, że bije kochanka żony, albo znieawidzonego szefa.

Nurkuję pod pachą ogromnej, szlochającej rozpaczliwie matrony, odpycham chudego wyrostka pogrążonego w letargu wiecznej zimy emocjonalnej i zaczynam rozsypywać

przędę otaczającą kąt widmowego wagonu. Moja śpiąca królewna porusza się nerwowo, jakby coś przeczuwała. Cholera, nie powinna być przywiązana do tego snu. Jest naprawdę paskudny.

Odgarniam ostatnie złociste pasma sennej mgły. Twarz dziewczyny jest wykrzywiona smutkiem i strachem. Usta poruszają się, jakby starała się coś wytłumaczyć komuś, kogo powołała do krótkiego, nocnego życia po drugiej stronie rzęs. Jest ładna, lecz teraz odpychająca w swoim czystym, nieosłoniętym konwenansami społecznego życia szaleństwie.

Widywałem nieraz takie twarze w psychiatryku. Oczy zwrócone na Farlandię. Na bretońskie cudowności. *L'Autre Monde*.

Wyciągam dłoń i zatrzymuję centymetry przed jej prostym, zgrabnym nosem. To najgorsza chwila. Żeby zabrać sen, muszę dotknąć oczu śpiącego, jakbym chciał uzdrowić go ze ślepoty. Podświadoma, naga część ludzkiego umysłu jest zimna, grząska i nieprzyjemna.

No już. Weź głęboki oddech i do roboty. Nie pierwszy raz.

Moje palce powoli zbliżają się do oczu dziewczyny, pogrążają w ezoterycznym cielem. Cichy trzask jak przy wylądowaniu elektrycznym. Dłoń parzy lodowa iskra. Wzdragam się jakbym dotykał trupa albo zmaterializowanego ducha.

Ale sen leży już spokojnie w mojej dłoni. Śpiąca wzdycha słabo, jej spięta do tej pory twarz odpręża się, wiotczeje. Dziś nie będzie już wizji, moja mała czarownico. Tylko ciemność aż do zbliżającego się rana.

Jezu, ale się zmęczyłem. Widocznie w pełni nie doszedłem do siebie po spotkaniu z kwakrem i jego kolegą, coltem 44. Wiem, że noc jeszcze młoda, ale chrzanię. Należy mi się odpoczynek. Dość tego. Wracam. Też kiedyś muszę się zdrzemnąć. Cronnacht dostanie taki kawał energetycznego ogniwa, że nie ośmieli się mnie opieprzyć.

Odwracam się, żeby przez przędę wymacać drogę powrotną, kiedy to następuje. Głębokie drzenie, jakby tąpnięcie z samego wnętrza materii snów. Cień, ogromny cień przesuwany się wzdłuż pędzącej nocy, groźny i ciężki jak pikujący F-16. I równie przerażający. Ma kształt ogromnego zwierza, rozpostartego wysoko ponad nami wilka czy niedźwiedzia. Jest głębszy od czarnej dziury i równie zabójczy. Bije od niego lodowy, krystaliczny chłód.

Wilk Fenrir uwolnił się z trzewi ziemi i zwiastuje Ragnarok, czy co? Ale starożytni germańscy bogowie są teraz słabsi od skrzatów domowych i całkiem zdziecinniali. To nie może być on.

Cień jest tuż nad nami, zawraca. Spuszczam szybko wzrok. Lepiej na niego nie patrzeć, kimkolwiek się okaże. Po co niepotrzebnie zwracać uwagę.

Potężna fala strachu, przekleństwa i gniewu spada na nocny ekspres. Wariaci zaczynają wrzeszczeć, miotają się jak ryby z wylanego na ziemię akwarium, padają na podłogę w konwulsjach. Dziewczyna, której zabrałem sen, osuwa się po ścianie bezwładna jak szmata.

Przędza snów drży, sypie iskrami, zapala i gasi pomarańczowym płomieniem

rozciągnięte, złociste włókna. Śniący wyją głośniejsz niż potępiący. Wpadają na siebie, popychają, tratują. Na oślep, z powiekami zalepionymi snem starają się uciec z płonącego wagonu, widma. Rozgarniam ich ramionami, odrzucam jak ciężkie snopki, ale tłoczą się na mnie, gniotą, napierają. Jakbym się znalazł w wagonie pełnym oszalałych ze strachu krów. Ślepych krów. Za chwilę mnie rozdepczą.

Tu już nie ma miejsca na sentymenty. Walę w mordę najbliższego, dużego grubasa o czerwonej twarzy, kolejnemu sprzedaję kopa w krocze. Pada na kolana, a ja wywracam na niego wysoką blondynkę przy kości. Teraz już wiem, co to znaczy walczyć z bandą zombie.

Na szczęście, przedza zaniósł pechową wiccankę dręczoną złymi snami w sam kąt wagonu i tam oplótł wokół niej gruby, puchaty kokon. Zanurzam ręce w kłęby złocistej wełny. Strzelają płomykami wyładowań, aż krzywię się z bólu. Moje dłonie kłają czerwone iskry. Otwieram przedzę, rozrywam na siłę, żeby wydostać się na zewnątrz. Jakiś śpiący zombie kopie mnie serdecznie w kostkę, czuję, jak potyka się o moje nogi i przewraca z impetem, przygniatając mi plecy.

Cholera, co za diabeł zdołał tak rozbijać materię przedzy?

Później się zastanowię. Teraz trzeba wiać. Złota wełna rozstępuje się wreszcie, owiewa mnie zimny powiew pędzącej nocy. Udało się, myślę, i skaczę w mrok.

Uderzenie nie jest tak potężne, jak podczas moich pięciu śmierci. Widać tym razem nie umarłem. Otwieram oczy, żeby spojrzeć na znajomy sufit sypialni. Pościel jest mokra od potu, skłębiona. Drzę z zimna i przerażenia. Zęby mi stukają jak kastaniety. Nigdy jeszcze nie przeżyłem niczego podobnego w nocnym ekspresie. Owszem, czasem któraś ze starożytnych potęg przepływa tuż nad powierzchnią snów, wzbudzając nieco złote nici przedzy, ale nigdy nie ciągnie wzdłuż nurtu nocy, wyraźnie burząc jego strukturę, jak ten psiokształtny, mroczny koleś.

Czuję, jak sen dziewczyny drży obok mojego serca. W świecie Fairie sam jestem naczyniem na koszmary. W realu czeka na nie pusta flaszka po chivasie. Odkręcam korek i ostrożnie wdmuchuję sen w głąb szkła. Przypomina bladą, opalizującą mgłę. Do rana stanie się całkiem niewidoczny. Zdołają go dostrzec tylko oczy elfów i Cronnacha.

Kładę się z powrotem na łóżku. Tej nocy nie będę już spał. Nie pozwolę, żeby ten widmowy kundel, czy co to tam jest, dorwał mnie bezbronno po drugiej stronie nocy.

Chmura ciemności w formie wilczura, która ma widocznie jakiś żywotny interes pośród zwykłych, ludzkich koszmarów? Nie podoba mi się to. Nie podoba, ni cholery.

Nie mam pojęcia, co się dzieje, ale boję się jak diabli.

Bo ten cień kogoś szuka. A ja mam dziwne, paranoiczne przeczucie, że szuka akurat mnie.

* * *

Łups. Coś ciężkiego, kosmatego ląduje na łóżku. Gwałtownie otwieram oczy, wciągając głęboko oddech, jakbym wynurzał się z wody. Zasnąłem. Musiałem zasnąć, chociaż obiecałem sobie, że tej nocy za nic nie zostanę pasażerem sennego ekspresu.

Coś obok ucha burczy jak mały agregat. Szorstki pyszczek wciska mi się w oko, wibrysy łaskoczą policzek. Tym razem to nie mały troll z Fairie, tylko moja kotka, Krewetka. Usiłuje polizać mnie w nos, jednocześnie łapką odgrzebując kołdrę.

– Ależ Kreweciu – mówię. – Ledwo świta. Pan śpi. Daj panu odpocząć, mała zmijo.

– Mru – powiada Krewetka, pakując pazurki głębiej pod kołdrę.

Nie jest jakoś specjalnie podobna do skorupiaka. Ma jasnoszarą sierść w ciemne prążki, jak słynny kociak z reklam „Whiskasu”. Ale kiedy była malutka, futerko na jej grzbiecie przybrało jakiś taki beżowy, różowawy odcień, przywodzący na myśl słabo opieczoną krewetkę tygrysią. Stąd to niezbyt kocie imię.

Znalazła mnie kilka lat temu, na podwórku kamienicy. Jestem pewien, że zaczęła się specjalnie, żeby mnie zdybać. Jakby wiedziała, kto nie odmówi pomocy samotnemu, głodnemu kocięciu. Ledwo zbliżyłem się do ganku, wypełzła z piwnicznego okienka i weszła mi na but. Razem z ogonem sięgała akurat od noska do węzła sznurowadeł. Za nic nie dała się odzepić, płacząc wniebogłosy, zanim nie obiecałem, że zabiorę ją do domu.

Najpierw chciałem wkręcić upartą znajdę rodzicom, potem kumpłowi, który ma dzieci, ale Krewetka nie dała się wyrzucić. Od pierwszej chwili uznała, że jest na swoim.

Zawsze miałem słabość do zwierząt, a do kotów w szczególności. Pewnie przez tę pukową krew. W dzieciństwie chciałem nawet zostać weterynarzem, ale szybko doszedłem do wniosku, że nie zniósłbym nawiedzających mnie we wspomnieniach duchów tych wszystkich kotów, psów, koni czy królików, których nie zdołałbym ocalić. W końcu zostałem psychiatrą. Oczywiście, to bardzo ułatwia profesję złodzieja snów.

– Co za zbieg okoliczności – powtarza Cronnacht z parszywym uśmiechem.

Drań, dopilnował wszystkiego. Pewnie miał na mnie oko od kiedy byłem dzieckiem. Fomorianie odeszli w głąbie oceanu przed wieloma wiekami, ale zawsze byli cholernie silną rasą. Za silną, żeby Puk czy człowiek mógł im się sprzeciwić.

– Mruff! – złości się Krewetka i próbuje ugryźć mnie w głowę.

Dobra, w porządku. Wcale nie zasypiałem, zamyśliłem się tylko.

Kotka patrzy na mnie z powagą odbłaskowymi oczami nocnego drapieznika, jakby chciała powiedzieć coś ważnego. OK, przyznaję. Kiedy dowiedziałem się, że jestem Pukiem, próbowałem do niej zagadywać. Krewni Robina Goodfellow znają ponoć mowę zwierząt. Tak przynajmniej twierdzą książki o celtyckiej mitologii, których całe kopy kupowałem, gdy tylko dowiedziałem się rewelacji o swojej rodzinie. Gówna prawda. Może i znają, ale chyba nie kocią. Mimo że próbowałem pomiaukiwać na różne sposoby, efekt pozostawał żalospny. Krewcia przyglądała mi się jak debilowi, z litością i pobłażaniem.

Co nie znaczy, że czasami nie warto spróbować.

Większość zwierząt, zwłaszcza nocnych, żyje blisko krawędzi Fairie. A koty, konie czy psy szczególnie. W wielu kulturach wierzy się w ich wieszczcze właściwości i związki ze światem nadprzyrodzonym. Nasze zwierzaki po prostu więcej widzą. A czasem i wiedzą więcej. Co mi szkodzi zapytać.

– Skup się Krewetka, bo to ważne – mówię z powagą. – Widziałaś może psa? Wielkie, widmowe bydlę z kłami i pyskiem jak szafa? Tu albo w Fairie, wszystko jedno. W każdym razie w pobliżu domu.

Zielone oczy kotki zwięzają się. Krewcia odskakuje, jeżąc grzbiet. Jej ogon przypomina szczotę do szorowania butelek.

– Chhhhhh! – mówi dobitnie, ze złością. – Chhhh! Chhhh! Wwwwwyyy!

Rany, aż takiej reakcji się nie spodziewałem. Czasem odnoszę wrażenie, że Krewetka mnie rozumie, ale nigdy tak jednoznacznie nie dała temu wyrazu.

– Co to za pies? Jest zły? Mam się go bać?

Kolejna porcja prychnięć i wściekłe machanie ogonem.

– Ściga mnie? Zrobi nam krzywdę?

Kotka cofa się, fuka noskiem. Już się trochę uspokoiła, ale ogon wciąż przypomina wycior do działła. Patrzy mi intensywnie w oczy, jakby chciała uruchomić przekaz telepatyczny.

– Wiesz coś o tym psie, prawda? To nie zwykły kundel z podwórka, który cię przestraszył. Znasz tego stwora? Jest z Fairie, mam rację?

Krewcia zaczyna się leciutko kołysać, a ja wiem, że to z wysiłku. Tak bardzo chce mi przekazać coś, czego nie rozumiem. Zielen kocich ślepiów staje się głęboka, nakrapiana złotymi plamami, jak ciemny las latem.

– Cccwwmmm... – odzywa się niewyraźnie, słabo, gdzieś za moimi oczodołami, prosto w głowie. To szalone, dziwaczne uczucie, aż zapiera dech w piersi. W mojej czaszce miauczy kot. Mam ochotę zacząć krzyczeć, przerwać to, uciekać. Ale staram się brnąć dalej.

– Co? Cw... co? – nie rozumiem ani słowa.

Krewetka siedzi nieruchomo jak figurka Bast.

– Cwn. Cwn.

Rany, to chyba po kociemu. Nie mam pojęcia, o co jej chodzi.

– Nie, kicia. Nie mogę. To na nic. Nie rozumiem.

– Cwn! – to długie, przeciągłe miauknięcie na granicy płaczu.

Oczy Krewetki jarzą się nieziemskim blaskiem, dosłownie wylaząc z orbit. Boję się, że zemdleje z wysiłku, a ja nie mam pojęcia, jak się robi sztuczne oddychanie kotu.

– Dobrze, słyszałem. Cwn. Sprawdzę – mówię, chociaż wymiauczane słowo nadal nic mi nie mówi, z niczym się nie kojarzy.

Krewcia wstrząsa się nerwowo, mruga i potrząsa łebkiem. Ten cały „cwn” drogo ją kosztował. Wydaje się nieco oszołomiona. Ja chyba też. Niecodziennie toczy się poważne

konwersacje ze swoim domowym zwierzakiem. Nawet, kiedy jest się psychiatrą.

– Dziękuję malutka. Bardzo mi pomogłaś – kłamię, wyciągając dłoń, żeby pogłaskać różowawy grzbiet.

Ale w tym samym momencie w pokoju słychać cichutkie brzęknięcie, jakby ktoś potracił kieliszek. Valerie przybywa. Wcześniej dzisiaj.

Krewetka prychnie ze złością i momentalnie chowa się w zakurzonej ciemności pod szafą. Nie wie, czemu nie znosi wrózek bardziej niż myszy i odkurzaczy.

Złote drobiny pyłu tańczą w powietrzu i po chwili w sypialni materializuje się elf.

Mam dziś poranek pełen niespodzianek.

Niezapowiedzianym gościem okazuje się Kryspin, a nie Valerie.

* * *

– Co się stało?

Cholerna przenikliwość rodem z szóstego wymiaru.

– Nic. Krewetka źle się czuje. Przed chwilą zwymiotowała na kołdrę – odpowiadam, przepraszając w myślach moją dzielną, pełną telepatycznych talentów kocięcę.

Kryspin nie powinien się domyślić, że rozmawialiśmy. Ani że widziałem w nocnym pociągu psa. Ani że przeżywałem jakąkolwiek podobną bretońską cudowność. Nie ufam mu ani odrobinę, chociaż sprawia wrażenie najbardziej sensownego ze wszystkich współników Cronnacha.

Patrzy na mnie podejrzliwie.

– Mogę się spytać, chcesz? Znam język zwierząt.

Macham ręką.

– Nie trzeba. Pewnie wylizala za dużo kłaków. Zresztą boi się was. Nie będzie chciała rozmawiać.

Kryspin uśmiecha się złośliwie.

– Co to znaczy „nie będzie chciała”. Robin, niższe stworzenia muszą nas słuchać. Przymuszę ją i tyle. Dawaj tu tego kota! Pogadamy sobie.

Niedobrze. Sukinsyn mówi poważnie. Łapy precz od mojej kocicy. Nie pozwolę, żeby ją tknęła. Zaczynam jednak spokojnie. Lepiej zrobić go w konia. Pod wieloma względami te latające, małe posrańce są bardzo naiwne.

– Daj spokój – mówię. – Nie stresuj dodatkowo mojego kota. Biedula siedzi gdzieś pod kanapą i próbuje strawić sierść. Co takiego nam powie? Że jej niedobrze? Tyle sam wiem. Popatrz lepiej jaki sen udało mi się złowić.

– Łałłł! – zachłystuje się Kryspin i aż podskakuje w powietrzu. – Super! Ale świeci!

Jezu, dobrze że zajął się czymś innym. Valerie by nie odpuściła. Taka z niej suka. Ale na szczęście uwagę elfa można łatwo odwrócić. Nigdy nie potrafią długo się na czymś skupiać.

Chyba że chodzi o robienie ci na złość.

Kryspin podlatuje do stolika na swoich srebrno-szarawo-czarnych skrzydełkach ćmy i pochyla się nad flaszką ze snem.

– No, niezła sztuka, Robin – mówi z uznaniem. – Naprawdę, robi wrażenie. O, popatrz, ale się kotłuje!

Oczywiście, nie mogę tego widzieć. Nie przy dziennym świetle i w realu.

– Dlaczego Valerie nie przyleciała? – pytam.

Wzrusza ramionami. Moja ruda, neurotyczna Barbie i on niezbyt się lubią.

– Bo ja wiem? Ma sprawy. A co? Nie cieszysz się na mój widok?

Pokazuje w uśmiechu igły zębów.

Nawet się cieszę. Czemu nie?

Tak naprawdę Kryspin jest wcale porządnym gościem. Ma długie, czarne włosy, twarz rockowego gwiazdora, który ćpa odkąd wypełził z kołyski i nosi się jak punkowiec. Najbardziej mnie bawi ta malutka, skórzana kurteczka i glany jak dla myszy. Ale nic nie mówię, bo Kryspin jest drażliwy na własnym punkcie. Jak wszystkie elfy.

Lubię go w pewnym sensie. Wbrew pozorom Kryspin ma dość równo poukładane we łbie. Jak na męską wróżkę, oczywiście.

Stara się nie traktować mnie zbyt z góry i w ogóle pogada czasem, dlaczego nie. To on mi zdradził, że Cronnacht jest Fomorianinem. Chyba nie przepada za swoim końskogłowym szefem, a w każdym razie nie do końca się z nim zgadza.

Czasem mam wrażenie, że pod nastroszonym czubem czarnych włosów elfa kłębią się jakieś wątpliwości. Coś go gryzie, niepokoi czy gnębi. Pewnie chętnie by pogadał, ale się boi. Cronnacha? Prawdopodobnie. Wściekły Fomorianin jest gorszy od trąby powietrznej. W każdym razie gotów jestem się zakładać, że maleńkiego Kryspina w wytartej kurteczce rockersa męczy jakiś ciężki do utrzymania sekret. Za ciężki dla latającej istoty wzrostu długopisu. To tylko przypuszczenie, ale stoi za nim rzetelna praktyka psychiatry. Cholera, kiedyś to z niego wyciągnę. Nawet z krasnoludka o skrzydłach ćmy potrafię zrobić świra, naprawdę.

Patrzy teraz przez szkło butelki, jakby to był ekran telewizora. Pyszczek ma ściągnięty, minę poważną. Wróżkom szybko się zmieniają nastroje.

– Powiedz Robin – zaczyna. – Dlaczego zbierasz sny dla Cronnacha? Nie boisz się, że zrobi z nimi coś złego?

Kryspin rzadko mnie o coś pyta. Valerie i pozostali nigdy. Tym właśnie się różnią. Uśmiecham się krzywo.

– Niby, co? Wylezie z morza i znów zapanuje nad Irlandią? – niby drwię sobie, ale na chwilę robi mi się nieprzyjemnie. Cholera wie, co chodzi po głowie takiemu Cronnachtowi. Może marzy mu się powrót starych, dobrych czasów? To by mnie nie uradowało. Ani trochę.

– No co ty! – Kryspin chichocze tak szczerze, aż wywija w powietrzu salta. – Po co mu

dzisiejsza Irlandia? Owce będzie hodował? Piwo pędził? Też pomysł. Nie, debilu! Cronnacht ma w dupie Irlandię. Przysięgam. No dobra, to po co dla niego pracujesz?

Trochę mi ulżyło. Mój punkowy elf nie umie kłamać. Za to też go lubię.

– Fomorianie są przekonujący – mówię. – Sam wiesz. Powiedziałbyś mu: „Dzięki, stary, ale mam co innego do roboty”?

Kryspin wzrusza w powietrzu ramionami. Wygląda to trochę jakby postać z kreskówki dostała czkawki.

– Pieprzenie, Robin. Jasne, wszyscy się go trochę boimy. Ale tobie zależy. Starasz się. Po co? Nic nie masz do Fairie. Jesteś obcy. Własna matka cię wyrzuciła. Zrobili z ciebie człowieka, chłopie. W niczym nie przypominasz uczciwego Puka. Nawet wyglądasz jak zwykły facet. W Fairie czułbyś się jak pierd w huraganie. To nie twoje miejsce. Dlaczego więc zbierasz te cholerne sny?

Powinienem się poczuć urażony, ale z elfami tak zawsze. Nie liczą się z niczymi uczuciami, prócz własnych.

– Jestem z Fairie, Kryspin – mówię poważnie. – Urodziłem się w połowie Pukiem, chociaż wychowałem człowiekiem. Czy to prawda, co twierdzi Cronnacht? Że umieracie, tetrycjejcie, dziadziejcie, bo ludzie już w was nie wierzą? Że jesteście słabi jak nigdy dotąd? Że całe Fairie się zapada, kruszy, rozlatuje? Niedługo wszyscy będziecie gryźli piach, bo nikt nie stawia w kącie miski mleka dla skrzatów? Jak w „Piotrusiu Panie”? „Szybko, szybko, zawołajcie, że wierzycie we wróżki, bo inaczej biedna Dzwoneczek umrze”? To wszystko prawda, Kryspin?

Odwraca wzrok.

– No. Prawda. Zdychamy, bo w nas nie wierzycie. Nie karmicie nas swoją energią. Snujemy się po Fairie i zupełnie nie wiemy, co robić. Straszymy staruszki i pijaków na rozstajach, żeby w ogóle przetrwać. Oddaliśmy się od siebie, od swojej tradycji, przestajemy dbać o dobre obyczaje, zapominamy o świetlanej przeszłości. Legendarna kraina to teraz tylko kupa degeneratów, frustratów i nikomu niepotrzebnej magii. Warczymy na siebie jak psy, skaczemy sobie do gardeł, bo nigdzie nie możemy użyć naszej mocy. Tak to wygląda, prawnuku nieodżałowanego Robina Goodfellow. Raczej chujowo, trzeba przyznać.

– A sny, które zbieram, są dla was jak baterie, jak ogniwa elektryczne, tak? Ładujecie nimi akumulatory? Możecie przetrwać, bo ja i zapewne inni, mnie podobni, włożymy w przędzę snów i wyluskujemy dla was skarby, jak mówi Valerie?

– Aha. Dokładnie tak.

Celuję w niego palcem.

– No to masz odpowiedź. Nie chcę, żeby Fairie zdechła. Jedni mają powołanie ratować lasy deszczowe, a ja widać muszę ocalić od zagłady Kukulandię.

Kryspin wzdycha.

– Więcej ci powiem. Nie jesteś jedyny. Podrzutki, niechciane bękarty, to teraz nasza

jedyna szansa. Tylko tacy jak wy są w stanie na tyle zrozumieć ludzi, żeby wyluskać właściwe kawałki snów. My, nawet jeśli wejdziemy w przedzę marzeń, jesteśmy jak dzieci we mgle. Te wszystkie nowe myśli, nazwy, symbole. Za cholere nic z tego nie umiemy odczytać. To jakaś pieprzona czarna magia. Wy, ludzie, pojechaliście gdzieś w buraki. Co to ma być te nety, czaty, parametry? Rany, nawet dobry alchemik miałby od tego kaca. Te jakieś posrane technologie, cywilizacje, nauka. Co to za draństwo, mówię ci! W dodatku im głębiej w to wszystko brniecie, tym u nas robi się większy bałagan. Wy odjeżdżacie w pieprzoną erę rozumu, a my? Szkoda gadać. Wpadamy w zupełny odjazd, mistycyzm, marzenia, podobne bzdury...

Urywa nagle, ale po mojej minie widzi, że już i tak za późno. No i poszło. Rozgadał się wreszcie. Alleluja.

– Zaraz, czy ja dobrze rozumiem? Świrujecie, tak? – pytam szybko. – Odbija wam? Im lepszą my mamy technologię, bardziej rozwiniętą naukę, tym wy jesteście bardziej nadprzyrodzeni, nieprzewidywalni i dziwni? Bez nas nie bardzo umiecie myśleć realnie. Stanowimy dla was coś w rodzaju leku na wrodzoną schizofrenię. Jeśli nas nie zażywacie regularnie, pogrążacie się całkiem w szaleństwie, tak?

Kryspin przygryza wargę.

– Na to wygląda, chłopie. Kiedy brakuje nam kontaktu z wami, zamieniamy się w bandę wariatów. Każdy żyje we własnym, zamkniętym świecie. Pojawiają się jakieś dziwne ruchy, sekty, bo ja wiem. A z niektórymi to już całkiem nie można się dogadać. Tracą rozum, mówią od rzeczy. Niektórzy tylko tańczą, bawią się, zachowują jakby całkiem dziecinnieli. Inni, na przykład koboldy czy gnomy, popadają w manię prześladowczą. Zbroją się, masz głowę? Gotowi są wyskoczyć z jakąś wydumaną wojną domową. Czujesz to, chłopie? Paranoja! Z kolei driady i najady zupełnie zdziczały. Tracą zdolność mowy, bełkoczą bez sensu. Z innymi też robi się coraz gorzej. Smutne. To teraz Schizolandia, Robin. Aż przykro patrzeć. Równowaga musi powrócić, bo źle się to skończy i dla nas, i dla was.

Maleńki elf wzdycha, aż pobrzękują sprzączki mysiej kurteczki punkowca.

Nie przypuszczałem, że u nich też sprawy wyglądają tak poważnie.

– Fairie i świat realny leżą na przeciwległych biegunach, które nie mogą bez siebie istnieć, ale też wpływają na siebie. Gdy u nas robi się czegoś za dużo, u was zaczyna tego brakować. Tym razem chodzi o zdrowy rozsądek. Mam rację?

Kryspin ze smutkiem kręci głowę.

– Wcale nie o rozsądek, chłopie. Widzisz, wcale nie. Tylko o to co racjonalne, materialne. Wy zawsze lubiliście porządek. Schematy. Struktury. Twarde ramy. Wzorowaliśmy się trochę na was, to prawda. Mieliśmy królów, władców, dowódców i zwykłych poddanych. Ale kiedy pozbywacie się nas ze swojego życia, pozbywacie się marzeń, szaleństw, wielkich projektów, pędu ku nieznanemu. Rozumiesz?

Rozumiem. Zawsze to podejrzewałem. Bez Fairie nikt nigdy nie wsiadłby na łódź i nie

pożeglował ku nowym horyzontom. Nikt nie przemierzałby pustyń, nie wdrapywał się na Mount Everest, nie wymyślił samolotu. Zamarłaby wynalazczość, wbrew pozorom nauka zakisłaby w starych koleinach. Nie byłoby malarzy, pisarzy, poetów i bardów. Muzyka straciłaby duszę, zmieniła się w zestaw dźwięków do windy czy pod kotleta. Zapomnijcie o lotach na Księżyc, badaniach kosmosu, podwodnych głębiach, odkrywaniu tajemnic przyrody. Zapomnijcie o wielkich przygodach, wyprawach, wyzwaniach. Szlus. Bezpieczeństwo jest najważniejsze. Amen. Tak powiada Wielka Bogini Współczesna Cywilizacja.

Bolesna prawda przedstawia się tak, że bez Tamtego Świata zdiadziejemy i zmarniejemy tak samo jak on bez nas. Nie będzie się liczyć nic, co wielkie, szalone, pełne pasji i niebezpieczne. Bo Fairie to kolorowa strona duszy. Bez fantazji nikt nigdy nie podjąłby ryzyka, nie zaśmiał się w twarz losowi, nie wyciągnął ręki po zakazany owoc.

Słowa, których nie zna i nie rozumie żaden mieszkaniec *L'Autre Monde* ostatnio słychać bez przerwy w naszym świecie. „Bezpieczeństwo”. „Stabilizacja”. „Odpowiedzialność”. Sypią się z gazet, reklam, ekranów telewizorów, sypią z ust notabli, dziennikarzy, specjalistów i zwykłych ludzi. Zabijają w nas pęd do przygody, zabawy, szaleństwa, ryzyka. Wszystkiego tego, co zawiera w sobie magia. Jak może być cudownie, skoro jest bezpiecznie? Jak ma być niesamowicie, czarodziejsko, zaskakująco, skoro wszystko toczy się w ustalonym, uporządkowanym rytmie? Jakie marzenia ma się spełniać, kiedy od kołyski po trumnę trzeba być odpowiedzialnym? Wiecznie, bezwzględnie, nieustająco poukładanym, przewidywalnym i zwykłym? O domku? Dobrej bryce? Kredycie? O drogim gównie z reklam? Litości!

Tracimy kontakt ze światem naszych własnych mitów, marzeń, opowieści i pragnień, i dlatego inni zaczynają nas przeganiać: Azjaci, Afrykanie. Oni nie zapomnieli, nie wyrzekli się swoich magicznych krain. Loa Voodoo nigdy nie były tak mocne. Chińskie, japońskie, koreańskie duchy puchną jak pączki w maśle. Straszą w horrorach, kwitną w starych obrzędach, zabobonach, tradycjach. I obdarzają swoich wyznawców własną siłą. Oddają z nawiązką to, co otrzymały.

Tymczasem nasza cywilizacja marnieje, pogrąża się w pustce i marazmie. Oj, bracie. Lepiej zaraz wrzaśnij na całe gardło, że wierzysz we wróżki, bo inaczej razem z Dzwoneczkiem wszyscy będziemy wachać kwiatki od dołu.

Farlandia to kraina niecodzienności. Nie wiadomo, co to rutyna, a dni nigdy nie są podobne do siebie. W Fairie nasze ukochane, powtarzane jak modlitwy hasła znaczą tylko: „nuda”, „marazm”, „stagnacja”.

Dobra, elfy mają nierówno pod sufitem. Za to my budujemy tam autostradę monotonii wiodącą przez szarą, nudną do zrzygu codzienność.

To drugi powód, dla którego zgodziłem się pracować dla Cronnachta. Muszę ratować nie tylko dziewicze Puszcze Szaleństwa, lecz także własną cywilizację. Nawet Batman nie miał

tak pod górkę.

Zupełna kicha.

Ale Kryspin nie musi o tym wiedzieć. Siedzi na odtwarzaczu CD i macha w powietrzu nogami. Już ma dość poważnej rozmowy. Zrobiliby dla odmiany coś przyjemniejszego. W końcu dzień jest taki piękny. Jak każdy w Fairie.

– Robin? Puśćmy sobie coś czaderskiego. No wiesz, żeby było fajnie. Muzyka poszerza horyzonty. Masz Nirvanę?

Dobrze wie, że mam, ale zawsze pyta. Pewnie zapomina. Elfv nie słyną z tak dobrej pamięci jak słonie.

Szukam Nirvany, a tymczasem Kryspin zaczyna się rozkręcać.

– Wasza muzyka też jest od nas, wiesz? Nie mam na myśli jakichś podskakujących, dumnych boysbandów czy innych jęczących lasek. Ja mówię o prawdziwym rocku. Taki na przykład Steven Tyler. Widziałeś, jak ten gość wygląda? Jaką ma gębę? Musi być od nas, z Fairie. Przysięgam. A Cobain? To elf. Nasza krew. Mogę sobie zaraz łeb urznąć, jeśli to nieprawda! Chłopie, Kurt Cobain urodził się pieprzonym księciem elfów! Słyszałeś „Heart shaped box”? Poezja, Robin! Czysta poezja! Dawaj tę płytę, na co czekasz!

Już zupełnie odjechał. Nie pogadamy sobie więcej o bolączkach krainy Fairie Zapomniał, że coś go gnębiło. Zapomniał o mnie i snach. Słucha. Cały jest teraz muzyką. Wzbija się w powietrze, wyrzuca ręce w górę, kołysze się rytmicznie. Już go tu nie ma. Razem z Kurtem Cobainem szybuje nad zielonymi wzgórzami Nibylandii.

Nie dziwię się. Takie właśnie są. Moje elfy. Mój pieprzony batalion latających świrów.

* * *

Znów objam się o ściany nocnego ekspresu, a noc huczy za cienką ścianą przedzy. Nie mam pojęcia, czy ludzkie sny naprawdę podróżują pociągami, czy tylko ja tak to wizualizuję. W każdym razie dla mnie przedza snów zawsze przybiera postać pędzącego metra. Metra bez przystanków pośrednich. Stacja początkowa – zasypianie. Końcowa – pobudka. A w wagonach dręczeni koszmarami lunatycy.

Można się przyzwyczać, chociaż to dość klaustrofobiczne doświadczenie. Kiedy po raz pierwszy wskoczyłem do ekspresu, po niecałej minucie uciekłem z wraskiem. Teraz sobie radzę. Zaciskam zęby i myślę, że to codzienna praktyka na oddziale zamkniętym. Pomaga.

Nie wiem, czy Cronnacht jakoś wpłynął na mój wybór zawodu, ale podejrzewam, że tak. Pewnie całe dzieciństwo czuwał nade mną jak ogromny, zalatujący morzem koniowaty anioł stróż. Co mu szkodziło szeptać mi nocą do ucha, że psychiatria to taka ciekawa dziedzina wiedzy, a w dodatku przydatna, bo po studiach można nieść pomoc chorym ludziom. Jasne. Raczej dziwnym, starszym niż ojciec Czas stworom, mieszkającym gdzieś na dnie oceanu.

Dokąd Kryspinowi nie wysnęło się, że Cronnacht należy do przedpotopowej, uroczej

rasy Fomorian, nie domyślałem się nawet, z kim mam do czynienia. Ale potem poczytałem sobie nieco o pobratymcach gadającego morskiego prawiekonia. I zacukałem się nieco, przyznając.

Fomorianie rządzą Irlandią w czasach, gdy świat realny nie oddzielił się jeszcze całkiem od Fairie. Byli starożytną rasą czarowników, dziwaków i mutantów. Tylko niektórzy z grubsza przypominali ludzi. Reszta wyglądała jak banda uciekinierów z wyspy doktora Moreau. Potężni mięśniacy z głowami koni, rybołacy o wiecznie smętnych bladych twarzach, chodzący na płetwach nóg, jednookie dziwadła ze zbyt dużą liczbą kończyn, karły o czerwonej jakby upieczonej skórze, pokryci łuskami kolesie przypominający kozły lub jaszczurki czy kościeje z mordami kocurów albo wilków i pazurami u dłoni i stóp. Słowem, niezła gromada paskud, przywodzących na myśl efekt niezbyt udanych eksperymentów genetycznych.

Po części tak i było, bo Fomorianie powstałi podobno z pierwotnych sił chaosu, wyzwolonych w trakcie boskiego aktu stworzenia. A to oznaczało, że mieli cholernie dużo siły i niezbyt przyjazne charaktery.

Nie zajęli całej Irlandii, tylko narzucili zamieszkującym wyspę ludom rodzaj okupacji. Rządzili twardą ręką i nakładali dotkliwe daniny. Zamknęli się w twierdzy pobudowanej wprost na skałach wystających z morza, gdzieś na północnym zachodzie od wyspy. Z samego środka fortecy, jak palec wyciągnięty w obraźliwym geście, sterczała wielka, szklana wieża, pewnie główna kwatery wodza Fomorian, Balora, cyklopa zabijającego spojrzeniem jedyne oko, potężniejszego niż broń laserowa. Ale tego nikt nie mógł wiedzieć na pewno, bo do miasta Fomorian nie sposób było dopłynąć. Zakłute fale i wiry topiły każdą łódź, która znalazła się zbyt blisko murów.

Fajnie się tam mieszało i żyło Fomorianom. Nawet przybycie najeźdźców Tuatha De Danann, plemienia bogini Danu, ludu, z którego ma się wywodzić większość dzisiejszych mieszkańców Fairie, nie zakłóciło spokoju zwierzokształtnych władców Irlandii. Spuścili przybyszom serdeczne bęcki i zażądali należnych trybutów. Tuatha De Danann nie mieli wyboru. Spuścili smętnie głowy i zaczęli płacić. Nie zdołaliby za cholere pokonać Fomorian, gdyby nie pewien bękart Lug Długoreki, nieprawy wnuk Balora. Ten utalentowany młodzieniec, wychowany wśród Tuatha De Danann, doprowadził do wybuchu straszliwej bitwy na równinie Moytury, w miejscu nazywanym Cronnacht. Z początku, jak zwykle, plemię Danu obrywało okrutny wpierdol. Dopiero gdy Lug zabił swego uroczonego dziadunia, przebijając włócznią jego ogromne, mordercze ślepie, los potyczki się odwrócił. Fomorianie, pozbawieni wodza i jego tajnej broni, walczyli dzielnie, ale w końcu poszli w rozsypkę. Ponoć ocalało jedynie czterech, których zwycięscy Tuathanowie wywieźli daleko na odległe wyspy Morza Północnego. Według innej wersji legendy, niedobitki Fomorian zstąpiły bardzo głęboko w morze i żyją tam do dziś.

Tak czy inaczej, mimo że bękart, mam słabe szanse w starciu z Cronnacht.

Oczywiście, nie podał mi prawdziwego imienia. Ale pseudonim, jaki przybrał, powinien mi dobitnie uświadomić, że ten morski wypławek brał udział w bitwie pod Moytury. I przeżył, na moje nieszczęście.

A teraz zbieram dla niego sny.

Przędza marzeń wydaje mi się dziś niespokojna. Lunatycy też jacyś pobudzeni. Krzyczą, gestykulują bardziej niż zwykle. Zdaje się, że tej nocy mało kto śpi spokojnie. Front niżowy idzie, czy co?

Złapałem jak dotąd trzy okruchy koszmarów. Od dziewczynki, która bała się ciemności, młodego chłopaka pogrążonego w upojnych rojeniach o ponętnych wampirzycach i najdziwniejszy, od starszej, nobliwej pani, której śniło się, że rozmawia o zagładzie swojej rodziny z wielkim jak wół psem przybyłym prosto z Piekieł. Zwracała się do zwierza z błaganiami o odroczenie wyroku, a potem zaczęła przemawiać w języku pełnym spółgłosek, który żywo przypominał pogróżki i okrzyki Valerie.

Nie czytam snów. Słyszę tylko zdania wypowiedane przez śniących. Kobieta przemawiała do potwora z rozpaczą, ale też wielkim szacunkiem. I byłbym w stanie przysiąc, że parę razy padło tam słowo przypominające dźwięk „cwn”.

Nie wziąłbym tego snu, ale był wyładowany mocą jak ziemia w Czarnobylu. Mam go teraz w sobie i cały czas czuję jego ciężar, chociaż wiem, że to zupełnie niemożliwe. Cudze sny nie promieniają na nosiciela. Ale ten mi przeszkadza. Uwiera. Cholera. Lepiej wrócę do domu. Muszę zaraz wypluć ten koszmar do butelki po chivasie, inaczej chyba się zrzygam.

Zaczynam się przepychać do wyjścia, gęstej, zasuplanej warstwy przedzy, znajdującej się tam, gdzie zwykle powinny być drzwi w wagonie metra, gdy nagle dociera do mnie ten dźwięk. Niski, wibrujący warkot, przypominający odgłos pracującej turbiny silnika. Przebija się wyraźnie przez turkot nocy i wizg pociągu. I nasila. Z każdą chwilą nasila, jakby odrzutowiec pruł przez wagony, zbliżając się do mnie.

Niedobrze. Nigdy nie słyszałem podobnego odgłosu, ale uwierzcie, wcale mi się nie podoba. W nocnym ekspresie mało która niespodzianka okazuje się przyjemna. A ten dźwięk, ten cholerny niski pomruk staje się coraz mniej mechaniczny, coraz bardziej zwierzęcy. I nieprzyjemnie mi coś przypomina. Bardzo nieprzyjemnie przypomina.

Warkot gigantycznego psa.

Tymczasem lunatycy robią się jeszcze bardziej pobudzeni. Facet w koszuli i krawacie, za to pozbawiony spodni, drze się histerycznie, podskakując i szarpiąc się za włosy. Jego oczy, zakryte bielmem snu, jarzą się jak reflektory-szperacze czystym, kompletnym szaleństwem.

– Nie mam na kredyt! – ryczy, przytupując bosymi nogami. – Mamo! Tato! Nie mam na ratę! Zdechniemy! Zdechniemy! Zdechniemy, kochanie! Pójdziemy na ulicę z dzieciakami i pieprzonym Reksem za pierdolone pięć tysięcy od szczeniaka! On nas ocali! O tak, ocali nas piękna psia miłość! Albo wiem, wiem już! Sprzedam twoje oczy! Niebieskie, najcenniejsze. Bardzo, bardzo drogie. Teraz idą do góry, tak mi powiedzieli. Idą do góry, więc je sprzedam,

a potem paznokcie. Czerwone paznokcie i ucho z kolczykiem z prawdziwych łez! Boże, Boże, ale co potem? Co z drugą ratą? Czy wystarczy kość piszczelowa i jastrzębia ikra? Zdechniemy, kooooochanie! Zdechniemy!

Z garści sterczą mu buńczuki wyrwanych włosów. Odpycham go, ale drań jest silny. Zatacza się, a potem na oślepie zaczyna wymachiwać pięściami.

– Świnie! Świnie! Świnie! – wrzeszczy, a z ust pryska mu piana wściekłości.

Warkot głośnieje. Jezu, i coś zbliża się z prawej strony. Cień. Czworonożny, zębaty cień sunie wzdłuż ściany wagonu.

Prześlizguję się pod wzniesionym ramieniem nieszczęsnego kredytobiorcy, przeciskam się między płaczącą kobietą i siedzącą na podłodze staruszką.

– Żaba liczy zęby, żaba liczy zęby, żaba liczy zęby – mamrocze monotonnie, jakby powtarzała ćwiczenie na dykcję.

I wtedy widzę, że ciemna plama, plama z najeżoną na karku sierścią przemyka pod drugą ścianą, groźna niczym doberman ss. Tylko ze cztery razy roślejsza.

A trzecia przesuwa się ku supłowi przędzy, na spotkanie towarzyszy.

Rany, jest ich więcej. Cały zasrany pociąg zębatach, psich widm. Pieprzyć drzwi! Wskoczę oknem. Byle szybciej dopaść ściany.

Daję susa nad staruszką, gdy ona gwałtownie wstaje. Świat wywija fikołka, walę plecami o podłogę, a impet włacza mi oddech z powrotem do płuc.

– Policzyła! – sękaty palec celuje we mnie jak lufa rewolweru. – A teraz umrzesz!

Umrę. Faktycznie umrę jak cholera.

Bo psie upiory odklejają się od ścian, otaczają mnie warczącym, szczerzącym kły kręgiem. Są przejrzyste jak dym. Mają długie pyski i dwa rzędy małych, pustych, błyszczących oczu, niczym pająki. Napierają na mnie, nie pozwalając wstać. Ich oddech cuchnie mokrą ziemią i piwnicą. Zęby mają barwę i ostrość obsydianu.

Patrzę w ich owadzie ślepią i wiem, że to będzie najgorsza z moich pięciu śmierci. Ostatnia.

Zęby mi dzwonią, serce wali jak gong, a głuchy warkot z psich gardzieli robi podkład muzyczny. Pożegnalna orkiestra na pogrzebie Puka półkrwi.

Brzydkim, krwawym, nieestetycznym pogrzebie.

Bo kto, u diabła, chciałby zostać pożarty żywcem? W dodatku pożarty przez skundlone upiory prosto z Piekła.

Ślepa od snów starowina, która mnie przewróciła, wygraża mi pięścią. Na pomarszczonej twarzy, brunatnej jak stary worek na kaptcie, maluje się wyraz satysfakcji. Krzywe nogi aż po uda grzęzną w karku najbliższego psa, jakby był hologramem, wyświetloną z rzutnika iluzją. Jednak nie jest. Dobry Boże, z pewnością nie jest. Niczego nie mogę być bardziej pewny.

Stwórz warczy, przestępuje z łapy na łapę, zupełnie obojętny, że ktoś drepcze mu w środku brzucha. Obchodzę go, niestety, tylko ja.

Stara mrocznieje nagle. Zakrywa usta dłonią.

– Żaba! – szepcze z przerażeniem. – Żaba to klęska głodu. Liczy śmierć.

Cofa się, opiera o ścianę z przędzy. Bodaj ją diabli wzięli, durną babę! Gdyby nie ona, może zdołałbym uciec. Patrzę z bezsilną złością, jak bez trudu przenika przez czarne, mgliste cielska, znika w głębi wagonu. Ja tak nie mogę. Wiem to na pewno. Dla mnie dymne bestie są realne jak czynsz za mieszkanie i pismo z gazowni.

Leżę na podłodze ekspresu, otoczony sforą widm. Drapieżcy zacieśniają krąg, dyszą. Zeżrą mnie! Chryste Panie! Zeżrą szybciej niż kawałek wołowego z kością.

Lecz nagle, gdzieś z góry, z samego nocnego nieba rozlega się grzmot. Głuchy, ciężki odgłos gromu, który brzmi jak szczeknięcie wilka Fenrira.

– Cwn Annwn! – woła charkotliwym, niskim głosem największy pies, przypadając kornie do ziemi. I robi się ciemno.

* * *

Jeśli przed sekundą miałeś stać się kolacją wygłodniałych psich upiorów, a teraz widzisz rudawe, zardzewiałe od chmur niebo i wyschłe wrzosowisko, możesz być nieco zbity z tropu.

Ale jeśli przed tobą stoi biały jak śniegi Kilimandżaro brytan większy od słonia, musisz się szybko otrząsnąć.

Zwłaszcza jeśli brytan ma oklapłe, szkarłatne niczym świeża posoka uszy, między którymi pleni się bujna trawa.

– Cwn Annwn – mówię bezwiednie.

Nie znam go, a jednak wiem, kim jest, jakby mi się przedstawił. Walijski Pies Piekieł. Okrutny stwór wieszczący nieszczęścia i klęski. Istota z zamierchłej, przedpotopowej przeszłości.

– Dziecię Ziemi – głos Psa jest jak wicher i burza, i zapowiedź mrozu. – Dziecię Pięknej Krainy. Zamierzałem cię pożreć, ale zmieniłem zdanie.

Hosanna! Słodki Boże, jak miło to zabrzmiało. To najpiękniejsze zdanie, jakie przyszło mi usłyszeć w moim zasranym życiu. Popieram w całej rozciągłości. Tylko krowa nie zmienia poglądów, warto je czasem trochę skorygować, naprawdę.

Mam chyba na gębie kretyński uśmiech ulgi, ale Pies nie zwraca na to uwagi.

– Jesteś krzywdą tej ziemi, złem, które pleni się w korzeniach dębu. Bierzesz udział w podłym dziele i dlatego zasłużyłeś na śmierć.

Hej, to mi się nie podoba. Nie można zmieniać zdania tak co chwilę. To paskudny obyczaj.

Cwn Annwn pochyla ku mnie łeb. Wygląda upiornie. Jak smok Fuchur z „Niekończącej się historii”, który przeszedł na mroczną stronę Mocy.

– Powinieneś zginąć, aby nie dopomagać we wzniecaniu niszczącej pożogi, która strawi

wszelkie cudowności Pięknej Krainy! Zaprawdę, karą za to może być jedynie unicestwienie!

Jakiej pozogi?! Bydlak jest wyraźnie stuknięty. Nie najlepiej to wygląda.

Milczę, bo lepiej go nie rozjatrzać. Kto wie, co mu strzeli do bani. Ma kilka tysięcy lat i trawę między uszami.

– Lecz – grzmi deszczowy, chmurny głos stwora – ujrzałem w tobie moc!

Jezu, dzięki. Jak Obi Wan Kenobi w młodym Skywalkerze. Co za szczęśliwy traf. Jeśli chcesz, wysadzę Gwiazdę Śmierci gołymi rękami, albo za pomocą śledzia. Tylko pozwól mi już wrócić do domu.

Nic na to nie wskazuje.

Przez chwilę trwa krępująca cisza. W każdym razie dla mnie krępująca. Cwn Annwn zamyślony gapi się w dal. Chyba całkiem odjechał. Wiatr burzy turzycę na wielkim łbie i karku.

Wtem biała sierść jeży się, potwór wydaje z gardła głuchy charkot, odsłania wielkie jak drągi, błyszczące od śliny kły.

To nie na moje nerwy. Zaraz kiwnę na zawał.

Piekielny Pies patrzy mi prosto w oczy. Ślepia ma czerwone i mroczne jednocześnie.

– Nie w mojej mocy jest pokonać Pierwotnych z morza – warczy aż trzęsie się wrzosowisko. – Ich kłamstwo omamiło za wiele dusz. Ich szaleństwo pograży mój dom w niebycie. Nie mogę do tego dopuścić! Dziecię Ziemi, synu Pięknej Krainy, musisz przywołać potęgę większą od mojej. Masz w sobie siłę. Nosisz ślad po pazurze mojego wroga. Mego odwiecznego nieprzyjaciela, który jest ode mnie po stokroć starszy, po wielekroć mocniejszy. Zawołaj Pana Mrocznych Ścieżek, Księżycowego Drapieżcę, syna Maciory Hynnwyn! Zawezwij postrach nieszczęsnej krainy Mon! I pamiętaj. Ma on dwa serca i cztery języki, a na każdym z nich trucizna! Ale musi pozostawać wierny słowom przysięgi. Kiedy świat był jeszcze prawdziwy, Keus Płonący, *le bon senechal*, toczył z nim bój przez wiele dni i nocy. I zwyciężył! A zwyciężywszy, przymusił go, aby dochował wierności przysiędze. Jeśli nie zechce cię słuchać, przymuś go, wspominając obietnicę, której zarzekał się dotrzymać. Zrozumiałeś?

Nie. Oczywiście, że nie rozumiałem ani słowa. Ale i tak kiwam posłusznie głową.

– Przyślę po ciebie – rzuca Pies, odwracając się, żeby odejść. – Póki co, czyni swą morderczą powinność. I pamiętaj. Patrzę na ciebie.

Rozwiewa się jak mgła, a ja stoję na pustym wrzosowisku, pod zardzewiałym od późnego słońca niebem i wiem, że mam tak przesrane, że nawet Cronnacht by nie uwierzył.

* * *

Kiedy mieszkają u ciebie elfy, nocami pracujesz jako złodziej snów, za szefa masz demona z głębin czasu, a wielki, piekielny Pies porośnięty murawą zapowiada, że będzie miał

na ciebie oko, czas przyznać, że Kukulandia zwyciężyła. Jesteś cały, z głową, zanurzony w szaleństwie. Juuuuchu! Odjeżdżasz do Krainy Wiecznych Idiotyzmów.

Ale kiedy przemawiają do ciebie koty, musisz się poważnie zastanowić, co dalej. Szpital? Psychotropy? Samobójstwo?

Nie ma dobrej opcji.

Jasne, jestem Pukiem, te sprawy. Chętnie bym sobie pogadał z Krewetką albo innym miłym zwierzątkiem, ale, do diabła, jak tu żyć, kiedy na każdym kroku te futrzane bydlaki pouczają cię i strofują?

Zaczęło się od mojej kocicy. Zamiast przyjemnie mrużyć i ocierać się przymilnie, przywitała mnie rano przenikliwym, nieuprzejmym spojrzeniem.

– Paluc – powiedziała dobitnie tym głosem mechanicznego pluszaka, do którego tak trudno mi przywyknąć. – Cath Paluc.

– Dzięki, Krewcia – warknąłem. – Kolejny bydlak z piekła rodem. Na razie nie mam ochoty.

– Paluc! – fuknęła kotka i zaczęła wymachiwać ogonem.

Zignorowałem ją, ale nie odpuściła. Cały ranek dudnił mi w głowie mrukliwy, wibrujący głosik: „Paluc!”, „Paluc!”, „Paluc!”

Wyszedłem, trzaskając drzwiami. Długi, nudny dzień przesiedziałem w gabinecie, pustym, bo moja praktyka właściwie nie istnieje. Nie mogę leczyć innych, skoro sam mam świra. W normalnym świecie utrzymuję się tylko siłą rozpędu i topniejących oszczędności. Smutny sen o siedmiu Pukach tłustych i siedmiu pozbawionych rozumu.

I gadających kotach. Bo kocur sąsiadki też miał mi coś do powiedzenia, a jakże. Wlepił we mnie jarzące się ślepią i z wyżyn parapetu rzucił pełne pogardy:

– Paluc! Pan Mrocznych Ścieżek.

Zatkało mnie, aż się potknąłem. Nieźle, nawet wymowę miał lepszą niż Krewetka.

A potem aż się posypało.

Każdy śmietnikowy buras wykrzywia do mnie wąsaty pyszczek i wrzeszczy: „Paluc!”, „Paluc!” „Paluc!”

– Cath Paluc! – mruży, przebiegając, białas z zakręconym ogonem.

– Wezwij! Wezwij! Wezwij! Cath Paluc! – miauczą społem koteczki skulone pod plandeką na parkingu.

– Mon! Postrach Mon! – powiada kociak drzemiący na ladzie w sklepie zoologicznym.

Nawet stary Borciuch z antykwariatu dwie przecznice od domu, w którym mieszkam, unosi na mój widok jednooką mordkę i wyraźnie powtarza:

– Wezwij. Kot Paluc. Trzeba. Ważne! Paluc! Keu, Keu, *seneszali* Artus, król! Pamiętaj, Paluc!

Uczony się znalazł, a niech to. Akurat wiem, że jakiś tam stwór o imieniu Paluc przewija się przez arturiańskie legendy. I co z tego? Ani mnie grzeje, ani ziębi. Dość mam

starożytnych stworzeń, z trawą na czaszce, skrzydełkami ciem, czy mokrymi kopytami. Dość! Zajmuję się tylko swoimi sprawami. Wystarczy mi kłopotów z piekielnymi psami i morskimi końmi. Nie mam zamiaru sprowadzać sobie na łeb jeszcze nie zrównoważonego, demonicznego kocura, w dodatku ogólnie znanego jako postrach nieszczęsnej krainy Mon. Niedoczekanie. Nie będę wołał żadnych postrachów. Basta!

Co cholernie wkurza koty. A najgorsza zrobiła się Krewecia. Siedzi nieruchomo, spogląda ciężko, jakbym jej wyjadł wołowinę z miski i popiskuje bez przerwy:

– Paluc! Zawołaj! Paluc! Trzeba! Ratuj! Paluc! Szybko! Szybko!

O nie, moja droga. Co to, to nie! Żadnych Paluców. W końcu, kto w tym domu rządzi konserwami, świeżym mięskiem na śniadanie i kocia kuwetą? Nie wrobisz mnie, Krewecia, w swoje kocie intrygi. Sama sobie wołaj swojego Paluca, razem z resztą tych podłych sierściuchów z podwórka.

– Paluc! Paluc! Paluc! – miauczy rozpaczliwie Krewetka.

Zatykam uszy.

– Paluc!

Milknie dopiero, kiedy pojawia się Valerie.

* * *

– Zbieraj się, Robin! – Kręci w powietrzu tyłeczkiem obleczonym w jakieś kolorowe tiule. – Szef będzie z tobą gadał!

Niefajnie. Nie lubię, kiedy Cronnacht wzywa mnie do siebie na dywanik. Wolę już spędzać czas z Valerie albo Kryspinem.

– Dalej, łazęgo! – wrzeszczy swoim obyczajem maleńka wróżka. – Myślisz, że szef lubi czekać na jakieś pukowe bękarty? No już, bierz mnie za rękę i skaczemy!

Posłusznie pozwalam, żeby chwyciła mnie za palec. Pokój wiruje tęczowo i w tej samej chwili staje się nadmorskim klifem porośłym soczystą murawą. Dziwnie widzieć własne sprzęty, łóżko, biurko, majaczące pod obrazem wzgórz i oceanu.

Valerie dyskretnie odfruva ku pobliskiej kępie krzaków i udaje, że wcale nie słucha.

Cronnacht stoi na skraju przepaści, odwrócony do mnie tyłem.

– Słuchaj no, pukoludku – mówi łagodnym głosem bryzy. – Słuchaj tylko, jak fale śpiewają. Piękna pieśń. Odwieczna. Mógłbym jej słuchać godzinami. Całe życie, pukoludku.

Wicher wdziera mi się pod ubranie, szarpie koszulą. Jest zimny jak trupie ręce. Mimo woli zaczynam trochę drzeć.

Cronnacht obraca ku mnie twarz. Urzekającą, starożytną twarz o morskich oczach.

– Sny – powiada. – Ludzkie sny. Potrzebuję ich, rozumiesz? Dużo snów, pukoludku.

Cholera, czy mi się zdaje, czy na dnie oceanicznych źrenic dostrzegam błysk niebezpiecznej manii? Fomorianin z pewnością jest równie stuknięty, jak reszta mieszkańców

Fairie. A jeśli ostatnio mu się pogorszyło, Boże uchwaj?

– Zbieram je – staram się mówić spokojnie. – Tyle, ile tylko udaje mi się wyłowić. Ostatnio przyniosłem ci całkiem niezły plon. Pamiętasz?

Kiwa głową.

– To prawda. Ale potrzeby rosną. Musisz się bardziej starać.

– Przynoszę wszystko, co się choć trochę nadaje. Ale teraz czasy zrobiły się ciężkie, ludzi gnębi kryzys. Nawet lęki powszednieją. Mało kto w obecnej sytuacji przejmuje się odwiecznymi tajemnicami świata.

– Kryzys! – Cronnacht wali kopytem w skałę, aż pryskają krople słonej wody. – Co to, ekonomista z ciebie wyrasta? Idź z tymi bredniami do telewizji! Sny, wypędku Robina Goodfellow! Dawaj mi sny!

Rysy mu się krzywią, łamią jak cienka tafla lodu. Niedobrze. Traci panowanie nad sobą.

– To pozwól mi pracować w spokoju – mówię z powagą, dobitnie. – Twoje eksperymenty się nie sprawdzają. Ostatnio żądałeś, żebym się zapisał do wiccana, do neopogana, do Kółka Żądnych Wiedzy Młodych Ezoteryków, do zakonu rycerzy maltańskich, do loży masońskiej, do spirytystów, a w końcu posłałeś mnie do jakiejś pieprzonej sekty stetryczalnych pseudoamiszów, gdzie rozwalili mi łeb. Cronnacht, tak się nie da przeprowadzać udanych akcji. Ci posrańcy nie mają potencjału. Szkoda naszego czasu, przysięgam.

Fomorianin oblizuje usta wielkim, zielonym ozorem. Chyba się nieco zawstydził.

– W porządku, Puk. Poniosło mnie. Sytuacja w Fairie nie jest dobra, a ja nie mogę bezsilnie patrzeć, jak wali się mój dom. Wiem, że robisz dobrą robotę. Doceniam to. Postaraj się jednak pracować wydajniej. Może dłużej, bo ja wiem?

Dłużej? Mam się wkładać na leżakowanie do przedszkola? I tak haruję całymi nocami.

– Spędzam w sennym ekspresie czas od zmroku do świtu – powiadam urażony.

Cronnacht patrzy zdziwiony.

– W sennym ekspresie? – unosi brwi. – A, no tak! Dla ciebie to jest nocne metro. Dobre.

Pozwala sobie na uśmiech, a ja spuszczam oczy i przelękam gęstniejącą ślinę. Widzieliście kiedyś, jak śmieje się kelpie? Nie? To macie szczęście.

– Nie miej mi za złe, że cię poganiam, Robin – znów mówi głosem letniej bryzy. – Twoja praca jest bardzo ważna. Nie tylko dla mnie. Dla przyszłości Fairie. Wszyscy musimy wkładać maksimum sił w nasze wysiłki. I wtedy osiągniemy sukces. Jasne?

Kiwam głową.

Dzięki za te gadki rodem z podręcznika dla menedżerów. Niezłe, przyznaję. Motywujące. Tylko trochę głupio brzmią w ustach koniowatego potwora z głębi oceanu.

Cronnacht wzdycha, niby taki zatroskany losem Fairie.

– Dobrze, wracaj do zadań. Liczę na ciebie, Puk. Nie zawieź mnie.

Zielone oczy spoglądają ostro, przenikliwie.

Teraz to niby Puk. Ładnie, z szacunkiem. A na koniec coś jakby malutka, ukryta groźba.

Socjotechnika, stary. I to w wykonaniu odwiecznego demona. Fomorianie nie przetrwaliby pogromu, gdyby nie byli elastyczni. Szybko się uczą, skurczybyki.

W sumie, przyjemnie będzie wrócić do domu.

– Aha – rzuca od niechcenia Cronnacht. – Nie spotkałeś w tym nocnym ekspresie niczego niezwykłego? Jakichś cieni, zwierząt, dziwnych zjawisk?

Dobrze, że tu tak zimno, bo nagle zaczynają szczekać mi zęby.

– Nie – kłamię gładko. – Niczego nie zauważyłem. A co? Mam zacząć się bać?

– Pod moją opieką nic ci nie grozi – mówi Fomorianin. – Tylko pracuj uczciwie.

Odwraca się tyłem i znów gapi na morze. Dobrze, bo mógłby dostrzec, jaki zrobiłem się błądy. Nagle unosi ramiona w górę i skacze na głowę z urwiska wprost w skłębione, wściekłe fale rozbijające się na skałach wiele metrów niżej. Powinna zostać z niego mokra plama. Powinna, ale oczywiście nie zostaje.

Zwykła fantazja, czy mała demonstracja siły? Nie wiem. I wolę się nie zastanawiać.

Valerie podlatuje z kępy zarośli i skaczemy z powrotem do mojego widmowego, majaczącego pod krajobrazem mieszkania.

* * *

Posłaniec od Psa przyszedł zupełnie zwyczajnie. Przez drzwi. Najpierw zapukał, potem się przedstawił i poczekał uprzejmie na zaproszenie. Tylko że drzwi były od szafki. W końcu na jedno wychodzi, nie?

– Jestem koboldem – powiedział na powitanie. – Możesz mi mówić Hob.

A potem uśmiechnął się i poprosił o filiżankę herbaty.

Siedzimy teraz w moim gabinecie, pijamy earl greya i poruszamy poważne tematy. Hob ma smagłą jak wyświechtana skóra twarz, skośne oczy, wąski nos i bardzo szerokie usta. Ubrany jest równie starannie jak osobliwie. Nosi coś w rodzaju wołokowej bluzy mundurowej z pierwszej wojny, koronkowy fular ze szmaragdem wielkim jak mandarynka, zielone spodnie, trzewiki i sztylpy, a na głowie ma brązowy melonik. W dłoni dzierży hebanową laseczkę ze srebrną gałką. Pali aromatyczne cygara wyciągnięte z malutkiej, pozłacanej papierośnicy. Wzrostu ma mniej więcej tyle, co siedzący foksterier. Zachowuje się bardzo uprzejmie, jego dziwaczny pyszczek jest cały pobrużdżony od szerokich i szczerych uśmiechów, a w kącikach migdałowych oczu zbierają się pęki kurzych łapek.

Aha, i twierdzi, że jest czymś w rodzaju agenta bezpieczeństwa w Fairie.

– Widzisz, Robin. – Siorbie łyk herbaty. – Mój szef, Cwn Annwn, ma nosa do pracy w tej branży. Intuicję, inaczej mówiąc. Kiedy cię zobaczył, od razu szcił, że nie masz pojęcia, w co się wpakowałeś. Dobra, w co cię wpakowali inni. Fomori. A to poważna sprawa, bracie. Niestety, cholernie poważna.

– To co, aresztujesz mnie i zawleciesz do jakiejś ciemnicy pod kurhanem? – wzruszam

ramionami, starając się udawać, że wcale mnie to nie rusza.

Ale rusza trochę, przyznaję. Odwiedziny agenta bezpieczeństwa zawsze są nieprzyjemne, nawet jeśli tajniak ma czterdzieści centymetrów wzrostu i spiczaste uszy z pędzelkami na końcach.

– Hej, po co te nerwy? – Kobold macha uspokajająco wypielegnowaną dłonią. – Nikt cię o nic nie oskarża. Wyluzuj. Po prostu czas, żeby ktoś ci wyjaśnił, co tak naprawdę knują Fomorianie. Wtedy sam się przekonasz, komu warto pomagać. Nam czy im.

A więc on też chce czegoś ode mnie? Ładnie. To trochę zmienia postać rzeczy.

– No to wal, stary – mówię, rozpierając się na fotelu. – Czekam na rewelacje.

– I doczekasz się. – Hob mruży oczy. Wygląda teraz jak prawdziwy mały ubek. – Wiesz, że kiepsko dzieje się w Fairie. W tym ten cwany, mokry drań cię nie okłamał. Wszystkich ogarnia jakaś zbiorowa histeria, rodzą się konflikty, powracają stare zadrażnienia, cały *L'Autre Monde* pograża się w zbiorowym szaleństwie. Kiedy wy tracicie fantazję, my, niestety, tracimy rozum. To prawda. Podejmujemy rozpaczliwe działania, żeby się ratować. Głupsze czy mądrzejsze, różnie bywa. Ale nie każdy, kto podaje się za zbawcę Fairie, faktycznie staje się przez to mężem opatrnościowym. Niektóre pomysły są po prostu idiotyczne. Inne szkodliwe. Ale zdarzają się też naprawdę niebezpieczne. Takie jak ten, na który wpadł Fomorianin znany ci jako Cronnacht i jego trzech popieprzonych, oceanicznych kumpli.

– Zaraz – przerywam. – Cronnacht każe mi zbierać sny, żeby ładować wyczerpane akumulatory moich pobratymców w Fairie. Wytlumacz mi, co w tym złego, bo na razie nie rozumiem?

Kobold uśmiecha się krzywo.

– W samym zbieraniu snów, nic. Chodzi o to, do czego mają być potem wykorzystane.

Po kręgosłupie spływa mi zimny dreszczyk, ponieważ przypominam sobie słowa Kryspina. Czy rzeczywiście wiem, co Fomorianie chcą zrobić z ukradzionymi snami? Przykro to przyznać, ale ni cholery nie mam pojęcia.

Hob łypie na mnie znad filiżanki. Sprawnie sobie radzi z naczyнием, które dla niego ma wielkość sporej miski.

W ogóle sprawnie sobie radzi. Również z tą rozmową, a to już mniej mi się podoba.

– Fairie i świat realny pozostają w dość dziwnej zależności – zaczyna tonem pogawędki. – Właściwie nakładają się na siebie, w pewnym sensie. Przejściem między obiema rzeczywistościami może być zwykły las, miedza, strumień albo brama w starym murze, opuszczony dom, staroświecka szafa, cokolwiek. Od tysięcy lat graniczymy ze sobą i to graniczymy ściśle. Nasze światy się przenikają, choć są w sumie odrębne. Wasz świat wydaje się ograniczony. To, oczywiście, kula ziemska. Ale Ziemia nie pływa zawieszona w niebycie. Otacza ją kosmos, z milionami gwiazd, planet, galaktyk i nieznanymi obiektów. W tym sensie wasza rzeczywistość nie ma krańca. Kto wie, co kryje się w pustce kosmosu? Was, jeśli macie w sobie choć szczyptę magii z Fairie, fascynuje to i pociąga. Czy żyją tam obce istoty?

Czy są rozumne? Czy ludzie kiedyś zamieszkają na innej niż Ziemia planecie? Zadajecie sobie to pytanie, prawda? Dla niektórych ta kosmiczna ziemia ma być rajem, odskocznią, nową nadzieją. To naturalne. Ale i trochę niebezpieczne. Bo wyobraź sobie, co by się stało, gdyby ktoś, jakiś szalony naukowiec, lub co gorsza przywódca religijny, ogłosił, że odkrył taką planetę i prosty sposób, żeby się tam przenieść. Tu brud, smród, syf, korupcja, polityka, wojny, kryzysy i zniszczone środowisko naturalne, a tam wszystko piękne, czystutkie, nowe, tylko czeka na zasiedlenie. Wy jesteście ludźmi. Może byście się wahali, zastanawiali, brali to na rozum. Ale nie my, fairies. Dla nas byłaby to niepowtarzalna okazja. Radość, przygoda, szaleństwo, nowe wyzwanie. Zwłaszcza w Fairie pogrążonej w chaosie, niestabilnej i zdziwaczałej. Nasz świat też ma pewne ramy, Robin. Farlandia, choć ogromna i niezbyt dobrze zbadana, ma konkretne granice. Ma też sąsiadów. Przylega do pozostałych mitycznych krain stworzonych przez inne niż zachodnia cywilizacje. Afrykanów, Azjatów, Indian.

– Zaraz, sąsiadujecie z Krainą Wiecznych Łowów? – nie mogę uwierzyć.

– Jasne. – Uśmiecha się z politowaniem. – I z Hyperboreą, i Szangri La, i Szeolem, i państwem Jana Prezbitra. Ale wracajmy do meritum. Tym, czym dla was jest kosmos, dla nas stał się Odwieczny Ocean. Oblewa wszystkie magiczne kraje, ciągnie się w nieskończoność i nikt nie wie, jakie lądy ukrywa za horyzontem. A może żadnych? Może tam jest tylko pustka? Na oceanie zdarzają się wyspy. Mówię, zdarzają się, bo nie mamy pewności gdzie są, ile ich bywa i kiedy się pojawiają. Archipelag św. Brendana, High Brasil, Atlantyda, Ziemia Brodatych Ludzi. Słowem, słynne i u was Wyspy Szczęśliwe. Niektórzy nasi i wasi bohaterowie podobno znaleźli tam spokój. Najdalej wysuniętą w głąb Praoceanu wyspą przy brzegu Fairie jest, oczywiście, Avalon. Nikt z żyjących nie postawił stopy na jej zasypanej zgniłymi jabłkami plaży. Wierzymy, że Avalon istnieje. Podejrzewamy to. Jak wy podejrzewacie istnienie kwazarów. Jeszcze się nie domyślasz, po co Fomorianom ludzkie sny?

Moja twarz ma pewnie niezdrowy kolor niedomytej porcelany.

– Chcą zrobić desant na Avalon? Po co? To bez sensu? Obudzić dawnych bohaterów i znów objąć panowanie nad Irlandią?

Hob kręci głową.

– Nie, Robin. To byłoby wprawdzie głupie, ale jeszcze niewystarczająco dla Cronnachta. On i jego mokrzy przyjaciele twierdzą, że odkryli ogromną wyspę daleko za Avalonem i chcą tam stworzyć nową Fairie, wolną od ludzi, niezależną i samodzielną. Sny są im potrzebne jako paliwo, żeby dokonać wielkiego przeniesienia.

– Jezu! – mówię, upuszczając łyżeczkę na talerzyk. – Niemożliwe! To szaleństwo! Jak będziemy funkcjonować bez Fairie? To nas zniszczy!

Kobold uderza dłonią w blat biurka.

– Zniszczy was, powiadasz? A pomyślałeś, jak Fairie będzie funkcjonować bez was? To samobójstwo. Cały *L'Autre Monde* przestanie istnieć, nawet jeśli Cronnachtowi uda się

wyprowadzić w pieprzoną pustkę ledwie połowę ludu Danu. Osłabieni, rozbici, nękani wojną domową, nie przetrwamy w starym Fairie. Będzie nas za mało, zbyt wiele stracimy mocy. Wymrzemy wszyscy. A cały ten nowy *L'Autre Monde* nie wytrzyma nawet kilku tygodni. Z dala od ludzkich snów, marzeń, wiary, zabobonów? Z dala od odwiecznej, przesyconej naszą i waszą magią Ziemi? Czysty obłąd! Nie można rozklejać na siłę tego, co od tysięcy lat istnieje w ścisłej symbiozie. Wyobrażasz sobie, co by się działo na takiej wyspie?

– Matko – szepczę przerażony. – Gorzej niż na oddziale zamkniętym bez personelu i lekarzy.

– No, mniej więcej – zgadza się Hob. – Jeśli ta wyspa w ogóle istnieje. Inaczej Fomorianie potopią tych nieszczęśników w Odwiecznym Oceanie. I taki będzie koniec naszego świata.

– Nie wierzę – mamrocę wstrząśnięty. – To niemożliwe! Cronnacht nie jest taki głupi.

– Jasne, głupi nie jest – przytakuje agent. – Tyle, że zupełnie szalony. Nie chcę być gołosłowny. Chodź, coś ci pokażę. Przekonasz się na własne oczy. Taka demonstracja zawsze robi wrażenie.

* * *

Głupio się trochę czuję, wczolgując się za koboldem do własnej szafki na papiery. Ale zamiast paździerzowych ścianek, w środku są jakieś cholerne korzenie, porosty i kamienie. Przedzieramy się przez wydrążony w ziemi tunel. Jak Alicja podążająca za królikiem. Założę się, że Hob też nosi zegarek z dewizką. W każdym razie od święta.

– Tylko cicho bądź. Staraj się nie rzucać w oczy – ostrzega agent. – Zaraz wyłazimy.

Nareszcie. Świeże powietrze smakuje lepiej niż piwniczne wyziewy gleby.

Wyczołguję się z nory, mrużąc oczy, choć światło jest mdłe i rozproszone. Klękam na dywanie gęstego, puszystego mchu. Wokół stoją ogromne, zielone ze starości kolumny prastarych drzew. Wydają się wyższe i bardziej wiekowe niż kanadyjskie sekwoje. Musimy znajdować się głęboko w Fairie, bo nigdzie przez poszycie lasu nie prześwituje ani kawałek zwykłego świata. Tylko liście, mech i paprocie. Wiatr szumi, trzeszczą uginające się konary. A wszystko zdaje się przepojone jakimś tajemnym, niepokojącym życiem. Wołą. Charakterem. Emocjami. Niekoniecznie dobrymi. To stary, chimeryczny, złośliwy las. Patrzy na mnie i chyba niezbyt mu się podobam.

Przyznam, trochę tu straszno. Nie sędzę, żeby gdziekolwiek w realu mógł rosnąć taki bór. Przy nim wysiada nawet amazońska dżungla.

Gdzieś z oddali, spomiędzy drzew dochodzą stłumione dźwięki. Coś jakby przeciągłe śpiewy czy zawodzenia. Poprzez pierzaste skrzydła paproci przebija słaby, złocisty i pomarańczowy poblask. Na samą myśl, że ktoś ośmielił się rozpaść w tej puszczy ognisko, przechodzi mnie dreszcz.

Czuję, że drzewa są złe. Boją się ognia i nie lubią hałasu. Nie lubią też obcych. O nie, intruzów zdecydowanie nie tolerują.

Kryspin miał rację. Fairie to nie mój dom. Czuję się tu jak krwisty stek w akwarium z piraniami.

Dobry Boże, gdzie jest Hob? Gdzie ten pokraczny, pieprzony kobold? Jeśli mnie tu zostawił i zwiął, to pewnie nigdy już nie zobaczę słodkiej, zjednoczonej Europy.

Rozglądam się przerażony.

– Hob? Hej, gdzie jesteś?

– Tutaj. Mówiłem, żebyś cicho siedział. – Agent w fularze i sztylpach wyłania się z kępy paproci. – Chodź, tylko ostrożnie. Wielki jesteś jak jakiś cholerny jednorożec. Ostrożnie, proszę.

Czołgamy się przez zarośla w stronę złotego blasku.

– Ukryj się w krzaku i patrz – szepcze kobold. – I ani słowa.

Rozchyła gałęzie krzewu. Przez szparę między jagodami i liśćmi widzę rozległą polanę oświetloną szerokim kręgiem ognisk. Całą wolną przestrzeń wypełnia ściśle tłum najdziwniejszych stworów, jakie kiedykolwiek przyszło mi ujrzeć. Są tam Puki, fauny na koźlich nogach, długowłose driady, blade jak mgła najady, smagłe koboldy, skrzaty w borych roboczych ubraniach, banshee z usmarkanymi rękawami i oczami podpuchłymi od nieustannego szlochu i cała banda nieprawdopodobnych, paskudnych lub urzekających stworzeń, należących do różnych, nieznanymi mi ras.

Ale już na pierwszy rzut oka widać, że coś z nimi niedobrze. Niektórzy kiwają się monotonicznie jak w ataku choroby sierocej, ślinią się i mamrocą. Inni wydają się pogrążeni w katatonii. Kolejni wymachują rękami, nerwowo powtarzając sekwencje takich samych, bezsensownych gestów. Wstają, kłaniają się, salutują, siadają i powtarzają wszystko od nowa. Jakiś gnom tłucze się pięściami po czaszce, brzydką twarzyczkę wykrzywiają nerwowe tiki. Mała driada popiskuje jak kocię, kręcąc się monotonicznie w kółko. Obok dwa Puki łążą niezbornie na czworakach, pochrzäkując głosami wieprzy. Śliczny, smukły faun wyrzuca z siebie potoki plugawych przekleństw, jak przy ataku zespołu Toureta. Kilka elfów próbuje tańczyć coś w rodzaju menueta, tyle, że na rękach. Grupa chochlików kotłuje się na ziemi, powarkuje, tarmosi niczym miot szczeniąt. Jedne stwory koniecznie chcą wleźć na ramiona innych. Słowem, psychiatryk.

Skomasowane, skłębione szaleństwo aż paruje z wszystkich bani odbite od naszego świata, gdzie nie znajduje ujścia, powraca i rykoszetem kasuje rdzennych mieszkańców Fairie. Smutny widok.

A na skraju polany, na czymś w rodzaju sceny pomyłonej z ołtarzem, króluje Valerie. Moja pomyłona, maleńka jak ołówek Valerie.

– Dana O'Shee! Ludu Pięknej Krainy! – krzyczy co sił w płucach. – Radujcie się, bo wyzwolenie jest bliskie! Wkrótce osiągniemy prawdziwą wolność, z dala od tej przekłetej

ziemi, z dala od naszych odwiecznych, tępych, dwunogich wrogów! Precz z ludzką zarazą! Precz z synami Adama! Niech się udławiają swoim gównem! Niech się utopiają we własnych rzygach! Odejdziemy i odtąd będziemy żyć swobodnie! Niech żyje magia! Niech żyje wolna Fairie! A reszta niech sobie zdycha w niewoli! Olejcie tych drani! Przed nami piękne chwile! Juuuuchaaaa!

No cóż, Valerie zawsze była dosadna.

– Tak! – ryczy tłum. – O tak! Precz z ludzką zarazą! Niech żyje nowa, wolna Fairie!

Wróżka ucisza ich ruchem ręki.

– Patrzcie, oto sny! Przyjrzyjcie się tylko, jak się gotują, jak buzują! Spójrzcie, ile ich mamy! A to tylko jedna z tysięcy beczek. Nasz bilet do rajy! Chwała Przedwiecznym! Chwała naszym wielkim przywódcom! Niech będą błogosławieni Fomori, prawdziwi władcy świata!

– Chwała! – drą się doprowadzone do skrajy szaleństwa Puki, koboldy i driady.

Niedobrze mi. To wygląda gorzej niż manifa nowej lewicy.

Tymczasem grupka nieznanych mi elfów wlecze na scenę ogromną, szklaną bekę. W środku lśnią, przelewają się, jarzą skondensowanym blaskiem ubite jak ogórki do kiszenia sny.

– Ooooo! – jęczy ekstatycznie tłum.

– Oto nasza siła! Oto nasza przyszłość! – skanduje Valerie, z emocji aż podskakując w powietrzu. – A komu ją zawdzięczamy? No, komu, brudne, głupie pasożyty?! Kto o was dba? Kto nie śpi, haruje, żeby uratować wasze tłuste dupy? Kto, moi dzielni koloniści?! Kto daje wam w prezencie nową, odrodzoną Fairie, piękniejszą i odleglejszą niż cały pieprzony Avalon?! He? Słucham!

– Fomori! – wydziera się na całe gardło jakiś wielkogłowy, krzywonogi pixie.

I za moment cała polana trzęsie się od wrzasku.

– Fomori! Fomori! Fomori!!!!

A Valerie, jak królowa piratów, matka rebelii, fruwa nad sceną z rękami wzniesionymi do nieba.

– Fomori!!!! – zawodzi, aż trzęsie się prowizoryczny ołtarz zrobiony z krzywo powiązanych gałęzi okręconych kolorowym aksamitem i ciężkim zielonym brokatem.

Beczka pełna snów przekrzywia się, ale nikt nie zwraca na to uwagi. Cholera, za chwilę wszystko wyleje się na mech. Szkoda mojej roboty.

– Powitajmy ich! Oddajmy cześć naszym panom! Naszym zbawcom! – jęczy ekstatycznie Valerie.

Nie wierzę własnym oczom. Banda elfów wyciąga zza sceny kolorowe, chyba kartonowe podobizny Fomorian. Przypominają reklamowe przedstawienia Lary Croft, czy Indiany Jonesa ustawiane w kinowym holu.

Naturalnej wielkości Cronnacht ląduje na ołtarzu razem z jakimś podobnym do ryby

dryblasem o sonej fizjonomii, chudym stworem z głową łasicy i nietoperzymi skrzydłami oraz purpurowym karłem o skórze spękanej jak źle wypalony, ceramiczny garnek.

Patrzę osłupiały. Czyżby czwórka ocalała z pogromu pod Moytury?

– Fomoriiiii! – zawodzi tłum.

I zaczyna się zupełny obłęd. Uczestnicy rytuału rzucają się na ziemię, ryczą, walą pięściami w leśną ściółkę. Driady i najady wyrywają sobie włosy, drą blade policzki pazurami. Fauny szarpia się za rogi, jakby chciały je ukręcić, pixie w napadzie szału próbują odgryźć sobie ogony. Elfy wywijają salta w powietrzu, obijają się o wszystko niby ślepe ćmy. Ze dwóch wpada do ogniska i lata w koło, krzycząc jak żywe, skwierczące lampiony. Wszyscy płaczą.

Ja też chętnie bym sobie popłakał. Z litości i zgrozy.

– Ooooo! Fomori! Moooooriiiii! Oooooo!

Jakaś banshee zaczyna wyć. Okropny, przeciągły jęk niesie się daleko między drzewami.

Valerie, w szale, zaczyna drzeć na sobie ubranie. Kartonowy Fomorianin o pysku łasicy przewraca się na beczke snów.

Rozpacz.

Gapię się na to straszne widowisko, nie mogąc oderwać wzroku.

– Chodź! – Hob szarpie mnie za rękaw. – Już się dość naoglądałeś. Chodź, zanim zrobi się gorzej.

Gorzej? Jezu, to niemożliwe.

Oslupiały, zdruzgotany wlokę się jednak za koboldem. Ma rację. Dość zobaczyłem.

* * *

Whisky. Rumu. Wódki. Wszystko jedno.

Nalewam nam do filiżanek serdeczną porcję „Kapitana Morgana”. Do diabła z etykietą. Nie pamiętam, gdzie są szklanki. Ręce mi się trzęsą, więc rozlewam trochę trunku.

Pijemy w milczeniu.

Nie ma o czym gadać. Naprawdę.

– Robin – mówi wreszcie Hob. – Musisz nam pomóc. Musisz zawołać Kota.

Patrzę na niego nieprzytomnie.

Miau, miau. Może jakiś kotek przybiegnie.

– Robin, skup się. Chodzi o starożytnego demona, olbrzymią, pierwotną potęgę. On jest na tyle silny, żeby pokonać Fomorian. Mój szef, niestety, nie.

– Paluc – mówię. – Paluc, tak?

Hob krzywi się niechętnie.

– Tak. Cath Palug. Pan Mrocznych Ścieżek.

Chlup! Jeszcze filiżanka rumu. A co? Paskudniej nie będę już się czuł.

– Dlaczego ja? Czemu miałby mnie posłuchać? Twój szef jest od безпеki. Wielki, prosto z piekła, zna się na rzeczy. Dogada się z Palucem lepiej niż byle bękart Puka.

Kobold wzdycha z politowaniem.

– Chłopie, Cwn Annwn jest psem. Kapujesz? Potężnym, ale psem. A Paluc to kocur. Koci Bóg. Syn Nocy. Jak się mają dogadać, co?

Wzruszam ramionami.

– Nie wiem. Jak demon z demonem.

Agent duszkiem opróżnia filiżankę. Moją herbatkę z rumem bez herbaty. Nieźle, jak na kogoś wzrostu siedzącego psa.

– Nie rozumiesz. Paluc nie zechce nawet na szefa prychnąć. Owszem, możemy wydać walkę Fomorianom, obyć się bez pomocy Kota. Ale wtedy, prawdopodobnie, przegramy. A nawet jeśli zwyciężymy, straty po obu stronach będą ogromne. Fairie się wykrwawi. Nie wolno nam do tego dopuścić.

No to jeszcze jedna filiżanka. Na ten smutek.

– Dobra, przypuśćmy, że uda mi się obudzić tego starego kocura i przekonać, żeby machnął parę razy łapą. Skąd pewność, że da radę Fomorianom?

Hob śmieje się cicho, bardzo niewesoło.

– Robin, dzieciaku. Ty sobie nie zdajesz sprawy, kto to jest Paluc. To jakbyś gadał ze sztormem na oceanie, z bombą atomową, z mrokiem spowijającym całą Ziemię. Dobrze, że ma poczucie humoru. Może ci daruje tego „starego kocura”.

– Aż taki jest dobry?

– Lepszy – mówi kobold z przekonaniem.

Gdybym palił, teraz pewnie sięgnąłbym po papierosa. Tak pozostaje łyk „Kapitana Morgana”.

– Czemu miałby mnie usłuchać? Skoro jest taki potężny, dlaczego ma zareagować na prośby jakiegoś Puka półkrwi?

Kobold drapie się za uchem.

– Widzisz, Puki opiekują się zwierzętami. Ale każdy ma jakąś specjalizację. Ty, na przykład, jesteś od kotów. Lubią cię, ufają ci, dobrze się z nimi dogadujesz. Zresztą same cię wybrały. Każdy śmietnik, piwniczne okienko, drzewo czy kanapa w tym mieście aż wibruje od miauczenia. Wszystkie koty, które spotykasz, żądają lub proszą, żebyś zawezwał ich boga. Nie mam racji?

Kiwam smętnie głową.

– No, masz. Masz jak cholera.

– Koty żyją na granicy Fairie. Jedną łapą tu, drugą tam. Wcale im nie zależy, żeby ta granica się rozpieprzyła. Pomogą ci. Ich Paluc na pewno posłucha. To jak? Możemy na ciebie liczyć?

Przed oczami przepływa mi końska, anielska twarz Cronnachta. I wykrzywiony w

ekstazie pyszczek Valerie.

– Tak. Spróbuję przywołać Kota – mówię ledwo poruszając wargami.

– Wiedziałem, stary. Porządny z ciebie Puk. – Hob uśmiecha się szeroko. – To ja już idę. Muszę zanieść szefowi dobre wieści.

Zeskakuje z biurka i rusza w kierunku szafki.

– Hej, zaraz! Hob, czekaj! – wołam. – Jak niby mam to zrobić? Miauczeć do księżycy?

Kobold szczerzy żółte, duże zęby.

– Bo ja wiem? Zapytaj kotów.

I niknie w szafce.

– Hob! – wrzeszczę. – Ty draniu! Daj mi jakieś wskazówki!

Wystawia głowę przez szparę w drzwiczkach.

– Poczytaj „Alicję”. Wiesz, to o kocie z Cheshire.

– To on? – zatyka mnie ze zdumienia.

– Mówiłem, że ma poczucie humoru – rzuca Hob i nurkuje w szafce.

Mnie zostaje tylko „Alicja”. I stary kumpel „Kapitan Morgan”.

* * *

Czytam „Alicję”. I nie znajduję pocieszenia. Kot przychodzi, kiedy chce. Nigdzie nie napisali, jak go przywołać. Ani jak go przekonać, żeby zrobił porządku w Fairie.

Krewetka mruczy koło mnie, zwinięta w kłębek. „Zapytaj kotów”, powiedział Hob. No dobra, co mi szkodzi.

– Krewcia – mówię. – Zawołam Paluca. Zrobię to, przysięgam. Tylko powiedz mi, jak, do cholery?

Kotka podnosi pyszczek, przygląda mi się bystro.

– Prrruuu! – oznajmia zupełnie po kociemu.

Nie rozumiem ani pieprzonego słoweczka.

– Kreweta, pomóż – proszę. – To poważna sprawa. Przecież sama chciałaś, żebym to zrobił. Pomożesz?

– Mruuuff!

Nie, to beznadzieja. Ze złością odrzucam książkę. Nic tu nie ma, do diabła. W starych podręcznikach magii jest najwyżej napisane, w jaki sposób przywołać diabła. Te pentagramy, świece, pentakle, święcone kredy. Wszystko o kant dupy potłuc. Co mam wymalować na podłodze, uśmiechnięty koci łeb i wysmarować whiskasem? Ułożyć gwiazdę ze zdechłych myszy?

Mam to gdzieś. Kładę się spać. Na szczęście nie ma ze mną ani Valerie, ani Kryspina, ani pozostałej bandy elfów. Dziś nici z sennego ekspresu. Strzelę sobie proszki nasenne. Mam zamiar po prostu leżeć jak kłoda i zapaść w letarg. Żadnych pieprzonych koszmarów.

Odpoczywam.

* * *

– Wstaaaaań! Wstaaaaań! Wstaaaaań! – piszczy w mojej głowie Krewecia, pakując mi wąsy do ucha.

Budzę się niechętnie, zaspany, nieprzytomny, spoglądam na zegarek.

– Odbiło ci? Jest pierwsza w nocy! Ledwo zamknąłem oczy!

Kotka drepcze po kołdrze.

– Noc, noc! – miauczy. – Paluc! Wstaaaaań! Ting! Ting!

Gramolę się niemrawo z pościeli.

Co to jest, u diabła, ting? Boże, jakiś wiec wikingów, czy coś podobnego? Czy Krewetka zwariowała? Po cholere mi jeszcze wikingowie? Nie czuję się na siłach palić, rabować i gwałcić.

– Ting! Ting! – powtarza nerwowo Krewecia. – Chodź! Szybko! Koty. Koty wołają Paluc!

Aha, więc o to chodzi. Dobra, zobaczę, co się dzieje.

Ubieram się posłusznie i wychodzę za Krewetką z domu. Przebiegamy przez podwórze, mijamy śmietnik i garaże. Tam, odgradzony wysokim murem od sąsiedniego podwórza, rozciąga się mały, zaniedbany plac, gdzie ktoś o dobrym sercu pobudował drewniane budki dla bezdomnych kotów. Potykam się o porozstawiane przez sąsiadów miseczki z jedzeniem. I zamieram, wystraszony.

Na połamanej ławce, kartonowych pudłach, starych szafkach wyniesionych za śmietnik siedzą koty. Setki kotów. Ich odblaskowe oczy lśnią jak konstelacje niezliczonych gwiazd. Wszystkie patrzą na mnie z napięciem.

Czuję się trochę nieswojo. Przybyło ich takie mnóstwo. Więcej niż mi się w pierwszej chwili zdawało. Mogłyby mnie zeżreć żywcem, zanim zdążyłbym wrzasnąć. Ślepią lśnią w załomach muru, na dachach garaży, na karoseriach aut, drzewach, w zapuszczonych zaroślach. Morze turkusowych, żółtych, zielonych i bursztynowych światełek. Są tu piwniczne i śmietnikowe kocury, a także wypielegnowane, domowe pupile. Koty rasowe i dachowce. Rozpoznaję norweskie leśne, ogromne main coony, persy, syjamy, ragdolle i nawet jednego lysego, uszatego devona sfinksa. A także cała masa zwykłych burasków i czarnuszków. Przybyły stare kocury, grube kastraty, kotki z łebkami płaskimi jak pestki, a nawet sporo kociaków. Niektóre pewnie ledwo przejrzały na oczy.

Nie ma szans, żeby mogły się pomieścić na placu, myślę, i nagle rozumiem, że nie jesteśmy już w moim świecie. To także nie Fairie. Granica. Pieprzona granica. Kocie królestwo.

– Wołaj! – mruży do mnie jednooki Borciuch z antykwariatu, królujący na środku

krzywej ławki. Na pierwszy rzut oka widać, że on tu jest szefem.

– Jak? Nie umiem – rozkładam ręce.

– Wołaj! – upiera się Borciuch. – Pomożemy! Magia. W tobie. Wołaj!

Dobra. Jeśli zwariować, to do końca.

– Przybądź Kocie Palucu! – zaczynam cicho, trochę drżącym głosem.

Nie czułem się bardziej idiotycznie, odkąd kilka lat temu zgodziłem się odstawić Mikołaja przed dziećmi mojej siostry. „Mamo, mam, ten święty pan ma brodę z waty! I wygląda całkiem jak wujek!” Co za wstyd.

– O, wielki Palucu! Wzywamy cię!

To znaczy, wzywa cię wrzeszczący w środku nocy kretyn, otoczony bandą wyczekujących kotów. Co za scena. Jeśli naprawdę masz poczucie humoru, przyjdiesz sobie popatrzeć.

Chyba, że wyprzedzi cię straż miejska.

– Przybądź, Kocurze Nocy, Panie Mrocznych Ścieżek! – krzyczę głośniej.

Pojedyncze koty zaczynają pomiaukiwać i mruczeć.

– Odezwiij się, Postrachu krainy Mon! Wielki arturiański zabójco! Synu Maciory Hynnwynn! Pogromco rycerzy Okrągłego Stołu!

Poczytałem trochę, a co.

– Miiiiiiuuuu! Mrrauuuu! – wtórują mi futrzani pomocnicy.

– Pojrzyj na nas, koci boże! Palucu! Demonie z głębin czasu!

– Miaaaaa! – drze się wniebogłosy cały bury, biały i podpalany ting.

– O Cath Palug! Przybądź! Wysłuchaj swoich poddanych!

– Mrrrruuu! Miakka! Mrrauuu!

– Paluc! Paluc! Paluc! – drę się coraz śmieiej. To i tak beznadziejne, więc czemu nie zaszaleć?

Chyba głosy z magicznej ziemi niczyjej nie docierają do realnego świata. Przynajmniej policja mnie nie zgarnie.

– Hej, Kocie Palucu! – zaczynam się rozkręcać. – Odwiedź nas. Co ci szkodzi?

– Miiiiiaaaa! – przytakuja.

Ale zaraz, coś się zaczyna dziać. Borciuch zeskakuje z ławki i kładzie mi pod nogami szczura z odgryzioną głową. Potem występuje biały kocur z dziwnie zakręconym ogonem, także ze szczurem w pyszczku. I inne koty. Łaciata buraska z dwiema lekko tylko nadjedzonymi myszami, czarny kastrat z gołębiem, srebrna kołeczka z sikorką i żabą.

Jak rany! Koty niosą ofiary. Widocznie wszystkie są obowiązane coś przytaszczyć. Proszę, występuje Krewetka, z triumfalną miną niosąca kawał wołowiny ze śniadania. Musiała go schować pod dywanem, mała zmija.

Koty defilują, a wokół mnie rośnie sverta odpadków. Martwe szczury i ptaki, kawałki pieczonych kurcząt, kości, rybie głowy, plastry wędlin, parówki, koreczki kielbasy, wyplute

resztki konserwy i chrupek, żaby, rybki akwariowe, ze dwa jaskrawe, żółte zewłoczki kanarków i nawet kilka gawronów. To robi wrażenie. Tylko prawdziwy koci wojownik jest w stanie upolować srokę czy gawrona.

Stoję otoczony kręgiem śmieci w różnych stadiach rozkładu i wiem, że nie mam już nic do stracenia.

– Hej! Paluc! Pokaż no się! – wrzeszczę. – No dalej! Proszę! Nie daj się namawiać jak primadonna! Posłuchaj, jak pięknie drą się twoi wyczekujący wyznawcy. Lepiej niż w marcu, przysięgam!

– Miiiiiaaauuuuu! – potwierdza swoją klasę ting.

– No zobacz, co ci przynieśli! Fajne prezenty! Transport prościutko z wysypiska! Nie skusisz się na zdechłego szczura? Naprawdę nie?

Chce mi się głupio chichotać i płakać równocześnie. Zdaje się, że znalazłem się na granicy hysterii. Stado kotów krzyczy, odpadki śmierdzą, a we mnie nie tli się nawet iskierka mocy. Mogę tak wrzeszczeć, aż rano zabierze mnie karetka.

„Psychiatra wariatem”. „Znaleziony pod śmietnikiem. Smutny koniec naukowej kariery”. „Makabryczna uczta. Czy mieszkaniec jednej ze stołecznych kamienic naprawdę w nocy pożywał się martwymi szczurami i gołębiami? Więcej na stronie piętnastej”. „Uchron swoje dzieci przed śmieciofagiem”.

– Paluc! To nie fair! Alicji pomogłeś, wkurzający kocurze!

– Bo z niej niezła laska była, panie Puku – odpowiada noc niskim, rozbawionym głosem spikera radiowego. – A za szczura dziękuję. Ale ty się nie krępuj, chętnie popatrzę, jak ci smakuje.

Cholera. Chyba przegiąłem.

Stoję z otwartą japą, gapiąc się na księżyc. Dwa księżycy. Kocie oczy.

Cath Palug jest ogromny, wypełnia sobą całą przestrzeń nocy. Uśmiecha się, a to wygląda o wiele groźniej, upiorniej niż jakikolwiek grymas Cronnachta. Straszliwe białe igły zębów przecinają niebo błyskawicami blasku. Taka wesoła burza bez deszczu. Ubawiony Paluc.

Wszystkie koty milkną, przypadają do ziemi w hołdzie oddanym swemu panu, bóstwu Mrocznych Ścieżek. A potem rozpierzchają się w całkowitej ciszy. Szuuu, szuuu, szuuu i stoję sam pod śmietnikiem, na stercie gnijących odpadków.

A niebo ma kształt czarnego kocura. Demona sprzed wielu wieków. Biada nieszczęsnej krainie Mon. Biada kretynowi, który zlekceważył taką potęgę.

Już po mnie, przyjaciele.

– A przy okazji, jeśli wolno spytać, po cholere darłeś ryj, nadużywając mojej cierpliwości, co? Wykrztusisz jakąś odpowiedź, panie Puku? Pół-Puku, przepraszam – ten sam czarowny, łagodny głos bogatego playboya.

– Chh... chhh... chciałem ratować Fairie – udaje mi się wyszeptać.

Noc wybucha jasnym księżycowym śmiechem przypominającym pomruk gigantycznego

tygrysa. Ale mnie nie jest do śmiechu. Przysięgam. Boję się. Boję się jak nigdy dotąd. Mało brakuje, żebym zlał się w spodnie.

Chryste Panie, nazwałem go „wkurzającym kocurem”? To gorzej niż gdybym napluł do makaronu *capo di tutti capi*. Gorzej niż gdybym postanowił podlubać śrubokrętem przy bombie atomowej. Wolałbym już nazwać Lucyfera cieniasem, niż obrazić Catha Paluca.

Niedobrze mi ze strachu.

– Oj, bohater. Dzielny *senechal*, kawaler o sercu bez skazy – powiada drwiąco Kot. – No, no. Jak ja dawno nie zadusiłem bohatera. Patrz mi w oczy, kiedy się do ciebie zwracam, mięso.

Z trudem unoszę głowę. Dwa księżyce. Fosforyczne kocie ślepie.

– Więc czego w końcu chcesz? Dowiem się? No, mięso, skup się. Umiesz przecież mówić, skoro tak radośnie wywrzaskiwałeś moje imię jeszcze przed chwilą.

– Chcieliśmy błagać, żebyś powstrzymał Cronnachta – mówię cicho, z trudem, bo gardło mam ściśnięte jak stryczek. – Żebyś nie dopuścił do upadku Fairie.

– My? – dziwi się Paluc. – Co za „my”, waleczny rycerzu? Banda przydupasów szacownego Artusa? Związek zawodowy bękartów z Nibylandii? Towarzystwo fenologiczne?

– Koty. Wszystkie koty z miasta.

Noc wzdycha.

– Moi poddani nie muszą się martwić o przyszłość. Dobrze wiedzą, że się o nich zatroszcę. Więc kto cię wpuścił w ten kanał, mięso?

Hob. Pieprzony ubecki kobold. Agenturalna świnią.

Otwieram usta, ale nie mogę wydobyć żadnego dźwięku. Koniec. Zaraz zostanę krwawą marmoladą z dodatkiem kości i dobrych intencji. Dobrymi intencjami brukują ulice w Piekło.

– Kto cię namówił, żebyś ze mną pogadał? Oberon? Nie, on by nie poszedł na taki kretynizm. Jest za cwany. Kundel? Czarny Pies?

Kiwam rozpaczliwie głową.

– A, to dobre! Sam za bardzo się spietrał, stare, durne psisko – znów białe, straszne wyładowania śmiechu. – Zdaje się, że nieźle cię wystawił. No, nie trzęs się, mięso. Nie bardzo szanuję tchórzy. Ale ty nie jesteś tchórzem, zdaje mi się, skoro zgodziłeś się zaczepiać Catha Paluca. Głupkiem najwyżej. To pewnie tak. Chcesz pogadać w cztery oczy, co? Odważysz się? Dalej, mięso! Nie krępuj się. Spróbuj mnie przekonać, żebym ratował Fairie. No, co? Mam zejść do ciebie? Chcesz?

Nie chcę. Jasne, że nie chcę. Chyba wolałbym położyć się na torach metra w godzinach szczytu. Ale skoro już się tu znalazłem, powinienem przynajmniej spróbować wypełnić zadanie. Zresztą, jeśli stchórzę, Paluc mnie natychmiast zabije. Czuję to przez skórę.

– Tak – staram się mówić wyraźnie i dobitnie. – Bardzo cię proszę. Zejdź tu i porozmawiaj ze mną.

– Łooo! – mruczy kocur z uznaniem. – A to dopiero!

I w tej samej chwili siada przede mną na podwórzu. Jest wielki jak uliczna latarnia. Czarna sierść faluje, srebrzyste wyładowania spływają po niej niczym deszcz. Pazury, długie i ostre niczym japońskie katany, skrobią o bruk.

– Zatem słucham. Dlaczego miałbym się wtrącać w sprawy *L'Autre Monde*?

Staliście kiedyś przed uśmiechniętym, zjadliwym tygrysem? Szablastym tygrysem, z zamierzchłej przeszłości? Nie? To nie wiecie nawet, jakimi jesteście szczęściarzami.

Z trudem przetykam ślinę.

– Żeby nie dopuścić do zagłady Fairie. Wiesz przecież, co knuje Cronnacht i Fomorianie? Prawda?

Kocur ziewa, prezentując mi olbrzymią, różową paszczę z kłami jak bagnety od kałasznikowa.

– Mój drogi przyjacielu. Nie nadużywaj po raz kolejny mojej cierpliwości. Mam jej ogromne pokłady, ale jednak wyczerpane. Oczywiście, że znam żalosne plany konioglówego. Ale dalej nie mam pojęcia, dlaczego miałyby mnie obchodzić?

– Bez twojej pomocy Fairie upadnie. Tylko ty możesz pokonać Fomorian. Jesteś dość potężny, żeby ukrocić ich głupie pomysły!

Paluc podnosi łapę i dłubie pazurem w zębach, a mnie robi się trochę słabo.

– Prawdopodobnie. Ale to za mało, żebym się zaangażował.

– Nie dbasz o to, że twojej ojczyźnie grozi zagłada?

Demon parska śmiechem.

– Puku, mój drogi. Wyobraź sobie, że wcale. Nie wiem, co ci naopowiadał Kundel, ale ja naprawdę jestem starożytnym, diabło potężnym, beztroskim skurwysynem bez czci i zasad. Mnie nic nie grozi. Moim poddanym także. A teraz spadaj. Pogawędka skończona. Aha, i przekaz swemu kumpłowi, wyleńialemu psiemu dupkowi, moje serdeczne pozdrowienia.

Nie powinienem wspominać o Cwn Annwn. Paluc go naprawdę nie znosi. Ale, zdaje się, nie miałem wyjścia.

Stoję pod śmietnikiem, patrząc z bólem, jak kocur, swoim zwyczajem, zaczyna się rozwiewać w powietrzu. Pewnie ten wredny uśmiezek zniknie na samym końcu.

Zachowałem życie, ale nie uratowałem Fairie. Żegnaj, Kukulandio. Już po tobie.

„Bez zasad”, powiedział. A jeśli kłamał? Zaraz... I nagle przypominam sobie, że nie wykorzystałem ostatniej karty. Schowanego w rękawie atutu, który albo zadziała, albo spowoduje, że wkurzony Paluc zmieni mnie w kupkę siekanego mięsa.

– Hej! Zaczekaj! – wołam za znikającym Kotem. – Przypominasz sobie może, co obiecałeś Keusowi Płonacemu, kiedy spuścił ci największy oklep, jaki dostałeś w życiu?

– Chhhhhh! – wrzeszczy noc wichurą i zawieruchą suchych liści, która przewraca mnie na beton podwórza. – Jedyne oklep w życiu, bękaracie! Jedyny!

Paluc znów przede mną siedzi, jego dzikie, turkusowe ślepie płoną jak lampiony.

– Odbiło ci? Czego mnie zaczepiasz? Nie lubisz swojego życia, czy co?

– Lubię Fairie – mówię, gramoląc się z ziemi, a na pysku Kota pojawia się jakby cień szacunku.

– Twardy, mały drań – mówi. – Nawet mi trochę zaimponowałeś. Tyle, że to wszystko na nic. Obiecałem nie szkodzić ludziom. Nic więcej. I słowa dotrzymuję. A teraz pa, pa!

– Nie! To nie takie proste. Jeśli nie uratujesz Fairie, mieszkańcy tego kontynentu osłabną, stracą siły, pogrążą się w marazmie i zaczną sami niszczyć własną kulturę. Jak myślisz, zaszkodzi im to czy nie?

Paluc parska znowu, ale już bez złości.

– No, nie! Przecież to czysta sofistyka! Nie wierzę!

– To prawda – upieram się. – Proszę cię o pomoc, w imię przysięgi, którą złożyłeś podczaszemu króla Artura.

Kot poważnieje. Pochyla łeb i patrzy mi głęboko w oczy.

– Nie wiesz, czego żądasz. Ani jaką cenę przyjdzie ci za to zapłacić. Synu Pięknej Krainy, o pomoc w imię przysięgi może mnie poprosić tylko człowiek. A ty jesteś w połowie Pukiem. Jeśli będziesz się upierał, abym podjął się tego zobowiązania, musisz wyrzec się swojej magicznej krwi. Musisz wybrać ludzką naturę i pozostać jej wiernym do końca życia. Tym samym nigdy już nie doświadczysz magii. Czy to w ogóle można znieść? Czy jesteś w stanie coś takiego wytrzymać? Ponieść taką ofiarę? Zrozum, nigdy już nie ujrzysz Fairie, ani żadnej czarodziejskiej istoty. Koniec ze zbieraniem snów, nocnym ekspresem, elfami i podróżami w astralne wymiary. Tylko tu i teraz. Jak w nudnym, kretyńskim serialu o życiu. Dałbyś radę w ten sposób egzystować? Po tym, co widziałeś w Fairie?

Nie wiem. Ale muszę wybrać. Przyszło mi ratować Kukulandię i to jest teraz najważniejsze. Nie zobaczyć już Valerie? Kryspina? Nawet Cronnachta? To okropne, ale lepsze niż świadomość, że razem z resztą magicznych kumpli umierają gdzieś na wyspie zagubionej pośrodku Oceanu Nicości.

Zresztą, Paluc nie ma racji. W prawdziwym życiu są komandosi, podróżnicy, strażacy i artyści. A jeśli zginie Fairie, ich również zabraknie. I cały świat naprawdę zmieni się w jakieś „B jak Beznadzieja” albo „Na Takiej Samej”.

– Tak – mówię. – Wychowałem się jako człowiek, mogę też jako człowiek umrzeć. Proszę, wypełnij przysięgę. Uratuj Fairie. W imię Keusa Płonącego. Jak przystało na wielkiego Kota Paluca.

Kocur cofa się, wstrząśnięty.

– Dobrze – zgadza się. – Spełnię obietnicę, powstrzymam Cronnachta. Niech cię noc ma w opiece, dzielny głupku. Nigdy nie zapomnij, że zdobyłeś sobie szacunek Pana Mrocznych Ścieżek, zabójcy z Mon.

Powinienem się cieszyć, ale jakoś nie mogę. Coś tu nie pasuje. Coś przeoczyłem. Bardzo ważnego, co zaraz zmieni postać rzeczy. Gdybym tylko nie był taki zmęczony.

– Słuchaj – zacznym powoli. – Ale ty nie zrobisz im krzywdy? Tylko powstrzymasz ich

głupie plany? Nie masz na myśli niczego radykalnego, ostatecznego, prawda?

Kocur patrzy na mnie z politowaniem. Chyba naprawdę widzę w jego oczach szczere współczucie. I to powoduje, że ogarnia mnie przerażenie.

– Nie, błagam! Nie zabijaj ich! Mają po prostu bardzo głupi, niepotrzebny pomysł. Trzeba to ukrócić, nie dopuścić do rozbicia Fairie, ale przecież nie trzeba ich zabijać! Nie są naprawdę groźni! Nie rób tego, błagam! Czekaj, cofam twoje zobowiązanie! Nie musisz spełniać przysięgi! Nie proszę już o nic, w imieniu Keusa! Na litość boską! Niczego od ciebie nie żądam! Zwalniam cię ze słowa! Nie musisz spełniać tej obietnicy, naprawdę!

Paluc wzdycha, jakby wiatr zaszumił.

– Biedny, mały Puk – mówi. – Problem w tym, że muszę. Tak to właśnie działa.

– Nie! – krzyczę i macham rękami. – Chryste Panie! Nie! Nie zabijaj ich! Błagam!

Kot rozwiewa się już w powietrzu. Zostaje tylko uśmiech. Bardzo smutny uśmiech, tym razem.

– Synu ludzkiego świata – powiada na pożegnanie. – Czyżbyś nie wiedział? Zabijanie to jedyne, co naprawdę potrafię.

* * *

Nie mogę spać. Nie mogę jeść ani oddychać. Duszę się. Nie mogę żyć, żeby tak powiedzieć prawdę. Nienawidzę siebie. Nienawidzę Kota, Psa, Hoba i wszystkich, którzy mnie wrobili w to gównno. Nienawidzę własnej głupoty.

Oszaleję, jeśli się nie dowiem, co się właściwie stało. Może ktoś ocalał? Może Paluca ruszyło jednak sumienie i nie zabił wszystkich? O dobry Boże, spraw, żeby uciekli. Żeby gdzieś się zaszyli i przetrwali.

Valerie. Cronnacht. Kryspin. Jakim śmieciem musiałem im się wydawać w ostatniej godzinie życia?! Puk. Bękart. Zdrajca.

Dobra, oszukali mnie, a ja ich za to zabiłem.

Zabiłem naiwnością i głupotą. Mieszkańca Fairie czy człowieka? Sam nie wiem. Nieważne. Mało co jest tak niewiele znaczące.

Muszę wejść na płaskowyż i zobaczyć, co się stało. Muszę, na litość boską.

Tylko jak? Wczołgać się do szafki na papiery, zatrzaskać i czekać na zmiłowanie? Trzymać głowę długo pod wodą, albo w zamrażalniku? Nałykać się kwasu? Medytować w pozycji lotosu?

Zwykli ludzie trafiają przecież do Fairie. Rzadko, ale trafiają. Musi być jakiś sposób.

Wiem, że to idiotyczne, ale czytam w kółko „Alicję”, „Piotrusia Pana” i „Puka z Pukowej Górki”. Nie pomaga. A czego się niby spodziewałem?

Chcę znowu wejść do Fairie. Ostatni raz. Przysięgam. Ten jeden, ostatni raz.

Niezbornie, jakbym był naćpany, idę do łazienki, żeby opłukać twarz i ręce. Odruch lady

Makbet.

W tym samym momencie z salonu dobiega dziki łomot. Krewetka spuściła na podłogę stertę moich książek. I wyrzuciła pustą butelkę po chivasie. Siedzi obok niej i pomiaukuje.

Zaraz, czy ta butelka rzeczywiście jest pusta? Czy Valerie zabrała ostatnie sny, które zebrałem?

Nie, chyba nie.

– Miau! – mówi Krewetka.

Dzięki, mała. Dzięki moja mądra kocico. Teraz już dobrze pamiętam. Nie zabrała. Butelka powinna wciąż być pełna snów.

* * *

Nie mam pojęcia, czy to zadziała. Mam nadzieję, że tak.

Łykam garść proszków na uspokojenie. Ziołowych, żeby było naturalnie, na wszelki wypadek. Ostrożnie odkręcam korek, wącham zawartość. Jaki bukiet mają ludzkie koszmary? Niezbyt intensywny. Po prostu leciutko pachną kurzem.

Przechyliłam butelkę i upijam łyk niewidzialnego trunku. Nie ma smaku. Wydaje się za to zimny i bardzo lotny.

Teraz muszę zasnąć. A raczej odlecieć. Wprost nad wzburzony, zimny ocean.

* * *

Jestem. O Boże! Jestem.

Wszystko miga mi przed oczami, sypie się jak pogubione piksele, jakbym był na haju, ale widzę wyraźnie. Płaskowyż. Wzgórza. Las. Urwisko.

I ciała. Mnóstwo ciał.

Elfy, Puki, pixie, driady, fauny, koboldy. Mech ma kolor rdzy. Barwę krzepnącej krwi.

Matko Boska, to Valerie!

Zepsuta lalka Barbie. Mała, ruda suka w podartej tiulowej sukience.

Chciałbym upaść na kolana, przepraszać, kopać pazurami groby w mchu i ziemi, ale nie mogę się ruszyć.

Kryspin. Glany i kurteczka lepkie od posoki. Patrzy nieruchomo w niebo. Może szybuje w błękit z Kurtem Cobainem? Może szybuje... nie mogę!

Obok to, co zostało z Barnaby. I Viviany.

Niewiele. Naprawdę niewiele.

Ciała Fomorian leżą nieco dalej. Czerwony karzeł, chudzielec z głową wydry, rybi człowiek. A Cronnacht? Gdzie jest Cronnacht? Boże, nie widzę mojego przekłętogo, nieszczęsnego końskiego anioła.

Ocalał?

Nie. Skały na skraju urwiska mają barwę gasnącego szkarłatu. A w dole, tam gdzie huczy i złości się ocean, jest tej czerwieni jeszcze więcej. Całe morze.

Teraz będzie słuchał pieśni fal tak jak chciał, przez wieczność.

Jezu, co ja zrobiłem? Co zrobiłem, żebyście wszyscy mogli krzyknąć: „Wierzę we wróżki!”. Żebyście mieli marzenia. Żebyście śnili.

Ja uwierzyłem.

A Dzwoneczek i tak gryzie piach.

Smak kurzu. W ustach mam tylko smak kurzu.

I płaczę.

* * *

Nie widzę już cieni przemykających przez lustra. Nie rozmawiam z kotami. Nie przylatują do mnie maleńkie jak długopis stworzonka o skrzydłach émy. Nie rozgarniam przędzy snów. Nie straszy mnie nocami ogromny, zielononiebieski morski potwór.

Żyję jak normalny człowiek.

Znów rozkręcam praktykę. Karmię Krewecię. Czytam książki. Odwiedzam nawet jakichś znajomych, siostrę, chodzę do kina.

Paluc miał rację. Jak w serialu. Jak w pieprzonym „Rodzie Najprzeciętniejszych Patałachów”.

Zapłaciłem za swoje bohaterstwo. A jakże. I to słono.

Nikt nie obiecywał, że zostać zbawcą dwóch światów to uczciwa fucha.

Czasem, kiedy staruszka z góry za głośno ogląda brazylijskie „Wichury miłości”, wyjmuję z szuflady pudełko po ołówkach, w którym sypiała Valerie, biorę flaszkę rumu czy whisky i upijam się w samotności.

Zabiłem ich. Zabiłem wszystkich. Piekielny Cwn Annwn. Doświadczony, stary intrygant. Prawdziwy agent bezpieczeństwa. Załatwił śmierdzącą sprawę rękami honorowego outsidera i głupiego naiwniaka. Przecież Paluc nie chciał nikogo zabijać. Wzdragał się, wykręcał. I byłby się wywinął, gdybym go nie przycisnął przysięgą.

Sam zabiłem moje elfy. I Cronnacha. I resztę Fomorian. A co, jeśli to było tych ostatnich czterech, których lud Danu wywiózł daleko na północne wyspy? Jeśli rzeczywiście odkryli tam nowy ląd, szczęśliwą Fairie, w której mieli nadzieję zamieszkać w spokoju?

Prawdopodobnie zamordowałem ostatnich Przedwiecznych. Lovecraft by nie uwierzył, jakie to proste.

Prawdopodobnie uratowałem też Fairie. I naszą cywilizację. Ale nie napawa mnie to dumą, naprawdę.

Ani trochę.

Jestem teraz zwykłym człowiekiem. Mam marzenia. I sny. I różne cele.

Nie zrozumcie mnie źle. Postąpiłem świadomie. Ale też nie miałem wyjścia. Nie mogłem poświęcić ani *L'Autre Monde*, ani normalnego świata w imię przyjaźni, lojalności czy własnych interesów.

Jestem zdrajcą. Podłym draniem bez serca. Jestem głupcem, który dał się manipulować.

Jestem też cichym bohaterem obu krain.

Myślicie, że mi przez to choć trochę łatwiej?

Gówno prawda.

Nawet nie mogę mieć do siebie pretensji. W końcu jednak ocaliłem Kukulandię, choć bardzo wiele przyszło mi poświęcić.

Za wiele.

Ale przecież wybrałem. Sam wybrałem.

Smak kurzu w ustach.